PAMIĘTNIK LITERACKI

PAMIĘTNIK LITERACKI

CZASOPISMO KWARTALNE POŚWIĘCONE HISTORII I KRYTYCE LITERATURY POLSKIEJ

REDAKTOROWIE

KAZIMIERZ KOLBUSZEWSKI EUGENIUSZ KUCHARSKI
STANISŁAW ŁEMPICKI

ROCZNIK XXXV

LWÓW
NAKŁADEM TOW. LITERACKIEGO IM. ADAMA MICKIEWICZA
Z ZASIŁKIEM MINISTERSTWA W. R. i O. P., Z ZASIŁKIEM FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ, Z SUBWENCJI KASY IM. J. MIANOWSKIEGO, Z SUBWENCJI BANKU GOSPODARSTWA KRAJOWEGO, Z SUBWENCJI PREZYDIUM STOŁECZNEGO MIASTA LWOWA, Z FUNDUSZU IM. ŚP. WACŁAWA MIŃSKIEGO, Z FUNDUSZU IM. ŚP. BRONISŁAWA GUBRYNOWICZA
1938

SPIS RZECZY

IV. RECENZJE

V. WSPOMNIENIA POŚMIERTNE

SPIS WSPÓŁPRACOWNIKÓW



Śp. WILHELM BRUCHNALSKI

ur. we Lwowie 21 maja 1859, zmarł 6 grudnia 1938

Prezes Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza w latach 1900—1905 i 1918—1934

Członek honorowy tegoż Towarzystwa

Redaktor Pamiętnika Literackiego w latach 1923—1924

†
ŚP. WILHELM BRUCHNALSKI

Nauka polska poniosła w ostatnich latach szereg niepowetowanych strat niemal we wszystkich dziedzinach wiedzy; odeszli pracownicy wypróbowani, ludzie wybitni, o wielkich zasługach. Taką poważną stratę poniosła wiedza o literaturze przez śmierć śp. Wilhelma Bruchnalskiego. Był on lwowianinem z krwi i kości, całą umysłowością i pracą związany z tym miastem kresowym; urodzony 21 maja 1859, po ukończeniu nauki początkowej w szkole normalnej, a następnie w gimnazjum im. ces. Franciszka Józefa wstąpił na Uniwersytet Lwowski, naprzód na wydział prawniczy, a po jego ukończeniu na wydział filozoficzny. Już podczas studiów otrzymuje posadę nauczycielską i pełni obowiązki przez rok 1887. Uzyskawszy dyplom doktora filozofii przechodzi w charakterze skryptora literackiego do Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich; dłuższy pobyt w Bibliotece, zetknięcie się z jej bogatymi zbiorami daje mu możność rozległego oczytania w dziełach zarówno polskich jak i obcych, nabycie ogromnej wiedzy, która imponowała każdemu, kto miał możność zetknąć się z śp. Bruchnalskim, i która stała się dla niego też pożyteczna w jego pracy profesorskiej. Habilitowany przez prof. Romana Pilata w roku 1900, zostaje w r. 1905 profesorem nadzwyczajnym, a następnie w r. 1907 profesorem zwyczajnym filologii polskiej na Uniwersytecie Lwowskim; na tym stanowisku widzimy go do r. 1931, kiedy przechodzi w stan spoczynku uzyskując godność profesora honorowego Uniwersytetu Jana Kazimierza.

Zamiłowania naukowe Zmarłego obejmowały głównie trzy dziedziny: średniowiecze, renesans i romantyzm. Wśród mediewistów polskich należał śp. Bruchnalski niewątpliwie do najpoważniejszych; interesowała go zarówno problematyka średniowieczna jak i technika utworów. Zamiłowaniami swymi obejmuje cały ten okres, od kroniki Galla Anonima począwszy, poprzez

pieśń *Bogarodzica*, której chciał poświęcić większą pracę, do pierwszych zarodków literatury miłosnej; rozumiejąc łączność średniowiecza naszego z prądami zachodnio-europejskimi daje swemu przekonaniu wyraz w szeregu przyczynków, na pozór drobnych, jednak wartościowych, jak *Legenda aurea w literaturze polskiej XV w.* (Kraków 1885), *Libri de educatione principum XIII w. jako źródło poetyki średniowiecznej* (Księga pamiątkowa B. Orzechowicza, Lwów 1916) ii., z których każdy wykazuje odgłosy pisarzy obcych (Tomasz z Akwinu, Wincenty z Beauvais, Jakub a Voragine) w średniowieczu polskim. Ukochanie epoki, doskonała jej znajomość skłoniły Zmarłego do podjęcia żmudnej, ale w wyniki bardzo owocnej pracy, *Poezja polska średniowieczna* (Enc. Ak. Um., t. XXI). Nie są to właściwie dzieje literatury tego czasu, ale doskonała inwentaryzacja jej zabytków, pierwszorzędne źródło wiadomości dla każdego, ktokolwiek zajmuje się piśmiennictwem tej epoki. Śp. Bruchnalskiego interesowała nie tylko ideologia średniowiecza, poddał on również badaniu — może po raz pierwszy w Polsce — także i stronę formalną utworów tego okresu w dwu pracach: *O rymie w poezji polskiej do Jana Kochanowskiego* (Lwów 1885) i *O budowie zwrotek w poezji polskiej do Jana Kochanowskiego* (Kraków 1886). Jak dalece te zagadnienia były bliskie śp. Bruchnalskiemu, dowodzi fakt, że jeszcze na krótki czas przed śmiercią zajmował się nimi planując nowe ujęcie myśli, od których zaczęła się jego praca naukowa.

Umysłowość Bruchnalskiego musiała go zaprowadzić do studiów nad dziejami polskiego renesansu; prof. Kleiner przemawiając na uroczystości jubileuszowej, urządzonej w r. 1926 z okazji czterdziestolecia pracy naukowej Zmarłego, podkreślił słusznie, że w przeciwstawieniu do szeregu innych badaczy, uwzględniających przede wszystkim typ renesansisty włoskiego, śp. Bruchnalski wpatrzony był raczej w oblicze starohumanisty niemieckiego. Takie postawienie zagadnienia było związane z zamiłowaniami profesora, który w swoich wykładach uniwersyteckich o renesansie opierał się w znacznej mierze na wynikach badań niemieckich, choć nie odrzucał bynajmniej rezultatów uzyskanych przez innych uczonych. Operując olbrzymim znawstwem epoki i jej głównych zapatrywań zajął się postacią Kopernika jako przejawem przełomu dokonującego się na pograniczu w. XV i XVI: średniowiecza i renesansu; zupełnie oryginalnie zostaje ujęta przez Bruchnalskiego działalność literacka Reja. Zdawało się, po świetnej, wyczerpującej monografii Brücknera, że niewiele się już da powiedzieć o twórcy *Zwierciadła;* Bruchnalski ujął *Rozwój twórczości pisarskiej Mikołaja Reja* (1907) w sposób zupełnie nowy. Scharakteryzowawszy ewolucję parenetyki od literatury antycznej wykazuje autor jej znamiona w twórczości pisarskiej Reja, opartej o podłoże na wskróś etyczne, o tendencję umoralnienia jednostki i społe-

czeństwa. Rejowi poświęca Bruchnalski swój trud edytorski przez świetnie wydany tekst *Zwierzyńca* (Bibl. pis. polskich 30, Kraków 1895). Zainteresowanie polskim renesansem nie ograniczy się jednak do dwóch postaci, stojących u progu „Wieku złotego“; zajmie go historia różnych gatunków literackich, które właśnie w czasach renesansu doszły do znaczenia, stąd studia nad dziejami polskiego mownictwa (doprowadzone do czasów najnowszych), stąd jego praca o epistulografii czy też panegiryku polskim. *Rozwój wymowy w Polsce* to niewątpliwie najlepsza praca z tej dziedziny, uderzająca śmiałością i trafnością sądów, imponująca ogromem zebranego materiału, częstokroć dotąd zupełnie nie zbadanego, przewyższająca monografie Mecherzyńskiego, Jougana, Pelczara ii.

Trzecią epoką, która stała się przedmiotem szczególniejszego umiłowania śp. Bruchnalskiego, był romantyzm; kult epoki, a zwłaszcza twórczości najwybitniejszego jej reprezentanta Mickiewicza wyniósł Bruchnalski ze szkoły swego profesora Romana Pilata. Studium *Mickiewicz — Niemcewicz* (Pam. Lit. 1904—1906) scharakteryzowało okres balladowy w twórczości Mickiewicza; nowe, rewelacyjne oświetlenie daje autor do genezy *Dziadów* wileńskich; *Grażyna* i *Konrad Wallenrod* znachodzą w Bruchnalskim doskonałego wydawcę i komentatora, a ogłoszony przez niego tekst *Pana Tadeusza* w wydawnictwie Macierzy Polskiej rozchodzi się w szeregu tysięcy egzemplarzy, urzeczywistniając tęsknotę poety, by książki jego zabłądziły pod strzechy wieśniacze. Bruchnalski bierze gorliwy udział w pracach Towarzystwa Literackiego im. A. Mickiewicza, zmierzających do stworzenia zbiorowego wydania dzieł poety; ogłasza tu poezje Mickiewicza z okresu 1824—1855 (*Dzieła*, t. II, 1900), następnie zamierza dać wyczerpującą naukową edycję *Pana Tadeusza* korzystając przy tym z materiałów pozostawionych przez śp. Romana Pilata. Choroba nie dozwoliła niestety dokończyć pomnikowego dzieła, Bruchnalski ogłasza jedynie tekst poematu z wariantami, — dalsza praca edytorska nie doszła do skutku; że jednak o wydaniu wszystkich pism Mickiewicza myślał stale, dowodzi *Próba kanonu wydawniczego*, ogłoszona w *Pamiętniku Literackim* w r. 1923. Myśl ta nie opuszczała go do końca życia. Bruchnalskiego interesuje nie tylko sama twórczość Mickiewicza, śledzi jej echa w literaturze galicyjskiej (*Mickiewicz w literaturze galicyjskiej 1822—1855*, Wilno 1906, — oraz *Sonety Mickiewicza w literaturze galicyjskiej w latach 1827—1828*. Pam. Tow. Mick. 1898). Te prace, oparte głównie na czasopiśmiennictwie galicyjskim pierwszego ćwierćwiecza w. XIX wiodą śp. Bruchnalskiego do olbrzymiego dzieła, jakim się stało *Stulecie Gazety Lwowskiej* (1911), względnie pomieszczona w nim synteza dziejów czasopiśmiennictwa galicyjskiego z lat 1773—1811 i *Gazety Lwowskiej* w okresie 1811—1848, oraz historia *Rozmaitości*. Dzieje polskiej

publicystyki, jeszcze dotąd bardzo mało zbadane, zyskały w tej pracy, przeprowadzonej z iście benedyktyńską skrupulatnością, fundament pierwszorzędnego znaczenia; ktokolwiek chce badać życie polityczne, kulturalne czy literackie tych ziem, które po pierwszym zaborze dostały się pod panowanie Austrii, musi sięgnąć do olbrzymiego rozmiarami i wartością naukową dzieła śp. Bruchnalskiego. Na podobne rozmiary miała być zakrojona monografia o Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich; ale i tu choroba nie pozwoliła na dokończenie zamierzonego dzieła, z którego pozostał tylko fragment.

Działalności naukowej Bruchnalskiego nie wyczerpują omówione prace: sumienny filolog, uczeń szkoły Pilatowskiej, wykazał swe wartości edytorskie ogłaszając w r. 1922 wydanie *Myszeidy* Krasickiego; interesuje się Bruchnalski twórczością Krasińskiego *(Wizja Krasińskiego)*, Kaczkowskiego, Romanowskiego, Sienkiewicza, zajmuje się problematami ludoznawczymi (*Legendy poetyckie o Chrobrym w górach a Sage o cesarzu niemieckim Fryderyku* 1926, *Diabeł w Okszy* 1901) ii.

Jako uczonego charakteryzuje śp. Bruchnalskiego dążność do stworzenia własnego, oryginalnego poglądu na świat, — własnych, samodzielnych kryteriów oceny zjawisk literackich; wyszedłszy ze szkoły o wyraźnym nastawieniu filologicznym oceniał śp. Bruchnalski wszystkie strony dodatnie i ujemne tej metody, nie zasklepiał się jednak w żadnej z teorii badawczych, które pojawiły się w pierwszym trzydziestoleciu w. XX. Metody historyczno-genetycznej nie stosował tak, jak to czyniono z końcem w. XIX, ale wydobywał z niej pierwiastki istotnie wartościowe. Interesowała go strona treściowa i formalna utworów; umysł zawsze młody, żywy, ciekawy tego wszystkiego, co się koło niego działo, miał zrozumienie dla każdego przejawu literackiego. Ocena utworu piśmienniczego warunkowana była przez śp. Bruchnalskiego szeroką sferą jego zainteresowań: filologicznych, psychologicznych, estetycznych i historyczno-kulturalnych; dopiero gdy się wszystkie te czynniki weźmie pod uwagę, utwór literacki może stanąć w świetle, które pozwoli na odpowiednie zrozumienie.

Takie stanowisko zajmował śp. Bruchnalski również jako pedagog; wykłady profesora zdumiewały głęboką wiedzą i nowym oryginalnym sposobem ujmowania problemów nie dążąc do olśniewania czysto zewnętrzną kwiecistością stylową. Świetne były jego seminaria; śp. Bruchnalski nie narzucał słuchaczom swojego poglądu, — jego naukowy liberalizm powodował, że w dyskusjach seminaryjnych mogły się ścierać zapatrywania nieraz diametralne różne, dlatego trudno mówić o tzw. szkole Bruchnalskiego w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jednego żądał profesor: bezwzględnej sumienności badawczej. Ostry w ocenach umiał śp. Bruchnalski otoczyć opieką każdy wysiłek wartościowy i ze swej bogatej wiedzy, która z powodu okolicz-

ności od niego niezależnych nie znalazła sposobności do pełnego wypowiedzenia się, udzielał hojną dłonią wskazówek swoim uczniom. Seminarium było też przedmiotem dumy Bruchnalskiego; w autobiograficznym szkicu, napisanym na krótko przed śmiercią, a udzielonym mi przez syna Zmarłego Dra Gustawa Bruchnalskiego, podkreśla profesor, że spośród jego wychowanków, a w szczególności uczestników seminarium wyszedł zastęp trzynastu profesorów uniwersyteckich i trzech docentów, „a więc liczba taka, jaką się nie może chyba poszczycić żaden z profesorów uniwersytetu w Polsce". Liczba nauczycieli gimnazjalnych, z których niejeden zajął poważne stanowisko, jest również znaczna.

Obok pracy naukowej i nauczycielskiej bierze śp. Bruchnalski gorliwy udział w życiu towarzystw naukowych; od roku 1905 jest członkiem korespondentem, a od r. 1923 członkiem czynnym Polskiej Akademii Umiejętności, w r. 1920 organizuje wspólnie z śp. prof. Balzerem Towarzystwo Naukowe we Lwowie i jest dłuższy czas prezesem pierwszego jego Wydziału, pracuje w Pol. Towarzystwie Historycznym, Ludoznawczym, jako redaktor czasopisma *Lud* i członek honorowy Towarzystwa ii.

Szczególną troską otaczał jednak Zmarły Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza we Lwowie; dzieje tej instytucji, założonej w r. 1886 pod patronatem śp. Romana Pilata, przy współudziale Bruchnalskiego, Bełzy, Finkla, Hordyńskiego, Konarskiego, Zippera, scharakteryzował Zmarły jeszcze w roku 1937, wyrażając nadzieję, że Towarzystwo pełnić będzie w dalszym ciągu cel wytknięty przed 50 laty na pożytek i chwałę polskiej literatury. Rolę śp. Bruchnalskiego w dziejach Towarzystwa omówił Dr Bronisław Nadolski w historycznym szkicu zamieszczonym w *Pamiętniku Literackim* w r. 1936. Dwukrotny prezes i redaktor *Pamiętnika*, zasłużył się śp. Bruchnalski dobrze około Towarzystwa, które też w okresie jego jubileuszu naukowego poświęciło mu rocznik *Pamiętnika* 1925/6, a w chwili gdy z powodu wieku i choroby składał urząd kierownika, nadało mu najwyższą godność członka honorowego.

W ogólnej żałobie, którą się okrył polski świat naukowy, a w szczególności świat naukowy lwowski, przez śmierć profesora Bruchnalskiego, Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza we Lwowie i Redakcja *Pamiętnika Literackiego*, głęboko dotknięte stratą wielkiego uczonego i gorącego Polaka, kornie przed Jego pamięcią chylą czoła.

Lwów *Kazimierz Kolbuszewski*

PRZEDMIOT, METODA I ZADANIA TEORII LITERATURY

Teoria literatury urasta na oczach naszych do godności osobnej dyscypliny naukowej: od pewnego czasu staje się ośrodkiem zainteresowań, skupia uwagę badaczy zainteresowanych literaturą dokoła swoich zasadniczych problemów, konsoliduje się gorączkowo jako samodzielna dziedzina badań o swoistych zadaniach, przedmiocie i metodzie, staje w imię swej samoistności w postawie nie tylko defensywnej, ale i ofensywnej. Z coraz większą wiarą w siebie wyzwala się kształtem odrębnym z miąższu innych nauk; mówi o własnym stosunku do tych nauk, a specjalnie do badań literackich i nauk filozoficznych *stricto sensu*. Przestaje być cząstką czegoś innego, przestaje być czymś utylitarnie tylko uwarunkowanym, czymś tolerowanym tylko *ex re* potrzeby.

Bo nie można powiedzieć, żeby zarówno nazwa teorii literatury jak i pewne zainteresowania i badania przynależne jej zasięgowi nie istniały dotąd. Tkwiły jednak w badaniach literackich w ogóle, w których chaotycznym nastawieniu na historię, psychologię, estetykę etc. były — nie dorastając zresztą do samouświadomienia — busolą orientującą w elementach niezmiennych, pozaprzypadkowych dzieła literackiego. Były tam zatem punktem oparcia, punktem wyjścia ocen, wreszcie punktem wyjścia dla konstrukcji terminów i definicji. Czyli były tam czymś zarazem koniecznym przy robocie badawczej, jak rusztowanie przy budowie gmachu, i czymś podobnie jak to rusztowanie poza okresem budowy — niepotrzebnym, bez własnego oblicza i bez własnej racji istnienia.

Utylitaryzm[1], nie mniejszy niż ze strony badań literackich, cechował stosunek i samej literatury do teoretycznych rozważań. I w stosunku do niej były one potrzebne. Na nich oparły się wszelkie teorie, wszelkie poetyki szkół literackich. Poetyka klasycyzmu czy romantyzmu, naturalizmu czy futuryzmu

---

[1] Posługujemy się tym określeniem w znaczeniu: wzgląd na użyteczność — przenosząc go z dziedziny pojęć etycznych w dziedziny pojęć poznawczych; w podobny sposób czyni np. J. Kleiner w rozprawie *O typach poznania naukowego* (*W kręgu Mickiewicza i Goethego*, 1938, s. 239 nn.).

jest wprawdzie wyrazem wysunięcia momentu teoretycznego na poczesne miejsce (w przeciwstawieniu do roli, jaką mu wyznaczało badanie literackie), ale równocześnie jest wyrazem najzupełniejszej jego deformacji; odbiera mu autonomiczność, pozaczasową ważność, a czyniąc go — poza własną intencją (oczywiście!) — czynnikiem zmienności (szkoły przecież się zmieniają), dyskredytuje na zapas naukową jego samodzielność. Z narzuceniem rozważaniom teoretycznym funkcji normatywnej, jako ich specjalnego celu, idzie w parze ich zacieśnienie i „odnaukowienie" ich aspiracyj[1].

Charakter normatywny poetyki, bo do niej właściwie ograniczały się i w nazwie, i w zakresie rozważań dawne badania teoretyczne, — był uważany za jej cechę zasadniczą do XIX wieku, a nawet i potem; utrwaliła takie jej pojmowanie szkoła, uprawiająca nieprzerwanie nauczanie „poetyki" i „stylistyki" w dziwnej dysharmonii z brakiem zainteresowań nią w wymiarach naukowych w drugiej połowie XIX wieku.

Obok normatywizmu[2] jako nastawienia dawnych badań teoretycznych nadawał im charakter i aprioryzm ich założeń. Aprioryzm jako grzech pierworodny estetyki romantycznej decydował przez cały prawie wiek XIX o oderwaniu ich od gruntu istotnych zjawisk literackich, mówił o cechach dzieła, o jego wartościach, wychodząc z ogólnofilozoficznych, najczęściej metafizycznych założeń piękna, jego idei etc. Dzieło literackie w świetle owych rozważań teoretycznych było polem przejawień się takich czy innych prawd spoza granic samego dzieła, a w sferze samej pracy badawczej polem sprawdzeń dla takich czy innych apriorycznych założeń.

Psychologizm znów, przemożny w drugiej połowie XIX wieku, „jest pewnym poglądem filozoficznym, którego istota polega na tym, że się pewnym przedmiotom niepsychicznym przypisuje cechę psychiczności". Odnośnie do dzieła literackiego psychologizm fałszował swoistą naturę dzieła literackiego „przez utożsamianie go z pewną mnogością przeżyć autora lub czytelników"[3], a badania literackie przekształcał w rodzaj literackich

---

[1] Naturalnie nie przeoczymy tu funkcji normatywnej teorii, która jest jakoby „mimowolną" konsekwencją wszelkiej teorii, dla tego oczywiście, kto z tych czy innych względów chce je śledzić. Walczymy tylko z oderwaniem ogólnych rozważań od gruntu czystej teorii — idąc w ślady Husserla, który udowadnia, że jest ona fundamentem wszelkich nauk normatywnych i w konsekwencji także nauk praktycznych. (*Logische Untersuchungen* I Bd, 1922, s. 47—50).

[2] Określamy tym słowem tendencję do ustalania norm. („Herrschaft des normativen Gesichtspunktes" określa także R. Eisler, *Wörterbuch der philosophischen Begriffe*, 1929, Bd II, s. 259). Z normatywizmem jako nastawieniem poetyki dawniejszej (XVII i XVIII w.) rozprawił się jeszcze F. Brunetière w dziele *Evolution des genres poétiques*, wykazując jego działalność hamującą wobec rozwoju literatury i jej badań.

[3] R. Ingarden, *O psychologii i psychologizmie w nauce o literaturze* — Pion 1937, nr 34.

badań psychologicznych; tym samym wyrywał grunt spod nóg teorii literatury, oczywiście w naszym dzisiejszym rozumieniu.

Naturalnie tych kilka skrótów nie wyczerpuje sprawy opóźnienia rozwoju teorii literatury. Trzeba jednak podkreślić, że nie wolno zapominać o osiągnięciach pojedynczych badaczy różnych czasów w zakresie istotnych założeń teorii literatury. I tak np. mimo ducha normatywizmu, tak bliskiego poetyce Arystotelesa, jest w niej imponująco jasne widzenie istoty, np. niektórych rodzajów literackich, stwierdzające ich rzeczywistość, bez tendencji krępowania przyszłych twórców; z drugiej strony, mimo aprioryzmu, tak znamiennego dla romantycznej teorii sztuki, widzimy u Schillera, np. w jego *Über naive und sentimentalische Dichtung,* niemal fenomenologicznie ostre rozumienie istoty zjawisk literackich. Nawet psychologizm, prowadzący z natury rzeczy do zaprzeczenia samoistnej niezawisłości zjawisk niematerialnych, więc i literackich — przecież *volens nolens* dawał przynajmniej materiał do stwierdzenia tej niezawisłości, że przypomnimy chociażby sprawę rodzajów literackich w ujęciu Gundolfa. Niewątpliwie nawet w zaprzeczeniach może tkwić ziarno afirmacji, a wielkość badacza tym się właśnie wyraża i legitymuje, że nie mieści się on tylko w pomyłce zasadniczego założenia i że wbrew nawet świadomie a błędnie wytkniętym celom zdobywa on impetem intuicji — prawdę istotną.

W każdym razie przez długie wieki błędne nastawienie teoretycznych rozważań na utylitaryzm, normatywizm, aprioryzm i psychologizm[1] hamowało naturalną prężność teorii literatury jako samodzielnej nauki. Dopiero z końcem XIX i z początkiem XX wieku zaczyna się proces wyodrębniania teorii literatury z ogólnych badań literackich i proces narostu jej znaczenia jako samodzielnej gałęzi wiedzy.

Sprzyjają mu dwa zjawiska. Najpierw od końca XIX wieku rozpoczynająca się rewizja przedmiotu badań literackich. Kwestia samodzielności badań literackich czy ich przynależności do innych dyscyplin, szukanie dla nich oparcia w obrębie tzw. Geisteswissenschaften, ich stosunek do badań historycznych, problem: nauka czy sztuka odnośnie do badań historycznych, rozważanie zadań psychologii wobec dzieła sztuki, problem metody badania dzieła literackiego, coraz wyraźniej biorącej rozbrat z ideałem metod „przyrodniczych“, coraz wyraźniej krystalizującej się swoiście, co świadczy o odrębności przedmiotu badania — oto szereg spraw, które zmusiły do nowego,

---

[1] Por. charakterystykę poetyki i badań literackich u F. Brunetière'a (*op. cit. — Evolution de la critique*): także uwagi o aprioryzmie romantycznej teorii sztuki u Z. Łempickiego (*W sprawie uzasadnienia poetyki czystej*, Lwów 1921) i stanowisko M. Kridla we *Wstępie do badań literackich*, 1936. Ogólnie stwierdza rozwój prawie wszystkich nauk humanistycznych od charakteru utylitarnego i normatywnego do filozoficznego Z. Łempicki, *Zagadnienie stylu,* 1937, s. 7.

głębszego **przemyślenia istoty przedmiotu** badań literackich, zadań tego badania, jego metody — i które tym samym sprzyjały wyłonieniu się odrębnych dyscyplin badawczych z całokształtu badań skupionych dokoła literatury. Już odtąd ani historia literatury, ani psychologia twórczości literackiej, ani socjologia literatury etc. nie mogły firmować badań z zakresu teorii ani przesłonić samoistności jej naukowych zdobyczy. Prace Diltheya, Windelbanda, Rickerta, Lacombe'a, Lansona etc. — to szereg etapów w rozwikłaniu tych podstawowych zagadnień.

Drugim zdarzeniem, które patronowało wyzwalaniu się teorii literatury w samoistną dyscyplinę i dało jej jako nauce filozoficznie określony grunt ułatwiając określenie przedmiotu badania — to narodziny fenomenologii. Fenomenologia Husserla, która tak potężnym nurtem objęła współczesną myśl filozoficzną przeciwstawiając się psychologizmowi i empiryzmowi w filozofii, zajmowała się światem przedmiotowym, niezależnym w swym istnieniu od naszej świadomości, przejawiającym się jednak przez akty świadome; za przedmiot filozofii uważała „istoty rzeczy, a więc to, co niezmienne, konieczne, co wprawdzie stoi w ścisłym związku z bytami konkretnymi, bo warunkuje ich istnienie, ale co się z nimi bynajmniej nie utożsamia" [1]. Przecząc metafizycznym założeniom nauki o idei Platona, a równocześnie przeciwstawiając się nominalizmowi [2] fenomenologia mówi o bycie abstrakcyjnym „jako podrzędnym, przypadłościowym, uzależnionym od rzeczy konkretnej, pojętej jako zespół właściwości stanowiących całość zdolną do odrębnego istnienia". Fakty rzeczywiste, istniejące przedmiotowo, występują tylko jako zjawisko konkretne, jednostkowe, przygodne; ale pod tą stroną zjawiskową kryje się inna rzeczywistość — powszechne i konieczne **istoty rzeczy**. Fenomenologia zajmuje się badaniem tych istot, ustala ich charakter ontyczny i wskazuje na związki łączące je ze światem empirycznym. Istoty rzeczy tworzą swoisty świat eidetyczny, który „posiada inne właściwości niż świat empiryczny, rządzi się odmiennymi prawami i spełnia właściwą sobie rolę w rzeczywistości" [3].

---

[1] Husserl, *Ideen zu einer reinen Phänomenologie und phänomenologischen Philosophie* I, 1913; (por. ks. J. Pastuszka, *Filozofia współczesna* II, s. 89.) „Das Wesen (Eidos) ist ein neuartiger Gegenstand. So wie das Gegebene der individuellen oder erfahrenden Anschauung ein individueller Gegenstand ist, so das Gegebene der Wesenanschauung ein reines Wesen" (*Ideen*, 10—11). E. Levinas, *La théorie de l'intuition dans la phénoménologie de Husserl*, 1930, s. 151—2): „...l'essence existe autrement qu'un objet individuel. (L'idéalité de l'essence) consiste dans un autre mode d'exister; elle nous révèle une nouvelle dimension de l'être".

[2] Por. Husserl, *Logische Untersuchungen* II Bd., I Teil, s. 121 i dalej; por. przedstawienie założeń fenomenologii u ks. J. Pastuszki, *op. cit.* II, s. 85 i 94.

[3] Tamże, s. 98.

Spojrzenie na konkretne dzieło literackie[1] od strony założeń fenomenologii wykrywa w nim dwie sfery jego rzeczywistości: a) rzeczywistość jego literackiego indywiduum[2], nazwijmy je literackim konkretem[3] (który trzeba rozpatrywać jako autonomiczną rzeczywistość i który można rozpatrywać pod kątem związków historycznych, koncepcyj estetycznych założeń psychologii, socjologii etc.); b) rzeczywistość jego istoty. Tutaj znów — mówiąc o istocie w związku z dziełem literackim — odróżnić trzeba: pojęcie a) istoty konkretnego dzieła literackiego (np. istoty *Pana Tadeusza* Mickiewicza) od pojęcia b) istoty dzieła literackiego w ogóle.

W pierwszym wypadku mówimy o stałej i danemu tylko dziełu właściwej naturze[4], którą określić staramy się za pomocą wyodrębnienia pewnej ilości związanych z sobą cech danego dzieła, w związaniu tym jemu tylko właściwych i odróżniających go od dzieł konkretnych innych; dla pojęcia tego zachowamy określenie: istoty konkretnego dzieła literackiego, w szczegółowych wypadkach: np. istoty *Pana Tadeusza* Mickiewicza, istoty *Lilli Wenedy* Słowackiego.

W drugim wypadku mówiąc o istocie dzieła literackiego w ogóle — mamy na myśli „przedmiot idealny, który ujmujemy w odpowiednikach aktów poznawczych"[5], a który realizuje się konkretnie przez każde konkretne dzieło literackie; istnieje idealnie, a nie realnie, jest ponadczasowy[6]; nie ma bez niego konkretnego dzieła literackiego; pozostawmy mu nazwę istoty dzieła literackiego.

Wreszcie jeszcze w trzecim znaczeniu mówimy o istocie w związku z dziełem literackim; wtedy gdy myślimy o przedmiocie idealnym, realizującym się niektórymi tylko dziełami literackimi, a należącym do świata eidetycznego, związanego z literaturą. Nazwijmy ten przedmiot istotą literacką (dla poszczególnych wypadków z bliższym określeniem); i tak będziemy mówić o istocie literackiej tragizmu w literaturze[7];

---

[1] Nie jest tu konieczne poruszenie sprawy ontycznego charakteru konkretu literackiego, które tak wymownie przedstawił R. Ingarden w *Das literarische Kunstwerk*, s. 5—6. Podzielamy wszystkie jego wątpliwości, jakie się nasuwają przy przyznaniu dziełu literackiemu istnienia realnego, względnie idealnego. Co do istoty — nie ma chyba wątpliwości, że charakter jej istnienia jest idealny.

[2] Rezygnujemy tu ze ścisłości Husserlowskiego terminu odnośnie do słowa: indywiduum. „Ein unselbstständiges Wesen heisst Abstractum, ein absolut selbständiges ein Konkretum. Ein Dies-da, dessen sachhaltiges Wesen ein Konkretum ist, heisst ein Individuum" (*Ideen*, s. 28).

[3] „Konkretum" ist ein selbstständiges Wesen" (Husserl, *Ideen* I, s. 29).

[4] Zgodnie z definicją Eislera (*Wörterbuch d. Phil. Begr.* III, s. 538—9).

[5] Husserl, *Logische Untersuchungen* I, s. 187; w *Ideen* tak określona jest istota: „Das im selbsteigenem Sein eines Individuums als sein Was Vorfindliche".

[6] Por. Pastuszka, *op. cit.* II, s. 99.

[7] Do teorii literatury nie należy rozpatrywanie istoty tragizmu, bo to sprawa filozofii w ogóle, lecz tragizmu w literaturze, humoru w literaturze etc.

dalej o istocie literackiej epopei, dramatu, liryki (dla skrócenia: istota epopei, dramatu — o ile samo określenie: epopea, dramat nie zostawia wątpliwości, że określenia te odnoszą się do literatury, bo mówi się niekiedy o dramacie muzycznym, o epopei napoleońskiej). I tak będziemy mówić o realizacjach istoty tragizmu w literaturze w związku z konkretami takimi, jak *Królem Edypem*, *Polyeucte'm*, *Konradem Wallenrodem* etc.; o realizacjach epopei w związku z *Iliadą*, *Panem Tadeuszem*, *Jerozolimą Wyzwoloną*. W związku z tym właśnie zastosowaniem uzasadnił Z. Łempicki pojęcie istoty w poetyce kreśląc zręby czystej poetyki, którą określił jako naukę o istocie czystych tworów[1].

Trzeba podkreślić, że poszczególne konkrety literackie mogą realizować wielorakie istoty literackie; np. *Konrad Wallenrod* realizuje istotę tragizmu w literaturze i istotę np. powieści poetyckiej.

Istoty literackie tworzą świat „istot czystych", świat eidetyczny literatury, który stanowi swoistą cząstkę świata eidetycznego w ogóle; przypominamy, że świat eidetyczny nie posiada charakteru ściśle metafizycznego, ale i logiczny, a wtedy istota oznacza to samo, co „pojęcie", „rodzaj", „gatunek"[2].

Zbadanie istoty konkretnych dzieł literackich należy do podstawowego działu badań nauki o literaturze: do charakterologii poszczególnych dzieł literackich. Istotą dzieła literackiego w ogóle i istotami literackimi zajmuje się teoria literatury.

Tak określony ogólnie zakres badań teorii literatury spotkał się częściowo z zakresem dawnych rozważań teoretycznych, ogarniających poetykę, retorykę, stylistykę etc.; nie może jednak teoria literatury — mimo „spotkania" się w zakresie z dawnymi rozważaniami teoretycznymi — zagarnąć wszystkich ich wyników, naróść na nich niby na korzeniach nowymi pędami; wspólne soki nie mogą po nich krążyć ze względu na wspomniane już poprzednio deformacje ich założeń. Trzeba dopiero zdobycze dawnych rozważań teoretycznych „przesortować", oczyścić z błędów, które w nie wniosła np. tendencja normatywna, rozumienie dzieła pod kątem psychologizmu etc., skonfrontować z tym, czego wymaga dzisiejsze rozumienie podstaw teorii literatury — i zagarnąć z nich to właśnie, co w nich wyrosło z właściwego wniknięcia w istotę dzieł literackich.

Pierwszym u nas badaczem, który ze spojrzenia na dzieło literackie oczyma fenomenologii wydobył nowe problemy dla

---

[1] Z. Łempicki, *W sprawie uzasadnienia poetyki czystej*, 1921, s. 10, pisze: „Jeśli fenomenologię określa Husserl jako opisową naukę o istocie czystych przeżyć, to eidologię, a więc poetykę, można by określić jako naukę o czystych tworach".

[2] Por. Pastuszka, *op. cit.* II, s. 99. J. Bennes, *Versuch einer Darstellung und Beurteilung der Grundlagen der Philosophie E. Husserls*, 1930, — za Pastuszką, tamże.

badania naukowego, był Z. Łempicki; w podstawowej dla naszych teoretycznych badań rozprawie: *W sprawie uzasadnienia poetyki czystej* określa zadania poetyki jako eidologii, czyli nauki o czystych tworach[1]. W ten sposób został zarysowany zasadniczy obszar dla nowej nauki, dla teorii literatury — obszar dotąd nieznany. Polska myśl badawcza potężnie pchnęła w nauce współczesnej sprawę teorii literatury dając na linii fenomenologicznego widzenia dzieła literackiego swój wkład w postaci prac Z. Łempickiego (por. np. artykuły jego pióra w *Reallexicon*) oraz książkę fundamentalną i ze swego punktu wyjścia chyba nie do obalenia: R. Ingardena *Das literarische Kunstwerk.*

Oczywiście każdy kierunek filozoficznego myślenia może ze swego punktu widzenia wyprowadzić zręby teorii literatury, swoiście określając jej przedmiot i zadania. Jeślibyśmy np. stanęli filozoficznie na gruncie nominalizmu — teoria literatury byłaby nauką o nazwach stosowanych w badaniach literackich. Wydaje nam się jednak, że jeśli wyjdziemy od literatury, a więc od strony najwłaściwszej dla jej teorii, postawić sobie będziemy musieli podstawowe dla teorii literatury pytanie o istotę i charakter dzieła literackiego; przy filozoficznym opanowywaniu tego zagadnienia spotkamy się z kierunkami filozofii, które — mówiąc kategoriami średniowiecznymi — stoją na gruncie realizmu; przede wszystkim z fenomenologią ze względu na postawione przez nią w nowoczesnej formie zagadnienie świata eidetycznego.

Wróćmy teraz do próby określenia przedmiotu, zadań i metody teorii literatury, nie jednak od strony problematyki czysto filozoficznej i w interesie przede wszystkim filozofii, jak czyni to R. Ingarden[2], lecz od strony problematyki wiedzy o literaturze.

II.

Zadaniem teorii literatury jest zbadanie istoty literatury, istoty dzieła literackiego i istoty jego życia, zbadanie poszczególnych istot literackich, sformułowanie praw, według których mocą konieczności zachodzą stałe związki pomiędzy poszczególnymi właściwościami istoty dzieła literackiego i pomiędzy poszczególnymi właściwościami istot literackich, pomiędzy nimi a konkretem literackim i konkretyzacją[3], oraz zbadanie i ustalenie swoistości świata eidetycznego literatury.

Wyszczególniamy literaturę i dzieło literackie, bo nie uważamy literatury za prostą pluralność w stosunku do konkretów literackich. Literatura w swej konkretnej rzeczywistości wbrew

---

[1] Z. Łempicki, *W sprawie uzasadnienia poetyki czystej*, Lwów 1921.

[2] R. Ingarden, *Das literarische Kunstwerk. Eine Untersuchung aus dem Grenzgebiet der Ontologie, Logik und Literaturwissenschaft*, 1931, s. VI.

[3] Terminem tym posługujemy się za R. Ingardenem, *Das literarische Kunstwerk*, s. 343 nn. i *O poznawaniu dzieła literackiego.*

utartym poglądom[1] — to **nie tylko zbiór** konkretów literackich[2], ale także pewna **rzeczywista jedność**, pewna **całość** o sobie tylko właściwym rytmie życia i o sobie tylko właściwych cechach. Czy mówimy o konkretnej literaturze en bloc, czy też o konkretnej literaturze pewnego typu czy pewnego okresu, nie pojmujemy jej jako sumy tylko pewnej ilości konkretnych dzieł literackich, lecz pojmujemy ją także jako pewną rzeczywistość ich relacyj, faktycznych zależności, wzajemnych powiązań, które robią z niej jednolitą całość o swoistych cechach, nową wartością, a nie tylko sumą wartości poszczególnych konkretów literackich, zdolną zaważyć w całokształcie kultury; sprawa ta nie jest właściwie rozpatrzona teoretycznie; nasuwałoby się tutaj mnóstwo zagadnień; np. jaki zachodzi stosunek **konkretnej literatury** (jako jedności i całości) do wchodzących w jej skład **konkretnych dzieł literackich**. Równie silnie np. określa literaturę romantyczną związek człowieka z przyrodą, prawie żadnemu dziełu tej epoki nieobcy, jak bunt człowieka przeciw rzeczywistości — przejawiający się nie we wszystkich dziełach literatury romantycznej, ale za to przejawiający się w nich w sposób wybitnie silny. Tutaj znów wartość artystyczna konkretnego dzieła literarackiego, jego wpływ, związek z innymi dziełami i charakter tego związku mogą zadecydować o jego stosunku do konkretnej literatury, której jest cząstką.

Pomiędzy istotą literatury a jej zrealizowaną[3] rzeczywistością, „konkretem literatury", zachodzi analogiczny związek i stosunek jak pomiędzy istotą dzieła literackiego a konkretnym dziełem literackim. Odnosi się to do istoty literatury w stosunku do konkretnej literatury jako całości, jak i do istoty jakiejś wyodrębnionej przez myśl badawczą jej części, która stanowi pewną rzeczywistą całość[4], do realizującego ją konkretu (np. istota literatury romantycznej, mieszczańskiej, kobiecej etc.).

---

[1] Narost tradycji w takim rozumieniu literatury widzimy z przeglądu określeń literatury, które zestawia i omawia K. Wóycicki, *Historia literatury i poetyka*, Warszawa 1914. s. 2 nn.

[2] J. Kleiner obok literatury jako sumy konkretnych dzieł literackich odróżnia „literaturę w pełnym znaczeniu", którą „stanowią dzieła, które uniezależniły się od toku historii literatury, usamoistniły się, oderwały od antecedencyj od wszelkiego otoczenia i okazały zdolność trwałego życia pomimo przeminięcia owej atmosfery duchowej, co towarzyszyła ich kształtowaniu" (*Historyczność i pozaczasowość w dziele literackim. W kręgu Mickiewicza i Goethego*, 1938, s. 246).

[3] Przez „realizowanie" rozumiemy: stawanie się konkretną rzeczywistością czy to konkretnej literatury, czy konkretnego dzieła literackiego. Jest to więc odmienne znaczenie niż to, w którym posługuje się określeniem „Realisation" W. Conrad, mający na myśli to, co nazywamy konkretyzacją. (*Der ästhetische Gegenstand. Ztschrft f. Ästhetik* Bd. III—IV, s. 480).

[4] J. Kleiner omawia owo logiczne konstruowanie całości w obrębie literatury — zwracając uwagę właśnie na konkretną **rzeczywistość owych całości**; istnieje np. literatura polska, czeska, nie istnieje literatura słowiańska etc. Por. *Konstruowanie całości i ocena w badaniach historyczno-literackich* (*W kręgu Mickiewicza i Goethego*, s. 259).

Obok badań nad istotą literatury do przedmiotu badań teorii literatury należy rozpatrzenie istoty dzieła literackiego. To jej zadanie było zresztą zawsze — nawet przy innym rozumieniu zakresu i celu badań teoretycznych — wysuwane na pierwszy plan. Rozbieżność budziło tylko samo ujęcie dzieła literackiego.

Uświadomienie sobie istoty dzieła literackiego jest zresztą bardzo trudne. Najczęściej nawet badacz literatury przemilcza w sobie te trudności, godzi się niejako z niejasnościami; postępuje z pojęciem dzieła literackiego podobnie jak np. zoolog, który zwierzęta opisuje, klasyfikuje — nie stawiając sobie pytania, czym jest w istocie zwierzę. Przy próbach sformułowania istoty dzieła literackiego występują najczęściej dwa błędy: zbytnie zwężenie lub zbytnie rozszerzenie zakresu pojęcia. Ze względu na konsekwencje w rozważaniach teoretycznych i badaniach literackich *stricto sensu* błąd drugi wydaje się mniej niebezpieczny.

My określilibyśmy dzieło literackie jako twórczą manifestację życia poprzez słowo[1]. Sformułowaniem tym przeciwstawiamy się zacieśnieniom zakresu badania, które pozornie tylko ograniczają i ustalają przedmiot badania[2], bo odrzucają poza jego ramy i zasięg — zjawiska istotne. Przez sformułowanie to omijamy tradycyjny podział na dzieła „literackie“ i „nieliterackie“, czyli takie, którymi się badanie literackie zasadniczo zajmuje i zasadniczo nie zajmuje.

Przypominamy, że kwestia „literackości“ w dwojakim sensie, w jakim ją ujmuje rozumienie potoczne: a) „literackość“ dzieła, bo autorowi przyświecał specyficzny cel: budzenie nim postawy estetycznej odbiorców, b) „literackość“ dzieła jako pozytywna ocena jego osiągnięć artystycznych[3] — wiąże się tylko

---

[1] „Dichtung ist Kunst durch die Sprache“ powiada J. Pfeiffer, *Umgang mit Dichtung*, 1926, s. 9.

[2] Pozornie, bo bliższe teoretyczne rozpatrzenie jak i praktyka badawcza wskazuje na wielką ilość „przypadków granicznych“, które chociaż nie mieszczą się w pojęciu dzieła literackiego, przecież domagają się (czasem lub zawsze), przynajmniej częściowo, analogicznego traktowania badawczego jak dzieło literackie. Por. omówienie „wypadków granicznych“ u R. Ingardena *Das literarische Kunstwerk*, s. 326; należałoby — biorąc rzecz od strony tworów wyrażonych nawet tylko słowem — upomnieć się o szereg innych jeszcze zjawisk, według tych założeń „z pogranicza literatury“, jak np. list, reportaż etc.

[3] Uważa się za dzieło literackie np. każdą balladę, nawet w osiągnięciach artystycznych słabą, bo przy powstaniu jej — w samym założeniu napisania ballady — przyświecał autorowi zamiar budzenia utworem postawy estetycznej odbiorców. Z drugiej strony o przynależności do literatury np. listów Marianny d'Alcoforado decyduje ich wysoka wartość artystyczna. — Rozpatrywałam to zagadnienie w rozprawie *O pojęciu literatury stosowanej (Szkice z zakresu teorii literatury)*. Potem na podobnym stanowisku stanął prof. Abercrombie, *Principles of Literary Criticisme* w dziele zbiorowym *An Outline of modern Knoledge;* mówi o tym M. Kridl (*op. cit.* s. 43) — reprezentując zresztą poglądy przeciwne.

ze sferą konkretnych dzieł literackich, nie zaś ze sferą istot literackich. Nie można mówić o wartościach literackich np. istoty tragizmu w literaturze; posiadać je może dopiero realizacja w konkretnym dziele literackim. Mówiąc o istocie epopei jesteśmy zupełnie daleko od jakichkolwiek wartościowań estetycznych, które są jedynie możliwe w zakresie konkretnych dzieł literackich[1]; wartościowanie rodzajów literackich znała dawna poetyka normatywna (np. Boileau), a nawet błąd ten zjawił się u Lacombe'a.

Każda istota literacka ma swoistą dynamikę ku realizacjom artystycznym. Przecież swoistą rangę, charakter w świecie eidetycznym wykreśla istotom literackim właśnie to, że zasadniczo mają możność realizacyj w konkretach pięknych; ale mogą się i realizować w konkretach literackich o różnym natężeniu osiągnięć artystycznych, aż do konkretów, którym tych osiągnięć pozytywnych w ogóle odmówimy[2].

Istota komedii zrealizuje się w artystycznie świetnych *Ślubach panieńskich* jak i w utworach zostających tylko w bibliografii lub kronice teatralnej, w utworach bez walorów artystycznych.

Tak więc w odniesieniu do istot literackich i ich stosunku do realizacji w konkrety literackie, wprowadzenie pojęcia „literackości" i „nieliterackości" jest zbędne.

Z drugiej strony — jeśli popatrzymy w sferę konkretów literackich — zauważymy, że ich wartości artystyczne, sprawdzone ich zdolnością budzenia postawy estetycznej — burzą nasze pojęcia o tradycyjnym grupowaniu konkretów w grupę dzieł „literackich" i dzieł „nieliterackich".

Przecież wspomniane listy Marianny d'Alcoforado budzą naszą postawę estetyczną, chociaż tradycyjnie poetyka eliminowała zwykły list jako rodzaj ze swoich rozważań. Nikt również nie zaprzeczy pięknu Summy Filozoficznej św. Tomasza z Akwinu, bo dziś jest rzeczą oczywistą, że zwartość kompozycji logicznej, złańcuchowanie przejrzystych argumentów, dynamiczny rozkład zdań, ekspresja słowa trafnego i skutecznego, jasnego i przejrzystego, budzi postawę estetyczną nie mniej niż bogactwo fabuły, jej swoista motywacja, obrazowość, technika figur i tropów etc. Tak więc pięknym może być albo nie być zarówno dramat, epopea jak list, artykuł w czasopiśmie, dzieło naukowe.

W sferze konkretów literackich wartość artystyczna może być momentem rozróżniającym, grupującym etc. Natomiast — powtarzamy raz jeszcze — jest ona obca sferze istot literackich. Nie ma więc powodu wprowadzać ją w jakiekolwiek podziały

---

[1] Zwraca już uwagę na to zagadnienie K. Wóycicki w rozprawie *Historia literatury i poetyka*, 1914.

[2] Powstanie tu zawsze trudna kwestia oceny, która wymaga wielkich ostrożności w traktowaniu teoretycznym i praktycznym.

teoretyczne, np. czynić z niej zasadę podziału w teorii rodzajów, poetyce (która np. tradycyjnie grupuje rodzaje na literackie i nieliterackie przeciwstawiając z tego względu poetykę — retoryce etc.).

Rozważając stosunek poszczególnych istot literackich do realizujących je konkretów literackich niesposób jednak przeoczyć, że osiągnięcia artystyczne, zawsze możliwe, przecież w odniesieniu do niektórych istot literackich leżą jakoby bardziej w ich naturze; możliwość wartości artystycznej konkretnego dzieła naukowego mniej tkwi w samej istocie dzieła naukowego niż np. wartość artystyczna konkretnej epopei w samej istocie epopei. To zjawisko określilibyśmy jako cechę różnej dynamiki istot literackich ku realizacjom w konkretach artystycznie wartościowych. Ze względu na ową cechę odróżniliśmy swego czasu „literaturę czystą“ od „literatury stosowanej“[1].

Są to już jednak sprawy tyczące dalszego wnikania w istoty poszczególnych rodzajów literackich.

Jeśli określamy dzieło literackie jako twórczą manifestację życia poprzez słowo — to unikamy tu na rzecz pojęcia życia wysunięcia w fakcie twórczości jedynie roli i znaczenia samego twórcy, sugerując także istnienie sił twórczych ponadindywidualnych; bo jak pięknie wywiódł Z. Łempicki[2] (budując koncepcję stylu dynamicznego): „osobowość twórcza jest jak gdyby punktem przenikania sił indywidualnych i duchowych. W tym właśnie tkwi istota „osobowości“ twórczej, że pozostaje ona pod naporem sił duchowego kosmosu... Największy twórca ulega ponadosobowym siłom w dziedzinie kształtu, pewnym prawom i normom...“ „Dzieło sztuki i jego styl jest więc nie tylko czymś „chcianym“, a więc zamierzonym, lecz czymś, co twórca musi, co jest jego losem“.

Dalej w określeniu: twórczy — stwierdzamy nie tylko swoistość źródeł dzieła literackiego[3], ale — pośrednio — i jego odrębność od wszelkich innych zjawisk „zastanych“, istniejących poprzednio, oraz moment organizacyjny, moment konstrukcji nowej rzeczywistości, właśnie rzeczywistości danego dzieła literackiego — na prawach swoistego ładu. W pojęciu manifestacji mieścimy rozumienie dwojakiego charakteru dzieła literackiego: jako przejawu, jako ostatecznego ogniwa pew-

---

[1] Stąd dla teorii wynikałaby konieczność rozpatrzenia dynamiki ku realizacjom w konkrety artystycznie wartościowe takich np. istot, jak istoty listu, istoty dzieła naukowego, istoty reportażu etc. Dla właściwych badań literackich wynikłaby konieczność zbadania walorów artystycznych takich konkretnych zjawisk (oddawanych dotąd badaniom kultury), jak np. epistulografia Mickiewicza, Krasińskiego, Descartes'a *Rozprawa o metodzie*, reportaże z Hiszpanii K. Pruszyńskiego.

[2] Z. Łempicki, *Zagadnienie stylu*, 1937, s. 20—21 — por. także tegoż autora *Idea i osobowość w historii literatury* (Pam. Lit. t. XVII—XVIII).

[3] Nie tu miejsce na bliższe rozpatrywanie sprawy tzw. „natchnienia“.

nego procesu stawania się, o którym pamiętamy, jako wyrazu ukrytej rzeczywistości i jako swoistej, autonomicznej rzeczywistości.

Mówiąc o materiale słowa podkreślamy tu podstawową cechę dzieła literackiego — cechę — która stanowi o tym, że dzieło sztuki jest dziełem literackim, a nie dziełem malarskim czy muzycznym; posługując się wyrażeniem: „poprzez słowo“ zaznaczamy, że słowo od charakteru materiału podnosi się ku godności wyrazu przez wartości tkwiące w nim, a także poza nim samym[1]. Możliwości ekspresyjne słowa tkwią zarówno w dynamice słowa jak i w dynamice osobowości twórczej i sił ponadosobowych, z którymi osobowość walczy[2]. Jednym słowem pragniemy stwierdzić, że twórczość literacka to nie technika słowa, jakby wynikało np. z sugestii formalisty Tomaszewskiego.

Celowo w określeniu dzieła literackiego mówiąc o słowie pomijamy tradycyjnie wrośnięte w pojęcie literatury jego określenie jako słowa pisanego. Oderwanie dzieła literackiego od tekstu, tak nieodłącznego w pojęciu filologa, wydaje się nam konieczne ze względu na ogarnięcie zakresem literatury szerszego kręgu zjawisk, np. takiego zjawiska jak improwizacja[3]. Dalej ze względu na to, że właściwie nie tekst tworzy dzieło literackie, którego charakter jest w zasadzie oralny. *Iliada* przez długie wieki skandowana ustami rapsodów nie mniej była dziełem literackim niż wtedy, kiedy ją utrwalono pismem.

Zdajemy sobie sprawę, że określenie dzieła literackiego jako twórczej manifestacji życia poprzez słowo — wybiega bardzo silnie poza potoczne i tradycyjne pojęcia. Przede wszystkim uderza tym, że zagarnia w przedmiot badań literackich ogromną ilość zjawisk. Tak więc wchodziłoby w jego zakres nie tylko takie zjawisko jak list czy kazanie, ale takie jak formuła prawna czy dekalog. Co więcej: można by się zapytać, czy domaga się rozważań estetycznych biblijne: Stań się — czy Chrystusowe: Wypełniło się[4].

Nasza odpowiedź potwierdzająca, zgodna może z postawą Herdera czy Hamanna — zgorszy jednak dzisiejsze odczucie tych zagadnień. Sądzimy jednak, że przyczyną tego jest zakorzenia-

[1] Z. Łempicki powiada: „W poezji dynamicznej charakter posiada już przede wszystkim sam materiał, którym jest język. Ten materiał nie jest materiałem biernym, jak np. glina, którą rzeźbiarz ugniata. Zyskuje on na sile i wyrazie nie dopiero dzięki tchnieniu poety. Ten materiał ma już w sobie pewną siłę i pewien kształt, zanim poeta weźmie się do jego obróbki“ (*Zagadnienie stylu*, 1937, s. 17); J. Kleiner znów mówiąc o sile wyrazu, jaką daje słowu twórca, stwierdza, że „w odczuciu słowa nie istnieje — anonimowość“ (*Historyczność i pozaczasowość w dziele literackim. W kręgu Mickiewicza i Goethego*, s. 252).

[2] Zasadnicza teza rozprawy Z. Łempickiego, *Zagadnienie stylu.*

[3] Por. moją rozprawę o istocie improwizacji w zbiorze *Szkice z zakresu teorii literatury.*

[4] Prof. J. Kleiner wysuwa tę konsekwencję jako poważną trudność.

jące się coraz bardziej pejoratywne odczucie pojęcia: literatura[1]. Z pojęciem literatury łączy się coraz częściej pojęcie sztuczności, fikcji, po prostu kłamstwa, oddalenia od prawdy i życia. Gdy jednak uwolnimy się od sugestii pejoratywnej interpretacji literatury, nie wyda się nam ani nonsensem, ani bluźnierstwem rozpatrzenie wartości literackich *Modlitwy Pańskiej* i zagarnięcie jej jako twórczej manifestacji życia poprzez słowo w krąg przedmiotu badania literackiego. Przecież jest ono także dziełem sztuki — jeśli nie odczuwamy potrzeby przeciwstawiania literatury sztuce, a sztuki — życiu. Na poparcie naszych twierdzeń przytoczymy sąd Zygmunta Łempickiego[2], kiedy powiada: „Poezja jest nie tylko sztuką, albo raczej literatura jest tylko o tyle sztuką i przez to sztuką — tak zauważono — że jest interpretatorką życia. Literatura w głębszym i najgłębszym tego słowa znaczeniu jest nie tylko odbiciem życia, ale i pewną próbą podbicia go, narzucenia mu pewnej formy i pewnej treści, którą antycypuje w formie ideału rzeczywistości. Wielka poezja i prawdziwa literatura jest duchowym naczyniem idei, mocy kształtujących rzeczywistość duchową. Jest nią nie przez to, że idee ubiera w słowa i podaje do wiadomości, ale przez to, że je na drodze artystycznej wyładowuje i sprawia, że mogą one oddziaływać na czytelników czy widzów".

Jeśli w określenie przedmiotu teorii literatury wprowadzamy badanie istoty życia dzieła literackiego — to nie dlatego, byśmy chcieli zagarnąć tutaj ten zakres przedmiotu, który przynależy do badań socjologii dzieła literackiego, bo mówimy o sprawach z gruntu różnych.

Przez istotę życia dzieła literackiego rozumiemy właściwość o charakterze energetycznym istoty dzieła literackiego, a) mocą której istota realizuje się w konkretach literackich, b) która sprawia, że konkrety w zależności od istoty dzieła literackiego (czy istot literackich), które realizują — kształtują się w większej czy mniejszej ilości takich czy innych jakościowo konkretyzacyj, c) mocą której dzieło literackie wpływa na ukształtowanie rzeczywistości pozaliterackiej. Jeśli np. będziemy mówić o istocie hymnu państwowego, zainteresuje nas jej moment dynamiczny, jej życie, które a) sprawia, że realizuje się ona np. w Marsyliance, Marszu Dąbrowskiego etc.[3], b) które poprzez poszczególne konkrety decyduje o pewnych jakościach ich konkretyzacyj (np. odnośnie do każdego z konkretnych hymnów państwowych — obok konkretyzacji estetycznej występuje jako typowa konkretyzacja, w której odbiorca

---

[1] Por. Z. Łempicki, *Literatura, poezja, życie*, Warszawa 1936.

[2] Tamże, s. 14—15.

[3] W danym przykładzie trzeba stwierdzić ciekawą właściwość życia stoty, że realizacje są ilościowo ograniczone. I to właśnie, że konkretne hymny państwowe można po prostu wyliczyć — należy do właściwości życia istoty hymnu państwowego.

znajduje poparcie dla swego dobrego samopoczucia obywatelskiego etc.), c) które decyduje o pewnym kierunku, w jakim realizujący ją konkret poprzez konkretyzacje kształtować będzie rzeczywistość pozaliteracką (np. istota hymnu państwowego sprawia, że Marsylianka czy Marsz Dąbrowskiego stają się pobudką do pewnego rodzaju czynów, że oficjalne ich słuchanie wymaga pewnej określonej postawy etc.).

Oczywiście to życie, będące właściwością istoty dzieła literackiego (i istot literackich), które ma zbadać teoria literatury, jest inną energią od życia (momentu dynamicznego) poszczególnych konkretów literackich, których zbadanie należy do właściwych badań literackich, bo tyczy się charakterystyki konkretnych dzieł literackich. Do charakterystyki np. Trylogii Sienkiewicza należy określenie jego życia w kształcie jego siły „krzepiącej serca".

Trzeba także nadmienić, że w istocie konkretnego dzieła literackiego tkwią energetyczne własności — które decydują o ilości i jakości jego konkretyzacji. Nie jest bowiem tylko sprawą istoty dzieła literackiego, dalej sprawą indywidualną odbiorców czy nastawienia tzw. „ducha czasu" powstawanie różnych konkretyzacyj dzieła. Pewne faktyczne właściwości danego konkretnego dzieła decydują o „życiu" dzieła w konkretyzacjach i wymagają analizy i ustalenia na gruncie naukowej charakterystyki tego dzieła.

Podkreślamy to — jakby na marginesie właściwych zagadnień, bo cały ten problem na gruncie badań literackich miałby kolosalne znaczenie dla ich oceny. Wbrew bowiem pozorom, że różność rozumienia świadczy o niejasności, która jest błędem, trzeba stwierdzić, że w poezji mnogość konkretyzacji świadczy o bogactwie konkretnego dzieła, o jego energii, o jego właściwości, wywołującej bogate asocjacje, a to stanowi zaletę poezji[1]. Im bardziej konkretne dzieło literackie zbliża się do typu arcydzieła, tym mocniej odbija się w różnorodności konkretyzacyj[2]. Tym bardziej więc należałoby te energie określić, uchwycić poznawczo w obrębie istoty danego konkretnego dzieła literackiego, — zbadać jądro życia istoty danego konkretnego dzieła.

Inną znowu energią, której istotę ma zbadać socjologia dzieła literackiego, jest życie konkretyzacyj[3]; tutaj np. nasuną się takie pytania: dlaczego pewne konkretne dzieło wpływa

---

[1] Hans Larson, *La Logique de la poésie*, Paris 1919.

[2] Nigdy nie kwestionowano piękna *Pana Tadeusza* — a dzieło to jest arcybogate w konkretyzacje (żeby wspomnieć diametralne prace: J. N. Millera *Ziemia z Grenady* i J. Kleinera *O Panu Tadeuszu jako książce budującej*). Słowackiego dzieło *W Szwajcarii* jest zadziwiająco bogate w przeróżne konkretyzacje.

[3] O charakterze życia dzieła literackiego w konkretyzacjach mówi R. Ingarden (*Das Literarische Kunstwerk*, s. 360 i dalej).

na odbiorcę tak lub inaczej, dlaczego i jakie wywołuje zjawiska kulturalne w rzeczywistości pozaliterackiej (np. mania samobójstw jako skutek *Wertera* Goethego, masa powołań nauczycielskich jako skutek *Siłaczki* Żeromskiego itd.).

Zespolenie założeń socjologii dzieła literackiego i badań historycznych daje podłoże badaniom fenograficznym[1].

Wreszcie wprowadziliśmy w zakres zadań teorii literatury badanie związków, które mocą konieczności zachodzą pomiędzy istotą, konkretem dzieła literackiego i jego konkretyzacjami. Do teorii należy tylko zbadanie związków koniecznych, tych, bez których nie może zajść fakt realizacji istoty dzieła literackiego i istot literackich w konkrety literackie. Teoria literatury powinna także orientować się w związkach teoretycznie możliwych pamiętając jednak o tym, że niewyczerpanego bogactwa możliwości nie zamknie się nigdy skończonym kręgiem przewidywań, bo nie załatwi tego ani badanie empiryczne, biorące za punkt wyjścia tylko nie wystarczający świat konkretów, ani w sposób wyczerpujący myślenie spekulatywne. Rozważania teoretyczne mają swoją pełną wagę nie tylko odnośnie do wszystkich istniejących konkretnych dzieł literackich, ale i do wszystkich, jakie kiedyś powstaną.

Pewne cechy konkretu literackiego w tej mierze, w jakiej jest on realizacją pewnej istoty literackiej, mogą być wyrazem jednej możliwości, jaka leży na linii procesu realizacyjnego (np. forma dialogowana jako cecha *Sędziów* Wyspiańskiego jest jedyną możliwością przy realizacji w konkret literacki istoty dramatu scenicznego); mogą jednak być pewne cechy konkretu literackiego jednym z możliwych wyrazów istoty literackiej, którą dany konkret realizuje, np. istotę literacką tragizmu w literaturze inaczej realizuje *Lilla Weneda*, inaczej nowela Prusa *Kamizelka*[2] — innymi cechami konkretnych dzieł literackich przejawi się tu i tam istota tragizmu w literaturze.

Konsekwencją rozpatrzenia tych wszystkich związków będzie sformułowanie praw, które zachodzą pomiędzy światem eidetycznym literatury[3], światem istot literackich a realizującym go światem konkretów literackich i ich konkretyzacyj.

Tak więc ośrodkiem badań teorii literatury jest we wszystkich kierunkach jej przedmiotu — zbadanie istoty rzeczy. Oczywiście: charakter badania jest równie trudny, jak trudne jest

---

[1] Por. J. B. Richter, *Zagadnienie biografii współczesnej*.

[2] Nie idzie tu oczywiście o odmienność tematu, ale o odmienną budowę tematu w tej mierze, w jakiej jeden i drugi realizuje w konkrecie tragizm. (Stosunek bólu do winy — jej niezrozumienie przez bohaterów lub jej nieobecność).

[3] Przypominamy raz jeszcze: w obrębie świata eidetycznego, świata istot rzeczy (jak nazywa Husserl: Wesen, Essenz, Idee) wykreślamy świat eidetyczny, związany z rzeczywistością zjawisk literackich, świat eidetyczny literatury.

samo ujęcie świata eidetycznego i określenie charakteru jego rzeczywistości. Toteż nic dziwnego, że postawienie tej sprawy jest tak późne.

Trzeba podkreślić, że specjalnych badań wymaga poznanie rzeczywistości poszczególnych istot literackich. Jeśli np. mówimy o istocie tragizmu w literaturze, powstają pytania o charakter w niej momentu bolesnego do momentu winy, uświadomionej czy nieuświadomionej etc. Przypomnieć przy tym trzeba, że nie idzie tu, w badaniu istot literackich, o ustalenie tylko pewnych terminów naukowych, które są rzeczą umowy, a które wynikną jako praktyczna konsekwencja, gdy spełnimy właściwe zadanie: poznanie rzeczywistości poszczególnych istot literackich. Odmiennie bowiem zupełnie przedstawia się nasz stosunek do zadania badawczego, jeśli mamy poznać pewną rzeczywistość (tutaj, jeśli mamy poznać poprzez zjawiska konkretów literackich istoty literackie, zrealizowane przez te konkrety), a inaczej, jeśli dla poznania pewnej konkretnej, empirycznej rzeczywistości (np. określonego konkretu literackiego) tworzymy pewne logiczne pojęcia bez przeświadczenia, że to są nazwy pewnych obiektywnych rzeczywistości. W przykładzie: inna jest nasza praca badawcza i zupełnie inny jej przedmiot, jeśli za pośrednictwem *Pana Tadeusza*, *Iliady*, *Mahabharaty* etc. staramy się poznać istotę epopei, a zupełnie inna, jeślibyśmy tworzyli termin np. epopei, potrzebny w badaniu literackim jako skrót umowny dla wyrażenia pewnej ilości cech, bez poczucia, że to nazwa pewnej rzeczywistości obiektywnej.

Oczywiście tylko badanie pierwszego typu prowadzi nas do poznania i ustalenia świata eidetycznego[1] literatury, świata o swoistej rzeczywistości, o swoistej energii, o swoistych właściwościach, świata rządzonego „swoistymi prawami[2], spełniającego właściwą sobie rolę w rzeczywistości".

Nie człowiek decyduje tu swoją wolą o istnieniu i jakościach tego świata: człowiek tylko poznaje rzeczywistości niezależne od siebie, ponadczasowe. A nawet przeciwnie: świat eidetyczny literatury panuje nad człowiekiem, nad twórcą-literatem i nad literacką twórczością; człowiek tutaj podlega jego musowi; jest więc w pewnej mierze ten świat jego losem. Żaden konkret literacki nie może nie przejawić pewnych istot literackich, żaden twórca nie może się uchylić od musu realizacji w konkretach przez siebie tworzonych istot literackich. Nie ma

[1] W. Ziegenfuss (*Die phänomenologische Aesthetik*, s. 43), który wyszedłszy z fenomenologii i właściwie przeciwstawiając się jej — przeczy istnieniu świata eidetycznego („Es gibt kein Reich absoluter Wesen..."), ale stwierdza w człowieku popęd do ujęcia istotności. To jego zdaniem należy do fenomenologicznego poznania w ramach opisowej psychologii.

[2] Husserl, *Logische Untersuchungen* I, 186 — ujmuję to za Pastuszką (*op. cit.* I, 98).

np. konkretu literackiego, który by nie zrealizował istoty któregoś rodzaju literackiego[1].

Przedmiot więc badania teorii literatury jest — jak widzimy — bardzo obszerny, niesłychanie bogaty w zagadnienia wszelkiego typu; bardzo w swym charakterze swoisty. Wyrasta on poza sferę badań literackich nie tylko odmiennym obszarem zagadnień; tu świat eidetyczny literatury, tam świat konkretów literackich, jako dwie sfery różne, a równouprawnione wobec badania; także odmiennym celem, który jego badaniom przyświeca, a w konsekwencji i odmiennymi metodami badania.

III.

Przechodzimy teraz od ustalenia i określenia zadań i przedmiotu teorii literatury do zagadnienia jej metody.

Z góry zaznaczamy, że metoda tutaj nie tylko jest swoista, co jest oczywiste, bo metoda musi być uzależniona od charakteru przedmiotu, ale — co się z tym charakterem wiąże — i bardzo trudna. Wobec przedmiotu teorii literatury jako przedmiotu badania jesteśmy w położeniu człowieka, *si licet comparare*, który by miał dociekać istoty duszy mając tę duszę tylko w powłoce ciała i który by pragnął osiągnąć swój cel nie przez pewne aprioryczne założenia nadbudowane konstrukcją rozumowań, lecz który by chciał zbliżyć się do jej istoty poprzez jej przejawy udostępnione za pośrednictwem ciała. Metoda istotnie trudna, z góry powiedzmy — nieosiągalna przez samą wprawę; metoda, która jest sztuką, nie techniką; metoda na wskroś arystokratyczna[2].

Jeśli we wszelkim badaniu literackim ogromną i wyprzedzającą inne momenty badawcze rolę odgrywa intuicja[3], to w badaniach teorii literatury jest ona podstawą jej metody i warunkiem skuteczności[4] w całym przebiegu pracy badawczej. Intuicja, zgodnie ze swym sensem etymologicznym, jest tu widzeniem. Widzeniem „wewnętrznej rzeczywistości“, bo istoty literackiej ukrytej poza powłoką rzeczywistości innej, rzeczywistości danego konkretu literackiego. Widzeniem istoty literackiej we wnętrzu jakoby rzeczywistości konkretnego literackiego dzieła. Intuicja — widzenie wewnętrzne — odsłoni całość istoty, jej związanie wewnętrzne poszczególnymi wartościami, jej skompliko-

---

[1] Podkreśla ową zależność twórcy od kategorii rodzajowych Z. Łempicki, *W sprawie uzasadnienia poetyki czystej;* badacz ten wielokrotnie podkreśla zależność twórcy od sił duchowych, ponadosobowych (np. *Zagadnienie stylu*, s. 20).

[2] Tak to ujmuje także M. Geiger, *Zugänge zur Aesthetik*, *Phänomenologische Aesthetik*.

[3] Po raz pierwszy postawił to tak wyraźnie J. Kleiner, *Studia z zakresu literatury i filozofii*, Warszawa 1925, Analiza dzieła, s. 155.

[4] „..attitude qui consiste à regarder le monde des objets, mais à négliger l'existence individuelle pour s'arrêter uniquement à l'essence...“ objaśnia teorię Husserla Levinas, *op. cit.* s. 70.

waną dynamiczność. Bez zdolności „wewnętrznego widzenia", bez umiejętności uzyskania punktu obserwacyjnego jakoby od „wnętrza dzieła" — ryzykuje praca badawcza przy najmniejszej pomyłce np. zatratę z pola widzenia badanej istoty literackiej. Pomieszać się mogą cechy danego konkretu literackiego z tym, co przynależy do istoty literackiej zrealizowanej przez dany konkret.

I tak np. rozpatrując poprzez *Lilie* Mickiewicza istotę ballady romantycznej — musimy w „widzeniu" ogarnąć to wszystko, co należy do istoty ballady romantycznej, a nic ponadto. Taki np. moment jak „obraz" duchowy bohaterki jest cechą danego utworu, właśnie *Lilii* Mickiewicza — nie jest zaś cechą ballady romantycznej.

Intuicja daje rozglądnięcie się w przedmiocie badania, daje jego „widzenie" — ale wyodrębnienie wszystkich jego cech, potem ustalenie ich wzajemnego związku, złożenie ich w całość pojęciową adekwatną przedmiotowi badanemu — to dalsze zabiegi w badaniach teorii literatury, właściwe każdej pracy naukowej. Intuicja nie przeciwstawia się tu postawie badającego rozumu: poprzedza ją, towarzyszy jej, daje jej warunki skutecznej pracy, a gwarantując właściwe ogarnięcie przedmiotu — prowadzi do osiągnięć poznawczych, do stwierdzenia prawdy[1].

Punktem wyjścia dla badań teorii jest pojedyncze dzieło literackie; w każdym bowiem konkretnym dziele literackim realizuje się w pełni pewna istota czy pewne istoty literackie; nie ma tu cząstkowości; konkretne dzieło literackie może realizować lub nie np. istotę tragizmu w literaturze; ale nie może jej realizować „trochę", połowicznie. Istota np. tragizmu w literaturze, jak powiada M. Geiger[2], znajduje pełne zrealizowanie w każdej konkretnej tragedii. Każdy konkret jest jakoby przejrzysty; można przezeń dojrzeć całość istoty literackiej czy istot literackich, które ów konkret realizuje. Owo rozumienie pełnej realizacji istoty literackiej w pojedynczym konkrecie, owo oparcie się w badaniu przede wszystkim o pojedynczy konkret — jest zatem dalszą właściwością w badaniach teorii literatury.

---

[1] „La théorie de l'intuition de Husserl ne veut donc pas combattre la portée de la raison discursive logique (analytique on synthétique) en lui opposant une méthode intuitive; elle ne veut pas, non plus, affirmer la nécessité de s'arrêter dans la série des déductions, ni affirmer l'existence de vérités évidentes par elles-mêmes, car pareille affirmation ne s'attaquerait pas à l'essence même de la vérité; elle continuerait à voir, dans la déduction, l'élément essentiel de la raison, en définissant d'une façon purement négative les vérités qui ne doivent pas être prouvées. Husserl a cherché le phénomène premier de la vérité et de la raison et il l'a trouvé dans l'intuition comprise comme l'intentionalité qui atteint l'être, il l'a trouvé dans la „vision", dernière source de toute assertion raisonnable" (Levinas, *op. cit.* s. 134—5).

[2] M. Geiger, *Zugänge zur Aesthetik*, 1928, *Phänomenologische Aesthetik*, s. 145.

Obok intuicji i zabiegów analizujących i syntetyzujących konieczne są w badaniach teorii literatury i pewne elementy metody historycznej. Ponieważ istota literacka pozajednostkowa, powszechna, wciela się w różne konkrety, nie można pominąć przeglądu owych konkretów, badawczego przeniknięcia ich wielości. Jest to potrzebne także dlatego, aby wszystkich cech danego, pewnego konkretnego dzieła literackiego, które obraliśmy za podstawę badania, nie przypisać istocie literackiej, którą realizuje, aby np. cech ballady Bürgerowskiej nie przypisać istocie ballady w ogóle. Idąc dalej: wgląd np. w ballady końca XVIII wieku i pierwszej połowy XIX w. da poznać istotę ballady romantycznej; zestawienie ballad od średniowiecznych po dzisiejsze wstrzyma badacza — z jednej strony od przypisania istocie ballady cech ballady pewnego okresu, z drugiej — pozwoli na określenie wspomnianych powyżej przy omawianiu istot literackich możliwości realizacyjnych danej istoty literackiej, możliwości, które realizując się wielorako kolejno, dają nieraz złudę ewolucji danej istoty literackiej (najwidoczniejsze to w sprawie tzw. „ewolucji rodzajów literackich"). Dopiero przegląd na linii historycznej konkretów literackich, realizujących rozmaicie możliwości pewnej istoty literackiej, da wgląd w bogactwo możliwości procesów realizacyjnych danej istoty literackiej — a bogactwo to da podstawę do określenia dynamiki realizacyjnej danej istoty.

Słusznie omawiając podstawy fenomenologicznej metody w teorii literatury podkreśla M. Geiger jako jedną z jej trudności[1] b r a k o b i e k t y w n y c h s p r a w d z i a n ó w dla trafności zdobytych twierdzeń; słusznie także podkreśla, że nie oznacza to bynajmniej ich subiektywności, że nie redukuje to założeń metody teorii literatury do pewnych „widzi mi się" badacza; wydobycie prawd o obiektywnej rzeczywistości może przedstawiać różny stopień trudności; to co najbardziej wnętrzne, to co w sednie istotności, to co pozajednostkowe — jest najtrudniejsze do opanowania poznawczo i do zamknięcia w stwier-

---

[1] E. Levinas (*op. cit.* s. 202) omawia trudności metody intuicyjnej: „La clarté que manifeste l'intuition de l'essence dépend surtout lorsqu'il ne s'agit pas d'essences très générales (*Ideen*, s. 129), de la c l a r t é d e l' i n t u i t i o n d e l' i n d i v i d u e l, qui est à sa base (*Ideen*, s. 125); cette clarté qui n'est pas nécessairement celle de la perception, mais qui peut être aussi une clarté de l'imagination, ne doit jamais manquer. Et c'est là une des tâches les plus laborieuses de la phénoménologie. Il n'est donc pas facile de pratiquer l'intuition des essences, et Husserl insiste, à plusieurs reprises, sur ces difficultés (*Ideen* s. 132, *Log. Unt.* II, s. 11). Il recommande aussi aux débutants un long travail d'apprentissage; il leur conseille de s'exercer dans la perception, avant de se servir de l'imagination; l'étude de la vie consciente, telle qu'elle se manifeste dans l'histoire, dans les oeuvres d'art et la poésie, est utile aussi. Mais le long effort qu'exige la phénoménologie pour arriver à l'intuition n'a pas la portée métaphisique que Bergson, par exemple, reconnaît à l'effort de l'intuition, dont les rapports avec l'acte de la liberté sont si étroits..."

dzenia stałych praw, zależności. Nie można dowieść ostatecznie prawdy swoich wyników; to co dobyte intuicją, „wewnętrznym widzeniem“, odbudowane w syntezę, opartą o subtelną analizę — może być jedynie podane potwierdzeniu cudzej intuicji. Innej kontroli nie ma[1]. Powtórzmy w związku z tym to, od czego zaczęliśmy nasze rozważania o metodzie teorii literatury: trudność metody czyni z niej narzędzie badania dla elity; wymaga ona zdolności intuicji, zdolności myślenia abstrakcyjnego, ścisłości, akuratności, rzetelności pracy; wyjątkowość pewnych uzdolnień do pracy naukowej nad teorią literatury sprawia, że graniczy ona ze sztuką, że jest obca wprawie, że nie mechanizuje się w technikę pracy; nadaje to badaniom teorii literatury jeszcze jeden specjalny rys[2].

IV.

Jak więc widzimy teoria literatury, która ma swój własny przedmiot, zadania i metodę, jest nową, samodzielną dyscypliną naukową. W związku z filozoficznym badaniem świata istot rzeczy, świata eidetycznego pod powłoką konkretnych zjawisk, wydobyła spoza rzeczywistości konkretnych dzieł literackich świat istot literackich, pozajednostkowych, pozaokolicznościowych, pozaczasowych, stałych w swej konstrukcji i „naładowanych“ energią realizacyjną. Z miejsca okazało się, że wiele momentów spornych w wiedzy o literaturze jest spornymi właśnie dlatego, że dotychczasowa nauka o literaturze nie dostrzegała odrębności istoty dzieła literackiego i istot literackich od rzeczywistości konkretnego dzieła literackiego, że teoretyzując nie znała właściwej dziedziny swego badania, odrębności i swoistości świata eidetycznego literatury.

Skonsolidowanie się teorii literatury w odrębną gałąź wiedzy odciąża oczywiście inne nauki, które za ośrodek zainteresowania mają dzieło literackie, od zasadniczych nieporozumień i od nie należących do nich spraw. To że poszczególne kierunki w badaniach literackich mają swe własne zadania (np. charakterologia konkretnych dzieł literackich, historia literatury, socjologia dzieła literackiego etc.) i że te badania są w swych założeniach zupełnie różne od zadań teorii literatury, nie wyklucza jednak pewnych wspólnych z nią punktów stycznych. Poznanie np. istot literackich (istoty tragizmu, wzniosłości, istoty rodzajów literackich etc.) przyda się zarówno charakterologowi, badającemu cechy indywidualne konkretnego dzieła literackiego, jak historykowi literatury i socjologowi literatury, badającemu kontakty dzieła literackiego z pozaliteracką rzeczywistością. Wszystkim kierunkom badań literackich przyniesie

[1] Jest to, zdaje się, najważniejsza przyczyna, dla której W. Ziegenfuss pragnąłby obejść problem intuicji zamknąwszy poznanie w ramach indukcji.
[2] Geiger, *op. cit.* s. 151.

teoria literatury swój dobroczynny plon, także w kształcie pomocy, jaką użyczy ustaleniu terminologii dla nauki o literaturze, terminologii, dla zbudowania której potrzebne jest przecież poznanie istot literackich, badanych właśnie przez teorię. Przyniesie może ona i plon inny: ułatwi rozwikłanie pewnych trudności metodologicznych. Nie zaszkodzi jednak podkreślić — często bowiem spotkać się można z odmiennym mniemaniem — że teoria literatury nie jest wstępem do metodologii badań literackich. Teoria literatury jest samodzielną dyscypliną, oderwaną w swej istocie i w swym przedmiocie od przedmiotu badań literackich *stricto sensu* we wszystkich ich gałęziach; metodologia natomiast na niej częściowo się opiera, wyciąga z jej zdobyczy pewne wnioski, które nastawia na cel praktyczny. Różnica zadań i celów stanowi przede wszystkim wyraźną między nimi granicę.

Wynika z tego — oczywiście — że więcej „pożytku" przynoszą badania teorii właściwym badaniom literackim niż one jej, co zupełnie nie świadczy o tym, by teoria była nauką pomocniczą, podrzędną. Przeciwnie. Jej dorobek jako karm innych nauk, ważność jej wyników dla nauk innych świadczy — jeśli właściwą rzeczą jest tu ustalanie hierarchii — o jej nadrzędności.

Dzieło literackie jako punkt wyjścia badań stwarza między różnymi gałęziami nauki o literaturze, między różnymi typami filologii (w uniwersyteckim znaczeniu tego słowa) a teorią literatury podstawę istotnej wspólności. Równocześnie jednak sposób ujmowania przedmiotu, owo poszukiwanie istoty literackiej poza konkretną rzeczywistością jednostkowego utworu, zbliża ją do filozofii, z której natchnienia zrodziło się odkrycie nowego lądu, nowej rzeczywistości jej przedmiotu.

Teoria literatury należy bezwarunkowo do nauk filozoficznych; nie identyfikowalibyśmy jej jednak z gałęzią nauki, którą R. Ingarden nazywa filozofią literatury zarówno ze względu na zakres jak i charakter jej przedmiotu. Będzie to oczywiste, jeśli zestawimy to, co poprzednio powiedzieliśmy o przedmiocie teorii literatury z tym, co w swej charakterystyce filozofii literatury podaje R. Ingarden jako jej przedmiot[1]. Zakres przedmiotu teorii literatury jest węższy — i ściślej związany z konkretną rzeczywistością dzieł literackich.

Naturalnie, że związek obu tych nastawień badawczych jest i zawsze będzie bliski; nie jest on jednak ściślejszy, bar-

---

[1] R. Ingarden, *O poznaniu dzieła literackiego*, Dodatek, s. 272—3: „Filozofia literatury (do której należy szereg działów, np. teoria poznania dzieła literackiego, ontologia dzieła literackiego, odpowiednie działy estetyki, filozofii, kultury etc.) n i e z a k ł a d a faktycznego istnienia takich a takich dzieł literackich, a zarazem opracowuje cały szereg zagadnień, które do nauki o literaturze nie należą... Faktycznie istniejące dzieła literackie stanowią dla ontologii dzieła literackiego jedynie materiał przykładowy".

dziej zacierający ich granice niż np. związek historii literatury z właściwą historią.

To że teoria literatury, jak każda żywa nauka, styka się częściowo z takimi czy innymi naukami punktem wyjścia, materiałem badania czy metodami — nie przeszkadza jej stanowić samodzielnej dyscypliny naukowej. Jest nią ze względu na odrębność swoich zadań, swego przedmiotu, swoich metod — i musi w imię swej autonomiczności wywalczyć sobie definitywnie w powszechnym mniemaniu własną, odrębną pozycję w rzędzie innych nauk[1].

Łódź *Stefania Skwarczyńska*

---

[1] Gorąco dziękuję prof. Romanowi Ingardenowi i prof. Juliuszowi Kleinerowi za krytyczną życzliwość, z jaką — nie zgadzając się zresztą z szeregiem moich tez — pomogli mi pogłębić i sprecyzować poszczególne zagadnienia poruszone w tej rozprawie.

NIEZNANE „TAŃCE“ Z POŁOWY W. XVI

Niespodzianką, i to nawet sensacyjną nazwać trzeba odnalezienie zbiorku erotyków polskich z czasów młodości Kochanowskiego, zbiorek ten bowiem, jak się okaże, zmusza do zrewidowania naszych dotychczasowych poglądów na rozwój liryki renesansowej i na rolę w rozwoju tym odegraną przez poetę czarnoleskiego.

Zbiorek ten, nabyty przed dwoma laty przez Bibliotekę Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie (Sygn. 1400/I), wchodzi w skład obszernej tabulatury lutniowej, należącej, jak wskazuje superekslibris, do jakiegoś Mikołaja Strzeszkowskiego w r. 1553 [1], a rychło potem do jednego z głośnej rodziny Czernych. Na pięciu kartach rękopisu (f. 109—114) pióro może pierwszego właściciela zanotowało tekst ośmiu „Tańców“, a więc pieśni miłosnych, oraz pomieściło tytuły, a raczej wiersze początkowe innych, niestety nie zanotowanych pieśni siedmiu, a mianowicie:

1. Przyjechali Mazurowie...
2. Nie trafi w to człowiek...
3. Jechał chłop do młyna...[2]

---

[1] pp. dr. A. Gryczowej, K. Piekarskiemu, dyr. R. Kotuli i prof. Chybińskiemu obowiązany jestem za udostępnienie mi rękopisu i cenne uwagi.

[2] Być może, że pieśń „Jechał chłop do młyna“, zanotowana tutaj, jest identyczna z humorystyczną pieśnią, żywą jeszcze w w. XIX. Tekst jej w znanej mi wersji najdawniejszej przytaczam z krakowskiej *silva rerum*, spisanej w czasach Sobieskiego (ok. 1676):

Jechał Maciek do młyna zdechła mu w drodze kobyła
Miły Maćku nie płaci kobyła sie zapłaci
Będą z oczu zwierciadła a zgoliny wyiadła. Miły Maćku
Będzie zgłowy latarnia a skadłuba spizarnia Miły Maćku
Będą z łopatek skrzypicki a zogona zasmycki. Miły Maćku
Będą z kopyt grzebienie a z skory tez rzemienie. Miły Maćku
Będzie z ziebra łapas a z poślednice compas. Miły Maćku
Będą z grzywy sitka alić kobyła wszytka. Miły Maćku
Otoz tobie kobyła pięć grzywien uczyniła
Dobrze sie zapłaciła choć sie Diabłu godziła.

Tekst ten nie wymaga specjalnych objaśnień, bo „zgoliny“ to „zgoniny“, „zasmycki“ czytać należy „zaś smycki“, „łapas“ wreszcie to zapewne tyle co „łapa“, żerdka nad żłobem podtrzymująca drabinę do paszy. Przypuszczać można, że w. 2 brzmiał pierwotnie „Miły Maćku, nie płaczy, kobyła się zapłaci“, wskutek zaniku dawnej formy trybu rozkazującego pierwotne „płaczy“ przerobiono w „płaci“.

4. Nie przez płot, przez dylowanie...
5. Szły dziewki na żołądź...
6. Pasła dziewka krowy...
7. Pan Bog szczęściem władnie...

Nie podaję tutaj dokładnego opisu owego cennego zabytku, sporządzi go zapewne kiedyś fachowe pióro historyka naszej dawnej muzyki, ograniczę się natomiast tylko do kilku uwag o partii tekstowej, ważnej ze stanowiska literackiego.

Pieśni, na dwu pierwszych stronicach zapisane w układzie wierszowym, na dalszych pisane tą samą ręką, ale *in continuo* i dość niedbale, rozgraniczone rysunkowymi zawijasami, na ogół czytelne (zwłaszcza dwie pierwsze wręcz wykaligrafowane), nastręczają szereg problemów, które tu kolejno najogólniej szkicuję.

Stronę graficzną pomijam, rozważania na ten temat zastępując próbkami literalnego przedruku, wskazującego, że mamy tu normalną ortografię czasów Kochanowskiego. Toteż gdyby nawet przypuścić, że teksty pieśniowe są późniejsze od r. 1553, a więc daty superekslibrisu, to w każdym razie przyjąć się będzie musiało, że nie są one od daty tej zbyt odległe. I tak początek pieśni 1. wygląda następująco:

Tak mowia liudzie zebi grzech milouacz
O bludni swieczie czos na thobie dzialacz
przethsie tak sgola niedobrze proznovacz
Ia o pijeniądze nievmiemsie staracz
musse rath nierath na malie przestauacz
O bludni swieczie czosz na thobie dzialacz
. . . .

Początek znowuż tekstu *in continuo* pieśni 3. przedstawia się tak oto:

Iusz pothij kresz theij roskoski, nijebendzie mną władacz, moze bicz mlodoscz stateczna prozno nanije skadacz bo kto ssie ia dlugo baui, wglebokiego morze wprawij, dosicz mnije zem yusz skosthowal wiem poczem czo chodzij, pewnije sie tha roskoska wemnie nijerosplodzij...

Słowem, teksty reprezentują normalną kakografię, nie opartą na żadnym konsekwentnym systemie, stosującą różne znaki dla tych samych dźwięków lub identyczne znaki dla dźwięków różnych. Wskutek tego, w niewielu zresztą wypadkach, mieć można uzasadnione wątpliwości, jak brzmienie tekstu ustalić; w maksymie np. znanej z Kochanowskiego „Nije wie człowiek kiedij czo ma iako smakuije, asz dopijro kiedy straczij czosz tho czvkruyę" (4, 13—14) wyrazy ostatnie brzmieć mogą albo „coś to cukruje", albo „coż to cukruje", w zależności od tego, jak rozumieć znaczenie wyrazu „cukruje". Łatwiejsze są wypadki oczywistych błędów („wnijwecz ploslo", 4,5, zam. „poszło" — lub „wosko", 4,8, zam. „wozku"), które w przedruku po prostu usuwam.

Jak wspomniałem, po pierwszej karcie wykaligrafowanej bardzo starannie idą dalsze, zapisane dość niedbale, z kreśleniami, omyłkowym powtarzaniem wyrazów itd., najwidoczniej twórca rękopisu teksty zapisywał z pamięci lub kopiował z jakiegoś nieznanego nam źródła. Wiedząc o tym miałoby się ochotę niekiedy go poprawić, zwłaszcza w pięknej i na ogół bardzo poprawnie wpisanej pieśni 7: „Otoż moja powolność..." Strofa jej pierwsza, zawierająca skargi zawiedzionej panny na młodzieńca, kończy się wyrzutem, że miły ją zdradza. Logika kompozycyjna kazałaby tu czytać:

> Ano kto iny twoje kochanie,
> Po kim więc czynisz owo staranie,

inaczej bowiem wyrzut nie ma sensu. W tekście tymczasem czytamy: „Ano kto ijnij moije staranije pokiem vyęcz czynysz owo staranije". Przypuszczać wolno, że przepisywacz antycypując ostatni wiersz zwrotki wpisał go, a raczej dwa jego wyrazy końcowe, w wierszu przedostatnim i omyłki nie dostrzegł czy przynajmniej nie poprawił.

Szczegóły te warto zapamiętać, wskazują one bowiem, że zapis w kodeksie Strzeszkowskiego nie jest autografem twórcy erotyków, że mamy tu tylko stosunkowo wierny odpis rzeczy cudzych, i to prawdopodobnie rzeczy doskonale znanych, mianowicie popularnych pieśni, tańców, jak rękopis je określa.

*

Sam charakter zbiorku, zwłaszcza jego pozycji wstępnych, mógłby oczywiście nasuwać przypuszczenie, że są to utwory jakiegoś zakochanego młodzieńca, może bawiącego w obcym mieście scholara, który sentymenty swe przybiera w szatę elegijną, stąd poprzednia uwaga o różnicy między autografem a kopią. Pieśni jednak dalsze nie pozostawiają żadnych złudzeń co do charakteru całości, pomysły bowiem elegijne ustępują w nich miejsca typowym i stereotypowym motywom i układom pieśniowym, takim jak skarga oszukanego młodzieńca (p. 4: „Nie styskuję na nieszczęście, żeć się zmieniło"), jak naiwny lament „niebogi", zakochanej i w strapieniu szukającej doświadczonej przyjaciółki, by się przed nią zwierzyć (p. 6: „Prze niedowcip cierpię ciężkość, nędzna biała głowa"), jak wreszcie świetnie skomponowany dialog panny z młodzieńcem, kończący się przebaczeniem wietrznikowi po wysłuchaniu jego „sprawy" (p. 7: „Otoż moja powinność..."). To samo da się powiedzieć o zamykającej zbiorek skardze młodej żony na starego, „mierzionego" męża-bogacza (p. 8: „O jakaż to niezgoda...").

Poprzednia wzmianka o zakochanym scholarze, nie dająca się oczywiście uzasadnić (poza przypuszczeniem, że Strzeszkowscy i Czernowie należeli do tej warstwy szlacheckiej, która wysyłała młodzież do Włoch), nasuwa się czytelnikowi dwu

pierwszych pieśni elegijnych, w szczególności bowiem druga z nich, oparta na apostrofie do oczu („Oczy me miłe, dokąd nie ujrzycie...“) przypomina, nie szczegółami, lecz ogólnym tonem, pomysły petrarkowskie, zarówno samego mistrza [1] jak jego niezliczonych uczniów, trudno by nawet było się dziwić, gdyby się okazało, że prototyp jej stanowi jakiś erotyk włoski. Szczegół to znowuż znamienny, gdy się zważy, że w latach tych Kochanowski studiował w Padwie i odbywał wycieczkę do grobu Petrarki. Same zaś elegie są takie, że czułyby się zupełnie na miejscu w towarzystwie pieśni miłosnych Kochanowskiego, dworne bowiem wyrażenie uczuć nie ustępuje w nich bynajmniej poziomowi najwdzięczniejszych erotyków twórcy wierszy do Hanny. Gładkie, proste, wymowne, świadczące o całkowitym opanowaniu techniki pisarskiej (jedynie dwa wypadki użycia nieodmiennego imiesłowu teraźniejszego, „pomniąc“, 4,12, zam. „pomniącej“, i „ratując“, 5,4, zam. „aby ratować“, nieco myszką trącą), reprezentują wysoką klasę literacką, znaną nam normalnie dopiero z twórczości właśnie Kochanowskiego.

Ten sam poziom stwierdzić można również w pieśniach dalszych, osnutych, jak wspomniałem, na motywach bardzo pospolitych, na skargach, gniewach i przeprosinach kochanków. Jedna z nich, kawalerski rachunek grzechów (p. 3: „Już poty kres tej rozkoszki...“) uderza pomysłową apologią „świętego żeńskiego łoża“, a więc małżeństwa, inna (p. 4: „Nie styskuję na nieszczęście...“) daje wcale żywy szkic zemsty zawiedzionego amanta, z zadowoleniem obserwującego niedole pożycia małżeńskiego panny, która nim pogardziła, końcowy wreszcie lament młodej mężatki obfituje w dobrze zaobserwowane szczegóły o zacięciu satyrycznym.

Pieśni te nie przebrzmiały bez echa, jak świadczą ich reminiscencje w śpiewnikach późniejszych. Dla przykładu kilka przygodnych zestawień. Wspominana kilkakrotnie skarga rozgoryczonej młódki:

O jakaż to niezgoda,
Tyś stary, a jam młoda (8, 1—2)

ma odpowiednik w późniejszych o pół wieku *Pieśniach, tańcach i padwanach*, gdzie dziewczyna tłumaczy Jasieńkowi, że nie pójdzie za bogatego wdowca, bo

Nierówna mu w leciech będąc, wielka niezgoda,
On stary, ja młodziusieńka, co za ochłoda. [2]

Bardzo ładny, znakomicie skomponowany dialog młodzieńca i panny, osnuty na motywach, które powtórzą się w zbiorku

---

[1] Por. u Petrarki: „Occhi miei lassi, mentre ch'io vi giro“ (14), „Occhi, piangete; accompagnate il core“ (84), „Occhi miei, oscurato è 'l nostro sole“ (275).

[2] Badecki, *Polska liryka mieszczańska*, 1936, s. 214.

Koło tańca wesołego („Powiedz mi, miły, com ci uczyniła")[1], zawiera mi. wyrzut

Znałeś wiarę, uprzymość, wielką powolność,
Widziałeś, żem czyniła nad sobą srogość (7,1—8)

i pytanie

Gdzież ona twarz zmyślona, płaczliwe słowa?
Wżdyć ta kiedy obłudność nie będzie zdrowa... (7, 13—14)

w śpiewnikach późniejszych czytamy:

Znałeś chęć moję, znałeś powolności,
Przeto zażywasz nade mną swej obłudności[2]

oraz

Kędyż one obietnice, gdzie przysięgi twoje?[3]

Podobnie ma się rzecz z pieśnią „Nie styskuję na nieszczęście, żeć się zmieniło". W zbiorkach późniejszych często drukowano pieśń „Serce moje, co czynisz, czemu się frasujesz"[4] z wierszem

Nie styskuj na nieszczęście, wola boża była...

Podobnie skarga renesansowego chłopaka, przypominającego swą lojalność

Pomni, iż to na cię przyjdzie za me usługi,
Ktoreś ty tak dobrze znała czas bardzo długi (4, 17—18)

przekształci się z biegiem lat w

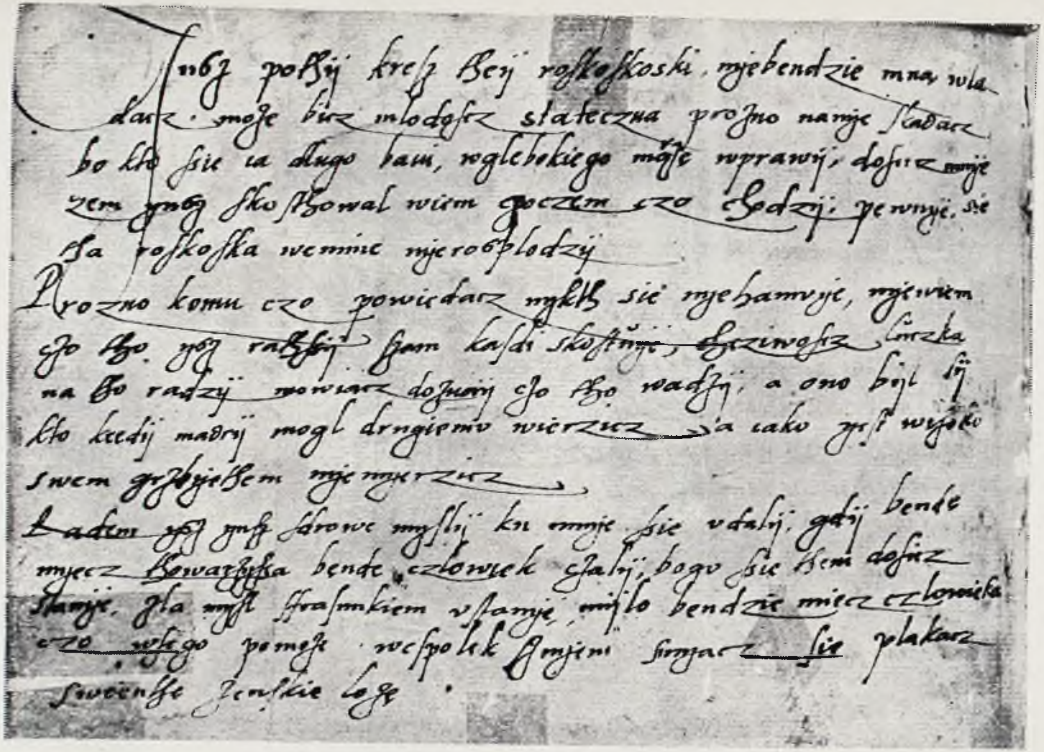
Znać dawam, że ostawam, pomni na posługi,
Ktoreś miała, kiedyś chciała, przez czas barzo długi...[5]

Rzecz jednak znamienna, że w pieśniach późniejszych nie mamy wariantów całych tańców z kodeksu Strzeszkowskiego, lecz tylko drobne reminiscencje, dowód spopularyzowania się i upowszechnienia topiki pieśniowej, stereotypowych zwrotów, związanych z pospolitymi, stale wyzyskiwanymi sytuacjami. Ale też właśnie te związki rzucają znamienne światło na znaczenie naszego kodeksu nie tylko w dziedzinie liryki renesansowej pochodzenia „uczonego", ale również, i to przede wszystkim, w dziedzinie erotyku popularnego, w zakresie tej pieśni, która dotrwać miała do dnia dzisiejszego jako tzw. pieśń ludowa.

*

Spostrzeżenia te poprzeć można jeszcze paru uwagami z zakresu wersyfikacji. Zbiorek Strzeczkowskiego uderza bogactwem rytmicznym, zwłaszcza w zakresie strofiki. Jego miary wierszowe, oparte zazwyczaj na 8-zgłoskowcu, przeważnie

[1] j. w., 294.
[2] j. w., 235.
[3] j. w., 307.
[4] j. w., 13, 57 itd.
[5] j. w., 14.


Anbÿ poſtÿ kreſʒ tbeÿ roſkoſkoski, nyebendzie mna wla-
darz, może bicz mlodoſcz stateczna prożno nanye ſkadacz
bo kto ſie ia długo bawi, wglebokiego morze wprawÿ, doſcz nye
zem ÿuż ſkoſztowal wiem poczem czo ſzkodzÿ, pewnye ſie
ſta roſkoſſka wemnie nyerozplodzÿ
Prozno komu czo powiedacz wÿkl sie nyehamuye, nyewiem
czo tho ÿest ratſzÿ ſam kaſdi skoſtuye, cheziwoscz lurzka
na tho radzÿ mowiacz doznawÿ czo tho wadzÿ, a ono bÿl ſÿ
kto kedÿ madrÿ mogl drugiemu wierzicz ia ako yeſt wÿsoko
swem grzbÿetbem nyemyerzicz
Iuzem ÿest ÿuż zdrowe myslÿ ku mnye ſie vdalÿ, gdÿ bende
nyecz tbowarzÿſſka bende człowiek czalÿ, bogu ſie tbem doſcz
stanye, zla myst ſtraſznkiem vstanye, mÿlo bendzie miecz człowieka
czo wſzego pomoże wespolek ſmÿeni ſmyacz ſie plakacz
swecenſſe zenſkie loze

Rkp. bibl. Uniw. Jana Kazimierza we Lwowie, sygn. 1400/I (f. 109—114)

dwudzielnym (4+4), który występuje już to niezależnie, już to jako człon 13-zgłoskowca (8+5) czy 14-zgłoskowca (8+6), nie zawsze zachowane w postaci poprawnej (szczególnie w pieśni 6), reprezentują typ wiersza sylabicznego, w wypadkach bowiem tylko wyjątkowych podejrzewać by można pojawienie się tutaj nierzadkiego w późniejszej pieśni popularnej wiersza tonicznego. W wypadkach pewnych odstępstw przyjąć trzeba defekty, wywołane przez nieścisłość odpisu, jak choćby w wierszu wstępnym, gdzie tylko w dwuwierszu końcowym zamiast normalnego 11-zgłoskowca mamy wiersz 10-zgłoskowy.

Kunsztowną zaś strofikę najłatwiej zilustrować na pieśniach 3 i 7. Schemat pierwszej wygląda tak oto:

(8 + 6a) — (8+6a) — 8b — 8b — (8 + 6c) — (8 + 6c)

schemat zaś drugiej:

(7 + 5a) — (7 + 5a) — 6b — 6b — (5 + 5c) — (5 + 5c)

Dzięki temu, obserwując rozwój układów stroficznych w naszej liryce, obok Kochanowskiego uwzględnić się musi anonimowe tańce, one to bowiem reprezentują w postaci doskonałej te zjawiska, których początek kładzie się zazwyczaj w czasach znacznie późniejszych, a których kontynuacje spotyka się do dzisiaj w pieśniach ludowych.

W ten sposób zbiorek obecnie ogłaszany, zapełniając lukę między Rejem a Kochanowskim, stwarza podstawy do zrozumienia, w jakich warunkach dokonywał się rozwój liryki polskiej czasów jagiellońskich, dowodzi bowiem, że to, co wydawało się niespodzianką w twórczości Górnickiego i przede wszystkim Kochanowskiego, wyrasta normalnie z ówczesnego gruntu literackiego, uprawianego przez anonimowych piosenkarzy. Równocześnie okazuje się, że popularna liryka anonimowa w. XVII korzeniami swymi sięga również czasów znacznie dawniejszych, że tradycje jej wywodzą się z epoki zygmuntowskiej.

Z tych właśnie względów uważam za konieczne udostępnienie w czytelnym przedruku zbiorku Strzeszkowskiego. Udostępnienie go przyczyni się może do wyświetlenia części przynajmniej tych zagadek, które całość jego nastręcza, a z którymi uporać się będzie musiał w stopniu niemałym historyk naszej kultury muzycznej czasów Kochanowskiego.

Warszawa *Julian Krzyżanowski*

Tańce

[1]

Tak mowią ludzie, żeby grzech miłować,
Obłudny świecie, coż na tobie działać!
Przedsie tak zgoła niedobrze proznować.

Ja o pieniądze nie umiem się starać,
Muszę rad nie rad na małe przestawać,
Obłudny świecie, coż na tobie działać!

O urząd nie trwam, wielkiem panem będę,
Jeśli sam sobie rozkazować będę,
Obłudny świecie, coż na tobie działać!

Pokoj miłuję, wojny się odrzekam,
Śmierć nie zabłądzi, chocia jej nie szukam,
Obłudny świecie, coż na tobie działać!

Jako ja widzę, przydzie mnie miłować,
By jeno na [tym] świecie nie proznować,
A będzieli grzech, [to] więc pokutować.

[2]

Oczy me miłe, dokąd nie ujrzycie
Wesela swego, nie chciejcie się smęcić,
Nie chciejcie mię w żałości mej wydawać.

Serca w tej mierze hamować nie mogę,
Ktore w tej jednej wszytko swe wesele,
Wszystkę nadzieję swoję położyło.

I tak rozumiem, iż ciężko przychodzi
W serdecznym żalu, w utrapionej myśli,
Na wesołą się postawę zdobywać.

Wszakoż nadzieja niech was smutne cieszy
[W] waszej żałości, a za pewne wiedzcie,
Iż w rychle swoję miłą oglądacie.

Ona jeśli tak, jako okazuje
Postawą swoją, wiernie mię miłuje,
Wierzę, iż czeka przyjechania mego.

I o to stoi, aby mię we zdrowiu
Oględać mogła, w czym ją, mocny Boże,
Pociesz, a dla niej racz i mnie zachować.

[3]

Już poty kres tej roskoszki, nie będzie mną władać,
Może być młodość stateczna, prozno na nię sk[ł]adać;
        Bo kto się ją długo bawi,
        W głębokie go morze wprawi,
Dosić mnie, żem już skosztował, wiem, po czem co chodzi,
Pewnie się [już] ta roskoszka we mnie nie rozpłodzi.

Prozno komu co powiedać, nikt się nie hamuje,
Nie wiem, co to, iż[e] radszy sam każdy skosztuje.
        Chciwość ludzka na to radzi,
        Mowiąc: doznaj, co to wadzi?
A ono był by kto[1] mądry, mogł drugiemu wierzyć,
A jako [to] jest wysoko, swym grzbietem nie mierzyć.

---

[1] w rkp.: kto kiedij madrij.

Radem, iż już zdrowe myśli ku mnie się udały,
Gdy będę mieć towarzysza, będę człowiek cały.
Bogu się tem dosić stanie,
Zła myśl z frasunkiem ustanie,
Miło będzie mieć człowieka, co wszego pomoże,
Wespołek z niem śmiać się, płakać — święte żeńskie łoże.

Może to kto spornie ganić, przywodząc niewczasy,
Ale takiego trzask leśny łacwie wnet zastraszy.
Niewczas, wierzę, że też bywa,
Gdy tego kto źle używa,
Ale kto w to mądrze wszedszy miernie się sprawuje,
Nową roskosz, a przystojną, wierzę, iż uczuje.

A tak to me przedsięwzięcie przedać roskosz tanie,
A żyć według przyrodzenia w tem cnotliwem stanie,
Nie słuchając onych ludzi,
Ktorych zbytek k sobie łudzi,
A iż źle [jest] być samemu, pomnię boskie słowa,
A dać już diabłu po gębie wola ma gotowa.

[4]

Nie styskuję na nieszczęście, żeć się zmieniło,
Twojać to rzecz zawzdy była mieć miłych siła,
Jam się też już nie źle udał, służę nie prozno,
Miłość mi się wzajem płaci, a tobie rozno.

Nie żal mi, choć w niwecz poszło, żem był twem sługą,
Bo tobie po takiem słudze mieć żałość długą,
Gdy ten, ktory teraz dobry, dobrze się wgrozi.
Słuchać musi, kto na czyjem wozku się wozi.

Ja na stronie słuchać będę, gdzie się co dzieje,
Ano pani [1] [z] żalem wzdycha, a pan się śmieje.
Dobrze będzie na niewdzięczną karmić ją łzami,
Pomniąc, iż nigdy nie było źle miedzy nami.

Nie wie człowiek, kiedy co ma, jako smakuje,
Aż dopiro kiedy straci, coś [2] to cukruje.
Radby wrocił, ano prozno, raz się rzecz rodzi,
A woda, ktora upłynie, nazad nie chodzi.

Pomni, iż to, na cię przydzie, za me posługi,
Ktoreś ty [tak] dobrze znała czas barzo długi,
I wszytko, co [3] czynić będziesz, wdzięczno nie będzie,
Będzieć ten twoj bog dzisiejszy ganić cię wszędzie.

Chciało szczęście, by twa zdrada tak się skończyła,
Ktora tobie przed inemi była tak miła,
Aby się ten twoj zły żywot w żalu przedłużył,
A ja przedsie [4], kędym począł, tam będę służył.

[5]

Coż smutny czynić mam, będąc człowiek młody,
Iż na mię przychodzą tak wielkie przygody?
Ktorychem ja używał snać już dosyć wiele,
Nie był mię kto ratując; snać i przyjaciele,
Jak[o] nieszczęście chciało, tak się szancowali.

---

[1] rkp.: panij panij (dwukrotnie). [2] rkp.: czosz (coś lub cóż). [3] rkp.: czokolwiek, można więc czytać również: I cokolwiek. [4] rkp. przeczsie.

Prozno smutny człowiek na swe nieszczęście płakać mam,
Gdyż po nim wielki kłam a niestałość zdawna znam,
Ktore przyrownane jest miesiącu nocnemu,
Po okręgu świata prędko bieżącemu,
Tak i ono bieży a w miestcu nie leży.

Acz mi z przodku nieco było pochlebiło,
Pochlebiwszy mało, wnet się potym skryło.
Nieszczęście się na mię z prędka obrociło,
Podburzywszy przygody wnet mię porzuciło;
Dałoć mi się już znać, z płaczem by powiadać.

Obroć że się szczęście na te srogie przygody,
Zniszczywszy mię, nagrodź moje wszytkie szkody,
A bądź stałą podporą tej mojej upadłości,
Ktorą dla ciebie cierpię w twojej niebytności,
Ktorą na sobie znam, a z radością cię czekam.

[6]

Prze niedowcip cierpię ciężkość nędzna biała głowa,
A nie wiem, komu się zwierzyć mam, przetom[1] źle zdrowa.
Sama sto rozumu nie mam, bym to z siebie zjęła,
Venus sama łuk w ręku ma a barzo ji napięła.

Niem więcej tym myśl zabawiam, bol [z] żałością roście,
A toć są u mnie nędznej niebywali goście.
Nie wiem smutna, co mam czynić, źle mi szczęście tuszy,
Miłość ta, w ktorąm się wdała, kości we mnie suszy.

Wstyd z bojaźnią broni [tego], bym nie przemowiła,
Żebym się z tym żadnej duszy nie otworzyła;
Venus każe, bym [...] szukała rady,
Jeno iżem w tym niebywała barzo się boje zdrady.

Toć mię jedno samę cieszy, żeć tego miłuję,
Ktory ma wszytko przed innemi, w tym nic nie pochybuje.
Nie wiem smutna, co mam czynić, przydzie się ochynąć,
By też z trzaskiem jednego dnia zaginąć.

Nie masz broni przeciwko tej, zwalczyć ona musi,
A o każdego na świecie tedy się pokusi.
A toż i mnie, niebożątku, przepuścić nie chciała,
A tym się więcej kusiła, iż mię głupią poznała.

Pomoż ktora w tym bywała, użal się mnie niebogi,
Miłość ta, w ktorąm się wdała, nieprzyjaciel srogi.
Nie wiem smutna, co mam czynić, miłuję bez miary,
Boć zbytnie podoba [miły], toć są jego czary.

[7]

Otoż moja powolność tak mi się płaci,
Takci, ktora wnet wierzy, ta sobie traci.
Mnimałam, iż sama
Venus mieszka z nama,
Ano kto iny moje staranie,
Po kiem więc czynisz owo staranie.

Znałeś wiarę, uprzymość, wielką powolność,
Widziałeś, żem czyniła nad sobą srogość,

---

[1] rkp.: przethom.

Wzdyś przysięgał zdradnie,
Aleć tobie snadnie.
Wierzę, że na świecie już zdrady mało,
Bo się jej nazbyt w twe ciało wlało.

Gdzież ona twarz zmyślona, płaczliwe słowa?
Wzdyć ta kiedy obłudność nie będzie zdrowa,
Wspomieniesz więc na mię,
Ty jaszczorcze plemię,
Acz indzie twe serce ma wielką swobodę,
Nie trafisz potym na taką gospodę.

Nie płaciłem ja, miła, źle powolności,
Cnotliwiem się zachował w spolnej miłości,
Wierzyłaś dobremu
Swemu powolnemu,
Nie chce się indzie me serce cieszyć,
Nie chce przeciwko cnotliwej grzeszyć.

Znałem wiarę, uprzymość, powolność małą.
Bom się indzie mogł cieszyć miłością całą,
Przedsiem ci był prawie,
Wie Bog o mej sprawie.
Nie nazywaj że mej wiary zdradą,
Niech się nie cieszy nikt naszą zwadą.

Gniew, niewiara, jednanie częste w miłości,
Rozumiem, iż łajaniem chcesz uść ciężkości,
Niech ja już tem będę,
Aż łaski nabędę,
Jeno, me serce, miej na tym dosić,
Niech będzie wolno z płaczem przeprosić.

Prozne twe chytre słowka, zdradne płakanie,
Chybaby musiało być boskie skaranie,
Bym zapomnieć miała
Zdrady, ktoram znała,
A Boże daj, by[ś] się jął pokutować,
Owaby nie łza, jeno się zmiłować.

Acz się winien nie baczę gniewu twojego,
Wszakże jednak uść nie chcę karania srogiego,
Jeno niech łaskę znam,
Wszystek ci się w moc dawam,
Ach, toć mi ten twoj gniew nie mało szkodzi,
Patrz, k jakiemu mię płaczu przywodzi.

Zwyciężyłeś mi serce, masz się czem chlubić,
Tego, co broni nie ma, łacwie go ubić,
Przymuję twą sprawę,
Miej zwycięstwa sławę,
Ach, toć mi ten twoj płacz szkodzi nie mało,
Gdzież już on moj gniew, nie wiem, co mi się stało.

[8]

O jakaż to niezgoda,
Tyś stary, a jam młoda!
We dnie stękasz, w nocy kaszlesz,
A mnie jedno frasujesz,
A serce we mnie psujesz.

Czemużeś mię pojmował,
Kiedyś po mnie nic nie miał?
Bo mię jedno musczesz, głaszczesz,
A toć twoje kochanie!
Wolałać bym[1] ja śniadanie.

Z wieczora do świtania
Z krwawem płaczem trapienie!
Bo ten głod, co w nocy cierpię,
Jest ma wielka choroba,
Że stękam, chociam zdrowa.

I radzę [z] swej przygody
Nie iść nigdy na te gody,
Aby miała dla imienia
Za starego męża iść,
Tym się wiecznie zniewolić.

Tać roskosz u starego,
Choć ma wiele dobrego;
Ustawiczne frasowanie,
Przez przestanku wzdychanie,
Z krwawem płaczem trapienie.

I szczęściem[2] to nazwali,
Iż mię tak za mąż dali,
Za starego, mierzionego,
Ktory jest boleść serca mego.

Wolałać bych ja o głodzie
Być z miłem na swobodzie,
Nizli [z] starem frasowanie,
Przez przestanku wzdychanie,
Z krwawem płaczem trapienie.

---

[1] rkp.: wolyaczbym.

[2] W druku wprowadzam nosówki w wyrazie „szczęście" oraz w zakonczeniach form odmiennych (radzę, łaskę, mię, cię itp.), w rkp. wyrażone przez „e".

LITERATURA BRACI CZESKICH W POLSCE XVII W.

I. Bracia czescy w Czechach, na Morawach i w Polsce.

Na początku w. XVII zagadnienie religijne stało się w Czechach znów palące, gdyż stany czeskie ponowiły swe żądania zrównania w prawach z innymi wyznaniami. Patronem wyznania wiodącego swój początek od prawego skrzydła dawnych husytów był Wacław Budowec z Budowca, a seniorem Bartłomiej Niemczański. W r. 1609, na skutek ogłoszenia religijnej wolności, wyznanie zorganizowało się na nowo w Czechach, na Morawach i w Polsce[1], gdzie seniorami byli Maciej Rybiński i Marcin Gracjan Giertych. Dźwignęło się kaznodziejstwo i dokonało się zbliżenie z utrakwistami i z uniwersytetem oraz z innymi wyznaniami protestanckimi.

Nie brakło jednak nieporozumień i różnic. W polskim odłamie wyznania znaczył najwięcej synod z udziałem szlachty. W czesko-morawskim wzięła górę ścisła rada, czyli żywioł duchowny. Ze wzmożeniem się szkolnictwa wzrosło znaczenie humanistycznej kultury tam, gdzie zalatywało dotąd średniowieczem. Szkoły wyznania łączyły zatem humanizm ze studium biblijnym. Ze wzrostem świadomości wzrastało i poczucie własnej misji i wpływu na inne wyznania. Niestety wypadki polityczne podkopały zaczynający się rozwój. Po bitwie zaś białogórskiej położenie ogółu protestantów stało się tak ciężkie, że nie pomogła ani wewnętrzna karność, ani umysłowa kultura. Nieco pomyślniej działo się na Morawach, gdzie zakwitło szkolnictwo, mające za patrona gorliwego wyznawcę zasad zboru, Karola z Żerotina.

Niebawem i tu przeniosły się prześladowania, które zmusiły zbór do ponownego uchodźstwa do Polski. Nastąpił właściwie koniec czesko-morawskiej jednoty. Jej członkowie schronili się do Saksonii, na Węgry, dalej do śląskiego Brzegu, gdzie istniała

---

[1] T. Grabowski: *Literatura braci czeskich w Polsce w. XVI.* Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności, Styczeń 1936, 36.

wolność religijna, wreszcie do Wielkopolski [1], gdzie upamiętnił się niegdyś swą działalnością Jerzy Izrael. Dwaj seniorowie, ośmiu konseniorów zarządzało sprawami jednoty uchodźców, których obliczono na 4000 członków, a 104 duchownych. Stworzono sześć gmin koło Leszna umieszczając w mieście przeniesioną z ojczyzny drukarnię i bibliotekę. Synod w r. 1632 związał czesko-morawską i polską jednotę, której porządek kościelny podległ nowemu ustaleniu.

Poczęto krzątać się koło podniesienia szkoły, co zaczęło ściągać i luteran. Wyznaniu patronowała zaś dalej rodzina Leszczyńskich, których świetną siedzibą był nadto sandomierski Baranów. Zbór i szkoła wyznania istniały też w nadbużańskiej Włodawie, co wskazywało na pewną ekspansję na wschodzie. Leszno skupiło przecież najwięcej wyznawców, choć w piątym dziesiątku wieku zmienił się patron wyznania i trzeba było budować nowy zbór. Wreszcie szwedzki potop przyniósł katastrofę, gdyż protektor protestantów poniósł klęskę i Śląsk musiał znów służyć za ucieczkę pogromionym. Nawet na Węgrzech wszczęły się prześladowania, co położyło właściwie koniec i polskiej jednocie, gdyż Leszno, choć przytuliło znów resztki uchodźców, nabierało coraz więcej charakteru obcego i ulegało zluteranizowaniu.

Na wewnątrz zatarła się już wcześniej odrębność wyznania z powodu związku z kalwinizmem wielkopolskim, małopolskim i litewskim. Dokonało się zjednoczenie porządku i agend, a też ujednolicenie kancjonału. Nade wszystko odbywano co lat trzy wspólne synody w Toruniu, Orli i Włodawie, choć samorząd istniał zawsze. Wpływy niemieckie rosły jednak ciągle. Za senioratu Daniela Ernesta Jabłońskiego ustaliły się one ostatecznie, a walka o prawa dysydentów wzmocniła oddziaływanie Berlina, gdzie właśnie rezydował zwolennik połączenia wyznań. W zawiązywanych konfederacjach Leszno miało też głos, choć — po rozbiorach — zatraciło autonomię i zgubiło zwolna swych szlacheckich wyznawców. Ślady brackiej jednoty rozpłynęły się też gdzie indziej w przemożnym, szczególnie w Niemczech, luteraniźmie.

Ale Leszno przechowało chyba najdłużej oblicze wyznaniowe jednoty, której punkt ciężkości znajdował się jeszcze w wieku XVI raczej w Ostrorogu, kiedy to, za dni Izraela i Turnowskiego, unikano poniekąd zainteresowań kulturalnych i publicystyki. Wtedy to tkwiło w braciach przeświadczenie, że są apostołami narodów słowiańskich i że muszą przyświecać innym etyką i karnością. Wtedy to związali się oni też ściślej ze sprawami polskiego społeczeństwa polonizując się wyraźnie, a jednocześnie stojąc na gruncie odrębności wyznania. Imponowali też

[1] J. M. Müller: *Geschichte der böhmischen Brüder*, IV Bd, Herrnhut 1931, 159—279.

postawą ascetyczną unikając wprost łączności z humanizmem, skoro przestrzegał przed nim jeszcze synod poznański z r. 1578. Albowiem nie tylko zabraniał on wprowadzenia generalnego kancjonału dla ogółu innowierców, ale i posyłania dzieci do szkół bałwochwalczych, co tchnęło jakby duchem husytyzmu.

W w. XVII stosunki i z innymi wyznaniami ułożyły się przyjaźniej. Żywotności wyznania dowodziły zaś synody odbywane w Lesznie w r. 1609, 1629, 1630, dwukrotnie w r. 1631, potem w r. 1632, 1633, dwukrotnie w r. 1635, następnie w r. 1636, 1637, dwukrotnie w r. 1638, trzykrotnie w r. 1639, dalej w r. 1642, dwukrotnie w r. 1643. Miasto wymurowało się okazale, zakwitło przemysłem i handlem, podniosło się dzięki przeniesionemu z Ostroroga seminarium duchownemu. Mnożyły się zasoby archiwalne, bogaciała czeska, polska i niemiecka publicystyka zboru. Szkoła stawała się zaś wyraźnie oficyną humanizmu, co było szczególnie wynikiem wpływu Leszczyńskich. Ich przodkom zalecał już niegdyś Melanchton dbałość o szkołę, która musiała teraz współzawodniczyć ze śląskimi gimnazjami Głogowa, Lignicy i Bytomia, a także Torunia i Gdańska. Białogórska fala uchodźców oddziałała też korzystnie.

II. Kultura duchowa Leszna i Baranowa. Poeci i pisarze leszczyńscy.

W przeciwieństwie do przeszłości, co potępiała kulturę humanistyczną[1], zreformowana w r. 1624, czyli za rektoratu niegdyś studenta lejdejskiego Andrzeja Węgierskiego, szkoła leszczyńska głosiła teraz śladem sztrasburskiego pedagoga Sturmiusa, że — sapiens atque eloquens pietas finis est studiorum[2]. Łacina stała się tu, jak gdzie indziej, celem studiów, a rektorowie posiadając kulturę akademicką wychowywali młodzież szlachecką i plebejską w wierze i w wolnych naukach. Uczniowie musieli okazywać posłuszeństwo i cierpliwość, unikać obmowy, uprawiać literaturę, czyli czytać autorów dawnych i nowych dla celów opanowania wytwornego stylu.

Stosunek ich do otoczenia miał być przykładny. Odrzucając myśli światowe mieli oni myśleć jedynie o nauce, znać języki, stronić od zabaw, unikać tańca, którym włada szatan. Miało wśród nich górować przeświadczenie, że tylko studia uczą żyć przystojnie i pięknie; mieli nie używać nigdy słów pospolitych i zdrożnych. Punktem ciężkości była nauka katechizmu, gramatyki, retoryki, dialektyki. Skład uczniów obejmował i wyznawców luteranizmu, którzy mieli swego kantora, a od r. 1638 i konrektora. Łacina była ciągle językiem wykładowym, choć obok niej dawano nadto elementy greckiego.

[1] *Rkps biblioteki archiwum ew. reformowanego w Warszawie.* Nr 707. Acta synodica et conciones.

[2] A. v. Sandler: *Zur Geschichte Lissaer Schule*, Lissa 1905, 1—15.

Historię traktowano znów jako część kosmografii. Potem wprowadzono do szkoły pewne zmiany. Ale charakter wyznaniowy pozostał. Wszakże religia, państwo i dom miały z takiej to szkoły czerpać siłę — a współzawodnictwo, szczególnie ze szkołą toruńską, co chciała być dla wychowanków rajem i niebieską akademią i krzewić wszelkie nauki[1], nie należało do rzeczy łatwych.

I w samym wyznaniu dokonywała się ewolucja, szczególnie od czasu gdy synody zwróciły uwagę na sprawność organizacyjną jednoty. Odbywano je w czasie wolnym od sejmów, sejmików i sądów ściągając dużą ilość szlachty i działając w duchu ciągle aktualnej międzywyznaniowej zgody sandomierskiej. Sesje odbywały się w zborze w obecności patronów, którymi w r. 1638 byli sędzia wschowski Jan Szlichting z Bukowa, Stanisław i Wojciech Bronikowscy, Jan Broniewski, Paweł Kąsinowski, Mikołaj Ostrowski, Andrzej Trzciński. Nie brakło wybitnych osób i wśród kleru, z nich niektórych ordynował już senior Komeński. Widoczne było, że dokonywało się zjednoczenie z kalwinizmem, że nie brakło i skłonności do łączności z luteranizmem. „Ponieważ" — uchwalił synod — „libertas religionis u nas po Bogu i łasce Jego a libertate politica dependet, powinni bracia ministrowie wszyscy wszystkim parafianom swoim do tego sub conscientia usługować, aby na sejmikach bywali, a tam sobie de publico ecclesiae bono spólnie radzić pomagali, żaden żadnej rehabilitatem abo czego takiego nie pretendując"[2].

Ożywiało się w ogóle życie jednoty może i pod wpływem pomyślniejszych warunków politycznych za dni Władysława IV. Objawiano troskliwość o literaturę, skoro postanowiono drukować katechizm polski w opracowaniu Jana Bythnera, który i napisania postylli się podjął. Miano zająć się też kancjonałem niemieckim i polskim. Współdziałali jeszcze uchodźcy białogórscy z Komeńskim, z powodu którego zaszły, ze względu na pisaną przez niego pansofię, nawet pewne nieporozumienia. Wiał też prąd pojednania wyznań, mający oparcie o Szwecję i Holandię, także o Elbląg oraz o patronów i ministrów zborów wielkopolskich i litewskich. Nawiązywano do zgody sandomierskiej, w której znaczny udział miała niegdyś pierwsza generacja uchodźców z S. T. Turnowskim na czele. Za pojednaniem byli kanclerz szwedzki Oxenstierna, minister elbląski Szkot John Durie[3], który zwracał się osobno do Leszna, wreszcie i minister gdański Bartłomiej Nigrinus. Miał ten prąd korzystną atmosferę i w pogłębiających się stosunkach intelektualnych

---

[1] *Monumenta Germaniae paedagogica*, Berlin 1887, t. IV, 450: *ut literaturaque eleganti de die in diem notabiles faciant progressus.*

[2] Rkps Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, II H, aa. 27, nr 46.

[3] *Nauka Polska* XX, Warszawa 1935, St. Kot: *Anglo-Polonica*, 100—105.

z Zachodem, skoro młodzież innowiercza wyjeżdżała chętnie na studia w Lejdzie, gdzie wykładał filolog i historyk Jan Vossius, korespondujący z polskimi rodami, jak Słupeccy, Zawadzcy — oraz jadący do Oxfordu i Cambridge późniejszy konwertyta Bogusław Leszczyński.

Na synodzie zaś w r. 1645 zjawili się i luteranie. Po wstępnych kazaniach i obrzędach przedstawiono gościom znaną konfesję czeską z czasów Zygmunta Augusta, skoro szło o przygotowanie do *colloquium charitativum* w Toruniu. Pośredniczyli w układach z dworem królewskim Szlichting i patron luteranów Stefan Bojanowski. Seniorowi Bythnerowi szło wyraźnie o to, by oba wyznania szły razem w Toruniu, dokąd poza Szlichtingiem mieli wyjechać jeszcze inni patroni jednoty, lekarz i historyk Jonston, z ministrów Vechner, Komeński, Bythner, Felinus, Ursinus. Jedną sesję odbyto nawet w zborze augsburskim, co w czasach S. T. Turnowskiego było jeszcze trudne do przeprowadzenia. Szlichting przemawiał nawet po niemiecku. To nie przejednało jednak dawnych przeciwników, skoro powoływali się na swe zasługi dla protestantyzmu, gdy znów bracia przypominali, że Hus zjawił się na wiek przed Lutrem, a konfesja helwecka wyprzedziła znacznie augsburską.

Oznaczało to, że bracia poczuwają się do jedności z kalwinami, ale swego wyznania wobec zaborczych zamierzeń zboru luterskiego bronią. „Ale Bohemicam" — mówi diariusz synodu — „przypisuję i na nie się podpisuję"[1]. Są gotowi odwoływać się nawet do Wittenbergi, co niegdyś ich konfesję zaaprobowała. W odpowiedzi luteranie oświadczali, że chodzi im o zgodę, którą zajmie się i najbliższy ich synod we Wschowie. Patronowie podali sobie tedy rękę obiecując, pod cnotą i wiarą, siebie w obliczu zjazdu toruńskiego nie odstępować. Miano na oku i łączność ze zwolennikiem zbliżenia, gdańskim kaznodzieją Wojciechem Nielasiusem, przez którego działał Durie, oraz z innym ministrem gdańskim Bartłomiejem Nigrinusem.

Zjazd urzeczywistniał się zaś w warunkach dosyć mu sprzyjających. Oddziaływała bowiem i na stosunki polskie wojna trzydziestoletnia jako wyraz napięcia między protestantami i katolikami. Związek potęg protestanckich ze Szwecją na czele mógł zagrozić i państwu polskiemu, gdzie król prowadził niemiłą papieżowi politykę tolerancyjną. Walka o Bałtyk przeciągała się i wypadało liczyć się z koniecznością spokoju w kraju. Dbał o niego i kanclerz Ossoliński, gorący katolik, ale i polityk, który zdawał sobie sprawę z napiętych stosunków z Rzymem i marzył o unii między prawosławnymi a unitami, która zastąpiłaby poronioną brzeską.

Zebrał się więc w Toruniu zjazd 28 sierpnia 1645 r. Król

[1] Rkps biblioteki Raczyńskich w Poznaniu, II H, aa. 37, nr 46, 85.

obiecywał Rzymowi, że zjazd załatwi zaostrzoną sprawę dysydentów. Był zaś w dość trudnym położeniu, gdyż raz danych im ustępstw cofać nie mógł. Mógł znów zagrozić nowy rokosz, mający oparcie o granicę zachodnią i wschodnią. Nuncjusz oskarżał zaś króla, że opiekuje się innowiercami, którzy odwoływali się znów do niego jako do ostatniej instancji. On zwracał się zaś serdecznie do zaproszonych przypominając im świetlane postacie Krzysztofa Radziwiłła i Rafała Leszczyńskiego, jako głównych patronów litewskiego i polskiego innowierstwa. Pamiętał widocznie lepiej od ojca o przysiędze[1] i zapewniał dysydentów, że nie chce reformować, ale — godzić.

Co prawda trudno było komukolwiek uwierzyć, by do zgody istotnie doszło, skoro stabilizacja katolicyzmu w kraju nastąpiła dawno. Król potrzebował zaś pieniędzy na cele wojenne, w czym właśnie papież mógł być pomocny. Zjazd stawał się tedy raczej formalnością i nawet wykluczał ludzi zbyt zdeklarowanych. Kanclerz zachowywał neutralność na zjeździe, gdzie każde z wyznań miało osobne miejsce, a przy środkowym stole zasiedli, obok kanclerza, kasztelan gnieźnieński, katolik Jan Leszczyński i dyrektor katolików, biskup żmudzki Tyszkiewicz oraz dyrektorowie kalwinów i lutrów, Zbigniew Gorajski i Zygmunt Guldenstern. Między gośćmi znalazł się i Nigrinus, a czynnych członków, czyli teologów wyznań było 80.

Więc kanclerz zwrócił na wstępie uwagę na konieczność jedności. Dumny ze stanowiska państwa wobec zagadnień religijnych, obawiał się on przecież wybuchu pożaru, co szaleje na zachodzie. Mniemał tedy, że zjazd usunie zło i da upragnioną zgodę. Za czym poczęto omawiać porządek obrad, co trwało przez szereg sesji. Dopiero na czternastej z porządku przystąpiono do właściwej materii. Tu jednak wszczęły się nieporozumienia, gdyż w deklaracji kalwinów znalazły się obrażające katolików zwroty. Za dyrektorem katolików stanął zaś jakoby neutralny kanclerz, by nazwać pismo kalwinów paszkwilem. I następne wspólne pismo innowierczego obozu zawarło jego zdaniem szereg inwektyw. Zaczęły się protesty. Mimo to zjazd zapowiadał się zrazu pomyślnie, skoro król uderzał w ton pokojowy i podnosił nawet konieczność zwycięstwa prawdy. Tenorem jego wstępnej instrukcji było właśnie, że zgoda, jedność i pokój są konieczne, że chodzi o wolne i przyjacielskie porozumienie, które oddaje się w ręce, o ile w grze jest forma, moderatorów i kollokutorów. Oni to mieli zbadać punkty sprzeczne, unikać gwałtownych słów i dysput, rozstrzygać wszystko pokojowo i po bratersku, wypowiadając się nie indywidualnie, ale drogą deklaracyj poszczególnych wyznań. „Toti tractationi" — mówiła instrukcja — „non aliter imponatur

[1] L. Kubala: *Jerzy Ossoliński*, Lwów 1883, t. I, 255—257.

finis, quam ex unanimi consensione partium"[1]. Zaczęły się mimo to protesty, na skutek których kanclerz i król odstąpili od zamiaru pojednania wyznań.

Udział braci był zaś w zjeździe nader widoczny. Okazywał on, że właśnie oni to reprezentują wielkopolski kalwinizm podpisując zresztą z małopolskimi, litewskimi i pruskimi delegatami — rodzaj generalnej konfesji. I elektor brandenburski przysłał swoich, gdy luteran reprezentował znów wittenberski teolog Hülsemann. Ale wyznania odgrodziły się tak od razu swymi postulatami, że nie zapowiadało to dobrego rozwiązania i może nie było nawet po myśli braci. Wyznaczeni przez prymasa teologowie królewscy i diecezjalni też nie myśleli chyba o ustępstwach. Nie pomogło wspólne odśpiewanie hymnu do Ducha św. ani wspólne nastawienie antyariańskie. Wyznania ustabilizowały się bowiem dawno, a przepaść między katolicyzmem a protestantyzmem była aż nadto głęboka. Cóż tedy znaczyło, że prezydował po kanclerzu tolerant Leszczyński? Znał on sprawy wiary, jak poprzednie innowiercze generacje rodu, i miał zaufanie króla, który cenił go za roztropność, prawość, znajomość świata, — ale cudu dokonać nie mógł.

Król zwracał się nawet do zjazdu dwukrotnie, ubolewając, że dzieło pokoju napotykało na przeszkody i wzywając do umiarkowania i oszczędzania słów. Oburzał się nadto, że wielu niepowołanych na zjazd przychodzi i że innowiercy podszywają się pod miano katolików, co zmusza do ograniczania liczby czynnych członków zjazdu. Imieniem kalwinów oświadczał znów Gorajski, że odpowiedzi jego grupy stosują się do królewskiej instrukcji i są krótkie a jasne, gdyż unikają wszelkiej polemiki i kierują się miłością i słusznością. Zwracał się nawet z uznaniem do dyrektora katolików, którzy odpowiadali w podobnym tonie. Zgodnie podpisano też ostatni protokół zjazdowy. Gdyby jednak podobny zjazd odbył się w epoce przedtrydenckiej, jego wyniki byłyby chyba inne. Teraz nie było już ludzi połowicznych i ich wpływ nie mógł zaważyć na korzyść jakiegoś utrakwizmu.

Wiek walki religijnej był już dawno zamknięty, a za kulisami zjazdu taiły się inne czynniki, które znał król i jego kanclerz. Był to więc tylko obrachunek sił katolickich i innowierczych, także i obrachunek zakonu jezuickiego z klerem świeckim, który nie dochowywał wszystkich uchwał trydenckich. Jedno było tylko widoczne. Oto braterski zjazd zastępował wojnę religijną. Inicjatywa króla była zaś może wynikiem rad teologa, astrologa i filozofa, kapucyna Magniego, który chciał pogodzić w ogóle innowierców i dać początek chrześcijańskiej monarchii[2]. Tę złudę podsycał chyba

[1] *Acta conventus Thorunensis celebrati A. 1645*, Varsaviae 1646, B 5.
[2] U Kubali, t. II, 31—32.

i kanclerz, który, wobec nowych trudności, wołał na sejmie r. 1646, że świat i królestwo mogą upaść, byle wiara nie była obrażona.

Cokolwiek da się zresztą powiedzieć o zjeździe, brakło już na nim opieki rodu, który od wieku miał w obozie innowierczym przemożne wpływy. Była w jego członkach kultura umysłowa, która udzielała się szczególnie zborowi braci, pozostających pod jego patronatem za dni Izraela, obu Turnowskich i Komeńskiego. Nie stronili nigdy Leszczyńscy od związków z humanistami, czy za czasów kasztelana przemęckiego Rafała, który założył szkołę leszczyńską dla pierwszej generacji uchodźców, czy starosty radziejowskiego Rafała, który rozwinął się w atmosferze śląskiego gimnazjum goldberskiego dążąc potem do zbliżenia wyznań innowierczych i utwierdzenia kalwinizmu na Kujawach. Wojewoda brzesko-kujawski Andrzej dbał też o kulturę brackiego kleru, gdy alumnów szkoły ostroroskiej wysyłał za granicę. A znów późniejszy konwertyta Jan i jego brat Andrzej studiowali na uniwersytetach niemieckich dbając też o szkołę leszczyńską, którą dźwignął zwłaszcza drugi gorliwy protektor polskiej jednoty i mecenas rektora szkoły Jana Muzoniusa, Rafał Leszczyński.

Punktem ciężkości spraw zboru był długo, obok Leszna, Baranów ze swą szkołą, biblioteką, drukarnią. Kształcony w uniwersytecie heidelberskim, korespondował Andrzej z humanistami, jak genewski de Bèze i bazylejski Grynaeus. Lubił zaś rezydować w swym przebudowanym w stylu renesansowym zamku o ogromnych salach reprezentacyjnych wedle planów włoskiego architekty Santi Gucciego. Kontakt z Zachodem miał brat Andrzeja Wacław, gdyż studiował także w Szwajcarii i we Włoszech, gdzie zapalił się zapewne do studium historii. Jeżeli Wacław nie pozostał jednak przy wierze przodków, wbrew siostrze Mariannie Zasławskiej i bratanicy Barbarze Słupeckiej, to syn Andrzeja Rafał ucząc się zrazu na Śląsku i w Niemczech, potem w Strassburgu i Bazylei, kontynuował tradycje rodu w Genewie i w Paryżu, w Anglii, Szkocji i Niderlandach, wreszcie we Włoszech, gdzie był uczniem w Padwie Galileusza.

Jako wojewoda bełski przebywał Rafał Leszczyński raczej na wschodzie państwa, choć miał serce i dla nowej fali uchodźców, jak niegdyś jego przodek, starosta radziejowski. Ustaliwszy ostatecznie byt szkoły leszczyńskiej stał się on mecenasem Komeńskiego w jego zamierzeniach piśmienniczych i organizacyjnych. Choć zgasł przedwcześnie (1636), kultura leszczyńska jemu zawdzięczała swój rozmach. Obejmował zaś swą opieką cały zasięg polskiego innowierstwa, skoro z jego to inicjatywy długo kaznodzieją we włodawskim nad Bugiem zborze był przyszły historyk polskiego innowierstwa, znany już Węgierski. Brał zaś w obronę zbory i ludzi wspomagając także polihistora Jana Jonstona. Mieli iść jego drogą synowie Andrzej, Rafał, Władysław,

którzy studiowali również za granicą. Bogusław był uczniem Vossiusa w Lejdzie podróżując też po Francji, Anglii i Włoszech. W sześć lat przecież po śmierci ojca przeszedł on, ze względów tamtemu obcych, na katolicyzm. Upadła odtąd świetność baranowskiej rezydencji[1], choć utrzymał się mecenat nad Komeńskim i prawdopodobnie również konwertytą Samuelem Twardowskim. Ale ewangelicyzm rodu zamierał, gdyż syn wojewody derpskiego Andrzeja, Samuel, jako oboźny koronny i starosta łucki, nie był wierny wierze ojców, a znacznie później i syn Władysława, Andrzej. Bez patronatu rodu wyznanie braci poczęło toczyć się nową drogą, choć kasztelan gnieźnieński Jan miał jeszcze zmysł tolerancyjny, skoro prezydował w Toruniu. Ale opieka nad zborem przesunęła się jednak w mniej pewne ręce, co dozwoliło obcym czynnikom mieszać się w sprawy zboru i wciągać go w sferę własnej polityki.

Wojewoda bełski Rafał był więc w dziejach wyznania postacią najwięcej wyrazistą, skoro popierał i pewną jego ekspansję na wschodzie, gdzie, w stronach lubelskich, nie brakło zresztą nigdy innowierców. Wybitny humanista, skoro jeszcze w r. 1595 zetknął się ze słynnym w Paryżu erudytą Izaakiem Casaubonem, obrońcą swobody wyznaniowej, nie cenił zaszczytów i bogactw, wierny widocznie etyce zboru. Ciekawy był zaś rzeczy naturalnych i nadnaturalnych. Szczęście określał w swej tezie sztrasburskiej, zgodnie z Arystotelesem jako coś objawiającego się w najdoskonalszym czynie. Dusza zdąża bowiem do doskonałości kontemplując nieustannie dobro i piękno. Jej szczęście nie może nikomu szkodzić, skoro na to jest stworzone, by przez studia i życie poważne mogła żyć zgodnie z ludzkim przeznaczeniem. „Omniaque“ — mówi Rafał — „agenda, ut secundum eam partem nostri quae melior est vivamus[2]. Towarzysze studiów, jak Tomasz Moravius i Jakub Cargilius ze Szkocji, a nadto Daniel Naborowski, student wittenberski i bazylejski, piszą ody na cześć przyszłego wojewody, którego ostatni z nich został od r. 1601 wychowawcą w Padwie.

Z nim razem uczył się zapewne mechaniki u Galileusza. Jeżeli zaś potem przekłada Naborowski Petrarkę, Rabelais'go, Du Bartasa, to źródłem tych zamiłowań będzie chyba wspólny pobyt za granicą, choć przyjdzie mu zostać sługą Janusza i Krzysztofa Radziwiłłów. Rafał interesuje się, jak i Naborowski, także prawem i polityką, o czym świadczą dwie inne tezy z r. 1598 i 1620 sztrasburskiego ucznia mistrzów Filipa Garnier i Denis'a Godefroy, a w Paryżu przyjaciela Passerata, Thuanusa, i innych sław wieku.

---

[1] *Sprawozdania komisji historii sztuki w Polsce*, Kraków 1896, t. II, art. Sławomira Odrzywolskiego.

[2] *Disputatio ethica de beatitudine tam practica quam contemplativa*, Argentorati b. 1596. Egzemplarz Ossolineum.

Związki rodu z Zachodem zacieśniły się nie tylko bezpośrednio, ale i pośrednio przy pomocy teologów, których ród popierał, nie mówiąc o takich, jak Krotoscy, Tomiccy i inni. Nowe pokolenie nie stroniło zaś wcale od poezji studiując za granicą w Głogowie, w Wrocławiu, w Genewie, zanim szkoła leszczyńska osiągnęła odpowiedni poziom. Klient rodu i synowiec Szymona Teofila Jan Turnowski odwiedza i Strassburg celując wiedzą teologiczną i darem poetyckim oraz nabierając poglądu na sprawy wyznania we Francji, gdzie wielbi wierszem łacińskim koryfeuszów kalwinizmu i posyła patronom Leszna swe twory. Jak patronowie i on nawiązuje liczne osobiste stosunki i imponuje otoczeniu w Zurychu erudycją biblijną i zręcznością dialektyka. Położenie stawało się zaś coraz gorsze, gdyż patronów ubywało w Polsce i tylko jeden wielki ród Leszczyńskich stał na wyłomie.

Za Turnowskim stał zaś wojewoda bełski popierając jego twórczość łacińską i polską. Sprzyjali jej też Radziwiłłowie, Przyjemscy, Słupeccy i inni. Nim zabłysnęło wiedzą teologiczną i poezją Leszno, słynął z niej godny następca stryja, jako biblista, tłumacz hymnów, zwolennik reformy szkoły leszczyńskiej, kaznodzieja i minister, zrazu w Krotoszynie, w Beresteczku, Łobżenicy, wreszcie w Toruniu, gdzie dominował melanchtonizm, a w akademii uczyli wychowankowie sztrasburscy. Nawiązywano tu do tradycyj zgody sandomierskiej, co pozwoliło Turnowskiemu być kaznodzieją dla obu wyznań i być nie tylko seniorem jednoty, ale i seniorem kleru miejskiego toruńskiego. Było to w każdym razie zwycięstwo idei stryja, może i poprzednika Turnowskiego na urzędzie, luteranina Artomiusza, którego kancjonał rozchodził się właśnie w licznych wydaniach.

Dzięki Turnowskiemu uległa poprawie polszczyzna kancjonału, nie mówiąc o poprawie rytmiki i wzbogaceniu zbioru nowymi przyczynkami i opuszczeniami. „Ujęło się też niemało“ — mówi przedmowa — „z starego Cantionału Pieśni, których to Noty trudniejszymi były“. Układ pieśni obejmował, jak poprzednio, okresy świąteczne roku, psalmy i pieśni okolicznościowe dla różnych stanów, w różnych momentach życia, na każdą chwilę dnia. Nie brakło i pieśni o zwierzchności świeckiej, czyli modlitwy za króla i zwierzchność, by

wszyscy sfornie
mogli pod ich ramieniem żyć spokojnie,
we wszelkiej pobożności i przystojności. Amen [1].

Niemniej nie brakło polemik szczególnie z katolikami na nieco gorącym gruncie toruńskim i za czasów Artomiusza i Turnowskiego, którzy nauczali teologii w akademii i ścierali się

[1] *Cantionał Pieśni duchownych, hymnów i psalmów świętych. Sporządzony, wypolerowany i wydany R. P. 1611.* W Toruniu drukował Aug. Ferber, 2.

silnie szczególnie z zakonem jezuickim. Nie zaniedbywał Turnowski i poezji, skoro wydawał i głośny psałterz kalwińskiego kaznodziei poznańskiego Macieja Rybińskiego dodając do poszczególnych psalmów własne argumenty. Była to praca, którą umieli ocenić i arianie[1]. Swą pracę poświęcał senior wielkopolski Leszczyńskiemu.

Przypominał go też szerokością horyzontu i umiarem w tonie, który cechował niegdyś stryja. A położenie miał trudne, gdyż musiał walczyć nawet z potwarzą[2]. Sfałszowano mianowicie jego podpis pod broszurą, w której widniały nader krańcowe tezy zebrania luterskich ministrów, narzucone im rzekomo przez kurfirsta brandenburskiego. Chodziło nieznanemu autorowi o to, że luteranizm i kalwinizm walczą z sobą[3], co podkopywało oczywiście ideę zgody sandomierskiej i zwracało się przeciw stosunkom w Toruniu. Turnowski, jako właśnie ideolog zgody, nazwał tezy plotkami i diabelską potwarzą. Bronił zgody wyjaśniając różnice konfesyj i ich stosunek do konfesji wittenberskiej. Podkreślał też związek konfesyj z nauką ewangeliczną. Odwoływał się do senatorów i rycerstwa[4] atakując tezę jezuicką Mariany o królobójstwie, piętnując tumulty i okazując dużą znajomość politycznych stosunków francuskich. Ta polemika wiązała się poniekąd z całą kampanią antyjezuicką w epoce rokoszu. A odsuwał też od zboru podejrzenia związku z arianami[5] stojąc na stanowisku obowiązującego prawa i skarżąc się na krzywdy wyrządzone ewangelikom po różnych miastach. Gorycz zaś tkwiąca w tej polemice z ukrytym przeciwnikiem była aż nadto usprawiedliwiona.

Trzeba było bronić istnienia zborów i szkół, a jednocześnie umiejętnie odpierać zarzuty o herezję. Turnowski podkreślił tu swe stanowisko członka narodu polskiego i powoływał się na konfederację warszawską. „Bo my“ — wołał — „Polacy stanu rycerskiego, naród wolny, który jako pars potissima Regni et Rei publicae Pana sobie według upodobania swego wolnie obieramy i prawa stanowimy“ [6]. Dziś zaś odsądza się ludzi od praw i króla na złe drogi wiedzie, rozruchy wszczyna, zbory pali. Tłumaczono to wystąpienie kaznodziei toruńskiego i na niemiecki. On sam występował i w roli kaznodziei pogrzebowego w Baranowie po

---

[1] *Psałterz Dawidów*, przekładania X. Macieja Rybińskiego. W Rakowie 1624.

[2] *Krześćjańskie zboru Pańskiego Constitucje w Elbiągu w roku teraźniejszym zawarte*. B. m. 1614, D 3.

[3] *Pewna o niejawnych konstitucjach elbiąskich X. Jana Turnowskiego sprawa*. W Poznaniu 1613, 4.

[4] *Patrocinium veritatis literarum Torunensis ad conventum Schrodensem et Prossoviensem*. B. m. 1614.

[5] *Dowód zgody ewangelickiej*. B. m. 1613, E. 4, *Zaczym pokazało się, że nas adwersarze naszy niesłusznie niezgodami zamianują i za niezgodne do ludzi udawają, z Ariany policzają i rozmaitymi przezwiski nazywają*.

[6] *Respons na trzydzieści przyczyn*. B. m. 1615, 7.

śmierci ojca wojewody bełskiego Andrzeja. Zaczynał kazanie inwokacją do Chrystusa, potem prawił o dziejach rodu, wreszcie wskazywał, jak to jego zmarły patron pokoju szukał i w Bogu tylko nadzieję pokładał. „Una igitur“ — mówił — „certissima in malis omnibus consolatio; unus et solus Deus suis est pater, mater, tutor, consiliarius, auxiliator, liberator“[1]. Przemawiał i na pogrzebach ludzi skromniejszych ubolewając nad różnymi formami ceremonii pogrzebowych. I żalił się gorzko, że dziś nawet cmentarzom się nie przepuszcza. Jedyna nadzieja zboru była tedy w opiece możnych, jak skupiająca mimo waśni na swym dworze w Brodnicy siostra króla Anna Wazówna albo patron zboru wojewoda bełski Rafał, który w podobnych sprawach też głos zabierał. Ta sama kultura posłużyła mu przede wszystkim do wystąpień publicznych w epoce tumultów, które naruszały porządek prawny.

Że napięcie było niemałe, wskazuje choćby sprawa tłumacza książki kalwińskiego teologa Piotra Molineusza z r. 1609. Tłumacz przełożył ją w r. 1624 i poświęcił protestantce, siostrze Zygmunta III, Annie. Przekład spalono w Lublinie, co poruszyło obrońców złotej wolności w nieco niespokojnych latach porokoszowych. Wojewoda oświadczył, że jest to dla niego niezrozumiałe[2]. Po jego stronie stanął i Krzysztof Radziwiłł, co sprawiło, że tłumacz Bolestraszycki nie został pozbawiony wolności i działał na synodach innowierczych, aż sejm koronacyjny za Władysława IV uchylił wyrok infamii. Tumulty powtarzały się przecież, na co wskazuje walka jezuickich kolegiantów ze sługami wojewody i napad na dwór kasztelanowej lubelskiej Barbary Słupeckiej. Oskarżano w ogóle innowierców o zmowy z ościennymi wrogami zabraniając im kultu w Piotrkowie i Lublinie. Doszło do tego, że skazany na grzywnę wojewoda udawał się do sejmu ze skargą na dekret trybunalski, gdzie podnosił, że wypada nabożeństwo i sumienie od terminów i polityki rozróżniać. Bronił i zborów, jak w Bełżycach, zalecając braciom dawanie dobrego przykładu przez wiarę i żywot.

Sam, rozmiłowany w nauce i poezji, przekładał Du Bartasa, którego kalwinizm był dla tłumacza rozstrzygającą pobudką. Chodziło o poemat o dziejach stworzenia, którego parafraza, jak się zdaje, nie dochowała się, oraz o Judycie, ogłoszony drukiem w rezydencji nadwiślańskiej w Baranowie w r. 1620[3]. Parafraza jest skrótem, skoro z sześciu ksiąg zostało tylko cztery, czyli z 2918 wierszy jedynie 1640. Tezy przemowy zostały usunięte, sam przekład wypadł nieco ciężko, szczególnie w końcu. Nie brakło umiejscowień, skoro są i wzmianki o Wiśle

---

[1] *Homilia sacra in funere ill. et magn. D. Andreae comitis de Leszno*, Dantisci 1607, L. 2.

[2] A. Kossowski: *Protestantyzm w Lublinie i Lubelskiem*, Lublin 1933, 138.

[3] T. Grabowski: *Z dziejów literatury kalwińskiej w Polsce.* W Krakowie 1906. Rozprawy Ak. Um. Wydz. Fil. S. II, T. XXVIII, 338.

i Tatarach. Interesujące jest zaś, że wypuszczono opis walk pod murami Betulii, zapewne dlatego, że nie ma go w znanym tłumaczowi tekście biblijnym. Skrót zyskał jednak na kompozycji, choć sylwetka bohaterki została zubożona.

Czytano też przekład w kołach innowierczych, skoro w r. 1629 pojawiło się jeszcze drugie wydanie[1]. Pisał wojewoda i inne wiersze o charakterze religijnym, których jednak nie ogłaszał. Jeżeli zaś zdecydował się na ogłoszenie swego przekładu, czynił to niewątpliwie ze względu na etyczną i daleką od względów świata atmosferę poematu. Przyswoił literaturze rzecz niepospolitą idąc poniekąd o lepsze ze swym towarzyszem podróży zagranicznych Naborowskim. Ten miał jednak zmysł towarzyski i wesołość, co zbliżało go do tradycji humanistycznej. Wojewoda jest poważny i traktuje swe zadanie niewątpliwie jako rodzaj pobożnego ćwiczenia. Wypełniała mu ona jego wczasy w bibliotece baranowskiej, gdzie nie brakło w ogóle poetów różnych narodów.

Studiujący współcześnie za granicą brat przyrodni Andrzeja, padewczyk Wacław, nim osiągnął, po nawróceniu, godność wojewody kaliskiego, kanclerza, generała wielkopolskiego, historyzował szczególnie za pobytu w swej rezydencji gołuchowskiej. Miał zaś kulturę filozoficzną, jak Rafał, skoro jeszcze w Strassburgu rozprawiał o wysokim znaczeniu filozofii, wyliczał jej zależne i niezależne od spraw materialnych części, nie pomijał i polityki oświadczając się za monarchią elekcyjną — z cudzoziemcem na tronie. „Peregrinorum electionem improbamus“[2] — mówił jako prawy dziedzic szlacheckich tradycji. Wyobrażeń republikańskich nie brakło w ogóle Leszczyńskim, skoro słynęły z nich i następne generacje rodu. Wacław był zaś oczytany, jeżeli cytuje w swej tezie Platona, Arystotelesa, Tomasza z Akwinu, Aleksandra de Hales, Toletusa, Zabarellę. A do tezy dopisują się cudzoziemcy, bawiący zapewne w Strassburgu, skąd Wacław dedykuje swą pracę Andrzejowi, gdy znów inni kasztelanowi radomskiemu Andrzejowi Firlejowi.

To wkracza zaś w sprawy etyki, jaka obchodzi bardzo możny i znaczny wśród innowierców ród kasztelana. I znów czytamy o cnotach, z których każda jest umiejętnie określona. Nie chwali Wacław nadmiaru cnót podkreślając mocno wartość czystości i prawdomówności: „Veracitas“ — mówi — „est virtus medium inter arrogantiam et dissimulationem servans, et circa sermones versatur“[3]. Szerzej

[1] R. Leszczyński: *Judith.* Opracowała M. Sipayłłówna. Warszawa 1936, 45.

[2] *Theses de definitione et divisione philosophiae,* Argentorati 1594, B2. Egzemplarz Ossolineum.

[3] *Disputatio de virtutibus tam moralibus quam intellectus.* Argentorati 1594, C_1. Tamże.

rozprawia o grzeczności, której ćwiczeniem się nabywa, także o sprawiedliwości, co z wolą ma związek. Naukę określa jako przyzwyczajenie intelektu, a sztukę jako nastawienie kierowane rozumem. „Ars“ — wyjaśnia — „est habitus cum recta ratione efficiens opus aliquod in iis rebus quae aliter se habere possunt“[1]. Zatem przypuszcza różne możliwości w sztuce. Nie odrzuca tolerancji jako widocznie cnoty rodu, lubi też dysputy. I talent poetycki posiada również, skoro kreśli epitalamium dla Sędziwoja Ostroroga i Zofii Firlejówny.

Opowiada w nim interesująco, jak to Bóg stworzył świat i ludzi oraz obdarzył darami młodą parę, którą podziwiają wszyscy:

Hos ego dum video, videor mihi prima videre
Secla Deos magnis assueta Heroibus olim
Jungere, cum Thetidis Peleus accensus amore
Et Thetis humano Dea conflagraverat igni...[2]

Plony poetyckie rodu przechowywała, jak i naukowe, biblioteka baranowska. Wojewodzic brzeski Andrzej szedł zaś w ślady przodków, skoro rozprawiał znów w czasie studiów bazylejskich w r. 1601 o dzielności i o przyczynach, które czynią rzeczpospolitą kwitnącą. Także wojewodzic bełski Andrzej interesował się arkanami arystokratyzmu i demokratyzmu w politycznych ustrojach w r. 1628. Tradycja poważnych studiów trwała zatem w rodzie nie tylko w jego reprezentantach innowierczych, ale i katolickich. Temperament literacki nie opuszczał go nigdy i później. Że tak było, wskazuje też poetycka twórczość Samuela Leszczyńskiego, który idąc za epicką modą wieku Twardowskich i Potockich ułożył, jako oboźny koronny i starosta łucki, dwa poematy batalistyczne, czyli *Potrzebę z Szeremetem* w r. 1661 i *Classicum nieśmiertelnej sławy* w r. 1674. Uważał się jednak za relatora, a nie oratora czy poetę, co świadczyło o smaku wojewodzica derpskiego. Jako mąż religijny wierzył w opiekę boską nad wojskiem, sławił kunszt wojenny, wynosił zasługi tych, co o Boga i wolność walczą. Drugą z relacyj poświęcał nawet Janowi Sobieskiemu, choć i dla jego małżonki, jako dyplomatycznej pogromczyni Szwecji, Moskwy i Kozaków, miał kult niekłamany. Nic też dziwnego, że panegiryści typu Twardowskiego głosili wielkość rodu, w którym i najmłodszy syn Rafała Bogusław okazywał czas jakiś wierność innowierstwu, skoro bronił arian rakowskich.

Niestety Baranów, za jego opiekuńczych nad nim rządów, stracił dawne znaczenie. Bogusław słynął natomiast z wymowy, gdy jeszcze w r. 1641, jako wojewodzic bełski i marszałek sej-

---

[1] Tamże, E_2.

[2] *Epithalamium ad ill. et magn. dominum Sendivoium comitem ab. Ostrorog.*, Argentorati, A 5. Tamże.

mowy, upominał się o rozdanie wakansów. „Bo wtenczas" — prawił — „wy Ziemscy Bogowie największą Majestatu swego rozpościeracie powagę, kiedy siłą potężni dajecie ucho Suplikantom. Wtenczas pokazujecie, czym ludzie przechodzicie. To jest bowiem dobrowolne wyznanie poddaństwa łaski prosić, to exercitium summi imperii łaskę pokazować"[1]. Zręcznym był zaś politykiem, skoro kolejno dzierżył podskarbiostwo koronne, generalstwo wielkopolskie, wreszcie podkanclerstwo, choć robiono mu zarzuty na temat uczciwości na pierwszym urzędzie.

Zwierciadłem kultury Leszczyńskich jest niezaprzeczenie — biblioteka baranowska. Wiadomo zaś, że biblioteki doznały w wieku renesansu odmiany, ze względu na ich zawartość. Biblioteka stała się dla humanisty jakby świętością i wyrazem jego kolekcjonerskiego zmysłu. Za wzorem włoskim zaopatrywały się w księgi dwory wielkopańskie czyniąc ich zbiór miejscem intelektualnego i estetycznego używania. Antyczni, humanistyczni, scholastyczni, reformacyjni autorowie zaludnili półki nawet w domach mieszczańskich. Bazylea stała się ośrodkiem ich zakupna dostarczając wszystkiego dla prywatnych i publicznych zbiorów. W epoce wojny trzydziestoletniej poczęto ustawiać księgi na repozytoriach wzdłuż ścian[2], z użyciem galerii ułatwiających dojście do półek i z zastosowaniem ozdób w modnym stylu wieku.

Ten nowy typ przedstawia i biblioteka baranowska, gdyż nie ma w niej pultów i przywiązanych do nich ksiąg. Było tak teraz w oksfordzkiej Bodleianum, gdzie księgi stały wedle grup i posiadały katalog już w r. 1605 i 1620, gdy dla królewskiej paryskiej sporządził go Rigault w r. 1622. Baranowska odpowiadała tedy nowemu typowi będąc zbiorem uniwersalnym, praktycznym, ułożonym zgodnie z zainteresowaniami członków rodu. Odpowiadała epoce wszechstronnego zainteresowania nie tylko teologią czy humanistyką, ale i przyrodoznawstwem. Układano ją systematycznie, może pod okiem Węgierskiego lub innego leszczyńskiego erudyty. Odzwierciedlała zainteresowania Leszczyńskich w czasie studiów szczególnie sztrasburskich, kiedy to nauka etyki i języków, za dni rektora Jana Sturmiusa[3], osiągnęła wysoki poziom[4]. Istnieli tam fachowcy w bibliologii, jak Marbach, w prawie, jak Tuppius, w etyce, jak Regius, w retoryce, jak Erythraeus, w matematyce, jak Dasypodius, w dialektyce, jak Hertel.

---

[1] *Swada Polska i Łacińska albo miscellanea oratorskie*, t. I, Lublin 1745, 219.

[2] A. Hessel: *Geschichte der Bibliotheken*, Göttingen 1925, 68.

[3] A. Schricker: *Zur Geschichte der Universität Strassburg*, Strassburg 1872, 26.

[4] T. G. Iwand: *Die juristische Fakultät der Universität Strassburg*, Strassburg 1917, 30.

Tezy szkoły rozciągały się na cały obszar wiedzy, choć na razie nie była ona jeszcze akademią. Celowała szczególnie w prawie, gdzie najsławniejszy był Dionysius Gothfredus, jako wydawca źródeł i nauczyciel, obok historyków, jak Filip Glaser lub Paweł Grossecius. Biblioteka baranowska nosi tedy piętno wieku, a zwłaszcza swego twórcy, wojewody bełskiego. Jej katalog, spisany w r. 1624, obejmuje cały szereg repozytoriów, z bogatymi i wielostronnymi działami[1]. Pierwsze repozytorium obejmuje, zgodnie z ówczesnym zapałem dla teologii, Ojców Kościoła w wydaniach kolońskich, bazylejskich, antwerpskich, frankfurckich. Obok nich wysuwają się pisarze średniowieczni, jak Beda, Bernard, Durandus, Petrarka, Liranus. Następują nowi, jak Faber, Kalwin, Martyr, Pellicanus, Bullinger, Bucer, Zanchius, Luter, Spangenberger, Bellarmin, Toscanus, Fauntaeus, Skarga. Zwraca uwagę zbiór biblij, gdzie nie brak i średniowiecznego rękopisu polskiej, czyli Starego Testamentu aż do psalmów, który mógł być biblią królowej Zofii i dostał się tam zapewne za pośrednictwem Komeńskiego.

Drugie repozytorium wypełniają też teologowie różnych wyznań, jak znany już Molinaeus, Cochlaeus, Scultetus, Sturmius, Schwenkfeldus, Oecolompadius, Vergerius. Osobno stoją dzieła antytrynitarzy, jak Farnovius, Voidovius, Czechowicz, Grzegorz Paweł, Licinius. Żarnowczyk, Łaski, Mikołajewski, Gilowski, Bartłomiej Bythner stanowią dział kalwiński. Nie na tym koniec. Idą znów teologowie obcy i swoi, jak Chytraeus, Piscator, Wolan, Stegman, Mornaeus, Chemnitius, Trotzendorf, Neander, Vigandus, Kraiński. Nie brak polityków i filologów, jak Macchiavelli i Budaeus, polemistów, jak Eckius i Orichovius. Często powtarzają się Melanchton, Kalwin, Bellarmin. A i czwarte repozytorium zapełniają tacy, jak Erythrophylus, Vigandus, Zanchius, Grynaeus, Beza, Stancarus. Roi się od konfesyj, polemik, dysput w różnych krajach od początku ruchu reformacyjnego do wojny trzydziestoletniej.

Po repozytoriach teologicznych następują historyczne, gdzie znów przesuwają się historycy starożytni, jak Herodot, Tucydydes, Ksenofont, Liwiusz, Swetoniusz, Flawiusz, Plutarch, Zonaras, Ikatas, Chomates. Są średniowieczni, jak Procopius, Jordanes, nowsi, jak Jovius, Guiciardini, Kromer, Piccolomini, Długosz, Gwagnin, Sleidanus, Buchananus. Są historie poszczególnych krajów, traktaty polityczne i prawnicze Hotmana, Arnaulda, Gothofredusa, Casaubonusa. Roczniki Orzechowskiego są w rękopisie, nadto statuta Przyłuskiego i Herburta, zbiory prawa cywilnego. Z historyków i polityków francuskich należy wymienić Froissarta, Commynaeusa, Thuanusa, Bodina. Repozytorium filozoficzne zawiera dzieła Arystotelesa, Cycerona, a nadto, rzecz charakterystyczna,

---

[1] *Catalogus librorum bibliothecae Baranowiensis* scriptus A. 1624 d. 3 Dec. Rkps biblioteki wrocławskiej miejskiej.

Bakona z Werulamu, co dowodzi orientacji w ewolucji myśli współczesnej.

Pełno jest dzieł z zakresu retoryki, matematyki, fizyki, wśród których jaśnieją Ramus i Galileusz. Geometria i trygonometria mają oczywiście przedstawicieli. I znów powtarza się sztrasburski mistrz Sturmius, gdański logik Keckerman. Nie pominięto bibliografii Gessnera. Teksty poetów antyku i humanizmu mnożą się stale, mieszając z matematykami, jak Dasypodius, lekarzami, spirytystami, demonologami, jak Laur, Lefrancus, Porde, Pancerius, Hyperius. Gramatycy zajmują też wiele miejsca, z takimi na czele, jak Valla, Linacrus, Sabinus, Polanus i inni. Osobne repozytorium obejmuje pisarzy włoskich i francuskich, gdzie królują Ariosto, Rabelais, Du Bartas, Ronsard. Z fizyków warto zanotować mechanika Ubaldusa. Są pozycje z muzykologii, brak, poza Amadisem, literatury romansowej, jakby dla potwierdzenia tezy Łukasza Opalińskiego, że nie znajdowała ona u nas wiele uznania.

Literatura leszczyńska zajmuje oczywiście osobne miejsce. Znajdują się tu pisma obu Turnowskich, Gratiana, Poniatowskiego, Muzoniusa, Jana Rybińskiego, wreszcie rodu patronów zboru. Bezcenne musiały być sztambuchy członków tego rodu, które powiedziałyby o związkach przyjaźni panów na Lesznie, Baranowie, Gołuchowie. Bije z biblioteki duch nowych czasów, kiedy to rozwój matematyki rozsławił nazwiska Tartaglii i Cardacca, a postęp nauk ścisłych uwydatnił zasługi astronomów i mechaników, jak Kepler i Galileusz [1]. Wiadomo, że drugi z nich urzeczywistnił właściwie tezy Bacona, który nie jest obcy panu na Baranowie, i że teorie prostych machin ustalił Ubaldo, którego on zna również. Padał w gruzy arystotelizm i w ogóle formalizm myśli średniowiecznej, gdyż umysły skłaniały się do wiedzy opartej na obserwacji i doświadczeniu opierając o nią swą filozofię i pogląd na życie. Do nich należał właśnie klient wojewody, Komeński. Renesans naukowy szedł zaś po artystycznym, który począł się wyczerpywać. U progu tej epoki, odwracającej się od kultu antyku i idącej na nowe szlaki, stoi właśnie — patron Komeńskiego i Leszna.

III

Za Jana Kazimierza sprawa religijna weszła w ogóle na gorsze tory. Innowiercy, jak Janusz Radziwiłł, popierali w czasie elekcji przeciwników Wazów. Potem działali opozycyjnie w atmosferze coraz więcej nietolerancyjnej, a nawet zmąconej intrygami skierowanymi przeciw królowi. Radziwiłł jest w stosunkach z Hohenzollernami, Krzysztof Opaliński nie gardzi ich opieką, podobnież Bogusław Leszczyński. A Jerzy Lubomirski,

[1] J. Péres: *Les sciences exactes*, Paris 1930, 69—98.

choć jak Opaliński i Leszczyński, jest katolikiem, wdaje się w układy z Jerzym Rakoczym. Lennik pruski dąży zaś wytrwale do stania się udzielnym w dawnym lennie, a jednocześnie nie traci wpływu na innowierców. I w zborze leszczyńskim, związanym z kalwinizmem, a zbliżonym do luteranizmu, zachodzą pewne zmiany.

Żywioł napływowy niemiecki wzrasta w Lesznie ze względu na niepewne stosunki na Śląsku. Wzrasta i duchowy związek ze Śląskiem, w miarę jak przybywa niemieckie mieszczaństwo. Czesko-morawski konfesjonalizm ustępuje zwolna, skoro od r. 1638 konrektorem szkoły jest już, jak wiadomo, luteranin, co nadaje jej charakter międzywyznaniowy. Zmagają się też z sobą konfesjonalizm i humanizm, jak wszędzie, a nieliterackie generacje braci są już niby odległą przeszłością. Poezja staje się nawet potrzebą życia pewnych ludzi, co utrwala łączność z humanizmem miast śląskich. W bliskim Bojanowie staje też szkoła luterska, gdzie nie stroni się od pisania wierszy łacińskich, niemieckich i polskich [1]. Pociągało teraz Leszno kultem poezji, którą uprawiają nie już, jak dawniej, patronowie zboru, ale mieszczanie leszczyńscy.

W szkole grywało się dramaty łacińskie, bo też punkt ciężkości tkwił w poetyce i retoryce, co naukę języka, pamięciowe opracowywanie fraz, ćwiczenia prozodyczne stawiało na pierwszym miejscu [2]. Pisano mowy i wiersze na dane tematy, a dysputy i deklamacje odgrywały wielką rolę. Bytom, Toruń, Leszno, jako ośrodki innowierczego szkolnictwa, prześcigały się w wierszowaniu o poważnej tematyce, od której nie stronili i rektorowie, jak popierany przez wojewodę bełskiego Jan Muzonius. Przybywało poetów zaczynając od magistra Jakóba Memorata, który w szkole gdańskiej logikę i fizykę wykładał, a potem w Lesznie niemieckim i polskim kaznodzieją był. Zjawił się i nadworny humanista Chrystian Teodor Schosser, by wejść do koła, na które składali się Jonston, Jerzy Zugehör, Samuel Specht, Kasper Scultetus. W domu rodziny Zugehörów kupili się magistrowie, poeci, duchowni, co uczyniło grunt podatnym dla uprawy poezji towarzyskiej i okolicznościowej. Drukarnia leszczyńska puszczała zaś w świat i dzieła pisarzy śląskich, jak Gdacjusz i inni.

Schosser nie szczędził zaś córce Memorata Annie Memoracie rad literackich, choć nie uczynił jej dumną ze swego talentu. Wielbili jednak Memoratę i poeci, jak Jan Heerman, Samuel Heerman, Cyriak Rebentrich i Konstanty Scheumius, Walenty Schoenborn i Samuel Specht. Schosser mianował ją najsławniejszą i najuczeńszą wzywając do wstąpienia na strome

---

[1] Th. Wotschke: *Das evangelische Provinzialgymnasium zu Bojanovo.* Zeitschrift d. hist. Gesellschaft f. d. Provinz Posen, XXIV Jahrg., I H., 122.

[2] Tenże: *Lissaer Gymnasium zum Anfang des XVII Jahrh.* Tamże. XXI Jahrg., 162.

przełęcze Parnasu i porzucenia smutków młodości. Wydawało mu się, że nawet Safonę przewyższa ona dźwięcznością wiersza i jest najznamienitszą ozdobą sarmackiego królestwa, jako dziesiąta muza parnaska i godna poetyckiego wawrzynu. Jaśnieć ona będzie tak długo, póki będzie istnieć Febus i zielenić się Atlas:

At Memorata, nova regione beata locoque
In sella inter musas fulgente refulges,
Alma futura tuis fautrix et stella poetis
Te celebrant summi praeclaro pectine vates
Donec erit Phoebus, viretque poetifer Atlas[1].

Władał zaś Schosser biegle heksametrem, choć posługiwał się dawno zużytą motywiką.

Memorata odpowiadała zaś skromnie swym leszczyńskim wielbicielom. Pisała w ogóle rzeczy okolicznościowe poświęcając je między innymi kasztelanowi międzyrzeckiemu Adamowi Grodzieckiemu i wojewodzie sieradzkiemu Kasprowi Döhnhoffowi. Nie zapominała o sekretarzu Bogusława Leszczyńskiego Samuelu Spechcie głosząc, że brak jej sił, by stwarzać słodkie harmonie, i że jej muza jest jałowa i uboga. Mniemała, że jej wiersze nie są godne imion przyjaciół, bo nimfy eońskie nie upoiły jej miłym nektarem.

Si mihi felices essent in carmine vires,
Spechte, per Aonios concelebrate choros,
Plurima conciperem meditato carmine verba
Atque darent dulces plectra canora sonos.
Nunc ieiuna licet sint haec mea carmina, verum
Adspice, respondet musa tenella tibi[2].

Metrycznie jej elegia jest bez zarzutu, choć przypomina podobne twory rzymskie. Sama w sobie wyobraża, ze względu na szczupłość ram, epigramat.

A Schosserowi wyznaje znów Memorata, że przyznany jej wieniec poetycki przekracza jej zasługi. Nie posiada ona ani przygotowania, ani zdolności. Wystarcza jej zaś, gdy kosztuje sama czarów innych poetów i uczonych. Dziękuje też Febusowi, że jest dla niej podnietą do wierszy bez natchnienia:

Est satis usque mihi primis gustasse labellis
Sacra poëtarum scitaque docta virum.
Interea tibi persolvo, quas debeo, grates,
Phoebe, quod ex studiis fomes amorque mei[3].

Wyrzekanie na brak natchnienia jest jednak też zużytym motywem literackim. Technika jest przecież dobra mimo licznych elizji. Była zatem Memorata literacką osobliwością i mia-

---

[1] *Anny Memoraty dziewicy polskiej łacińskie wiersze*, z lat 1640—1644. Warszawa 1895, 19.
[2] Tamże, 25.
[3] Tamże, 26.

nowała się polską dziewicą. Niestety nie opromieniało jej jednak teraz słońce łask Leszczyńskich, skoro patron sławnego rodu znajdował się już w obozie katolickim. Minęły też czasy, gdy ród panów na Lesznie wysyłał młodzież do Altdorfu, Heidelbergu, Bazylei, Strassburga, chcąc, by szkoła leszczyńska stała się tylko wstępem do wyższych studiów.

Opieka rodu nad Lesznem niby trwała, choć nie miała już znamion dawniejszych. Ozdobą zaś jego naukowych zamierzeń był wymieniony już polihistor Jan Jonston[1]. Pochodząc z rodziny szamotulskich osiedleńców szkockich studiował on w szkole ostroroskiej pod Janem Hypericusem, który był później kaznodzieją w Bytomiu i Toruniu. Podróżował po Anglii i Szkocji ucząc się w słynnym St. Andrews College filozofii, teologii i przyrodoznawstwa[2]. Zajął się wreszcie medycyną uczestnicząc w różnych poczynaniach naukowych, które wskazywały na jego wszechstronność encyklopedyczną. Widać ją było przecież wyraźnie i w bibliotece opiekującego się Jonstonem rodu. A to czyni ten ród pionierem, wraz z grupą bliskich mu ludzi, nowych wieków i zawiązku gotującego się oświecenia. Jeżeli zaś medycyna nie była obca renesansowi, nie mogły nie skłaniać się ku niej i umysły encyklopedystów typu Jonstona. Jego wiedza szła w pomoc Lesznu, gdyż była czerpana z najlepszych źródeł i zbliżała do niego europejską elitę towarzyską i naukową. Celowała zainteresowaniami pedagogicznymi, które czyniły go wychowawcą młodych, jak dwaj Korczbok Zawadzcy i Jan Schlichting, nie mówiąc o innych. Uderzała orientacją w dziedzinie teologii i historii, ale szczególnie medycyny. Ta atmosfera wszechstronności cechowała szczególnie uniwersytet lejdejski, gdzie nowe odkrycia w zakresie anatomii odpowiadały umysłowości wychowawcy młodego pokolenia leszczyńskiego.

Tam studiował Jonston botanikę, nie pomijał etyki, co czynił wszystko nie dla kariery uniwersyteckiej, ale dla pogłębienia swej wiedzy pedagoga. Patronujący mu ród miał przecież oczy otwarte na postęp wiedzy. On pośredniczył niejako między nim a tym, co działo się na zachodzie. Jego rady bogaciły niewątpliwie zbiory baranowskie. Jego podręczniki, choćby z zakresu historii, były przeznaczone do użytku gimnazjum leszczyńskiego[3] i dedykowane uczniom. Pochłaniała go jednak medycyna czy w Holandii, czy w Anglii, czy we Francji. A on umiał łączyć kult medycyny antycznej z prądami współczesności. Wszędzie stykał się też ze współwyznawcami, bo religijności nie zatracił, choć wgłębiał się w autorów, filozofów, historyków i medyków.

---

[1] *Bibliografia Polska*, t. VII, Kraków 1901, 330.

[2] A. Warschauer: *Die deutsche Geschichtsschreibung in der Provinz Posen*. Zeitschrift d. hist. Gesellschaft f. d. Provinz Posen, XXV Jahrg., I—II Halbbd, 214.

[3] I. Bilikiewicz: *Jan Jonston* (1603—1675), Żywot i działalność lekarska, Warszawa 1931, 45.

Stojąc na tej wyżynie rozciągał nadzór nad szkołą leszczyńską wraz z innymi, żyjąc bliżej z Komeńskim i innymi przedstawicielami leszczyńskiej kultury. Uważał się za Szkota, choć jak inni, nasiąknął polskimi wyobrażeniami. Najlepiej czuł się wśród zajęć naukowych i praktyk lekarskich publikując prace z zakresu mineralogii, higieny, medycyny.

Ta ostatnia opierała się u niego na anatomii i fizjologii. Funkcjami fizjologicznymi kierują, w jego systemie, władze duszy [1]. Budowa fizyczna łączy się z pewnymi skłonnościami do zachorzeń cielesnych. Nie lubił Jonston spekulacyj i wierzył w moc leczniczą natury, a umiał klasyfikować i porządkować dorobek przeszłości i współczesności. Wyznawał wzniosłe poglądy na etykę lekarską dając też wskazówki dla zaawansowanych w praktyce. Jeżeli zaś w Baranowie widziano na półkach Bacona, to lekarz rodu wyrażał też baconowy empiryzm [2]. Dobry diagnosta, umiał godzić mechanistyczny idealizm kartezjański z dualizmem ciała i ducha. Ale jak jego wiek, lubił i sensacje w naturze. Zdobywał się na klasyfikację w naukach przyrodniczych, umiał klasyfikować i w medycynie. Jako empiryk szedł drogą, którą szedł i Komeński. Nie radził sprzeciwiać się naturze. Jego zaś I d e a u n i v e r s a e m e d i c i n a e p r a c t i c a e znalazła ogólne uznanie i komentarze nawet ze strony wielkości medycznych o europejskim znaczeniu [3]. Przekładano na obce języki jego dzieła przyrodnicze jeszcze długo po śmierci, tym więcej, że zwłaszcza dzieło medyczne miało charakter encyklopedyczny. Jak słusznie zauważył jego badacz, wyobrażał Jonston pęd do encyklopedyzmu, który przyszedł jako pokłosie doby porenesansowej. Zjawili się kompilatorowie z krwi i kości, dla których pracownią mogła być i biblioteka baranowska. Odpowiadała ona duchowi Leszczyńskich i ich lekarza.

Ogromna praca rodu nie poszła na marne, skoro poparła Jonstona i Komeńskiego. W atmosferze leszczyńskiej wierzono też w moc leczniczą natury i moc wychowania w związku z naturą. To pozwoliło kulturze Leszna oderwać się od scholastycyzmu i od jednostronności kultu litery, a zbliżyć do rzeczy. Jako człowiek trzeźwy uczestniczył Jonston i w badaniu komisyjnym stanu towarzyszki Komeńskiego, jasnowidki Krystyny Poniatowskiej. Że zaś posiadał ogromną wiedzę, spełniał, z polecenia wojewody bełskiego, obowiązki ochmistrza przy podróżującym Bogusławie.

Doktor lejdejski, doktoryzowany i w Cambridge, przyjaciel takich erudytów, jak Soumaize i Heinsius, interesował się bibliotekami w Paryżu, gdzie poznał magistrów kalwińskich Andrzeja Rivet i Samuela Petit. Zwiedził i akademię kalwińską

---

[1] Tamże, 111.
[2] Tamże, 145.
[3] Tamże, 153.

w Saumur oraz rozkoszował się zabytkami klasycznymi we Włoszech. Należąc do leszczyńskiego scholarchatu odmawiał zaproszeniom do Frankfurtu, Lejdy i Heidelberga. Jak Komeński, posiadał i on rozległą wiedzę biorąc zapewne udział w gromadzeniu zbiorów baranowskich, a pracując z intencją pedagogiczną dla szkoły leszczyńskiej, szczególnie na polu historii. Jako badacz przeszłości zwracał uwagę głównie na panujących dzieląc całość na sprawy monarchiczne i przedmonarchiczne. Monarchiczne objęły monarchie babilońską, perską, macedońską, rzymską. Niemiecka zlewa się u niego z rzymską. Wykład tych spraw przedstawia się zaś jasno i przystępnie, gdyż przeznacza go Jonston dla młodych.

Jeżeli podręcznik historii poświęcił on [1] wojewodzicowi Władysławowi i sędzicowi wschowskiemu Aleksandrowi, to znów ośmioksięgowe dzieło o medycynie dedykował kurfirstowi brandenburskiemu Fryderykowi Wilhelmowi w r. 1644. Powodzenie miała jego książeczka o obyczajach, skoro w r. 1658 wychodziła jeszcze w śląskim Brzegu. Pociągała wreszcie Jonstona przyroda martwa i żywa. Czytano jeszcze w wieku oświecenia jego botanikę, także zoologię, gdzie każdy dział świata zwierzęcego jest opracowany. Miał w ogóle Jonston talent kompilacyjny, a swe wywody ilustrował udatnymi rycinami, które jak dziełom Komeńskiego, dodawały i jego pracom dużo uroku. Zmysł obserwacyjny miał wyostrzony, a i urokiem osoby nie mógł nie oddziaływać na starszych i młodszych. Nic dziwnego, że był w leszczyńskim ośrodku osobistością poważaną i wpływową.

Historyzm miał zaś w ogóle oparcie tu i na Śląsku w licznych i pełnych oświeconego mieszczaństwa miastach. Powstawały tedy miejskie kroniki, także opisy ważnych wypadków, wreszcie zbiory protokołów synodalnych, które posłużą w wieku następnym jako źródło historykom protestantyzmu, jak S. T. Lauterbach, M. Adelt, Chr. G. Friese. Historyzm leszczyński nie może również nie objawić swej żywotności wznosząc się nad usiłowania takich pracowników, jak rektor szkoły bojanowskiej Jan Herbinius i inni. Wybiegł poza sprawy miejscowe, nawet poza sprawy wyznania braci. Że tak było, dowodzi znany już scholar leszczyński i toruński, a potem lejdejski, wreszcie znany senior włodawski i rektor leszczyński w r. 1629, A n d r z e j W ę g i e r s k i.

W swym ujęciu dziejów reformacji w krajach słowiańskich aż po r. 1650 nie miał on wcale poprzednika. Pierwsze wydanie jego dzieła przygotował utrechcki teolog Gisbert Voetius. Drugie wyszło bez ukrywania nazwiska autora w lat trzy po jego śmierci, z uzupełnieniami brata Tomasza, który również

[1] J. Jonston: *Historia universalis civilis et ecclesiastica*, Lugduni Batavorum 1638, 3.

interesował się dziejami zboru krakowskiego. Zainteresowali się zaś dziełem nie tylko luteranie i kalwini, ale i arianie, skoro nie pomijało ono nikogo wnikając nawet w sprawy kościoła wschodniego. Przede wszystkim zaś wprowadzało początek i rozwój reformacji, opowiadało o prześladowaniach i składach osobowych każdego wyznania nawiązując jeszcze do ruchów średniowiecznych. Czytelnik mógł zorientować się w tym, co było za granicą i u nas.

Historyczna statystyka polskich zborów innowierczych jest jeszcze dziś cenna. Prześladowanie tych zborów upodabnia historyk do spraw pierwszych wieków chrześcijaństwa. Obejmują te sprawy całość państwa i poszczególne prowincje. Stanowisko Batorego w sprawach religijnych jest słusznie podniesione, gdy Zygmunt III jest wprost przemilczany. Zwraca uwagę poczucie spełnienia misji w rozwoju polskiego innowierstwa, szczególnie w epoce zawarcia zgody sandomierskiej. Zjazd toruński uważa historyk za korzystny, a sprawy szkół i gmin innowierczych traktuje szczegółowo przypisując prześladowanie akcji zakonu jezuickiego. Nie wiąże tych spraw z sobą, co jest słabą stroną układu całości[1], choć materiał daje bezcenny i będący źródłem dla badaczy w ciągu kilku wieków. Historyk ariaństwa Lubieniecki przewyższył Węgierskiego zdolnością ujmowania faktów w sposób genetyczny, ale nie wiernością w ich podawaniu.

I w dziedzinie kaznodziejstwa był on czynny niepospolicie. Swój zbiór poświęcał wojewodzicowi derpskiemu Andrzejowi i wojewodzicowi bełskiemu Władysławowi, co wskazuje na opiekę rodu nad Lesznem, mimo nawrócenia Bogusława. Wymienił też w dedykacji kasztelana chełmskiego Zbigniewa Gorajskiego, który był przecież dyrektorem zjazdu toruńskiego, oraz innych, jak Jan Zbąski, Adam Suchodolski, Piotr Sieniuta. „Najprzystojniejsza“ — mówił — „jest rzecz językiem swoim macierzyńskim (choćby kto umiał i obcy albo łaciński) modlitwy moje odprawować“[2]. Podawał więc każdodzienne modlitwy przeplatając je komentarzem tekstu biblijnego. Nie pominął żadnego wypadku życia wprowadzając kolejno wzmianki o sprawach domowych, o zborze, o nawróceniu niewiernych, o urzędzie i zwierzchności, o sejmikach i sejmach, o bezkrólewiu. Jego nauki uderzają prostotą, która cechowała zresztą idące więcej drogą Reja kaznodziejstwo innowiercze.

Imponuje we wskazaniach Węgierskiego rygor moralny, jako spuścizna brackich generacji; wysokie pojęcie o urzędzie kaznodziei, który sprawuje przecież poselstwo w imieniu Chrystusa, nie może odsuwać się od objawienia, nie świecić dobrym

---

[1] K. Völker: *Der Protestantismus in Polen*, Leipzig 1910, 66.
[2] *Kaznodzieja osobny, domowy i zborny.* W Gdańsku 1646, Cc2.

przykładem w domu i zborze. Nie ma kaznodzieja zborowy ubiegać się o nowość, razić nadętością, wabić udaniem. Ideał kaznodziei innowierczego różnił się więc zupełnie od współczesnego w wieku konceptu, popularności pseudouczoności, pochlebiania wszystkim. Dbałość o ozdobność i efekty była zupełnie obca ludziom zboru, czy kazali oni w Lesznie, czy w Słucku, gdzie kwitła również szkoła kalwińska. Wiązało się to z pewną ucieczką od kultu antyku i w ogóle formy, jako dziedzictwa humanizmu. Jeżeli w poezji leszczyńskiej humanizm odegrał pewną rolę, to obcy był literaturze historycznej lub kaznodziejskiej, a niemiły i leszczyńskiemu koryfeuszowi Komeńskiemu.

Że tak było istotnie, wskazują i mowy pogrzebowe wypowiedziane nad grobem największego patrona Leszna, wojewody bełskiego. Węgierski i Komeński[1] opisują wiedzę, mądrość, pobożność zmarłego unikając wszelkiej przesady i panegiryzowania. Drugi zatrzymuje się szerzej nad jego spędzonymi na modlitwie i śpiewach ostatnimi latami podkreślając zgodnie ze swym nastawieniem mistycznym, że wojewoda umarł w fatalnym dla wielkich ludzi miesiącu marcu, przy zmniejszeniu się księżyca, w sobotę jako w dniu pokoju. Śmierć pana na Lesznie i Baranowie zabolała i śląskiego wodza poetów Opitza, choć zwracał on uwagę raczej na sprawy świeckie rodu i wojewody.

Śląsk oddziaływał też na Leszno swym kultem poezji raczej w duchu humanistycznym. Tym należy też tłumaczyć wystąpienie Memoraty. Wiadomo już zresztą, że zmagały się tam z sobą tradycjonalizm, który wyobrażał taki Węgierski, i humanizm, który przedstawiał śląski liryk Jan Heermann. Nieliterackość reformacyjna i duch kontemplacyjny tkwiły i na Śląsku, gdzie był Opitz, ale i był Anioł Ślązak. Śląska krew płynęła też w żyłach innego kaznodziei, który był synem teologa zboru Bartłomieja Bythnera. Jeżeli traktaty Bartłomieja na temat wzywania świętych i istoty sakramentów czytano w kołach braci z zajęciem, to Jan Bythner pełnił rolę superintendenta w zborze wielkopolskim, wygłaszając również kazania pogrzebowe w stylu przyjętym w innowierczych zborach. Teologia była zaś w ogóle zainteresowaniem rodziny kaznodziei, bo Jan Marcin rozprawiał w Lejdzie o upadku Lucyfera w r. 1706, a Wiktoryn zajmował stanowisko profesora hebrajszczyzny w Cambridge i w Oksfordzie.

Postylla Bythnera zwraca się do prostaków i uczonych, gdyż daje cytaty łacińskie z Ojców Kościoła. „Mają“ — mówił superintendent wielkopolski o czytelnikach drugiej kategorii — „większą uciechę i smak w tym, gdy samego

---

[1] W. Bickerich: *Aus Lissas Vergangenheit. H. I. Raphael Leszczyński.* Lissa b. r., 26.

autora, z którego cytuję, widzieć i czytać mogą słów aniżeli przetłumaczone, zwłaszcza że nie zawsze pewne są wersje tłumaczenia tych sentencyj". W prostocie stylu szedł o lepsze Bythner z Węgierskim. Zaczynając swe kazania od początku roku kościelnego, wskazywał, że królem zboru jest sprawiedliwy, ubogi i pokorny Chrystus. Na jego przyjście wypada się gotować wstrzemięźliwie i w skupieniu, naśladując Go we wszystkim i idąc wiernie za jego nauką. Jest On naszym bratem jako człowiek, choć świat go nie poznał. I dlatego musiał stać się zgubą dla wielu, choć jest królem wszystkich, a nie tylko jednego narodu czy szczepu. Celem kaznodziei była też obrona bóstwa Chrystusa, które podważali arianie dawniej i wtedy.

Na tym polu kalwini szli w jednym szeregu z katolikami, skoro Bythner powołuje się nawet na Skargę. Pamiętne były zresztą zborom polemiki toruńskiego ministra Nethebela, które ofiarowywał on niegdyś staroście radziejowskiemu Rafałowi, dalej Pawła Gilowskiego, Grzegorza z Żarnowca, Daniela Clementinusa. Teraz ta walka przycichała ustępując miejsca wymierzonej przeciw arianom polemice katolickiej. Bythner podejmuje ją na nowo, uderzając też wobec katolików w ton dość kompromisowy. Wierzy zaś, że Bóg czuwa ciągle nad człowiekiem, wierzy i w znaki, jak pokazywanie się komet. Nie jest, jak Komeński, chiliastą, dba tylko o wiarę, bez której nie ma łączności wśród ludzi. Odrzuca małżeństwa mieszane i chce, by związek mężczyzny z kobietą opierał się o ducha, a nie o gładkość lub pieniądze. Napomina do miłości bliźnich, dodaje otuchy wątpiącym. Nie ceni, jak i poprzednie generacje braci, pogańskich autorów, gdyż świecką naukę poczytuje za plewę.

A więc stoi na stanowisku antyhumanistycznym, jakby nie kazał w Lesznie, gdzie napisy na drzwiach klas szkolnych wyrażały kult antyku. „Coby mieli sobie brać w pamięć osobliwie kaznodziejowie" — mówi — „którzy miasto Pisma św. wolą na katedrze cytować i przywodzić filozofy, historyki i sentencje pogańskie aniżeli Pismo św. A owo plewy to wszystko, samo zaś Słowo Boże jest pszenicą czystą i prawdziwą. Ale i wszyscy wobec kaznodzieje mają się starać, żeby gdy wstępują na katedrę, aby tam słowo Boże opowiadali, poważnie i przystojnie to czynili"[1]. Pozostaje więc Bythner w zgodzie z Węgierskim, w zgodzie z całą tradycją zboru od dni Jerzego Izraela i Jana Rokity. Ubolewa zaś, że słowo mija bez wrażenia na wielu, którzy słuchają więcej rządzącego w świecie szatana. On to wabi do siebie

---

[1] *Postylle abo kazań na ewangelie, które się podług starodawnego porządku w W. Polszcze przez cały rok w niedzielę i święta czytają i wykładają*, cz. I, w Lesznie u O. Dettera, 1655, 457. Unikat biblioteki ew. ref. w Wilnie.

ludzi świata drogą zmysłów albo kusi marzeniami naturalistów, którzy odrzucają wszelką wiarę. Ma tu na myśli kaznodzieja takich, jak liczni na zachodzie epikurejczycy, libertyni, filozofowie. Należał do nich Saint-Evremond, Ninon, Lassay. Żywili się oni Lukrecjuszem i Seneką, którzy docierali może i do niektórych głów w polskich zborach.

Szczegółowo zajmuje się Bythner sakramentem ołtarza, którego sens dzielił od wieku z górą teologów Wittenbergi i Genewy. Kaznodzieja upatrywał w nim symbol zjednoczenia wszystkich i wierzył, że nie chodzi tu o pospolity chleb i wino ani o goły, czczy i próżny znak. Wyjaśniał, że inną rzecz się widzi, a inną rozumie, czym stwierdzał wiarę w obecność boską w sakramencie. Nie chciał wyjaśniać tylko sposobu tej obecności przestrzegając, jak niegdyś Szymon Teofil Turnowski, przed zbytnim racjonalizowaniem. Zajmował więc raczej postawę irracjonalistyczną powołując się zresztą na oświadczenie na zjeździe toruńskim. „Stąd rzeczy ziemskie chleb i wino" — tłumaczy wiernym — „prawdziwie są i zowią się samym Ciałem i Krwią Chrystusową, co przewidzieć nie istotnie abo cielesnie, ale sakramentalnie i tajemnie, to jest przez i dla zjednoczenia sakramentalnego, które nie zależy na gołym znaczeniu ani tylko w pieczętowaniu, ale i w złączonym onym i po społu będącym rzeczy ziemskiej i niebieskiej, acz różnym sposobem podawaniu i nazywaniu" [1]. Zgodnie z nauką Kalwina, zaznacza i Bythner, że niewierni przyjmują jedynie czczą formę sakramentu.

Żałować wypada, że tragiczne wypadki w czasie najazdu szwedzkiego przeszkodziły kaznodziei leszczyńskiemu w wydaniu drugiej części postylli. Dzięki takim, jak Węgierski i Bythner, literatura braci w języku polskim dźwignęła się niewątpliwie, gdy w wieku poprzednim historię zboru wyobrażał łacinnik Jan Łasicki, a postyllografię czy moralistykę czescy kaznodzieje Stefan, Capito, Koneczny. Jeżeli Węgierski użytkował, jako historyk, rękopis Jerzego Izraela[2], czerpał też wskazania z czeskich postyll, a zwłaszcza Konecznego, Bythner nie okazuje żadnej od nich zależności. Węgierski zasłużył się jednak i jako tłumacz szeregu dzieł Komeńskiego. Bythner czytany jest i w zborach litewskich, gdzie myślą o kontynuacji Węgierskiego jako historyka[3]. Ciekawe jest, że Bythner zgadza się z Jonstonem na temat chiliazmu, co oddziela go od Komeńskiego, Znaczy to, że podziela jego pogląd naturalisty, jako zwolennika stałości zjawisk natury, której zaręczeniem jest zjednoczony z naturą — duch boski. Zauważono,

[1] Tamże, 666—667.
[2] U G. T. Müllera, III Bd, 283.
[3] *Reformacja w Polsce*, R. IV, 209—211.

że zbliża go to do Spinozy. W atmosferze Leszna tkwią tedy różne pierwiastki, na które wskazywała biblioteka baranowska, a rzuciłaby światło, gdyby się zachowała, i leszczyńska.

Co się tyczy Jana Amosa Komeńskiego, znalazł się on w Lesznie w r. 1628. Znalazł i światłego patrona w osobie wojewody bełskiego przebywając tu z przerwami, z powodu podróży do Anglii, Szwecji, Elblągu i Szarospataku, do r. 1656. Choć nazywał swą drugą ojczyznę wygnaniem, w niej zdobył światową sławę. Pisał zrazu po czesku, potem, za radą patrona, po łacinie, gdyż wygnanie przedłużało się, a pomysły w zakresie metody nauczania wymagały użycia języka międzynarodowego. Nie przestał jednak być narodowcem, choć z latami zatracał fanatyzm wyznaniowy. Nie byłby zaś bratem czeskim, gdyby entuzjazmował się dla przekwitającego już humanizmu. Żył i w momencie przełomu ku nowożytności, który przynosił nowe idee i odrzucał autorytety, zwracał się do natury, tępił mądrość opartą o sławę, oderwane pojęcia, grę dialektyczną.

Znany brackiej elicie Bacon kazał spoglądać na naturę własnymi oczyma i żądał pomocniczych narzędzi w badaniu tego, co jest. A Descartes radził szukać nowej metody poznania, nie mówiąc o nowym obrazie świata w ujęciu bliskiego Baranowu Galileusza. Nic też dziwnego, że wojewoda bełski pojął znaczenie pomysłów czeskiego uchodźcy, skoro i bliski mu Jonston nie należał do tradycjonalistów. Pomysły Komeńskiego mogły być wyzyskane dla szkoły leszczyńskiej i ojczyzny sarmackiej. Imponowały one i wojewodzie poznańskiemu Krzysztofowi Opalińskiemu, skoro usiłował on je wprowadzić do swej szkoły w Sierakowie, choć innowiercą bynajmniej nie był. Wszakże potępiał złe wychowanie nawołując

> Na nauki nie żałuj. Potem, gdy go zechcesz
> Posłać do obcych krajów, wprzód u siebie uważ
> I kiedy w których leciech, a gdzie i z kim posłać[1].

Promieniowanie idej leszczyńskiego pedagoga doznałoby nawet większego napięcia, gdyby nie najazd szwedzki ze swymi opłakanymi dla państwa i wyznania materialnymi i moralnymi skutkami.

System Komeńskiego począł zaś powstawać już w pierwszym dziesięcioleciu pobytu jego w nowej ojczyźnie zaczynając od Janua linguarum z r. 1631, które w dwa lata później przełożył już na polski Węgierski, gdy jeszcze pierwsze łacińskie było poświęcone wojewodzicowi Bogusławowi. Dbał więc o młode pokolenie rodu dostarczając mu dzieła, gdzie w tysiącu zdań łacińskich była mowa o wszystkim, co może obchodzić człowieka. Nie o klasyczną też łacinę tu szło, ale o zwyczajną i używaną w świecie uczonych. Omówiono tam wszystko począwszy od stworzenia świata, żywiołów, nieba, kamieni, roślin.

---

[1] *Nowy zbiór starożytnych klasyków*, t. 1, Poznań 1840, 15.

zwierząt, człowieka i jego czynności. Zespolenie słów z treścią rzeczową stało się faktem w świecie, który nurtowało już naukowe odrodzenie w duchu idei włoskich, angielskich i francuskich. Ten świt przyszłego oświecenia zarysował się jednak wśród wszczynających się wojen i społecznych wstrząśnień na zachodzie i u nas.

Upadało, dzięki Komeńskiemu, długie studium gramatycznych reguł i autorów. Nastawał nowy porządek w uczeniu, tym bardziej że pedagog połączył naukę słów z oglądaniem rzeczy, o których one mówiły. Ujawnił się pogląd, że autorowie mówią o rzeczach wyższych nad chłopięce pojęcie, a o wielu rzeczach wprost nie mówią. Wypada tedy skrócić i uprzyjemnić naukę idąc drogą pewną i bezbłędną. „Cesta“ — mówił pedagog — „nato isto a neomylna wynalezena jest“ [1]. Obrazki ilustrowały naukę o rzeczach, obrazki pozwalające wejrzeć w świat rzeczy interesujących stopniowo dorastającego chłopca. Że zaś w szkole leszczyńskiej istniała biblioteka, była tu mowa i o niej. „Idoneus“ — mówił pedagog — „locus solitarius est, a turba remotus, ubi studiosus bibliothecam... habebit“ [2]. W tej to bibliotece zbiera on do notatnika wszystko to, co w bibliotece zrobił.

Jeżeli nie było tu kultu autorów, był kult nauki, który znalazł uznanie w Polsce, w Prusach, na Śląsku, nim dotarł do Czech. Zaroiło się od przekładów na niemiecki, francuski, angielski, gdyż nowy duch wiał z dzieł, z których dumny mógł być i ród opiekuńczy Leszna. Nie o czytanki tu tylko chodziło, ale o nowy kierunek pedagogiczny i o przygotowanie nowego nauczyciela [3]. Zainteresowania ludzkie wstąpiły na nową drogę, co ocenił w pełni wojewoda bełski, gdy dzieło, co ten kierunek wyobrażało, powitał z uznaniem godnym kultury rodu. Chodziło w ogóle o cel wychowania, o reformę zgodną z rozumnym porządkiem i naturą. Pedagog uzasadnił w nim niezbędność reorganizacji szkolnictwa w ramach dwudziestu czterech lat ludzkich, czyli w łączności z dzieciństwem, chłopięctwem, młodzieńczością, męskością. Dziecko oddał szkole macierzyńskiej, gdyż w niej poznaje się, do lat sześciu, sprawy przyrody, chronologii, ekonomii, w związku z naturalnymi czynnościami i mówieniem w sposób zupełnie swobodny.

Sześcioletnia szkoła elementarna opiera się o język ojczysty. Nic w tym dziwnego, gdyż lektorowie języka ojczystego istnieli po szkołach innowierczych, a język ojczysty odgrywał w ogóle w literaturze innowierczej doniosłą rolę. Komeński interesował się zaś i językiem polskim podziwiając jego bogactwo i polerowność, czyli wyższość nad własnym. Swe kapitalne dzieło

---

[1] *Janua linguarum reserata aurea seu seminarium linguarum et scientiarum omnium*, Pragae 1667, C_2.

[2] *Orbis sensualium pictus*, Bregae 1667, 140.

[3] St. Kot: *Dzieje wychowania*, Warszawa 1926, 122—135.

pisał po łacinie, choć język ojczysty stawiał przed łaciną. Radził tedy nauczać w szkole przeznaczonej dla wszystkich języka ojczystego, rachunków, geometrii, melodii, religii, pieśniarstwa, gospodarstwa i historii, geografii i rzemiosł. Pominął nauki przyrodnicze, jakby z ich znaczenia dla chłopięcia nie zdawał sobie sprawy. Związał przecież szkołę macierzyńską z powszechną stawiając na nogi instytucję wyższą duchowo od upadających wtedy szkółek parafialnych. A jednocześnie chciał mieć szkołę w każdej gminie, w czym wyprzedził stan rzeczy o całe wieki.

Na trzecim stopniu w jego systemie wybiły się przedmioty niejęzykowe. Klasy nazywają się u niego: gramatyka, fizyka, matematyka, etyka, dialektyka, retoryka. Zmieniła się więc hierarchia nauk na niekorzyść wszechwładnej dotąd od średniowiecza retoryki. Był tu zatem wpływ zainteresowań wieku, odrodzenia naukowego, skłonności do uniwersalności, które cechowały i atmosferę baranowską. Górowała metoda poglądowa, która od zmysłów początek poznania wyprowadzała i świadectwem zmysłów wszystko legitymowała. Nauka języków zajmowała jednak poważne miejsce, nie mówiąc o historii naturalnej, powszechnej i ojczystej, sztuk, cnót i zwyczajów. Pewien naturalizm był w tym wszystkim, a równocześnie uniwersalizm, którego fragmenty tkwiły niegdyś u Vivesa, Bodina, Campanelli, a ostatecznie Bacona. Nie o wymowną, ale o etyczną i uczoną pobożność[1] jego szkole chodziło.

Przedziwna stopniowość znamionowała ten system, który postępował od natury do tego, co jest tworem człowieka, od człowieka do obyczaju, od obyczaju do spraw duchowych i boskich. Legitymacją całego systemu była natura, a nadto etyzm, postawiony wyżej od wiedzy. Wszystko przenikała świadomość, że od wychowania zależy los narodów, a może i lepsza przyszłość. Wychowaniem trzeba wszystko naprawić, by skrzepiła się młodzież i wykształciła się na ludzi rozumnych, panujących nad stworzeniem, będących obrazem i radością Boga. Modlitwa, uczenie się, działanie muszą być udziałem wszystkich, by urzeczywistnił się system realny, poważny, daleki od przymusu. Jak w naturze, jest w nim stopniowość, kształtowość, rozwój, celowość, konkretność, metodyczność. „Na przykład Polakowi“ — mówił pedagog — „uczącemu się czytać i pisać litery nie należy podawać pism łacińskich, greckich, arabskich, ale w jego własnym języku, aby rozumiał, o co idzie“[2].

Język jest bowiem tylko narzędziem mądrości i musi iść w parze z nauką o rzeczach. Książek pogańskich wypada używać ostrożnie, bo nauka musi być w zgodzie z chrześcijaństwem.

---

[1] Kvačala: *J. A. Comenius*, Berlin 1914, 19.
[2] *Wielka dydaktyka*, Warszawa 1931, 166.

Zatem nawraca pedagog do tradycyj jednoty stwarzając system, gdzie każdy stopień nauczania kieruje się ideą. Po macierzyńskiej, elementarnej, łacińskiej następuje nauka akademicka, którą musi znamionować wszechstronność i praktyczność. Żąda wreszcie Komeński studium dydaktycznego i nadzoru szkół przez państwo. Tak zamyka się dzieło, będące odwróceniem się od metod humanistycznych, które propagowały latynizm, od metod jezuickich, które popierały formalizm, od chaosu, mody obcości, abstrakcji, a zwrotem do porządku, swojszczyzny, natury. Nie znać w nim ciasnoty wyznaniowej, są zaś rysy odziedziczone po poprzednich generacjach, nie mówiąc o stylu nieco kaznodziejskim, namaszczonym, prawie mistycznym. Widać dążność reformacyjną, by oprzeć wszystko na prawie naturalnym i wyrażać rzeczy najwyższe w sposób najprostszy. Był tu protest przeciw spogańszczeniu świata, który powtarzał się stale od czasów reformacji, był i głos irenisty, dla którego źródłem natchnień są biblie i znajomość ludzkiej natury, a nie traktaty dogmatyczne.

Między liniami przegląda tu i młodzieńcza dążność pedagoga, by stworzyć jedną, wolną i równą ludzkość[1]. Tu był już i ton mistyczny, którego nie rozumieli bracia w ojczyźnie i na wygnaniu. Jednocześnie pisał Komeński rzeczy o charakterze religijnym, które dedykował wojewodzie bełskiemu[2]. Źle się stało, że znalazł się on potem bez patrona tej miary, że z powodu nawrócenia jego wychowanka Bogusława szukał innych mecenasów, jak magnat holenderski Ludwik de Geer, kanclerz Oxenstierna, wreszcie Rakoczy. Mecenasostwo Szlichtinga było też innego rodzaju, gdyż sędzia wschowski, aczkolwiek gorliwy obrońca innowierców po obu stronach granicy, był raczej za mało znaczącą osobistością, by zaważyć w losach coraz głośniejszego w świecie pedagoga. W zjeździe toruńskim wziął udział Komeński na życzenie jednoty, wpływając, jako irenista, na luteran, by okazali skłonność do pojednania.

Pobyt w Elblągu trwa jednak zbyt długo, by Komeński nie uległ wpływom swego patrona szwedzkiego i nie snuł pomysłów niezupełnie licujących z przeszłością. Rozwijał wtedy i pomysły religijne, na dnie których taiła się nadzieja, że sprawę uchodźców, a może i całego narodu czeskiego weźmie w rękę Szwecja lub nawet Siedmiogród. Jego pomysły pedagogiczne trąciły, o ile chodziło o tak zwaną pansofię i podział na klasy, już pewną fantastycznością. Nie nadawał się już na seniora wyznania, choć wrócił do Leszna w r. 1648, gdzie i dawniej poświęcał się raczej pisaniu i pogłębianiu swych pierwszych dzieł niż pracy pedagogicznej. Pobyt w Szarospatak nie przyniósł mu też satysfakcji[3], choć, by tam pozostać, kie-

[1] *Listove do nebe*, Lipt. St. Mikulaš, 1902, 21.
[2] *Bibliografia Polska*, cz. III, t. VIII, lit. K., Kraków 1903, 437.
[3] U Kvačali, 69.

rował się radą wizjonera Drabika, jak dawniej ekstatyczki Poniatowskiej.

Zwycięstwa Karola Gustawa przyniosłyby, jego zdaniem, zwycięstwo innowiercom wszędzie, a więc i w najechanej przez niego Polsce. Jeżeli Szlichting kazał napisać seniorom leszczyńskim panegiryk na cześć najeźdźcy, nie mógł uchylić się od tej konieczności i Komeński. Czy jednocześnie domniemany poeta katolicki Twardowski nie widział w królu szwedzkim światła z północy[1] i nie przypisywał wszystkiego zrządzeniu boskiemu? Ujście, pod którym złożono Poznań, Kalisz, Leszno, Międzyrzecz u stóp zwycięzcy[2], podziałało na wielu. Wśród nich znalazł się i podskarbi koronny, i poniekąd patron Komeńskiego i Leszna Bogusław. On nie ucierpiał, ale ucierpiał jego klient z powodu panegiryku na cześć Karola Gustawa. Nie przeczuł bowiem, że los wojny jest zmienny i że w konfederacji tyszowieckiej zabierze głos czynnik, z którego doniosłości nie zdawał sobie sprawy.

Wojna szwedzka była zaś i wojną religijną[3]. A Bogusław udawał się, choć katolik, nawet po zawiązaniu konfederacji tyszowieckiej, jeszcze do króla szwedzkiego, w czym szedł znów za radą stronnika najeźdźcy, który miał nadto siostrzeńca przy kurfirście brandenburskim, Szlichtinga. W swym opisie zaś spalenia Leszna przez konfederatów Komeński powoływał się na Bogusława, by ze Szlichtingiem ujść następnie na Śląsk. Odbudowa miasta nie zastała ostatniego już przy życiu, a Komeńskiego w przybranej ojczyźnie. Poszedł na dalsze wygnanie określając się w swym ostatnim piśmie jako człowiek tęsknoty za dobrem, doskonałością, boskością i czyniący dobrze innym. Nie o swym wyznaniu, do którego rozbicia się poniekąd przyłożył, myślał, ale o jakiejś religii opartej na posłuszeństwie Bogu i miłości bliźnich. Irenista, chiliasta, mistyk, chciał rozwiązać zagadnienia wszystkich wieków w sposób indywidualny, samoodpowiedzialny, bliski teozofom[4] typu Boehmego i jego po wiekach zwolennika[5], Mickiewicza.

Odezwał się w nim jakby raz jeszcze mistycyzm taborytów. Coś z dawnej surowości, powagi, chęci zdobywania prozelitów zostało też. W swym dążeniu pozostał jednak sam, dbając więcej o dobro niż o piękno, o człowieka niż o elitę, o ludzkość niż o naród. Jeżeli zaś w pierwszej generacji osiadłych w Polsce braci najbardziej wyrazistą indywidualnością był Szymon Teofil Turnowski, to w drugiej chyba niewątpliwie — Komeński. Jednego i drugiego cechowały mistyka, oderwanie od

---

[1] S. Twardowski: *Miscellanea selecta.* W Krakowie 1681, 160.

[2] L. Kubala: *Wojna szwedzka*, Lwów b. r., 76.

[3] P. Voigt: *Aus Lissas erster Blütezeit*, Lissa 1908, 138.

[4] O. Friedrich: *Helden des Geistes*, Zürich 1936, 124.

[5] J. Kvačala: *Prielomy ve vire Komenskego a Mickiewicza*, Petrograd 1907, 21.

doczesności, ukochanie szkoły i języka ojczystego, dążność do porozumienia między wyznaniami, opozycja wobec kultu antyku. Byłby to jakby czeski punkt widzenia, choć Turnowski wyprzedził tylko skromnie swego wielkiego następcę.

Obu znamionuje pewna aliterackość i troska o zbiorowość, co ma jakby pochodzenie średniowieczne. Jeżeli jednak Turnowski stał się pisarzem polskim, Komeński, wyrastając niezmiernie nad średniość otoczenia, pozostał raczej pisarzem czeskim, a jednocześnie uniwersalnym. Rozwinąwszy się w atmosferze polskiej swobody stał się jej uczestnikiem, ale nie wsiąknął w społeczność, wśród której osiadł. Duchowo pozostał jej obcy, a i jego pomysły, choć wyprzedziły wiek oświecenia, urzeczywistniły się częściowo także w świecie polskości obcym.

IV. Zamknięcie.

Dzieje literatury braci czeskich w Polsce stanowią osobny rozdział literatury innowierczej. Ten rozdział zapełnia lukę, którą przed wiekiem usiłował wypełnić historyk ich wyznania, Łukaszewicz. Polska nauka ograniczała się dotąd do przyczynków, które dotyczyły pewnych momentów także wyznaniowych, a nie literackich. Dziś orientujemy się już nie tylko w rozwoju literatury w. XVI, którą starałem się przedstawić przed dwoma laty[1], ale i ogarniamy w głównych zarysach rozwój literatury w. XVII.

Wiąże ona, w całym swym biegu dwóch wieków, literaturę polską ze staroczeską — i wkracza z nią razem w progi czasów nowszych. Dzięki pokrewieństwu języków i organizacyjnej zwartości osiąga mały zborek czeski ważne stanowisko nie tylko w Wielkopolsce, ale i w innych częściach przybranej ojczyzny. Ulega w XVI w. polonizacji, choć łączności z jednotą czesko-morawską nie zrywa, i wsiąka poniekąd w organizm polskiego kalwinizmu. Wzmocniony nową falą uchodźców nie zatraca swej myśli religijnej i kontynuuje stare tradycje husytyzmu, choć wchłania prądy humanistyczne i naukowe wieku baroku. Wyzwala się spod przewagi średniowiecznego lekceważenia antyku i form antycznych, a jednocześnie zachowuje pewien odrębny punkt widzenia, który można nazwać czeskim.

Punkt ciężkości tej literatury to polemika usiłująca zachować pewną miarę, a nawet zbliżyć do siebie poszczególne wyznania. Nawiązuje ta polemika stale do idei zgody sandomierskiej, której bronią obaj Turnowscy. Szymon Teofil zajmuje postawę raczej irracjonalistyczną i nie godzi się na bezwzględny autorytet Genewy. Jan skłania się do uznania tego autorytetu zyskując, jak i stryj, wielką powagę wśród innowierców. Jeżeli pierwszy wiąże się raczej z tradycją zboru,

[1] Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademii Umiejętności, T. XIII, Styczeń 1936, nr 1, i Przegląd Powszechny z r. 1936, nr 9.

drugi jednoczy się z polskim zborem kalwińskim, a swą wiedzą teologiczną i talentem pisarskim wzmacnia autorytet Leszna jako ostoi etyki, organizacji, humanizmu. A jednak i w Lesznie działa autorytet o wielkim zasięgu ideowym, którym jest Komeński.

Jeżeli w w. XVI przeważają w zborze organizatorowie, wyznawcy, asceci i polemiści, w XVII bierze górę erudyta, uniwersalista, encyklopedysta. Literatura braci nabiera, dzięki Jonstonowi i Komeńskiemu, pewnego charakteru kosmopolitycznego. Nowa fala uchodźców się nie spolszczyła, choć stworzyła ośrodek myśli ważniejszy od innych ośrodków innowierczych. Leszno współzawodniczy nawet z Gdańskiem i Toruniem. Komeński, to wróg formalizmu, to obrońca rzeczowości, to człowiek czasów, które nadejdą za oświecenia. A jednak jest w nim coś ze staroczeskiego prymitywizmu w obojętności wobec antyku, w surowej etyce osobistej i zbiorowej, w namaszczeniu i ideologii twórcy nowego ideału społecznego. Jego reformy wychowawcze rozumie, uznaje, ceni ród, który od początku patronuje wyznaniu uchodźców i sam ulega długo jego ideologii irenisty.

Literatura braci ma więc pewne rysy swoiste, które zachowuje do końca. Okazuje żywotność, którą zatraciły w w. XVII luteranizm i kalwinizm. Zbliża się tą żywotnością do ariańskiej i dzieli z nią poniekąd wspólne losy, skoro najwybitniejsi jej przywódcy znajdą się, po tragedii arian i jednoty na skutek wojny ze Szwecją, poza granicami Polski. Te rysy swoiste dorzucają wiele do obrazu polskiej myśli religijnej w wieku, który uważano dawniej za mało związany z tym, co działo się w myśli zachodniej.

Poznań *Tadeusz Grabowski*

Z DZIEJÓW TEATRU SZKOLNEGO W POLSCE W. XVII

(O teatrze alumnatu ormiańskiego we Lwowie).

1.

Zadania, jakie sobie stawiał i jakie pełnił staropolski teatr szkolny, określił jasno i celnie St. Windakiewicz:

„Chodziło w nim o młodzież... aby ją przećwiczyć w wymowie łacińskiej, oswoić z oracjami łacińskimi w miejscach publicznych, nauczyć śmiałości i czystości dykcji i przyzwyczaić do gestów i poruszeń odpowiednich mówcy... Ćwiczenia szkolne przyzwyczajały [chłopców] do przemów na zebraniach sejmikowych i do prawienia oracyj na uroczystościach rodzinnych“ [1].

Takie określenie zadań da się dobrze zastosować do wszystkich naszych teatrów szkolnych, zarówno najbogatszego jezuickiego jak i do skromniejszych: pijarskich czy świeckich. Zachodzi atoli jeden wypadek, do którego określenie powyższe nie przystaje, a przynajmniej nie przystaje całkowicie; nie da się ono zastosować mianowicie do teatru w lwowskim alumnacie ormiańskim, założonego i rozwijającego się wcale żywotnie w drugiej połowie siódmego dziesiątka lat XVII wieku.

Teatr to odmienny już choćby dlatego, że był trzyjęzyczny: łaciński, polski i ormiański, kiedy np. jezuicki w w. XVII był głównie łaciński z drobnym udziałem polszczyzny. Odmienny jednak przede wszystkim przez cel, któremu miał służyć. Nie chodziło tam wiele o poprawne władanie potoczną łaciną, bo księża ani oracji sejmikowych, ani nawet kazań łacińskich prawić nie mieli. Nie chodziło o praktyczne ćwiczenie w uprawianiu rodzaju literackiego, bo alumni studiom poetyki specjalnie się nie oddawali. Natomiast miał ten teatr zadanie osobne, nigdzie drugi raz w tym typie nie występujące: służył mianowicie osobliwego rodzaju propagandzie wyznaniowej, był współczynnikiem w krzewieniu i umacnianiu dzieła unii kościelnej rzymsko-ormiańskiej. W szerzeniu np. unii brzeskiej sceny teatralnej dla celów propagandy — o ile wiadomo — nie używano.

---

[1] St. Windakiewicz, *Teatr kolegiów jezuickich w dawnej Polsce* Kraków 1922, s. 4.

Już chociażby przez tę osobliwość przeznaczenia lwowski teatr Kolegium Papieskiego wart jest pilniejszej uwagi. Zobaczymy, że wart jej także dla poziomu swego repertuaru.

*

Pierwszą szczegółowszą wiadomość o początkach teatru szkolnego w ormiańskim seminarium duchownym (Collegium Pontificium) we Lwowie zawdzięczamy Chomętowskiemu[1]. Podał on wcale obszerną treść odegranej tam 1668 r. „tragedii nabożnej" o św. Rypsymie, która uciekłszy z Rzymu przed okrucieństwami Dioklecjana znalazła w Armenii śmierć męczeńską za wiarę. Sztuka, jak widzimy ze streszczenia, pełna jest zawikłań romansowych i fantastycznych, a za cel miała uwielbienie świętej, za której przyczyną św. Grzegorz Oświeciciel wprowadził do Armenii chrześcijaństwo. Prócz akcji głównej, zamkniętej w 5 aktach, obejmowała ona jeszcze prolog i epilog, tudzież cztery intermedia, przedzielające poszczególne akty. Już w tytule zaznaczono, że część główna tragedii ujęta została w wiersze ormiańskie, intermedia były polskie.

Ze streszczenia Chomętowskiego można by odnieść wrażenie, że miał on w ręku pełny tekst sztuki. W rzeczywistości jednak tekst sztuki ten nie jest dotąd znany; zachował się tylko polski scenariusz, drukowany współcześnie, oczywiście do użytku widzów niebiegłych w ormiańszczyźnie. Jeden jego egzemplarz jest w Warszawie u Krasińskich i z niego to właśnie korzystał Chomętowski, drugi znajduje się w Ossolineum, o czym znów, ponownie zająwszy się tematem, podał wiadomość L. Bernacki[2].

Badacz ten rzucił też na pierwociny teatru ormiańskiego we Lwowie więcej światła wyzyskując mianowicie informacje zawarte w dwu relacjach historycznych o początkach ormiańskiego Kolegium Papieskiego we Lwowie, wydanych przez Pawińskiego[3]. Źródła to rzeczywiście pierwszorzędnej wartości, a to przez swą zarówno wiarygodność jak i szczegółowość. Autorem pierwszej z tych relacji, pisanej po włosku, jest Francuz, ks. Alojzy Maria Pidou z zakonu teatynów, najpierw pomocnik prefekta, a niebawem sam prefekt misji przysłanej w r. 1664 z Rzymu przez kolegium *de propaganda fide* do Lwowa, celem przeprowadzenia i umocnienia ostatecznego unii kościołów: ormiańskiego z rzymskokatolickim. Autorem relacji drugiej, łacińskiej, jest jakiś nieznany z nazwiska następca ks. Pidou na tym stanowisku.

---

[1] W. Chomętowski, *Dzieje teatru polskiego od najdawniejszych czasów do 1750 r.*, Warszawa 1870, s. 81 n. Najwcześniejszą wiadomość o *Św. Rypsymie* dał J. Saint Martin w *Journal Asiatique*, Paris 1822, II 22 n.

[2] L. Bernacki, *Notatki do dziejów teatru w dawnej Polsce:* 3. Dwa dialogi ormiańskie z r. 1668 i 1669, *Pam. Liter.* IX 276 n.

[3] *Źródła dziejowe*, t. II. Dzieje zjednoczenia Ormian polskich z Kościołem rzymskim w XVII w., wydał A. Pawiński, Warszawa 1876.

Otóż z relacji tych dowiadujemy się, że księża teatyni założywszy wnet po przyjeździe do Lwowa Kolegium Papieskie urządzili w nim od razu także teatr i dawali widowiska publiczne, już to dla popisu przed gośćmi poziomem i owocami nauki udzielanej w seminarium, już też i przede wszystkim dla zbudowania wiernych, dla oddziałania na szerszą publiczność Lwowa w kierunku zjednoczenia kościołów. Rzecz jasna, do tego celu dostosowane musiały być sztuki wystawiane w teatrze seminaryjnym.

„Nie zaniedbaliśmy“ — pisze ks. Pidou — „także w kolegium przyjemnych i użytecznych ćwiczeń w deklamacjach i tragediach, przez co i nasi alumni kształcili się na dobrych mówców, a nadto jednaliśmy sobie życzliwość wszelkich warstw ludu, który się z wielką przyjemnością na to schodził, i nieraz schizmatycy zmuszeni byli słuchać słów prawdy bez obrazy“ [1].

W szczególności podaje ks. Pidou, że w teatrze tym do końca r. 1668 odegrano mi. sztuki: *Śmierć Cezara*, *Zagadki Salomona*, *Śmierć Heroda*, *Św. Rypsyma*, oraz zapowiada, że „na przyszłe wakacje“, tzn. w r. 1669, ma zamiar wystawić sztukę o św. Pulcherii, cesarzowej bizantyńskiej, „żeby ją bronić od złorzeczeń i potwarzy heretyków ormiańskich, którzy ją znienawidzili, że za jej staraniem z rozkazu Leona św. odbył się sobór chalcedoński“ [2]. Jakoż z relacji drugiej, anonima, dowiadujemy się, że „pod koniec r. 1669“ rzeczywiście wystawiono w kolegium tragedię o św. Pulcherii. Dodaje też kronikarz, że była to ostatnia tragedia przez alumnów odgrywana [3]. Najwyraźniej więc działalność teatru w seminarium ormiańskim została z tym rokiem zahamowana. Trudno powiedzieć dlaczego, bo ks. Pidou działał we Lwowie jeszcze przez lat kilka, zanim ostatecznie wyjechał do Rzymu [4].

Ze sztuk dopiero co wymienionych, o trzech pierwszych nie wiemy nic bliższego: ani czyje były, ani w jakim języku je wystawiono, ani jaka ich treść. Domyślać się tylko wolno, że pod tytułem *Śmierć Heroda* dano może jasełka, które właśnie mogły „zjednać życzliwość wszelkich warstw ludu“, a więc być może wystawione były po polsku. Domysłu tego wszelako niczym poprzeć się nie da.

Natomiast przy dwu pozostałych sztukach, „tragediach“ o św. Rypsymie i św. Pulcherii, sprawa wygląda lepiej. Autor relacji anonimowej podał przede wszystkim ich autora; według

---

[1] Tamże, II 113.

[2] Tamże.

[3] Tamże, II 172. — Wiemy, że przedstawienie *Św. Rypsymy* spotkało się z niechęcią sufragana ormiańskiego, który nawet pisał o nim nieprzychylnie do Rzymu. Intryga ta jednak nie odniosła skutku (tamże, II 168).

[4] Księża teatyni uznawali rolę wychowawczą teatru szkolnego; utrzymywali go w swym kolegium warszawskim jeszcze w połowie XVIII w. Zob. *Wiadomości historyczne o teatynach w Polsce* w *Pamiętniku Moral.-Rel.* 1854, nr 9.

tego obie mianowicie napisał sam prefekt misji i zarazem rektor kolegium, ks. Alojzy Pidou.

„Alumni przedstawili dn. 9 kwietnia [1668] i trzech dni następnych ułożoną przez Alojzego... tragedią o męczeństwie św. Rypsymy [1]... Pod koniec 1669 r." — czytamy dalej w kronice — „ze zwykłą zręcznością Alojzy dla pogodzenia umysłów dał dla teatralnego przedstawienia drugą tragedią świętą... o św. Pulcherii... Dramat był napisany po łacinie, z polskimi ustępami, na żądanie łacinników, aby okazać, jak oba języki, ormiański i łaciński, w kolegium się wykładają" [2].

Wniosek o autorstwie ten sam wynika także ze wzmianki samego ks. Pidou, który sztukę o św. Pulcherii zapowiadał rok naprzód jako swój właśnie zamysł, do stosunków miejscowych dostosowany.

„Teraz zaś myślę na przyszłe wakacje kazać przedstawić śmierć Teodozego młodszego pt. Św. Pulcherii cesarzowej, żeby ją obronić od złorzeczeń i potwarzy heretyków ormiańskich" [3].

Z tragedii o św. Rypsymie, jak już wiemy, zachował się współczesny drukowany konspekt treści [4]. Konspekt taki, również po polsku, wydali księża teatyni dla widzów drugiej także tragedii, o św. Pulcherii. Jako osobny druk ulotny zachował

---

[1] *Źródła dziejowe,* II 168.
[2] Tamże, II 172.
[3] Tamże, II 113.
[4] Z wcale szczegółowego „programu teatralnego" nabrać można niejakiego pojęcia o tej tragedii. W pięciu aktach części głównej przedstawiono tam przybycie świątobliwej chrześcijanki Rypsymy, wraz z 30 towarzyszkami, z Rzymu, gdzie się srożył Dioklecjan, do Armenii, oraz opresje jej, prześladowanej przez rozgorzałych miłością ku niej króla Tyrydata i księcia Garena. Mężna wyznawczyni Chrystusa obala znakiem krzyża ołtarze pogańskie i bałwany, zamknięta w więzieniu wychodzi z niego sposobem cudownym, wreszcie jednak ponosi śmierć męczeńską. Tyrydat zostaje przemieniony w wieprza, a postać ludzką uzyskuje dopiero za sprawą św. Grzegorza Oświeciciela, po czym przyjmuje chrześcijaństwo. Intermedia są alegoryczne i fantastyczne, występują w nich bogowie, czarownicy, zły duch, akcja ich łączy się bezpośrednio z akcją główną tragedii.

Wspomniany wyżej krytyk francuski J. Saint-Martin, nie znając zresztą bliżej sztuki, a wiedząc o niej tylko ze wzmianek w *Breve relatione* ks. Pidou, z domysłu usiłował wskazać źródła historyczne tragedii. Przypuszczał, że autor czerpał z historyków armeńskich Agathangelusa i Mojżesza z Chorene, „ainsi que de récits qui se trouvent dans le martyrologe arménien" (zob. *Pam. Liter.* IX 278). Nie wydaje się to trafne. Wątpić należy, czy dramaturg mógł mieć te źródła pod ręką we Lwowie. Miał natomiast na pewno inne: mianowicie główne dzieło mistrza swego i przełożonego ks. Klemensa Galana *De conciliatione Ecclesiae Armenae cum Romana* (Rzym 1650). W jego części historycznej (wydanej niebawem osobno pt. *Historia Armena, ecclesiastica et politica,* Kolonia 1686) przedstawiono szczegółowo początki chrześcijaństwa w Armenii, mi. także panowanie Tyrydata i męczeństwo św. Rypsymy. Nawet szczegół o przemienieniu króla w wieprza został tam podany. Wnosić wolno, że ks. Pidou pisząc tragedię o św. Rypsymie miał za wystarczające źródło historyczne tylko to dzieło ks. Galana. Oczywiście, mógł mieć także Suriusa popularne *Vitae Sanctorum,* gdzie w żywocie św. Grzegorza poświęcono trochę miejsca i św. Rypsymie. Tylko że te dane wyzyskał był już stamtąd skrupulatnie właśnie ks. Galan. O św. Rypsymie jest wzmianka również i u Baroniusza.

się on jak dotąd w jednym egzemplarzu w Ossolineum; szczegółową wiadomość o nim podał L. Bernacki we wspomnianej notatce.

Autor notatki jednakowoż nie wiedział jeszcze, że zachował się szczęśliwie również pełny tekst tragedii o św. Pulcherii. Rkps Czartoryskich nr 3571, *Tragoedia: Sancta Pulcheria, Virgo et Imperatrix*[1], zawiera na kartach 1—20 tekst łaciński aktów I—V (bez podania autora), pisany ręką jedną i jednym ciągiem. Prawdopodobnie nie jest to jednak autograf ks. Pidou, raczej kopia (świadczą o tym omyłki w przepisywaniu) współczesna, niewątpliwie związana z samym przedstawieniem. Dowodzi tego karta bezpośrednio następująca (21), na której zestawiono spis osób występujących w dramacie zarówno jak i w intermediach, notując przy każdym nazwisko wykonawcy. Między aktorami znajdujemy w rolach głównych kilku alumnów, wspomnianych i przez ks. Pidou w relacji o pierwszych latach Kolegium Papieskiego, sporą zresztą ilość tych samych, którzy występowali w przedstawieniu *Św. Rypsymy*[2]. Część druga rękopisu (kart 28) zawiera inną, ale znowu jedną ręką spisany tekst polskich: prologu, czterech intermediów i epilogu.

Zachowała się w ten sposób, jak widzimy, w całości jedna ze sztuk wystawionych w 5-letnim okresie tak intensywnej działalności ormiańskiego teatru we Lwowie u schyłku panowania Jana Kazimierza, jedyna zresztą z całego owoczesnego repertuaru tego teatru. Z niej więc nabrać możemy pojęcia o charakterze innych tamtejszych przedstawień. Z tego już choćby tytułu odnalezionej „tragedii“ należy się przyjrzeć uważniej.

Nie spodziewamy się oczywiście dzieła o jakiejś większej wartości artystycznej. Teatr ormiański, jak inne owoczesne teatry kolegiów szkolnych, nie miał „na oku celów artystycznych, ale wychowawcze“, inne wprawdzie niż w pozostałych kolegiach, niemniej właśnie wychowawcze. I w nim więc byłoby „śmieszną rzeczą mówić o sztuce“. „Tu i ówdzie może się trafić jaki szczęśliwszy pomysł, próba, zamierzenie, ale te gubią się w powodzi zupełnej przeciętności“[3]. Autor sztuki, ks. Pidou, umysł niewątpliwie światły i ukształcony, tęgi teolog, biegły historiograf, dzielny administrator, przezorny na wyznaczonym terenie dyplomata, — talentu dramatycznego wybitniejszego przecież nie miał, choć biegłość i na tym polu pokazał najwy-

---

[1] Rkps w formie książeczki o wym. 15×19 dochował się w dobrym stanie wyjąwszy kartkę pierwszą, nieco zetlałą od starości; introligator późniejszy oprawiając rękopis obciął karty, na czym ucierpiał tekst w kilku miejscach.

[2] „Aktorów“ podano w scenariuszu drukowanym; zob. egz. w Ossolineum nr 126.077. W przedstawieniach brała udział czynny także służba kolegium, w szczególności jakiś „noster Kuba“.

[3] S. Windakiewicz, *op. cit.* s. 4.

ważniej. Tę, jak i poprzednią o św. Rypsymie, tragedię pisał nie z popędu twórczego, ale z doraźnej potrzeby, i to nawet nietyle szkolnej, ile ogólnie apostolskiej. Pierwszym zadaniem sztuki było przy pomocy zabawy wpłynąć na pojęcia religijne słuchaczy, związane z przeprowadzanym właśnie dziełem jednania obu kościołów.

Interesuje nas więc ta sztuka jako przejaw pewnego problemu historyczno-kulturalnego, jako świadectwo doniosłego momentu w życiu religijnym Ormian lwowskich. Nie znaczy to jednak, żeby ona pod względem artystycznym była nijaka; owszem, i w niej znajdziemy „niejeden szczęśliwy pomysł“, a nawet — zwłaszcza w części polskiej — po trosze owej rzadkiej w tego rodzaju utworach „jędrnej obserwacji świata i człowieka“.

Żeby jednakowoż wyrozumieć znaczenie obyczajowe sztuki, należy się wpierw zorientować w podłożu, na którym ona wyrosła.

2.

Misja rzymska przybyła do Lwowa, by wydobyć tamtejszy kościół ormiański z głębokiego upadku, w jakim pogrążony został od długiego czasu. Biskupstwo ormiańskie we Lwowie założone zostało w w. XIV (ok. r. 1365); jego stosunek do Rzymu ulegał jednakowoż ciągłej fluktuacji. Spośród jedenastu pierwszych biskupów[1] niektórzy, zdaje się, stali na stanowisku jedności z kościołem katolickim, jednakowoż większość bodajże nie uznawała nad sobą władzy papieża. bliskiej, bo działającej w Polsce bezpośrednio przez nuncjuszów; wygodniejsza im była niby to zależność od patriarchy eczmiadzyńskiego, oczywiście z dalekiej Armenii nie mającego w Polsce żadnej ingerencji.

Dwunasty z kolei kierownik kościoła ormiańskiego w Polsce, ks. Torosowicz, miał lat zaledwie 22, kiedy przyjął (1627) sakrę biskupią z rąk poprzednika, przeciwnego unii katolikosa Melchizedeka. Młody biskup, ambitny i obrotny, wnet złożył wyznanie wiary katolickiej i poddał się Rzymowi, co mu w konsekwencji pozwoliło przekształcić biskupstwo lwowskie na arcybiskupstwo (1630). W postępowaniu swym młody metropolita nie bardzo jednak nową godnością się hamował. Tryb jego życia nie zawsze znajdował uznanie wśród wiernych. Wykradł z klasztoru zakonnicę i żył z nią wywołując publiczne zgorszenie[2]. W polityce kościelnej po dawnemu lawirował między dwiema władzami nic sobie w gruncie rzeczy z żadnej nie robiąc; w podległych mu kościołach ormiańskich nadal krzewiono zasady schizmy. Torosowicz zajmował tron arcybiskupi przez lat przeszło pięćdziesiąt (zm. 1681).

---

[1] Zob. X. Z[achariasiewicz], *Wiadomość o Ormianach w Polszcze*, Lwów 1842, s. 35 n.

[2] U Pawińskiego, II 26 i *passim*.

Za jego to właśnie rządów przybyła do Lwowa misja kongregacji *de propaganda fide:* uczony orientalista sędziwy ks. Klemens Galan i młody ks. Alojzy Pidou[1]. Misja zostawała pod bezpośrednim kierownictwem nuncjusza Pignatelli i cieszyła się szczególniejszą opieką królowej Marii Ludwiki. Niełatwe było zadanie misji, postawionej między mniej lub więcej ukrywaną, ale głęboką niechęcią arcybiskupa a twardym oporem wiernych, przeważnie bogatych i ambitnych mieszczan. przywiązanych do dawnej liturgii i Rzymowi niechętnych.

Niechęć arcybiskupa hamowano płacąc mu pensji rocznej 200 skudów[2], mając zresztą w odwodzie na wypadek oporu pomoc z Warszawy i groźbę Rzymu. Na wiernych zaś wpływać należało przy pomocy duchowieństwa niższego. Misja dokładała zatem starań, żeby spośród starszego duchowieństwa ormiańskiego usunąć najoporniejszych przeciwników unii i najbardziej życiem nieprzykładnym skompromitowanych. Jakoż udało się wydalić za granice Polski legata z Armenii, mnicha Wartana, tudzież kilku duchownych, z których jeden np. co rychlej przeszedł na islam.

Główną atoli troską misji było założenie i należyte postawienie seminarium duchownego, skądby w niedalekiej przyszłości mogli wychodzić duchowni młodzi, tuziemcy, dobrze ukształceni, a wychowani w nowym duchu. Przy ich pomocy dopiero można będzie zatrzeć różnice dogmatyczne i wyboczenia liturgiczne, dzielące dawny kościół ormiański od katolickiego. One to bowiem, a nie tylko trudności natury subordynacyjnej, stały na przeszkodzie zjednoczeniu.

Przy obrzędach[3] różnił się kościół ormiański od katolickiego mi. tym, że w nim podczas mszy św. kapłan nie mieszał wina z wodą, że komunii udzielano pod dwiema postaciami, że Boże Narodzenie obchodzono wspólnie z świętem Trzech Króli d. 6 stycznia, że kobietom udzielano święceń kapłańskich itd. W dogmatach odrzucano pochodzenie Ducha Św. *filioque*, odrzucano wiarę w sąd szczegółowy i czyściec, przyjmowano, że Chrystus zburzył zupełnie piekło i wszystkie dusze stamtąd

---

[1] Dat biograficznych ks. Pidou znamy niewiele. Urodził się ok. r. 1638. L. Moreri w *Le grand dictionnaire historique* nazywa go „un Parisien“, urodził się więc być może w Paryżu. Losom zakonnym zapewne zawdzięcza, że dostał się do Rzymu, i to prawdopodobnie dość wcześnie; lwowską kronikę swą *Breve relatione...* napisał po włosku. Musiał się wyróżniać zdolnościami, skoro niespełna 30-letniego wysłano go z trudną misją do Lwowa, u boku sędziwego ks. Galana, z góry niewątpliwie upatrując w nim przyszłego prefekta. W r. 1664 przyjechał do Polski i rzeczywiście rychło ujął w swe ręce całą sprawę zjednoczenia kościołów i uporządkowania życia religijnego w kościele ormiańskim. Ze źródeł ogłoszonych przez Pawińskiego wiadomo, że pod koniec 1671 wyjechał do Rzymu i zabawił tam do pierwszych dni 1674, po czym znów przyjechał do Lwowa. Bodaj że w r. 1677 wrócił do Rzymu na stałe; kiedy umarł — nie wiadomo.

[2] U Pawińskiego, II 38.

[3] Tamże, II 7 n.

wyswobodził itp. Główną wszelako zasadą odszczepieństwa było to, że kościół ormiański przyjął monofizytyzm. Stało się to w r. 527, kiedy Nerses, patriarcha asztaragański, na polecenie króla perskiego zwołał synod feyiński i odrzucił uchwały soboru chalcedońskiego, potępiające naukę Eutychesa.

Eutyches, przełożony klasztoru w pobliżu Konstantynopola, zwalczając naukę Nestoriusza o dwoistej naturze Chrystusa (diofizytyzm) popadł w krańcowość drugą i głosił, że Chrystus miał jedną tylko naturę, mianowicie boską (monofizytyzm). Znalazł poparcie metropolitów aleksandryjskich: Cyryla, potem Dioskora, i pociągnął za sobą duży odłam duchowieństwa i wiernych na Wschodzie, co w rezultacie doprowadziło do odszczepieństwa. Doprowadziło zaś wskutek tego, że monofizyci cieszyli się przez czas jakiś poparciem cesarza Teodozjusza młodszego i jego małżonki Eudokii. Na tym tle doszło do ostrych nieporozumień między cesarzem a współregentką państwa, starszą jego siostrą Pulcherią, wierną zwolenniczką Rzymu i papieża Leona Wielkiego. Zwyciężyła ostatecznie Pulcheria i za jej sprawą po śmierci Teodozjusza doszedł do skutku sobór chalcedoński, na którym potępiono eutychianizm jako herezję. Potępiono, ale oczywiście nie wytępiono. Utrzymał się on w wielu krajach, mi. w Armenii.

Rozumiemy teraz, że ks. Pidou pragnąc wśród Ormian lwowskich torować drogę do usunięcia odszczepieństwa i posługując się w tym celu także teatrem uznał za stosowne sięgnąć po temat do Konstantynopola w dzieje wieku V, wysnuć akcję tragedii z wydarzeń owych właśnie decydujących lat panowania Teodozjusza młodszego, a za bohaterkę jej obrał Pulcherię, główną sprawczynię potępienia monofizytów. Porwał się śmiało, by wyświecić zło u jego źródła, a bohaterkę swą — jak sam mówi — „obronić od złorzeczeń i potwarzy heretyków ormiańskich, którzy ją znienawidzili, że za jej staraniem z rozkazu Leona św. odbył się sobór chalcedoński“[1].

3.

Jakież tedy surowe tworzywo znalazł autor w dziejach tamtoczesnych dla swego dramatu?

W r. 415 czternastoletni Teodozjusz, syn cesarza Arkadiusza Teodozego I, doszedłszy do samodzielności oddał regencję starszej swej siostrze Pulcherii. Odznaczała się ona mądrością, bogobojnością, ale bodaj że i ambicją rządzenia. Brat został biernym narzędziem w jej ręku. Gdy doszedł lat, w 421 r., sama wybrała mu za żonę wykształconą, utalentowaną poetkę i piękną, ale ubogą Greczynkę, Atenais, córkę sofisty Leoncjusza, która właśnie przybyła do Konstantynopola szukając sprawiedliwości w sporze z braćmi o spuściznę po ojcu. Upodobana przez cesarza

[1] Tamże, II 113.

przeszła na chrześcijaństwo i jako Eudokia została jego żoną[1]. Rządy jednak nadal przez lat 22 pozostawały w rękach Pulcherii.

Na dworze cesarskim ścierały się ze sobą, walcząc o wpływy, dwie wrogie fakcje. Powody rozróżnienia były zapewne natury politycznej, w wyższym stopniu religijnej, niewątpliwie jednak rolę niemałą odegrała tam również rywalizacja dwu cesarzowych o wpływ na niezaradnego i bezwolnego Teodozjusza. Pulcheria działała w oparciu o patriarchę konstantynopolitańskiego Flawiana, a w dalszej instancji o papieża. Eudokia darzyła sympatią krzewiący się wśród duchowieństwa wschodniego monofizytyzm. Poplecznikiem jej w tym był obrotny i ambitny dworak, eunuch Chryzafiusz, działający w porozumieniu z głową sekty, Dioskorem aleksandryjskim.

Sama Eudokia omal że nie padła ofiarą tych stosunków. Nie wiadomo, czy ze słusznej przyczyny, czy wskutek uknutej intrygi, ściągnęła ona na siebie podejrzenie, że zdradza męża z jego przyjacielem młodości, Paulinem, który był na dworze „magister officiorum", a odznaczał się uczonością i urodą („formae venustate conspicuus"). Teodozjusz uniesiony zazdrością kazał zgładzić Paulina, Eudokia zaś na jakiś czas usunęła się sprzed cesarskiego oblicza i wyjechała do Jerozolimy. Stało się to wszystko tuż przed r. 440. Niebawem jednak zdołała widocznie wykazać swą niewinność, uspokoić zgniewanego męża, a wróciwszy do znaczenia postanowiła ukrócić przewagę Pulcherii. W r. 443 objęła rządy i wymogła na małżonku, że oddalił siostrę z dworu, a nawet skazał ją na wygnanie, na którym pozostawała podobno przez siedem lat.

Przez ten czas rządził państwem właściwie przemożny Chryzafiusz. Nie były to rządy fortunne. Zaniedbano obronność państwa, toteż kiedy zastępy Attyli wtargnęły w granice cesarstwa, haraczem wypadło sobie zabezpieczać pokój z jego strony. Natomiast dwór i duchowieństwo wciągnięte zostały w niepokoje religijne. Spór o jedną czy dwie natury w Chrystusie wstrząsnął kościołem. Pulcheria zwalczała monofizytyzm, a Eutychesa zesłała na wygnanie. Z kolei Chryzafiusz dorwawszy się władzy przywołał go z wygnania, a ponadto spowodował usunięcie wiernego Rzymowi patriarchy Flawiana. Eutychianizm rozkrzewił się szeroko pod protektoratem cesarzowej Greczynki. Teodoziusz za podnietą Chryzafiusza zwołał na r. 449 synod efeski. Ten pod przewodnictwem Dioskora opowiedział się za nauką Eutychesa, Flawiana potępił, a na papieża Leona W. rzucił klątwę. W historii kościoła nosi on też nazwę „latrocinium Ephesinum".

[1] Zob. G. R. Sievers, *Studien zur Geschichte der römischen Kaiser*, Berlin 1870, s. 419 n., studium o Teodozym II i Atenaidzie. Pięknie i trafnie narysowaną sylwetkę Atenaidy, jej duchowości, dał Ch. Diehl w tomie *Figures Byzantines*, I serie, Paris 1908, s. 43. Utwory poetyckie cesarzowej, o ile się dochowały, dostępne są dziś w wydaniu A. Ludwicha, *Eudociae Augustae... carminum Graecorum reliquiae*, Lipsk 1897, u Teubnera.

Synod ten był szczytem powodzenia Chryzafiusza. Wywołał on jednakowoż w kościele tak silną reakcję, że pod jej naporem wpływ faworyta się załamał. Teodozjusz zawrócił z drogi. Powołał z wygnania Pulcherię i jej z powrotem przekazał władzę. Chryzafiusz poniósł śmierć, a Eudokia z kolei musiała udać się ponownie na wygnanie do Jerozolimy, gdzie, usunąwszy się od eutychian, przepędziła na ustroniu resztę życia (zm. 461). Sam Teodozjusz niedługo też pozostał na tronie; w r. 450 uległ nieszczęśliwemu wypadkowi spadłszy z konia. Po jego śmierci Pulcheria poślubiła starego wodza Markiana i sprawowała rządy jeszcze przez trzy lata. Za jej sprawą doszedł do skutku sobór chalcedoński (451), który ostatecznie potępił monofizytów.

Otóż te właśnie wypadki z przeciągu trzydziestu lat panowania Teodozjusza (od poznania Atenaidy do śmierci) ścisnął ks. Pidou w ramy swej 5-aktowej „tragedii“, a właściwie udialogowanej historii.

W akcie I słyszymy, jak się zwierza młody cesarz przed przyjacielem Paulinem z uczuć miłosnych, obudzonych w nim przez nieznaną, przypadkowo spotkaną cudzoziemkę. Obawia się konfliktu między sercem a obowiązkiem, przyrzekł był bowiem siostrze pojąć za żonę tę tylko, którą mu ona wybierze. Przybyły z nagła dworzanin zawiadamia, że wódz Markian ma ponieść niebawem karę śmierci; posądzono go, że się dopuścił zabójstwa. Ktoś (zapewne Chryzafiusz) podsunął cesarzowi do podpisania wyrok śmierci, a ten swoim zwyczajem podpisał go nie czytając. Wysłany przez cesarza Paulin wraz z Pulcherią ratują od śmierci Markiana, jak zresztą wnet się okazuje, całkowicie niewinnego. Pulcheria oświadcza bratu, że wybrała dlań na żonę młodą Greczynkę, świeżo przybyłą do stolicy. Zjawia się Atenais z braćmi i wytacza przed cesarzem sprawę testamentu. Teodozjusz z radością poznaje w niej upodobaną nieznajomą. Pulcheria usiłuje nakłonić Atenaidę do przyjęcia wiary chrześcijańskiej, ale natrafia na opór.

W akcie II z monologu Chryzafiusza dowiadujemy się, że Atenais ostatecznie skłoniła się do przyjęcia chrześcijaństwa; chytry dworak nie traci wszelako nadziei, że uda mu się zjednać ją dla nauki Eutychesa i usposobić wrogo przeciwko Pulcherii. Nadchodzi Markian i przeciwnicy po krótkiej sprzeczce biorą się do mieczy. Paulin przerywa spór, a po odejściu Chryzafiusza dzieli się z Markianem obawami co do młodej cesarzowej: bodaj że przychyli ona ucha podszeptom Eutychesa i Dioskora. W scenie następnej Pulcheria składa życzenia śpieszącemu do świątyni na ślub bratu i złożywszy w ręce przyszłej bratowej zarząd pałacu zamierza wstąpić do klasztoru. Na prośby brata i Eudoksji zostaje jednakowoż po dawnemu przy rządach. Eudoksja jest z tego w głębi serca niezadowolona i zaraz z początkiem aktu III widzimy, że się zmawia z Chryzafiuszem, który też podnieca jej ambicję i liczy na więzy

miłości, w jakie młoda cesarzowa ujmie męża. Ale i Pulcheria wnet — jak się zwierza Paulinowi — rozczarowała się do Eudoksji. Ma jej za złe, że wyniesiona z niskiego stanu na tron chętnie unosi się pychą, zbyt też powolna jest podszeptom wrogów prawdziwej wiary, Dioskora i Chryzafiusza. Cesarz zaś, słaby i nierozważny, podpisuje dekrety, jakie mu podsuną. Na dowód Pulcheria okazuje dekret, jaki sama dla żartu podsunęła cesarzowi; jego mocą oddał on jej Eudoksję w poddaństwo. Tym sposobem chce ona ukazać bratu naocznie jego nieoględność. Jakoż rzeczywiście zatrzymała u siebie Eudoksję siłą, z czego wyniknął dość ostry spór między nią a bratem. Teodozjusz otrzymawszy z powrotem dekret swój przyznaje, że postąpił lekkomyślnie. Eudoksja jednak nie zapomina doznanej zniewagi.

W akcie IV widzimy, że ona z kolei przygotowała dekret, skazujący Pulcherię na wygnanie. Zamierza najpierw chyłkiem podsunąć go cesarzowi do podpisu, kiedy ten jednak zaczyna go czytać, stawia sprawę jasno i groźbą odjazdu do Aten sprawia, że cesarz rzeczywiście skazuje siostrę swą na banicję. Pulcheria poddaje się wyrokowi, a Chryzafiusz z całą swobodą przygotowuje teraz dzieło odszczepieństwa. Na drodze stoi mu jeszcze Paulinus, zwolennik Pulcherii i przeciwnik jego knowań.

W akcie V z rozmowy Paulina z przyjacielem Orozjuszem dowiadujemy się bliżej o knowaniach Chryzafiusza. Oto metropolita konstantynopolitański Flawian, wierny syn kościoła, zmarł; chodzą wieści, że w okolicznościach podejrzanych. Chryzafiusz zmierza do wprowadzenia na jego miejsce Dioskora. Na soborze efeskim nie dopuszczono do głosu legatów papieża Leona i za dogmat ogłoszono naukę Eutychesa o jednej naturze w Chrystusie. Teodozjusz sam waha się, nie ze wszystkim zadowolony z przebiegu soboru efeskiego, i wzdycha za radą i pomocą Pulcherii. Teraz Chryzafiusz chcąc za wszelką cenę pozbyć się Paulina knuje śmiałą intrygę: zasiewa w duszy cesarza podejrzenie, że Eudoksja darzy Paulina uczuciem wzajemnym; doradza, by ją wystawić na próbę. Po chwilowym oburzeniu cesarz skłania się do poddanego mu planu. Posyła Eudoksji w darze otrzymane od ogrodnika jabłko dziwnej wielkości. Kiedy zaś odwiedziwszy chorego jakoby Paulina zobaczył to jabłko w jego ręku, wziął to za dostateczny dowód zdrady, kazał ściąć Paulina, a Eudoksję skazał na wygnanie, — Pulcherię natomiast przyzwał z powrotem. W zaciętości swej głuchy jest na usprawiedliwienia i na płacz niewinnej Eudoksji: liczyła ona przecież, że ucieszy męża posyłając owoc najserdeczniejszemu jego przyjacielowi. Rozpacz i lament Eudoksji oddane zostały w dramacie z dużą siłą wyrazu; najstaranniej to chyba pod względem artystycznym opracowana scena.

„O fallaces mundi spes, o plus spinis quam gemmis onusta regum corona! Felicem vere Damoclem, qui non uno longius prandio sustinuit

regnandi necessitatem! Volabilis fortuna, quis tibi deinceps credet! En illa ego Eudoxia, pro qua se una vivere aiebat Theodosius.... O, quantum facies rerum mutata! Leve ob pomum a me incaute ad amicum Caesaris missum contemnor, expellor, ut rea exilio multor!

Mundo quae firmitas,
Lubrica gaudia,
Honoris vanitas,
Bona fallacia,
Caecus, qui amat talia!

Amata polluunt,
Possessa cruciant,
Vix visa transeunt,
Obruunt haud, —
Caecus, qui amat talia!..."

Rozżalona Eudoksja odchodzi na wygnanie przysyłając przez dworzanina Orozjusza mężowi przysięgą utwierdzone zapewnienie swej niewinności:

„Sed vivum iuro Deum et irati numinis fulmina, nec ulla unquam in me fuit imputati criminis umbra. Misera moriar, sed Augusto fida".

Wraz już i Pulcheria przybywa z wygnania. Ale zastaje brata umierającego. Spadł z konia, gdy mu Orozjusz powtarzał ostatnie słowa Eudoksji. Przed śmiercią przecież wyraża nadzieję, że zbrodniczego Chryzafiusza, choć zdołał umknąć, dosięgnie jeszcze kara boża, a siostrze poleca, by naprawiła zło wyrządzone kościołowi przez sobór efeski i oddawszy rękę Marcjanowi sama rządziła państwem. Na tym *explicit tragoedia*.

4.

Pamiętając naszkicowany poprzednio rzeczywisty przebieg wydarzeń ciekawiśmy, do jakiego stopnia i w jaki sposób przystosował go dramaturg dla swych celów.

Widać przede wszystkim, że z całą swobodą zastosował zasadę kondensacji chronologicznej. W rzeczywistości między pojęciem Atenaidy za żonę a śmiercią Teodozjusza upłynęło, jak wiemy, lat trzydzieści. Akcja dramatyczna tymczasem rozwija się w czasie bez porównania krótszym. Zapewne, między wydarzeniami aktu I a II musiał upłynąć jakiś czas. W ostatniej scenie aktu I Atenais jest jeszcze oporną poganką, tymczasem w scenie pierwszej aktu II dowiadujemy się, że już ochrzczona i że właśnie ma się odbyć jej ślub i koronacja. Natomiast między aktami II i III, III i IV nie ma przerwy w akcji. Słowa osób lub tok wydarzeń na początkach aktów nawiązują bezpośrednio do spraw aktów poprzednich. Ta część dramatu rozwija się jednym ciągiem tego samego dnia. W akcie III i IV mamy podane *in extenso* dwa rzekome dekrety Teodozjusza, oba oznaczone tą samą datą roczną: 445. Między aktem IV a V można by w pierwszej chwili przypuścić pewną odległość w czasie, a ponieważ mowa tam o soborze efeskim, świeżo odbytym (występują legaci papiescy, którzy protestują przeciwko niedopuszczeniu ich na sobór i przeciwko jego uchwałom), można by przyjąć, że akt V dzieje się w r. 449, a więc 4 lata później. Jednakowoż wskazówek wyraźnych nie ma, owszem, pierwsze słowa aktu mieszczą żale Paulina z powodu wygnania Pulcherii, co

właśnie dokonało się pod koniec aktu IV. Ponadto już w akcie IV (dziejącym się w r. 445) jest mowa, że sobór efeski właśnie się odbywa. Wszystko to mówi za tym, że i w akcie V akcja, bez względu na rzeczywistość historyczną, toczy się tegoż roku, a może nawet tegoż dnia, co i w akcie IV. Innymi słowy, autor, jak się zdaje, wydarzenia 30 lat ścisnął w ramy akcji dramatycznej jedno- czy co najwyżej dwudniowej. Wzgląd na wierność chronologiczną, na uprawdopodobnianie toku wydarzeń, słowem na realizm historyczny, nie odgrywał tam żadnej lub niemal żadnej roli.

Również związki między wypadkami przedstawia autor wcale swobodnie. Z historii wiemy, że incydent z Paulinem zaszedł jeszcze przed r. 440, że po nim dopiero (a może nawet wskutek niego) Eudokia ułagodziwszy męża wymogła na nim zesłanie Pulcherii, po czym sama rządziła przez lat 7. Tutaj tymczasem incydent ten zachodzi już po wygnaniu Pulcherii i jest przyczyną odtrącenia Eudoksji na zawsze. Wygnanie Pulcherii w rzeczywistości trwało 7 lat, tutaj zaś odwołuje się ją z zesłania, zanim jeszcze na dobrą sprawę mogła ona na nie wyjechać. Podobnież Chryzafiusz w rzeczywistości nie upadł ani po śmierci Paulina, ani nawet po pierwszym wygnaniu Eudokii, właśnie dopiero wtedy, po r. 440, „opanował cesarza całkowicie na resztę lat jego panowania“ [1]. W dramacie, jak widzieliśmy, związek czasowy i przyczynowy między tymi wypadkami jest zgoła inny.

Można więc powiedzieć ogólnie, że autor tragedii gospodarował dość swobodnie faktami historycznymi, przestawiał według potrzeby zachodzące między nimi związki; jednakowoż widoczna zarazem, że same fakty przejmował wcale wiernie z historii, ściślej mówiąc: ze swego źródła historycznego.

Mogłoby więc z kolei interesować, jakie to było źródło, skąd miał autor tworzywo dla swej tragedii. On sam nie pozostawił co do tego żadnej wskazówki. Możemy jednak przypuszczać, że sięgał po treść do źródła stosunkowo najdostępniejszego, mianowicie do *Annales ecclesiastici* Baroniusza. Dzieło to zaczęło się ukazywać w r. 1588 i od razu stało się istną kopalnią tematów dla szkolnych tragedii historycznych, w szczególności osnowanych na wypadkach z dziejów Bizancjum. Mnożyć się będą przez cały wiek XVII sztuki mające za temat losy władców i wodzów cesarstwa wschodniego: Leona Armeńskiego, Arkadiusza, Chosroesa, Eutropiusza, Maurycjusza, Belizariusza, Juliana Apostaty ii.[2] Są to przeważnie sztuki z repertuaru ko-

---

[1] K. Krumbacher, *Geschichte der byzantinischen Literatur*, München 1897, s. 915 n.

[2] A. Stender-Petersen, *Tragoediae Sacrae.* Materialien und Beiträge zur Geschichte der pol.-lateinischen Jesuitendramatik der Frühzeit. Tartu (Dorpat) 1931, s. 81. — Dzieło Baroniusza streścił wnet ks. Skarga w *Rocznych dziejach kościelnych* (Kraków 1603).

legiów jezuickich. Jednakowoż i teatyn szukając tematu historycznego odpowiedniego dla publiczności ormiańskiej, a ujętego ściśle ze stanowiska katolickiego, w rozległym skarbcu Baroniusza mógł bez trudu znaleźć dla swego utworu gotowe argumentum.

Baroniusz atoli jest kompilatorem, w wywody swoje wplata ustępy z dzieł poprzedników; w szczególności historię panowania Teodozjusza młodszego opowiedział posługując się dziełami Teofanesa, Nicefora i Zonarasa. Wolno jednakowoż przyjąć, że ks. Pidou do tamtych wcześniejszych opracowań chyba nie sięgał; znajdują się tam szczegóły, o których głucho w jego tragedii. Tak np. Nicefor podaje, że Teodozjusz i Eudokia mieli córkę Eudoksję, która wyszła za cesarza rzymskiego Walentyniana i która odegrała dużą rolę w odwróceniu sympatyj Teodozjusza od eutychian. Baroniusz wspomina o córce, ale o jej zamążpójściu, a tym mniej o owej roli nie mówi ni słówkiem. W *Pulcherii*, chociażby ze względu na wskazaną powyżej kondensację chronologiczną, szczegół ten również nie mógł mieć zastosowania.

Zresztą można wysunąć dowód, który postawione tu domniemanie o źródle *Św. Pulcherii* pozwala zamienić niemal na pewność. Baroniusz mianowicie nie odróżnia dwu wygnań Eudokii do Jerozolimy: jednego sprzed r. 440, drugiego z r. 449, pierwszego spowodowanego wypadkiem z Paulinem, drugiego wywołanego odwróceniem się Teodozego od eutychian po soborze efeskim. Dwa te wydarzenia łączy on w jedno, przenosi je na r. 449 i wiąże przyczynowo ze sprawą Paulina, który w rzeczywistości podonczas od 9 lat już nie żył[1]. Otóż i w tragedii ks. Pidou ujęto sprawę identycznie; i tu mówi się o jednym tylko wygnaniu cesarzowej, mianowicie o ostatnim, i za przyczynę jego podaje się zarówno odwrócenie się Teodozjusza od eutychian jak i posądzenie Eudoksji o zdradę. Wolno w tym widzieć dowód wiernego trzymania się źródła.

Jakoż rzeczywiście wszystkie główne szczegóły historyczne zużytkowane w tragedii dadzą się znaleźć u Baroniusza. Brak w *Annales* jednego tylko: wzmianki o wrogich stosunkach między Chryzafiuszem i Markianem, a co za tym idzie, również i o podstępnej próbie skazania Markiana na śmierć pod pretekstem zbrodni zabójstwa. Ten szczegół zapisać chyba wypadnie na karb inwencji autorskiej ks. Pidou. Natomiast pozostałe szczegóły anegdotyczne, nie wyłączając historii z podpisanymi na ślepo dekretami, z nieszczęsnym jabłkiem itp., przejął autor wiernie z tego kronikarza, a tylko je deformował dla swych celów dramatycznych, układając je w inny porządek chronologiczny, wprzęgając w inny system konstrukcyjny.

[1] Zob. B. Baronii *Annales ecclesiastici*, ed. A. Theiner, Parisiis 1816, VII 587. Przygoda opowiedziana za Niceforem, Teofanesem, związana z r. 448 i 449. Baroniusz wspomina też o pielgrzymce Eudokii do Jerozolimy pod r. 438, ale przyczynę podaje „voti solvendi causa" (VII 496).

Interesowałoby nas z kolei pytanie, co to za system? W jaki sposób należy ocenić omawiany dramat? Autor nazwał swój utwór tragedią. Jest on nią tylko w znaczeniu średniowiecznym, bo zaczyna się wesoło, a kończy się śmiercią[1]. Próżnobyśmy natomiast przykładali doń miarę estetyki klasycznej, a cóż mówić nowoczesnej. Z tego stanowiska uważana sztuka ta nie jest tragedią ani ze względu na bohaterkę, ani ze względu na ideę. Pulcheria nie ginie ani nawet nie przegrywa, owszem w ostatniej scenie osiąga pełnię władzy cesarskiej. Idea jedności z kościołem zachodnim również nie upada, ale owszem zwycięża; umierający cesarz zapowiada, że rychły sobór chalcedoński potępi „latrocinium Ephesinum" i odrzuci eutychianizm. Zapewne, ginie Teodozjusz. Ale ta postać, całkowicie bierna, marionetka w rękach otoczenia, nie może przecież wyznaczać osi konstrukcyjnej sztuki; brak jej do tego elementarnego warunku: jasno uświadomionego i konsekwentnego dążenia, dramatycznego charakteru.

W *Pulcherii* nie znajdujemy nic z tego, czego zwyczajnie szukamy w tragedii. Nie ma tam ani konfliktu dramatycznego, ani przeprowadzenia go przez jakieś stadia napięcia, ani naturalnie wyraźnego rozwiązania; nie ma winy tragicznej ani ekspiacji, jest po prostu pewien ciąg wydarzeń opowiedzianych sposobem anegdotycznym, jest kawał historii odtworzonej w dialogach osób. A trudno mówić nawet o należytym dobraniu tych osób. Jeżeli autor sprawą tragedii główną chciał mieć sprawę o monofizytyzm, jeżeli zadaniem jego było pokazać błędność tej herezji, to wolno by oczekiwać wprowadzenia na scenę głównych jej protagonistów: Eutychesa z jednej, a np. Flawiana z drugiej strony. Byłaby dynamika dramatyczna w takiej scenie starcia się dwóch przeciwników. Na zadanie takie autor jednakowoż się nie porwał. Trudno więc mówić o zdecydowanej konstrukcji dramatycznej w jego utworze.

Równie trudno o celowym zestawieniu charakterów, a cóż dopiero o jakimś ich rozwoju. Źródłem nie intrygi dramatycznej, ale intryganctwa w dramacie jest jeden czarny charakter Chryzafiusza; ale np. i o jego właściwych pobudkach postępowania nic bliżej się nie dowiemy. Czy działał z chciwości, czy z żądzy władzy, czy z doktrynerstwa sekciarskiego, czy wreszcie z przyrodzonej złości? Ani cesarz, ani cesarzowa, ani nawet Pulcheria nie są również pokazani w swym życiu wewnętrznym, w grze namiętności. Dobrze jeszcze, że autor w niektórych przynajmniej scenach starał się choćby pozaznaczać konflikty psychiczne, np. Atenaidy wzbraniającej się zmienić wiarę, a zwłaszcza Teodozjusza zmagającego się z rozbudzonym przez Chryzafiusza uczuciem zazdrości. Sama nareszcie katastrofa, śmierć Teodozjusza, nie uzyskała tu bynajmniej uza-

[1] Por. W. Creizenach, *Geschichte des neueren Dramas*, 1893, I 10.

sadnienia dramatycznego, sprowadza ją prosty przypadek, na surowo przejęty z historii.

Nie znaczy to, żeby z osnowy historycznej, stanowiącej treść sztuki, nie dało się wydobyć konfliktu tragicznego. Owszem, tkwią one tam, jest ich nawet kilka. Pod tym względem ks. Pidou miał trafne wyczucie stosowności tematu. Uwolniwszy się nieco od sugestii historycznej (zresztą bynajmniej nie jednolitej) co do charakteru Teodozjusza, można było osnuć np. na temacie silną tragedię zazdrości, z bohatera zaś uczynić coś na kształt bizantyńskiego Otella mając w Chryzafiuszu doskonały odpowiednik Jagona. Można było, i to przede wszystkim, wyodrębnić ze splotu wydarzeń tragedię Atenaidy-Eudoksji. Wnosić nawet wolno, że nasz autor nie był od tego zbytnio daleki. Uwagę jego wyraźnie pociągała ta postać. Choć mu z przyjętej logiki światłocienia wypadało, żeby ją przedstawić jako intrygantkę, chciwą władzy, jako oporną Chrystusowi najpierw pogankę, potem sekciarkę, przecież mimo wszystko nie zgęszcza on na Eudoksji samych cieniów, ale owszem przeplata je smugami światła, np. nie tylko podkreśla powab fizyczny młodej cesarzowej, nie tylko rozległość jej ćwiczonego w filozofii umysłu, ale ukazuje jej piękno duchowe, na cnotę jej i na wierność małżeńską nie rzuca ni śladu podejrzenia, każe jej cierpieć niewinnie, w cierpieniu tym ukazuje nawet jej wielkość duchową. Krzywda doznana od małżonka w niczym nie zmieniła jej ku niemu miłości. Stąd jej skarga pożegnalna ujawnia rzeczywiście przejmujące, artystycznie wcale wysokie akcenty bólu.

Już ta jedna scena mogłaby przekonać, że w autorze tkwił przecież materiał na poetę. Jednakowoż nie zdobył się on na dramat skonstruowany na tej osi głównej. Zdobyć się nie mógł wskutek zasadniczego założenia. Wiemy, że pisał swą tragedię dla celów utylitarnych, a nie artystycznych. Chodziło o oświetlenie okoliczności soboru efeskiego, a nie o dynamikę tragiczną ludzkich konfliktów.

5.

Natomiast łatwo stwierdzić, że niezależnie od lwowskiego teatyna dramaturga postać Atenaidy niejednokrotnie pociągała ku sobie wyobraźnię twórczą pisarzy, że stała się bohaterką sporej ilości utworów literackich. Pod tym względem zaćmiła sławą rywalkę swą Pulcherię, ostatecznie jej więc było za grobem zwycięstwo[1]. Zwłaszcza wiek XVII (kto wie, czy również nie za przyczynieniem się Baroniusza) upodobał sobie w tej postaci, choć swoją drogą dziełem większej miary upodobania tego nie poświadczył.

Bodaj czy nie pierwszy uczynił Atenaidę bohaterką tragedii Jean de Mairet (1639), zresztą wyraźnie bez powodzenia.

---

[1] Bibliografie porównawcze (Betz-Baldensperger, Bauerhorst) nie zawierają danych do historii obu tych motywów literackich.

W sześćdziesiąt lat później podjął tenże sam motyw La Grange-Chancel, który w tragedii swej (1699) zużytkował też epizod poświęcony Atenaidzie w powieści La Calprenède'a *Pharamond* (1661) o nieszczęśliwym rywalu Teodozjusza, perskim królewiczu Varanesie[1]. Równocześnie została Atenais bohaterką jezuickiego dramatu szkolnego (1655) w kolegium wiedeńskim[2]. A pamięć o niej utrzymać się musiała w tym zakonie długo i szeroko, przy czym nie ominęła i Polaków, skoro jeszcze po stuleciu (1750) znajdujemy w kodeksie rękopiśmiennym kolegium krasnostawskiego ni to opowieść prozaiczno-poetycką, ni to argumentum dla jakiegoś nie napisanego (czy nie dochowanego) dialogu, osnutą właśnie na kolejach życia tej cesarzowej, od jej sporu z braćmi aż po wyjazd do Jerozolimy[3].

Osobliwego rodzaju dość niespodziane echo zainteresowania się w Polsce tą postacią znajdujemy jeszcze w w. XIX, i to w twórczości nie byle czyjej, bo Antoniego Malczewskiego. Jest on autorem także pewnego rodzaju notatki historycznej czy argumentum dramatu[4], a może nawet, jeśliby przyjąć hipotezę E. Kucharskiego[5], jakiegoś fragmentu dramatycznego (zaginionego) o Atenais. Jeszcze osobliwszy dowód palingenezy literackiej tego motywu wskazać można we współczesności. Cesarzową-Greczynkę obrał za bohaterkę B. Graszyński, autor komedii historycznej, w grecki wiersz ujętej, *Ἀθηναΐς* (1911)[6].

Natomiast Pulcheria znacznie mniej doznała względów w literaturze pięknej. W trzy lata po ks. Pidou obrał ją P. Corneille[7] za bohaterkę tytułową „komedii bohaterskiej". Ale zwrócił on zainteresowanie do czasu późniejszego, akcję utworu osadził w momencie po śmierci Teodozjusza, a za treść wziął współzawodnictwo do ręki Pulcherii, rozegrane przez trzech pretendentów, z których jeden tylko zdołał obudzić jej miłość. Węzłem

---

[1] O. Nietzelt, *La Grange-Chancel als Tragiker*, Leipzig 1908, s. 25 n.

[2] Nicolaus Avancinus, *Poesis dramatica*, Wiedeń 1655, pars I: *Suspicio sive Pomum Theodosii*. Zob. P. Brahlmann, *Jesuiten-Dramen (1597 — 1779)*, Leipzig 1896.

[3] Rkps Pol. Akad. Umiej. nr 1752: *Liber dramatum collegii Crasnostaviensis S. J. ab A. D. 1732*. Na k. 229—234, po *Oratio* datowanej r. 1749 mieści się *Autumnus malorum ferax Eudoxiae Imperatrici ac Paulino Principi*. — I w w. XIX nie brak utworów dramatycznych osnutych na tym wątku, zarówno we Francji jak w Niemczech, np. L. A. Rallier, *Athanaïse*, tragédie en 5 a. (w *Oeuvres poétiques*, 1813 i 1822); F. Fhr. v. Keller-Schleitheim, *Athenais*. Trauerspiel in 5 A. (1827 i 1837).

[4] *A. Malczewski, jego żywot i pisma*, wydał A. Bielowski, Lwów 1843, s. 156 n.

[5] W recenzji monografii J. Ujejskiego o Malczewskim, *Pam. Liter.* XX 297.

[6] ΑΘΗΝΑΙΣ ὑπὸ Βοναυεντουρα Γρασινιος, *Eos* 1911—12. Treścią komedii, wysnutej z dzieł Teofanesa, Sozomena i Zonarasa, są losy Atenaidy aż do momentu zamążpójścia i koronacji.

[7] Zob. *Oeuvres complètes*, Paris 1840, II 236 n.: *Pulchérie. Comédie héroïque* (1672).

podstawowym komedii Corneille'a jest konflikt między prawami serca a obowiązkiem racji stanu; bohaterka rozwiązuje go oczywiście na rzecz racji stanu i oddaje rękę leciwemu Markianowi[1]. Komedia zresztą, jedna z ostatnich, nie stanowi bynajmniej liścia w wieńcu laurowym Corneille'a.

Dodajmy ponadto, że i w Polsce w w. XVIII przypomniano postać cesarzowej Pulcherii w osobnym opowiadaniu biograficznym J. K. Jabłonowskiego *Historia Pulcherii Cesarzowej Greckiej* (1760), jako przykład budujący w dziełku *Exempt... JOX Jabłonowskiej.*

6.

Od łacińskiego tekstu tragedii ks. Pidou znacznie bardziej interesuje nas część polska, intermedia, a to zarówno ze względów literackich jak historyczno-obyczajowych. Pozwolą nam one najpierw rewindykować dla historii literatury jedno, nieznane dotąd, nazwisko autora dramatycznego. Poza tym słabo bo słabo, zawszeć jednak są związane z gruntem życia kulturalnego w owoczesnym Lwowie i coś niecoś z niego nam ukażą.

Jak się rzekło, tekst intermediów wypełnia drugą część rękopisu, zapisaną jednym ciągiem i jedną ręką. Kiedy i przez kogo? Kto jest ich autorem? Ani rękopis, ani relacje obu kronikarzy nic nam tu bezpośrednio nie powiedzą.

Że powstały one *ad hoc*, że były przeznaczone do wykonania scenicznego między aktami *Pulcherii*, to nie może ulegać bynajmniej wątpliwości. Kiedy koniec aktu I zostawia nas w niepewności, w którą stronę: ku pogaństwu czy ku chrześcijaństwu skłoni się ostatecznie serce Atenaidy, intermedium bezpośrednio po tym następujące przedstawia nam rozgrywkę na Olimpie między potęgami nadziemskimi o to właśnie serce, a wynik rozgrywki będzie znowu prognostykiem dalszego rozwoju wydarzeń w dramacie. Kiedy w akcie V poznaliśmy historię z nieszczęsnym jabłkiem Eudoksji, następujący po nim antiepilogus rozwinie przed nami udialogowaną opowieść o innym „jabłku niezgody" i o sądzie Parysa. Innymi słowy, intermedia nawiązują raz po raz do akcji sztuki, stanowią jej już to uzupełnienie, już też — bo i tak bywa — humorystyczną przeciwwagę. Nie może zatem również ulegać wątpliwości, że powstały one tuż po sztuce łacińskiej i w związku z nią, jako jej część składowa. Ze spisu osób, podającego obsadę ról, widzimy, że były też równocześnie z nią na scenie przedstawione. W ten sposób możemy i tutaj jako datę powstania przyjąć rok 1669.

Twórcą ich jednakowoż nie był twórca sztuki głównej. Mniejsza o argument z odmiennego kroju pisma. Sam jeden język i wiersz, czysty, bez usterek, świadczyć może dostatecznie, że intermedia pisał nie cudzoziemiec, co we Lwowie bawił od

[1] Skłoniło to Voltaire'a, że w przypiskach do tego utworu pomieścił kilka dokuczliwych docinków pod adresem podstarzałej bohaterki.

kilku lat, ale Polak. Autor był oczywiście z tego samego środowiska, skupiającego się koło teatynów, tzn. był obrządku ormiańskokatolickiego i najpewniej był księdzem; nie będziemy go przecież szukać między początkującymi alumnami. Skoro się na to wszystko zgodzimy, będziemy już niedaleko od celu. Owo środowisko misji teatynów przedstawili bardzo szczegółowo ks. Pidou oraz anonimowy kontynuator jego relacji; wymienili oni tam po nazwisku i scharakteryzowali wszystkich współpracowników misji, tak księży jak i alumnów [1].

Wnosząc z danych tam zawartych, w poszukiwaniu naszym zatrzymać się możemy przy dwóch tylko nazwiskach dwóch młodych wybijających się księży ormiańskich: ks. Deodata Nersesowicza i ks. Gabriela Zachnowicza. Byli to właśnie dwaj najpierwsi alumni. Ukończyli kolegium w r. 1668 i wnet objęli obowiązki kaznodziejów, tamten w rodzinnym Jazłowcu, ten we Lwowie przy katedrze ormiańskiej. Ks. Pidou wyżej cenił zdolności ks. Zachnowicza [2]. Życie jednak skorygowało tę ocenę profesorską. Ks. Zachnowicz nie zaznaczył się niczym szczególnym w swej późniejszej działalności [3], ks. Nersesowicz natomiast wyszedł wysoko w hierarchii kościelnej, zajął też niejakie miejsce i w historii wymowy kaznodziejskiej jako autor drukowanego kazania na zwycięstwo wiedeńskie oraz innych dzieł [4].

Jemu też przypisać należy autorstwo omawianych intermediów do *Pulcherii*. Za tą hipotezą przemawia dostatecznie wzmianka ks. Pidou, świadcząca, że ks. Nersesowicz w Jazłowcu jako kierownik szkoły urządzał także widowiska sceniczne: „...wszystkich wielce cieszy pobożnymi dialogami i deklamacjami swoich uczniów“ [5]. Wolno wnosić, że zasmakował w nich jeszcze we Lwowie i że jego to właśnie ks. Pidou pociągnął do wspólnictwa autorskiego. Jeszcze w r. 1668 w przedstawieniu *Św. Rypsymy* brał on udział czynny wykonując rolę króla Chrystiana i księcia Garena [6]. Wśród aktorów *Św. Pulcherii* nie figuruje, był już po święceniach; intermedia do tragedii mógł wszelako utworzyć jeszcze przed odejściem na stanowisko. Prawdopodobnie też intermedia te, wykazujące duże wyrobienie literackie autora, nie były pierwszym dziełem dramatycznym ks. Nersesowicza. Jeżeli domysł o języku pierwszej redakcji sztuki odegranej w kolegium pt. *Śmierć Heroda* jest trafny, to i ona może wyszła spod jego pióra.

---

[1] U Pawińskiego, II 99 n.

[2] Tamże, II 99: „...pięknych zdolności i obyczajów“.

[3] Nie wymienia go ks. Sadok Barącz, *Żywoty sławnych Ormian w Polsce*, Lwów 1856.

[4] Biografię jego zob. u ks. S. Barącza, *op. cit.* s. 240. „Znakomitą kaznodziejską wymowę“ ks. Nersesowicza podnosi anonim kronikarz, u Pawińskiego, II 217.

[5] U Pawińskiego, II 108.

[6] Podano go w scenariuszu tego utworu; zob. egz. w Ossolineum, l. inw. 126.077.

Z życia ks. Deodata Nersesowicza można podać kilka dat i szczegółów. Był synem proboszcza ormiańskiego z Jazłowca[1], kiedy urodzony — nie wiadomo. Ukończywszy Kolegium Papieskie we Lwowie 1668 r., został penitencjarzem w Jazłowcu i tam pracował czas dłuższy, tam to wygłosił owo kazanie 1683 r. Został potem mianowany biskupem trajanopolitańskim *in partibus*, a po śmierci arcybiskupa Torosowicza pełnił przez czas jakiś jego obowiązki (1684). Bawił następnie w Rzymie (1697), gdzie podniósł znaczenie kolonii ormiańskiej, a w r. 1698 został koadiutorem we Lwowie, gdzie też zmarł 1709 r.

7.

Wstawek polskich w tragedii *Św. Pulcheria* jest sześć, z czego antiprologus jest wprowadzeniem w sztukę[2], cztery zaś intermedia środkowe oraz antiepilogus są osobnymi właściwie, w sobie skończonymi widowiskami scenicznymi. Z nich jedno tylko intermedium (po II akcie) jest jednoodsłonowe, inne dzielą się na 4 lub 5 scen. Z wyjątkiem jednego wszystkie związane są z akcją główną tragedii w jakiś sposób, mniej lub więcej ściśle. Przy dwóch jużeśmy to powyżej wskazali. Inną formę łączności mamy w intermedium po akcie II, gdzie (nie wspominany zresztą w tekście głównym) służący Chryzafiusza staje się bohaterem intermedium komicznego.

Treścią swą intermedia te nawiązują przeważnie do świata antycznego; występują w nich bogowie Olimpu albo Hadesu, to znów postaci mityczne: Orfeusz, Parys, wreszcie uosobienia: Furia Niezgody, Adulatio, Ambitio, Ratio i Oratio. Nawet tam, gdzie akcja rozgrywa się na ziemi, w stosunkach realnych, bogowie czy uosobienia wkraczają pomiędzy ludzi. Wolne od elementów mitycznych są intermedia (czy sceny ich) komiczne. Na przekór bowiem zwyczajowi owoczesnemu, intermedia tutaj częściowo tylko mają funkcję humorystyczną; w większości są to sztuki alegoryczne czy moralne, budujące; zresztą i owe sceny groteskowe nie są wolne od obroku duchowego. Intermedia poważne przeplatają się na przemian z komicznymi; tamtych jest trzy, tych dwa. Tytułów osobnych nie mają, ale gdyby im je pododawać, porządek ich wyglądałby tak: antiprologus: A p o l l o z m u z a m i u b r a m L w o w a, I. S ą d n a O l i m p i e n a d s e r c e m A t e n a i d y, II. O s z u s t o s z u k a n y, III. Or-

[1] U Pawińskiego, II 99.

[2] W *Św. Rypsymie* antyprolog jest krótki i z akcją sztuki bezpośrednio się nie wiąże: „wyprawuje go Sława". Po czym przychodzi prolog alegoryczny, ale wprowadzający już w akcję. Po antyepilogu, będącym właściwie sceną intermediową, krótki epilog „powinne oddaje słuchaczom podziękowanie za nietęskliwe słuchanie". — W *Św. Pulcherii* antyprolog obejmuje funkcje tamtego prologu; do życzliwego słuchania zachęca już sama Melpomena. Epilogu zaś nie ma w ogóle. Obie więc nazwy: antyprolog i antyepilog zachowano tutaj raczej sposobem tradycyjnym.

feusz i Eurydyka, IV. Świat na opak, wreszcie antiepilogus: Jabłko niezgody (Sąd Parysa).

W antyprologu widzimy Apollina z muzami, jak zniechęcony do stosunków europejskich, gdzie pogardzono sztuką, zastanawia się, czyby się nie przenieść na drugą półkulę.

Najgorzej w Europie, jak widzę, siestrzyce.
Nie chcą nas mieć. Przeto my idźmy, gdzie nam radzi...
Nasze skrypta i rzeczy, godne do wspomnienia,
W muszkiet nabiwszy na wiatr, nie mają imienia.
Podź do karczmy: nie dadzą szklanki — nie nowina —
Za wiersze heroickie piwa, nie tak: wina...
Gdy tuśmy się, jak widzę, jedną bajką stali,
Idźmy tam, gdzie nas będą lepiej traktowali.

Wstrzymuje go Melpomena, która niedawno zaznawszy życzliwego przyjęcia we Lwowie, gdzie „w tragedyi świętej Rzymiankę z Armenijej (tj. św. Rypsymę) przed oczy stawiła“, — pragnie znowu dostać się do tego miasta, muzom życzliwego.

O to jedno proszę,
Byś w przód do przesławnego Metropolin państwa
Ruskiego chciał powrócić...
Kędy wiesz, iż Wiadomość z Mądrością panują,
Jak na drugim Parnasie swych sztuk dokazują.

Tam to Melpomena wywiązując się z obietnicy pragnie wystawić tragedię o św. Pulcherii. Apollo przyzwala i orszak muz rusza „ku Lwowi“. Tam jednak zapewnić sobie muszą gościnę, a z tym właśnie jest pewna trudność. Któż ich przyjmie? Niemiec, Rusin, Żyd, Polak czy kto inny? Melpomena wywołuje po kolei przedstawicieli tych nacji, ale trudno się doprosić o gościnę. Jeden po drugim odmawia:

Niemiec wyszedłszy mówi:

Dasz tyn durden posterden naplut was nie znamy,
Niech was Pan Bóg omyśli z strony inakszego.
Gut Nacht, gut Nacht! W ten sklipiu nie trzeba nam tego.

Nielepiej poszło z Rusinem; ten się po prostu przeląkł:

... A szto to za stworzinie?
Hospody pomiłuj, Hospody pomiłuj! Od nas was to minie!

Żydów zjawiło się dwóch i zaraz w handel:

Żyd: Czego potrzebujecie? Futra mam dobrego...
Drugi: Gorzałki z koperwasem mam wyśmienitego...

Melpomena odtrąca ich ze wzgardą:

Żydy śmierdziuchowie! Kto was tu wyprawił!
Wzgarda natury ludzkiej — przed nami was stawił!
Idźcież precz!

Uciekają z harmiderem:

Dus wajdzur, hajdunaj! Pójdę po hajduki!
Szpiegi pewno od Tatar! Znam ja wasze sztuki!
Pohodite zaraz....

Nie udało się i z Polakami. Przyjęliby szczerym sercem, lecz czasy ciężkie, nie mogą:

Z chęcią byśmy to dla was, od Parnasu sławne,
Uczynili boginie, nam w przyjaźni dawne,
Lecz prosim, by to było bez wszelkiej obrazy,
Gdyż teraz na złe czasy każdy się z nas skarzy.

Poleca więc całą parnaską kompanię Ormianom, którzy ,swymi dostatki" mogą tu przyjść z należną pomocą. Jakoż ci, rozradowani zwłaszcza odrodzeniem życia religijnego i wzrostem nauk, co wszystko poszło ze złączenia się z Rzymem, otwierają gościnnie podwoje.

Jak widzimy, prolog spełnia tu swą funkcję tradycyjną, doprowadza uwagę widzów do sztuki, a nawet z grubsza informuje o jej treści i usiłuje zjednać dla niej życzliwość, „fawor" słuchaczy.

Gdyż wiele nam chwalebnych rzeczy dokazować,
Które w kilka godzin mam momencie stosować.
O ile, jako widzę, siły nam nie zbywa,
Tylko nam chęć niech wasza będzie przyjaźliwa.

Autor w sposób żywy i dowcipny rozszerzył prolog w mały obrazek rodzajowy i zręcznie wplótł komplement pod adresem Ormian, głównych słuchaczy sztuki i protektorów kolegium.

Intermedium I wiąże się dość ściśle z akcją główną, a nawet ją w pewnym sensie szczęśliwie uzupełnia. Jak się rzekło, autor tragedii nie uwydatnił procesu wewnętrznego, jaki zajść musiał w Atenaidzie, zanim zdecydowała się zmienić wiarę. Zaznaczył tylko pod koniec aktu I, że była oporna chrześcijaństwu i chciała trwać przy wierze przodków, z początkiem zaś aktu II ukazał ją, jak bez oporu już ochrzciwszy się idzie na koronację. Luka w motywacji postępowania wyraźna. Wypełnił ją autor intermedium. Według tego sprawa tamta rozegrała się nie na ziemi, ale nad ziemią, w świecie bogów, a postępowanie Atenaidy w akcie II jest tylko konsekwencją owego rozstrzygnięcia wyższego. W ten sposób zarazem sztuka, jak przystało na misterium chrześcijańskie, uzyskała troistą kondygnację akcji: intermedium I dzieje się w niebie, w III akcja przeniesie się do piekieł.

W intermedium I uczestniczymy w zebraniu bogów na Olimpie. Pojęci są oni tutaj oczywiście jako moce piekielne; narzekają, że krzyż wypiera ich z ziemi i ostatnią nadzieję pokładają w herezjarchach, swych sojusznikach, Ariuszu, Nestoriuszu, Eutychesie. Liczą też na nową zdobycz, na serce Atenaidy wierne bogom; podają je też sobie z rąk do rąk. O serce to wnosi roszczenia Cupido w imię praw miłości. Rozswawolony bożek doprowadza jednak do tego, że mu faunowie z rozkazu Jowisza wymierzają chłostę. Uwięzione serce usiłuje wydostać z rąk bogów Ratio, ale argumenty jej okazują się bezsilne. Wtedy Rozum ucieka się o pomoc do Modlitwy. Przybywa

Oratio i przedstawiwszy moc swą na przykładach modlitw skutecznych, wydobywa żarzącą się kadzielnicę, dymem ofiarnym przepłasza bogów i uwalnia serce Atenaidy.

To Pulcheryi nieśmy. Jej to słuszna praca.
Niechaj się kędy indziej namniej nie obraca.
Niechaj go ofiaruje Bogu, Stwórcy swemu,
Przez jej modlitwę dziś wybawionemu.

Intermedium następne, z kolei komiczne, przedstawia głupiego sługę wystrychniętego na dudka i ograbionego podstępnie przez dwóch obrotnych złodziei. Anastazy, służący Chryzafiusza, obłowił się przy koronacji cesarzowej, przechwala się więc swym workiem i marzy o tym, jakby powrócić do rodzinnej Aleksandrii. Wyzyskują to dwaj filuci, którzy wmawiają w naiwnego głupca, że przy pomocy czarów mogą go łatwo przeprawić do ojczyzny; przewiezie go tam mianowicie powietrzem cudowna koza, do której wpierw muszą go przymocować zawiązawszy mu oczy. Trzeba tylko, żeby miał silną wiarę i nie dał się odstraszyć zakusom diabła, który może mu podczas przelotu wyrządzać rozmaite psoty. Anastazy przyzwala na wszystko. Sprytni złodzieje związawszy go płatają mu rozmaite bolesne figle, ostatecznie ograbiwszy go z ubrania i z pieniędzy umykają. Niefortunny lotnik poznaje się na podstępie dopiero pod szturchańcami i wśród kpin towarzyszy-dworzan. Jak widać, komizm intermedium jest gruby, niewybredny, zasadza się na biciu, oblewaniu wodą itp. żartach z repertuaru facecji łotrowskich. Tradycyjny jest sam wątek główny, oparty na starym motywie: oszust oszukany.

Intermedium III oraz antyepilog trzymają się wątków mitycznych greckich, z akcją główną nie są lub prawie że nie są powiązane. Tutaj autor nie uciekał się do inwencji, ale przewierszował i udramatyzował, na ogół wiernie, mit o Orfeuszu w piekle oraz drugi o jabłku niezgody i sądzie Parysa. Wysiłek autorski poszedł w kierunku artyzmu wykonania; trzeba też przyznać, że rezultat w znacznym stopniu czyni zadość intencji. Boleść żalącego się Orfeusza, a zwłaszcza nastrój infernalny w scenie 2, mieszczącej lamenty sławnych skazańców Hadesu: Iksjona, Syzyfa, Danaid, a także Prometeusza, oddane zostały z dużą ekspresją wyrazu. Podobnież w epilogu chodziło autorowi o artystyczne oddanie akcji. W śpiewach Bachusa i Wenery, a zwłaszcza w przemowie Discordii zastosował on wcale kunsztowną formę stroficzną:

Discordia *venit cantans:*

Beze mnie jedzą, beze mnie siedzą,
Beze mnie piją po samą szyję
Panowie bogowie.

Nie zniosę tego kontemptu mego
I tej zniewagi z mojej powagi,
Gdyż złość swę odnowię.

Czym nie jest dea, powiedz, Astrea,
Czym nie bogini, mówcie, dziedzini
Świata szerokiego...

Antiepilogus ten warto zestawić ze starszym u nas o 127 lat *Sądem Parysa* (z Lochera)[1], aby sobie uprzytomnić długotrwałość wątku, który w trzeciej ćwierci XVII stulecia w nowym opracowaniu dramatycznym mógł jeszcze liczyć na upodobanie widzów; z drugiej zaś strony, aby widzieć, że jakość tego opracowania, wolnego tutaj od anachronizmów i od przerostu tendencji moralizatorskich, cechujących tak wybitnie tamten dramat humanistyczny, wzrosła z latami wcale wydatnie.

Najbardziej wszelako interesujące jest intermedium IV, przedstawiające osobliwego rodzaju skojarzenia moralitetu z komedią sowizdrzalską. W stopniu wyższym niż którekolwiek z pozostałych opiera się ono o realne życie owoczesne, w szczególności przynosi dwa jakby obrazki rodzajowe, zaczerpnięte z życia szkolnego, interesujące więc dla badacza obyczajowości.

Intermedium to mogłoby nosić tytuł: Świat na opak. Wychodzi ono z założenia, że grzechy i namiętności ludzkie odwracają świat od przyrodzonego jego biegu ku zbawieniu i psują wszelaki porządek rzeczy. Tak więc i Teodozjusz, Chryzafiusz, Eudoksja przez błędy swe

świat wspak wywrócili
I wszystkie rzeczy strasznie... pokłócili.

Obrazowo przedstawił to autor w scenie 1, wprowadziwszy Cupido, Adulatio i Ambitio, które odwracają obrót sfery, przedstawiającej ptolemejski system planetarny. Trzy następne sceny przynoszą ilustracje, na sposób humorystyczny pojęte, tego odwróconego porządku rzeczy.

Taki motyw odwróconego biegu przyrodzenia jest stary: sięga w głęboką starożytność i cieszy się bardzo rozrodzonym potomstwem literackim[2]. Przewija się on również przez literaturę staropolską wcale często, i to w obu wersjach: poważnej i humorystycznej. Wersja poważna występuje w utworach wróżebnych[3], które opierając się na wyobrażeniach sybillińskich, w szczególności na IV eklodze Wergilego, jako też na proroctwach Izajasza, malują szczegóły mającego nadejść złotego wieku, we wszystkim sprzecznego z dzisiejszą naturą zepsutą.

---

[1] *Sąd Parysa, królewicza trojańskiego*, tłum. z r. 1542, wyd. H. Łopaciński, Warszawa 1897 (odb. z *Prac Filologicznych*, V).

[2] Na rozgałęzienie jego w starożytności wskazali: w przysłowiach prof. Crusius, *Märchenreminiscenzen im antiken Sprichwort* (rozdz. 6 i 7, Schlaraffenland, rozdz. 8, Die verkehrte Welt), *Verhandlungen der 40. Philologenversammlung zu Görlitz*, 1899, s. 31 n.; w metaforze J. Demling, *De poetarum latinorum* ἐκ τοῦ ἀδυνάτου *comparationibus*, Würzburg 1898, — wreszcie w poezji E. Dutoit, *Le thème de l' adynaton dans la poésie antique*, 1936; O. Schultz-Gora, *Das adynaton in der altfranz. und provenzal. Dichtung* (w *Archiv für das Studium der neueren Sprachen*, 1932, t. 161).

[3] St. Pigoń, *Na wyżynach romantyzmu*, 1936, s. 31 n.

Odmianę tej wersji znajdujemy w kolędach, stwierdzających, że zjawienie się nowonarodzonego Jezusa sprawiło już tę nagłą powszechną odmianę natury, przeistoczenie zła w dobro:

Wino rzeką ciecze, ciepło jakby w lecie,
Lwami drzewo wożą, niedźwiedziami orzą...

Wersja humorystyczna występuje w literaturze sowizdrzalskiej narracyjnej i dramatycznej. Znajdziemy ją np. w *Peregrynacji Maćkowej,* jako typowy przejaw żartobliwej fantastyki w literaturze łgarskiej, nadrabiającej wymysłami o szlarafii, kraju jęczmiennym itp. Występuje też w literaturze satyrycznej XVII w. Anonimowy autor *Trąby woskowej* (Lwów 1667) malując zepsucie obyczajów ujmuje sprawę tak, że przewrotność świata doszła aż do absurdu, porządek przyrodzony odwrócił się na opak.

Ryby z morza wyszedłszy po świecie latały,
A lotni zaś ptaszkowie po morzu pływali.
Morza, rzeki i wody orali pługami,
A po ziemi jeździli żeglarze z szkutami...
Żona męża pojęła, parobka kobieta,
Panny dzieci rodziły, co niepospolita.
Wdowy, panny i baby do mężczyzn w zaloty,
Nie godzi się i wspomnieć inszej też sromoty.
Ślepi wodzą widomych, chromy niósł zdrowego,
Dziecię ojca uczyło abecadła swego...
Z pana żebrak, jałmużnę dawał mu ubogi,
Pan się w sługę obrócił, sługa panu srogi.
Wół chłopa w pług założył, cielę poganiało,
Owca zwierza goniła...[1]

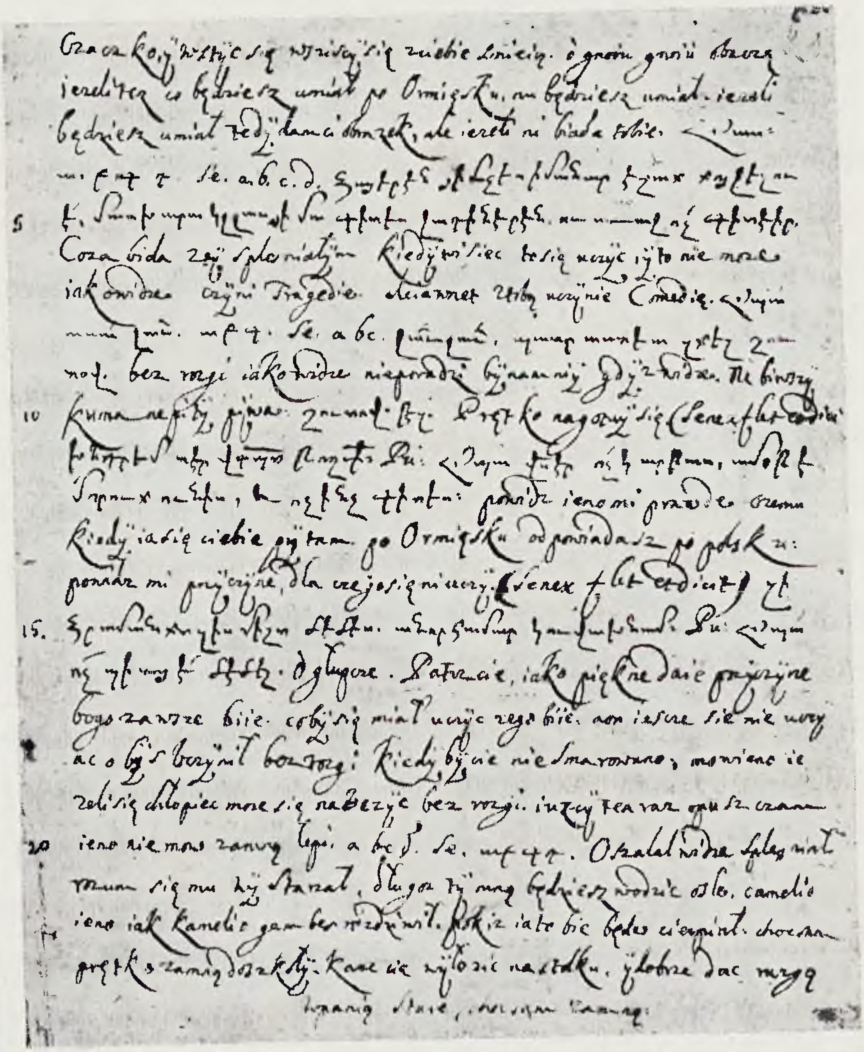
Pomysł świata na opak zużytkowano także w literaturze komediowej. Kończąc komedię rybałtowską *Szkolna mizeria* (1633) autor zapowiadał jej ciąg dalszy:

Bądźcie na mię tymczasem, domine, łaskawi,
Aże nas Bóg obudwu z tej nędze wybawi.
Jeżeli tenże zdarzy, że miejsca nabędę,
Opak świat wywrócony opisować będę.
Tam się czego dobrego wkrótce doczytacie...[2]

Czy zapowiedź została zrealizowana, nie wiemy; sztuki takiej bibliografom dotąd odszukać się nie udało. Otóż w intermedium ks. Nersesowicza mamy niejako przykład, jakby taka krotochwila frantowska miała wyglądać. W trzech odrębnych scenach podaje on tam obrazki takiego właśnie odwróconego biegu rzeczy. Pamiętając zaś, że druk *Trąby woskowej*, wydanej we Lwowie, o dwa lata wyprzedza premierę *Św. Pulcherii,* miałoby się nawet ochotę przypuścić, że stamtąd to autor intermedium mógł mieć konkretny impuls do swego pomysłu. I on

[1] Zob. ks. H. Juszyński, *Dykcjonarz poetów polskich*, Kraków 1820, II 358. Broszurę odnalazł dr L. Kamykowski w unikacie Bibl. Baworowskich we Lwowie; stamtąd miejsce i rok wydania.

[2] *Polska komedia rybałtowska*, wyd. K. Badecki, Lwów 1931, s. 536.



Rękopis Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie nr 3571, k. 45 *r.*: intermedium IV, sc. 4: *Puer edocet senem*. Tekst polski i ormiański (w. 4, 5, 8, 12, 15, 16, 20). Podobizna zmniejszona.

mianowicie przedstawia człowieka w zaprzęgu, popędzanego przez osła, starca zasadzonego na ławie szkolnej, wreszcie — z własnej już inwencji — studenta opłacającego Żydowi kozubalec.

Zwłaszcza dwie ostatnie sceny, wzięte z życia studenckiego, musiały się cieszyć szczególnym aplauzem wśród młodych widzów przedstawienia, a i dla nas dzisiaj, właśnie jako obrazki rodzajowe, przedstawiają szczególniejszy interes. Tam to jedynie znajdujemy wplecione aluzje do współczesności.

Tak np. kiedy student pragnie się uchylić od opłaty kozubalca, Żyd nastając nań obces przypomina niedawne wypadki:

Daj prędko, bo wnet głowy nabiję ci, wszarzu!
Jak ci sobie ze mnie drwi „nie mam“ powiadając.
A małoście nabrali, naszych odzierając,
Wy hultaje, kiedyście onych zabijali
Nieboraczkich, w rynsztokach jak świnie kąpali!

Jest to aluzja do tumultu z r. 1664, który wszczął się we Lwowie z waśni Żydów ze studentami, a w którym „ubito 129 Żydów i szkody, oprócz sprzętów, zastawów i zrujnowanych domów, na 700.000 zł zrządzono“ [1]. Tumult ten upamiętnił się też przez srogie represje, jakie zań z wyroku królewskiego spadły na miasto. Aluzją aktualną był więc w scenie owej również i tryumf Żyda nad studentami.

Obraz lekcji zaś, *Puer edocet senem*, szczególny komizm swój zawdzięczał temu, że autor pokazał lekcję ze szkoły ormiańskiej; starzec najsroższe cięgi i połajanki odbiera za to właśnie, że nie umie po „ormięsku“. Toteż obraz ten dzisiaj zabawić może także językoznawcę [2]. Ale zajmie i historyka wychowania. Nie ulega wątpliwości, że odłożywszy co nieco na karb wyjaskrawień komicznych, w scenie tej możemy widzieć, od zwyczajnego niewiele zapewne odbiegający, obrazek rodzajowy lekcji w owoczesnej szkółce parafialnej.

*

W ten sposób, widzimy, odszukanie rękopisu tragedii *Sancta Pulcheria* przyniosło niejaki pożytek. Odsłoniło bliżej jedno środowisko dawnego teatru szkolnego, mało dotąd znane, a przez odrębność swą wysoce interesujące: teatr księży teatynów w lwowskim alumnacie ormiańskim na pograniczu panowania Jana Kazimierza i Michała Korybuta. Pokazało następnie „wmieszkałego“ w Lwów francuskiego przybysza dramaturga, — jeżeli o dobór tematu chodzi — poprzednika Corneille'a, nie dość znanego dziejopisom dramatu łacińsko-francuskiego XVII wieku. Ukazało wreszcie i autora Polaka, zupełnie dotąd nieznanego, a bynajmniej nie pośledniego. Ks. Nersesowiczowi należy się

[1] D. Zubrzycki, *Kronika miasta Lwowa*, Lwów 1844, s. 410.
[2] Zob. tekst pełny tego intermedium na końcu rozprawy w Dodatku.

miejsce w piśmiennictwie XVII w. jako dramaturgowi, który w obranym zakresie władał formą wcale sprawnie, opracowywał zaś wątki intermediowe już to przejęte, tradycyjne, już też własne, wywiedzione z inwencji literackiej, tudzież oparte na obserwacji otaczającej go rzeczywistości.

Kraków *Stanisław Pigoń*

DODATEK

DWA INTERMEDIA X. DEODATA NERSESOWICZA DO TRAGEDII X. ALOJZEGO PIDOU „SANCTA PULCHERIA“ (1669 r.)

INTERMEDIUM TERTIUM
inter 3 et 4 actum
[ORFEUSZ I EURYDYKA]

Scena 1

Orpheus *in rupe sedens deflet mortem uxoris suae Euridicis:*

Gdzieś jest, Euridice, gdzieś żono kochana?
Gdzieś jest w podziemne lochy, gdzieś wkrótce zarwana?
Jeżeliżeś ty zgasła, i ja oraz gasnę,
Tobie, mnie, śmierci niech nie będą straszne
Sidła, i kosa onej niech zwyczajna będzie!
Tyś umarła, ja gotów z tobą umrzeć wszędzie.
Co cię za nieszczęsny wąż, w krzaku zatajony,
Tak okrutnie obraził swym jadem zamkniony.
O prześliczne oblicze! o chód! — Ach, w tym ciele
Nic śmiertelnego było, nic ciała — rzec śmiele
Mogę zawsze. — Ach, zdradna ty ludzka nadziejo,
Równaś prochu, co wiatry po ziemi go wieją.
O darma sławo ludzka! Los dobrym fałszywy!
O fortuno niepewna jako kwiat zdradliwy!
Czem się w kamień nie zmienię, od żalu ciężkiego
Zmieniwszy się, w naturę nie obrócę jego!
A ja się nie obracam w kamień krzemienisty
Ni mi się może podać wizerunk skalisty.
Lecz żyć postanowiono, gdyż i od samego
Kamienia części zmysłu nie tracę dlatego.
A przetoż pójdą oczy, w łzy nie ukrocone,
Poki żywot ostaje, będą obrócone.
Głos boleści i w słowiech żal rzewny bez miary,
Niech przybywa, póki [mię] nie włożą na mary!

(Tu będzie grał)

Ale co na głos cytry mojej się ruszają
Zwierze, kamienie, lasy co za radość mają!
Czas wiedzieć, czy i serce Plutona samego
Nie będzie ubłagane od razu jednego?
Sprobować nie zawadzi i sprobuję śmiele.
Między tymi jamami dróg jest bardzo wiele.

Jedną pójdę ku piekłu, co ma — podziemnemu —
Ciemnorodne chmur cienie w sobie, bezdennemu.
Pokuszę onych nieco, a czej kochanego
Przyjaciela obaczę współkochającego.

(Abiit ex theatro)

Scena 2

Decorationes theatri representant Infernum circumstantibus undique ignibus. Una Furia autem, in medio stans, dicit: „Discite iustitiam moniti nec temnere Divos!"

Ixio: Ach, nieszczęsnym, mizernym! Co za koniec tego!
Wiek który poda kiedy dokończenie złego?
Danaë: Nieszczęśliwa, ach, nasza letka, darma praca,
Bez końca, a w niwecz się bez miary obraca.
Gdyby przynamniej jak jest kropel w oceanie,
Piasku na dnie, jak wiele liścia [...] wstanie,
Darmo, gdyż nigdy końca, końca nie masz temu
Nigdy!
Ixio: Przenigdy!
Danaë: Nigdy!
Ixio: Nigdy! Nigdy złemu!
Danaë: Biada! Biada bez końca!
Ixio: A przez nieskończone
Biada wieki!
Danaë: Biada, ach, ach, na wszelką stronę.
Prometheus: Okrutny i złośliwy! Zły a bez dobroci!
Nieszczęsny a przeklęty ptak, gdzie się obroci,
Bez końca straszne męki okrutnie zadaje,
Bez końca, gdyż przenigdy, nigdy nie przestaje.
Zjedz, złośliwy, łakomym lubo ukąszeniem,
Całe połknij precz[1] z ciała, rwij całe z korzeniem.
O, jak wielka niezbożność bogów zajuszonych!
Co urwie, to przyrasta części ukąszonych.
Sisyphus: O śmierć, śmierć, śmierć, co ode mnie uchodzisz złośliwa,
Toć jest twoje królestwo! Czemuś nie skwapliwa?
Czemu nie chcesz, nie słuchasz, czem mię tym kamieniem
Okrutnym nie przywalisz i z moim imieniem!
O praca, praca, praca, męki nieskończone!
Bez końca nieskończone we wszelaką stronę!
Gniew, złość, desperacyja, nigdy nie mająca,
Nigdy!
Prometheus: Nigdy!
Sisyphus: Ach, nigdy!
Ixio: Końca nie znająca!
Omnes *simul:* Nigdy, nigdy, bez końca! Ach, biada na wieki,
Biada, biada na wieków nieskończone wieki!
Furia: Discite iustitiam moniti nec temnere Divos!
Uczcie się sprawiedliwości, coście napomnieni,
Aby bogów nie gardzić; przetoście wtrąceni,
Gdyżeście zabijali, nieprawie sądzili.
Ubogie odzierali, workiście pełnili,
Gwałtem cudzeście brali a niesprawiedliwie,
Fałszywie przysięgali na drugich kłamliwie
I innych wiele zbrodni źleście popełniali!

---

[1] W rkp.: przeto

Jaka robota, takąż zapłatę wam dali.
Płaćcie winę na wieki, winę opłakujcie,
Płaćcie winę na wieki, za zbrodnie żałujcie!
Discite iustitiam moniti nec temnere Divos!

Scena 3

Pluto, Proserpina, Furiae, Orpheus.

Pluto: Który to tu śmiertelny śmiał się ważyć tego,
Przystąpić, złamać prawa, wiek zakazanego?
Furie...
Orpheus: Saturnie, Cereris synu, łaski pełny,
Proszę, zmiłuj się, wołam do ciebie mizerny!
Pluto: Czego prosisz? Co żądasz? Mów ubezpieczony.
Orpheus: Mojej Euridices, ukochanej żony,
Uniżenie upraszam! Przyjęta niech taka
Prośba będzie, jeżeli jest pobożność jaka.
Proserpina: Tu żadna stąd żadnemu! Tak postanowiono,
Światła na oczy widzieć by nie pozwolono.
Orpheus: Zrodzona z matki zboża, nadziejo w cichości
Matki twej ostającej w niemałej żałości,
Chciej sprzyjać prośbie mojej!
Proserpina: Przyczyniam się k'temu.
Daj mężu, proszę ciebie, co pragnie, onemu!
Pluto: Przywiedźcie ją, Furyje. Wola się twa staje.
Jednak ją pod tym prawem, kondycyją daję,
Żebyś, poki w światowe nie przybędziesz włości,
Nie oglądał się nazad. Bo tak bez litości,
Jak znowu ją utracisz.
Orpheus: Małe rozkazanie:
Za tak niezmierne łaski wola się twa stanie.
Przeto nieśmiertelne ci oddaję za onę
Dzięki. Będę cię wielbił, w którą pójdę stronę.
Proserpina: Idź, nie baw się żałobą. Postępuje twoja
Ukochana małżonka z ciemnego pokoja.
Pluto: Idźmy w królewski pałac, kędy nas czekają
Wiele spraw, które niechaj skutek oglądają.

Scena 4

Orpheus, Euridices, Furiae, Charon.

Charon: Prędko wsiadaj! Co tutaj za śmiałość przyniosła
Śmiertelnego człowieka? a letko, by wiosła
Letko nie potonęły; przewiozęć by prędzej[1],
Dasz, niż ciebie przewiozę, nad stokroć tysięcy!
Orpheus: Kochany mój Charonie, będziesz miał nagrodę
Dobrą barzo ode mnie.

(hic respicit retro)

Furia: Patrz, jaką masz szkodę,
Gdyżeś przełomał prawo! Ja nazad powracam
Z Euridices twoją.
Euridices: Ach, znowu utracam!
Ach, co za gniew mnie z tobą zgubić usiłuje!
Orpheus: Ach, nieszczęśliwym! Pókim żyw, nie przeżałuję.
Charon: Nie masz czasu! Będzie czas inny narzekaniu,
Lamentom i tym płaczom, serdecznemu łkaniu.

[1] Odczytanie wiersza niepewne.

INTERMEDIUM QUARTUM
inter 4 et 5 actum
[ŚWIAT NA OPAK WYWRÓCONY]

Scena 1

Adulatio, Ambitio, Cupido.

Adulatio, *ferens spheram:*
Przystępujcie, o siostry. Wielki ciężar niosę.
Pomóżcie mi go dźwigać, was usilnie proszę.
Cupido: Owom jest nad samego mocniejszy Atlanta,
Silny nad Herkulesa. Oto masz galanta.
Ambitio: Odstąpcie! To szczególniej mnie samej przystoi
Ciężar, wam jest nierówny, ni za moje stoi.
Ten nie jest moich barków godzien do noszenia,
Co — proszę — przyrównywać istotę do cienia!
A to dla mnie jest świat ten, dzieło ku spaleniu,
Tysiąc onych niemało ku memu imieniu.
Adulatio: Przynamniej twym miedzianym [1] chciej się dotknąć palcem.
I tak jego [2] tym uczcij.
Cupido: Obracam *in calcem.*
Ambitio: Uczynię to, iż tę dziś [ci] łaskę pokażę,
Lecz niechaj w którą stronę w przód dobrze uważę.
Adulatio: Wspak wywróć, jeśli twoję chcesz pokazać władzę,
Gdyż ja tego nie mogę, choć się na to sadzę.
Ambitio: Owszem, wzdrygam się tego, abym koło takich
Miała się rzeczy bawić, barzo ladajakich.
Niech wywróci Cupido. Ja swym dotykaniem
Dość uczynię, uczczę go.
Cupido: Za twym rozkazaniem
Uczynię to, gdyż dobrą radą tak nie szydzę.
Ucieszny będzie prospekt tym, co patrzą — widzę.

(hic vertit spheram. Cupido *dicit:)*

O, jak pięknie, jak dobrze! O, pobiegnę spiesznie,
Powiem matce, żem zrobił tak rzeczy ucieszne.
Ambitio: My się indziej obróćmy. Nam przystoi większe
Sprawy, rzeczy, sprawować, jako co ważniejsze.
Cupido: Patrz, matko, com urobił!
Venus: Widzę twą robotę,
Swawolniku ty mały, ale widzę, poty
Nie przestaniesz ty tego, aże cię wybiję.
Patrz, jako się od ciebie postrzelony wije
Theodosius w miłości. Pochlebstwo niezmierne
Chryzafijusza także, wyniosłości pełne
Serce Eudoksyjej — świat wspak wywrócili
I wszystkie rzeczy strasznie waszym pokłócili.
Lecz choć się z Demokrytem ty naśmiewasz zawsze,
Inszych z Heraklitusem będą płacze straszne.

Scena 2

Asinus cum homine doliis onusto.

Asinus *suo more clamat.*
Homo: Ach, ach, co za noszenie! Za nieszczęście takie,
Mizeryja, ach, jaka! przypadki och jakie!
Asinus *suo more clamat.*

[1] W rkp.: mizianym.
[2] Odczytanie niepewne.

Homo: Temu jestem poddany, którego mi dała
Natura własna pod moc i pod władzę zdała.
Oto mnie — patrzcie — bije, nad którym ja miewał
Zwierzchność i com onego dobrze kijem bijał.
Asinus *suo more clamat.*
Homo: Ach, nieszczęście! Przypadek skąd ten dopuszczony,
A jako widzę, świat jest na wspak wywrócony!

Scena 3

Iudeus a studioso accipit kozubalec.

Żyd: Postój, złodzieju, student! Daj mi kozubalec!
Prędko daj, bo wnet wyrwę czupryny kawalec.
Student: Nie mam co dać! Zmiłuj się, panie arendarzu!
Żyd: Daj prędko, bo wnet głowy nabiję ci, wszarzu!
Jak ci sobie ze mnie drwi „nie mam" powiadając.
A małoście nabrali, naszych odzierając?
Wy, hultaje, kiedyście onych zabijali
Nieboraczkich, w rynsztokach jak świnie kąpali.
Dawaj prędko!
Student: Już na wam szeląg, panie żydzie.
Żyd: Daj, lichy też już na was niezadługo przydzie.
Daj i drugi!
Student: Ej, nie mam, mój łaskawy panie!
Żyd: To dobrze.

(abiit Iudeus)

Student: Co za pomsta i co za karanie!
Już, jak widzę, i na nas cale wywrócony
Świat staje, gdyż patrzajcie, jak nieukrócony
Ten psi naród ostaje. I co przedtem brali
Studenci kozubalec, aby co dawali —
Teraz nas przymuszają. Co za bieda taka
Nieznana dziś przypadła i nie lada jaka!

(abiit)

Scena 4

Puer edocet senem.

Puer: O Boże mój! Chodź sam, ty głupcze! Obaczę, jeżeli też już będziesz dzisiaj umiał lekcją. Ale jeżeli nie, biada twojej skórze! Czerwonym oną opiszę charakterem. Mówże za mną: *a.*
Senex: *a.*
Puer: *b.*
Senex: *b.*
Puer: *b.*
Senex: *b.*
Puer: O, chwałaż tobie, Boże! będzieszże już pamiętał? No, mów za mną: *a.*
Senex: *a.*
Puer: *b.*
Senex: *p.*
Puer: Co za cierpliwości potrzeba z takim nieużytym osłem! Tobie wnet powyciągam uszy aż do samej ziemi, jeno za mną lepiej nie mów! *A.*
Senex: *a.*
Puer: *b.*
Senex: *p.*
Puer: Cóż ja będę czynił z tą bestią? Ej, niestetyż mi na niego! Daj sam mi ręki! Nic inszego, jeno to ty złość czynisz!

(dał ferułą)

Senex *flet.*
Puer: Takiś ty obyczajny? Jeszcze cię i obyczajów trzeba uczyć, byku ty? Pocałuj w rękę! Podziękuj! Płacz jeno mi, wnet drugą oberwiesz. O, quinta essentia głupości! O, wstydź się, wstydź! Patrzcież, patrzcież! Czaczko! I wstydź się! Wszyscy się z ciebie śmieją! O, gnoju, gnoju! — Obaczę, jeżeli też co będziesz umiał po ormięsku, [czy też] nie będziesz umiał. Jeżeli będziesz umiał, tedy dam ci obrazek, ale jeżeli nie — biada tobie! Asa: *a, p, k, t.*[1]
Senex: *a, b, c, d.*
[Puer:] Hajeren hima czes imanar. Eszakh kho łezu e, maschara g[y]łłas, hima kides łatineren u arracz wocz kideir[2].
[Senex *tacet.*]
[Puer:] Co za bieda z tym spleśniałym! Kiedy wysiec, to się uczyć i to nie może. Jako widzę, czyni tragedie. Ale ja wnet z tobą uczynię komedię! — Aba asa ław: *a, p, k*[3].
Senex: *a, b, c.*
Puer: Ław, ław. Badrastia [y]zkhez szudow[4]. — Bez rózgi, jako widzę, nie poradzi bynamniej, gdyż widzę: „Ne biwszy kuma, ne pity piwa". — Szudow thez[5]. Prędko nagotuj się!
Senex *flet et dicit:* Ch[y]ntrem der wartabed thoghuthjun[6].
Puer: Aba was[y]n er wocz gartas, amoth e, morukh uunis, jew wocz incz kides[7]. — Powiedz jeno mi prawdę: czemu kiedy ja się ciebie pytam po ormięsku, odpowiadasz po polsku? Powiedz mi przyczynę, dlaczego się nie uczysz?
Senex *flet et dicit:* Zi h[y]raman kho, zis miszt dzedzes, anor hamar gu wachnam[8].
Puer: Aba wocz bido e dzedzeł[9]. O, głupcze! Patrzcie, jaką piękną daję przyczynę: bo go zawsze biję. Coby się miał uczyć — jego biję, a on jeszcze się nie uczy. A co byś uczynił bez rózgi, kiedyby cię nie smarowano? Mów jeno: jeżeli się chłopiec może nauczyć bez rózgi? Już ci ten raz odpuszczam, jeno nie mów za mną lepiej: *a, b, c, d.*
Senex: *a, p, k, t.*
Puer: Oszalał, widzę; spleśniały rozum się mu wystarzał. Długoż ty mną będziesz wodzić, ośle, kamelio? Jeno jak kamelio gębę-ś rozdziawił. Pókiż ja tobie będę cierpiał? Chodź sam prędko za mną do szkoły! Każę cię wyłożyć na stołku i dobrze dać rózgą w panią starą. Chodź sam za mną!

---

[1] Powiedz: a, b, c, d...
[2] Po ormiańsku teraz nie rozumiesz! Osioł jest twój język, jesteś pośmiewiskiem. Teraz umiesz po łacinie, a przedtem nie umiałeś.
[3] Więc powiedz dobrze: a, b, c.
[4] Dobrze, dobrze! Przygotuj się prędko.
[5] Prędko, żywo!
[6] Proszę, panie mistrzu, o przebaczenie.
[7] Więc dlaczego nie czytasz? To wstyd! Wąsy masz, a niczego nie umiesz.
[8] Wedle twego rozkazu. Wciąż mię bijesz, dlatego się boję.
[9] A czyż nie trzeba bić?

Nb. Tekst ormiański odczytał, ustalił transkrypcję i przełożył dr Eugeniusz Słuszkiewicz, za co mu tutaj najserdeczniej dziękuję.

FORMY RELIGIJNE STAROPOLSKIEJ POEZJI POLITYCZNEJ

Poeta polityczny (bo o nim tylko będzie mowa w szkicu niniejszym) różni się zasadniczo postawą duchową od publicysty politycznego, choć obaj oni działają na gruncie tych samych zjawisk życiowych. Poeta ten nie posiada przekonań politycznych, on ma swe upodobania, sympatie i antypatie polityczne. Toteż poeta, działający w obrębie współczesnych sobie zjawisk natury polityczno-społecznej, nie będzie się starał przekonywać swoich czytelników o słuszności swego stanowiska, o braku racji swych oponentów; on tego czytelnika będzie się starał zjednać uczuciowo dla tych zjawisk, z którymi sam jest mocniej związany uczuciowo. Poeta polityczny działa dynamiką uczuciową swych utworów, podczas gdy publicysta oddziaływa mocą swych racji rozumowych. Tak jest zasadniczo, choć w praktyce literackiej mogą zachodzić między postawą poety i publicysty przesunięcia niekiedy dość znaczne, zależnie od temperamentu, struktury duchowej pisarza. Temu też przypisać należy, że niektóre np. artykuły publicystyczne Nowaczyńskiego dzięki tkwiącym w nim predyspozycjom emocjonalnym stają się utworami szczerze poetyckimi. Oczywiście, że o kwalifikacjach poety — każdego, nie wyłącznie politycznego — decyduje nie tylko siła, moc przeżywanych przez niego zjawisk świata zewnętrznego; chodzi również o to, czy potrafi on swoim przeżyciom nadać przekonywający, odpowiednio sugestywny, narzucający się czytelnikowi kształt literacki. Zaborczość na zewnątrz poety zależy w dużej mierze od czynników jego wyobraźni, które się muszą okazać całkowicie powolne pulsującemu w nim uczuciu i pozwolić mu na tworzenie takich plastycznych wizji, które wiernie oddają przebieg, siłę i moc jego wzruszeń.

W wypadku pozytywnym sposób wcielania się wzruszenia jest bardzo rozmaity: zależy zarówno od organizacji nerwowej poety, natury jego wyobraźni, jak również od stopnia jego kultury literackiej i ogólnej. Natura wybuchowa operuje techniką „krótkich spięć“ literackich, szuka sobie ujścia w formie bezpośredniego wiersza lirycznego. W tej formie — wyłącznie prawie — ujawniła się bardzo bogata liryka patriotyczna konfederatów barskich; w tej również formie ujawnił się talent wy-

bitnego liryka patriotycznego schyłku osiemnastowiecza, Fr. Zabłockiego. Taką formą operuje Słowacki w najświetniejszym wierszu politycznym epoki romantycznej *Grobie Agamemnona*, jak również — mimo wszystko — w erupcjach lirycznych swego *Beniowskiego*. Są to wszystko rzeczy przepyszne, za którymi bardzo daleko stoją te utwory barwy politycznej Słowackiego, które mu podyktowała i podszepnęła jego głęboka kultura literacka, jak *Anhelli* lub *Poemat Piasta Dantyszka o piekle*.

Zreflektowane typy poetów szukają ujścia dla swego dynamizmu uczuciowego w epickiej formie twórczości. Tak jest w wypadku Dantego, którego epicka wizja współczesnego świata politycznego wypłynęła z „długodystansowej“ jego natury nerwowej, łączącej się z typem „dośrodkowej“ jego twórczej wyobraźni (u Słowackiego spotykamy się z typem wyobraźni „odśrodkowej“). Mickiewicz stoi na poziomie Dantego. Wskutek tego najwięcej dynamiczne, najwięcej żywiołowe jego utwory są jednocześnie wyrafinowanie skończone w swej plastyce epickiej; przykładem *Reduta Ordona*, fragmenty polityczne 3 cz. *Dziadów*, posągowe kształty tzw. ustępu 3 cz. *Dziadów* (poza jednym wierszem *Do przyjaciół Moskali*, który ma inny nieco charakter).

W szkicu niniejszym chcę się zająć jedną z form literackich polskiej poezji politycznej, należącej do typu twórczości politycznej Mickiewicza w omówionych wyżej utworach, — tego typu, w którym poeta nie szuka wyładowania swej pasji uczuciowej w kształcie bezpośrednim, lecz stara się znaleźć formę pośrednią, która mu pozwala na zachowanie pewnego dystansu między sobą a czytelnikiem; trzeba dodać, że tego rodzaju taktyka poetycka w niczym nie obniża siły dynamiki uczuciowej utworu, często nawet przy większym talencie literackim pozwala na większą jej koncentrację, niż to się dzieje przy szarży bezpośredniej, wręcz. Staropolska poezja polityczna dostarcza wielu przykładów trawestacji literackich, które uważam za bardzo szczęśliwe próby rozwiązywania form ekspresji literackiej dawnej naszej poezji politycznej. Trawestacje te są dwojakiego rodzaju: albo się szuka wzoru dla nich w literaturze klasycznej lub też w bardzo bogatej twórczości religijnej kościoła katolickiego i społeczeństwa katolickiego w Polsce. I w jednym, i w drugim wypadku literatura polska znajduje swój odpowiednik w literaturze politycznej na Zachodzie.

Trawestacje tekstów Starego i Nowego Testamentu dla celów nowoczesnych — i to nie tylko politycznych — były praktykowane na Zachodzie Europy już od dawna. Średniowieczne pieśni goliardów pełne są blasfemicznych niekiedy zapożyczeń z Biblii. Tradycja tych zapożyczeń zaczęła się na dobre od czasów reformacji. Zwyczaj posługiwania się tekstem religijnym dla zoperowania przeciwnika tak się rozwielmożnił w Europie,

że sobór trydencki uznał za konieczne wystąpić oficjalnie przeciwko tego rodzaju nadużyciom literackim. We Francji „literatura wojująca“ w. XVI komponuje zabójcze *Pater Noster* jezuitów, *Salutation Angélique* i *Crédo des catholiques*. Zakazy naturalnie nie skutkują. W w. XVIII w tejże Francji zjawiają się Akty Apostolskie, spreparowane w celach politycznych, na które Dulaure odpowiada swymi *Nowymi Ewangelistami* (1790). Podobną taktykę literacką stosuje w w. XIX Lamennais w *Paroles d'un croyant*, jak później A. France. Jak jest w Polsce?

Można powiedzieć, że stanęliśmy na wysokości zadania pod tym względem. Od wieku XVI aż do ostatnich niemal lat wieku XVIII staropolska poezja polityczna rozbrzmiewa trawestacjami tekstów religijnych.

Najczęstsza i najwięcej pospolita forma tej poezji to trawestacja zwykłej pieśni religijnej, której wzorów jest sporo w hymnologii kościoła katolickiego. Każda znaczniejsza epoka polityczna dostarcza nam wielu pieśni treści politycznej, ujętych w formę modlitwy do Boga, Chrystusa, Matki Boskiej i Świętych. Najwięcej bodaj znajdujemy ich w epoce konfederacji barskiej, która przecież prowadziła walkę pod hasłami wyraźnie religijnymi. Jest to literatura, która stoi na pograniczu między literaturą świecką a literaturą religijną, dostosowywaną do potrzeb żołnierza czy udręczonego nieszczęściami ojczyzny obywatela; jest też dostosowana często do pieśni religijnych pod względem melodii (*Boże w dobroci*, *Kto się w opiekę*, *Witaj jutrzenko* itd.). Pomijam ich dokładniejszą analizę, przejdę natomiast do takich form literatury religijnej. które się wypełniało treścią najzupełniej polityczną.

Oczywistą jest rzeczą, że najdostępniejszą, narzucającą się z codziennego użytku formą literacką mogła być przede wszystkim modlitwa codzienna, a więc Modlitwa Pańska, Zdrowaś Maria, Wierzę i Dekalog. Formy Modlitwy Pańskiej użyto po raz pierwszy za Zygmunta III, przeciw któremu wymierzony jest rokoszański *Pacierz do Króla Jegomościa*, rozpoczynający się słowy:

> Ojcze nasz, królu polski, który mieszkasz w Warszawie,
> U nas w niedobrej sławie,
> Święć się w Szwecyjej imię Twoje,
> Gdzie są z dawna Twe pokoje...

Trawestacja w kolejnych cytowaniach słów Modlitwy wyrzuca królowi jego przewinienia wobec kraju, wymawia mu obfity chleb powszedni, który król odbiera szlachcie i wysyła go do Szwecji na śledzie. W tym samym formalno-treściowym charakterze utrzymano *Pacierz dworski*, ułożony przeciw Janowi Kazimierzowi za czasów rokoszu Lubomirskiego, jak i *Pacierz, skomponowany w Warszawie 1729 od pewnego katolika* pod adresem Augusta II, którego się wysyła tym razem na stały pobyt do Saksonii. I tu rzecz charakterystyczna dla wę-

drówki tego wątku formalnego w naszej poezji, że redakcja zygmuntowska powtarza się w redakcjach kazimierzowskiej i augustowskiej nie tylko w sposobie zużytkowania kolejnych słów Modlitwy Pańskiej, umieszczonych co parę wierszy, ale również w sposobie interpretacji wersetów modlitewnych za pomocą tych samych wyrażeń i zwrotów. Świadczy to niewątpliwie o wielkiej popularności pierwszej wersji, rokoszowej, która przez lat kilkadziesiąt i więcej dochowała swą świeżość, aby się odnowić w nowej treści politycznej. *Pacierz prawowiernych za króla Stanisława* z czasów walki Leszczyńskiego przeciw Sasom w swej redakcji polskiej i w łacińskiej *(Oratio Dominica)* jest o tyle osobliwy, że jest jedyną trawestacją ułożoną na kanwie Modlitwy Pańskiej w sensie dla adresata pozytywnym. Różni się w obu redakcjach (polskiej i łacińskiej) od poprzednich konstrukcyjnie, bowiem oryginalne słowa modlitwy umieszcza się po tekście strawestowanym. Redakcja polska tak wygląda w wyjątku:

Ty, Panie z wysokości, przy nas stań, a zęby
Przytrzyj tym partyzantom, by nie brali w gęby
Chleba naszego powszedniego...

łacińska zaś:

Sine Rege dum manemus,
Pauca bona possidemus
Et ex spicis vix habemus
Panem nostrum quottidianum...

W podobny sposób skonstruowany jest częsty w rękopisach *Pacierz śląski*, zwrócony przeciw łupiestwom rozpasanego w wojnach siedmioletnich żołdactwa pruskiego, z prośbą o obronę pod adresem Boga i Marii Teresy. Wiersz ten należy do najwięcej udatnych z trawestacyj Modlitwy Pańskiej.

W taki również sposób ułożyli barzanie swój *Pacierz konfederacki* przeciw królowi Poniatowskiemu:

Złegoś dosyć już nabroił,
Każdegoś złością napoił,
Skarby nasze nam wydarłeś,
Z Moskalami dość pożarłeś
Chleba naszego...

Podobną konstrukcję formalną odnajdziemy w dwu pacierzach Marcina Lutra. Dość zacytować początek jednego z nich:

Lutrze knechto, chamska jucho,
Coś to mówił źle i głucho Ojcze nasz;
W post żreć każesz szpek z świninką
Z szelmą twoją, psią Katrynką, Któryś jest
Wściekłą żądzą opętany etc.,

aby dostrzec, że ten impetyczny wiersz, obiecujący Lutrowi wymyślne męki piekielne, mógł powstać w gorliwej atmosferze religijnej epoki saskiej.

Ta sama epoka saska stworzyła *Dziesięcioro przykazań Króla Jegomości Augusta Wtórego;* w dziesięciu kolejnych czterowierszach August ogłasza — ściśle wedle schematu modlitewnego — przykazania dla Sasów gospodarujących w ziemi polskiej, „mlekiem i miodem płynącej"; Mojżeszem saskiego prawodawcy jest gen. Fleming.

Trawestację Creda posiadamy z czasów stanisławowskich pt. *Wyznanie rządu polskiego*, osobliwe tym, że zrodzone z jakobińskiego ducha atmosfery sejmu czteroletniego, drwiąco wyznaje „wolność stanu szlacheckiego w Polszcze, stworzycielkę nierządu wieku, ohydy, która wyzuła chłopów z prawa człowieka, a mieszczanina z prawa obywatela, z której się poczęło możnowładztwo panów, wyrządzające niezgodę, podłość i podział szlachty na partie". Sardoniczne Credo jakobińskie trawestuje jedynie tylko w wyzyskaniu motywu ogólnego Wierzę; trafniejszą interpretację trawestacyjną Creda odnajdujemy w drugiej wersji stanisławowskiej, pochodzącej z czasów pierwszego rozbioru, a wycelowanej w „Katarzynę i Fryderyka jej jednorodzonego, który się począł z ducha wojennego, wstąpił na stolicę królewską, stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych" itd. Ta trawestacja wchodzi w skład pełnej trawestacji całej modlitwy codziennej. Obok więc Creda mamy Modlitwę Pańską, Zdrowaś i Dekalog. Pacierz nie jest udany, natomiast Zdrowaś, strawestowane pod adresem Marii Teresy (łaskiś pruskiej pełna, Fryderyk z tobą, błogosławionaś między niewiastami i błogosławion owoc żywota twojego cesarz Józef) jest pomyślane dobrze, jak również i Dekalog, atakujący już naród polski w jego bezbronności (Nie zabijaj Moskala, bo ci nie dadzą, Nie będziesz kradł, bo już nie ma co). Schyłek epoki stanisławowskiej przynosi drugą pełną (oprócz Zdrowaś) trawestację modlitwy codziennej, zatytułowaną niezupełnie ściśle jako *Pacierz targowicki* (modlitwa konfederacji targowickiej, skład konsyliarski i dziesięcioro przykazań); trawestacja ta nie przynosi nic nowego pod względem formalnym w stosunku do tekstu wyżej omówionego.

Tyle, jeśli chodzi o zużytkowanie w staropolskiej poezji politycznej form modlitwy codziennej. Poza nią jednak w powszechnym użyciu społeczeństwa polskiego, choćby nawet niecodziennym, były inne modlitwy, które dla swej wyrazistości i sugestywności cieszyły się, jak jest dotąd, większą popularnością wśród ogółu katolickiego. Należą do nich: hymn ambrozjański *Te Deum laudamus*, hymn Tomasza z Cellano *Dies irae*, *Veni Creator,* suplikacje *Święty Boże*, litanie, kolędy, *Gorzkie żale i Droga krzyżowa*. Sugestywność ich płynie częstokroć z majestatycznej melodii; trzeba przyznać, że na popularność wymienionych modlitw wpływa również i treść ich, zwarta, jasna i plastyczna, przemawiająca mocno do uczucia i wyobraźni ogółu pobożnych. Skutkiem tego było, że bezimienny ogół szla-

checki, którego autorstwa są omawiane przeze mnie utwory, chętnie i często sięga do form tych modlitw już dla celów politycznych.

Forma litanii występuje dwukrotnie: raz w *Inflantskiej litanii* przeciw hetmanowi litewskiemu z czasów batoriańskich, Krzysztofowi Radziwiłłowi Piorunowi; drugi raz w *Litanii do zmarłej Rady Nieustającej* z okresu sejmu czteroletniego. W obu litaniach współczesna treść polityczna układa się ściśle w szablon litanijny od wezwania aż do zakończenia. Rzecz jednak dziwna, że mimo dogodnego i trafnego dla celów satyrycznych pomysłu trawestacje te wypadły zamazane i blade. O wiele lepiej pod względem ekspresji literackiej udały się próby trawestacji suplikacji oraz *Veni Creator;* obie wyszły z obozu barzan. Przy utrzymanej ściśle rytmice obu pierwowzorów kościelnych *Veni Creator* barskie uderza jednak prostotą ujęcia treści, dalekiej od posągowych tonów hymnu kościelnego, w czym trawestacja wchodzi w charakter ogólny prostych, bezpośrednich kompozycji literackich poetów barskich, skłonnych zresztą do satyry: chodziło im o „oświecenie głupich mózgów“ „hołoty szlacheckiej“.

Suplikacje barskie utrzymują poważną część treści tekstu kościelnego, modernizują go i dostosowują do aktualnych okoliczności politycznych w sposób dość umiejętny („przez pełnię czary łez i krwi naszej wysłuchaj nas, Panie“...). Hymn św. Ambrożego posiadamy w trzech odmianach trawestacyjnych. Z nich dwie nie należą właściwie do literatury polskiej, choć je znajdujemy w sylwach szlacheckich w. XVII i XVIII. Jedna z nich, *Cantatum in Italia*, wedle świadectwa rękopisu kórnickiego „skomponowana w Rzymie i całej włoskiej ziemi królowi Janowi III po wiedeńskim z Turczyna zwycięstwie 1683“, rozpoczyna się od słów Te Regem Poloniae laudamus, Te Victorem confitemur i modernizując treść hymnu kościelnego przeprowadza przy jego formalnej pomocy podniosłą apoteozę czynu Sobieskiego. *Ad Regem Prussiae hymnus*, z czasów wojny siedmioletniej, to przykład wręcz odwrotnego zużytkowania formy hymnu kościelnego, tym razem na pohańbienie przeniewierczego i heretyckiego Fryderyka pruskiego, co, przyznać trzeba, przeprowadzono umiejętnie, w zgodzie z wzorcem formalnym i z wielką śmiałością impetu napastniczego:

> Te, Fridericum, damnamus, te haereticum confitemur,
> Te, haeresis Patrem, omnis terra detestatur...

Ten wiersz zawędrował do polskich sylw z zagranicy, prawdopodobnie ze środowiska wiernych Teresie katolików węgierskich. Trzecia wreszcie hymnu *Te Deum* odmiana, *In Martinum Luterum*, napisana w w. XVII, wypełniając kanwę formalną hymnu kościelnego wyrzekaniami, groźbami i zwykłymi wymyślaniami na „ojca heretyków“, powstała niewątpliwie w Polsce. Pod tym względem miarodajna jest nie tylko

wzmianka jednego z rękopisów, który autorstwo utworu przypisuje polskiemu konwertycie protestanckiemu na religię katolicką: w treść hymnu wpleciono ubocznie napastniczą aluzję przeciw Maleckiemu, znanemu polskiemu szesnastowiecznemu teologowi luterańskiemu.

Najpokaźniej ze wspomnianych trawestacji przedstawia się twórczość literacka osnuta wokół wzorca formalnego hymnu Tomasza z Cellano, *Dies irae*. Polska wersja polityczna *Dies irae* jest jakby hymnem rokoszańskim: zjawia się czterokrotnie w naszych dziejach polityczno-literackich: pierwszy raz na tle wojen domowych wynikłych z rokoszu związku wojskowego Świderskiego (panowanie Jana Kazimierza), potem na gruncie rokoszu Baranowskiego (interregnum po śmierci Sobieskiego), dalej w związku z konfederacją rokoszową r. 1716, wreszcie za czasów bezkrólewia po Auguście II.

Wszystkie polskie hymny *Dies irae* trzymają się wiernie faktury treści pierwowzoru, utrzymują jego posągową rytmikę i układ tercynowy wiersza, jak również język łaciński, poza *Dies irae konfederacji polskiej 1716 r.*, który skomponowano w języku polskim. *Dies irae* z czasów interregnum po Sobieskim posiada obok zasadniczego tekstu łacińskiego przekładową wersję polską pt. *Dzień on, dzień gniewu Pańskiego*. Wszystkie redakcje tworzą całości wyraziste, plastyczne, wytrzymane w robocie i technice literackiej. Zaznaczyć należy rzecz jedną, ważną dla kwestii wędrówki motywów literackich w polskiej poezji politycznej. Oto kompozycja obu hymnów z czasów związków wojskowych Świderskiego i Baranowskiego wykazuje bliźniacze nieraz podobieństwa w doborze obrazów, a nawet w technice makaronicznej słownictwa. Obie okoliczności wskazują niewątpliwie, że autor wersji drugiej, również, jak i gdzie indziej, anonim, dostosował do potrzeb chwili tekst z czasów Związku Święconego, przypominającego przecież chwile marszałkostwa Baranowskiego. Powtórzyła się tutaj historia z wędrówką wątku formalnego Modlitwy Pańskiej, którą wskazałem wyżej. Oba charakteryzowane hymny wyszły ze środowiska społeczeństwa szlacheckiego, uciemiężonego najazdami hord żołnierstwa, które na podstawie własnej jurysdykcji wybierają zaległe żołdy (L i b r i s c r i p t i p r o f e r e n t u r, U b i c h l e b y c o n t i n e n t u r, Q u i b u s L a e c h i d e p r a e d e n t u r), społeczeństwa, przerażonego zwłaszcza wizją załóg wojskowych, niszczących bezlitośnie chłopa, a więc i dziedzica wiosek (C h ł o p s t u p e b i t, d u m p e r r u r a P a l a m v a g a b i t u r c i u r a, K ę d y d o o b o r y d z i u r a). Różnica kompozycyjna obu tekstów polega na tym, że pierwszy hymn jest modlitewnie zaadresowany do Jana Kazimierza, podczas gdy autor drugiego stara się znaleźć zmiłowanie u „straszliwego sędziego“, marszałka związku Baranowskiego, z konieczności niejako, bo zbrakło sędziego najwyższego, którym był w Królestwie Polskim król. Nosi on w rękopisach tytuł

Hymnus Patriae ad Confoederatos. Na ten hymn odpowiedzieli związkowcy Baranowskiego własnym hymnem (*Hymnus Confoederatorum*), w którym odzywa się trójgłos wszystkich zainteresowanych stron: konfederatów, ojczyzny i króla (w sperandzie). Oczywiście, że ogólne nastawienie tego hymnu jest prokonfederackie.

Redakcja z czasów interregnum po Auguście II powstała w chwili przełamania oporu Leszczyńskiego za pomocą oręża rosyjskiego i intronizacji w tych okolicznościach Augusta III (Tuba Mosci sparget sonum Et rebellem tum Polonum Coget ad Augusti thronum; Gens stupebit Polonorum, Dum patebit vis Moscorum, Veniens per jus armorum); bezimienny jej autor szydzi z zagadkowej „pomocy" francuskiej i opisuje w mocnych wyrazach nawrócenie się narodu ku Augustowi, połączone z ostateczną klęską Leszczyńskiego. Rzecz ciekawa, że i ta redakcja hymnu Tomasza z Cellano zawiera pewne reminiscencje z redakcji kazimierzowskiej, której wpływ na późniejszą poezję polityczną był, jak się okazuje, przemożny; zresztą, najobiektywniej sądząc, redakcja ostatnia należy do najwięcej udatnych z punktu widzenia artystycznego trawestacji pierwowzoru średniowiecznego. Najpokaźniejsza ilościowo redakcja z czasów konfederacji tarnogrodzkiej (1716), jedyna polska, jaką posiadam, choć utrzymuje walory formalne pierwowzoru (tercyna i rozmiar rytmiczny), oderwawszy się od prostych, lecz zwartych, lapidarnych jego obrazów traci na sile i rozpływa się w rozwlekłych, pełnych nieposkromionego gadulstwa wyrzekaniach na hetmana i inne osobistości współczesne, niekoniecznie nawet historycznej miary (jak np. rozwodnika Derengowskiego); jest to utwór jakiegoś zakazanego partykularza szlacheckiego, produkt ciasnej, parafialnej głowy.

Z modlitw będących w powszechnym użyciu społeczeństwa polskiego, które się doczekały trawestacji, wymienić należy również kolędę; formy tej użył Zabłocki przerabiając znaną kolędę *Hej w dzień narodzenia* na *Kolędę nową na rok 1792*, zjadliwy i udany atak przeciw Sapieżynie, małce marszałka sejmu czteroletniego.

Popularna w modlitewnikach *Droga krzyżowa czyli Stacje Jerozolimskie*, historia liryczno-epicka męki Chrystusowej, znalazła wyraz formalny w *Podróży konfederackiej czyli stacjach konfederackich.* 14 stacjom Chrystusowym odpowiada 31 stacji konfederackich, w których jeden z konfederatów opisuje podróż konfederatów pędzonych przez Rosjan z Krakowa do Kijowa. Pomysł, zasadniczo trafny, nie został jednak należycie wyzyskany ani pod względem materialnym, ani pod względem formalnym: w trywialnych opisach niedomagań codziennego życia uwięzionych konfederatów niknie to tchnienie mesjanistyczne, które podyktowało anonimowi pomysł zestawienia cierpień kon-

federatów z męką Chrystusa. Do równie nieudanych należą reminiscencje *Gorzkich żalów* w utworze *Smutna żałosnej kompanii piosneczka, na świętą dróżkę wielkopostną skomponowana* (1699), jak również echa rorat w utworze z czasów Jana Kazimierza, zatytułowanym *Roraty utrapionej Rzeczypospolitej A. D. 1658*.

Osobny dział trawestacji, pokrewny trawestacjom modlitw, to trawestacje pewnych form modlitewno-obrzędowych kościoła katolickiego. Doczekał się trawestacji cały obrzęd liturgiczny Mszy katolickiej. Jest to znany już dziś dobrze z rękopisów *Dialogus per modum Missae*, który powstał na tle wojny Zygmunta III z Moskwą. Trawestację przeprowadzono poprzez szereg składników wzoru liturgicznego Mszy, choć ich wszystkich nie wyczerpano: nasz *Dialogus* posiada Introibo, Kyrie eleison, Confessio, Ewangelię, Oremus, Lectio Gradualis, Oratio Dominica. Ostrze trawestacji skierowane jest przeciw tym osobom, pod których wpływem Zygmunt podjął wojnę moskiewską wbrew opinii społeczeństwa, a więc przeciw kanclerzowi Lwu Sapieże, podkanclerzemu Kryskiemu oraz nadwornym jezuitom. Trawestacja powstała, jak jej treść wskazuje, w środowisku skonfederowanego żołnierstwa polskiego, a jego mądrość polityczna streszcza się w powiedzeniu jezuity (ten służy do Mszy Zygmuntowi, który jakoby celebruje cały obrzęd), że cała działalność króla iść powinna ad inveniendum modum, quo facias absolutum dominium in Regno Poloniae.

Poza Mszą literatura staropolska posiada trawestacje dwu jeszcze obrzędów kościelnych. W rytuale spowiedzi jakiś anonim demaskuje woj. kaliskiego Fel. Lipskiego, spowiadającego się przed prymasem Radziejowskim (1702), oraz biskupa poznańskiego Hozjusza (1734). Zwłaszcza spowiedź Hozjusza, w której biskup kaja się za grzech wprowadzenia na tron polski Augusta III, napisana jest ze znawstwem szczegółów liturgicznych kościoła, najprawdopodobniej przez jakiegoś duchownego. Do formy trawestacyjnej spowiedzi zaliczyć można również *confessionem* konfederatów z czasów panowania Jana Kazimierza. Rytuał katechizmowy zastosowano parokrotnie, i to, jak być może, pod wpływem zagranicznym. Częste są w rękopisach odpisy tzw. *Schwedischer Katechismus*, ułożonego na Śląsku przez jakiegoś Niemca z r. 1704; jest on pismem propagandowym, usiłującym wytworzyć przychylny nastrój w sferach protestanckich dla Karola XII, jako przedstawiciela der grossen Liebe zu den Deutschen und anderen Glaubensgenossen. *Katechizm konfederacki* z r. 1767 bierze w obronę opozycję katolicką przeciw dysydentom. Na szeroką skalę zakrojony jest *Katechizm o tajemnicach rządu polskiego* (1790), pióra Franciszka Jezierskiego, który w sposób cięty, dowcipny i najpełniejszy wyzyskuje możliwości przejętej przez siebie formy literackiej. *Katechizm nowy*, napisany również

w czasie sejmu czteroletniego, w formie tradycyjnych pytań i odpowiedzi katechizmowych oświetla satyrycznie powstanie Rady Nieustającej, ilość potencji gwarancyjnych, miejsce ich pobytu, ilość rzeczy potrzebnych do wierzenia Polakowi, ilość uczynków miłosiernych itd. Odmianą trawestacji katechizmu, stojącą na pograniczu między formą katechizmu właściwego a formą Credo, jest: *Pasquilinus honestus ex Parnasso Regio. Theologia Regia* — zanotowany w rękopisach epoki saskiej; jest on dość ciekawą próbą kontaminacji literackiej, jako produkt zastosowania jednoczesnego formy dwu gatunków literackich. Bardzo poważnym źródłem licznych w staropolskiej poezji trawestacji stał się Stary i Nowy Testament.

W trawestacjach Starego Testamentu celuje Niemcewicz, który po wzorce formalne dla swoich wycieczek satyrycznych sięga do niego dwukrotnie, z większym w obu razach powodzeniem. Znane są jego trzy rozdziały *Lamentacji albo Narzekań Sczesnowych*, zawierających boleściwe skargi targowiczanina Potockiego. Łatwo domyśleć się, że Potocki w ujęciu Niemcewicza to Jeremiasz redivivus. Oparcie się Niemcewicza na starotestamentowych *Skargach Jeremiasza* polega nie tylko na przejęciu przez poetę pomysłu zasadniczego, któremu nie można odmówić perwersyjnej złośliwości; poeta dociąga swój tekst do Starego Testamentu archaizując umiejętnie język i styl, jak również nie cofając się nawet przed przejęciem całych obrazów z Trenów Jeremiasza, posiadających dla niego mocniejszą ekspresję liryczną. Przy utworze Niemcewicza bledną dwie jeremiady barzan, które zostały świadomie skomponowane na podstawie Trenów Jeremiasza, ale którym brak jest jakiejkolwiek mocy i wymowy proroka starotestamentowego. Równie blado wypadło *Siedem psalmów, w którym wolność polska czyni lamentacje nad upadkiem swoim* (1767): w prozaicznym wyliczaniu uszczupleń wolności szlacheckich pod panowaniem Poniatowskiego rozpływa się bez śladu żar uczucia patriotycznego proroka żydowskiego.

Za równie pomyślną próbę — z punktu widzenia techniki trawestacyjnej, mimo nawet pewnych niedociągnięć — uznać należy *Fragment Biblie Targowickiej, Księgi Sczesnowe* tegoż Niemcewicza, wymierzony przeciw temuż Potockiemu. Niemcewicz operuje wzorcem formalnym ksiąg *Genezis* i *Exodus* dość swobodnie: poza archaizowanym stylem biblijnym bierze z nich jedynie formę rozdziałów poszczególnych i wkłada w nią umiejętnie dzieje osobliwego stwórcy targowickiego, który usiłuje zbudować nowy świat polski wedle recepty targowickiej. Niezgorszą próbą trawestacji tekstu biblijnego jest odpowiedź targowiczanina, biskupa Kossakowskiego, na paszkwil Niemcewicza, zatytułowana *Kontynuacja Fragmentu z Biblie Targowickiej, Księgi Sczesnowe.* Kossakowski podejmując obronę swego przyjaciela politycznego parafrazuje również księgę *Exo-*

dus, z której korzystał Niemcewicz; trzeba jednak zaznaczyć, że swoje rozdziały VII—XI oparł na budowie formalnej tych rozdziałów biblijnych, na których Niemcewicz urwał swą trawestację. *Kontynuacja* Kossakowskiego, jako całość kompozycyjna, nie ustępuje niemcewiczowskiej biblii targowickiej. (Nawiasowo dodam, że w kontynuacjach zasmakował sobie biskup pisząc znane swe kontynuacje dramatyczne w r. 1786).

Z tekstów nowotestamentowych dość licznych pomysłów trawestacyjnych dostarczyły ewangelie św. Mateusza, św. Łukasza, zwłaszcza zaś — św. Jana.

Formę genealogii Chrystusa, przeprowadzoną w rozdziale pierwszym ksiąg *Rodzaju* ewangelii św. Mateusza, zużytkowano parokrotnie celem wyprowadzenia genealogii nienawistnych sobie politycznie osób. Tak jest w *Genealogii Martini Lutheri et aliorum haereticorum* z czasów Władysława IV, jak również we wspomnianej już niemcewiczowskiej biblii targowickiej. Genealogia Lutra i Szczęsnego Potockiego przeprowadzone są konsekwentnie i zgodnie z formą tekstu ewangelicznego: pierwszego — od diabła, praszczura szeregu herezjarchów obcych i polskich, drugiego — od anioła pychy, który spłodził licznych polskich pysznych zdrajców, aby się w końcu doczekać najcenniejszego z nich — targowiczanina. W rytm i charakter początku ewangelii Mateuszowej wpada również *Liber generationis rokosz* z czasów rokoszu Zebrzydowskiego, z tą jednak różnicą, że rokoszowa genealogia nie dotyczy, powiedzmy, Zebrzydowskiego, określonej jakiejś osoby, ale uderza w abstrakcyjną zasadę rokoszu wyprowadzając jego pochodzenie z „praktyki rakuskiej" poprzez szereg zdarzeń politycznych z pierwszych lat panowania Zygmunta III. Z rozdziału IV ew. św. Łukasza scenę kuszenia Chrystusa przez diabła przyjęto dla dwu utworów z czasów panowania Zygmunta III. Pierwszym z nich jest *De Regno Sigismundi, regis Poloniae*, drugim — *Początek ewangelii według Leona Sapiehy*. Drugi zwłaszcza wpada znakomicie w charakter ewangelicznej walki Chrystusa z szatanem: podobnie jak w ewangelii, król Zygmunt wychodzi zwycięsko z trzykrotnej zasadzki diabła-Sapiehy, który opuszcza pole walki zupełnie pognębiony.

Trawestacji rozdziału pierwszego ewangelii według św. Jana mamy trzy. Jedna jest skierowana przeciw kasztelanowi poznańskiemu króla Jana Kazimierza, druga, wykoncypowana za Augusta II, pogrąża Lutra, trzecia ośmiesza króla Leszczyńskiego. Wszystkie zachowują dokładną stylizację początku ewangelii, jak również dobrze wyzyskują postać ewangeliczną św. Jana w osobach Jana Gorczyńskiego, Filipa Melanchtona i posła francuskiego Montiego. Najtrafniej wypadł *Początek ewangelii według posła Montiego w pierwszym elekcji polskiej rozdziale;* sprowadza on wszystko na ziemi polskiej nie tyle do słowa, ile do złota francuskiego, „bez którego

nic się nie stało", a które znakomicie torowało drogę do tronu teściowi króla francuskiego.

Staropolska poezja polityczna szczególnie upodobała sobie historię męki Pańskiej, którą zawierają końcowe rozdziały ewangelii według św. Jana. Na motywach pojmania Chrystusa przez sługi arcykapłana osnuty jest *Wieczernik warszawski d. 13 octobris 1767*, zestawiający z Chrystusem cierpienia pojmanego przez Rosjan biskupa Sołtyka i czyniący go reprezentantem mesjanistycznej w dziejach Polski ofiary. Jest to jedyna tego rodzaju trawestacja o treści w stosunku do bohatera utworu pozytywnej; inne, które posiadam, są skomponowane w stosunku do niego pod kątem widzenia negatywnym, satyrycznym. Należą do nich przede wszystkim dwie *pasje* z czasów Zygmunta III.

Król ten, knujący już od wstąpienia na tron własne plany dynastyczne, niezgodne z interesami kraju, wpadł w konflikt z senatem, przede wszystkim z Janem Zamoyskim. Z tych czasów pochodzi *Passio Marphoriana*, oparta całkowicie na tekście ewangelii św. Jana, z sądem Piłata, drogą krzyżową, ukrzyżowaniem i pojeniem octem męczonego króla. Równie na motywach drugiej części ewangelii Janowej osnuto treść dramatycznego zatargu Zygmunta III z rokoszanami w tzw. *Passyi pana naszego Zygmunta Trzeciego, króla polskiego, podług jego sługi i wiernego poddanego, z panem swym spółcierpiącego* (podobno Szczęsnego Kryskiego). Ten utwór lepiej od poprzedniego utrzymuje w stylu ewangelicznym i obrazach poszczególnych barwę pierwowzoru (zwłaszcza w obrazie zaprzaństwa Janusza Ostrogskiego).

Podobnie nie może się z nim równać pod względem techniki artystycznej *Passio palatinatuum Majoris Poloniae secundum anonymum*, napisana w r. 1658 przez jakiegoś szlachcica, uciemiężonego kwaterunkiem pomocniczych wojsk austriackich, jak również *Passyja mazowieckiego województwa* z czasów saskich. Motyw biblijny wyszedł płasko w tych prymitywach anonimowej muzy szlacheckiej; w ostatnim utworze został zwichnięty głównie wskutek tego, że brak mu jest należytej ekspresji w wyzyskaniu zbiorowej męki za pośrednictwem biblijnego obrazu indywidualnego cierpienia Chrystusa. Braki te wykazuje zresztą, obok niedołęstwa natury ściśle stylowej, również i pasja z r. 1658.

Zupełnie inaczej wypadnie pisać o pasjach Franciszka Zabłockiego. Również na przykładzie trawestacji możemy się dowodnie przekonać, czym jest osobisty talent autora, w tym wypadku wybitnego liryka patriotycznego w. XVIII, w sposobie opracowania utworu literackiego. Zabłocki pragnie ukazać nam pasję hetmana Branickiego i dzieli ją między dwa wiersze *Hetman w ogrojcu* oraz *Hetman na krzyżu między Sapiehą*

i Suchodolskim. Pierwszy utwór jest trawestacją rozdziału XVI ewangelii św. Jana; Branicki pociesza w nim, wzorem Chrystusa, swoich uczniów w przewidywaniu swego odejścia. Zabłocki wyzyskał tu znakomicie frazeologię ewangeliczną, jak również bardzo trafnie motyw Ogrojca, którym jest w utworze słynny ogród na Foksalu; w nim to hetman organizował dla swych kompanów głośne na całą Warszawę pijackie orgie. Drugi utwór celnie trafia w formę rozdziału XIX tejże Janowej ewangelii i ukazuje na krzyżu Branickiego w towarzystwie dwu znanych w czasie sejmu czteroletniego „łotrów" politycznych ze zgrai przyszłego targowiczanina. Dodajmy, że dużo zjadliwości przybywa utworowi, w którym pod krzyżami figuruje matka Sapiehy Elżbieta ze swym kochankiem Mierzejewskim. Obie pasje Zabłockiego górują nad wszystkimi poprzednimi nie tylko znakomitą techniką adaptacyjną, ale również kulturą języka i mistrzowstwem stylu. Nieporównanie niżej od tych pasji Zabłockiego wypadła *Ewangelia o Branickim* tegoż autora; wykazuje ona luźniejszy już związek z tekstami ewangelicznymi, na których się oparł poeta.

Wreszcie ostatni rodzaj trawestacji tekstów religijnych, dość rozpowszechniony w Polsce. Jest to utwór o formie dramatyzowanej, w którym występuje dowolna ilość osób; osobliwością specyficzną dialogów jest, że wynurzenia i argumenty osób działających skonstruowane są z celowo dobranych wersetów z tekstów Starego i Nowego Testamentu.

W taki sposób zbudowany jest *Discursus votivus procerum moderni status*, zapisany w rękopisach polskich pierwszej połowy w. XVII. Występujące w tym utworze uosobione państwa zachodniej i środkowej Europy (nie brak wśród nich i Polonii) zgłaszają kolejno swe stanowisko wobec stosunków politycznych w Europie, formułowane w kształcie odpowiedniego wersetu biblijnego. Taką również mozaikę wersetową reprezentuje *Passio Societatis Jesu Generalis*, która zawędrowała do rękopisów polskich w drugiej połowie w. XVIII, w aktualnych chwilach likwidacji zakonu jezuickiego; w treści jest sądem nad zakonem. Do kolegium sędziowskiego, któremu przewodniczy papież, wchodzą państwa europejskie, które zgłaszają swe pretensje do jezuitów lub też — co rzadziej — występują w ich obronie w formie celowo dla sytuacji i stanowiska każdego z państw dobranych wersetów z czterech ewangelii (nie zaś specjalnie z ewangelii św. Jana, jakby można sądzić na podstawie tytułu utworu). Sąd, zainscenizowany prezentacją kolegium sędziowskiemu winowajcy (Ecce homo, quid vobis videtur? Math. 26, 61), kończy się werdyktem skazującym z ust samego papieża (Corripiam ergo illum et dimittam. Luc. 23, 22). Nie spotkałem się w rękopisach polskich z innymi tego rodzaju trawestacjami obcego pochodzenia; nie znam ich również z innych źródeł. Mogło ich być więcej, o typie dość różnorodnym, odbiegają-

cym czasem od omówionego przed chwilą typu kanonicznego, a pochodzenia wcześniejszego, może szesnastowiecznego.

Tradycja tego typu trawestacji sięga u nas czasów Zygmunta Augusta i ciągnie się do końca istnienia Rzeczypospolitej. Rozmaity jest sposób, w jaki autorzy tekstu politycznego poczynają sobie z materiałem biblijnym. Skala trawestacji jest w tym wypadku dość rozległa: od utworów, które — wzorem dwu omówionych wyżej tekstów pochodzenia zagranicznego — opierają swą fakturę formalno-treściową całkowicie na oryginalnych wersetach biblijnych (typ kanoniczny tych trawestacji), przez utwory takie, które obok dosłownych pożyczek wersetowych zawierają także treść wersetowo-lokucyjną, dostosowaną tylko stylizacyjnie do maniery biblijnej (typ mieszany), aż do tych utworów, których zawartość całkowicie składa się z wersetów, wystylizowanych jedynie na sposób staro- czy nowotestamentowy. W tych trzech rodzajach spotykamy się więc jakby ze stopniowaniem siły oddziaływania tekstu biblijnego na jego pochodne świeckie; zaznaczyć należy, że ostatni rodzaj zachowuje najdalszy dystans w stosunku do biblijnego wzoru, stanowi najwięcej samodzielne jego opracowanie i charakterem swym zbliża się do tych licznych trawestacji, które się omówiło w pierwszej części pracy. Dodać należy, że omówionemu stopniowaniu nie odpowiada chronologiczna kolejność utworów, że więc typ mieszany spotykamy w poezji wbrew przewidywaniu najwcześniej, po nim zaś dopiero — typ kanoniczny.

Burzliwe panowanie Zygmunta III wywołało dwa utwory pierwszego typu: *Psalmus politicus poenitentialis* oraz *Psalmus confoederatorum*. Pierwszy z nich, w formie rozmowy kilkunastu osób, sklejonej z oryginalnych tekstów psalmów Starego Testamentu, do której wchodzi również Rex Galliae i Polignac, nicuje politykę wewnętrzną i zagraniczną Wazy. Drugi, który się łączy treścią z omówionym wyżej „dialogiem na sposób mszalny", ujmuje chwilę zakończenia rokowań o wypłatę zaległego żołdu skonfederowanym wojskom polskim (1613). Psalm ten, sfastrygowany zręcznie z tekstów psalmów Dawida, w szybkim i żwawym tempie rozwija rozmowę zainteresowanych konfederatów z królem i senatorami. Ukryte w utworze żądło satyry wymierzono przeciw kanclerzowi Kryskiemu, któremu autor wkłada w usta insynuacje pod adresem króla o prowadzenie wojny z konfederackim wojskiem. Wybielono w utworze Janusza Radziwiłła, podczaszego litewskiego, znaną kreaturę polityczną, który patronował opozycji konfederatów. Całość utworu, celowa i zręczna, wyszła spod pióra jakiegoś zdolniejszego przedstawiciela obozu konfederackiego. Toteż nic dziwnego, że kiedy w lat pięćdziesiąt potem powtórzyła się historia konfederacji niespłaconego żołnierstwa pod marszałkostwem Świderskiego i kiedy wokół tej sprawy rozwinięto w kraju agitację, przypomniano sobie psalm konfederacki z r. 1613. Na nim oparł

jakiś publicysta konfederacki kompozycję ulotki zatytułowanej *Venite, exultemus związkowe* (zwanej po rękopisach inaczej *Psalmus de confoederatis* lub *Dyskurs J. W. P. Commissarzów ze związkowymi*). Jest to ten słynny psalm, o którym pisze Wespazjan Kochowski w swych *Annałach*, jako kreślonym Aretino dente. Psalm, powtarzający w znacznej części tekst z r. 1613, zaczyna się, jak i on, od słów Dawida: Venite, exultemus Domino, quoniam mercedem adimplebit operariorum, rozszerzony jest w stosunku do pierwowzoru końcową rozmową króla z podskarbim i biskupem krakowskim, którym król na ich prośbę obiecuje miejsce w przyszłym swym królestwie, oczywiście szwedzkim, po opuszczeniu Polski. Scena ta jest przejęta w formie i słownictwie ze sceny rozmowy Chrystusa z uczniami przed męczeństwem i jest bardzo charakterystyczna dla atmosfery długotrwałych targów komisarzy królewskich z konfederatami, którzy niedwuznacznie grożą Zygmuntowi III detronizacją.

Oba psalmy, polityczny i konfederacki, złożone z wersetów łacińskich, „tłumaczono po polsku". Tłumaczenie pierwsze wykonano prozą, a więc zgodnie z formą prozaiczną wersetów biblijnych. Tłumaczenie drugie, figurujące w rękopisach pt. *Facecje żołnierskie*, znacznie odbiega nie tylko od oryginału łacińskiego, ale co ważniejsze, od charakteru utworu trawestacyjnego. Toteż z punktu widzenia celowości roboty literackiej mniej nas może zainteresować mimo swe niewątpliwe walory stylowo-wersyfikacyjne. W każdym razie oba tłumaczenia dowodzą znacznej popularności obu utworów łacińskich w społeczeństwie szlacheckim; popularności tej dowodzą ubocznie liczne bardzo odpisy, jakie znajdujemy w rękopisach siedemnastowiecznych.

W formie kanonicznej zachowana jest również *Deploratio rokoszanorum*, skomponowana jako rozmowa dwu alegorycznych postaci: Iustitia i Misericordia, które za pomocą wyjątków z psalmów prowadzą ze sobą dyskurs na temat rokoszan Zebrzydowskiego. Wedle tej kanonicznej formy ułożony jest *Saxo, Rex Poloniae, scripturae conformis* (inny tytuł, równie jak i poprzedni charakterystyczny dla formy utworu: *Satyra sacroprophana, A. 1698, post coronationem Serenissimi Regis Augusti)*. Utwór ten nie wnosi dla nas niczego nowego pod względem formalnym, godna jest natomiast uwagi rzadka w poezji politycznej bezstronność składacza, który zachowuje pełny obiektywizm wobec zdarzeń politycznych, którymi się zainteresował w swym utworze.

Innym już rodzajem trawestacji jest skrypt zatytułowany *Imago votorum totius senatus Regni Poloniae cum rege Sigismundo, libertates Regni opprimente,* puszczony w świat, jak tyle innych omówionych tutaj pism, w okresie rokoszu Zebrzydowskiego. Sam tytuł utworu określa jego treść; ciekawe

jest, że w wotowaniu senackim bierze udział sam Pan Bóg, opowiadający się za królem. Liczba wotujących osób jest tak wielka, że autorowi-składaczowi ulotki nie starczyło inwencji, cierpliwości czy też materiału wersetowego z Pisma św. na obdzielenie wszystkich głosujących. Skutkiem tego niektórzy z nich zmuszeni są przemawiać sentencjami Horacego, inni zaś — nawet lokucjami własnej roboty, formułowanymi w nadwiślańskiej łacinie.

Na przykładzie tego utworu mamy unaoczniony drugi typ interesujących nas w tej chwili utworów, typ mieszaniny trawestacji. Wedle tego typu skonstruowano dość rozpowszechniony za czasów panowania Jana Sobieskiego *Dialogus Pasquini et Morphorei*, w którym biorą udział król, królowa Marysieńka, ks. Jakub, poseł francuski Béthune oraz senatorowie koronni i litewscy, rozprawiający na temat kierunku polityki polskiej u schyłku panowania Sobieskiego. Jest to właściwie paszkwil, wymierzony przeciwko królikom litewskim Sapiehom, których chłoszcze celnie dobranymi tekstami z psalmów Dawida, chociaż dostaje się również niektórym senatorom, np. biskupowi krakowskiemu, w następującym passusie:

> Pasquinus. Ante te disiderium meum.
> Morphoreus. Quomodo hic erit pastor, qui plus diligit canes quam oves et plus oves quam agnos.

Nie wszyscy jednak uczestnicy rozmowy posługują się tekstem oryginalnym Pisma św. Np. królewicz Jakub wyraża swą nicość umysłową i moralną za pomocą klasycznych dwuwierszy heksa- i pentametrycznych.

Do typu mieszanego należy również elaborat polityczny stronników Lubomirskiego, napisany po jego częstochowskiej nad regalistami wiktorii. Ten właśnie *Conductus toni incerti* stanowi makaroniczną mieszaninę wyjątków z Pisma św. i swobodnych w formie biblijnej wypowiedzi polskich i łacińskich, np.

> Non Francuzi salvabunt Poloniam neque omnes qui veniunt ab extra. Sed nos qui bene volumus pobić, ex hoc nunc et in saecula saeculorum.

Częściowo również z oryginalnych wyjątków z Pisma św. składa się najwcześniejszy tutaj chronologicznie utwór *Pasquillus Warschaviensis* 1564, skonstruowany w formie rozmów alegorycznych postaci, takich jak Republika, Religia etc.

Wszystkie te kompozycje równać się nie mogą z dziełem, pokrewnym im pod względem techniki literackiej, ale przewyższającym je artyzmem wykonania szczegółów i zespolenia ich w jednolitą całość ideowo-uczuciową. Dziełem tym jest *Psalmodia polska* W. Kochowskiego. Poeta ten umiejętnie połączył oryginalne zwroty Dawidowe z ustępami własnymi, trafiającymi dobrze w ton i charakter stylu psalmisty. *Psalmodia* jest godną odpowiedzią poety na paszkwilanckie metody psalmu

konfederackiego, który, jak widzieliśmy wyżej, mocno podrażnił Kochowskiego-historyka.

Trzeci typ interesujących nas obecnie trawestacji reprezentuje *Psalm na Wielki Piątek* Fr. Zabłockiego, paszkwil z r. 1789, wymierzony przeciw hetmanowi Branickiemu, formalnie oparty na swobodnym naśladowaniu stylu, słownictwa i obrazowania ewangelicznego.

Tak się przedstawiają szkicowe dzieje form staropolskiej poezji politycznej, opartych na wzorach formalnych tekstów religijnych kościoła katolickiego i jego liturgii. Dokładniejsza ich analiza nastręcza dość ciekawe wnioski dla charakteru i wartości tej anonimowej u nas twórczości literackiej. Jest ona bowiem, jak widzieliśmy, wyłącznie prawie anonimowa, poza Niemcewiczem, Zabłockim i sporadycznymi wypadkami Kochowskiego i Kossakowskiego. Zjawisko to jest dość zrozumiałe dla tego rodzaju utworów, których pisanie i rozpowszechnianie stanowiło niekiedy niebezpieczny proceder życiowy.

Poezja ta wyzyskuje wszystkie chyba możliwości, jakie podsuwały modlitewniki kościelne, księgi Starego i Nowego Testamentu oraz katolicka liturgia kościelna. Dokonany przegląd o tym poucza. Możliwości te nie są jednakowo wyzyskiwane: pewne formy należą do więcej ulubionych, inne praktykuje się rzadziej.

I tutaj ciekawa rzecz do zanotowania. W dość częstym użyciu jest Modlitwa Pańska, hymn *Dies irae* oraz forma psalmu Dawidowego. Upodobanie do tych form doprowadza do praktykowania zjawiska, z którym spotykamy się w imiennej twórczości literackiej: do naśladowania celniejszych kompozycji literackich. Również i anonim potrafi stworzyć szkołę literacką, na mniejszą naturalnie skalę.

Przecież *Ojcze nasz* z czasów Jana Kazimierza i Augusta II stosują nie tylko formę codziennej modlitwy chrześcijan, ale zaczynają naśladować gotową już trawestację tej modlitwy, którą nam pozostawiły czasy Zygmunta III, a to w sposobie użytych w niej wyrażeń i zwrotów. Mamy tu dowodny przykład naśladownictwa wtórnego, ten proces, który się obserwuje np. w genezie formalnej *Anhellego* Słowackiego. Stwierdzając podobną zależność *Dies irae* Baranowskiego i Leszczyńskiego od *Dies irae* Świderskiego, potem zaś — zależność psalmu *Venite exultemus* Jana Kazimierza od psalmu konfederatów z czasów Zygmunta III, dochodzimy do przekonania, że pewne formy naszej twórczości politycznej tworzą określoną tradycję literacką, w której obserwujemy powstawanie wzorów wtórnych oraz ich naśladownictw. Literatura polityczna na przestrzeni paru setek lat przestaje być najwyraźniej zbiorem oderwanych, niezależnych od siebie utworów: zaczyna tworzyć ciągłość ewolucyjną gatunków literackich, zależnych nie tylko od prawzoru religijnego, ale i od siebie wzajemnie. Zaczyna

działać kultura literacka. Ważne jest, że ciągłość tę da się ustalić na przestrzeni całych dwóch wieków. Moment ten zbliża naszą literaturę polityczną do literatury imiennej, zapisanej i opisanej w oficjalnej nauce historycznoliterackiej. Fakt ten posiada dla nas znaczenie pewnika.

Drugi — jest już hipotezą, gdyż brak mi środków na podniesienie go do wartości pewnika. Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że polscy nauczyciele rzemiosła literackiego w dziedzinie poezji politycznej mogli mieć również swych nauczycieli w osobie zagranicznych literatów politycznych. Czytelnik zauważył, że polskie dramatyzowane teksty polityczne mają swój odpowiednik w dialogach obcego pochodzenia, które zawędrowały do sylw szlacheckich w. XVII i XVIII. Można przypuścić, że nasi autorzy dyskursów szli śladem swych zagranicznych poprzedników, których utwory, jak świadczą wierne zapisy rękopiśmienne, były dość u nas rozpowszechnione. Mamy również zapisane w rękopisach polskich dwa hymny ambrozjańskie obcego pochodzenia, stanowiące odpowiednik naszych hymnów. *Schwedischer Katechismus* z r. 1704, który się znalazł w polskich sylwach, mógł się stać podstawą naszych katechizmów politycznych. Tutaj więc możliwy jest wpływ zagranicy, choć go się nie da dowieść z pewnością: nie da się ustalić genetycznego związku między pokrewnymi sobie trawestacjami polskimi a obcymi (jak w cytowanych przed chwilą utworach polskich), poza najogólniejszym podobieństwem formalnym, które nie dowodzi wpływu, boć przecie pomysł trawestacyjny polski mógł się zjawić niezależnie od pomysłu pisarza zagranicznego. Cała sprawa domaga się bliższego opracowania, jeżeli się uda natrafić na wyraźne, niezbicie stwierdzone dokumentami nici zależności naszych trawestatorów od trawestatorów zachodnio-europejskich.

Tymczasem zaś, zanim i jeżeli się to stanie, z wielką ostrożnością należy przyjmować lansowane tu i ówdzie w literaturze naukowej twierdzenie o absolutnej i jakoby powszechnej zależności naszych pisarzy od pisarzy zagranicznych na interesującym nas terenie literatury politycznej. Należy również zrewidować sąd o jej wartości.

Niektórzy bowiem z historyków literatury, zapatrzeni w wysokie loty naszych uznanych już poetów, zwykli są lekceważyć tę naszą anonimową muzę staroszlachecką, chociaż się już nie kwestionuje po pracach Ign. Chrzanowskiego i niektórych jego następców wartości formalno-artystycznych tej klasy poetów - trawestatorów politycznych, co Niemcewicz lub Zabłocki. W toku niniejszej rozprawki nieraz miałem możność podkreślić pozytywną wartość i osiągnięcie wyższego poziomu literackiego przez niejednego z naszych anonimów politycznych. Są to osiągnięcia, które, sądząc najobiektywniej, są już poza zasięgiem jakiegokolwiek lekceważącego sądu choćby najwięcej wy-

magającego estety. Zastrzegam się, że stawiając takie twierdzenie zdaję sobie oczywistą sprawę z bezwzględnej niższości omówionych utworów literackich od trawestacyj tego poziomu literackiego, jaki mamy w czasach późniejszych w twórczości trawestacyjnej Słowackiego, Mickiewicza i Kasprowicza. Zdaję sobie sprawę z dystansu, jaki dzieli jedne od drugich, ale też wyraźnie uświadamiam sobie dystans czasowy, jaki dzieli staropolską muzę polityczną od potężnej, ale dużo późniejszej naszej poezji w. XIX i XX. To wiele tłumaczy.

Niechże ta rozprawka będzie obroną tej bardzo obfitej, jak już dziś wiadomo, anonimowej produkcji politycznej, która poza tym jest wiernym zwierciadłem nastrojów i opinii politycznych społeczeństwa polskiego Polski niepodległej, a więc która jest nie tylko dokumentem literackim, ale również bardzo ważnym dokumentem kulturalnym.

Nie potrzeba chyba dodawać, że ta anonimowa *poezja ludowa* dobitnie charakteryzuje głębszą kulturę religijną, ściślej katolicką, ogółu naszego dawnego społeczeństwa, które po wyraz dla swoich uczuć natury ogólnej, w tym wypadku politycznej, raz po raz sięgało do twórczości religijnej swojego kościoła.

A nie jest to tylko kultura formalna, choć o niej tylko, z konieczności tematowych, była mowa w pracy niniejszej.

Warszawa *Juliusz Nowak-Dłużewski*

POEZJA POWSTANIA STYCZNIOWEGO

Zarys ideologii

Krzyż znaczę Boży nie przeto,
bym się na krzyż przyjmował;
lecz byś mnie, Boże, od męki,
od męki krzyża zachował...

Daj nam poczucie siły
i Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą...

. . . .

Niech się królestwo stanie
nie krzyża, lecz zbawienia.
O daj nam, Jezu Panie,
Twą Polskę objawienia.

(Wyzwolenie).

* * *

W tych słowach Wyspiańskiego, wypowiedzianych u progu XX wieku, znalazły swój pełny wyraz aspiracje ideowe poezji powstania styczniowego. Ideały patriotyczno-religijne bojowników „sprawy przegranej", wyrażone w niezliczonych wierszach i piosenkach, zrodzonych na tle „leśnej wojny"[1] — znalazły po latach w *Wyzwoleniu* swą najwyższą syntezę.

Lecz gdy rok 1861 w swoich ekstatyczno-modlitewnych lirykach rozpinał na krzyżu sprawę polską, „bez skargi nie znał już śpiewu" i wedle słów Agatona Gillera dążył przez chrześcijańską rewolucję do tego, by „cały naród stał się apostołem, a drogi jego pochodami ducha"[2] — rok 1863 zarówno w życiu jak i w poezji zerwał z męczeństwem jako jedyną bronią, wypisał hasło walki zbrojnej na swych sztandarach — zapragnął „pobudzić śpiące", rozpalić „światło w nocy", wywalczyć „Polskę żywą" i posiąść nie „królestwo krzyża" — lecz „Polskę objawienia". Gdyż — jak powiada odezwa *Rząd Narodowy do Narodu*[3] — „Opatrzność pozwoliła . . . pieśni żałoby zamienić na okrzyk wojenny"[4]. Na czele tych, którzy zapragnęli „wieniec cierniowy zedrzeć ze skroni, a w ręce wal-

---

[1] A. Giller, *Historia powstania Narodu Polskiego w r. 1861—1864*, t. I, s. 172.
[2] Tamże, t. II, s. 184.
[3] W-wa, 29 października 1863.
[4] Giller, *op. cit.*, t. II. Dodatek.

czących obok krzyża włożyć miecz, stanął poeta-powstaniec — Mieczysław Romanowski. Młodzieńczy entuzjazm wojennego czynu wrzał w słowach: „Ach, kiedyż za ciebie w bój skoczym spragnieni — o Polsko, ty matko miłości!...“

U progu powstania nurtowały świadomość polską dręczące wezwania tajnej prasy. Niejeden *Głos bratni*[1] podżegał słowami: „Bracia! Długoż jeszcze interes prywatny waszemi kroki zawładnie? Kiedyż uczujecie w sobie ból dotkliwy, do rdzeni kości krwawiący nad niedolą Matki Ojczyzny? Kiedyż wiara w sprawę wzruszy serca wasze. Kiedyż się złączycie zgodą do świętego dzieła?“

. . . .

Współczesne społeczeństwo polskie w osobach swych najlepszych przedstawicieli odpowiedziało czynem. Walkom powstańczym wtórowała poezja. Idąc na stracenie powiedział powstaniec — Klet Korewa, by mu nie wiązano oczu, gdyż chce raz jeszcze spojrzeć w oblicze ukochanej ojczyzny (Limanowski, Giller). Takich jak on było wielu. Tymi śladami poszła poezja powstańcza — patrzyła wiernie — *usque ad finem* sprawy zbrojnej — w drogie oblicze ojczyzny. Pieśni i wiersze ówczesne nie przekraczają magicznego kręgu, który im zatoczył „krwią przepojony wyraz ojczyzna“. Lecz równolegle do słowa Ojczyzna pojawia się słowo Bóg.

Nierozerwalne sprzęgnięcie uczuć patriotycznych z uczuciami religijnymi cechuje rok 1863. Duchowieństwo polskie poparło sprawę powstania, opowiedziało się w zdecydowanej większości za Rządem Narodowym i w osobach swych najdzielniejszych przedstawicieli wzięło czynny udział w ruchu zbrojnym — w walce i męczeństwie. Teoretycznie sankcję tego stanowiska wyraził między innymi *Głos kapłana polskiego*: „Bez miłości ojczyzny ziemskiej na próżno się kusimy pozyskać ojczyznę niebieską“. A zatem patriotyzm warunkiem *sine qua non* religijności. Między poezją roku 1861 i 1863/4 zachodzi ścisły związek: twórczość obydwu okresów ma jednolity charakter patriotyczno-religijny. Różnica zachodzi w proporcji składników. Ton religijny przeważa w roku 1861. Okres krzyża, palmy i korony cierniowej (ówczesne grawiury, winiety) — to poezja pieśni kościelnej, modlitwy błagalnej, pokory i rezygnacji chrześcijańskiej. Męczeństwo staje się jedyną bronią w walce o zachowanie narodowości. Słowa: „My już bez skargi nie znamy śpiewu, wieniec cierniowy wrósł w naszą skroń“ — stają się wykładnikiem ówczesnej psychiki.

Rok 1863 zmienia symbolikę — krzyż pozostaje na czele, palma pokoju znika, korona cierniowa, aczkolwiek niechętnie, cofa się na dalszy plan. Na czoło wysuwają się momenty patriotyczne, brzmią akcenty bojowe. Poezja staje pod znakiem

[1] Lublin 1862, nr 8.

pieczęci Rządu Narodowego — Orła, Pogoni i Archanioła. Obok gotowości do męczeństwa pojawia się i zwycięża — chęć walki. Poezja styczniowa staje się pobudką. W wierszu *Dwa słowa: Stój i Naprzód* czytamy:

Niechaj zagra tysiąc trąb
I morderczy zawrze bój...
Zawtóruje świst kul, bomb —
Kto mi wtedy krzyknie: „Stój“,
Temu palnę prosto w łeb!

Refreny wiersza *Do broni* (nuta Marsylianki) wzywają: „Na koń, na koń! Niech Moskwy krew Wytoczy polska dłoń!“ W licznych wierszach odzywa się nieśmiertelna (tak znamienna dla liryki powstania listopadowego) alternatywa: śmierć lub zwycięstwo. „Raczej wszyscy poginiemy, Wprzód nim broń nam z rąk wyleci. Precz z amnestią bijmy wroga, To jedyna mężnych droga!“ (*Precz z amnestią* — Śpiewnik Narodowy nr 1). Do stereotypowych wariantów tego motywu wnosi nastrojowy ton Adam Mieleszko-Maliszkiewicz w swej *Pieśni do Boga-Rodzicy*:

Nie daj nam ginąć w płaczu i jęku:
Lub się nam rozpłoń śmierci gromnicą,
Lub dozwól walczyć z puklerzem w ręku,
Zlituj się, zlituj, Boga-Rodzico!

Do ulubionych motywów ówczesnej poezji patriotycznej zaliczyć należy tematy takie — jak walka o wolność („Niechaj za wolność śmierć nas nie mija“); głęboka dezaprobata przeciwnika — jako reprezantanta tyranii (częste epitety w rodzaju „carskie zbiry“, „dzicz sroga i ciemna“); wreszcie wezwanie do rozszerzenia zasięgu wojny narodowej na wszystkie dzielnice Polski przedrozbiorowej: „Wróć wolność Polsce, Rusi i Litwie“ — pieśń do Matki Boskiej. W tym wypadku zachodzi ścisła korelacja między marzeniami poezji i postulatami Rządu Narodowego. W odezwie *Rząd Narodowy do Narodu* (Warszawa, 31 lipca 1863) — czytamy, iż Polacy nie złożą broni „przed osiągnięciem ostatecznego celu“, którym jest „odbudowanie Polski w granicach 1772 roku“. A dalej: „Nie ma Polski bez Litwy i Rusi, jak nie ma jej bez Korony“. „Jest to trójca nierozdzielna“. Ideał federacyjnej Rzplitej, spojonej unią Korony, Rusi i Litwy, znalazł swój widomy znak w symbolu pieczęci Rządu Narodowego. Natomiast gdy chodzi o stosunek do Rosjan, liryka styczniowa nie podzielała poglądów idealizujących teoretyków, nie wdawała się na ogół biorąc w subtelne rozróżnienia pojęć „rządy“ i „ludy“ — nie aprobowała szczytnych haseł walki „o naszą i waszą wolność“, po prostu nienawidziła wroga. Zaś w miarę rozwoju wypadków na okrucieństwa odpowiadała okrucieństwami — domaga się krwawej zemsty, lubuje się w jej opisach („Hura, Moskwę wyciąć w pień“ —

„Kosyniery naprzód żwawo, Co do nogi kosić psów“ — „Niechaj ginie czerń kozacza“ — *Naprzód bracia w imię Boga*). Duma narodowa, a zarazem rozpaczliwe wysiłki nie uzbrojonej partyzantki brzmią w słowach: „Pod Węgrowem pięściami kto brał Moskwie armaty?“ (*Hejże bracia! raz trzeci!*) „I niech Polska zna, Jakich synów ma. Obok orła znak pogoni, Poszli nasi w bój bez broni“ *(Sygnał)* — powie z całą słusznością poezja powstańcza. Pieśń ówczesna nie uległa również słynnej pokusie interwencji i trafnie oceniając igraszki polityki międzynarodowej wzgardziła obłudną ofertą pomocy licząc jedynie na oręż własny. „My radzimy żelazem“ mówią słowa pieśni *Hejże bracia! raz trzeci!* W innym wierszu czytamy znamienne słowa: „A te wolne narody... Radzą, gwarzą z daleka, Niosą w słowach nadzieję, Gdy wróg czynu nie zwleka, Gdy się Polska krew leje“. Z mocą podkreśla to stanowisko Tadeusz Niezzagraniczniony (!) w wierszu *Point de rêveries* (słowa cara Aleksandra jako tytuł):

O Polsko: Niobe ty wypłakana...
Powiedz swym synom ostatni raz,
Że do zrzucenia jarzma tyrana
Jedna jest tylko droga poznana:
Wierzyć w swe siły, bić póki czas!

Równie charakterystyczne są słowa Gaszyńskiego: „Świat głuchy na jęki nie podał nam ręki — Już w pomoc nie wierzym niczyją; Lecz z słowem modlitwy idziemy do bitwy Wołając: Jezusie Maryo!“ (*Pieśń powstańców*). Zachodzi pytanie, czy obok akcentów mocy i wiary w swe siły brzmią już wówczas w pieśni powstańczej nuty smutku i żalu, tragizm walk heroicznych świadomych swej klęski — jednym słowem to wszystko, co kiedyś określi Żeromski mianem poezji sprawy przegranej. Trudno jest o ścisłą odpowiedź w tej mierze, ówczesna poezja patriotyczna wzywała do walki, więc wbrew niepowodzeniom, porażkom i klęskom rozbrzmiewa apelem, pragnie podtrzymać rwące się tętno życia.

Lecz bronić narodu, wśród chłodu i głodu
My śpieszym z niezlękłym orężem —
Kto nie zna, co trwoga, silniejszy od wroga:
Zwyciężem, o bracia! zwyciężem!

woła Gaszyński w swej pieśni przy zimowym ognisku (*Pieśń Powstańców* — 17 grudnia 1863, Paryż). Lecz tu i ówdzie podnosi głowę zwątpienie, czasami pełne melancholii, czasami twarde i nieustępliwe, do śmierci walczące *contra spem*. Oto słowa, o których mówi Limanowski[1], że stworzyło je ponure, poważne, smutne, lecz zacięte litewskie powstanie: „Zgasły dla nas nadziei promienie, A zorza nie świeci nam blada. Wstańmy — jako upiorów gromada We krwi wrogów nasycić pragnienie“

[1] *Historia powstania Narodu Polskiego 1863 i 1864*, s. 352.

(*Śpiew Powstańców*). A więc.... Już tylko zemsta — a la Grottgerowskie „Już tylko nędza“ (Cykl *Wojna*).

Poezja powstania styczniowego miała bezsprzecznie więcej danych do głębokiego pesymizmu niż pieśni innych powstań, które miały o ileż większe szanse zwycięstwa. Fakt, że uczucie rozpaczy i beznadziejności stosunkowo rzadziej brzmi w pieśni powstania, niż można się spodziewać (sądząc z historycznych dokumentów i pamiętników tego okresu), należy przypisać w dużej mierze głębokiej religijności ówczesnego pokolenia. Poezja r. 1863/4 potwierdza w całej pełni prawdę słów Agatona Gillera: „Nie znamy w dziejach powstania, które by było aktem silniejszej wiary w Boga, większym zaufaniem w jego sprawiedliwość“[1]. W wierszach i pieśniach powstańczych Bóg występuje niezmiennie w roli obrońcy, wiernego sprzymierzeńca lub wodza walczących. Przeplatają się zwroty w rodzaju: „Bóg pomoże, Bóg z nami“ (*Hejże bracia! raz trzeci*) ze zwrotami: „Bo naszym obrońcą Bóg“ (*Pamiątka rocznicy powstania*), „Bóg klęskom kres naznaczy“ (Garnysz). Nie zbraknie przeświadczenia o osobistej interwencji boskiej: „Bóg orężem włada sam“ (*Wiersz bez tytułu*). Podobne ujęcie spotykamy w pieśni *Boże coś Polskę*, którą rok 1863 wcielił do zasobów swych poezji i zaktualizował w licznych wariantach. „Ty, coś ją potem, tknięty jej upadkiem, Wspierał walczącą za najświętszą sprawę“ (tekst A. Felińskiego); „Panie, coś tknięty skrzywdzonej klęskami, Wiódł męczenników dla jej świętej sprawy“ — czytamy w jednym z wariantów. Te same nastroje w odniesieniu do Matki Boskiej spotykamy w pieśniach o typie wybitnie maryjnym, tak licznie rozsianych w liryce styczniowej, wiodących swój rodowód z cyklu wierszy ku czci Bogarodzicy z roku 1861. „Tyś ojców naszych wiodła do chwały“ czytamy w różnych odmianach. Słowa „Jezus, Maryja“ — jako hasła bojowe ongiś rycerstwa polskiego — a obecnie zawołanie „wojny leśnej“ — powracają w wielu utworach (*Pieśń kosynierów 1863 r.*, *Sygnał*). Największą siłą ekspresji wyróżnia się *Pieśń do Boga-Rodzicy* Adama Mieleszko-Maliszkiewicza:

> Trwożni o jutro, o dziś niepewni,
> Walczym bez rudla z burz nawałnicą...
> W drodze wygnania, w trudach kamiennych,
> Z szyją schyloną pod szubienicą,
> Wołamy-ć Pani, zza krat więziennych:
> Zlituj się, zlituj, Boga-Rodzico!

Pieśń tę śpiewali co dzień współtowarzysze autora w baszcie Prozorowskiej więzienia w Kijowie (maj 1863). Ciekawy materiał stanowią wiersze, na których wycisnęła swe piętno epoka męczeństwa, okres krzyża, palmy i korony cierniowej. Cechuje je niefortunna wiara w cud Boży („Cud dla nas, cud dla

[1] *op. cit.*, t. I, s. 77.

nas, Bóg nam da zwycięstwo" — pieśń na nutę: *Jeszcze Polska*), przed którą na próżno bronił się zdrowy instynkt narodu, a którą kusiły wypadki. Już nie tylko na czele — ale „Walcz za nas orężem swym" głosi *Pieśń do Pana Jezusa*. Wiele utworów kołuje w kręgu uporczywej wiary „Bóg nam da zwycięstwo" (Pieśń na nutę *Jeszcze Polska*). Gdyż jak twierdzi autor *Pożegnania* — „Pan Bóg chce Polski — sami mówią księża, że kto uwierzy w zwycięstwo — zwycięża". Istotnie księża mieli wiele do powiedzenia w dobie powstania — i w wierszach ówczesnych nie brak postaci kapłana, bądź w roli dowódcy (ks. Mackiewicz, Brzoska), bądź w charakterze przewodnika i opiekuna walczących — księdza z obrazu Grottgera „Przysięga". Oto obrazek jeden z wielu: „Nasz kapelan w habicie Pałasz i krzyż nosi, Już on pewnie uprosi Nam Moskali rozbicie" (pieśń na nutę *Jeszcze Polska*, śpiewana po lasach w lutym 1863) Nie brak też scen w stylu opowiadania Sobolewskiego („Przyjm tę spod sądów cara ofiarę dziecinną — Nie tak świętą i wielką, lecz równie niewinną"). Do takich należy opis mszy w Krakowie po klęsce Miechowskiej: „I kapłan wołał: Memento, Przyjm krew niewinną przez ofiarę świętą, Co złe w narodzie, gniewem swoim stratuj, Lecz ratuj kościół, Panie! Polskę ratuj" (*Memento*). W wierszu tym, jak w całej litanii jemu podobnych, występuje charakterystyczny splot uczuć religijno-patriotycznych, zaznacza się równoległość pojęć Bóg i Polska. W liryce styczniowej znajdzie również swój wyraz tak znamienna dla pieśni poprzednich powstań — wiara w nagrodę niebieską, która stanie się udziałem obrońców ojczyzny. Na tle religijnego tonu liryki styczniowej do wyjątków należą momenty zniecierpliwienia w stosunku do Boga, jak np. wynurzenia w rodzaju słów Garnysza: „Dość, o Boże, już tych kar Za nasz rozbrat i nasz swar, Broń narodu od serc z lodu, Zdejm Ojczyznę z mar" (*Lepszym chwilom*).

Jedna z ostatnich placówek romantyzmu polskiego — poezja powstania styczniowego — wchłonęła w siebie gasnące blaski mesjanicznych natchnień, które tak potężnym ogniem rozświetlały ongiś poezję listopadową. Przeświadczenie, że naród polski jest narodem wybranym, znajduje najczęściej swój wyraz w dość prymitywnej formie mnożenia zaimków dzierżawczych, gdy chodzi o określenie stosunku Polski do Boga. „Lud Twój", „Twe dzieci" — oto zwroty, od których mienią się wiersze i pieśni ówczesne (*Pieśń do Matki Boskiej*, *Modlitwa na czas powstania narodowego*, *Boże Ojcze*). Niewolnicze dzieje narodu polskiego wywołują typowe zestawienia z Golgotą Chrystusową (*Z głębi duszy*) lub porównania z męką Matki Bożej (*Bogarodzica* — Śpiewnik Narodowy). Zabrakło pieśniom powstania styczniowego poetów tego pokroju, co Witwicki, Brodziński, Garczyński, którzy rozwijający się mesjanizm polski sformułowali i wyrazili w liryce listopadowej, dając mu pełnię eks-

presji. Niemniej w poszczególnych utworach (*Śpiew Rutkowskiego z Ksiąg Mojżeszowych*) — spotykamy kilka znamiennych składników mesjanicznej ideologii pierwszej połowy XIX stulecia. Wysoka etyka chrześcijańska występuje jako jedyny środek, a zarazem jako warunek wyzwolenia politycznego. Do Boga, dawcy życia i wolności, zwraca się z prośbą o odpuszczenie win, przytulenie marnotrawnych synów, pocieszenie „ludu nieszczęśliwego". I oto pojawia się przesłanka etyczna — jako warunek spełnienia próśb: „Bóg da nam zwycięstwo, Gdy serca będą bez skazy". Przez serca nieskazitelne należy rozumieć serca pełne głębokiej pokory. „Niech nam serce stopi skrucha, W Chrystusowe idźmy ślady" (*Hymn T. Rutkowskiego*). Jest to spuścizna po roku 1861, który w swoich pieśniach, tchnących ekstazą modlitewną, nieustannie kajał się za grzechy i powtarzał wszelkie możliwe warianty słów ks. Piotra: „Czemże ja jestem przed Twoim obliczem — prochem i niczem". Gdy psychika polska tak się zmieni, że wszelkie ślady „pychy" i „zwady" zostaną do gruntu zatarte — wtenczas „Pan obietnic dotrzyma". Przyszłość — zasłużona nagroda, przyszłość zwycięska jawi się, rzecz oczywista, w postaci Królestwa Bożego na ziemi, trzeciej epoki Ducha św. (Rutkowski). „Królowanie Boże celem, a dźwignią ducha ofiara", głosi tekst Hymnu vel *Śpiewu T. Rutkowskiego*. Rozwinięcie i pointę powyższych założeń przynoszą refreny:

W górę serca, polski ludu,
Duchu święty, zstąp śród nas!
„Niech z krwawego Polski trudu
Błyśnie światu Boży czas".

Nie brak zatem i altruistycznego gestu pod adresem Europy — „za naszą i waszą wolność". Pojawi się również charakterystyczne przeciwstawienie Zachodu, „mędrców rzeszy" — Polsce — „nowemu Izraelowi" — ufającej tylko Bogu: „Czas, narodzie, byś uwierzył, Że w nim ratunek jedyny" (T. Rutkowski).

Głębokie przetworzenie się psychiki polskiej zostało postawione jako *sine qua non* odzyskania niepodległości. I na tym punkcie przeżycia religijne zazębiają się o zagadnienia społeczne i tworzą ścisły związek — tak znamienny dla ideologii poezji powstańczej. Ewangeliczna pokora obowiązuje nie tylko wobec Boga, lecz i wobec bliźniego. Dobrowolne zniżenie się do ludu tych, których dawna Rzeczpospolita „nadała i wyniosła" — zgładzi winy przeszłości, odkupi zło, przybliży pomyślność ojczyzny — Polski wszystkich stanów. Rozwiązanie palących zagadnień społecznych po linii zupełnego zrównania obywateli było wytyczną programu, a zarazem najgłębszym umiłowaniem większości członków Komitetu Centralnego i Rządu Narodowego. Manifest z dnia 22 stycznia — to credo społeczne twórców roku 1863. Lecz wystarczy wziąć do ręki którąkolwiek z odezw Komitetu Centralnego lub Rządu Narodowego, by odnaleźć tam brzmiące głęboką

siłą przekonania ustępy poświęcone kwestii społecznej. „Do broni, bracia! do broni wzywamy was, a pierwszym aktem waszego powstania ma być natychmiastowe uwłaszczenie włościan“ (Warszawa, 5 lutego 1863). Dobitny wyraz tych przekonań zamknęły w sobie słowa napisu pieczęci Rządu Narodowego. Wokół symbolów Orła, Pogoni i Archanioła czytamy: Równość, Wolność, Niepodległość. Zarys skrzydełek w bryle jantaru świadczy o przedwiecznym bytowaniu łątek, kolejność słów zastygłych w wieńcu tej pieczęci daje niezmienne świadectwo prawdzie. Demokratyczna Polska — była ideałem ludzi ówczesnych.

Jak z jednej strony sprawa społeczna została rozwiązana na płaszczyźnie etyki chrześcijańskiej, tak z drugiej strony została ona podporządkowana koniecznościom politycznym i ściśle związana ze sprawą walki o niepodległość. Uwłaszczenie przeprowadzone przez Rząd Narodowy — to pozyskanie ludu dla sprawy powstania, a udział masowy ludu w walce z najazdem — to gwarancja zwycięstwa. Powstanie ludowe — niedościgły ideał ówczesnych patriotów — i tym razem, jak w roku 1830/31, nie doczekało się realizacji pozostając w sferze *pium desiderium*. Zagadnienie społeczne stanowiące rdzeń ideologii powstańczej, splecione nierozerwalnym węzłem z całym kompleksem przeżyć religijno-narodowych, znalazło pełne odbicie w ówczesnej publicystyce (czasopisma, odezwy, okólniki) i stosunkowo słaby refleks w poezji. Niemniej w poezji styczniowej zabrzmi również wezwanie do braterstwa. Hymn *Boże coś Polskę* (warianty z czasów powstania) ukazuje nam moment pojednania o charakterze wybitnie religijnym:

My wszyscy w imię Twego przykazania
Wszak się serdecznie zbrataliśmy z sobą.
O przybliż, Panie, chwilę zmartwychwstania,
Obdarz wolnością złączonych żałobą.

Stosunkowo obszerne exposé poglądów społecznych przynosi wysoce nieudolny pod względem artystycznym twór autorstwa Garnysza, zatytułowany: *Lepszym chwilom* (Śpiew Narodowy). Ongiś było źle. „Darmośmy z wrogiem walczyli“. Przyczyna tego stanu rzeczy bardzo prosta: „ucisk nękał, chłopek stękał“. Lecz przyszłość zarysowuje się optymistycznie, gdyż „Dzisiaj słychać zgodny gwar, jedna się Lud różnych wiar; gdy nadzieje zgoda sieje, Polska wstanie z mar“ — oto co głoszą radośnie refreny. To już nie tylko braterstwo stanów, lecz zgodny chór różnych wiar, a więc stanowisko wyrażone tylekroć przez Komitet Centralny i Rząd Narodowy w stosunku do mniejszości i ich udziału w akcji powstańczej. „Całą okryjemy ziemię jak mrowie, kmiecie, mieszczanie, żydzi, panowie“ czytamy dalej. Rozochocony autor woła śladami Mickiewicza: „A więc ramię do ramienia, wszelkiej wiary urodzenia, jednej chwili bracia mili — hura na wroga“. Głębokie przeświadczenie autora: „Wszyscyśmy Bracia,

równi i wolni" — brzmi zwycięską fanfarą i tchnie pełnią zaufania, że pod takim hasłem sprawa zwycięży.

Poezję powstania styczniowego cechuje jednolitość i prostolinijność treści, prostota i bezpośredniość formy. Była to twórczość zbiorowa i jako taka odzwierciadlała poziom przeciętny. Większość przygodnych poetów powstania — to ludzie o typie psychicznym mało skomplikowanym. Religijność, gorący patriotyzm, kult wolności i przekonania na wskroś demokratyczne — oto obraz duchowy ówczesnego partyzanta. Głębokie wartości życia wewnętrznego ujawniały się w czynie. „Jak niewyczerpane jest poświęcenie — tak niewyczerpaną powinna być nasza praca" (*Głos kapłana polskiego 1862 r.*, nr 5). Heroiczny trud realizowania swego credo skupiał na sobie wysiłek duchowy najlepszych ludzi tego pokolenia. Pieśń powstańcza stroniła od intelektualistycznych medytacji, nie umiała cyzelować swych postulatów ideowych, głosiła natomiast z mocą głębokiego przekonania swoje kanony wiary poruczając ufnie Bogu-obrońcy sprawę umiłowanej ojczyzny — sprawę wolności i równości jej obywateli. „Dokoła puszcza rodzinna — nasza forteca. A nad nami Bóg i przyszłość nasza" — mówią słowa z listu powstańca, pisane w obozie w sierpniu 1863 r.

— — — — — — — — — — — — — — —

Dzieje owej „puszczy rodzinnej" — historia „leśnej wojny", a zarazem dzieje czynu tych, „co na stos rzucili swój życia los" — składają się wraz z ideologią na pełny obraz poezji powstania styczniowego. Ludziom i wypadkom należy się oddzielne opracowanie — na tym miejscu pragnęłam jedynie dać zarys ideologii ówczesnej[1].

Warszawa *Janina Znamirowska*

[1] W pracy niniejszej korzystałam ze zbiorów Rapperswilskich (Centralna Biblioteka Wojskowa). Udostępnienie rękopisów zawdzięczam uprzejmej pomocy p. Dyrektora Adama Lewaka.

II. NOTATKI

W SPRAWIE „PIEŚNI O PRUSKIEJ PORAŻCE“

Pamiętnik Literacki XXXIV, s. 41—75, przedrukował *Pieśń o pruskiej porażce* wedle dawnego odpisu Rzyszczewskiego (R) i wedle nowoznalezionego odpisu, jaki Ostroróg (O) do planowanego wydawnictwa jubileuszowego sztychów o „grunwaldzkiej“ włączył. Wydawnictwa tego wojewoda nie dokonał, ale przygotowanie tekstu łacińskiego i pieśń polska ocalały w jego rękopisie z 1616 r. Zwrócił się przy tym wydawca przeciw kategoryczności twierdzenia, jakoby Ł. Górnicki był tej pieśni autorem; wysunął inne możliwości, np. Klerykę Stanisława albo kogo innego z licznych wówczas wierszokletów; powołał i świadectwo wyraźne R (*Pieśń o pruskiej porażce*, która się stała za króla Jagiełła Władysława, roku 1510 napisana), którego lekceważyć nie można, dopuszczał jednak R zmodernizowanie tekstu; najwyraźniejsze zaś słowa Kochanowskiego o Ł. Górnickim jako autorze tej pieśni odniósł do jakiejś innej pieśni Górnickiego o porażce pruskiej. Ależ świadectwo Kochanowskiego godzi się tylko do R i O!

Cóż bowiem twierdzi Kochanowski w elegii łacińskiej o swoich poprzednikach? Nie chcąc ubliżyć zasługom Górnickiego wylicza je iście humanistycznymi hiperbolami: „...on tworzy poezje, godne liry Orfeowej (marne ich próbki zachował rękopis petersburski, nie odznaczający się łatwością odczytania — więc możem co i pomylił), i opiewa Niemców, zwyciężożonych wielkim bojem, wojny Marsowe zdając nutom lirycznym“, tzn.: materii epicznej nie traktował Górnicki w wierszu epicznym, już obowiązującym, długim, lecz w wierszu lirycznym, pieśniowym, krótkim, niegdyś jedynym średniowiecznym, dziś ograniczonym do liryki erotycznej czy religijnej. Za Ostroroga ta różnica jeszcze się pogłębiła — i z powodu formy, już przestarzałej dla epika, nazwał Ostroróg po jakich 40 latach (pisał to w 1616) pieśń tę „staroświecką“. Cóż by to był bowiem za dziwny traf, żeby jakaś inna pieśń Górnickiego, a nie R, O, również Grunwald lirycznie, nie epicznie traktowała?

Świadectwo R, jeśli łączyć „r. 1510" ze słowem „napisana", byłoby kłamstwem w żywe oczy; jak wiersz polski z r. 1510 wyglądał, wiemy doskonale z *Ezopa* i innych dzieł, R zaś nikt nie „wyprał z średniowieczyzny", bo żadnej w nim nie było nigdy; przecież i w O, niezawisłym od R, śladu jej nie ma; język ich obu i pisownia z drugiej połowy XVI w. pochodzą; jedyna ich „starożytność" to *Krzyżownicy* zamiast *Krzyżacy*. Odpisy *Pieśni* krążyły po ludziach; jakie, widzimy z R; podobny otrzymał i Ostroróg, ale nie zniósł błędów, poprawił wszystkie niedociągnięcia; np. R ma nieraz wiersze siedmio- lub dziesięciozgłoskowe zamiast prawidłowych ośmiozgłoskowców w O. Ostroróg bowiem nie tylko szachami, ogarami się bawił, ale i „etymologią" (to jest nauką o formach), i ortografią — przytaczałem z jego rozprawki w rękopisie petersburskim krytykę np. gen. sing. fem. na *y* czy *ej* ii. Więc skreślał wtręty niepotrzebne, raz nawet *Krzyżowników Krzyżakami* dla miary wierszowej zastąpił (innym razem ich zatrzymał); nie zawsze możemy odgadnąć, co autograf Górnickiego podawał, np. *ale iż je* (Krzyżowników) *pych unosi* (R) zdaje mi się lepsze niż O: *ale że się pycha wznosi* (por. w obu tekstach w w. 97: *Acz na przepych są posłane*); *pomsty* O, wedle jego reguły, a *pomstej* R; *pokój chociaż z ubliżeniem* (O) lepsze niż *pokój choć z mym ulżywienim*. W zwrotce 9: *w imię twe z wojskiem wyciągam* (O) lepsze niż: *w łaskę twą z wojskiem dociągam* (R). W 11 za to: *Prosząc by nie żył godziny, kto tej wojnie dał przyczynę* (R) — nierównie lepsze niż O: *proszę by nie żył godziny, kto by bitwie dał przyczyny* itd. R daje tekst, jaki był w powszechnym obiegu, tj. z nieuniknionymi omyłkami kopistów (i poucza, co sądzić o tekstach rękopisowych), gdy O daje tekst poprawiony przez znawcę, np. zwrotka 47 zaczyna się w R: *po tej bitwie stał się koniec*, to nonsens; w O poprawnie: *póty bitwie stał się koniec*, tj. teraz (póty) skończyła się bitwa i wysłano gońca do Polski. Poprawki Ostrorogowe sięgały może i głębiej, np. w. 156: (ledwie króla wstrzymali) *ci, którzy mu wiarę dali* (R) zastąpił O przez: *ci, którzy go pilnowali*, wedle w. 167: *ci, którzy go pilni byli; ale i to za swe miało* (R, w. 170) przeniósł O do w. 148, który trafniejszy w R: *chorągiew szesnaście miało;* w O czytamy: *A w tym i huf wszystek starto, którym to było natarto w którym* itd., co brzmi nieładniej niż w R: *ostatnie wojsko zostało Ale i to za swe miało w którym* itd. W obu tekstach różnią się dwie zwrotki zupełnie. O opuścił znamienną dla całej tendecji „ballady" zwrotkę 27 (R): *Pan Bóg długo zwykł folgować* itd.; dlaczego miałaby być „niewątpliwie dodatkiem późniejszym, trącącym Kochanowskim", nie widzę przyczyny; natomiast dał O niechlujną zwrotkę 44, zakrawającą na sprośną parodię; wywołał tę parodię wiersz 172: *jako psy Polacy bili (*R: *jak bydło Polacy bili)*, i w. 180, nierównie lepszy: *a tak jako trzodę gnano* (R), *jako bydło trzodą gnano* (O).

I „roku 1510“ na tytule R dałoby się obronić, jeśli „1510“ nie łączyć z „napisana,“ lecz z poprzednim: „porażka, która się stała... w r. 1510“; kopista mógł święcie wierzyć, że Grunwald zaszedł r. 1510, nie 1410, co nam wydaje się niemożliwe. Otóż w XVI i XVII w. fakty znano, o daty niewiele pytano, mylono się o całe wieki. Błąd popełnił kopista, nie Górnicki, który Długosza u jednego z panów, u których Długosz się „walcał“ (wedle Orzechowskiego), czytał. Z źródłem swoim obszedł się Górnicki dosyć swobodnie, skupił wszystko w jeden dzień, napadem na Litwę i spędzeniem jej z pola nie zaczął opowiadania bitwy, umieścił je dopiero w dalszym toku. Kochanowski o Wandzie po łacinie śpiewał, Górnicki stosując się celowo i świadomie do zasady Rejowej, że Polacy nie gęsi, że swój język mają, tylko po polsku pisał. W pieśni uwydatnił szczęśliwie główne momenty dnia, a natchnął go może hołd pruski 1569 r., który na Kochanowskim wiersz polski wymógł. Coraz podkreślał G. butę wroga, pokorę króla, sprawiedliwość Pańską; jeszcze w końcowej zwrotce skupił te morały, wobec obowiązującej dydaktyczności wierszów polskich. Zadowolił się gładkością wysłowienia i to jego główna zasługa. Gdy Kochanowski o warneńskiej na modłę klasyczną daremnie się kusił, on za wzorem ówczesnych relacji (np. o wzięciu Budy, o różnicach wiary itd.), nie bez werwy, dzień sławny popularnie uwiecznił.

Berlin *Aleksander Brückner*

WĘGIERSKI POETA NA DWORACH POLSKICH W XVI WIEKU

I.

W roku 1576 przybył do Polski, między innymi, z królem Batorym dwudziestokilkoletni Węgier, który zwrócił na siebie uwagę zatańczywszy wspaniale, z węgierskim temperamentem, tzw. *verbunkos* — starowęgierski taniec. Tenże sam Węgier był obecny na koronacji, która odbyła się 1 maja w Krakowie, w miesiąc później widzimy go w Warszawie, a już 16 września zdążył opuścić Dancke (Gdańsk), — „filium Jo. Balassa dimissimus" — czytamy u Szadeckiego.

Wielokrotnie jeszcze bawi potem w Polsce, gdzie ma rozległe stosunki i wiele spraw do załatwienia. Zapoznamy się wobec tego bliżej z jego postacią i całym jego życiem, które było tak bogate pod względem twórczym oraz obfitowało w szereg epizodów zarówno smutnych jak też ciekawych i awanturniczych.

Od razu na wstępie stajemy wobec zagadki, kiedy właściwie i gdzie się urodził — czy było to w roku 1550 czy 1551, w miejscowości Kékkö czy też Dévény? Wiemy natomiast, że ojcem jego był Jan Gyarmati-Balassa i że jego dziadek, Franciszek, zginął pod Mohacsem w 1526 r., kiedy to katastrofalna porażka wyniszczyła kompletnie całą armię. Był to tzw. *bán* (wojewoda) chorwacki i szörényski. Matka poety czy też macocha, Orsolya Perényi, była wnuczką bośniackiego księcia. Ojciec natomiast, Jan Balassa, jako młody chłopak przybywa na dwór królewski i tam ma pojedynek z Hiszpanem, don Francesko Lasso, który obraził naród węgierski. W 1552 r. prowadzi orszak zdążający do Genewy, do narzeczonej księcia Maksymiliana. Później widzimy go znów w Wiedniu, gdzie po świeżym, puszystym śniegu mknie saniami w towarzystwie dwóch córek cesarza. Miał naturę skłonną do bohaterskich czynów. Semler, szwajcarski historyk, pisze o nim, że stawał zawsze w obronie prawdziwej wiary. Dla chłopów, którzy odrabiali mu pańszczyznę, był gwałtownym panem. Turków gnębił i był wiernym poddanym swojego władcy. Dzięki żonie, Annie Sulyok, jego życie rodzinne ułożyło się bardzo szczęśliwie. Mieli oni sześcioro dzieci, z których Maria, Anna, Walenty i Franciszek dożyli późnego wieku.

Z dziecinnych lat Walentego wiemy tylko tyle, że z powodu p. Szkárosy'ego ojciec zbił go i że mały Walenty nie przebaczył tego nigdy p. Szkárosy'emu i w wiele lat później odwzajemnił mu się za to. — Pierwsze nauki pobiera w domu rodzicielskim kładąc specjalny nacisk na języki: łaciński, czeski, polski i niemiecki. Od jeńców uczy się języka włoskiego i tureckiego. Już jako młody chłopak wstępuje do szkoły rycerskiej. Również w młodzieńczym wieku przeżywa wraz z całą rodziną wielki niepokój i troskę o ojca, który zostaje uwięziony za wielokrotne próby wypędzenia króla Maksymiliana. Jednakże Jan Balassa i tym razem sobie poradzi — przebija mur więzienia i ucieka 9 III 1570 r. Początkowo ukrywa się na górnych Węgrzech, a następnie ucieka do Polski i tam osiedla się w Rymanowie pod Sanokiem. Król Maksymilian poszukuje go wszędzie, ale w międzyczasie Balassa udowadnia, że nie był na tyle winny, na ile go posądzono, i uzyskuje przebaczenie królewskie.

Walenty towarzyszy ojcu do Polski i jest prawdopodobne, że studiuje wówczas na uniwersytecie w Krakowie. Tamże tłumaczy i wydaje w 1572 r. dzieło Bocka pt. *Ziołowy ogródek*[1], a następnie hymny Dawida. Ciekawym szczegółem jest, że mniej więcej w tym czasie zajął się tłumaczeniem psalmów wielki poeta polski, Jan Kochanowski, na zlecenie biskupa Myszkowskiego. We wrześniu 1572 r. bierze Walenty udział wraz z ojcem w koronacji króla Rudolfa i wywołuje podziw swoim tańcem juhász'skim otrzymując zań tytuł „podczaszego" (ételfogo).

Jego poetyckie natchnienie znalazło silną podnietę w osobie dużo starszej od niego Anny Losonczy, dla której pisze swój pierwszy poemat miłosny, zachowany do dzisiaj, *Aenigma*.

W roku 1575, na zlecenie króla Maksymiliana, rozpoczyna Gáspár Bekes wojnę przeciwko St. Batoremu, księciu Siedmiogrodu. W związku z tym pisze Szokolovics Mehmed do króla Maksymiliana, że Balassa wysłał swego syna na pomoc Gáspár Bekesowi z 500—600 żołnierzami, ale nie jest to żadne wyćwiczone wojsko, a po prostu banda zbójów i opryszków, którzy mają stawić czoło hufcom wojewody. Mustafa, basza z Budy, również wspomina w liście do Maksymiliana, że Balassa został wysłany przez ojca. Jednakże ta wyprawa zakończyła się smutnie, gdyż Balassa otrzymawszy silne uderzenie kijem w głowę stracił przytomność i został pojmany w niewolę. Stefan Batory pisze do dowódcy, że nie wyda go pod żadnym warunkiem, gdyż „woli własną głowę odesłać, aniżeli wydać Balassę, którego zwolnienie naraziłoby na niebezpieczeństwo Królestwo Polskie" (List Batorego z 24 II 1576 r.). Porta turecka nienawidziła po prostu Balassy, którego ojciec już znany był jako

[1] M. Bock: *Würtz-Gärllein für die krancken Seelen.*

zaciekły wróg Konstantynopola, gdzie wierzono we wszystkie oszczerstwa rzucane na niego. Turcy skonfiskowali wszystkie zamki należące do Balassy, nawet Somoskö, który właściwie był własnością p. Anny Losonczy.

W początkach marca 1576 r. wojewoda siedmiogrodzki Stefan Batory wyrusza do Polski jako mąż Anny Jagiellonki i król Polski. Orszak, składający się z 500 hajduków konnych i 1000 pieszych, przybywa w dniu 23 IV do Krakowa, a wraz z nim i Walenty Balassa, który jest również obecny na uroczystej koronacji Batorego, po czym spędza wesoło czas na zabawach w gronie przyjaciół. Polska arystokracja jest gościnna, więc zapraszają go z dworu do dworu, a nawet do Dancka, czyli do Gdańska.

W tym czasie poznaje panią wojewodzinę Janową Kostkową z Sandomierza, a jednocześnie styka się bliżej z życiem w Polsce i poznaje literaturę polską. Czas upływa mu w wygodach, podoba mu się ten spokojny żywot, polska gościnność, jego dobry pan i dobrane towarzystwo na dworze królewskim, o czym wspomina w liście swoim z dnia 2 VII 1577. Bawi się wesoło i dobrze, choć jednocześnie ma zmartwienia rodzinne. Jasne było, że ojciec jego musiał mieć przykrości, gdy syn służył temu, który z ręki Maksymiliana wytrącił berło korony polskiej. Toteż Walenty myśli o powrocie do kraju. 15 IX 1586 r. otrzymuje pozwolenie na wyjazd od Batorego, który pisze do wielkiego wodza, syna Jana Balassy: „...zanim list Wielmożności został nam oddany, jużeśmy go wypuścili na prośbę wielu radców, załatwiwszy wszystko jak najpomyślniej zarówno dla nas jak i dla naszego wiernego sługi".

Jednakże Walenty Balassa nie wraca prostą drogą do kraju — gościnność polska była zbyt wielka, a liczne znajomości zbyt miłe. Z Gdańska do Malborga odprowadzają go towarzysze — członkowie rodów szlacheckich.

W połowie 1577 r. przekracza progi rodzinnego domu i tu spada na niego wielki cios — śmierć ojca, która nastąpiła 3 maja tegoż roku. Wrogów ma Walenty wielu i spotyka się na każdym kroku z przykrościami i złem słowem — jedyną pociechę daje mu literatura. Naturę ma liryczną, toteż miłość jest osią jego życia. Sam pisze, że go Venus specjalnie prosiła o zajmowanie się nią. Od lat młodzieńczych aż do ostatka jego dni towarzyszy mu miłość. Nic więc dziwnego, że interesuje się przede wszystkim poezją miłosną: Ovidius, Propertius, Petrarka — piewca pocałunku, — Johannes Secundus (Everts), Marcellus i Angeranius — to jego ulubieni poeci. Tłumaczy wierszem romans Eneasza Sylwiusza: *Euryalus i Lucretia*.

W owych czasach uważano za nieprzyzwoite drukowanie wierszy miłosnych. Ale Balassa, pewny siebie poeta, nie po to uczył się na poezjach włoskich, niemieckich, polskich, tureckich, ażeby teraz nie wzbogacić literatury węgierskiej. Sam zresztą uważa

się za pioniera, którego czeka nieśmiertelność. Po powrocie do kraju przeżywa okres największej twórczości. Jeżeli chodzi o miłość — to zaspakaja ją całkowicie osoba pani Anny Losonczy.

A jednak pociąga go Polska. Kilkakrotnie zwraca się do króla z prośbą o pozwolenie wyjazdu do Polski. K. K. Kriegskanzley — Expedit-Protocollum, które często zajmuje się sprawami Balassy, odradza królowi i ten nie zgadza się na jego prośbę. Wreszcie Balassa decyduje się na zostanie w kraju, składa przysięgę na wierność i wstępuje do oddziału bohaterów z Eger. Jest to miasto, które zapisuje się chlubnie w historii z czasów tureckich, miasto, gdzie polski poeta Adam Czahrowski spędza 9 lat i pisze — zresztą jedynie tam — poematy żołnierskie (1588—1596).[1] Balassa przestrzega ostrej dyscypliny, spełnia wszystko, co mu każą, „odnosi 11 zwycięstw dziennie". Jednakże ta dyscyplina nie zmieniła jego awanturniczej natury. Salanki opisuje, jak Balassa napada z żołnierzami na miasto Hatvan (1580) burząc domy, rozbijając sklepy, grabiąc pieniądze i wieszając niewolników. W rok później napada na pocztę. Wreszcie sprawa p. Sommerowej dochodzi nawet do uszu króla, zostaje jednak załatwiona po cichu.

Miało to przebieg następujący. Balassa jadąc z Besztercebánya do Zólyom spotkał w drodze dorodną niewiastę, p. Sommerową, żonę wędliniarza. Zbliżył się do niej, jak zwykle do kobiet, z „gorącą miłością", i skutek był taki, że miał potem zatarg z samym magistratem, przed którym go p. Sommerowa zaskarżyła.

Nie uznawał takich czynów za grzech, co widzimy z jego własnych słów: „Pan Bóg mi świadkiem, że nie wiem, co to jest życie sybaryty".

Wreszcie składa swe serce u stóp swojej kuzynki, Krystyny Dobó. W związku z tym ma nawet wiele przykrości. Co prawda Balassa okazywał swą miłość w sposób niecodzienny, więc jakżeż mogli patrzeć na to ludzie zwykli i spokojni?

Kuzynkę swą pokochał głęboko i szczerze i walczył z tymi, którzy uważali to małżeństwo za niedopuszczalne. Krystyna Dobó, właścicielka zamku Patak (miejsca, gdzie znajduje się obecnie najstarsza polska biblia, przywieziona do Sárospatak przez Comeliusa, a która ma obecnie wartość 300.000 pengö), kobieta piękna, była również stale atakowana przez krewnych w sprawie zamierzonego małżeństwa. Ostatecznie ślub ten odbył się, ale był to prawdziwy napad na kościół. W niedzielę, po mszy św., na której była obecna Krystyna Dobó i prawie wszyscy mieszkańcy zamku, wpadł Balassa do kościoła ze swoimi ludźmi, wziął ślub, a następnie zajął zamek z taką szybkością,

---

[1] A. Czahrowski: *Treny i rzeczy rozmaite,* opracował T. Mikulski, Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVII w. Seria II. z. 5. Warszawa 1937.

że żołnierze, którzy służyli p. Dobó zostali zaskoczeni i nie stawiali oporu. Właściwe wesele odbyło się dopiero u sklepikarki p. Kaźmiery w miejscowości Szikszó, dokąd oboje uciekli potajemnie w 1584 r.

Z tego małżeństwa urodził się w 1585 r. syn Jan, który umarł w Boroszló w 1601, czyli mając 16 lat.

Ale życie naszego poety i po ślubie pozostało niespokojne. Sądy i przykrości rodzinne męczyły go stale, tak że w roku urodzenia syna zapada ciężko na zdrowiu i myśli, iż bliski już jest śmierci. Pisze więc testament, w którym prosi króla polskiego, ażeby zaopiekował się jego żoną. Sprawa ta dojdzie aż do sejmu, ale narazie zobaczmy, co Balassa pisze w swoim testamencie.

Błaga on w nim Jego Królewską Mość, ażeby „mając wzgląd na zasługi jego ojca i uczucie przyjaźni, jakie miał dla Jego Królewskiej Mości“, zaopiekował się biedną sierotą i wstawił się do Jego Cesarskiej Mości, ażeby jej nie dręczyli procesami, które miały być rozpatrywane na następnym posiedzeniu. Przypomina to wszystko, co jego naród dał Polsce, co on sam wycierpiał w siedmiogrodzkim więzieniu i ile on położył zasług w służbie Jego Królewskiej Mości. W imię Boga Jedynego błaga, żeby dali spokój biednej sierocie i jego żonie. W dalszym ciągu błaga swego pana, polskiego króla, żeby zagroził p. Franciszkowi Dobó przymuszając go, żeby zwrócił wszystkie majątki i dobra i nie prześladował więcej jego żony i dziecka. Poza Jego Królewską Mością, polskim królem, wyznacza jeszcze na opiekunów Krzysztofa Kubiniego, Franciszka Kéryego, Andrzeja Andaházyego i do nich w imię Boga zwraca się z tą samą prośbą.

Oryginał tego dokumentu znajduje się w archiwum spiskiej kapituły (Szepesváralja), gdzie jak w dalszym ciągu okaże się, toczyła się również sprawa małżeństwa Balassy.

Jeszcze jednego sposobu spróbował Balassa, dzięki któremu, jak sądził, nareszcie uzyska spokój. Zmienił wiarę, został katolikiem przyjmując chrzest w Esztergom 24 VIII 1586 r. Sprawa ta została załatwiona przez kapitułę spiską. Jednakże Balassa nic na tym nie wygrał, gdyż Kościół katolicki uważał, że jego małżeństwo z kuzynką jest nieważne i syn z tego małżeństwa jest nieślubny.

Ciągłe przykrości i kłopoty gnębiły go, aż wreszcie 15 II 1588 r. król ogłosił dla niego amnestię, a także papież unieważnił orzeczenie synodu węgierskiego. Balassa ma zamiar rozpocząć nowe życie. Dawid, król poetów, staje się jego pociechą. W tym też czasie pisze najpiękniejsze swoje poezje.

Z drugiej jednak strony złe stosunki rodzinne, stały niepokój w ojczyźnie odbierają mu chęć do życia. Decyduje się na co najmniej czteroletni wyjazd za granicę. Pisze do swego brata Franciszka: że wróci do Węgier nie wcześniej jak za cztery lata,

jeżeli w międzyczasie nie umrze. Stefan Illyésházy pisze 29 IX 1589 r., że Balassa wyjechał w kierunku Krakowa. W archiwum rodziny Battyány w Körmend został znaleziony przez dr. S. Takácsa i opublikowany w *Budapesti Hirlap* (1910 r., nr 256) list pisany w dzień św. Marcina (11 XI 1590) o następującej treści: „Do Franciszka Battyány. Szanowny, wielmożny, szlachetny Panie! Za ofiarowaną mi służbę błogosławię Waszą Wielmożność. Chłopak, który wręczy ten list, niech pozostanie w służbie Waszej Wielmożności, ponieważ upodobał sobie życie na dworze Waszej Wielmożności, tak jak gołąb dom, gdzie go karmią miodową pszenicą. I ja, chociaż nieznany, proszę Waszą Wielmożność, byś był dlań panem dobrym i łaskawym. Niech i w ten sposób rozszerza się sława Waszej Wielmożności, że nawet cudzoziemcy z tak dalekiego kraju służą Waszej Wielmożności. Bo i rzeczywiście, że gdyby nie nadmiar chęci służenia u Waszej Wielmożności, to i bieda by go stąd nie wypędziła. Śmiało może powiedzieć, jak Aleksander, że nie dokucza mu ubóstwo, gdyż jest dzieckiem dobrego szlacheckiego rodu i zarówno dobrobytu jak i czci ma tu pod dostatkiem. Dlatego też błagam Waszą Wielmożność o okazanie dobroci temu bogobojnemu p. Janowi. A za rozsławienie Waszego dobrego imienia, za służbę u ojca Waszej Wielmożności i za mnie, Waszego marnego sługę, który byłem więziony i musiałem opuścić swój kraj rodzinny, niech Wasza Wielmożność obdarzy w dwójnasób łaskami tego młodzieńca. Niechaj błagania nie tylko tych, którym, prawdę mówiąc, Wasza Wielmożność winna jest okazać dobroć, wzruszają go, ale i tych, którzy dotychczas nie mogli służyć Waszej Wielmożności. A chociaż tym Wasza Wielmożność nic nie jest obowiązana, to właśnie jeżeli wysłucha ich błagań, Jego szlachetność i ludzkość będzie błyszczeć jeszcze więcej. A zatem niechaj Wasza Wielmożność przychyli się do mojej prośby, za co do końca życia będę służył Waszej Wielmożności. Niechaj Bóg natchnie Waszą Wielmożność i niechaj skieruje w ślady Waszego wielkodusznego ojca ku chwale Waszego rodu i Ojczyzny. Obyś Wasza Wielmożność był wielki i bohaterski, bogaty w dobra cielesne i duchowe. Amen. Kraków 1590 r. Według nowego dnia św. Marcina."

Tak brzmi ten list; niestety nie wiadomo, kim był ten polski młodzieniec, którego tak bardzo polecał Balassa Franciszkowi Battyanyemu.

W drugiej swojej ojczyźnie — Polsce — także nie zaznał spokoju. Kłopoty, jak ciemny cień, towarzyszyły mu i w tym kraju. Spotykał dobrych ludzi, miał przyjaciół i bliskich znajomych, ale to wszystko nie wystarczało, nie usunęło krzyża z jego życia. Król Batory już nie żył, czasy się zmieniły i atmosfera nie była taka sama jak wówczas, gdy bawił po raz pierwszy w kraju Kochanowskiego. Zajmuje się obecnie przeważnie handlem kupując i sprzedając wino i konie i trudniąc się

zaciągiem żołnierzy. Zachował się jeden list w języku łacińskim, pisany przez Balassę do Jana Zamoyskiego, datowany z Dębicy 9 V 1590[1]. Jest to data przypuszczalna, ponieważ list jest uszkodzony w tym miejscu i dokładnie trudno określić. W liście pertraktuje Balassa z „Illustrissime Domine“, ile by mógł dostać pieniędzy dla Franciszka Wesseleniego na wojnę turecką. (List ten został opublikowany przez prof. dr. Lukinicha i znajduje się w archiwum rodzinnym Bethlen, Erdélyi Muzeum, 1903, 552—3).

W innym zaś liście z Krakowa do Franciszka Balassy, którego data również nie jest ustalona (1590), czytamy (Radvánszki Béla: *Rimay J. munkái*, Budapest 1904, 267—8), że zamiast klecenia wierszy wolałby wykonywać wirtuozowskie ćwiczenia w służbie wojskowej. Taka praca usunęłaby ludzkie gadania, gdyż to zajęcie uspokoiłoby go zupełnie. Zdobycie

---

[1] List Balassy do Jana Zamoyskiego:

„Illustrissimo domino domino Joanni de Zamoscie, supremo regni Polonie cancellario exercituumque generali etc. etc. capitaneo etc., domino mihi observandissimo.

Illustrissime domine mihi observandissime Perpetua servitia mea Vestrae Illustrissimae Dominationi commendo.

Antequam humanissimae Vestrae illustrissimae Dominationis litterae a magnifico domino Francisco Vesselenio mihi redditae fuissent, jam et ab illustrissimo cardinali Bathoreo et illustri palatino Lublinensi et ab hoc ipso magnifico domino Francisco Vesseleni ad hoc bellum turcicum fueram invitatus, quibus etiam non modo animum esse ostenderam, verum etiam rationes proposueram, quibus stipendium cum mihi ipsi, tum veri iis, qui ex praesidio Ungariae se ad me venturos operasque suas egregie navaturos fore, siquidem de stipendio certam infallibilemque rationem inirem, policiti fuerant, decerni cuperem. Ad quas meas propositiones cum responsum certum expecto, ecce exoptanti mihi litterae Vestrae illustrissimae Dominationis exoptatissimae redduntur plenae humanitatis, plenae benevolentiae quoque, quae non modo currentem (quod aiunt) me incitarunt, verum etiam omnes, quam de certitudine stipendii non tam mei, quam militum meorum conceperam, haesitacionem ademerunt, maxime quod et magnifico domino Vesselinio plenam mecum transigendi facultatem datam esse intelligerem, quo jam mecum plane quoque omnibus de rebus transegit transactionisque conditiones ad Vestram illustrissimam Dominationem transmisit. Quarum etiam litterarum lectione erectus atque animatus plane jam confido nihil minus evenire posse, quam me militesque meos, qui patriam certaque et honorifica stipendia inserviendi Vestrae illustrissimae Dominationi gratia dare: licturi sunt, debitis suis stipendiis defraudatum iri. Quamobrem jam me sodalitati magnifici domini Groncisci Vessilinii addixit: ejus dicto audiens sub imperio Vestrae illustrissimae Dominationis. Utinam vero tantum mihi beneficii Deus optimus maximus attribuat, ut tamquam honorificam Vestrae illustrissimae Dominationis invitacionem, vel sangvine profundendo promereri, possum, nec gratius, nec charius profecto quidquam mihi contingere posset, quam comprobare haud immerito me a Vestra illustrissima Dominatione tam amanter esse ad hoc bellum accium. Deus conservet Vestram illustrissimam Dominationem florentem atque felicissimam etc.

Datum Demb(i)cae die 9 Maji anno domini 1590. Eiusdem Vestrae illustrissimae Dominationis servus perpetuus Valentinus Balassa de Gyarmath m. p.“.

W tytule napisał Franciszek Bethlen: „Walentin Balassa pisał Jan[owi] Zamoyskiemu wielkiemu kanclerzowi Polski.“

miast Tata lub Palota — to byłoby coś dla niego, ale ponieważ tego nie ma, a ożenić się także nie może, to woli tutaj z „panami i książętami spędzać wesoło czas", aniżeli smucić się w domu.

Ale wesołe zabawy oraz zajmowanie się handlem nie trwało długo. Niespokojny duch Balassy, a może sumienie, może wielki proces o 1400 forint (złotych), pożyczonych od p. Anny Losonczy, skierowały go z powrotem do ojczyzny. Jako wędrowny skrzypek tuła się po kraju. Zależnie od potrzeby pisze na zamówienie wiersze miłosne, to znów jak „cygan wędrowny" zarabia muzyką i sam mówi o sobie, że „musi być ślimakiem". W roku 1592 jest nareszcie na Węgrzech.

Przez te dwa lata spędzone w Polsce podejmowano go gościnnie po różnych miastach i dworach szlacheckich. W tym okresie czasu dochodzi do Gdańska nad „oceanum" i pisze poemat, który zaczyna się od słów: „Miłościwy Boże" (Kegyelmes Isten). W tymże roku udaje mu się namówić na przyjazd do Polski Zygmunta Kürtössyego. To już chyba wszystko, co wiadomo o Balassie z tego okresu.

W roku 1593 wnosi podanie do królewskiej komory (izby) o pozwolenie na wywiezienie do Krakowa bez cła 24 beczek wina.

A w rok później już jako żołnierz walczy pod Esztergom, dopóki kula armatnia nie oberwie mu obu nóg. W przedśmiertnej chorobie tłumaczy jeszcze LI [2] psalm, a kiedy chirurg operuje go, Balassa przypomina sobie Wergilego i deklamuje: Nunc animis est, Aenea! Nunc pectore firmo! — Eneaszu, teraz jest potrzebne męstwo i mocna pierś!

Operacja oczywiście nie udała się, bo jakiż może być zabieg chirurgiczny w XVI wieku na polu bitwy? Toteż Balassa umiera. Jego ostatnie słowa zostały zanotowane: „Chrystus umarł za mnie, więc jakżeż ja mogę wątpić? Twoim żołnierzem byłem, Panie, i w Twoim szeregu chodziłem..."

Tak zakończył życie „orzeł pomiędzy ptakami", wielki poeta węgierski, Walenty Balassa, który do ostatniej chwili swego życia potrafił pozostać poetą i żołnierzem i który zapoczątkował nową epokę w literaturze węgierskiej. Jego utwory są bodaj pierwszymi zakrojonymi na miarę europejską.

II.

Poza tym wszystkim interesuje nas bardzo, ile Balassa zaczerpnął z literatury polskiej XVI wieku. Toteż bardzo ważnym problemem jest znalezienie jakiejś drogi do źródeł, z których Balassa mógł czerpać wówczas. Lata 1575—1577 są okresem, kiedy po raz pierwszy poeta-żołnierz węgierski bawił w Polsce. A 1589—1592 — to drugi okres czasu. Jego żywe

---

[2] LI jest zamiast 51, czyżby nr psałterza?

interesowanie się literaturą, jego dobre stosunki ze szlachtą polską, z dworem królewskim — pozwalają przypuszczać, że znał on wszystkie ówczesne pierwsze i najlepsze źródła. Może znał je z rękopisów, może ze słyszenia, a bardzo możliwe, że przez osobiste kontakty. Jan Kochanowski? — na pewno. Mikołaj Rej? — prawdopodobnie, przecież obaj poeci byli mu pokrewni duchem! Adam Czahrowski? — niektóre poematy Balassy brzmią zupełnie, jak gdyby Czahrowski je pisał, lub na odwrót. Treść kancjonałów? — przecież w religijnych poematach Balassy jest nawet zaznaczone, według której np. „polsko-polskiej“ (!) piosenki były pisane i tłumaczone z „czasownika na czasownik“ (!). Zresztą jakżeżby ich nie znał wędrując po kraju?

Węgierski prof. Aleksander Eckhardt zbadał elementy obcej literatury w utworach Balassy. Po wykazaniu wpływów niemieckich, łacińskich, bułgarskich itp. pisze co następuje: „...do wyczerpującego zbadania przeszkodziła mi nieznajomość słowiańskich języków...“

A w polskiej poezji zbadał tylko to, co odpowiada ówczesnej liryce miłosnej ogólnoświatowej. Między innymi wspomina, że elegię Propertiusa, którą włoski Fulgoso cytuje, a z której Balassa czerpie, — Jan Kochanowski, „głowa polskiego renesansu“, dosłownie tłumaczy i umieszcza między swoimi epigramami.

Wielokrotnie bawił na dworze króla Batorego — pisze Eckhardt — gdzie z pewnością poznał p. Annę Budonskionka, kurtyzanę, do której pisze żartobliwy poemat.

A rzućmy teraz okiem na te utwory, które wykazują pewną zależność od literatury polskiej. *Alldj meg minket Uristen!* jego początkowy wiersz jest wyraźnie, jak zaznacza sam autor, na nutę *Blahosz Launasz* etc. z „czasownika na czasownik“ (dosłownie). Może to jakaś pieśń w rodzaju: Błogosław nas...? *Halám egy ifjunak minap éneklését* jest na wzór polskiej piosenki *Bisztj Vegjala* (Żebyś ty wiedziała), *Ad apes* etc. — Inny wiersz: *Ime az pellikán az ö fiáért...* jest również wedle tego samego wzoru. Dalej znów: *Az Zsuzsanna egy német leány* — jak sam zaznacza — jest na nutę *Doklei sem szedivich öm bila* (Dopóki żem dziewczyną była...), albo — mówi dalej — na tę „polsko-polską“ nutę: *Apodlieszem* (A pod lasem...).

Między innymi opisuje wziętą z życia postać Polki, która grała na cytrze. Jest to najlepszy z jego poematów opiewających przeżycia w Polsce. Pisze również wiersze o morzu, a w Gdańsku stwarza poemat religijny.

Prof. Eckhardt zwrócił się w związku z swoją pracą do prof. Brücknera prosząc go o pomoc w wynalezieniu tych polskich piosenek, o których wspomina Balassa. Niestety Brückner nie pomógł mu w tej sprawie, jedynie udzielił mu kilku wska-

zówek. Nie potrafił natomiast wskazać mu tych pieśni, które by pomogły do wyjaśnienia zagadki.

Nietylko prof. Brückner, ale nawet literatury polskie bardzo mało piszą o Walentym Balassie, a szkoda, gdyż bliższe oświetlenie tej kwestii mogłoby stanowić ważny punkt w literackich stosunkach polsko-węgierskich XVI wieku.

Kilka znalezionych szczegółów dołączam obecnie.

Ciekawym dokumentem, chociaż wcale nie rozwiązującym zagadnienia twórczości Balassy, jest artykuł Włocha, Luigi Salviniego, w czasopiśmie *Lud* (1933 r. Seria II. Tom XII) pod tytułem *Polska w ludowych pieśniach madziarskich.*

Wielka Literatura Powszechna (Tom III. — Nakładem Trzaski, Ewerta i Michalskiego, 1932 r.) w dziale o literaturze węgierskiej zamieszcza następujące słowa o Balassie, wypowiedziane przez wielkiego historyka literatury węgierskiej, Jenö Pintéra:

W. Balassa był pierwszym wybitnym poetą węgierskim. Liryk epoki reformacji, napisał wiele wartościowych pieśni religijnych, rycerskich i miłosnych. Gdy inni wierszopisarze współcześni dość sucho wypowiadali w wierszach swe uczucia i myśli, jego pieśni były pięknie ukształtowane, bogate w obrazy i kunsztowne zwroty".

A. Brückner w *Kulturze Staropolskiej* (Polska Akademia Umiejętności, Kraków 1932) pisze:

„...nowi poeci węgierscy znali literaturę polską. Przynajmniej dzielny żołnierz i pierwszy „wiekiem" poeta węgierski Walentyn Balassi (1551—1594), którego Zamoyski r. 1592 listownie wzywał, aby hufy węgierskie przeciw Turkom sporządzał, powoływał w swoich lirykach węgierskich polskie; wiersz *Do pszczół* (erotyk: kochanek przestrzega pszczoły, by na wargi ukochanej nie spadały, bo zginą), napisany na melodię polską *Żebyś ty wiedziała*; na tę samą melodię śpiewał inny erotyk (kochanek posyła jej sygnet z pelikanem, i on by za nią krew wylał); inny erotyk (awantura miłosna) na melodię polską *A pod lasem*, na koniec pieśń religijną przełożył dosłownie z polskiej *Błogosław nas* etc. Autor węgierski, który mi tych faktów udzielił (bliższe szczegóły opuszczam), prosił o odszukanie tych wierszów polskich, w czym mu niestety posłużyć nie mogłem. Odwrotnie Adam Czahrowski, co służył przeciw Zamoyskiemu, do łaski Zamoyskiego pukał, zakończył swoje treny oryginalnym dwuwierszem węgierskim".

Jasne, że tym „autorem węgierskim" był prof. Eckhardt. Również należy wspomnieć, że Brückner w *Dziejach kultury polskiej* (tom II, Kraków 1930) drukuje poemat *Błogosław nas, Boże*, który co do joty zgadza się z węgierskim *Alldj meg minket Uristen* i brzmi: „Błogosław nas, Boże, z Twojej dobroci, oświeć nas z Twego miłosierdzia światłem Twego oblicza, darem Twego ducha, byśmy w życiu po prawdzie kroczyli".

Niestety dalszego ciągu nie podaje, brakuje jeszcze trzech czterowierszy, napisanych przez Balassę.

Jeszcze jeden szczegół. Drohojewski pisze do Zamoyskiego 19 XI 1587 r. z Carogrodu: „...aniżeli wziął listy de Wladucio Balassio...“ Nie ulega wątpliwości, że chodziło mu o Walentego Balassę, który także sam pisze często swoje nazwisko Balassi albo Balassy, albo też Balassa.

Na razie to jest wszystko, co dało się znaleźć na terenie polskim o Balassie. Może kiedyś — przypadkowo — uda się uzupełnić te skąpe wiadomości, na które literatura węgierska czeka z upragnieniem już od dawna. W tym celu przytoczyłem tych kilka faktów[1], które odnoszą się prawie wyłącznie do lat, jakie poeta spędził w Polsce. Dlatego też starałem się wymieniać nazwiska, miasta, słowa polskie, ażeby historycy literatury mogli łatwiej się zorientować co do kierunku, w którym należy — chcąc zdobyć coś konkretnego — szukać wyjaśnień i szczegółów dotyczących tych prawie że pięciu lat, które w XVI wieku były ważnym okresem w stosunkach obu narodów, rozwijających się po dwu stronach Karpat, narodów, które czują się zawsze, a wówczas jeszcze silniej, pokrewne i braterskie.

Warszawa *Tibor Csorba*

---

[1] Tegoż autora felieton, *Węgierski Trubadur: W. Balassa*, w Gazecie Polskiej (5 II 1938), oraz artykuł prof. Juliana Krzyżanowskiego (Gazeta Polska, 9 XI 1938) *Polsko-węgierska zagadka literacka*. Pieśń W. Balassy *In laudem confiniorum* przetłumaczył na język polski A. Lange pt. *Pieśń żołnierska na chwałę rycerzy Kresowych* (A. Lange i A. Toma: *Panteon literatury wszechświatowej. Węgry*. Warszawa 1924).

DWA NIEZNANE KALENDARZE SOWIZDRZALSKIE

W Bibliotece Kórnickiej, zasobnej w „białe kruki“ w zakresie dawnych druków polskich, natknąłem się na klocek zawierający dwa *kalendarze frantowskie*, bez kart tytułowych. nieznane bibliografom. Zapewne nie zasługiwałyby one na obszerniejszą wzmiankę, gdyby to były tylko zwyczajne kalendarze z XVII w., tak licznie i dobrze zachowane; lecz wspomniane kalendarze należą do grupy rzadkich druków — i ze względu na swego autora, i jako rodzaj „literacki“. Musimy je bowiem zaliczyć do utworów autorów sowizdrzalskich pochodzących przeważnie ze stanu mieszczańskiego, czyli do literatury nazywanej dziś „mieszczańską“. Zabytków zaś z tej epoki mamy niewiele, zwłaszcza w rodzaju *Minucji dworskich* albo *nowych sowizrzałowych*. Podaje ich K. Badecki[1] zaledwie kilka. Nic to dziwnego, gdyż los ich był przeważnie z góry przesądzony: cenzura biskupia niszczyła je prawie doszczętnie; zaczytanie, aczkolwiek mniej groźne, przecież również czyniło szczerby w ilości egzemplarzy, które miały przetrwać do naszych czasów.

Bibliografia literatury o kalendarzach jest nader szczupła; gdzieniegdzie spotyka się parę dorywczych o nich uwag. Bardzo często ograniczają się one do ogólników i encyklopedycznych wyliczeń, a niewiele lepiej przedstawia się sprawa opracowań minucyj.

Jednak owe stare kalendarze są ze wszech miar ciekawe, przede wszystkim z powodu ich polskiego języka. Dla słownictwa stanowią one kopalnię języka polskiego w różnych dziedzinach. Lecz obok języka i treść może zainteresować badacza, gdyż były to niejako encyklopedie mądrości szlacheckiej i nieraz jedyne książki w domowej bibliotece szlachcica. Z nich to bodaj pochodzi bogaty materiał do paremiografii polskiej[2] (np. z kalendarzy Duńczewskiego, Niesieckiego, Jerzego Kozłowskiego ii.). Słusznie też Bandtkie[3], w pierwszych latach XIX w., zachęcał do zbierania i opracowywania starych kalendarzy przypisując im „niemałą rolę w procesie krzewienia oświaty wśród

[1] Karol Badecki: *Literatura mieszczańska w Polsce XVII w.*, Lwów 1925 — nr 74, 75, 76.

[2] Jan St. Bystroń: *Przysłowia polskie*, Kraków 1933.

[3] Jan S. Bandtkie: *Historia drukarń krakowskich*, Kraków 1815.

mas". Dodajmy jeszcze, że kalendarze stanowiły często jedyną księgę zapisków szlachcica o bieżących wydarzeniach.[1]

Do innego typu kalendarzy zaliczamy minucje, chociaż i one zawierają prognostyki; wiele z nich ukazało się w czasie walki o stary kalendarz, prowadzonej przez Latosa[2]. Charakter tych minucji był poważny, naukowy, z astrologicznymi obliczeniami. Dopiero w okresie literatury mieszczańskiej (a nawet jeszcze wcześniej) kalendarze te, układane na wzór wiecznych, stały się raczej satyrycznymi utworami i jakby humorystycznymi almanachami. Literatura zna tylko minucje sowizdrzalskie w formacie 4^{ki}. Odznaczają się bogactwem treści i zwiększoną ilością rozdziałów. Początkowo nie były one tak obszerne. Za najwcześniejsze wydanie uznaje K. Badecki[3] egzemplarz kórnicki[4]. Lecz wspomniany wyżej defektowny klocek kórnicki, obecnie odnaleziony, jest może wcześniejszym wydaniem. Na podstawie charakteru druku tych egzemplarzy wnioskujemy, że pochodzą one z początku XVII w., albo raczej z końca XVI w. Sobieszczański[5] miał w ręku kalendarzyki z r. 1589 w 12^{ce}, które zawierały rozdziały: „o walkach, pożogach, poselstwach i drogach, stanie ludzi trojakiej wiary, tj. o chrześcijanach, mahometanach i żydach, o szczęściu, powodzeniu niektórych królestw, państw i miast".

Otóż wiele z tych rozdziałów powtarza się jako tytuły i w późniejszych minucjach. Lecz późniejsze wydania kalendarzy to już szablonowe wzory: kalendarz właściwy, prognostyk i rady gospodarskie, lekarskie itp. Ta stała forma utrzymywała się aż po schyłek XVIII w., kiedy zaczęto zwiększać treść kalendarzy wprowadzając np. fantastyczne opowiadania itp. Mieszczański, ludowy kalendarz przedrukowywano, jedynie małe wprowadzając zmiany. Również późniejsze nawet wydanie kalendarza wiecznego[6] — jakże różniło się od kalendarza wiecznego[7] z ostatnich lat XVI w. albo pierwszych lat XVII w.

---

[1] Rkps Biblioteki Kórnickiej nr 1138: *Kalendarz na rok 1702* przez St. Słowakowicza, Kraków (Adnotacje rękopiśmienne z czasów wojny szwedzkiej).

[2] Marcin Łaszcz: *Próba minucyj Latosowych z obroną kalendarza poprawionego* przez Szczęsnego Żebrowskiego (pseud.), Kraków 1598. Bibl. Kórn. Cim. Qu. 2346.

[3] *Op. cit.*, s. 200. K. Badecki oznacza prawdopodobną datę tego egzemplarza kórnickiego na rok 1650.

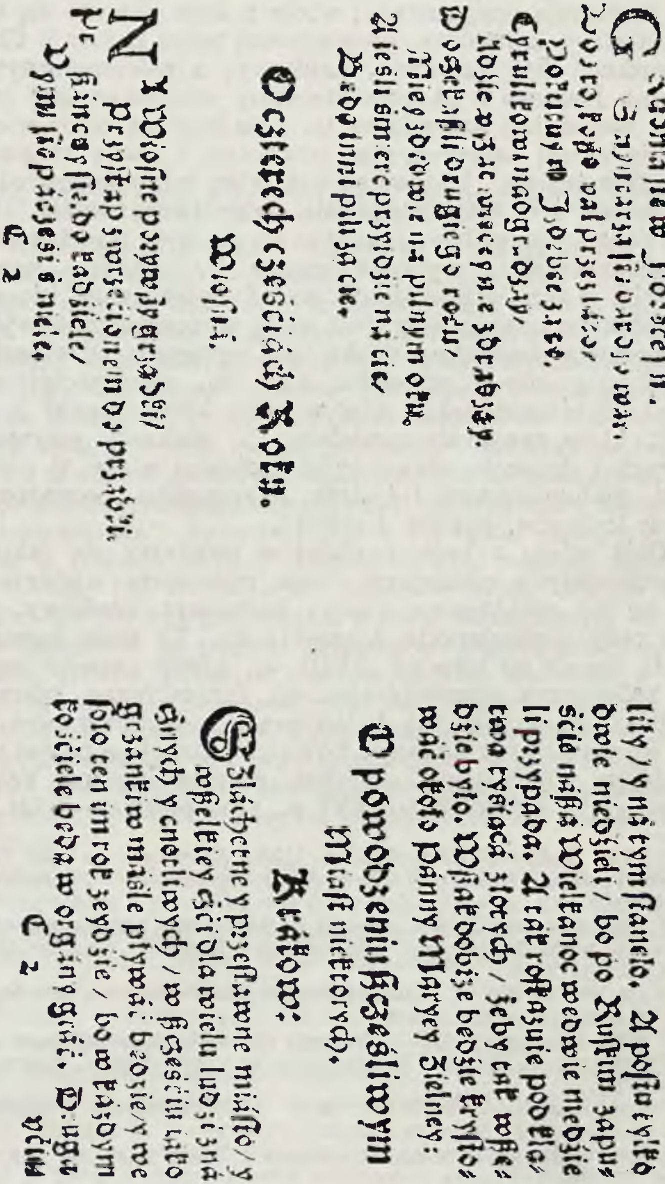
[4] Bibl. Kórn. sygn. 13317: *Minucye dworskie, minucye nowe sowizrzałowe*, Przez Authora Starego Maurycyusza Trzyprztyckiego... Egzemplarz ten oznaczam K_3.

[5] *Encyklopedia Powszechna,* wyd. S. Orgelbranda, Warszawa 1863, t. XIII.

[6] *Kalendarz uniwersalny na wszystkie lata służący* od pewnego biegłego w matematyce opata pracowicie wyrachowany, a przez L. Krzysztofa Helwinga... wypróbowany, od niegóż w r. 1702 do druku podany, Sandomierz 1745. Bibl. Kórn.

[7] *Kalendarz wieczny,* wydał J. Łoś. Bibl. pisarzów polskich nr 62. Kraków 1911.

Minucje były w pewnym stopniu takim kalendarzem wiecznym. Na podstawie naszych dwóch egzemplarzy, obecnie odna-


GRudnia się w [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] drugiego roku,
[illegible] ná pilnym oku.
A iesli śmierć przyidźie ná cię,
Będą inni pili zá cię.

O czterech częściách Roku.

Wiośnie.

NA Wiośnie [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible]

C 2

łity / y ná tym stánęło. A pośćiu tylko
dwie niedźieli / bo po Ruskim zapu-
śćiu násza Wielkanoc wedwie niedźie-
li przypada. A ták roskázuie pod klą-
twą tyśiącá złotych / żeby ták wsze-
dźie było. Wszák dobrże bedźie krysto-
wáć około Pánny Máryey Zielney:

O powodzeniu szczęśliwym
Miast niektorych.

Kráków:

SZláchetne y przesławne miásto / y
wszelkiey części dla wielu ludźi zná-
cznych y cnotliwych / w szczęściu táko
grzanki w máśle pływáć bedźie / y we
społo ten im rok zeydźie / bo w káżdym
kośćiele bedą w orgány gráć. Druga
C 2 vcim

Podobizny dwu stronic (C_2) nowoodkrytych kalendarzyków sowizdrzalskich w zbiorach Biblioteki Kórnickiej.

lezionych, wysuwamy hipotezę, że minucje dworskie i sowizrzałowe powstały z dwóch odrębnych typów kalendarzowych, co potwierdza w późniejszych wydaniach podwójny tytuł. Z cza-

sem, po rozszerzeniu obu rodzajów i zlaniu w jeden, powstał nowy tytuł: *Minucye dworskie, minucye nowe sowizrzałowe przez authora starego Maurycyusza Trzyprztyckiego, na każdy rok służące. 1 000 000 000 000.*

I

Po tych niezbędnych uwagach zajmijmy się bliżej samymi drukami. Pierwszy [1] z nich z klocka kórnickiego należy do najwcześniejszych wydań minucji sowizdrzalskich. Jest to małego formatu książeczka (8×9,4 cm) o 7 kartach, z których dwie początkowe sygnowane C_1, C_2, dwie dalsze bez sygnatur, na piątej z kolei sygnatura C_5, wreszcie dwie ostatnie bez sygnatur. Sygnatury te przypadają: C — pod á, C_2 — eś — ś, C_5 — szk — ol. Na odwrocie karty szóstej druk zajmuje tylko połowę stronicy i zamyka się tytułem „Dokończenie roku". Poniżej tych słów podłużny drzeworycik.

Tekst zaczyna się zwyczajnym opisaniem 12 miesięcy na ten nowy rok, lecz dopiero od Sierpnia. Następują rozdziały: Wrzesień, Październik, Listopad, Grudzień, O czterech częściach roku, Wiosna, Lato, Jesień, Zima, co wszystko kończą słowa — „Dokończenie Roku". Na karcie ostatniej „Nauka puszczania krwie".

Tłoczono tekst średnim gotykiem, nagłówki majuskułowym i minuskułowym. Jedynie początkową literę pierwszego wyrazu w pierwszym wierszu rozdziału wyciśnięto dużą antykwą. Egzemplarz oprawiono w stary pergamin z przylepioną wewnątrz kartą, na której narysowano trzy kolorowe koła geometryczne. Karty wystrzępione i ponaddzierane, druk u dołu gdzieniegdzie zatarty, np. na karcie C_3, C_5. Introligator obciął częściowo górny wiersz. Kielisiński notuje w kartkowym katalogu ten egzemplarz pod nr. 2185, jako „ułomek kalendarza bez tytułu i początku, 16°, wierszem, tylko 8 kart, sig. 8".

Porównawszy ten egzemplarz z minucjami Trzyprztyckiego [2] stwierdzamy obok podobieństw dosyć poważne różnice w ilości wierszy i w samym ujęciu tematu. Nasuwa się uzasadnione przypuszczenie, że Trzyprztycki opierał się na tym wydaniu i bardzo wiele zapożyczył z niego. Niektóre rozdziały powtarzają się dosłownie, np. Sierpień. Ale już Wrzesień wykazuje różnice:

K_1: Wrzesień.

Pamiętaj nie kupczyć z mnichem,
Do niewiast nie chodź z wytrychem,
Z żoną nie mieszkaj przy szkole,
Na trawę tej nie ślij w pole.
Baby nie miej nigdy w domu,
W nocy nie wychodź dla gromu.

---

[1] Druk ten oznaczam K_1.
[2] K_3, zob. odsył. [4] na s. 147.

K_3 (4^0): Wrzesień.

Każ żyto młocić w stodole,
A sam jedź z ptakiem w pole.
Pani niechaj doi owce,
A zaś do krów rozkaż Zowce.
Nie radzęć też kupczyć z Mnichem
Ni do niewiast iść z wytrychem.

K_1: Październik.

W tym miesiącu chroń się wody,
W domu sobie nie czyń szkody.
Jeśli masz co, nie utracaj,
Od kija się nie wywracaj.
Botow opak nie obuwaj,
A kiedy przegrasz, nie spluwaj.

K_3 (4^0): Październik.

Nie raj tu nikomu żony,
Bo to towar uprzykrzony,
Ani z nią mieszkaj przy szkole,
Lada ktoć się jej nakole.
Jeśli młoda, nie jedź z domu,
By się zwieść nie dała komu.

Z powyższych przykładów wynika, że Trzyprztycki wiele szczegółów przytacza w późniejszych miesiącach, w przeciwieństwie do anonimowego autora. Listopady są też zupełnie odmienne. Grudzień zaczyna już różnica w objętości wierszy, np. 10 : 6.

K_1: Grudzień.

Grudnia się w izdebce smaruj,
Smyntarza się bardzo waruj,
Boś roskoszował przez lato,
Pokutuj w izdebce za to.
Cyrulikowi nadgradzaj,
A dziewcząt więcej nie zdradzaj.
Doczekaszli drugiego roku,
Miej zdrowie na pilnym oku.
A jeśli śmierć przyjdzie na cię,
Będą inni pili za cię.

K_3 (4^0): Grudzień.

Siedź tu przy ciepłym kominie,
Aż mroźna chwila ominie;
Już tu nie ukąsi mucha
I węże u złego ducha.
Otóż ci się przez rok cały
Te miesiące opisały.

W następnym rozdziale zatytułowanym „Cztery części roku“ wiosna liczy w K_1 wierszy 24, w K_3 (4^0) — 18; lato 26 (K_1) : 24 (K_3), poza tym występują tu jeszcze inne różnice, a mianowicie w wysławianiu się; bo K_1 jest bardziej delikatny, powściągliwy w doborze słów nieprzystojnych, gdy natomiast K_3 (4^0) nie grzeszy skromnością, np.:

W lecie będą wielkie znoje,
Kiedy się ich złączy dwoje.
A na deszcz się też zaniesie,
Ktora podołka podniesie.

Jesień ma różnice w treści i w ilości wierszy 28 : 24, zima 70 : 50. Są tu już liczne wiersze powtarzające się, a nawet widoczne przeróbki. Rozdział „O puszczaniu krwie“ jest prawie powtórzony, tylko w K_1 kończy się na wierszu:

A zaś białymgłowom chorym
Radbym sam został doktorem,

natomiast w K_3 (4°) zawiera dalej 14 wierszy. Ponadto są także różnice w rymowaniu na niekorzyść Trzyprztyckiego.

Na tym rozdziale kończy się nasz druk. Może były jeszcze jakie karty, zawierające rady w różnych trudnych okolicznościach życiowych, ale brak kustosza u dołu ostatniej strony pozwala nam przypuszczać, że jest to ostatnia stronica i zarazem koniec kalendarza.

II

Drugi z omawianych druków[1], w katalogu Kielisińskiego zapisany jako „drugi ułomek, prognostyk na rok cały, gdzie o powodzeniu szczęśliwym miast niektórych (polskich)“, liczy 24 karty o wymiarze 7,7×9,4 cm, sygnowane A_2, A_3, A_4, B, B_2, B_3, B_4, B_5 ... C_2, C_3... Karty tytułowej brak. Na karcie A_2 znajduje się „Przemowa do czytelnika“ (tytuł tłoczony antykwą), która zawiera niejako wyznanie wiary autora, bardzo charakterystyczne dla literatury mieszczańskiej. Podajemy ją w całości:

„Mój namilszy gładki kwiczelniku, radbym cię ucieszył czym śmiesznym na ten rok, ale się boję, byś się nie rozpukł od śmiechu. A też niektórzy ludzie nabożni łają mi oto, mniemają podobno, żebym się ja tak dobrze miał bez tego jako oni i przyczytają mi coś niechrześciańskiego, iż ja to żartem grzeszę, a oni bez żartu. Wiedzą ludzie dobrzy, żem ja zawsze drogami prostemi chodził, jako prawdziwy chrześcianin. Ale je Pan teraz pozagradzał i pozasiewał, i ścieżki cierniem pozaplatał. A tak muszę obchodzić: bo gdybym przykazanie pańskie przestąpił, tedybym sobie od niego kijem wziął, stanełoby mi za mandat. A tak stare drogi, ktoremi ojcowie naszy chodzili, zdaleka omijać muszę. Wszakże według kościoła ś. katolickiego chodzę, ale i tamech się raz w goleń zabił na pniaku, co mieli dzwonicę podważać, ażem ze dwie godzinie niestetał na smentarzu siedząc. A tak moi mili chrześciani nie dziwujcie mi, że sobie drogi obieram, a idę ktorędy mogę prześć. Jeśliby też kto upatrował, że nie z chrześciany przestaję a zwłaszcza w niedzielę, wszakże ja i we czwartek z kantorem i z wytry-

[1] Druk ten oznaczam K_2.

kusami kościelnemi rad się napijam, bo wiem, że to ludzie dobrego sumienia, a czasem będzie i pan wójt, który też jest dobry katolik, bo kiedy raz kopę przepił, tedy serdecznie tego uczynku nazajutrz płakał. Jeśli idzie o wyznanie wiary, tedy tak wierzę, że nie będę na świecie tak długo, jakom był. Wierzę i to, że się do śmierci nie będę dobrze miał. A dlategom stracił nadzieję, że nie orzę ani sieję. Kto by chciał tej nędze ujść, miej to ode mie, kup sobie 4 w rynku krakowskim kamienice, a do niej folwark abo 6, tedy możesz miedzy pany sieść. Ja wierzę i wyznawam, żeby tak nieźle.

Jeszcze i to wierzę i tak o tym trzymam, że kiedy idę kędy przez miasto, tedy co żywo ze mnie szydzi, palcem mnie ukazując, a to dla tego, że piechotą idę i pachołkow nie mam: wierzę i to, że przy skonaniu moim będzie płaczu dosyć, a mianowicie kiedy zajrzą do skrzynki, a w niej niemasz nic. Wierzę, że i Psalterza darmo śpiewać nie będą. Z tą wiarą miły kwiczelniku umieram. Czegoż po mnie więcej chcesz".

Nie będą to, jakby wnioskować można, minucje Latosa z 1598 r., gdyż te ostatnie mają zupełnie inny charakter: więcej moralizują i udowadniają swe tezy broniąc starego kalendarza, gdy tu o nim nie ma wzmianki. Bezimienny autor-sowizdrzał tego kalendarzyka w nie bardzo dobrych stosunkach pozostawał z władzą duchowną, o czym świadczą jego żale i nastawienie religijne. Zapewne był też autorem wielu innych utworów, jeżeli skarży się, że „kwiczelnik" doczytuje się w jego pismach rzeczy niechrześcijańskich.

Pochodził zaś z mieszczan, ale z tych ubogich, pisze bowiem: „...mieszczaninem będąc, gdy mi kazano na szarwark pod miasto kłaść gaci, jażem nie miał gaci, tylko w jedny, com w nich chodził..." Zaliczał się do grupy pisarzy, których już wtedy nazywano błaznami (pisze bowiem w jednym z ustępów: „...nie tym błazeńskim piórem swoim wysławiaćby to w cnoty bogate... miasto...").

Autor ukrył swe nazwisko i zapewne nie wymienił go na karcie tytułowej, a w każdym razie nie w prawdziwym brzmieniu. Treść jednak pozwala przynajmniej na ustalenie regionu pochodzenia. W rozdziale „O powodzeniu szczęśliwym miast niektorych" wymienia miasta Kraków, Lwów, Przemyśl, Sędziszów, Dębicę, Pilzno i Biecz. Znał Kraków z najbliższą okolicą, bo uczęszczał na pewno do szkół krakowskich. Miejsce jego pochodzenia można zamknąć w kole reszty miast. Mniemamy, że tym miastem było Pilzno lub jego najbliższa okolica. Zajmuje się nim bowiem szczerze, obszernie i nawet z wyraźnym sentymentem, natomiast o innych pisze ogólnikowo:

Moje to oko widziało,
Choć też trochę zełgało.
Nie dziw, choć się pióro myli,
Sami mię o to prosili.

Obrazek Pilzna jest najlepszy, jaki nam nakreślił autor w swym kalendarzyku, i to wierszem. Rymem opiewał jeszcze tylko Dębicę, inne zaś miejscowości opisał prozą.

Nie znamy daty wyjścia tego kalendarzyka. Z samego zaś tekstu nie podobna stanowczo pewnej daty określić. Autor wylicza wprawdzie wszystkie święta, które wówczas obchodzono, lecz każde z nich wypada w terminie zgodnym z dzisiejszym kalendarzem. Wykręcił się autor rzeczywiście po sowizdrzalsku. Na podstawie świąt wyliczonych w *Kalendarzu nowym dla prostaków* możemy ustalić wyłącznie pewne granice lat, w których ukazał się nasz druk. Żywimy podejrzenie, że autor-anonim podaje święta, których należy przestrzegać w celu uchronienia czytelników od kar. Wiemy bowiem, że w r. 1612 biskup Rudnicki wydał dekret[1], mocą którego karano każdego, kto nie uczęszczał w te dnie do kościoła na nabożeństwo. Wymienione w kalendarzu dni świąteczne dopuszczają określenie czasu ukazania się druku na okres około r. 1607, szczegóły o Pilźnie wskazują w przybliżeniu na lata 1594—1605, kiedy to odbudowano tam kościół po pożarze i starano się o podniesienie parafii do prepozytury. Odbudował świątynię i o prepozyturę zabiegał proboszcz ks. Wawrzyniec Gruczka (Grucius), sprawujący swój urząd w Pilźnie w latach 1594—1622[2].

Godzi się również zaznaczyć, że w utworze roi się od szczegółów z życia ludu, mieszczan, kantorów i rybałtów; dwukrotnie też autor wspomina o Marchołcie. W rozdziale o wojnach humorystycznie przedstawia przyczyny i źródło wojen: pierwsza wojna w szpitalu „babskim", druga w karczmie, a najgorsza w zapusty, bo „kowal też z młotem przypadnie, potym klecha z szablicą, kantor z ruśnicą, młynarz z bindasem, karczmarz z dziubasem, świec z prawidłem, sama z nosidłem, i tak będzie tribulati magna, zkąd chorób rozmaitych się namnoży". Osoby występują tu albo ze współczesnego teatru, albo z jakiegoś widowiska.

Treść kalendarzyka mieści się w rozdziałach pod tytułami: „O postanowieniu roku, Pan doroczny, Drogi i poselstwa, Choroby, Urodzaj, Wojny, Ognie i pożogi, Odmiana powietrza, O postanowieniu księżyców, Nowe miesiące, Marzec, Kwiecień, Maj, Czerwiec, Lipiec, Sierpień, Wrzesień, Październik, Listopad, Grudzień, Dokończenie Roku, O powodzeniu szczęśliwym miast niektórych, Kraków, Lwów, Przemyśl, Sędziszów, Dębica, Pilzno, Biecz, Koniec roku ⟨z ostatkiem do Węgier przypasawszy szablicę do boku⟩, Kalendarz nowy dla Prostaków".

---

[1] *Encyklopedia kościelna...* Warszawa 1904.

[2] Karol Szczeklik: *Pilzno i Pilźnianie*, Kraków 1911, t. I. Wyd. Kółka Pracy Społ. w Dębicy.

W druku przeważa średni gotyk, antykwa tylko w tytule do Czytelnika — „O postanowieniu roku“ — i w kilku wyrazach (karta B_3) oraz wierszyku:

Vocativos oculos
Ablativos loculos
Dativus si fueris
Genetivus esse poteris
Si queris.

Jeżeli porównamy *Minucje dworskie* Trzyprztyckiego (K_3) z naszym kalendarzem, spostrzeżemy, że myśl główna zawarta w prozie egz. K_2 — dała podstawę i służyła za wzór wierszom, z różnymi jeszcze przekształceniami. Reszta ustępów jest nowa i nie pojawia się w późniejszych minucjach. Nie przeprowadzamy tu dokładnego porównania tekstów pozostawiając to przyszłemu wydawcy sowizdrzalskich kalendarzyków.

* * *

W inwentarzu książek pozostałych po introligatorze krakowskim Macieju Przywilckim [1], z r. 1587 (11 stycznia), spotykamy parokrotnie wymienione minucje. Czytamy tam wśród innych tytułów: „in 32° — 20 minucii nie oprawnych, sprzedawanych okrom bramki; in 16° w skórkach — 1 minutie trzech autorów po gr. 5, 1 Bernatowe minucie po gr. 2, 42 minucie proste po gr. 1, sprzedawane w bramce“.

Trudno dziś odszukać któreś z tych wydań, jeszcze trudniej zidentyfikować je z zachowanymi egzemplarzami, o ile oczywiście się zachowały. Bernatowe minucje może napisał Bernat (Bernard z Krakowa † 1613) [2], który w Bibliografii Estreichera posiada parę pozycyj kalendarzy. Również Jan Muscenius Kurzelowczyk (* 1532 † 21 lipca 1602) [3] wydał kilka kalendarzy, a nawet *Minuci a pranostika krakowska* mistra Jana Muscenia Kurolewskeho k'letu 1568, w 16°. W każdym razie możliwość dokładnego oznaczenia jest nikła.

Na pytanie, czy omówione wyżej wydania, a zwłaszcza ostatnie (K_2 z przedmową do czytelnika), nie wyszły spod pióra jednego z tych autorów, nie umiemy dać stanowczej odpowiedzi. A czy „kalendarz sowizdrzalski“, przez nas oznaczony K_2, mógł pochodzić z lat około r. 1587? — odpowiedź wypada twierdząco. Przypuszczenie to opieramy jeszcze na porównaniu wydania czeskiego *kalendarza frantowskiego*, ogłoszonego w 1909 r. [4], z naszym kalendarzem sowizdrzalskim. Druk czeski pochodzi sprzed 1586 r. Spotykamy go „z inventaře skladu a kramu po slavnem impressorovi knih Jeřikovi Melantrichovi

---

[1] A. Chmiel: *Inwentarz rzeczy introligatora krakowskiego Macieja Przywilckiego z r. 1587*, Silva rerum 1928, nr 10/12.

[2] K. Estreicher: *Bibliografia polska*, t. XII, Kraków 1897.

[3] K. Estreicher: *Bibliografia polska*, t. XXII, Kraków 1908.

[4] Čeněk Zíbrt: *Markolt a Nevim w literatuře staročeské.* V Praze 1909.

z Aventina v. 1586". Jakkolwiek przekład czeski jest zupełnie swobodny, dostosowany znajomością zwyczajów do okolic czeskich, posiada mimo to liczne zapożyczenia z polskiego wzoru naszych minucji. Uprawnia nas to do wniosku, że czeski autor znał polski frantowski kalendarz i na nim się wzorował. Pod względem objętości nasz kalendarz jest bogatszy. Autor czeski nie skorzystał ze wszystkich polskich rozdziałów, a może to, co ogłoszono, jest ułomkiem całości. Pisze bowiem Zírbt: „přihtublosti zbylo ještě došt", „zachovala nam asi zmírněný poněkud text". Przytoczymy kilka wyjątków na potwierdzenie zapożyczeń:

„Moj namilszy gładki kwiczelniku, radbym cię ucieszył czym śmiesznym na ten rok, ale się boję, byś nie rozpukł od śmiechu[2]..."

„Mnosi jsou tak trvdé mysli a zatrvdilého předsevzetí, domnívajíce se a pravíc, že člověk, kterýž by moudrý sloutí a bytí chtěl, nic lehkého a posměšného v sluch svůj a v ústa svá vzíti by neměl, příčinu tu kladouce, že by takové směšné řeči vtip lidský a myšleni vysoká kazily a na překážku byly..." — i w dalszym ciągu udowadnia, że swoje „książki wydaje ku zabawie i ku śmianiu się szerszym kręgom czeskiej społeczności..."

„Ale źle będzie tego miesiąca z wieże skakać..."

„Ale ten měsíc zle bude z vysokých věží na dlážděni dolů skakati..."

Obok tych zbieżności uderzyć musi charakterystyczne zaczęcie opisu każdego miesiąca: „Maj nowy nastanie na górze u Ś. Krzyża. Tam będzie dosyć wesela, bo w kościele będą grać, po lesie ptacy spiewać..."

„Maj nowy nastane v Prešpurku v Uhřích, v 4 hodin, 30 minut, od Tebenského luhu. Teho měsice ma se každý veseliti, slavika i žežhulky poslouchati..."

„Listopad nastanie w Krakowie..."

„Srpen nový nastane v Krakově..."

Tak więc chociaż treść kalendarzyków frantowskich Biblioteki Kórnickiej tu i ówdzie przemawia za datą ich powstania w granicach lat 1594—1605, silniejsze argumenty każą je przesunąć raczej na nieco wcześniejszy okres około 1584—1586 r.

Kórnik *Józef Antonów*

---

[1] Zob. wyżej z egz. kórn. oznaczonego K_1.

DWA NIEZNANE PIERWODRUKI LITERATURY MIESZCZAŃSKIEJ XVII W. W SUCHEJ

Zasłużony badacz na polu literatury mieszczańskiej w Polsce XVII wieku, Karol Badecki, przejrzał i zarejestrował egzemplarze tego ciekawego działu naszej literatury, zachowane nie tylko w naszych krajowych bibliotekach, ale nawet rozprószone daleko poza granicami Polski, jak to najlepiej stwierdza „Wykaz bibliotek publicznych i księgozbiorów prywatnych, w których odnaleziono pierwodruki dzieł literatury mieszczańskiej", załączony do dzieła: *Literatura mieszczańska w Polsce XVII wieku* (1925). Przedmiotowi temu poświęcił tenże autor jeszcze rozprawę: *Nieodszukane pierwodruki literatury mieszczańskiej w Polsce XVII w.* (Lwów 1926), którą pragnął „zwrócić na nie szczególniejszą uwagę, a tym samym skłonić zarządy bibliotek i właścicieli księgozbiorów prywatnych do podjęcia gruntownych za nimi poszukiwań"; zakończył bowiem życzeniem: „Oby przewodnik ten spowodował odkrycie niedostępnych oryginałów jeszcze przed uskutecznieniem postanowionego przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich pierwszego a krytycznego wydania tekstów wszystkich dzieł literatury mieszczańskiej". Wprawdzie takie wydania już się ukazały w opracowaniu tegoż autora pt. *Polska komedia rybałtowska* (Lwów 1931) oraz *Polska liryka mieszczańska — pieśni, tańce, padwany* (Lwów 1936) — jednakowoż nie od rzeczy będzie i nie bez pożytku dla nauki polskiej podanie wiadomości o dwu nieznanych pierwodrukach literatury mieszczańskiej, znajdujących się w Zbiorach biblioteczno-muzealnych hr. Tarnowskich (tj. w dawnej Bibliotece hr. Branickich) w Suchej. Biblioteka suska posiada dość pokaźną ilość okazów literatury mieszczańskiej, które dr Badecki uwzględnił w swoich pracach, z wyjątkiem tych, które weszły do biblioteki w ostatnich czasach; w szczególności są to: *Albertus z wojny* (z r. 1614) i *Zwrócenie Matiasza z Podola* (b. m. i r. dr.).

I.

Albertus z woyny. Teraz znowu wydrukowany. Roku Pańskiego 1614. — opisany przez Badeckiego w *Literaturze mieszczańskiej* i uwzględniony w krytycznym wydaniu *Polskiej komedii rybałtowskiej* — nie jest kompletny, gdyż naj-

pełniejszy egzemplarz w prywatnym księgozbiorze Jana Michalskiego w Warszawie liczy 12 kart, tj. arkusze A, B, C (sygn. A_2—C_3), a brak zupełnie arkusza D. Stąd odmiany tekstowe między wydaniami, podane w krytycznym wydaniu tekstów, doprowadzone są tylko do wiersza 672.

Obecnie odszukany egzemplarz suski również nie jest kompletny, ale w każdym razie pełniejszy od poprzedniego. Oprawa w półpłótno z XIX w., nieco za duże obcięcie, karty A_2 i A_3 nieco uszkodzone i podklejone czystym papierem, zakrywającym częściowo tekst; karta C zupełnie wydarta, pozostał jedynie ślad wydarcia. Są natomiast karty D, D_2 i D_3, a brak D_4; egzemplarz suski ma więc o 3 karty więcej tekstu od egzemplarza Michalskiego. Tekst doprowadzony jest do wiersza 843 włącznie, tj.:

„X. Czyń iak chcesz, wszakeś świadom lepiey niż ia dwora,
Mnie się zda, weź ty przecię z sobą Seniora...
(kustosz:) Od świe —"

Ponieważ na jednej stronie oryginału mieści się 28 wierszy tekstu, czyli na karcie 56 wierszy, a do końca całości utworu liczącego 889 wierszy brak jeszcze 46 wierszy, czyli niepełnej kartki, bez 10 wierszy — możemy przypuszczać, że na tej ostatniej karcie, dotąd nieznanej, znalazł się po zakończeniu tekstu jakiś skromny finalik, jak to było w zwyczaju. W każdym razie odnaleziony egzemplarz suski daje możność uzupełnienia odmian tekstowych trzeciego z kolei wydania *Albertusa* z r. 1614 ilością wierszy większą o 171 niż na podstawie egzemplarza Michalskiego. Tylko 46 wierszy końcowych *Albertusa z wojny* z r. 1614 zbadać będzie można pod względem wariantów tekstowych dopiero po odszukaniu takiego pierwodruku, w którym by zachowała się cała czwarta karta arkusza D.

Odmiany tekstowe wydania *Albertusa* z r. 1614 od wiersza 673 do 843 są następujące:

Wiersz 673 pieniądze; w. 676 rotach!; w. 677 się .... notach; w. 681 się zagrzewa; w. 683 się; w. 686 Polszcze; w. 687 powiadał, pomnię; w. 688 babom; w. 690 wiodł; w. 696 szczerości; w. 700 blisko; w. 701 nieprzyjacioł; w. 704 się; w. 705 Ktora .... ktora; w. 706 się Niemcom; w. 708 wszystko; w. 709 komedie prożne obrocono; w. 710 się; w. 711 tak jak ja, broń; w. 712 byli; w. 713 Choc ... żołd ... odnosili; w. 715 pojdą; w. 716 broniej; w. 717 galiatow kędyś odbiegali; w. 721 prożno; w. 724 Coż; w. 727 Turkow, bo się; w. 728 się wszczęło; w. 729 się; w. 730 wzgorę; w. 733 się; w. 734 nim; w. 736 się; w. 737 Swieckiemu; w. 739 mienia dobrego; w. 743 się ..... szczęśliwie; w. 744 jeszcze się; w. 745 piormi; w. 746 Z nieboszczyka kapłona; w. 749 gorę; w. 753 niewoli; w. 754 się; w. 755 żołnierzow piora kapłonie; w. 758 ujźrzemy; w. 759 się; w. 761 się; w. 763 się; w. 764 się; w. 765 nimi; w. 767 się;

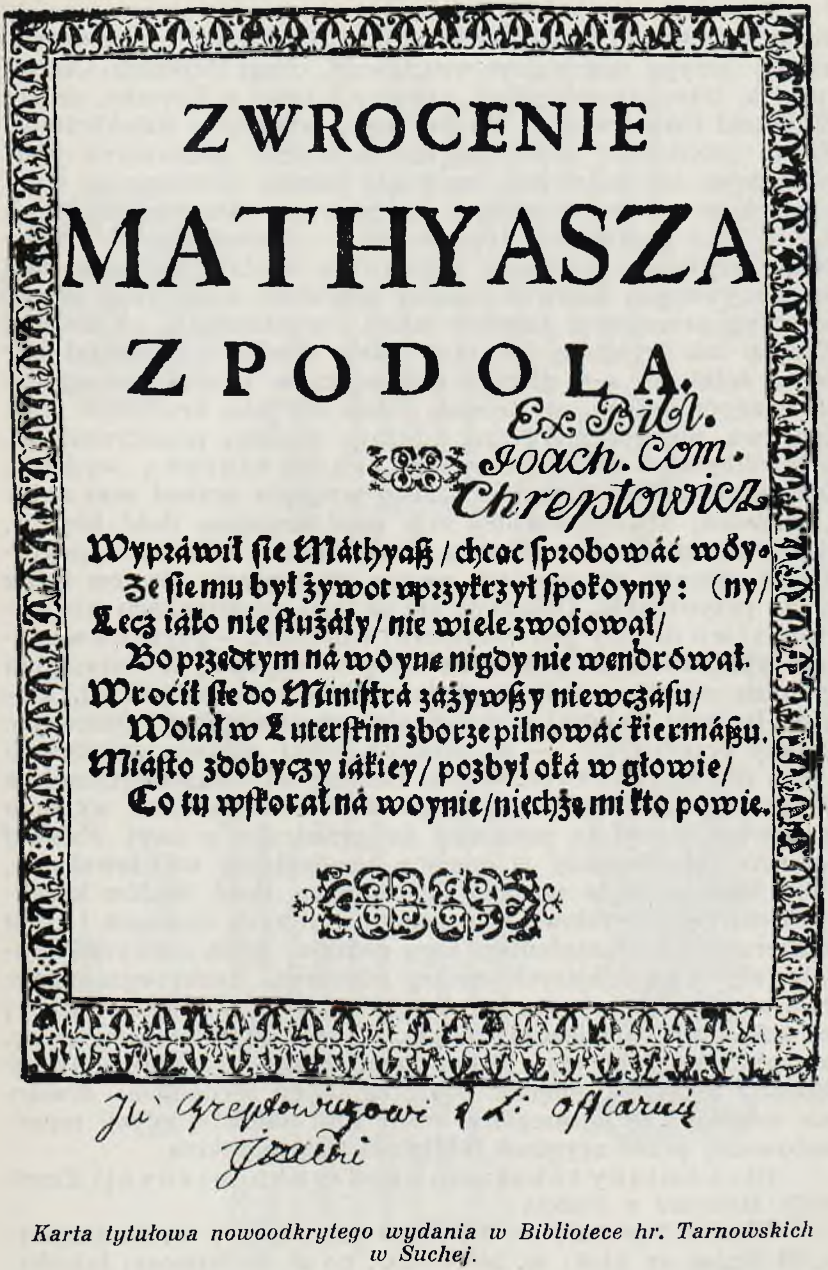
w. 772 się; w. 774 się; w. 775 Odmieni; w. 776 naśladuje; w. 782 Coż; w. 783 rzeczy.... awa; w. 785 skorze; w. 786 kompaturze; w. 789 zemna ...... ktorego; w. 790 jeślibyś; w. 797 prożno; w. 803 jużeś się; w. 804 wszystkiemu; w. 806 się; w. 808 się; w. 809 się; w. 812 się; w. 813 się; w. 815 się; w. 816 kusą; w. 824 się ..... pewnie: w. 825 się; w. 830 domowię się; w. 831 się; w. 832 się; w. 833 zejdzie się wszystko; w. 838 Jakożkolwiek, toli się; w. 843 się.

II.

Drugim nowoodkrytym pierwodrukiem literatury mieszczańskiej jest: *Zwrocenie Mathyasza z Podola* (bez wyrażenia miejsca, roku wydania i drukarza). Broszura w 4-ce, na bibulastym papierze, licząca 12 kart nlb., tj. karta tyt., tekst sygn. A_2—C_3, zaś ostatnia karta z zakończeniem — bez sygnatury. Egzemplarz oprawny w półpłótno z w. XIX, zupełnie dobrze zachowany; jedynie karta tytułowa nieznacznie uszkodzona i podklejona, na szczęście w miejscu bez tekstu i ozdób. Jak świadczy wyciśnięty w czerwonym kolorze ekslibris, egzemplarz ten należał do biblioteki Joachima hr. Chreptowicza, a pochodził z daru T. Czackiego. Karta tytułowa ujęta w ozdobne koronkowe ramki, u dołu zdwojone. Jako rozdzielników w tytule użyto dwóch ozdobnych koronkowych listewek; górna, oddzielająca tytuł od 8-wiersza — krótsza, a dolna, pod 8-wierszem — szersza i dłuższa. Krótsza ta listewka użyta jest jeszcze raz na końcu właściwego tekstu, a dłuższa pod wierszem pożegnalnym na przedostatniej stronie. Na odwrocie karty tytułowej, w górze nad wierszem *Do czytelnika*, znajduje się ozdobnik, wąska listewka, powtórzona na następnej stronie, w górze nad właściwym tekstem — oraz pod wierszem szersza i dłuższa listewka koronkowa. Na przedostatniej stronie nad wierszem pożegnalnym znajduje się dobrze odciśnięty maszkaron, jaki jest na karcie tytułowej *Komedii rybałtowskiej nowej* z r. 1615. Na ostatniej stronie nad wierszem *Author tych książek* znajduje się również ozdobnik, listwa krótka, ale szeroka, — a pod wierszem jako finalik użyta jest ozdobna winieta w formie misternej plecionki, podobna do winiety użytej w tytule *Albertusa z wojny*, wyd. z r. 1614, albo *Fraszek Sowirzała nowego*, wyd. III itd. Druk gotycki, wyraźny, jedynie znaki nad literami, jak kreski nad ś i ź, wypadły tu i ówdzie bardzo słabo.

Badecki ogłaszając swą *Literaturę mieszczańską* miał w ręku 4 nie datowane pierwodruki *Zwrócenia Matiasza z Podola* — które uszeregował w następującym porządku chronologicznym: pierwszy egzemplarz Biblioteki Czartoryskich wraz z defektem Biblioteki Jagiellońskiej, drugi wrocławski, trzeci Ossolińskich i czwarty w Sztokholmie[1]. Natomiast przy

[1] Badecki: *Literatura* etc., s. 453—463.



ZWROCENIE
MATHYASZA
Z PODOLA.

Ex Bibl. Joach. Com. Chreptowicz

Wypráwił ſie Máthyaſz / chcąc ſprobowáć woy-
Ze ſie mu był żywot uprzykrzył ſpokoyny: (ny/
Lecz iáko nie ſłużáły / nie wiele zwoiował/
Bo przedtym ná woynę nigdy nie wendrował.
Wrocił ſie do Miniſtrá záżywſzy niewczáſu/
Woiał w Luterſkim zborze pilnowáć kiermáſzu.
Miáſto zdobyczy iákiey / pozbył oká w głowie/
Co tu wſkorał ná woynie/ niechże mi kto powie.

JW Chreptowiczowi P. L. offiaruię Czacki

Karta tytułowa nowoodkrytego wydania w Bibliotece hr. Tarnowskich w Suchej.

wydawaniu *Polskiej komedii rybałtowskiej* miał w ręku 7 pierwodruków, które czasowo i ewolucyjnie uszeregował nieco odmienniej, mianowicie: jako najstarszy i najpoprawniejszy przyjął egzemplarz wrocławski, drugi Biblioteki Czartoryskich, trzeci Ossolińskich, czwarty i piąty z Kórnika, szósty Biblioteki Uniwersytetu Wileńskiego i siódmy z Sztokholmu[1]. Na to odmienne, zwłaszcza co do dwóch pierwszych pierwodruków, uszeregowanie wpłynęły bardzo drobiazgowe i porównawcze studia leksykalne nad tekstami odszukanych oryginałów oraz porównanie typograficzne — choć dowód z szerszego względnie krótszego tytułu nie wydaje się nam zbyt przekonywujący. Również zmiany językowe w edycjach pierwszych na przestrzeni zaledwie kilku czy kilkunastu lat nie występują tak wybitnie jak tam, gdzie chodzi o dziesiątki czy nawet setki lat, — i dlatego o pomyłki w uszeregowaniu nie datowanych edycji nie trudno. Stąd też jako kryterium starszeństwa pierwodruków, na niezbyt wielkiej przestrzeni lat, wstawilibyśmy jeszcze czystość korektorską wydania. Zazwyczaj nad korektą pierwszego wydania czuwał sam autor i nakładca, dlatego musiało ono mieć mniejszą ilość błędów, nie tyle już językowych, co drukarskich; również typograficznie starano się zwrócić uwagę kupujących, słowem nowe dzieło przyozdobić. Opierając się na tych przesłankach pierwszeństwo dajemy pierwodrukowi suskiemu — gdyż pod względem typograficznym przedstawia się on najlepiej ze wszystkich znanych edycji, a pod względem błędów korektorskich, których Badecki naliczył w oryginale wrocławskim 37 (usuwając je przy przedruku)[2], — pierwodruk suski posiada zaledwie 5 z nich nie poprawionych. Gdyby Badecki miał suski egzemplarz w ręku, niewątpliwie uznałby go za najwcześniejsze wydanie zachowane i użył za podstawę do przedruku w swej *Polskiej komedii rybałtowskiej* w miejsce egzemplarza wrocławskiego, który bądź co bądź posiada znaczniejszą ilość błędów korektorskich, kartę tytułową w prostych, linijnych ramkach i tytuł rozszerzony, z objaśnieniem tego rodzaju, jakie zazwyczaj trafiały się w późniejszych raczej edycjach. Suski egzemplarz stale używa starszej pisowni *th* zamiast *t*, np. Mathyasz, author; *scz* zam. *szcz*, np. jescze; *o* zam. *ó*, np. ktory; *sz* zam. *ż*, np. przetosz; sie zam. się; teskno zam. tęskno itp. Porównawszy odmiany tekstowe między poszczególnymi wydaniami stwierdzić musimy, że egzemplarz suski stoi najbliżej edycji reprezentowanej przez oryginał Biblioteki Czartoryskich.

Oto odmiany tekstu nowoodszukanej edycji *Zwrócenia Matiasza z Podola*:

Wiersz 3 jechał; w. 18 jedno zam. tylko; w. 21 innych; w. 29 Idzieć an ktoś; w. 34 teskno; po w. 38 kustosz: Jakości;

---

[1] Badecki: *Polska komedia rybałtowska*, s. 689—692.

[2] Badecki: *Polska komedia rybałtowska*, s. 692.

Authór tych Kśiążek.

HOgłcibym był vczynić / wżdy co śmiesznieyszego
Dla ciebie Czytelniku / alem śię bał tego
Iżebyś śie nie rospukł czytáiąc od śmiechu/
Tákbym przywiodł y śiebie/ y ciebie do grzechu:
Jednák gdy będźiesz czytał/ choć nie bárzo śmiesznó/
Zeby drudzy słucháiąc / nie było ich tęskno:
Gdy będą pilno słucháć/ vchyl żęty gęby/
W rzeczy iákbyś śie miał śmiać/ wyszczerz wszytkie zę.
Co drudzy obaczywszy pársną pewnie śmiechem/ (by:
Niowiąc : á kisz mu dyabeł/ wszákże to nież grzechem.



Máchyasz żegna Trunek przy gośćiách.

BEz wszelákich ceremoniy/ y bez prożney chwały/
Zeby dáremnie śklenice/ kieliszki nie stały :
Nie zá zdrowie przodkow nászych ktorzy iuż są w niebie/
Zá zdrowie ieden drugiego pełnimy do śiebie.
Ja zá zdrowie gospodárskie pynicuie swoie/
A zá zdrowie gospodyniey á wo z drugą stoie.
Trzećią zá zdrowie szláchetnych wszytkich miłych gośći/
Bodaybym śie nią vdawił ieśliże w niey kośći.
Ozwiy śie kto ieśliż mi iest dobrym przyiaćielem/
Spełni iedne/ á ia tobie dwie záraz z weselem :
To mi człowiek co pełney w ręku nie zágrzeie/
A chłopiec ledwie ią puśćisz/ wnet inną náleie.

Dwie końcowe stronice „Zwrócenia Matiasza z Podola" w nowoodkrytym pierwodruku Biblioteki hr. Tarnowskich w Suchej.

(Reprodukcje zmniejszone).

w. 40 zerwona; w. 41 Wolałbym był świnie paść, abo gdzie gnoj kidać,; w. 43 Jechałem; w. 49 okoś; w. 52 inego.; w. 57 Jeśli .... poimam; w. 60 ujrzy; po w. 64 kustosz: Wszytko; w. 65 Wszystko; w. 70 Dóstanie ...... póciskiem.; w. 73 u roty; w. 77 zajechałżeś; w. 85 reta; w. 88 dziwują,; w. 95 mię; w. 98 rusznica; w. 99 puginalisko,; w. 100 kędy zam. jako; w. 114 Bo wy sie nie przydacie, jak żywo nikomu.; w. 133 rostajnich; w. 137 ulał; w. 140 Miekowskó; w. 142 ni zam. tam; w. 144 częstowali.; w. 147 óczy; w. 152 dosić; w. 157 wżdy; w. 166 swowólne; w. 168 obskoczyli; w. 174 Jużby; w. 175 Ztamtąd; w. 176 Jórdanu; w. 183 Gorgonczykiem; w. 196—197 Nie bałamuc z ich wiarą, ani sie jej trzymaj, Opuść a swej sie dawnej dostatecznie trzymaj.; w. 202 cię; w. 210 cnóta,; w. 218 Nie ciężko pobantować; w. 222 có; w. 230 Jeśliże nie wyfuka abo nie ukradnie; w. 237 błazenstwo; w. 261 Barwierz; w. 263 rzemiesłnikow; w. 269 z kożdego,; w. 275 umarznie; w. 280 szlachcić; w. 282 prześlicą.; w. 285 szlachcić; w. 286 Cosmy; w. 289 A płacz ludzki przez niego; w. 302 zamarznie; w. 319 tanio zgodzi; w. 322 jako i tó; w. 335 pasczekę; w. 337 tarkają; w. 341 od prawdy; w. 348 Awo; w. 349 chcecie zam. będziesz; w. 365 tu winien znajdować się na marginesie: „Min[ister]", — przesunięte o jeden wiersz, tj. przy wierszu 364; w. 368 wszytko; w. 370 i to przepiję; w. 371 A kościoł gdzie? zam. A kościół kędy mają? w. 388 naszladuje; w. 392 swoję; w. 395 inego.; w. 396 Bez tego nie będę,; w. 397 inną; w. 404 też zam. nam; w. 416 zył; w. 417 schówam; w. 434 ćacya (błąd!).; w. 435 błazenskich; w. 469 Przydzie; w. 475 ujmi,; w. 493 rad ten tydzien; w. 503 białej głowy.; w. 504 istorye zam. boty; w. 516 cościby; w. 521 nie ma nawiasów; w. 536 ceremónij i bez prożnej; w. 544 Ozwij; w. 547 inną; w. 548 śmieszniejszego; w. 553 teskno.

Sucha *Józef Seruga*

PIERWODRUKI LITERATURY MIESZCZAŃSKIEJ W BIBLIOTECE NARODOWEJ W WARSZAWIE

(Ze zbiorów rewindykowanych z Rosji)

Od czasu ogłoszenia drukiem mojej *Literatury mieszczańskiej w Polsce XVII w.* (1925) [1] starano się szeregiem prac przyczynkowych, jakby na marginesie wspomnianej monografii, uzupełnić wiadomości dotychczasowe bibliograficznymi rozbiorami nie uwzględnionych jeszcze pierwodruków tej rekonstruowanej gałęzi staropolskiego piśmiennictwa.

Żywsze zainteresowanie się dziejami siedemnastowiecznej literatury mieszczańskiej w tym względzie wykazali w szczególności: Ludwik Simon, Józef Antonów i Józef Seruga — wydobywając w artykułach swych i notatkach na światło dzienne z nie skatalogowanych zasobów różnych bibliotek krajowych nowe wydania bądź zgoła dotychczas nieznane okazy tej literatury.

Rezultaty swych odkryć w Bibliotece Uniwersytetu Wileńskiego opublikował wpierw Ludwik Simon w notatce pt. *Nieznane materiały do historii literatury mieszczańskiej w Polsce XVII w.* (Ruch Literacki 1926). Z kolei Józef Antonów zanalizował *Dwa nieznane kalendarze sowizdrzalskie*, wydobyte z utajonych zasobów Biblioteki Kórnickiej (Pamiętnik Literacki 1938). Na nowe pierwodruki wydań dobrze nam znanych dialogów rybałtowskich, „Albertusa“ i „Matiasza“, zwrócił ostatnio uwagę Józef Seruga w artykule *Dwa nieznane pierwodruki literatury mieszczańskiej XVII w. w Suchej* (Pamiętnik Literacki 1938).

Do wymienionych uzupełnień dołączyły się także moje relacje osobiste, ogłoszone kolejno drukiem w rozprawach: *Nieodszukane pierwodruki literatury mieszczańskiej w Polsce XVII w.* (Pamiętnik Literacki 1925) [2], *Zabytki literatury mieszczańskiej w Bibliotece Kórnickiej* (Silva Rerum 1928), wreszcie *Na marginesie literatury mieszczańskiej w Polsce XVII w. I. Nagrobki* (Silva Rerum 1929).

---

[1] Powołuję ją skrótem: *L. m.*

[2] Osobne odbicie tej rozprawy powołuję skrótem: *N. p. l. m.*

We wstępie do pracy pierwszej, rejestrującej na podstawie najstarszych źródeł bibliograficznych *Nieodszukane pierwodruki literatury mieszczańskiej,* starałem się zwrócić szczególniejszą uwagę na okazy najrzadsze i dotychczas niedostępne Mieszanej Polsko-Sowieckiej Komisji Specjalnej, która w wykonaniu zwrotnych postanowień pokojowego traktatu w Rydze z r. 1921 rozpoczynała swe prace nad odzyskaniem polskiego mienia kulturalnego, wywiezionego swego czasu jako zdobycz wojenna z Polski do Rosji.

Śledząc czujnie przez szereg lat przebieg tych żmudnych zabiegów rewindykacyjnych, zwłaszcza w dziedzinie zwrotu zbiorów bibliotecznych pochodzących z książnicy Załuskich — starałem się i drogą prywatnych przedstawień skłonić członków Delegacji Polskiej do odzyskania tak bardzo rzadkich okazów naszej siedemnastowiecznej literatury mieszczańskiej. Delegacja Polska w Mieszanej Komisji Specjalnej w Moskwie, głównie na podstawie moich wskazań bibliograficznych i na skutek usilnych starań delegatów dra Piotra B a ń k o w s k i e g o i dra Aleksandra B i r k e n m a j e r a, zamieszczała wielokrotnie na listach specjalnych te druki z zakresu literatury mieszczańskiej, o których było wiadome, że powinny się znajdować w pierwotnej Ces. Bibliotece Publicznej w Petersburgu (dziś w Leningradzie).

Po r. 1935, tj. po ukończeniu prac rewindykacyjnych oraz po przewiezieniu druków odzyskanych do Warszawy i włączeniu ich do zbiorów nowokreowanej Biblioteki Narodowej, należało zaspokoić własną ciekawość stwierdzeniem, jakie też to pierwodruki z zakresu siedemnastowiecznej literatury mieszczańskiej i w jakiej ilości powróciły z Rosji do Polski.

Tę ekspertyzę naukową umożliwił mi dr Kazimierz P i e k a r s k i, kierownik działu starych druków Biblioteki Narodowej, który w rekordowo krótkim czasie, uprzedzając właściwą i z natury rzeczy długotrwałą inwentaryzację druków rewindykowanych, zdołał ich odzyskany bogaty zasób udostępnić natychmiast badaniom naukowym przez umiejętne uszeregowanie druków starych, więc i z XVII w. pochodzących, w systemie formatowym i chronologicznym. Już więc podczas tej wstępnej i na jedynie racjonalnych zasadach bibliotecznych opartej pracy porządkowej wyskoczyły z miejsca, jakby automatycznie, wszystkie pierwodruki siedemnastowiecznej literatury mieszczańskiej, które w ogólnej liczbie 34 oryginałów przeszły ze zbiorów rosyjskich w skład Biblioteki Narodowej.

Na wstępie zaznaczyć należy, że na ogólną liczbę wspomnianych 34 pierwodruków trzy tylko oryginały stwarzają w dziejach staropolskiego piśmiennictwa mieszczańskiego nowe, cenne pozycje bibliograficzne. Tym więc oryginałom oddać należy pierwszeństwo i omówić je szczegółowo przed resztującą liczbą 31 pierwodruków, znanych nam dobrze z innych egzemplarzy publicznych i prywatnych bibliotek krajowych bądź zbiorów zagranicznych.

I. Jeszcze jedno wydanie „Facecji Polskich".

Nowoodzyskany petersburski egzemplarz cennego i pod względem genezy swej jeszcze z drugą połową XVI stulecia związanego zbiorku prozaicznych anegdot wykazuje tytuł w następującym typograficznym układzie: *FACECYAE* || *POLSKIE* || *Abo* || *Zártowne á trefne Powieśći* || *Biesiádne* | *ták zrozmáitych Au-* || *thorow* | *iako też y z powieśći lu-* || *dzkiey zebrane.* || Pod rozdzielnikiem w kształcie wydłużonej rozety: *Teraz znowu popráwiono* || *z przydatkiem.* Pełny tekst tytułu tego bezimiennego i nie datowanego wydania wstawiony jest w drzeworytową ramkę dekoracyjną, znaną z ksylograficznych zasobów drukarni Hieronima Wietora i na tym pierwodruku uszkodzoną przez naddarcie lewego górnego naroża. Takim samym renesansowym obramieniem przyozdobione są *Facecje Polskie* w drugim i trzecim przedruku, które pojawiły się po najwcześniejszej znanej edycji z r. 1624, w pierwszej połowie w. XVII, i opisane są w *L. m.* pod nrem 41 i 42 (s. 102—106). Oryginał nowoodkrytej edycji swymi typograficznymi i językowymi analogiami zbliża się najbardziej do pierwodruku reprezentującego trzecie, siedemnastowieczne wydanie *Facecji.* Ta nowa i nie zarejestrowana dotychczas edycja (z pierwotną, petersburską sygn.: Sala 6, Szkaf 72, Połka 2, No 117) jest książeczką w 4-ce (w broszurowym stanie), liczącą ogółem tylko 39 kart zachowanych, zamiast 52 pierwotnych i składających się na kompletny egzemplarz tego przedruku. W arkuszyku A tego defektu brakują dwie karty środkowe A_2 i A_3, dalsze arkusze B—K są w całości zachowane, zaś na pierwszej uratowanej karcie arkusza L urywa się tekst anegdot w tym nowoodkrytym pierwodruku, którego bibliograficzną rzadkość zaznaczyła ręka Załuskiego aż sześcioma krzyżykami na tytułowej karcie.

Wewnętrzny rozkład treści tego, ponad wątpliwość także krakowskiego, odbicia *Facecji* zbliża się bądź wręcz nakrywa w zupełności z pierwodrukami innych siedemnastowiecznych i nie datowanych oryginałów. Na odwrocie tytułu pomieszczony jest „Summaryusz wszytkich rzeczy" etc., po czym tekst anegdot właściwych zaczyna się od anegdoty szóstej „O błaźnie, co pana pierdzielem uzdrowił", kończy się zaś anegdotą 151 (z traktatu piątego) „O paniej, co na odpust chodziła" — w nowozdeterminowanej edycji brakują więc wszystkie anegdoty całego traktatu szóstego. Gotyckie kolumny tekstu, złożone z czcionek zniszczonych i wytłoczone niedbale na papierze gorszego gatunku, otoczone są dwuliniową ramką, wykazującą nadpisy kolumnowe, wyrażone antykwą. Rewindykowany pierwodruk *Facecji Polskich*, ongiś w skład książnicy Załuskich wchodzący i po raz pierwszy przez Maciejowskiego w jego *Piśmiennictwie* (t. III, s. 169) zanotowany, pomnaża

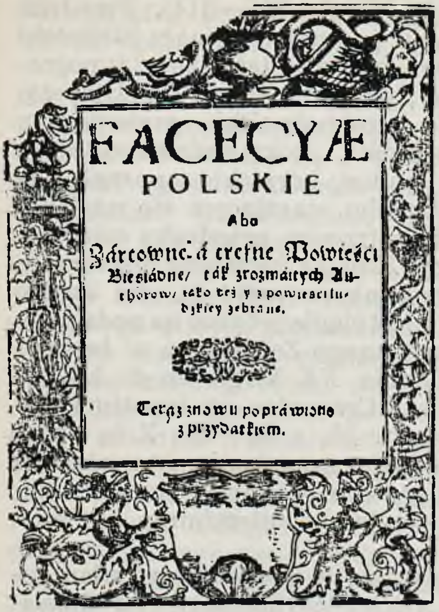
ilość siedemnastowiecznych przedruków tego bardzo poczytnego zbiorku czysto mieszczańskich anegdot do ogólnej liczby znanych jedenastu wydań.

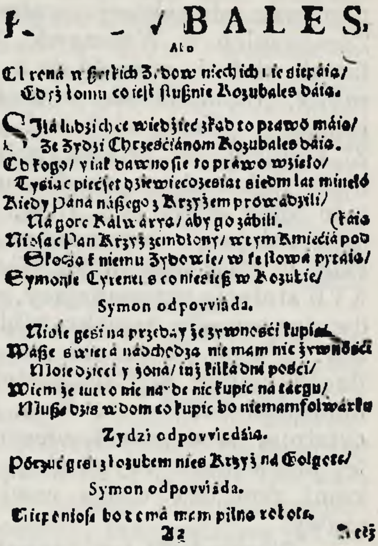
II. Nieznane wydanie „Kozubalesa".

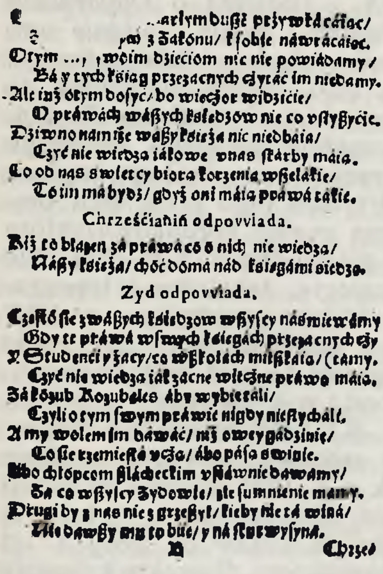
Obyczajowo ciekawa, bezimienna i antysemicka satyra dialogowa o „kozubalesie", tj. daninie, którą Żydzi byli obowiązani składać na rzecz biednych żaków krakowskich, znana była dotychczas z jedynego kórnickiego egzemplarza z r. 1626, opisanego w *L. m.* pod nrem 66 (s. 169—175). Poza tym kompletnym, ośmiokartkowym pierwodrukiem, wedle notat naszych najdawniejszych bibliografów, miała broszura ta w ciągu XVII stulecia doczekać się co najmniej trzech jeszcze przedruków, prasowanych w latach: 1630, 1638 i 1641 (ob. *N. p. l. m.*, nr 27, s. 21—22). Do jednego z wymienionych przedruków późniejszych zbliża nas obecnie silny defekt *Kozubalesa*, pochodzący z daru komisji rewindykacyjnej. Nowopozyskany z Rosji defekt w 4-ce jest pięciokartkowym, nieoprawnym i w górze silnie wydartym (z uszkodzeniem tekstu) fragmentem, wykazującym karty: A_2 (pod: — á ma —), A_3 (pod: — ki w —), B (pod: biie), B_2 (pod: ma) i B_3. Z powodu oddarcia karty tytułowej (wraz z którą mógł przepaść i ozdobny, okazały drzeworyt figuralny, znany z edycji z r. 1626), a nadto braku kart A_4 i B_4 nie podobna określić dokładnie, który z przedruków późniejszych reprezentowany jest tym defektem. Na kartach zachowanych tekst właściwy defektu rozpoczyna się od nagłówka: *KOZVBALES,* || *Abo* || *Obroná wszytkich Zydow niech ich nie siepáią* | *Gdyż komu co iest słusznie Kozubales dáią,* po czym następuje znany w treści z edycji z r. 1626 dialog Symona (Cyreneasa) z Żydami, który urywa się na odwrocie karty A_3. Po brakującym tekście wydartej karty A_4 ciągnie się dalej rozmowa żyda z chrześcijaninem, po której następuje pełny „Fundament praw księdzów naszych", zamknięty koronkowym finalikiem na karcie B_3. Stronicę ostatnią defektu (tj. odwrotną paginę karty B_3) wypełnia odcisk „pieczęci jerozolimskiej" (z innego aniżeli w pierwodruku z r. 1626 drzeworytu odbity) wraz z początkiem epilogowego wiersza, którego koniec (liczący 18 w.) odpadł wraz z brakującą kartą B_4. Z dokładnego porównania tekstu nowoodszukanego fragmentu *Kozubalesa* z edycją najwcześniejszą znaną (z r. 1626) wyłaniają się częste odmiany słowne, które nie mogą być obojętne dla krytycznego wydawcy tej satyrycznej broszury.

III. „Sejm Panieński" w edycji krakowskiej z r. 1697.

Z siedemnastowiecznych, bezimiennych przedruków *Sejmu Panieńskiego,* tej bardzo ongiś poczytnej satyry na charaktery niewieście, sięgającej edycją najwcześniejszą (dotychczas nie odszukaną) jeszcze r. 1617, znane nam były pierwotnie z autopsji


FACECYÆ
POLSKIE
Abo
Zártowne á rtefne Powieśći
Biesiádne/ ták zrozmáitych Authorow/ táko tez y z powieśći ludźkiey zebráne.
Teraz znowu popráwiono
z przydatkiem.


K... BALES.
Abo
...rená wszytkich Zydow niechich ... sierpiáia/
Gdyż ... co iest słusznie Kozubales dáia.
Chcą ludzi chce wiedźieć zkąd to práwo máią/
Ze Zydźi Chrześćiánom Kozubales dáią.
Od kogo/ y iák dawno sie to práwo wźięło/
Tysiąc pięćset dziewięćdźesiat siedm lat minęło
Kiedy Páná nászego z Krzyżem prowádźili/
Ná gorę Kálwáryą/ aby go zábili.
Niosąc Pan Krzyż zemdlony/ w tym Kmiećiá podkáią
Skocza k niemu Zydowie/ w teslowá pytáią/
Symonie Cyrenei o co niesiesz w Kozubie/
Symon odpovviada.
Niosę gęśi na przedáy że żywnośći kupię
Wásze świetá nádchodzą nie mam nic żywnośći
Moie dźieci y żoná/ iuż kilká dni pośći/
Wiem że tu ... nie ... nic kupić ná targu/
Muszę dźiś w dom co kupić bo niemam folwárku
Zydzi odpovviedźia.
Porzuć gęsi z kozubem nieś Krzyż ná Golgotę/
Symon odpovviada.
Nieść nie ... bo zémá mam pilno robotá.
A 2 ... ...


... ...arlym duszę przywrácáiąc/
... ... z Zakonu/ k sobie náwrácáiąc.
O tym ... swoim dźieciom nic nie powiádamy/
Ba y tych kśiąg przezacnych czytáć im niedamy.
Ale iuż o tym dosyć/ bo wieczor widźicie/
O práwách wászych kśiedzow nic co vsłyszyćie.
Dźiwno nam iże wászy kśięża nic niedbáią/
Czyć nie wiedzą iákowe vnas skárby máią.
Co od nas świetcy biorą korzenia wszelákie/
To im má być/ gdyż oni máią práwá tákie.
Chrześćianin odpovviada.
Iż to blazen zá práwá co o nich nie wiedzą/
Nászy kśięża/ choć domá nád kśięgámi śiedzą.
Zyd odpovviada.
Częstokroć sie z wászych kśiędzow wszyscy násmiewámy
Gdy te práwá w swoych kśięgách przezacnych czytamy
Y Studenci y żacy/ co w szkołach mieszkáią/
Czyć nie wiedzą iák zacne własne práwo máią.
Zá kozub Kozubales áby wybieráli/
Czyli o tym swym práwie nigdy nie słychali.
A my wolemy im dáwáć/ niż owey gádźinie/
Co sie rzemieśłá vczą/ ábo pásą świnie.
Abo chłopcom ślácheckim vstáwnie dawámy/
Zá co wszyscy Zydowie/ złe sumnienie mamy.
Drugi by z nas nie z grzeszył/ kieby nie tá winá/
Nie dawszy mu to bić/ y ná stut wyśyná.
B Chrześ


SEYM
PANIENSKI,
ABO
ROZMOWA,
O Biesiádách y Krotofilách
Mięsopustnych.
Tudźież o Obyczáiách Mężow/ gdźie
ze dwudźiestu Panien/ káżda
zdanie swe podáie.
W KRAKOWIE,
Roku Páńskiego, 1697.

Podobizny z trzech nowoodkrytych pierwodruków literatury mieszczańskiej XVII w.

dwa tylko wydania, odbite w XVII stuleciu i opisane wyczerpująco w *L. m.* pod nrem 118 i 119 (s. 310—314). Przedruk pierwszy scharakteryzowałem przy pomocy oryginału Biblioteki Zamoyskich w Warszawie, który choć nie datowany, typograficznie dał się odnieść do r. 1650; przedruk drugi, bardziej staranny, odnalazł się w unikacie sztokholmskim, prasowanym jawnie „w Krakowie" pod pewną datą „Roku Pańskiego 1684". Z biegiem lat nowowydobyty unikat kórnicki zapoznał nas z nie datowanym przedrukiem trzecim, starającym się naśladować tekst edycji z r. 1684. O tym trzecim przedruku podałem obszerniejszą wiadomość w pracy *Zabytki literatury mieszczańskiej w Bibliotece Kórnickiej.* Przedruk czwarty, na sam koniec XVII stulecia przypadający, znany był ciągle jedynie na podstawie dwujęzycznego zapisku bibliograficznego Załuskiego w brzmieniu: „Seym Panieński etc. Colloquia XX Virginum de hilariis Bacchanalium et Carnisprivii 3 pl., Cracoviae ap. Ignatium Hebanowski 1697" (ob. *N. p. l. m.*, nr 55, s. 34—35). Z tą bodaj ostatnią, siedemnastowieczną edycją zaznajamia nas obecnie jej pierwodruk oryginalny, który wraz z innymi starymi drukami powrócił drogą rewindykacyjną z Petersburga do Warszawy.

Pierwodruk ten zaopatrzony jest w następujący skład tytułu: *SEYM* || *PANIENSKI,* || *ABO* || *ROZMOWA,* || *O Biesiadách y Krotofilách* || *Miesopustnych.* || *Tudziesz o Obyczáiách Mężow* | *gdźie* || *ze dwudźiestu Pánien* | *káżda* || *zdánie swe podáie.* || Pod koronkowym rozdzielnikiem adres bibliograficzny: *W KRAKOWIE,* || *Roku Páńskiego, 1697.* Rzecz znamienna, że w zacytowanym tekście tytułu krakowskiej edycji *Sejmu Panieńskiego* z r. 1697 zamilczane jest zupełnie nazwisko „Ignacego Hebanowskiego", o którym tak wyraźnie wzmiankuje zapisek Załuskiego. Gotycko-łaciński skład tytułu tego przedruku otoczony jest dokoła szeroką i misterną ramką koronkową, która edycję tę zbliża bezpośrednio do pierwodruku z r. 1684. Ale poza kartą tytułową także inne analogie, tekstowe i typograficzne, wskazują na bezpośrednią filiację przedruku z r. 1697 do wydania z r. 1684. Jest więc i przedruk z r. 1697 silnie obciętą broszurą w 4-ce, liczącą ogółem 11 kart, sygnowanych: A_2 (pod: to), A_3 (pod: -ow-), B (pod: w-), B_2 (pod: -ę z-), B_3 (pod: -żdy), C (pod: t-), C_2 (pod: -KT-). W rozkładzie tekstu, w doborze nagłówków i w typach czcionek z gotyku, antykwy i kursywy, wzoruje się pierwodruk z r. 1694 wiernie na edycji z r. 1684. Więc wiersze wstępne na odwrocie karty tytułowej *Do młodzieńców* i *Do panien* ujęte są także od góry i od dołu w dwa nieco bogatsze fryzy koronkowe. Gotyckie kolumny tekstu poszczególnych pagin przez wszystkie „traktaty" nakrywają się co do wiersza w obu przedrukach i związane są identyczną paginacją żywą „Seym Pánieński", biegnącą przez cały pierwodruk z r. 1697 aż do 21 stronicy włącznie, na której

rzecz właściwa zamknięta jest okazałym, koronkowym finałem. Na ostatniej, 22 paginie oryginału widnieje ten sam sześciowiersz epilogowy, ujęty w dwie bogate ozdoby koronkowe.

Z Rosji rewindykowany pierwodruk *Sejmu Panieńskiego* ma też sobie tylko właściwą historię bibliofilską. Sygnuje go na paginie końcowej naklejka z znakiem herbowym, otoczonym literami: S — GIE | ZO — CH | P — O, pod którym widnieje autograf podstolnikowski: „Ex libris Stanislai Chrzanowski Subdapiferi" etc. Nazwisko tego pierwotnego właściciela wypisane jest też dwukrotnie na tytułowej karcie tego druku, na której widoczny jest także wycisk sygnetowy z literami rosyjskiego alfabetu И Б (Imperatorskaja Biblioteka), jako dowód czasowego pobytu pierwodruku tego w Petersburgu [1].

Po dokładnym zbadaniu pierwodruku z r. 1697 dotychczasowe uszeregowanie siedemnastowiecznych wydań *Sejmu Panieńskiego* ulec musi pewnej korekturze. Po najwcześniejszym, znanym unikacie nie datowanego wydania ze zbiorów Biblioteki Zamoyskich w Warszawie położyć należy pierwodruk sztokholmski z r. 1684, po nim pierwodruk z r. 1697, po którym dopiero nastąpił nie datowany egzemplarz kórnicki, rozpoczynający drugą serię wydań tej broszury, przypadającą już na wiek XVIII. Tę drugą, osiemnastowieczną serię przedruków *Sejmu Panieńskiego* charakteryzuje znamienne przeniesienie epilogowego sześciowiersza, zaczynającego się od słów „Aczkolwiek panny cicho to gadały" etc., z końca broszury na kartę tytułową. Owa charakterystyczna translokacja tekstowa zjawia się po raz pierwszy na pierwodruku kórnickim (którego datę wydania przesunąć więc należy na początkowe lata XVIII stulecia), po czym utrzymuje się ona stale w dwu następnych, nie datowanych przedrukach osiemnastowiecznych (A i B), opisanych w *L. m.* w nocie XXI (s. 492—495).

W obecnym stadium naszych bibliograficznych dociekań na temat wydań *Sejmu Panieńskiego* stwierdzić więc należy istnienie trzech znanych przedruków z XVII w. i również trzech, nie datowanych, z w. XVIII — czyli ogółem sześć różnych edycji. Jeśli nadto uwzględnimy wydanie pierwsze, dotychczas nie odszukane, które zgodnie z relacjami naszych dawnych indeksów ksiąg zakazanych miało pojawić się w druku ok. r. 1617, i to jeszcze z wyrażeniem pseudonimu autora Jana O l e s k i e g o, a poza tym przyjmiemy prawdopodobną egzystencję kilku bodaj

---

[1] Jeszcze inny pierwodruk *Sejmu Panieńskiego* z r. 1697, do którego dotychczas nie powiodło mi się dotrzeć, ma się znajdować w zbiorach Biblioteki Publicznej M. Stoł. Warszawy. Wzmiankuje o nim w zapisku mało dokładnym Kazimierz K a r d a s z e w i c z w swoim *Wykazie druków XV, XVI i XVII w. znajdujących się w Bibliotece Publicznej Miasta Stołecznego Warszawy* (1930), notując na s. 126—127: *Sejm Panieński albo Rozmowa o biesiadach Mięsopustnych tudziesz o Obyczajach Młodzianów, Kraków, 1697 (19,5×15) str. 17.* (?)

jeszcze nie odszukanych przedruków z pierwszej połowy XVII stulecia, wówczas poczytność i popularność też satyry białogłowskiej wystąpi jeszcze plastyczniej.

*

A teraz przejdę do omówienia tych z Rosji nie windykowanych pierwodruków literatury mieszczańskiej, których odzyskanie nie wniosło wprawdzie do dziejów siedemnastowiecznego piśmiennictwa materiałów nowych, ale pomnożyło wydatnie zasób egzemplarzy dziełek dobrze nam znanych. Pierwodruki te omówię w grupach odpowiadających tym rodzajom literackim, w jakich zabytki literatury mieszczańskiej XVII stulecia koordynowane są w ich rozpoczętym i kontynuowanym wydaniu zbiorowym i krytycznym.

Więc zasób dziełek wznowionych w tomie pierwszym wydawnictwa pt. *Polska komedia rybałtowska* (Lwów 1931) pomnożył się sporą ilością pierwodruków reprezentujących trzy różne edycje obu części Albertusowych przygód. Między dubletami rewindykowanymi pozyskała więc warszawska Biblioteka Narodowa aż 17 identycznych i świetnie zachowanych egzemplarzy *Wyprawy plebańskiej Albertusa na woyne w Krakowie Roku Pańskiego 1696*, z znanym drzeworytem Albertusa na koniu, żegnającego niewiastę wyglądającą z okna pierwszego piętra. Ten siódmy z rzędu i najpóźniejszy przedruk bardzo spopularyzowanego dialogu rybałtowskiego, wraz z egzemplarzami wskazanymi i opisanymi już w *L. m.* pod nrem 172 (s. 438—440), reprezentowany jest obecnie poważną ilością 25 pierwodruków. Wszystkie oryginały *Wyprawy plebańskiej* z r. 1696 z Petersburga rewindykowane (a widział je tam ongiś i relacjonował o nich przed laty rewelacyjnie prof. Brückner), wśród których jeden tylko, pochodzący z książnicy Załuskich, zaopatrzony jest w sygnaturę Ces. Biblioteki Publicznej (1, 72, 2, 103), są rzadkim i godnym uwagi przykładem remanentu siedemnastowiecznego nakładu tej broszury. Niektóre egzemplarze tego remanentu, nie oprawione i przez nóż introligatorski nie tknięte, dają nam pełny wymiar staropolskich druków w 4-ce (177×217 mm), a zarazem wygląd, w jakim druki takie pojawiały się w kramach na rynku księgarskim. Oddawano więc do handlu dziełka takie w formie broszur nie okładkowanych i nie rozciętych, zszytych nićmi na grzbiecie oklejanym paskami cienkiego papieru, koloru różowego lub pomarańczowego — nieobojętne to szczegóły do techniki introligatorskiej XVII stulecia.

Część druga przygód Albertusowych, opiewająca jego powrót z Podola, znalazła się wśród książek rewindykowanych w trzech pierwodrukach, pochodzących z dwu różnych wydań. *Albertus z woyny* (z ośmiowierszem na tytule). *Teraz swiezo*

Wydrukowany, W Krakowie, Roku Pańskiego, 1649 w swej czwartej edycji, opisanej w *L. m.* pod nrem 4 (s. 5—6) wrócił do kraju w egzemplarzu wprawdzie kompletnym, ale silnie obciętym. Ten piąty znany pierwodruk znaczony jest na tytule podpisem „Wiktor Kalinowski 28 Listopada 1857 r. Petersburg" i wyciskiem pieczątki „I. A. ZAŁVSKI", z którego książnicy przeszedł następnie do petersburskiej Biblioteki Publicznej, która wyznaczyła mu sygn.: 6.72. 2. 132.

Inne wydanie tego samego dialogu pt. *Albertus powracaiący z woyny* (z ksylografem Albertusa na koniu, witanego przez niewiastę w bramie stojącą) *w Krakowie, Roku Pańskiego, 1697* powróciło z Rosji w dwu kompletnych i nieoprawnych pierwodrukach. Pierwodruki te (jeden lepiej zachowany, drugi silnie obcięty) pomnażają znacznie ilość zachowanych egzemplarzy tej piątej i ostatniej edycji, opisanej dokładnie w *L. m.* pod nrem 5 (s. 6—8).

Z zabytków włączonych do tomu drugiego wydawnictwa zbiorowego, pt. *Polska liryka mieszczańska* (Lwów 1936), przeszedł z petersburskiej Biblioteki Publicznej do warszawskiej Biblioteki Narodowej *Dzwonek serdeczny, Do ktorego sie co żywo ná głos zbiega ták Młodzieńcy iáko y Pánny. Roku Pánskiego 1620.* Ten arcyrzadki, unikatowy zbiorek miłosnych pieśni, tańców i padwanów, opisany w *L. m.* pod nrem 39 (s. 93—96), wrócił do kraju bardzo sfatygowany, zwłaszcza w końcowej, silnie zdefektowanej karcie.

Do wiązanki broszur złączonych w drukujący się obecnie tom trzeci zabytków literatury mieszczańskiej pt. *Polska fraszka mieszczańska* przybyły z Rosji dwa pierwodruki wydań, znanych nam zresztą z innych kompletnych egzemplarzy. *Biesiady roskoszne Baltyzera z Kaliskiego powiatu,* w dobrym, choć nieoprawnym egzemplarzu zachowane, okazały się defektem pozbawionym karty tytułowej, więc liczącym tylko 19 kart. Jest to więc drugi (po komplecie Zakł. Narod. im. Ossolińskich, sygn. 748) pierwodruk edycji nie datowanej, ale najwcześniejszej znanej, wytłoczonej ok. r. 1615 i opisanej w *L. m.* pod nrem 15 (s. 31—33). Defekt z daru rewindykacyjnego (z dnia 24 I 1935) pochodzący, zaczyna się od tekstu karty A_2 z nagłówkiem „Biesiad roskosznych zabawa".

Bardzo pokrewne mieszczańskim zbiorkom fraszkowym, bo na nich wzorujące się, *Dworskie minucye nowe sowizrzałowe. Przez authora starego Maurycyusza Trzyprztyckiego, Na każdy rok służące, 1000000000000,* b. m. i r. dr. prasowane, są silnie zniszczonym i zbutwiałym defektem. Fragment ten, także z daru Komisji rewindykacyjnej pochodzący, pozbawiony przy końcu dwu kart (numerowanych w druku 17—18 i 19—20), nakrywa się całkowicie z kompletem nie pierwszej, ale drugiej edycji tego dziełka, zachowanym w Bibliotece Kórnickiej (pod sygn. 13317) i opisanym w *L. m.* pod nrem 74 (s. 198—200).

Tegoż autora-dworzanina, Maurycyusza Trzyprztyckiego, Radopatrzka Gładkotwarskiego, dziełko inne, naśladujące szczerze mieszczańskie *Facecje Polskie*, pt. *Co nowego abo dwor Maiący w sobie Osoby y Mozgi rozmaite* etc. (b. m. i r. dr., ale z ok. r. 1650), zwrócone zostało w pierwodruku zaliczającym się do czwartego wydania tej bogatej wiązanki prozaicznych anegdot. Nowoodzyskany oryginał jest piątym zarejestrowanym pierwodrukiem tej edycji, a trzecim kompletem wykazującym sygnaturę petersburską (6. 72. 2. 100) i autograf na pag. 3-ciej: „Wiktor Kalinowski 18 Listopada 1857 r. Petersburg". Wydanie to opisałem dokładnie w *L. m.* pod nrem 29 (s. 71—72).

Z utworów zaliczających się do epiki staropolskiej, przeznaczonych do tomu czwartego zabytków literatury mieszczańskiej, mającego się pojawić pt. *Polska satyra mieszczańska*, zwróciła nam rewindykacja rosyjska dwa przede wszystkim pierwodruki. Bezimienna, znakomita w treści satyra społeczna pt. *Nędza z biedą z Polski idą* etc., w początkowych latach XVII stulecia wypoetyzowana, zjawiła się w nowym, czwartym pierwodruku edycji trzeciej, opisanej w *L. m.* pod nrem 81 (s. 212—213). Ten nowy, nie datowany pierwodruk, wyróżniający się bogatą ramką rozetową w tytule, jest egzemplarzem kompletnym, ale w części dolnej silnie zbutwiałym. Powołał go już raz prof. Brückner w dziele *Nienawiść wyznaniowa za Zygmunta III* i wówczas miał on jeszcze sygnaturę petersburską: Sala 6, Szkaf 74, Półka 2, Nr. 91.

Z kategorii obyczajowych satyr białogłowskich wrócił do kraju również bezimienny *Wiersz o Fortelach y Obyczaiach Bialoglowskich Teraz nowo Przez iednego wiernego sługę y Sekretarza ich krotko napisany* etc., w tym samym unikacie drugiego, nie datowanego wydania (z petersburską sygn.: 6. 75. 1. 503), którego bibliograficzne znamiona opisałem w *L. m.* pod nrem 161 (s. 419—420).

Z satyr i paszkwilów antyreformatorskich, pióra jezuickiego, wzorujących się w stylu i manierze na sowizdrzalskich satyrach mieszczańskiego autorstwa, odzyskaliśmy aż trzy identyczne pierwodruki dziełka pt. *Relacya A oraz Supplika Zboru Wilenskiego Saskiego do Hern Martyna Lutra* etc. *w Wilnie, Roku Pańskiego 1623.* W *L. m.* pod nrem 108 (s. 281—284) opisałem tę zjadliwą satyrę przeciw luteranom, po raz pierwszy w r. 1623 prasowaną, za pośrednictwem unikatu gdańskiego, gdyż bliższy nam egzemplarz jagielloński był nie do odszukania. Dziś rozporządzamy trzema własnymi pierwodrukami tegoż wydania, z których jeden nosi na sobie dawną sygnaturę petersburską (6. 72. 1. 12), dwa dalsze pochodzą z dubletów daru rewindykacyjnego. Wszystkie piewodruki kompletne, choć nieoprawne, wykazują wyraźne odbicia karykaturalnych drzeworytów, ilustrujących to dziełko.

Z dziełek stojących na pograniczu oficjalnej literatury dworskiej i nieoficjalnej mieszczańskiej wspomnieć też należy



Rzadki przykład siedemnastowiecznego remanentu nakładu „Wyprawy plebańskiej Albertusa na wojnę".

o dwu rewindykowanych broszurach treści bachicznej. Pierwsza to kryptonimowy i z piśmiennictwa niemieckiego przyswojony traktat Jerzego Szlichtynga (?) w jedynej znanej edycji pt. *Nauka jako o dobrym także o złym używaniu Proszku Tabakowego: przytym Żart piękny o Tabace dymney, J. S. Roku M. DC. L.* Do pierwodruków dawniej znanych i opisanych w *L. m.* pod nrem 78 (s. 207—210) i w *Zabytkach literatury mieszczańskiej w Bibliotece Kórnickiej* (s. 8) dołączający się nowy egzemplarz warszawski jest czwartym z rzędu oryginałem tego dziełka.

W czwartym również pierwodruku wszedł do zbiorów warszawskiej Biblioteki Narodowej drogą daru rewindykacyjnego (z kwietnia 1935) egzemplarz czterokartkowej broszurki pt. *Sen dziwny w ktorym wino y woda o godnościach swych rosprawuią, Roku Panskiego 1684.* Jest to powtórne, bezimienne odbicie dobrze nam znanego dziełka Jana Libickiego, prasowanego po raz pierwszy w r. 1647, pt. *Somnium prodigiosum de vino et equa.* O obu wydaniach pisałem obszernie w *L. m.* pod nrem 134 i 135 (s. 344—347).

Oto pełny poczet pierwodruków siedemnastowiecznej literatury mieszczańskiej, rewindykowanych po wielkiej wojnie z bibliotek rosyjskich i od r. 1935 przechowywanych w zbiorach Biblioteki Narodowej w Warszawie.

Niestety — stwierdzić musimy, że nasze wieloletnie zabiegi rewindykacyjne w sprawie odzyskania polskiego mienia kulturalnego z Rosji nie przyczyniły się do odszukania wszystkich zabytków literatury mieszczańskiej, tej tak bardzo w chwili obecnej interesującej nas puścizny literackiej nie docenionego jeszcze polskiego baroku.

Uwaga ta znajduje pełne uzasadnienie w pracy mojej o *N. p. l. m.* (z r. 1926), wedle której w bibliotecznych zasobach dzisiejszej leningradzkiej Biblioteki Publicznej pozostał nadal znaczny poczet pierwodruków mieszczańskich o wyjątkowej, w wielu wypadkach unikatowej wartości.

Lwów *Karol Badecki*

ADAMA KEMPSKIEGO: „MYŚLI O BOGU I CZŁOWIEKU“

W jałowej i szarej literaturze okresu saskiego jest Adam Kempski zjawiskiem, obok którego nie podobna przejść obojętnie. Jest to — jak dotychczas — postać prawie zupełnie nieznana. Wiemy tylko tyle, że losy swoje sprzągł z osobą wielkiego marszałka koronnego Franciszka Bielińskiego (1683—1766)[1], którego był wieloletnim zaufanym dworzaninem i sekretarzem, może doradcą i inspiratorem politycznych poczynań. Ale posiadał też ambicje literackie. Po raz pierwszy jeszcze jako *scholae grammaticae alumnus* dał im folgę w czterowierszu łacińskim, pomieszczonym na czele szkolnego panegiryku gimnazjum Nowodworskiego w roku 1721[2]. Ten rys konwencjonalnego panegiryzmu u Adama Kempskiego zaznacza się również i w jego późniejszych utworach okolicznościowych, pisanych na cześć królewicza Ksawerego i Karola[3], wojewodziny Bielińskiej[4], króla Stanisława[5]. Poematy te nie są dla autora tytułem do sławy literackiej; widocznie i sam poeta nie przywiązywał do nich wielkiej wagi, kiedy na karcie tytułowej ukrywał się pod inicjałami. Już bardziej do literatury zbliżały Adama Kempskiego przedmowa i przekład głośnego dziełka Hugona Grocjusza: *O prawdzie wiary chrześcijańskiej*[6].

Ale faktycznie podwoje literatury otworzył sobie Kempski jedyną książką swego życia. Są to: *Myśli o Bogu i człowieku w mowie człowieka i Ducha wyrażone.* Księga pierwsza. W Warszawie — w drukarni Scholarum Piarum Anno 1756. Książka

---

[1] Helena Waniczkówna: *Polski słownik biograficzny*, t. II, s. 47—50.

[2] *Imago salutis humanae, mysticis Josephi patriarchae umbris in Christo delineata; ac scenico apparatu a nobilissimis Scholae Grammatices Iuventute, in Classibus Novodvorscianis, in frequentissima magnorum hospitum facie presentata Anno Domini 1721 die 8 Mensis Aprilis Cracoviae typis Francisci Cezarii S. R. Majestatis, Celsissimi Principis Illustrissimi et Reverendissimi Episcopi Cracoviensis, Ducis Severiae nec non Scholarum Novodvorscianum Ordinarii Typographi.*

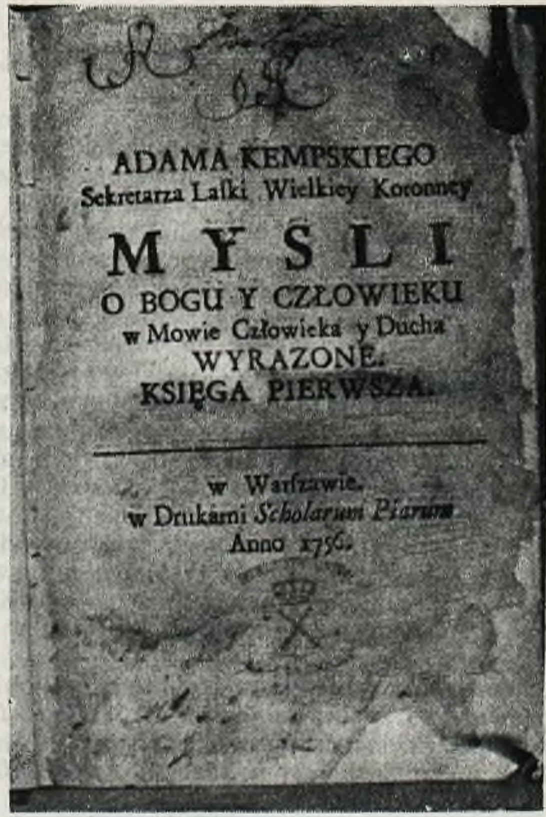
[3] *Muzy polskie do nayiaśnieyszych królewiców Ksawerego y Karola powracających z wojny na zimę do Warszawy Roku 1757.*

[4] *Na rok nowy 1763.*

[5] *Pasterz do króla przez A - - K - - B - - napisany.*

[6] *... przetłomaczony roku 1766 w Warszawie w drukarni J. K. Mci Rzeczypospolitej Scholarum Piarum.*

wychodziła pod osobliwą banderą. Piotr Jacek Śliwicki, cenzor książek (nb. duchownych) podziwiał w niej *mentis sublimitatem*, *rationis vim*, *carminis elegantiam*, a Stanisław Konarski w odezwie do czytelnika stwierdzał publicznie, że ani „wyższej i rozumu ludzkiego godniejszej materii, ani mocniejszego, łatwiejszego, delikatniejszego najwyższych i najtrudniejszych myśli wyrażenia w żadnym języku nie czytałeś“. Ta najwyższa po-


ADAMA KEMPSKIEGO
Sekretarza Laſki Wielkiey Koronney
MYSLI
O BOGU Y CZŁOWIEKU
w Mowie Człowieka y Ducha
WYRAZONE.
KSIĘGA PIERWSZA.

w Warſzawie.
w Drukarni *Scholarum Piarum*
Anno 1756.

chwała książki, zwłaszcza w ustach autora rozprawy: *De emendandis eloquentiae vitiis*, pozostaje w dziwnym, osobliwym rozdźwięku z faktem zupełnego zignorowania *Myśli* Kempskiego w oficjalnej historii literatury. Dotykał tego zagadnienia w *Bibliografii* swojej Estreicher, który rzecz całą ujął w formie następującej: „Nie można przypuszczać, aby taka powaga naukowa jak Konarski pochlebiał lub nie rozumiał. Pisał według skali ówczesnych pojęć o poezji i w istocie zachwycał się“.

Rzecz, jak widzimy, domaga się gruntowniejszego rozpatrzenia. Rozpocząć zaś musimy od poznania zawartości treścio-

wej książki, która stanowi wielką rzadkość bibliograficzną. W obszernej Przedmowie mówi Kempski wiele o sobie i bez ogródek wprowadza czytelnika do swojego warsztatu literackiego. „Aby być pożyteczny drugim", chciał „przysłużyć się pracą myśli" „dobru powszechnemu", najpierw przekładami, ale autor rozporządzał tylko znajomością języka łacińskiego, a „z łacińskiego tłumaczenie nie było potrzebne, ponieważ język ten jako w innych krajach w ojczyźnie powszechny". Dlatego też zwrócił się do twórczości oryginalnej, a wybór właściwej materii ułatwiły autorowi „dotykająca różnymi przypadkami ręka Boska", „gwałtowna choroba", śmierć dzieci, „całe życie napełnione zmartwieniem i pracą", „czytanie, na które od młodości łożył wiele czasu", wreszcie widok „tryumfującej złości i nieszczęśliwej cnoty". Z tych impulsów powstał poemat filozoficzno-religijny o postawie bojowej, polemicznej, ostrzem swoim skierowany przeciwko ateistom i deistom, „wider die in Polen sich äußernde Freidenkerei", jak mówi współczesny Janocki[1].

Dzieło planowane było na 3 księgi, a z nich tylko pierwsza ukazała się drukiem.

Poemat swój rozpoczyna Kempski od stwierdzenia, że człowiek we wszystkich okolicznościach życia winien poddawać się woli Boga, nawet gdyby Bóg w niezbadanych swych wyrokach zesłał na niego smutek, chorobę, sieroctwo, utratę dzieci i przyjaciół:

Wierzę, iż Bóg jest i ma mnie na pieczy,
Niech mu nieszczęście moje nie złorzeczy;
Niech nie narzeka nikt w wszelkiej niedoli,
Ręka to Boska dotyka, gdy boli,
Która wprzód ludzkie przeważywszy siły
Nie ciąży więcej, jakby zdolne były;
I raczy pomóc, jako obciążyła,
Kiedyby ludzka moc nie dostarczyła.
Czyś winny? czy nie? i takim sposobem
Chce Bóg postąpić jak z niewinnym Jobem:
Ma za co karać, ma ci czym nagrodzić,
A zwykł pomagać, gdy się zdaje szkodzić.
Chciej więc, co będzie wola Jego chciała:
Czy smutek serca, czyli boleść ciała:
W smutku lub ujmie litości nad tobą,
Lub obaliwszy ciężką cię chorobą,
Lekarz chorobie przyda gorzki trunek,
Bóg do choroby przymiesza frasunek —
Wcześnie i ojca, i matki pozbawi,
Osieroconym z licznych dzieci sprawi,
Które ból rodzi, a wielkie staranie
Potrzeba łożyć na ich wychowanie.
Którym gdy się być w twych oczach trafiało,
Serce zaś nimi przez oczy biegało;
Czy się zaś blisko, czy precz oddalały,
Wszędzie myśl twoją z sobą zabierały;

[1] *Lexikon derer itzlebenden Gelehrten in Polen herausgegeben von Canonico und Bibliothecario* J a n o z k i *Breslau 1755, str. 67.*

Zostaną tylko w grobie i w twej myśli,
Gdzie ich obrazy ustawny czas kryśli.
Lub będą dzieci, choć zostaną żywe,
Bogu i oraz ludziom obrzydliwe,
I co ci nad ich śmierć dotkliwsza męka,
Musi okrutną być im twoja ręka.
Niech jak nad stratę nie masz większej onę:
Utraci męża żona lub mąż żonę,
Lub niech małżeństwo jest: jak nie nowina:
Takie, iż każda w niem truciem godzina.
Tak będziesz z ojca, matki, dzieci, żony,
Lub nieszczęśliwy, lub osierocony.
Będziesz niewiasto od rodziców łona,
Od serca męża przez śmierć odłączona;
Będziesz: przez co cię żal mocniejszy wznieci:
Z rodzenia bólów matką, a nie dzieci.
Niech się wraz staną nieprzyjaciołami,
Których ty przyjaźń skarbił posługami,
I na niewinność niechaj następują,
Na obalinach twych szczęście budują.

Człowieka, który ongiś żył pełnią szczęścia osobistego i cieszył się powszechnym szacunkiem, przeprowadza autor przez wszystkie stopnie nieszczęścia aż do więzienia i skrajnej nędzy. Człowiek ten zadaje Bogu pytanie, dlaczego cierpi, dlaczego jest tyle nieszczęścia na świecie. I stąd autor przechodzi wszystkie dobra ziemskie i wykazuje ich wielorakie niedoskonałości. Najpierw omawia dobra „ogólne“, jak honor, władza, fortuna i sława, a następnie dobra „partykularne“, „które człowiek mieć może od natury i fortuny dane lub od siebie zrobione mając wolność, urodę, zdrowie, przyjaciela, potomstwo, rozkosze“. W dobrach wymienionych człowiek nie znajduje szczęścia, nie masz go ani w mieście, ani na wsi, ani na dworze, ani w pałacu, ani w chacie czy w klasztorze. Każda warstwa społeczna, każdy stan czy zawód ma swoje przeciwności.

A oto jak wyglądają ciernie zawodu nauczycielskiego (II, § IX, 5, s. 190):

Ni inna służba może być spokojna,
W każdej jest znowu z przeciwnością wojna,
Nauczycielów lub to zaszczycaniem,
Że ich złączona służba z panowaniem,
Bowiem rodziców zawsze powodują
Wolą, kiedy ich dzieciom rozkazują.
Lecz prócz tych, których po części jak drudzy
Cierpią przykrości, troski, prace, słudzy,
Jak wiele na nich zwala się ciężaru.
Iż nie zażywa młódź w rzeczach pomiaru,
Iże szkodliwe sobie chcenie młodzi,
Gdyż która co złe, co dobre skazuje,
Uwaga się w nim cała nie znajduje;
Iż w nim zamysły nie ustanowione,
Z dobrego na złe prędko obrócone;
Iże ten takie nie ma jeszcze siły,
Aby namiętność własną zwyciężyły;
Ani natura zwyczajem zmocniona,
Przeto w zły nałóg łatwo przetworzona;

Owszem iż w ludzkim rodzaju ta płonność,
Iż większa zwykle w nim do złego skłonność;
Gwałtowną trzeba przedsięwziąć robotę
Słabiąc naturę, utwierdzając cnotę.
Zaczem uczących prawie nie ustaje
Bojaźń o zdrowie, straż na obyczaje
Uczniów, które to najpierwszej są rzeczy,
Nauczycielów polecone pieczy;
Oczy im obrot swych uczniów obraca,
A w tych obrotach zwracać rąk ich praca;
Czas wszystek, myśl im tak zabrana cała;
Jakoby dusza ich w uczniach mieszkała,
By zażywając źle picia lub jadła
Zdrowia nie truła lub w biegu nie padła
Młódź; by sprosności choć wzroku dotknieniem,
Nie poraniła niewinność zgorszeniem;
Stąd zmaza cnoty, w obyczajach blizna,
By z słuchu w serce nie wpadła trucizna,
Lub zbytkujące kiedy rozmawiania,
Lub zbyt ciekawe trafiając badania.
Tak samych zmysłów uczniów straż trzymają,
Wraz ich w naturę swoją przemieniają
Nauczyciele, bowiem lub wrodzoną
Ma który dobroć, a gdy nie skłonioną
Ucznia naturą uzna łagodnością,
Sam sobie srogi rządząc go srogością.
Musi by uczniów niewinność ucalać,
Lubo niewinnej często nie dozwalać
Sobie swobody, samo niszczyć życie,
Doskonałości cudzej na nabycie.
Nuż kiedy uczeń nie jest utrzymany,
Jak nauczyciel mocno mordowany!
Jako się męczy, kiedy niepojęty!
Albo gdy zbytnie w uporze zacięty;
Jaką ciężkość znosi na sumnieniu,
Swej powinności w niezadośćczynieniu,
Zawodząc w uczniach nadzieje rodziców,
Czyniąc niegodnych w Ojczyźnie dziedziców,
Ogałacając z pomocy rodzinę,
Z podpory domu robiąc obalinę;
Lub zakał, który tym bardziej oszpeca,
Im większy honor pokrewność oświeca;
I przerobione gdy się Boskiej stały
W naczynie gniewu, instrumenta chwały;
Gdyż co przez niego w uczniu się nie nada,
To na sumnienie jego wszystko spada.
Jakąż uczący cierpi przykrość znowu.
Gdy uczeń chory, czyli to z narowu
Utajonego w natury skrytościach
Lub rozbujany w świata rozwiozłościach,
Lub przez przewrotne społeczników sztuki,
Zaniedba cnoty, zapomni nauki,
Pomiesza rożnym przemysłem rozsądek
I w całym życiu zepsuje porządek;
W nic obracając na swe wychowanie
Koszta rodziców uczących staranie;
A prawie można liczyć między cuda,
Gdy się choć z kilku uczniów każdy uda.
Ile ten z wstydu obnażony bywa,
Nauczyciela tyle tym okrywa,

Dzieli z nim swoją obrzydłą niesławę,
Wciąga niewinność w karę za swą sprawę,
Bowiem za ucznia występki uczący
Żale w umyśle, ból serca cierpiący.
Cierpi boleści serca, w myśli żale,
Kiedy uczy uczeń, czy Rodzice wcale
Nie chcąc znać, ile nauka skuteczna,
Jak uczącego praca jest zbyteczna,
Iże ten mógł, aby się to stało,
Ducha by swego chciał wlać w ucznia ciało,
Od tych nie tylko wdzięczność zapomniana,
Lecz za dar taki niewdzięczność zamiana;
Jakże uczących stan zbyt uciążliwy!
I jako oraz często nieszczęśliwy.

A więc ani dobra powszechne, ani partykularne nie przynoszą człowiekowi szczęścia; dodajmy do tego jeszcze „nieszczęśliwości życia ludzkiego i okrucieństwo bolów i strachu śmierci“, brak zadowolenia „z przymiotów duszy, to jest rozumu i cnoty“, tryumfy nieprawości. Uświadomiwszy sobie to wszystko człowiek nieszczęśliwy, nowoczesny Job, wybucha patetyczną skargą:

Niech ten dzień będzie od Boga wyklęty,
Którego wiek mój na świecie zaczęty!
Zaćmij w ten słońce, Boże, swoją mocą,
By z najciemniejszą porównał się nocą,
Niech deszcz, niech rosa w tym dniu nie upadnie,
Niechaj nim próżność, niechaj niemoc władnie,
Wszystko umilknij, nikt się nie uśmiechaj,
W głuchocie mija niech okropnej, niechaj
Samo go mięsza i ciąży powietrze
I Bóg z swych czasu regestrów go zetrze.
I noc niech w czasu nie wchodzi rachunek,
W której był mego poczęcia trafunek!
Niechaj jej żadna poświata nie świeci,
Tylko się samych błyskawic nanieci.
Z grzmotem pioruny spadają w nią hurmem,
Ryk zwierza strachem, wiatr napełni szturmem.
A raczej, Boże, wola Twoja czemu
Tak wyrokowi poda mnie srogiemu?
Czemu tym, jako tak wielu, sposobem
Żywot mi matki nie stanął się grobem?
Czemu? Gdym jeszcze w żywocie zostawał,
Nie wyrzuciłeś mnie jak mięsa kawał?

Ale po tym wybuchu, po tej „furii żalu“ staje się coś osobliwego:

Ale cóż znowu dziwnego się dzieje?
Wiatr z wojną ciągły, jak w przestrzeni wieje;
Znowu mi szumy napełniają uszy,
Niby gdy wielki wicher las poruszy;
Więzienie widzę tyle rozwidnione,
Jak grubą chmurą gdy niebo sczernione;
Krętego widać z chmury blask promienia,
Czuję przez grzmotu huk, ziemi trzęsienia.
Cóż jest? Ziemia się zewsząd rozstępuje,
Wzrok obszerności kraju nie zajmuje,

Burza się wdzięcznej umyka pogodzie;
Gdzieżem ja to jest? w rozkosznym ogrodzie,
Wonność ziół, kwiatów, w węchu się nie mieści,
Gdzie spojrzę, wszystko spojrzenie mi pieści,
Z bliskich skał echa z setnych trelów pieniem,
Każdy jest owoc smaku zachęceniem,
Każdy przyjemną słodycz ma zdrój w sobie,
W większej kraj niż wzrok zajmuje ozdobie,
Coraz mi rzeczy wydają się nowe
Lub te uznawam zawsze jednakowe;
Stąd równiny, stąd wzgórki opasały
I jak diament przeźroczyste skały,
Więcej słoneczną piękność widzę jasną,
Ni przy nim miesiąc ani gwiazdy gasną,
Przenikając wzrok niebios lazury,
Same z białości blask wydają chmury,
Pod okiem wszystkie nieba tu ozdoby,
Widać ustawny sfer impet, jakoby
Wzrok ich obracał, tak i wzrok szybciejszy
I czystszy, ciężar nawet ciała lżejszy
W sobie uczuwam, niżelim miał kiedy,
Niż do ostatniej przyszedłem był biedy.
Ah! Ah! Wszechmocne cale przemienienie,
W miejsce rozkoszy obrzydłe więzienie,
Gdzie się podziały z ręku, z nóg kajdany?
Kędy są znaki? Gdzie wprzód były rany.

Ale cóż mi się stawia za osoba?
Osobliwsza ją skrywa ozdoba,
Śnieżną jest wcale szatą przyodziana,
Która promieńmi słońca bramowana;
W twarzy kolory z światłem pomieszane,
A wdzięki miny w surowość przebrane,
Przenikający wzrok na mnie się sroży,
Nadzieja cieszy, serce mi się trwoży,
Słyszę jej do mnie ogromne wołanie,
Słucham Cię z serca posłuszeństwem, Panie.

Tą wizją Ducha kończy autor ogłoszoną część pierwszą *Myśli o Bogu i Człowieku*, a jak wynika z przedmowy, zamierzona księga druga i trzecia miały zawierać odpowiedź Ducha na postawione przez człowieka pytania i rozwikłać wszystkie jego wątpliwości. Po skarceniu człowieka za jego bunt miały obie te księgi podać dowody istnienia Boga jako Stworzyciela świata, duszy nieśmiertelnej i człowieka poczętego na obraz i podobieństwo Boże. Wtedy dopiero miał Duch odpowiedzieć na mowę więźnia „pytając się naprzód, jeżeli on, lubo będąc tak wybornej istoty, jednak przy tak nieumiarkowanych z przyczyny, iż zostaje w ciele, niedoskonałościach, może pojmować rządy Wszechmocności i sądy nieograniczonej Mądrości? Które nawet równe, jako są, nie mogą być pojmowane, tylko od samego Boga, gdy sam Stworzyciel nie może w niczym porównywać z sobą stworzenia. Przyznaje zatem: iż niedostatki w rzeczach doczesnych, które on (człowiek) opowiadał, są prawdziwe, dowodzi jednak oraz, iż każda z tych rzecz lubo ma w sobie niedoskonałości, ma jednak dobre skutki. Odpowiada mu dalej: iż

jako Bóg we wszystkim jest nieograniczoną doskonałością, tak i Opatrzności Jego niepojęte są sprawy. Dowodzi, iż sama niedoskonałość rzeczy światowych jest skazaniem innej człowieka ojczyzny; iż świat tylko jest dla niego jak dla podróżnego, który różne niewygody, przykrości i samego nawet życia niebezpieczeństwa zwykł cierpieć; iż świat jest jako plac, na którym żołnierz podając życie na śmierć lub okrucieństwa niewoli, dobija zwycięstwa. Dowodzi, iż tylko na świecie jest miejsce zasług, a zasługując się nie można mieć dostatecznego spoczynku, ponieważ praca i spoczynek nie mogą się razem w jednym czasie mieścić. Dowodzi na ostatek niezawodną cnoty nagrodę, a oraz iż się sama cnota jako jej nagroda, im większe cierpi przykrości i następy nieszczęścia, tym bardziej zwiększa, bezbożność zaś, iż nigdy nie może być szczęśliwa, a osobliwie, iż nieustannie w torturach sumienia jęczy: zatem strapienia człeka, a w szczególności tego, do którego mówi, więźnia błogosławiąc kończy".

Tak wygląda konstrukcja całości dzieła Adama Kempskiego; jego dopełnieniem miała być jeszcze czwarta księga „ducha poetycznego zapędu" (wielka szkoda, że autor podaje nam o tym tylko wzmiankę). Żałować nam wypada, że poeta nie zdołał zrealizować swoich literackich zamierzeń, ale i z tego, co się ukazało drukiem, poznać możemy wymiary jego talentu i jego artystyczne możliwości. Oczywiście pamiętać musimy, że *Myśli* Kempskiego noszą aż nadto wyraźny stempel swoich czasów, a więc racjonalizującej epoki *le bon sens*. Uwidacznia się już ona w zewnętrznym wyglądzie książki, w jej podziale na rozdziały, paragrafy i punkty, a następnie w podniosłej tematyce, w widocznych staraniach o formę literacką.

Poemat religijno-filozoficzny dla literatury saskiej nie jest nowością. W r. 1742 ks. Walenty Józef Wcisłowski ogłosił wierszowaną *Teologię polską*[1]. W zestawieniu z tą dogmatyczną rozprawą, ujętą w formę poetycką, *Myśli* Kempskiego posiadają rumieniec życia, bo opierają się na jego bacznej a czujnej obserwacji, posiadają pewien emocjonalny nurt wewnętrzny, znamionujący każde prawdziwe dzieło sztuki.

Walorami tymi górują *Myśli* bezsprzecznie również nad dwoma innymi dziełami o pokrewnej tematyce. Są to prozaiczne utwory ks. Stanisława Witwickiego: *Zbiór powinności chrześcijańskiej*[2] z r. 1684 oraz *Abrys doczesnej szczęśli-*

---

[1] Ryszard Skulski: *Ks. Walentego Józefa Wcisłowskiego „Teologia polska" 1742 r.* Teka zamojska 1, 1938, 3, s. 158 n.

[2] *Zbiór Powinności Chrześciańskiej Duchownego y Świeckiego Stanu. Pierwsza część w której się nauka daie powołania do Stanu Duchownego, y Obowiązków w tym stanie będących, tak do chwały Boskiey, jako y pieczołowania dusz od Boga powierzonych przez X. Stanisława Witwickiego z Bożey y Stolicy Apostolskiej łaski Biskupa Łuckiego y Brzeskiego, dla duchowieństwa teyże Diecezyi z Pisma Bożego, z ustaw Kościelnych, Oyców Świętych zebrana Roku pań. 1684. Dnia 20 września w Wilnie w Drukarni J. K. M. WW. XX. Franciszkanów Roku Pańskiego 1757.*

wości[1] z r. 1685. W części drugiej *Zbioru* omawiał autor obowiązki różnych stanów, jako to obowiązek „królewski, senatorski, szlachecki, sędziego, hetmanów, żołnierza, młodzieński, w małżeństwie, stan wdowi — obowiązek pana, poddanych i sług, gospodarza, nauczycielów". Obowiązki nauczycieli wyprowadził uczony ks. biskup z surowej ortodoksji kościelnej i podawał przy tym swoisty pogląd na stan ówczesnej wiedzy szkolnej. Kempski w tej sprawie wykazywał znacznie więcej liberalizmu, był bardziej nowoczesny. Natomiast w zestawieniu z *Abrysem* — wykazują *Myśli* więcej zbieżności tematycznych. Analogiczna jest postawa Witwickiego, który stwierdzał, że „przyczyny nieukontentowania naszego w nas są i w rzeczach światowych", że „prawdziwe szczęście nie znajduje się w honorach i przełożeństwie" ani „dostatkach światowych", ani „faworach ludzkich", ani „w sławie od ludzi pochodzącej", ani „w znakomitości, to jest w szlacheckim urodzeniu", ani „w napojach i jedzeniu różnym", ani „w naukach i kunsztach różnych", lecz po „powrocie człowieka do samego siebie" „znachodzi szczęście na świecie, kto do woli Bożej przypadł". Wpływ Witwickiego na *Myśli* Kempskiego (wpływ raczej natury ideowej, a nie formalny), można nazwać prawdopodobnym, jeśli się uwzględni fakt, że obie prace ks. biskupa bardzo wysoko cenił Konarski. Właśnie ten sam Konarski, który napisał taką wspaniałą rekomendację *Myślom,* ten sam oba utwory Witwickiego zamieszczał w kanonie wzorowej lektury polskiej w klasie IV *syntaxis* i V *humanitatis*[2] i prawdopodobnie dlatego zainicjował ich reedycję (*Abrys* 1748 r., *Zbiór* 1757 r.). Rzecz znamienna, że *Myśli* na równi ze swoimi domniemanymi wzorami nie wytrzymały próby czasu[3].

Niewątpliwie dzieło Kempskiego przyćmiła blaskiem swoim literatura stanisławowska i tylko na krótko mogło się ono cieszyć tą opinią, której propagatorem był Konarski. Z tej dzie-

---

[1] *Abrys Doczesny Szczęśliwości Między cieniami ludzkiego nieukontentowania na widok Wystawiony dla pożytku duchownego, Przez J. W. Imći Xiędza Stanisława Witwickiego Biskupa Łuckiego y Brzeskiego, Naprzod w Warszawie roku 1685 a teraz powtornie w Wilnie z drukarskich pras, w roku 1748 na świat Wydany. W Drukarni Akademickey J. K. M. Societatis Jesu.*

[2] Florian Łagowski: *Konarski jako reformator szkół publicznych,* Przegląd Pedagogiczny 1884, s. 129 n.

[3] Tak jak nie ostały się również inne pozycje z kanonu lektury polskiej: *Jana Jakuba Potulickiego* (?) wierszowana *Rewolucja szwedzka i duńska,* b. m. i r. dr., lub dwa prozaiczne przekłady: 1) *Historya o Krucyatach Na wyzwolenie Ziemie Swiętey przez X. Ludwika Maimburga Societ. JESU, przedtym Francuskim ięzykiem opisana A teraz na Polski przez W. X. Andrzeja Wincentego z Unichowa Ustrzyckiego Proboszcza Katedralnego Przemyskiego przełożona Roku Pańskiego, 1707 w Krakowie.* 2) *Historya Rewolucyi Zaszłych w Rządach Rzeczypospolitey Rzymskiey Przez Jaśnie Wielmożnego Jmści Pana Jana Fryderyka na Kodniu Sapiehę Kanclerza Wielkiego W. X. Lit. Starostę Brześciańskiego Po Polsku wyłożona. W Warszawie w Drukarni J. K. Mości Kol. Soc. Jesu R. P. 1736.*

dziny właśnie zachowały się dwie ciekawe publikacje. Z *Zabawek poetyckich* Bohomolca[1] dowiadujemy się, że w Akademii Szlacheckiej Warszawskiej Soc. Jesu jeden z uczących się kawalerów Jan Tarnowski ułożył „do Adama Kempskiego, sekretarza Laski Wielkiej Koronnej, list z Pól Elizejskich imieniem Jana Kochanowskiego, książęcia poetów polskich, pisany w ten czas, gdy wyszły z druku jego *Myśli o Bogu i Człowieku*".

W liście tym czytamy mi.:

Odtąd jakem się dostał do wiecznej swobody,
O żadne świata tego nie dbałem przygody.
A mając tak rozkoszne w tym miejscu zabawy
Nie chciałem w lekkie wchodzić z śmiertelnymi sprawy.
Teraz gdym się dowiedział o twej Hipokrenie,
Muszę przerwać dwóch wieków głębokie milczenie.
Słyszałem, że gładkością piszesz niepojętą
Rzecz jeszcze poetyckim piórem nie dotkniętą,
Otwierasz tajemnice natury zakryte
Dając światu nauki z nich niepospolite.
Skąd winszuję, że z twojej, Adamie, osoby
Nowej Muzom Sarmackim przybywa ozdoby.
Ja, który niegdyś przez swe pracowite wiersze
Osiadłem na Parnasie polskim miejsce pierwsze,
Dziś sercem tym chętniejszym je tobie oddaję,
Im twój pożyteczniejszy wiersz za mój uznaję.
Mnie przez to dawnej sławy najmniej nie ubędzie,
Gdy Kempski pierwszym, drugim Kochanowski będzie.

Bagatela: na polskim Parnasie Kochanowski ustępuje miejsca Kempskiemu.

Nie tak daleko idzie anonimowy panegirysta z tego samego roku[2]. Przyznaje Kempskiemu „głębokość stylu", „gładkość kadencji", „delikatność".

Że tego wieku kiedy cnoty mdleją,
Nowym Lechii stawasz kaznodzieją,
Pozwól to jeszcze na pochwałę przydać,
Wszak nie grzech zdanie sprawiedliwie wydać,
Że z Kochanowskim w paragon cię wiażę:
On król poetów polskich — a ty książę:
Słuszność należy wdzięczność Mnemozyny,
Twe późne wieki czytać będą czyny.

Niestety! Nie spełniło się dotychczas życzenie poety-panegirysty. *Myśli* Kempskiego pozostały na długie lata tylko pozycją bibliograficzną. Niechże przynajmniej uwagi niniejsze przyczynią się do rehabilitacji niesłusznie zapomnianego nazwiska literackiego.

Lwów *Ryszard Skulski*

---

[1] *Zabawki poetyckie niektórych kawalerów Akademii Szlacheckiey Warszawskiej Societatis Jesu w Krasomowskiej sztuce ćwiczących się zebrane Przez Franciszka Bohomolca Soc. Jesu Professora Retoryki w teyże Akademii w Warszawie 1758*, s. 134.

[2] *Pochwała panegiryczna z przydaniem sentymentu JMci Panu Adamowi Kempskiemu, Laski W. K. Sekretarzowi Starszemu w Polszcze Wierszopisowi na Dokument wdzięczności w Roku 1758 napisana.*

CZYŻBY NAJDAWNIEJSZY POLSKI PRZEKŁAD WERTERA?

Przeglądając *Lwowskie Tygodniowe Wiadomości* natknąłem się w nrze 22 z 12 IV 1786 na s. 87 na „Obwieszczenie“ Komptoiru Jmć Pana Pillera, będące zaproszeniem do przedpłaty na dzieło *Skutki miłości w Przypadkach jednego tkliwego młodzieńca*. Bliższe szczegóły, podane w tym obwieszczeniu, między innymi te, że dzieło napisane jest w formie listów przyjaciela wydawcy i że zostało przełożone z niemieckiego, nasuwają przepuszczenie, że mógł to być przekład Wertera. Nie można oczywiście wykluczyć także możliwości, że był to przekład jednej z licznych wówczas w Niemczech werteriad, których K. Wojciechowski (*Werter w Polsce*, wyd. II, s. 22) doliczył się w latach 1775—1780 aż trzydzieści sześć. Niestety ani Biblioteka Uniwersytecka we Lwowie, ani Zakład Narodowy im. Ossolińskich dzieła pod powyższym tytułem nie posiada, nie zna go także Estreicher, trzeba więc z tego wysnuć wniosek, że przedpłata się nie powiodła i *Skutki miłości...* nie ukazały się w druku.

Lwów *Franciszek Smolka*

ZAPOMNIANA ROZPRAWA O WZNIOSŁOŚCI

Byłoby przesadą twierdzić, że historia filozofii polskiej leży dzisiaj w naszej nauce odłogiem: przeczyłyby temu prace Zieleńczyka, Żółtowskiego, Wąsika, Harasska i kilku innych współczesnych uczonych. Nie będzie natomiast przesadą, jeśli się powie, że odłogiem leżą całe działy filozofii narodowej, że *Historia logiki jako teorii poznania w Polsce* Henryka Struvego (wyd. II, 1911) jest tutaj jedynym godnym uwagi i naśladowania wyjątkiem. Żaden zaś z innych działów naszej filozofii nie jest tak bardzo upośledzony jak historia estetyki: temu nie zaprzeczy zapewne ani Wincenty Lutosławski, który w piątym tomie nowego wydania dzieła Ueberwega *Grundriss der Geschichte der Philosophie* (1928) umieścił swój niepospolitej wartości zarys historyczno-bibliograficzny filozofii polskiej, ani Władysław Tatarkiewicz, który w swoim znakomitym podręczniku *Historia filozofii* (wyd. II, 1933) uwzględniał wprawdzie myślicieli polskich, ale choć sam esteta, estetyk i historyk sztuki, estetykę polską tak dobrze jak pominął.

Uwzględniali ją po trosze historycy literatury polskiej, zwłaszcza Piotr Chmielowski, Tadeusz Grabowski i Marian Szyjkowski, ale z natury rzeczy poprzestawali na estetyce poezji, czyli na poetyce. Prace specjalne Piotra Chmielowskiego o estetyce Mickiewicza, Henryka Życzyńskiego o estetyce Krasińskiego i *Pamiętnika Warszawskiego*, Jana Witka o estetyce Euzebiusza Słowackiego, Zdzisława Kaczmarka o estetyce Libelta, Stefana Kołaczkowskiego o estetyce Kremera, Kazimierza Kosińskiego o estetyce St. Witkiewicza — to dopiero pierwsze kroki w pracy nad dziejami estetyki polskiej, nie wystarczające do stworzenia ich całokształtu.

Nie znamy nawet dokładnie przypadających dopiero na pierwsze lata XIX wieku jej początków. Dosyć powiedzieć, że mimo pomienionej rozprawy Witka, *Krytyki literackiej w Polsce w epoce pseudoklasycyzmu* Tadeusza Grabowskiego oraz przyczynków J. B. Richtera i Kazimierza Kosińskiego, nie ma dotychczas wyczerpującej monografii o estetyce Euzebiusza Słowackiego, którego *Teoria smaku w dziełach sztuk pięknych*, ogłoszona dopiero w lat dziesięć po śmierci autora w pierw-

szym tomie *Dzieł* (Wilno 1834), jest pierwszym w naszej nauce systemem estetyki.

Cały jeden rozdział (albo raczej paragraf) swego dzieła poświęcił Słowacki „wielkości i górności" (czyli jak dzisiaj mówimy, wzniosłości[1]) w poezji, opierając się na estetykach niemieckich. Całokształt *Teorii smaku* wykładał w uniwersytecie wileńskim w latach 1811—1814, a więc to, co mówił o wzniosłości, jest prawdopodobnie pierwszym studium polskim o tej postaci piękna, — pierwszym wygłoszonym, ale nie pierwszym drukowanym.

Pierwsza ogłoszona drukiem rozprawa polska o „wysokości", czyli o „wyniosłości" piękna ukazała się w majowym i czerwcowym zeszycie czasopisma jezuickiego *Miesięcznik Połocki* z r. 1818, a więc o lat sześć wcześniej od *Teorii smaku* Słowackiego. Tytuł brzmi: *Rozprawa o dwóch pierwszych wysokości źrzódłach, ułożona i przykładnie objaśniona od Donata Żebrowskiego, ucznia nauk wyzwolonych w Akademii Połockiej, na publicznym popisie przez rozmowę ze swoim towarzyszem wykładana.* Ta rozmowa toczy się pomiędzy towarzyszami A i B, z których drugi namawia pierwszego (tj. autora), żeby wypowiedział swój pogląd na „wysokość", czyli „wyniosłość" i zilustrował go przykładami z literatury nie tylko starożytnej, ale i nowożytnej nie wyłączając... swojej własnej poezji; towarzysz A niby to nie chce cytować własnych arcydzieł, ale wreszcie spełnia życzenie towarzysza B powodując się zapewne właściwą swemu zakonowi i jego „smorgońskiej akademii" (jak nazwał Akademię Połocką Stanisław Potocki) skromnością.

Główne myśli rozprawy Żebrowskiego możnaby streścić tak:

Co innego „piękność", a co innego „wyniosłość": „pierwsza więcej niż druga żywości w sobie zawiera i na kształt piorunu do serca rychło przenika, gdy tymczasem druga słodycz swoję, ni to nektar jaki, z lekka i powoli w niem rozlewa". Jakież „przedmioty wysokie" wywołują w duszy ludzkiej wrażenie wzniosłości? Autor rozróżnia pięć rodzajów takich przedmiotów. Najważniejsze są dwa pierwsze: 1) „nadzwyczajna ogromność lub rozległość" (przy czym „rozległość pozioma mniej niż w górę posunięta, a w górę posunięta mniej, niżeli na dół umysł nasz podnosić zwykła"); 2) „siła wielka lub prędkość niepospolita". Do „pomnożenia" zaś wrażenia „wyniosłości" przyczynia się: 3) „samotność", 4) „ciemność, 5) „zaniedbanie sztuki".

Jako przykłady rodzaju pierwszego przytacza autor urywki z *Iliady* (opis bogini Niezgody) i z *Eneidy* (opis Sławy) w przekładach Dmochowskiego, „opisanie" Alp z Liwiusza w orygi-

[1] Termin „wzniosłość" wprowadził do estetyki polskiej chyba dopiero Brodziński w przekładzie rozprawy Kanta pt. *Uwagi o piękności i wzniosłości* (1825).

nale i we własnym przekładzie, „ogrom postaci lucyperowej“ w *Jerozolimie wyzwolonej* w przekładzie Alberta Miera, jedną strofę z ody Sarbiewskiego (*Ad equites Polonos, cum mortem Carpatum redux ex Italia inviseret)* we własnym tłumaczeniu i na koniec (po ceremonialnych wzdraganiach i niezbyt szczerych, chociaż zupełnie słusznych obniżaniach samego siebie) utworek własny, mianowicie parafrazę wierszowaną „opisania“ Alp przez Liwiusza.

Następują przykłady drugiego rodzaju „wysokości źrzódeł“, to jest „siły wielkiej lub prędkości niepospolitej“: gniew Posejdona w XX księdze *Iliady*, wybuchy Etny w *Eneidzie*, potęga wszechmocy Boga i straszliwe upały w XIII pieśni *Jerozolimy* (w przekładzie Piotra Kochanowskiego), burza w *Pamiątce Tęczyńskiemu* Jana Kochanowskiego i w *Sądzie ostatecznym* Younga (w przekładzie Dmochowskiego). Dział osobny przykładów stanowią „podobieństwa i porównania, od zwierząt, ptaków, nawałności, rzek bystrych albo strumieni, od piorunów, grzmotów, błyskawicy, ognia i innych tym podobnych, wielką siłą obdarzonych przedmiotów wzięte“, np. porównanie bohaterskiego zapału rycerzy do zapienionego potoku — w *Pieśniach Osjana* (w przekładzie Krasickiego). Na koniec — „własna robota“ Żebrowskiego: *Opisanie spalenia Sodomy,* które, mówiąc nawiasem, jedynie w duszy autora i jego interlokutora mogło wywołać doznanie estetyczne „wyniosłości“.

Rolę trzech pozostałych czynników przyczyniających się do „pomnożenia“ „wyniosłości“ uzasadnia autor wcale szczegółowo — doświadczeniem. Oto samotność puszcz głuchych i odludnych, szczyty górskie pokryte śniegiem, jeziora „od zgiełku wszelkiego usunięte“ — wywołują silniejsze wrażenie niż umajone gaje, pagórki „winnicami mnogimi zasadzone“, kwietne łąki; pierwsze „umysł nasz przerażają“, drugie tylko się podobają. Podobnież zaćmienie słońca albo i noc gwiaździsta „dzielniej“ nas porusza niż „widok górnego sklepienia w dzień jasny“. A co się tyczy „zaniedbania sztuki i porządku“, to przecie doświadczenie uczy, że np. „bryły skał nieforemne... bardziej serce porywają, niż gdyby okazale wyrobione i porządnie rozłożone były“. I znowu — przykłady z poezji (na wszystkie trzy czynniki): jaskinia Sybilli kumejskiej i wędrówka Eneasza po krajach podziemnych w *Eneidzie*, puszcza bukowińska w *Wojnie Chocimskiej* Krasickiego, noc w *Władysławie Łokietku* i „cienie pieczarów podziemnych“ w *Dumie o kniaziu Michale Glińskim* Niemcewicza (*Śpiewy historyczne*), podróż Marsa przez pieczary kijowskie... w *Pułtawie* Muśnickiego (jakżeby wychowanek Akademii Połockiej mógł zapomnieć o poemacie na cześć Piotra Wielkiego, jednego z poprzedników uwielbianej przez jezuitów Katarzyny) i własna *Duma* pt. *Ojczyzna ubolewa nad klęską Polaków pod Warną.*

Na tym kończy się pierwsza część rozprawy. Drugą po-

święca Żebrowski „wysokim uczuciom“, które odróżnia od „wyniosłych przedmiotów“ i z których wyklucza zbyt „żywe, czyli gwałtowne afekty“ twierdząc, że np. szalony gniew „żadnego częstokroć nie sprawuje podziwienia, gdy tymczasem spokojny umysł horacjuszowskiego bohatera, co to bez żadnej bojaźni na świat walący się pogląda, każdego w zadumienie porywa“. Takie tylko „afekty“ wywołują, mówi autor, estetyczne wrażenie wzniosłości, które chociaż wznoszą się nad „mierność“, nie wstrząsają jednak duszą zbyt silnie. Jakże to znamienne stanowisko dla estetyki pseudoklasycznej! Nic go lepiej nie ilustruje jak to, że z *Kazań Sejmowych* Skargi (które autor bardzo słusznie uwzględnia na równi z mowami politycznymi Demostenesa i Cycerona) za przykład wysokiego uczucia służy ustęp z kazania drugiego („Zdrowie nasze w ręku waszych...“); zupełnym natomiast milczeniem pomija Żebrowski to, co jest najwznioślejsze w arcydziele Skargi, to znaczy proroctwa upadku Polski w kazaniu trzecim i ósmym. Z „przykładów rymotwórskich“ mamy w tej drugiej części rozprawy żal matki Euryala po śmierci syna w dziewiątej pieśni *Eneidy* (jako największe arcydzieło „tkliwości“, której autor wyraźnie nie odróżnia od „wysokości“!), pogrzeb młodego Zawiszy i płacz jego nieszczęśliwego ojca w *Wojnie Chocimskiej* Krasickiego oraz urywek z elegii Niemcewicza *Wygnaniec* („Mieszkania rodu mego, starożytne mury“[1]).

Oryginalnego rozprawa Żebrowskiego nie zawiera w sobie nic. Jest to kompilacja, której głównym źródłem jest słynne dzieło Blair'a *Lectures on Rhetoric and Belles-Lettres* (1783); nasz autor czytał je zapewne w przekładzie francuskim i zawdzięcza mu cały zrąb swojej rozprawy, to znaczy wyszczególnienie i charakterystykę owych pięciu „przedmiotów“ wywołujących wrażenie wzniosłości. Powołuje się także na Batteux'a i La Harpe'a. O tym zaś dziele, które tak wielką rolę odegrało w poglądach estetycznych XVIII wieku na różnicę pomiędzy pięknością a wzniosłością, to znaczy o dziele Burke'a *A Philosophical Inquiry into the Origin of our Ideas of the Sublime and Beauty* (1756)[2], autor milczy, bo prawdopodobnie o nim nie słyszał, jak nie wiedział zapewne o istnieniu Baumgartena, Lessinga, Sulzera, Kanta. Bądź co bądź, jest ta studencka elukubracja pierwszą w naszej estetyce drukowaną rozprawą o wzniosłości. Z tego względu warto było przypomnieć jej istnienie.

Kraków *Ign. Chrzanowski*

---

[1] Elegia ta jest parafrazą elegii Lewisa (Kleiner, *Studia z zakresu literatury i filozofii*, s. 58).

[2] Ob. Władysław Folkierski, *Entre le classicisme et le romantisme*, Kraków 1925.

O WIERSZACH MYLNIE PRZYPISYWANYCH KAZIMIERZOWI BRODZIŃSKIEMU

Podkreślano już nieraz, że jednym z najpilniejszych zadań, które wciąż jeszcze pozostają do opracowania, mimo że dla badań literackich posiadają podstawowe znaczenie, jest ogłoszenie pełnego i krytycznego wydania tekstów literackich. Dotyczy to zwłaszcza piśmiennictwa z pierwszej połowy w. XIX, gdyż brak odpowiedniej edycji takich pisarzy, jak Niemcewicz lub Brodziński, utrudnia wszelką pracę badawczą odnoszącą się do tego okresu.

Szczególnie dotkliwie odczuwa się to przy studiach nad twórczością Brodzińskiego. Wydanie Kraszewskiego z r. 1872 — 1874 nie tylko pomija sporą grupę utworów, ale zawiera także teksty zniekształcone częstokroć, czy to wskutek skreśleń cenzury i „poprawek" wydawcy, czy też w rezultacie niedbałej korekty odpisów i druku[1], wprowadzając w dodatku zamęt przez włączenie utworów innych pisarzy, jak to jest np. z przedrukiem pieśni nowogreckich w przekładzie J. B. Zaleskiego (*Dziewica i Charon*, *Sen Polikarpa*, I 359 — 360)[2]. Pewną poprawę wniosły publikacje A. Łuckiego (Kazimierza Brodzińskiego *Nieznane poezje*, Kraków 1910. *Nieznane pisma prozą*, Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce, t. XII, Kraków 1910. *Pisma estetyczno-krytyczne*, t. I i II, Warszawa 1934), ale i te wydania nie wyczerpują utworów Brodzińskiego pominiętych przez edycję Kraszewskiego (brak np. utworów drukowanych w czasopismach) i — co najważniejsze — nie są wolne ani od zniekształceń tekstu[3], ani też od omyłek w zaliczaniu do dzieł Brodzińskiego utworów pochodzących z twórczości innych pisarzy.

Jako przykład trudności, przed którymi staje dziś każdy badacz Brodzińskiego, oraz chaosu, jaki wskutek takiego stanu rzeczy panuje w naszych wiadomościach o jego puściźnie literackiej, niech posłużą następujące uwagi o dwóch wierszach niesłusznie przypisywanych autorowi *Wiesława*.

*

[1] Por. A. Łucki, *Jakiego Brodzińskiego znamy,* Ruch Literacki 1929, s. 71—73, J. Korpała, *Kraszewski jako wydawca „Pism" Brodzińskiego*, Silva Rerum 1928, s. 5—11 ii.

[2] Por. rec. Turowskiego o książce Tretiaka *Bohdan Zaleski* I, w Pamiętniku Literackim 1911, s. 413.

[3] Por. rec. Gubrynowicza, Pamiętnik Literacki 1911, s. 550.

1. W *Pismach estetyczno-krytycznych* K. Brodzińskiego (I 129—145), ogłoszonych w r. 1934 przez A. Łuckiego, znajdujemy rozprawkę *O pieśniach ludu niemieckiego i angielskiego*. Jest to przedruk anonimowego artykułu, zamieszczonego w *Tygodniku Polskim* w r. 1819 (IV 97—120). Na podstawie przekładów z poezji niemieckiej, dość licznie załączonych do tej rozprawki, ustalił prof. Gubrynowicz, że autorem jej jest Kazimierz Brodziński. Kilka z nich bowiem (*Płocha*, *Nawrócona* i *Pasterz*) umieścił później poeta w wydaniu swych pism w r. 1821[1]. Wniosek prof. Gubrynowicza poparła w parę lat później dr. Z. Ciechanowska dorzucając szereg nowych argumentów, wynikających ze zbieżności wywodów anonimowego artykułu z sądami wypowiedzianymi przez Brodzińskiego w innych jego pracach. O autorstwie Brodzińskiego świadczą także — zdaniem autorki — „właściwości stylu zarówno w prozie jak zwłaszcza w rozsianych licznie przekładach poezyj“[2].

Istotnie, sprawa autorstwa Brodzińskiego tak w stosunku do prozaicznej rozprawy jak też większości zamieszczonych w niej przekładów wydaje się dostatecznie umotywowana. Pewne wątpliwości można by zgłosić jedynie wobec przekładów ballad, które wydają się nieco dziwne na tle całej „sielankowej“ twórczości Brodzińskiego i zdecydowanie negatywnego stanowiska, jakie zajmował wobec ballady angielskiej i niemieckiej. Dotyczy to zwłaszcza przekładu z poezji niemieckiej pt. *Rycerz*. Wprawdzie miała to być „ballada żartobliwa“, gdyż element romantycznej grozy ujęto tu racjonalistycznie, posługując się na wzór ówczesnych powiastek i romansów motywem snu bohatera, ale ton żartobliwy i racjonalistyczny charakter ballady pojawia się dopiero w paru ostatnich wierszach i całość utworu utrzymana jest w tonie poważnej relacji o przerażającym zdarzeniu wśród ponurych, nastrojowych okoliczności. Ani ten nastrój grozy, celowo wywołany nagromadzeniem typowych akcesoriów wichury, burzy nocnej i błyskawic, ani romantyka upiorów zjawiających się w pustym zaułku przed oczami przerażonego rycerza i zapraszających go do wspólnej uczty — nie mogły chyba zachęcić Brodzińskiego do przekładu tego wiersza, skoro już przed rokiem tak zdecydowanie wystąpił przeciw owej „posępności, trwożnym uczuciom i okropności duchów, które przerażają imaginację ludów germańskich“.

Wątpliwości te zwiększa w pewnym stopniu wynik badań Z. Ciechanowskiej, która wśród źródeł innych przekładów, zamieszczonych w artykule *O pieśniach ludu niemieckiego i an-*

[1] Por. Gubrynowicz, *Kazimierz Brodziński, życie i dzieła* I, Lwów 1914, s. 345.

[2] *Źródła artykułu K. Brodzińskiego „O pieśniach ludu niemieckiego i angielskiego“ i zawarte w nim przekłady poezyj Herdera i Goethego*, Pamiętnik Literacki XX (1923), s. 174—183.

gielskiego, nie odnalazła oryginału omawianej tu ballady (por. *op. cit.*, przypis na s. 182). Bo też przekład ten istotnie nie pochodzi spod pióra Brodzińskiego i jest utworem Brunona hr. Kicińskiego, ówczesnego redaktora *Tygodnika Polskiego.* Świadczy o tym przedruk tego wiersza pod tymże samym tytułem *Rycerz* (wraz z uwagą: „z niemieckiego“) w I tomie *Poezyj* Kicińskiego (Warszawa 1840, s. 189—192). Oba teksty niewiele się różnią między sobą: przestawienie paru zdań oraz zmiana kilku wyrażeń w pierwszych trzech wierszach, jak też drobne różnice w dalszej części tekstu nie wychodzą poza charakter mało istotnych poprawek, poczynionych przez autora przy przedruku utworu napisanego przed dwudziestu laty.

Jeśli się zważy rolę Kicińskiego jako redaktora pisma, w którym ukazał się anonimowy artykuł, jak też przyjazne stosunki, jakie łączyły go z Brodzińskim[1] — to kwestia współpracy jego przy doborze przykładów na ballady omawiane w rozprawce *O pieśniach ludu niemieckiego i angielskiego* nie wydaje się dziwna, zwłaszcza że Kiciński, jako autor drukowanej przed rokiem *Ludmiły* oraz tłumacz sensacyjnego romansu *Rinaldo Rinaldini* Vulpiusa, mógł już wtedy uchodzić za poetę uprawiającego balladę i znającego literaturę niemiecką. Brak natomiast jakichkolwiek podstaw do przypuszczania, aby współpracownictwo to było znaczniejsze i dotyczyło bądź to pozostałych przekładów, bądź też prozaicznej części artykułu. W tym świetle niejasne może się wydać jedynie autorstwo przekładu drugiej „ballady“, przytoczonej w artykule Brodzińskiego pt. *Pies wściekły.* Jest to przekład piosenki umieszczonej przez Goldsmitha w *The Vicar of Wakefield.*

Jak stwierdza Z. Ciechanowska[2], tłumacz dokonał go nie bezpośrednio z oryginału, ale za pośrednictwem przekładu Herdera pt. *Elegie auf den Biss eines tollen Hundes.* To źródło przekładu, jak też rytmika i charakter piosenki, niezbyt trafnie przemianowanej tu na „balladę“, świadczyłyby raczej o autorstwie Brodzińskiego. Za Kicińskim — prócz owego miana żartobliwej ballady, łączącego ją z *Rycerzem* — przemawiałoby tylko istnienie w jego twórczości wiersza pt. *Pies srokaty*[3], który tematem swym i zasadniczym pomysłem przypomina piosenkę Goldsmitha. Ale równie dobrze mogłoby się to stać pod wpływem przekładu Brodzińskiego, co wydaje się tym bardziej prawdopodobne, że przekład ten nie został włączony do zbiorowej (choć niekompletnej!) edycji *Poezyj* Kicińskiego. W rezultacie współpracę Kicińskiego przy opracowywaniu artykułu *O pieśniach ludu niemieckiego i angielskiego* należałoby chyba ograniczyć do przekładu ballady pt. *Rycerz.*

*

[1] Por. Gubrynowicz, *op. cit.*, s. 227.
[2] *op. cit.*, s. 177—178.
[3] *Poezje* I, s. 230—232.

2. W *Nieznanych poezjach* K. Brodzińskiego, wydanych przez A. Łuckiego[1], umieszczono wiersz pt. *Jaś i Zosia*. Zaszła tu pomyłka (o którą przy ówczesnej schematyczności wszelakich „śpiewów", „dum" i „dumek" nie tak trudno!), gdyż autorem tej piosenki jest nie Brodziński, lecz Krystyn Lach Szyrma. Jest to jedna z dwóch *Dumek ze śpiewów ludu wiejskiego Czerwonej Rusi*, które wraz ze znanymi uwagami o poezji ludowej zamieścił Szyrma w r. 1818 na łamach *Dziennika Wileńskiego* (I 489—492). Wiersz przedrukowany u Łuckiego powtarza dosłownie tekst zamieszczony w *Dzienniku Wileńskim* wprowadzając jedynie kilka mało istotnych poprawek i odrzucając trzy ostatnie strofy pierwodruku, zawierające typowo sentymentalne zakończenie, obce ludowemu oryginałowi piosenki.

W jaki sposób wiersz ten znalazł się wśród rękopisów Brodzińskiego, trudno jest stwierdzić z całą pewnością, wydaje się jednak, że jest to odpis dokonany z myślą o przedruku „dumki" Szyrmy i pozostaje w związku ze współpracą Brodzińskiego w *Pamiętniku Warszawskim*. Jak wiadomo — w piśmie tym we wrześniu 1820, a więc w pół roku po przystąpieniu Brodzińskiego do ściślejszej współpracy z Bentkowskim jako redaktorem *Pamiętnika*[2], została zamieszczona[3] druga z „dumek" Szyrmy pt. *Zdanek i Halina*. Można zatem przypuszczać, że Brodziński, który z tytułu swych szczególnych zainteresowań poezją ludową był zapewne inicjatorem przedruku *Zdanka i Haliny*, zamierzał również uczynić to samo z „dumką" o Jasiu i Zosi, później jednak z nieznanych nam przyczyn zostawił ją w tece. Stało się to może z powodu owych trzech sentymentalnych strofek na końcu utworu, których usunięcie z tekstu piosenki chlubnie świadczy o „smaku" artystycznym autora *Wiesława*.

Wskazanie na powyższą omyłkę w wydaniu *Nieznanych poezji* Brodzińskiego było tym bardziej niezbędne, że chociaż „dumki" Lacha Szyrmy są znane i nieraz cytowane w pracach o ludowości w romantyzmie — wiersz ten przypisywany bywa także Brodzińskiemu i służy nawet jako materiał do charakterystyki jego twórczości, jak np. jest to w interesującym szkicu prof. Życzyńskiego[4], gdzie wśród „balladowych" wierszy poety wymieniono również „dumkę" o Jasiu i Zosi — utwór w istocie rzeczy słaby i nieudolny, ale o przełomowym znaczeniu dla dziejów polskiej ballady przed Mickiewiczem.

Wilno *Czesław Zgorzelski*

---

[1] S. 125—127.

[2] Por. oświadczenie Bentkowskiego w Pamiętniku Warszawskim XVI (1820), s. 134.

[3] XVIII (1820), s. 98—101.

[4] *Charakterystyka poezji K. Brodzińskiego*, Lublin 1929, s. 19.

DO GENEZY „ZAMKU KANIOWSKIEGO"

NIEZNANY WIERSZ M. DAROWSKIEGO O RZEZI HUMAŃSKIEJ

W „nocie IV" do I części *Zamku kaniowskiego* (p. p. do w. 276) pisał Seweryn Goszczyński: „Nic się w Ukrainie ważnego nie stanie, czego by nie przepowiedziało nadzwyczajne zjawisko — coś dziwnego, coś tajemniczego. Bunt ukraiński, który tu nazywają *koliszczyzną*, i szczególniej rzeź humańska (o której, nawiasem wspomniemy, są współczesne i przez świadków pisane poemata i opisy, zapewne nędzne pod względem sztuki, lecz ważne jako najwierniejszy obraz tej krwawej dramy) miała także być zwiastowaną przez nadprzyrodzone widzenia"[1].

Do napisanej w roku 1832 objaśniającej przedmowy do tegoż poematu, pt. *Kilka słów o Ukrainie i rzezi humańskiej*, dodał poeta następujący przypisek: „Cały niemal obraz tych wypadków zamyka się w poemacie pod tytułem *Rzeź humańska*. Napisał go niejaki Darowski, który był wówczas uczniem i całą rzeź przesiedział w kopule farnego kościoła. Szacowny ten dla swojej autentyczności zabytek w rzadkich bardzo rękopismach krąży po Ukrainie. Czytałem go w takim wieku, że go jeszcze ocenić słusznie nie umiałem"[2].

Wreszcie w późniejszych latach życia, w kreślonych naprędce zapiskach do pamiętnika, zanotował Goszczyński jeszcze raz (pod r. 1818) *Poema o rzezi humańskiej* podając w ten sposób czas przeczytania owego utworu[3].

Tak więc autor *Zamku kaniowskiego* sam wskazał jedno ze źródeł swego poematu.

Nasuwa się pytanie, czy ów wiersz Darowskiego zachował się do naszych czasów. Badacze twórczości Goszczyńskiego nie

---

[1] *Zamek kaniowski*. Powieść. Przez Seweryna Goszczyńskiego. W Warszawie 1828, s. 151—152.

[2] *Pisma* Seweryna Goszczyńskiego. T. I. *Zamek kaniowski. Poezje liryczne*. Lwów 1838, s. XIV. Zygmunt Wasilewski w II tomie *Dzieł zbiorowych* Goszczyńskiego (Lwów 1938, s. 20—21) złączył oba te przypiski w jeden.

[3] Seweryn Goszczyński, *Podróż mojego życia. Urywki wspomnień i zapiski do pamiętnika, 1801—1842*. Wydał Stanisław Pigoń. Rozprawy i materiały Wydziału I Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, t. I, z. 3, Wilno 1924, s. 84.

zajmują się tą sprawą uważając widocznie ten opis rzezi humańskiej za zaginiony. Czy słusznie?

W literaturze historycznej mamy parę wzmianek o wierszowanych opisach rzezi humańskiej, skreślonych przez naocznych świadków. A więc np. były uczeń szkół humańskich Antoni Chrząszczewski w swym pamiętniku pisze: „Rzeź humańską opisał wierszem ktoś taki, co był jej naocznym świadkiem i uszedł szczęśliwie powszechnego mordu. W rękopiśmie tego poematu, który mi się dostał, pozbawiony kilkudziesięciu wierszy początkowych, wymieniony jest w liczbie pobitej szlachty jakiś Leszczyński ze swoją żoną" [1].

Inny opis tej rzezi miał dać marszałek skwirski Teodor Rylski na podstawie opowiadania swego ojca, który był w czasach koliszczyzny studentem w Humaniu; schwytany przez hajdamaków uratował się śpiewając pieśń *Preczystaja Diwo, maty ruśkoho kraju*, której nauczył się u bazylianów [2].

Także niejaki Serwacy Prus Socharzewski, komornik kijowski, był naocznym świadkiem rzezi w Humaniu, którą opisał w poemacie pt. *Echa ukraińskiej rzezi na Polakach i Żydach roku 1768 spełnionej*. Wiadomość o nim podaje także Heleniusz, który miał rękopis tego utworu; w cytowanym poprzednio dziele przytacza on nawet wyjątki i daje krótkie streszczenie wiersza Socharzewskiego [3].

Wreszcie w roku 1904 Iwan Franko z rękopisu Biblioteki Ossolińskich wydał cały dłuższy utwór pt. *Krótkie opisanie wierszem polskim nieszczęśliwej klęski w całej Ukrainie a najszczególniej tyrańskiej rzezi w mieście Umaniu przez Maksyma Żeleźniaka Zaporożca najpierwszego herszta za poduszczeniem Melchisedeka ihumena Motrenins. najprzód zbuntowanego a potem przyłączeniem się Gonty sotnika umańskiego zmocnionego na polskim i żydowskim narodzie roku 1768 dopełnionej i spraktykowanej, przez studenta szkół umańskich dla wiecznopomnej całemu światu pamięci zebrane i złożone wiersze* [4].

Z wymienionych tutaj czterech opisów należy od razu wyeliminować drugi i trzeci — ze względu na znane nazwiska autorów, z których żadne swym brzmieniem nie przypomina

[1] Wyjątki z pamiętnika Chrząszczewskiego ogłosił J. I. Kraszewski w dodatk udo *Pamiętników* Jana Duklana Ochockiego (t. IV, Wilno 1857), a następnie Henryk Mościcki w publikacji *Z dziejów hajdamaczyzny*, Warszawa 1905; przytaczam za Mościckim (cz. II, s. 114).

[2] E. Heleniusz, *Rozmowy o polskiej Koronie*, Kraków 1873, t. II, s. 15—16. O tym opisie nic nie wie Goszczyński, chociaż on właśnie był przez trzy miesiące u marszałkostwa Rylskich w Poczujkach guwernerem (zob. *Podróż mojego życia*, s. 44); zapewne pan marszałek nie zapuszczał się w pogadanki z guwernerem, który nadto nie przypadał mu do smaku, jak się wyraża sam Goszczyński (*ib.* s. 45).

[3] *Op. cit.* II, s. 15 i 17—27.

[4] Матеріяли до історії коліївщини, III. Польська поема про уманську різню. Подав др Іван Франко, Записки Наукового Товариства ім. Шевченка, t. LXII, Lwów 1904, s. 1—40.

nawet Darowskiego. Co do rękopisu, o którym wspomina Chrząszczewski, trudno cokolwiek twierdzić, gdyż — z wyjątkiem nazwiska zamordowanego Leszczyńskiego — brak nam tu wszelkich bliższych danych. Pozostaje więc tylko rękopis wydany przez I. Frankę.

Według informacji wydawcy, wiersz ten znalazł on w zbiorze materiałów do rzezi humańskiej, przepisanym dla H. ks. Lubomirskiego w r. 1840 przez nieznanego kopistę z rękopisów będących w posiadaniu barona Chaudoira z Iwnicy [1]. Interesujące nas *Krótkie opisanie* zajmuje tu karty 51—66 i liczy 794 wiersze. Na wstępie autor wspomina krótko o wybuchu powstania w Śmile, Korsuniu, Kaniowie i Bohusławiu oraz o wyrznięciu Łysianki; potem opowiada o przybyciu watahy Żeleźniaka pod Humań, o zniszczeniu przedmieść, o przyłączeniu się Gonty do hajdamaków i pertraktacjach zakończonych podstępnym zajęciem miasta przez połączone oddziały obu watażków. Następnie opisuje dokładnie sam przebieg rzezi, a na koniec kreśli obraz egzekucji nad hajdamakami po zlikwidowaniu ruchu.

Zestawiając zawarty w tym wierszu opis zajęcia Humania przez hajdamaków i dalszego rozwoju wypadków — z wiadomościami podanymi w Goszczyńskiego artykule *Kilka słów o Ukrainie i rzezi humańskiej* — widzimy znaczne podobieństwo obu relacji. Ponieważ zaś poeta w przytoczonym poprzednio przypisku wyraźnie powołuje się na poemat Darowskiego, podobieństwo to — obok innych względów — przemawiałoby za przyjęciem hipotezy, że w ogłoszonym przez I. Frankę wierszu mamy właśnie ów rzekomo zaginiony opis Darowskiego.

Wobec tego nie od rzeczy będzie nieco dokładniej zastanowić się nad przedstawieniem przebiegu zdarzeń u obu pisarzy.

A więc autor *Krótkiego opisania* w tytule wyraża przekonanie, że bunt Żeleźniaka rozpoczął się „za poduszczeniem Melchisedeka ihumena Motrenins[kiego klasztoru]“; Goszczyński wprawdzie nie podaje imienia ihumena Melchisedeka (Znaczko-Jaworskiego), ale pisze, że ruch zaczął się „w skutku porozumień się z popami ruskimi“ i że na początku „odbyło się poświęcenie nożów... w monasterze św. Motry“. W dalszym ciągu autor *Zamku kaniowskiego* opowiada, że „Szczęsny Potocki, dziedzic Humania, napisał do Gonty, że mu dwie wsie daruje, jeżeli utrzyma jego Kozaków w posłuszeństwie i Humań obroni. Ten list szedł przez ręce pewnego Młodanowicza, zawiadującego dobrami Potockich, który go otworzył, przeczytał, a skuszony sposobnością zyskania dwóch wiosek, zataił obietnicę pana przed Gontą i na siebie wziął całą obronę. Tymczasem Żeleźniak się zbliżał. Przerażenie powszechne, podsycane cią-

---

[1] *Op. cit.*, s. 1.

głymi wieściami najwymyślniejszych okrucieństw, dręczyło zamkniętych w samym warownym Humaniu. Gonta podejmuje się traktowania z Żeleźniakiem i wyjeżdża naprzeciw niego o trzy mile, do miasteczka Sokołówki; Kozacy nadworni postawieni w polu dla zasłony miasta. Niedługo trwała niepewność zamkniętych w Humaniu. Kozacy Żeleźniaka, albo jak ich zowią, hajdamacy, pokazują się od lasku zwanego Greków i stają obozem. Gonta z nimi, a wnet i cały jego oddział przechodzi na stronę hajdamaków... Dwa dni przechodzą na nieśmiałych harcach ze strony hajdamaków: gotowe działa trzymają ich w oddaleniu; udają się więc do wybiegu. Gonta posyła do Młodanowicza, aby mu pozwolono wjechać do miasta dla rozmówienia się: pomimo oporu innych Młodanowicz zezwala. Gonta przybywa pod bramy, ale w liczniejszym orszaku, niż była umowa; puszkarz chciał dać ognia, Młodanowicz połą od sukni nakrył zapał działa, Gonta wjeżdża, a jego towarzysze opanowują natychmiast bramę i pobliskie działa i ułatwiają szturm do miasta całemu korpusowi Żeleźniaka".

W poemacie Gonta tak przemawia do swoich Kozaków:

Lubom stwierdził przysięgą wierności przymierze,
Jednakże choć *kumowie* jeden drugi, trzeci,
Którzy u mnie trzymali i ja u nich dzieci [1],
Przecież czynią pode mną podstępne zawody,
Listy do mnie pisane tają wojewody [2],
Nie daruję...

(w. 192—197).

W dalszym ciągu czytamy w *Krótkim opisaniu* o nadejściu Żeleźniaka od lasu zwanego Greków, o połączeniu się z nim Gonty i jego Kozaków, a następnie o pertraktacjach, podczas których, gdy Gonta chciał wjechać do miasta,

Markowski woła: „Strzelcie!", a strona nie daje.
Młodanowicz Lenarda porucznika [3] łaje;
Przybiegłszy do armaty zapał zakrył połą.
Otóż Gonta zbliża się z miną już wesołą.
Lenard z złości ujechał [4], tylko słowo piśnie:
„Już gości w mieście mamy!" Każdy bronią ciśnie [5].

(w. 315—320).

Dalej obaj autorowie piszą o samej rzezi, podając takie szczegóły, jak napad na kościół oo. bazylianów podczas mszy, obwołanie Gonty „księciem humańskim" itd. W zakończeniu obaj opisują stracenie pojmanych hajdamaków.

---

[1] Goszczyński także wspomina, że Gonta był ojcem chrzestnym dzieci Młodanowicza, mi. późniejszej autorki pamiętników, Krebsowej.

[2] Franciszka Salezego Potockiego; Goszczyński przez omyłkę pisze o liście Szczęsnego.

[3] Heleniusz pisze, że Lenchard (sic!), komendant piechoty miejskiej, chciał zrobić wycieczkę zaręczając, że rozprószy pijanych Kozaków; temu jednak sprzeciwił się Młodanowicz (*Rozmowy o pol. Koronie* I, 565—566).

[4] Rusycyzm — zamiast: odjechał.

[5] Por. u Goszczyńskiego: „Niespodziewany ten napad rzucił taki popłoch, że wszystko prawie o ucieczce tylko myślało".

Widzimy więc, że obie relacje wykazują dużo podobieństwa, czasem nawet w drobnych szczegółach (o zakryciu połą armaty przez Mładanowicza celem uniemożliwienia wystrzału, o nadejściu Żeleźniaka od lasku „Greków“ itd.). Należy jednak zaznaczyć także pewne rozbieżności. A więc według Goszczyńskiego Mładanowicz ginie z rąk Gonty jako pierwsza ofiara, gdy w poemacie dzieje się to dopiero pod koniec rzezi. Bazylianin odprawiający mszę podczas napadu hajdamaków na kościół nazywa się we wierszu Lewicki, zaś według Goszczyńskiego miał to być sam przeor Kostecki [1]. Autor *Zamku kaniowskiego* mówi, że do studni pod klasztorem wrzucono do tysiąca uczniów żywcem, a dopiero potem ich przysypano kamieniami, gdy w poemacie czytamy, że do studni wrzucono trupy, żeby uniknąć uciążliwego grzebania; niejednakowy też czas trwania rzezi i liczba jej ofiar. Podobnie nie zgadzają się obaj autorzy co do miejsca kaźni Gonty; za to sam opis egzekucji zupełnie podobny.

Te wszystkie rozbieżności staną się jednak zupełnie zrozumiałe, gdy zważymy, że od czasu gdy Goszczyński czytał poemat Darowskiego, do napisania artykułu o rzezi humańskiej upłynęło lat kilkanaście, w ciągu których dane Darowskiego zmieszały się w pamięci poety ze szczegółami znanymi z tradycji; nie pozostała też zapewne bez wpływu znana z rękopisu nieco fantastyczna relacja Krebsowej.

Mimo wszystko dość znaczne podobieństwo w opowiadaniu obu pisarzy oraz podana w tytule wiadomość, że autor *Krótkiego opisania* był uratowanym od rzezi uczniem bazylianów humańskich, przemawiałyby za tym, że w opublikowanym przez Frankę rękopisie mamy kopię utworu Darowskiego. Jest na to jednak jeszcze jeden dowód — moim zdaniem rozstrzygający; a mianowicie w zakończeniu tego wiersza czytamy:

Więc za łotrów skaranych i bitych zbawienie
Należy się anielskie zmówić pozdrowienie.
Już[ci] są osądzeni na ziemię(sic!) i w niebie,
Zabójcy i zabici widzą wspólnie siebie.
Oraz i ja piszący smutnej klęski pienie
Proszę za mną uczynić do Boga westchnienie.
Imię moje M. znaczy, D. zwanie wyrazi,
Błaby mój wiersz nikogo niechaj nie urazi.
Którym ze szkół był wzięty, życiem darowany,
Z łaski Boga natchnięty Harmokracki zwany
Ten mię schronił. Com widział tyraństwa i męki,
Tom opisał. Niech Bogu wieczne będą dzięki.
(w. 783—794).

Podane w wierszu 789 litery M. D. to, rzecz jasna, inicjały imienia, na razie nieznanego, i nazwiska — oczywiście *Darowski.* Bo chyba nie bardzo prawdopodobna będzie (teore-

[1] Ale nazwisko ks. Kosteckiego wśród ofiar wymienia także *Krótkie opisanie.*

tycznie zresztą możliwa) ewentualność, że oprócz wymienionych poprzednio, jeszcze jeden uratowany z rąk hajdamaków uczeń szkoły humańskiej — i to o nazwisku zaczynającym się także na literę D — napisał wierszem opis rzezi, w wielu szczegółach zgadzający się ze znanym Goszczyńskiemu poematem Darowskiego.

Pozostawałaby jeszcze kwestia, skąd Goszczyński znał pełne nazwisko autora oraz szczegół o jego przechowaniu się w kopule kościoła — czego brak w poemacie. Na to odpowiedzieć dość łatwo: wiadomości te musiały do autora *Zamku kaniowskiego* dojść w drodze tradycji ustnej, albo nawet, gdy wiersz Darowskiego krążył w odpisach, mogły być przez jakiegoś przepisywacza (z częstą w podobnych wypadkach niekonsekwencją w stosunku do tekstu) umieszczone w odpowiednio zmodyfikowanym tytule.

Można więc przyjąć za dowiedzione, że w opublikowanym przez Iwana Frankę tekście mamy zachowany utwór, który obok innych momentów przyczynił się do genezy pomysłu *Zamku kaniowskiego*. Tylko pomysłu, bo w samym poemacie lektura tego opisu rzezi nie odbiła się żadnym echem — jeżeli nie liczyć późniejszej przedmowy. Za to nie pozostała ona zapewne bez wpływu na napisany w roku 1819 *Śpiew o rzezi humańskiej* [1] — dziś znany nam tylko z tytułu.

Już podczas druku niniejszego artykuliku znalazłem wzmiankę o wierszu Darowskiego w *Słowniku geograficznym* (t. I, s. 909); mianowicie Edward Rulikowski w swym wspomnieniu o Daszowie, opowiadając o napadzie hajdamaków na tę miejscowość w roku 1768, powołuje się mi. także na „opis koliszczyzny wierszem przez Darowskiego" [1]. Niestety z tej wzmianki nie da się nic dokładniejszego wywnioskować o treści utworu Darowskiego, który Rulikowski czytał zapewne w jakimś odpisie. Ogłoszony przez Iwana Frankę tekst wspomina Daszów raz jeden, w wierszu 573 (zob. w druku s. 19).

Lwów

Piotr Al. Kostruba

---

[1] Zob. *Podróż mojego życia*, s. 22.

ANEGDOTA O PRZYGODZIE MIŁOSNEJ BYRONA JEDNYM ZE ŹRÓDEŁ „MAZEPY“ SŁOWACKIEGO

Słowacki nie tylko dziełami Byrona się interesował, lecz również osobistością jego, życiem romantycznym, przygodami miłosnymi i śmiercią opromienioną blaskiem walki o wolność Grecji. Nic więc dziwnego, że opowiadanie o jednej z przygód odbiło się echem wyraźnym w tym *Mazepie*, którego bohater dał temat również utworowi poety-lorda.

Słowacki znał zapewne książkę, której dwa niewielkie tomiki ukazały się w Paryżu w r. 1837: *Vie privée et amours secrètes de Lord Byron*, trad. par M. F. (przekład angielskiej książki Johna Milforda).

Autor, dla którego — jeśliby mu wierzyć na słowo — nie było tajemnic w życiu Byrona, z pobytem jego w Rawennie łączy początek romansu szczególnie ważnego w życiu poety.

W Rawennie twórca *Childe-Harolda* zamieszkał w domu starej wdowy, której siostrzenica Amelia często ją odwiedzała. Młoda dziewczyna szybko zdobyła jego miłość. Idyllę przerwał tajemniczy napad. Byron wracając z opery miał zwyczaj owijać się swym płaszczem szkockim. Pewnego razu posłał do starej kobiety służącego z wiadomością, żeby go nie oczekiwać. Sługa uważał, że najlepszym sposobem noszenia pańskiego płaszcza byłoby włożyć go na siebie, i tak właśnie uczynił. Ale w chwili gdy wchodził w bramę domu, silna jakaś ręka zadała mu dwa ciosy sztyletem. Padł zlany krwią, a krzyki jego usłyszał sam pan, który zmieniwszy nagle zamiary szedł tuż za nim. Oczywiście cios przeznaczony był dla Byrona... Zaraz następnego dnia Byron opuścił Rawennę (t. I, s. 175—176).

Autor plotkarskiej biografii początkowo każe czytelnikowi przypuszczać, że w ten sposób chciano się zemścić za wierszyki satyryczne na temat szlachty rawenneńskiej. Tom drugi jednak przynosi rozwiązanie zagadki znacznie bardziej romansowe.

Przybywszy do Wenecji Byron poznaje piękną Teresę hr. Guiccioli. Okazuje się, że ona to była rzekomą Amelią, rzekomą siostrzenicą wdowy, i że pragnęła pod przybranym imieniem i nazwiskiem zbliżyć się do sławnego człowieka. Napastnikiem

był *bravo* (zawodowy morderca, którego miano spopularyzowała w epoce romantycznej powieść Coopera); wynajął go stary mąż pięknej pani, hr. Guiccioli.

Rzecz jasna, że związanie owej przygody z osobą wiernej kochanki Byrona, którą Tomasz Moore w biografii poety zwał przedmiotem ostatniej i jedynej rzeczywistej miłości jego całego życia (*the object of this last and only real love of his whole life)* — co prawda zaznaczając jeszcze inną wcześniejszą jako ważny wyjątek: *with one signal exception* — musiała wpłynąć na tym łatwiejsze i silniejsze jej zapamiętanie.

Toteż w dramacie o Mazepie i Amelii — cios przeznaczony Mazepie rani króla owiniętego w płaszcz pazia, które to zranienie przez omyłkę — zgodne jest zresztą również z tradycjami literackimi omyłkowych ciosów i zabójstw.

Lwów *Juliusz Kleiner*

NOWE ŹRÓDŁO „ZŁOTEJ CZASZKI“

Świetny fragment dramatu o Strażniku krzemienieckim „Złotej Czaszce“ zastanawiał krytyków niezwykłością tonu serdecznej, prostej idylli, w której realizm godził się z subtelnym pięknem — jedyny raz w tak przedziwnie harmonijnym zespole w twórczości Słowackiego, zasadniczo dalekiej zarówno od zdecydowanego realizmu jak od istotnej idylliczności. Przyczyny połączenia w tak idealnym stopniu tych dwóch rodzajów stylu, niezupełnie odpowiadających charakterowi wyobraźni twórczej Słowackiego, szukano we wpływie *Pana Tadeusza*[1]. I niewątpliwie, niespotykany u Słowackiego stosunek serdecznego ukochania tradycji swojskiej wraz z wszystkimi jej właściwościami charakterystycznymi, jakim tchną karty dramatu, miał swe źródło w Mickiewiczowskiej idylli o dawnych Polakach. Do niezaprzeczonego też wpływu wielkiej epopei należy słusznie odnieść chęć przypisania inicjatywy w zawiązaniu konfederacji tyszowieckiej rodzinnemu Krzemieńcowi; pod ten wpływ można podciągnąć i metodę łączenia dziejów z małoznacznym środowiskiem małego miasteczka i trzy warstwy składające się na utwór: życie codzienne, dramat osobisty bohaterów i dramat historyczny[2]. Ale czy wszystko należy przypisać bezpośrednio i wyłącznie wpływowi *Pana Tadeusza?*

Istnieje utwór drobny i literacko małoznaczny, zupełnie niewspółmierny pod względem wartości artystycznej z świetnym dramatem — a jednak posiadający tyle z nim stycznych, tak w ogólnej atmosferze idylli przechodzącej w tragedię jak w postaciach, sytuacjach, scenach, nawet w pewnych charakterystycznych szczegółach, że trudno nie przypuścić ściślejszego związku pomiędzy tymi utworami.

Utworem tym *Kościół w Grużyńcach*[3], jedna z p o w i e ś c i k o z a c k i c h Czajkowskiego. Że Słowacki nie był zupełnie obojętny na twórczość Czajkowskiego, dowodem chociażby chęć przeciwstawienia się w *Beniowskim* — *Wernyhorze* „kozako-po-

[1] St. Dobrzycki, *Złota Czaszka*, Przegląd Narodowy 1909, II. — J. Kleiner, *Juliusz Słowacki,* t. III, wyd. II, s. 296—307.

[2] Zasadnicze momenty wspólne z *Panem Tadeuszem* uwydatnił J. Kleiner, *op. cit.*, s. 297—298.

[3] *Powieści kozackie*, Paryż 1837.

wieściarza", a w *Janie Kazimierzu — Stefanowi Czarnieckiemu* i zawartemu w nim ujęciu wieku XVII.

Ale nie zawsze reakcja była tylko negatywna. *Wernyhora* pobudził może w ogóle Słowackiego do zajęcia się dokładniejszego epoką konfederacji barskiej[1], a *Stefan Czarniecki* zwrócił prawdopodobnie jego uwagę na czasy wojen szwedzkich, przy czym romans ten użyczył wprost całej masy szczegółów do odmalowania — i to właśnie w *Złotej Czaszce* — scen związanych z powstaniem konfederacji przeciw Szwedom.

Wspólność szczegółów w *Złotej Czaszce* także ze *Stefanem Czarnieckim* dowodzi, jak przy pisaniu swego dramatu Słowacki bliski był Czajkowskiemu.

Właściwe jednak analogie kojarzą *Złotą Czaszkę* ze wspomnianą powieścią Czajkowskiego, z *Kościołem w Grużyńcach.*

Powieść składa się z trzech części (6-ciu rozdziałów), różniących się między sobą terenem akcji, a zwłaszcza barwą nastrojową. Część I po zapoznaniu czytelnika z głównymi postaciami powieści, rodzicami, córką i jej ukochanym, przedstawia pogodną, radosną idyllę, piękny dzień wiosenny urodzin bohaterki romansu, panny Anny, ukochanej jedynaczki, obchodzonych hucznie w zamożnym domu Cześnika Sosenki w Grużyńcach na Podolu; zjeżdża w gości całe sąsiedztwo, podejmowane ochoczo i suto przez gospodarza po uroczystym nabożeństwie. Spokojną idyllę mąci jednak, choć na razie nieznacznie, nieporozumienie ojca z córką. Miłości bowiem Anusi i pułkownika kozackiego Bohuna stoi na przeszkodzie duma Cześnika, który nie chce wydać córki za nieszlachcica. Idyllę przerywa, konflikt rodzinny zaognia wojna domowa z Kozakami — rzecz dzieje się za czasów Chmielnickiego — na którą wyrusza z jednej strony Cześnik „na czele szlachty i pacholików" wraz z synami i niefortunnymi konkurentami panny Anny, z przeciwnej strony jej ukochany Bohun.

Na pisemne zlecenie męża chroni się Cześnikowa z Anusią pod opieką Wojskiego i jego żony do Lwowa, gdzie przebywają okres zawieruchy wojennej i gdzie ma miejsce część II powieści.

Tymczasem Cześnik kładzie głowę w obronie ojczyzny, a wraz z nim giną synowie jego i konkurenci panny Anny. Gdy po ugodzie białocerkiewskiej zapanował spokój, wracają niewiasty do domu, gdzie dowiadują się o zgonie najbliższych. W opustoszałych i smutnych po śmierci Cześnika Grużyńcach rozgrywa się część III — tragiczna.

Po ukończeniu żałoby Anusia ma wyjść za ukochanego Bohuna, ku czemu — zdawałoby się — nie ma już żadnych przeszkód, ani rodzinnych (skoro Cześnik nie żyje), ani politycznych (po pokoju z Kozakami), zwłaszcza że nawet sam wielki

---

[1] J. Kleiner, *op. cit.*, s. 87—88, 291—298.

hetman koronny do Wojskiego i Cześnikowej za pułkownikiem kozackim się wstawia. Teraz jednak zaczyna się właściwa tragedia. Anusię bowiem nawiedzają co noc groźne mary ojca i braci, zabraniające jej wiązać się z ukochanym, z którego ręki wszyscy w walce zginęli. Odkłada więc zawarcie małżeństwa; by zaś nie zaszkodzić narzeczonemu, cierpi trzymając zjawy w tajemnicy. W końcu jednak decyduje się na ślub ze względu na matkę, ciężko chorą z troski o los córki. Decyzja nieszczęsnej sprowadza katastrofę; piorun zabija przy ołtarzu państwa młodych i matkę oblubienicy.

Przytoczone streszczenie pozwala stwierdzić wyraźną analogię między obu utworami w zasadniczym trzonie akcji. Główne wątki podobnie się rozwijają. W obu utworach dramat rozgrywa się pomiędzy trójcą rodzinną (w której na pierwszy plan wysuwa się tu i tam ojciec i córka) a konkurentami panny. Córki w obu utworach kochają się nieodpowiednio, bo wbrew woli ojców. W obu utworach jest wojna, tu z Kozakami, tam ze Szwedami, na którą wyruszają ojcowie i konkurenci panien. Wojna ta przerywa pogodne idylle szlacheckich dworków. Dramat rodzinny, wiążący się ściśle, tak u Czajkowskiego jak u Słowackiego, z dramatem dziejowym, doprowadza w obu utworach do podwójnej katastrofy: zgonu ojca i śmierci córki. W I bowiem akcie dramatu znajduje się wyraźna zapowiedź śmierci Strażnika „Złotej Czaszki" („...bo się lękam, że pierwej mi zadzwonią na pogrzeb niż na córki wesele") — a w II akcie śmierci jego córki („Zaniesiecie wy mnie na cmentarz!").

Że podobne nieszczęścia istotnie spadną na rodzinę Strażnika, wynika ze słów parabazy dramatu:

> I usłyszycie, jak puka do ściany
> Nieszczęście... bądźcie więc wyrozumiali
> Dla tych rubasznych serc... i szorstkich dłoni,
> Spokojne domy także piorun pali...

Brzmią te słowa jak echo katastrofy piorunowej, która niszczy doszczętnie ród Sosenków w *Kościele w Grużyńcach*.

Obok analogii głównego wątku dramatycznego świadczą jeszcze o pokrewieństwie utworów ściślejsze podobieństwa pomiędzy poszczególnymi postaciami, pojedynczymi scenami, sytuacjami, aż do szczegółów charakterystycznych, które specjalnie potwierdzają naszą hipotezę.

Mimo że Strażnik jest postacią monumentalną, w której skupia się „poezja rycerskiego wieku" i wyraża „tężyzna duchowa narodu"[1], a Cześnik jest tylko z grubsza ciosany i niekonsekwentnie ujęty, mimo to mają wspólne pewne zasadnicze rysy. Przede wszystkim gotowość bronienia ojczyzny, posuniętą do bohaterstwa. Cześnik wyszedłszy „na czele szlachty i pacholików do Baru" w obronie jego „cudów waleczności doka-

---

[1] J. Kleiner, *op. cit.*, s. 302.

zywał" i „zginął walecznie pod Beresteczkiem" — a Strażnik szybko i odważnie decyduje się na zawiązanie konfederacji, na wymarsz przeciw Szwedom do Dubna, w razie zaś klęski „będzie chyba nie na mogiłkach, lecz pod mogiłkami". Obaj są przy tym dobrze posuniętymi w latach dawnymi wojskowymi. Pan Cześnik „doskakiwał szóstego tuzina latek", „pod Gąsiewskim odbył całą wojnę moskiewską... pod Chodkiewiczem szwedzką i turecką", a Strażnik również nie znajduje już przy boku swoim ludzi, z którymi niegdyś w wojsku ojczyźnie służył, „hetmanów dawnych, Kalinowskiego", bo „są już w grobach". Obu też wybiera szlachta w niebezpieczeństwie na wodzów, Cześnik obwołany zostaje regimentarzem siły zbrojnej województwa bracławskiego — Strażnik „Złota Czaszka" marszałkiem konfederacji na Krzemieniu. Obaj są wreszcie w domu autokratami i chcą przeprowadzić swą wolę w wyborze męża dla jedynaczki; każdy z nich przy tym dumny jest ze swej córki.

Gospodarna i trzeźwa pani Strażnikowa, chociaż energicznym tonem przypomina raczej weredyczkę Wojską (z drugiej części powieści Czajkowskiego), ma jednak z cichą, potulną i czułą na krzywdy ludzkie panią Salomeą Sosenkową jednaki stosunek i do córki, i do męża. Obie rozumieją serca córek i współczują im, lecz równocześnie obie uznają autorytety mężów i ulegają im bez protestu.

Córki, Anusia i Agnieszka, obie jedynaczki pieszczone i kochane, obie nieszczęśliwe z powodu tej miłości, obie młode i pełne wdzięku.

Wybrańcy serc obu panien są na pierwszy rzut oka zupełnie niepodobni. Z jednej strony typowy „gdzie powróć, to Kozak", „chwat do kobiet i do konia, do tańca i do boju", z drugiej sentymentalny student, żak-poeta. Ale po bliższym przyjrzeniu się można dostrzec pewne rysy wspólne: brak szlachectwa oraz pewien związek studenta w pierwotnym pomyśle *Złotej Czaszki* z Ukrainą. Świadczą o tym „stepy" i „duma Ukraińca", znajdujące się w pierwszej redakcji dramatu [1] w słowach Jana-Kleofasa, później z tekstu ostatecznego usunięte. Na wyraźniejszą jeszcze reminiscencję czasów Chmielnickiego z *Kościoła w Gružyńcach* wskazuje pozostawiona w dramacie anachroniczna postać Jeremiego ks. Wiśniowieckiego.

Brak szlachectwa u Jana-Kleofasa („ozdobą Domu naszego jest bocian na dachu Zamiast blaszanej z herbem chorągiewki") wygląda na pozostałość po Bohunie Czajkowskiego, u którego główną przyczyną niechęci Cześnika do Kozaka jest jego pochodzenie nieszlacheckie. Bo przecież w *Złotej Czaszce* ten brak szlachectwa jest zbyteczny, gdyż samo ubóstwo i żakowstwo Jana-Kleofasa wystarcza aż nadto, by człowiek rozsądny, jak Strażnik, chcąc przed śmiercią widzieć córkę pod dobrą

[1] Słowacki, *Dzieła wszystkie*, t. X, s. 547—548 (Odmiany tekstu).

opieką, wolał na zięcia wybrać statecznego i zamożnego pana Gąskę.

Podstarzałemu Gąsce użyczył pewnych rysów stary Chorąży z Grużyniec, Strzemecki. Jego powinszowanie urodzin w stylu staropolskim, okraszone łaciną („Przy dzisiejszym feście panna Anna zaakceptuje powinszowanie: bogdaj Niebo ochroniło ją od złej alternatywy, a fortuna przyjaznym kołem zawsze się dla niej toczyła. Piękna jesteś jak róża, życzę małżonka świeżego jak ta róża — i abyście oboje wyglądali jak te dwie róże, które racz przyjąć od swego serwusa“) — przypomina żywo przemówienie „komicznej powagi“ pana Gąski, które nawet rozśmiesza zapłakaną i nieszczęśliwą Agnieszkę. W ogóle ten rys pewnej śmieszności, jakim obdarzył Słowacki pana Gąskę, pochodzić może właśnie od Chorążego Strzemeckiego, któremu panna Anna lubi płatać psoty.

Poza podobieństwem pomiędzy postaciami zachodzą także analogie w sytuacjach. Dom i rodzinę poznajemy w dniu uroczystym, u Czajkowskiego w dzień urodzin bohaterki powieści, u Słowackiego w wigilię Bożego Narodzenia. Tu i tam odprawia ksiądz z polecenia pana domu uroczyste nabożeństwo; gastronomiczna dziedzina w obu domach jest silnie reprezentowana. Po nabożeństwie następuje w obu dworkach przyjęcie dla całego sąsiedztwa, w trakcie zaś przyjęcia u Czajkowskiego omal nie spotyka ukochanego panny despekt, u Słowackiego wprost spotyka. Wieczorem przed pójściem do snu obaj ojcowie postanawiają o losie córek; Cześnik zaklął się przed żoną, że „wprzód na katafalku ciało jego złożą, nim córka jego wyjdzie za mąż za nieszlachcica“, a Strażnik podobnie przed nocą rozkazuje żonie przygotować Agnieszkę na zamążpójście za pana Gąskę.

Podobieństwem również uderzają pewne szczegóły drobne, jak mowa o trzewiczkach panny Anny „Winnickiego szewca roboty“ i o „złotem szytych na korkach“ trzewiczkach Agnieszki, jak „cyfry“ jednej i drugiej panny na ciastach w skojarzeniu z kolorem żółtym[1].

Ale najciekawsze są podobieństwa tych szczegółów, z których w *Złotej Czaszce* wynika jakaś niekonsekwencja w stosunku do całości utworu. Do tych należą d w i e r ó ż e, które ofiarowuje Chorąży Strzemecki pannie Annie, a które także zjawiają się stale i kilkakrotnie w związku z osobą Agnieszki; następnie ołtarz ubrany kwiatami przez księdza *ad captandam benevolentiam* Cześnika, w *Złotej Czaszce* zaś na polecenie Strażnika. Otóż kwiaty te, róże i piwonie, u Czajkowskiego są akcesoriami normalnymi w porze wiosennej, natomiast w *Złotej Czaszce*

---

[1] „na (ciastach)... jaśniały cyfry Anny i rok urodzin, a nić cukrowa, żółta jak pajęczyna, dokoła osnuwała ciasto“ (*Kościół w Grużyńcach*, s. 70) — „Zrobię jeden mazurek szafranowy i z cykaty wylepię na nim cyfrę Gnusi... Drugi mazurek biały z cyfrą pana Gąski... Nie! przeciwnie: na żółtym będzie cyfra pana Gąski...“ (Słowacki, *Dzieła wszystkie*, t. X, s. 519).

tak róże jak kwiaty podczas nabożeństwa i jak w ogóle kwiaty — są drastyczną niekonsekwencją wobec pory roku.

Jeśli bowiem dwie róże znajdują się w „czarnym kornecie", który daje matka Agnieszce na kolędę, wszystko w porządku — są to róże sztuczne; ale kiedy w białym porannym kornecie Gnusi „siedzą wielkie rozkwitnięte", to wyglądają już na żywe, a bezwarunkowo nie mogą być sztuczne, gdy „jak aniołeczki Siedzą w białym korneciku I słuchają... i śmieją się z win". Taki antropomorfizm byłby zupełnie niezgodny w odniesieniu do róż sztucznych. A o żywe chyba trudno w grudniu, w dworku podolskim, w XVII wieku. Podobnie rzecz się ma z narcyzami. Gdy pan Gąska przysyła Agnieszce w podarunku „narcysa", można przyjąć, że był on sztuczny, — te narcyzy jednak, które Agnieszka podlewa na oknie swego pokoju i o które uprasza pan Gąska, są już na pewno prawdziwe, a to nie bardzo możliwe w czasie Bożego Narodzenia. Tak samo nieprawdopodobnie przedstawia się sprawa z kwiatami podczas nabożeństwa. Obraz procesji, w której przed księdzem „sypią różane listeczki", w żaden sposób nie da się pomyśleć w grudniu, lecz jest żywcem przeniesioną wizją z procesji Bożego Ciała (może właśnie pod wpływem „ołtarza w piwoniach" u Czajkowskiego). Takich niekonsekwencji w stosunku do pory roku jest jeszcze sporo. Cała poezja miłości Jana-Kleofasa, jego romantyczne nadranne oczekiwanie na zjawienie się ukochanej w oknie, może odbywać się letnią, ostatecznie wiosenną lub jesienną, ale w żadnym razie nie zimową porą. Akcesoria tych niewinnych *rendez-vous* na dystans, otwieranie okna o piątej rano, modlitwa Agnieszki w słońcu, okręcanie ojca pasem — wszystko to jest w zimie niemożliwe. Można by wprawdzie przyjąć, że relacja Jana-Kleofasa odnosi się do lata, do czasu przeszłego — ale zaprzecza temu rozmowa obu kolegów. „Słuchaj... i tak zawsze z daleka patrzysz?" pyta Stanisław-Szaweł — a rzecz dzieje się w okresie Bożego Narodzenia. Na to odpowiada Kleofas:

> Tak zawsze patrzę z daleka,
> Jak z jej rąk tęcza ucieka,
> Jak gołębie z ustek jedzą...
> Jak w kornecie białym siedzą
> Wielkie rozkwitnięte róże...

O różach była już mowa, obraz zaś gołębi, które jedynie przy otwartym oknie mogą jeść z ust Agnieszki będącej w pokoju, jest do pomyślenia tylko w porze letniej. Atmosferę też takiej pory niosą z sobą i różne inne szczegóły.

Wszystkie niekonsekwentne rysy składają się na wizję pory letniej w *Złotej Czaszce* tak sugestywną, że ulega jej jeden z twórców uzupełnienia dramatu, Kamiński, popadając przy tym w rażącą sprzeczność, kiedy każe Agnieszce zrywać różę w ogro-

dzie i podlewać grządkę rezedy w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia [1].

Wprawdzie Słowacki dość często wprowadza pory roku niezbyt wierne rzeczywistości [2], tak że nierzadko zdarzają się u niego pod tym względem niekonsekwencje. Pora roku u niego bowiem po największej części nie jest realistyczną, lecz komponowaną, jakąś idealną, ogólną porą roku. W tym komponowaniu jednak trzyma się Słowacki pewnej zasady, mianowicie przyjmując jako zasadniczą np. porę letnią składa z letnimi te elementy wiosny i jesieni, które w tych porach są zbliżone do lata, z pominięciem składników, które te pory jako przejściowe posiadają łącznie z zimą. Tak że poza granice zakreślone normalną dyspozycją wyobraźni, nastawionej na porę letnią, do wchłaniania elementów przejściowych między latem a wiosną czy jesienią, nie wykracza Słowacki nigdy. Takich wybitnych niekonsekwencji jak w *Złotej Czaszce* nie spotyka się u niego wcale. Pod tym względem jest dramat wyjątkiem, a ponieważ jest nie skończony, przypuszczać z wszelkim prawdopodobieństwem należy, że te sprzeczności zostałyby później usunięte. Widoczne jednak *in statu nascendi* utworu, naprowadzają na wniosek, że wizja letnia idylli krzemienieckiej, narzucająca się jakby gwałtem Słowackiemu, miała swe źródło w wiosennej idylli dworku Grużynieckiego. Czajkowskiego róże, ołtarz w piwoniach, srebno-zielone brzozy, pogoda słoneczna, wietrzyk majowy, zapachy kwiatów i drzew tak silnie zespoliły się w wyobraźni Słowackiego z wizją tragicznej sielanki, że czuje się, iż poeta zadaje sobie przymus chcąc utrzymać swoje dwa pierwsze akty w porze zimowej, czuje się, iż pisząc *Złotą Czaszkę* widzi dwór Strażnika we wiośnie, a tylko przypomina sobie od czasu do czasu, że to punkt kulminacyjny zimy, Boże Narodzenie. I chcąc niejako wynagrodzić sobie ten przymus zimy, już w parabazie zapowiada wiosnę na dalsze akty dramatu, jakby chciał przyśpieszyć zrealizowanie wizji podstawowej.

Dlaczego zatem obrał zimę za porę pierwszych aktów dramatu? Prawdopodobnie zaważyła tu istotna pora, historyczna, zawiązania konfederacji tyszowieckiej (29 grudnia), a może znowu wpływ Czajkowskiego, mianowicie przejęcie zespolonej ze scenami zawiązania konfederacji tyszowieckiej pory grudniowej, która wraz z innymi szczegółami mogła przejść do *Złotej Czaszki* ze *Stefana Czarnieckiego.*

Obok rozpatrzonych analogii pomiędzy postaciami, sytuacjami i szczegółami nasuwają się jeszcze podobieństwa ogólniejszej natury, mianowicie w idei moralnej i w stylu utworów.

---

[1] Rajmund Stanisław Kamiński, *Złotej Czaszki 3 akty*, Scena i Sztuka 1910, nr 24, s. 3—4.

[2] St. Turowski. Wstęp do wydania *Snu Srebrnego Salomei* w Bibl. Narodowej.

Idea filozoficzna powieści Czajkowskiego, wypowiedziana również w refleksjach metafizyczno-moralnych wprost od autora, wyraża się w poglądzie na świat, że w pozornej irracjonalności losu tkwi ręka Boża. Piorun niszczący bogobojny dom Cześnika jest dla rozumu „ślepym trafem natury", „dziwną zagadką życia" — w istocie zaś jest karą, którą zsyła „niepojęta ręka" Boga. Słowacki w parabazie *Złotej Czaszki* zapowiadając katastrofę, która uderzy w dom Strażnika, stwierdza również niezrozumiałą niesprawiedliwość losu:

Spokojne domy także piorun pali,
Chociaż je wiara — chociaż czystość broni...

i także szuka wyjaśnienia tego irracjonalnego porządku rzeczy

A jeśli wszystko zważymy na szali,
Nieraz się człowiek rozpaczy uchroni...

i ażeby się uchronić przed pesymizmem, znalazłby je prawdopodobnie tak samo w uznaniu wyższej, celowej, choć niepojętej mądrości Bożej. Takie przynajmniej zakończenie myśli rozpoczętej nasuwa się logicznie i pozostaje w zgodzie z światopoglądem Słowackiego z epoki towianizmu, stycznej czasowo z powstaniem *Złotej Czaszki*[1].

Obok analogii idei filozoficznej utworów nasuwa się jeszcze podobieństwo stylowe, mianowicie połączenie w obu utworach humoru trochę rubasznego, staropolskiego, z tragizmem, idylli z dramatem.

Wszystkie omówione wyraźne styczności pomiędzy obu dziełami wskazywałyby na skromną powiastkę Czajkowskiego jako na przypuszczalne źródło świetnego dramatu. Wprawdzie wskazanie jakiegoś literackiego źródła nie przedstawia może zagadnienia znaczniejszej wagi — w tym jednak wypadku, ze względu na fragmentaryczność dramatu, o odrębnym, niepospolitym nawet wśród utworów Słowackiego pięknie, i ze względu na istniejące już próby jego rekonstrukcji[2] (próby nie zawsze szczęśliwe) — w tym wypadku wskazanie zależności będzie może miało znaczenie specjalne.

Zgodność bowiem w obu utworach tak ogólnej atmosfery idylli przechodzącej w dramat, tak połączenia humoru z tragizmem, tak zasadniczej idei moralnej — jak konfliktu rodzinnego, postaci, scen, sytuacyj, aż do drobiazgów, aż do niekonsekwencji wynikłych z zależności dramatu od powieści — pozwala przy-

---

[1] J. Kleiner w monografii o Słowackim wykazuje, że istota pesymistycznego poglądu Słowackiego na świat polega na przekonaniu poety o irracjonalności świata, przezwyciężonemu później przez towianizm.

[2] J. German, *Projekt uzupełnienia Złotej Czaszki*, Pamiętnik Literacki 1909, s. 189—197. — Rajmund Kamiński, *op. cit.*, nr 23—31. — Projekt uzupełnienia podany przez J. Kleinera (*op. cit.*, s. 303—307) wynika konsekwentnie z logiki wewnętrznej dramatu i z tym projektem zgadza się prawie zupełnie niniejszy, oparty na powieści Czajkowskiego.

puścić, że i dalszy rozwój wypadków w dramacie posuwałby się po linii powieści.

Pierwsze dwa akty dramatu odpowiadają pierwszej części powieści, której akcja rozgrywa się w Grużyńcach, po czym następuje u Czajkowskiego ucieczka niewiast przed Kozakami do Lwowa. W parabazie dramatu jest mowa o półrocznej przerwie pomiędzy idyllą a tragedią dworku krzemienieckiego. Nie jest wykluczone, że Słowacki także wypełniłby tę przerwę ucieczką niewiast przed mogącą grozić zemstą Szwedów i że uciekałyby one także do Lwowa, gdzie jak ze słów Strażnikowej wynika, odwiedzały niegdyś ciotkę Agnieszki, zakonnicę, i gdzie odbywałby się akt III dramatu.

Bo akt IV rozgrywałby się w Krzemieńcu, w którym ukazałby poeta „las pływający rozwiniętych znaków", i zawierałby — analogicznie do układu powieści — akcję historyczną dramatu. Po nieudałej wyprawie pod Dubno, wskutek zdrady Jankiela, nastąpiłaby obrona góry Bony, zapowiedziana słowami Strażnika w II akcie: „Więc gdy zaatakują, to się zaniesiemy z żonami i z dziećmi, i z kościelnymi gratami na górę królowej Bony, do ceglanej ruiny... niby orłowie niebiescy" [1]. Obrona prawdopodobnie skończyłaby się odparciem Szwedów, według dalszych słów Strażnika: „...a kto ma w Panu Bogu ufanie, ten nie będzie strącony do czeluści piekielnych i nad nim siły piekielne nie przemogą".

Strażnik jednak, po odparciu Szwedów, zginąłby, ale z ręki Kleofasa. Prof. Kleiner wyraża podobne przypuszczenie, że kochanek Agnieszki „z występku w występek staczać się będzie tragicznie, że mścić się będzie na Strażniku, za przykładem Jacka Soplicy..." [2] Taka rola Kleofasa zgadza się z rolą Bohuna u Czajkowskiego, z którego ręki ginie w bratobójczej walce Cześnik.

Akt V rozgrywałby się znowu w dworku krzemienieckim, tym razem — według słów parabazy — „w zieleń wiośnianą ubranym". Obejmowałby prawdopodobnie, analogicznie do ostatniej części powieści, powrót Strażnikowej z córką, wieść „pukającą nieszczęściem" o zgonie Strażnika „Złotej Czaszki", przygotowania do ślubu Agnieszki z Kleofasem, przy czym zdradzenie przez idiotę Skopka tajemnicy uwiedzenia Agnieszki (zapowiedziane dwukrotnie w I akcie) [3] byłoby motywem skłaniającym Strażnikową do naglenia córki do ślubu; obejmowałby następnie także sny ostrzegawcze Agnieszki, w końcu ślub i piorunową karę za połączenie się węzłem małżeńskim córki z zabójcą ojca. Przemawia za tym kilka danych: przede wszystkim prawdopodobieństwo snów ostrzegawczych Agnieszki (ana-

---

[1] Nieudałą wyprawę pod Dubno, zdradę Jankiela i obronę góry Bony podaje w planie uzupełnienia dramatu J. Kleiner, *op. cit.*, s. 305.

[2] *Op. cit.*, s. 305.

[3] Wykazuje to J. Kleiner, *op. cit.*, s. 304.

logicznych do snów bohaterki Czajkowskiego) znajduje poparcie w podobnych ostrzegawczych snach Salomei przed nieszczęściem, które spadło na cichy dwór gruszczyniecki w *Śnie Srebrnym Salomei*, następnie śmierć Agnieszki zapowiedziana została w akcie II, piorun zaś w parabazie.

Piorunu tego nie musi się traktować tylko symbolicznie, jako „piorunu nieszczęścia", u poety, który już dwa dramaty zakończył piorunem prawdziwym.

Tym bardziej, że człowieka, na którego dom własny spadła również piorunowa kara, musiała silnie zainteresować odmienna niż w *Liliach* i *Dziadach* interpretacja kary piorunowej u Czajkowskiego. Mickiewicz bowiem karze piorunem sprawiedliwie za zbrodnie, za tym też ujęciem idzie sam Słowacki w *Balladynie*. U Czajkowskiego natomiast kara piorunowa jest pozornie irracjonalna. Wygląda jak dopust Boży, nieszczęście uderzające w dom bogobojny i cnotliwy. W istocie zaś swej jest karą za winy popełnione nie na platformie ludzkich uczynków, lecz na płaszczyźnie niejako wyższej, za winy nieposłuszeństwa Bożemu znakowi, snom ostrzegawczym. Kara więc piorunowa, pojęta w takiej interpretacji jako odpowiadającej osobiście poecie — czego dowodem zastosowanie analogicznie pojętej kary Bożej w *Śnie Srebrnym Salomei* — może przeszłaby do zakończenia *Złotej Czaszki*.

Lwów *Maria Bielanka*

III. MATERIAŁY

Z KORESPONDENCJI TREMBECKIEGO

Podajemy poniżej kilka listów Stanisława Trembeckiego do Stanisława Augusta, dwie odpowiedzi królewskie oraz luźne kwity i dokument, odnoszące się do zawiłych spraw finansowych szambelana. Materiały te, dotąd nie ogłoszone, z okresu lat 1790—1794, nie wymagają specjalnego komentarza. Budzą interes: nowa wiadomość o trzykrotnej podróży Trembeckiego z bratankiem króla Stanisławem ks. Poniatowskim (syn podkomorzego Kazimierza; jego *Memoires* ogłosił Józef Korzeniowski w *Revue d'histoire diplomatique* 1895, jego diariusz podróży do Niemiec w r. 1784 w rękopisie Zakładu Nar. im. Ossolińskich nr 1808) za granicę (do Włoch w r. 1793) tudzież informacja o dacie wstąpienia w służbę monarchy w roku 1769 (list z 4 lipca 1793), stwierdzona zresztą kilkakrotnie w opublikowanej już korespondencji Trembeckiego z królem. Ciekawy jest list (21 kwiecień 1790) dotyczący historycznych pomysłów Trembeckiego.

Dodatek mieści koncept listu ułożonego do użytku niewiadomej osoby, pisanego bezspornie ręką Trembeckiego, bezpośrednio po zawarciu aliansu Polski z Prusami w dniu 29 marca 1790, którego to przymierza autor *Listu do posłów powracających z Grodna* był zdeklarowanym przeciwnikiem. Szczegółowe objaśnienie rzeczonego listu pozostawiamy historykom politycznym.

Ludwik Bernacki

Lwów

I

Środa
21 Aprilis 1790[1]

Najjaśniejszy Panie!

Jakże ja milczeć nie mam, kiedy ust otworzenie często mi szkodzić zwykło! Wczora, nic nie znaczących kilka ledwie słów upuściwszy, zaraz mój znalazłem niepożytek.

Gdy była rozmowa o moim ulubionym bohaterze Annibalu, o jego zwycięstwach, kalectwie, i wzmianka o rzece Trebii, utrzymywałem, że ta ostatnia płynie w Stanach Parmeńskich, i niedaleko Placencji (łączy się z rzeką od starożytnych Bojów nazwaną Bezdinką, to jest niezmiernie głęboką i niby bez dna będącą, a Padus

[1] Ręką króla.

mianowaną od Rzymian; którzy jednak dawne, wyżej wspomniane imię z przyłączonym jego znaczeniem raczyli do naszej przesłać wiadomości).

Co wraz z drugiemi w dziejach dochowanemi słowy pokazuje, jakim językiem mówili Bojowie, którzy w ten kraj weszli pod wodzem Biało-wąsem, a w ich dialekcie Belo-wesem.

JX. Piatoli negował mi kilka rzeczy z powtarzaniem i stałością, a to w obecności WKMci i osób innych.

Te inne osoby na długi czas uprzedzonemi zostaną, że ja się upierałem przy niesłuszności, a prawda znajduje się z strony JX. Piatolego, ponieważ człowiek ten, uczony i nauczyciel, z urzędu lepiej nad cudzoziemca, który tam nigdy nie był, znać musi Włochy, swoję ojczyznę, którą i później z okiem wszystko zważającym przewędrował.

Na to uprzedzenie lekarstwa nie postrzegam. Ale pragnąc, abyś przynajmniej WKMć podobnego nie miał o mnie rozumienia, udałem się do źrzódeł, i widzę, iż nie popełniłem omyłki, utrzymując:

1-mo. Że Annibal nie trzy, ale cztery wielkie na Rzymianach wygrał bitwy, nad rzeką Tyczynem, nad Trebią, nad jeziorem Trasymene, i pod Kannami w Apulii, której część zamykająca Kanny zowie się dziś Ziemią Barską.

2-do. Że Annibal nie w bitwie nad jeziorem oko stracił, ale od zbytecznych zimna, wilgoci i niewczasów, przebywając rozległe wtedy bagna Hetruskie.

3-tio. Że Trebia płynie w Stanach Xcia Parmeńskiego i ma swoje uście blisko Placencji.

Stopy Pańskie z najgłębszym całuję respektem i przy nich nieskończenie przepraszam, że dla tak drobnego usprawiedliwienia mego biorę WKMci kilka sekond, które na rzeczy większej wagi zapewne byłyby obrócone.

Rękopis Biblioteki Polskiej Akademii Umiejętności nr 8, k. 192—193.

II

d. 6 września

Najjaśniejszy Panie!

Kasa pana Ryxa, która wie bardzo dobrze, iż żadnego innego nie mam i mieć nie mogę funduszu (gdyż wszelkie inne do życia sposoby od osób niezmiernie możnych przecięte mi były), w tym miesiącu już zupełnie płacić mi przestała, nie pytając się, czy mam za co żyć do jutra.

Oswojony z wielkiemi nieszczęściami i zmordowany długą z niemi walką, już dawno chciałem się im poddać, i na tym podobno trzeba będzie zakończyć.

Należy mi tylko pragnąć jeszcze uwiadomienia, czyli pan Ryx czyni to z woli WKMci.

Stopy Pańskie z najgłębszym całuję respektem.

Trembecki

U dołu ręką króla: Posłałem mu 9 # w trzech souverenach.
Archiwum Popielów nr 435, k. 268, 269.

III

Kopia

Ponieważ urodzony Jan Meisner, z wyraźnej woli naszej awansował urodzonemu Trembeckiemu, szambelanowi naszemu, sumę czerwonych złotych tysiąc, zapewniamy przeto tegoż ur. Meisnera, iż pomienioną sumę 1000 # z szkatuły naszej, począwszy od dnia pierwszego stycznia 1792 roku, po tysiąc złotych miesięcznie, przez ośmnaście po sobie idących miesięcy, punktualnie i niezawodnie, za złożonemi u niego kwitami ur. Trembeckiego, odbierać będzie. Dan w Warszawie dnia 4 miesiąca listopada 1791 roku.

Stanisław August Król

Rękopis Biblioteki XX Czartoryskich nr 840, s. 659.

IV

1

Kwit z pensji pro mense Junio 1792 kasie pokojowej JKMci dany, to jest na złotych tysiąc.

Stanisław Prus Trembecki

2

Kwit z pensji pro mense Julio 1792 kasie pokojowej JKMci dany, to jest na złotych tysiąc.

Stanisław Prus Trembecki

3

Kwit z pensji pro mense Augusto 1792 kasie pokojowej JKMci dany, to jest na złotych tysiąc.

Stanisław Prus Trembecki

4

Kwit z pensji pro mense Septembri 1792 kasie pokojowej JKMci dany, to jest na złotych tysiąc.

Stanisław Prus Trembecki

Rękopis Biblioteki Polskiej Akademii Umiejętności nr 8, k. 194—197.

V

d. 4 lipca 1793

Najjaśniejszy Panie!

Pod zwierzchnym zezwoleniem WKMci, wezwany od książęcia JMci Stanisława w podróż z nim do Włoch, wziąłem do tamtego kraju od Meisnera kredyt, zapłaciwszy mu z góry za tę uczynność # 150. Prócz tego, jako świadczy oddany mi regestr, a pisany ręką pana Gołuchowskiego, wydatek w tej podróży kosztował mię #452. Już to raz trzeci, w odległe podróże zawołany od książęcia JMci, ekspensowałem na nie przeszło tysiąc czerwonych złotych.

Nie daj tego, Boże, abym cień jakiejżekolwiek stąd miał rościć pretensji; i owszem, gotów byłbym jak najdrożej dokupować się ukontentowania w usłużeniu familii WKMci. Tym samym ukontentowaniem koszta i fatygi są mi bardzo obficie nagrodzone, innej nie szukam korzyści. Wszak podobno nigdy nie użyłem, i nie użyję, książęcia JMci za mną do WKMci instancji. Wszak podobno i to WKMć wiesz, iż w życiu moim od nikogo nie przyjąłem żadnego daru, prócz od Boga i mojego króla, w głębokości serca jęcząc, że się bez tego obejść nie mogłem. Co Pliniusz o człowieku w powszechności napisał, to do mnie szczególniej stosować się może: *Animal, quo nihil miserius, aut superbius.*

Dwudziesty piąty rok mam honor być sługą WKMci; w tym lat przeciągu różnemi dotykany przygodami, z bystrego młodziana stałem się mniej dołężnym staruszkiem, i z majętnego bardzo ubogim. Wyrozumiawszy dobrze moje smutne przeznaczenie, nad tym najwięcej pracuję, aby nie myśleć o jutrze i zrobić się nieczułym. Ale budzą mię z tego szczęśliwego letargu i burzą moję biedacką spokojność! Dowiaduję się, iż właśnie wtedy, gdy z książęciem byłem we Włoszech, zredukowano tu znowu pensją moję, tylekroć redukowaną, i która na koniec według świętego przyrzeczenia WKMci miała już być nietykalną. Dorozumiewam się, iż to uczyniono bez wiadomości Pańskiej. Teraz pani Ryxowa powiada mi, iż lubo ja tę pensją puściłem Meisnerowi do zeszłego tylko miesiąca czerwca *inclusive*, ponieważ jednak przez jej umniejszenie Meisner dotąd swego wybrać nie mógł, zatym dalej trzymać ją będzie.

Żyjąc jak czeladny rzemieślnik, co dzień za dzień, nie mam skarbów ani zapasów żadnych; a gdy mi się ten jedyny kanał zatyka, znajduję się nie tylko w niedostatku, ale i w prawdziwym ucisku. Jeżeli to jeszcze być może, suplikowałbym najpokorniej o rozkaz dla p. Ryxowy, aby ten tysiąc złotych miesięczny *a prima Julii* był mi tu płacony aż do fortunnego WKMci powrotu. Ja tym czasem serio przemyślać będę o sposobach, aby skarbowi WKMci nie być dalszym ciężarem.

Stopy Pańskie z najgłębszym całuję respektem.

Trembecki

U góry ręką króla: rep. le 12 moitié de pension.
Archiwum Popielów nr 435, k. 270, 271.

VI

4 listopada 1793

Najjaśniejszy Panie!

Od kilku miesięcy do krzesła prawie przykuty, gdy najczyściejszej potrzebuję głowy, nowe i nieprzewidziane spada mi zaburzenie. Pani Ryxowa dała mi wiedzieć, iż powinienem się udać do pana Bastiana po pensją, którą wspaniałość WKMci na moje wyżywienie przeznaczyła. Ten zaś odpisał mi, iż na jego nie znajduję się regestrze. W największym z sumnieniem moim pokoju, nie

znając we mnie cienia żadnej winy, i nie będąc bogatym, ani zgadnąć, ani wytłomaczyć sobie tego nie umiem.

Szanuję zawsze czas WKMci, a dopieroż przy tak mnogich zatrudnieniach. Ale widocznie przymuszony jestem jako najpokorniej suplikować, abyś, Miłościwy Panie, raczył w tej mierze dać mi poznać wolą swoję.

Aż dotąd kuchnia moja raz na dzień składała się z jednej potrawy; lecz może ślepej bogini, która mię prześladuje z dawna. zdaje się, iż to jest jeszcze nazbyt. W niepewności, co dalej ze mną stać się może, od dnia dzisiejszego zaczynam żyć samym chlebem i wodą.

Stopy Pańskie z najgłębszym całuję respektem.

Trembecki

Archiwum Popielów nr 435, k. 272.

VII

Z Grodna, d. 8 9-bris 1793

Mój Trębecki,

Odebrałem twój list de 4 9-bris. Wybacz, daruj, że w tym zburzeniu powszechnym moi ludzie gdzieniegdzie omieszkali dojrzeć czyjego interesu mimo mego zalecenia.

Dziś idzie rozkaz do Ryxa młodego, aby WPanu wypłacił 50 dukatów.

Spodziewam się w początku Decembra być już sam w Warszawie. Wtedy i o WPanu, i o wszystkich będę obmyślał, jak mi moja sytuacja własna, tak potężnie ścieśniona (bo od 8 do 3) obmyślać pozwoli.

Nic mi nie czyni dotkliwszym własne nieszczęście, jak to, że dla drugich już teraz nie mogę być tak dogodnym, jak dawniej. *Vale et me ama.*

S. A. R.

Adres: A monsieur Le Chambellan Trębecki, Varsovie.
Autograf w Archiwum Luba-Radzimińskich (Ossolineum).

VIII

d. 10 stycznia 1794

Najjaśniejszy Panie!

Piękna historia serca WKMci będąc mi zupełnie wiadomą, lubo Cię, Miłościwy Panie, wraz ze wszystkiemi kochającemi prawdę wyznaję być jednym z najwspanialszych królów, nigdy jednak nie przestanę być skromnym. Gdyż przekonywa mię sumnienie, iż przy długim nawet życiu nie mógłbym dość godnie odsłużyć tak wielu dobrodziejstw WKMci, które na mnie spłynęły. Chęć jest we mnie zawsze gorliwa, ale korzy mię i zawstydza szczupłość sił i niewielość sposobów. Szczególna jest tylko jeszcze łaska, o którą upraszać godzi mi się, i powinienem.

Moralne i fizyczne okoliczności ostrzegają mię dokładnie, że już długo słońca oglądać nie będę, a zatym nie jest warto starań

polepszenie losów moich, którem dotąd stale zaniedbał. Jedyne dobro, którego bym nierad utracić, jest spokojność duszy i równość umysłu; znajduje się w mocy WKMci zachować mię przy tym obojgu, jeżeli dobrotliwie prośbę moję wysłuchasz.

Ani bogactw, ani dostojeństw, nigdy zapewne nie zapragnę. Odejm mi tylko WKMć słuszną i bardzo naturalną troskliwość, że strawiwszy życie na dworze najlepszego z królów, nie będę kiedyżkolwiek nellizariuszował (!) po ulicach, a więcej do szczęśliwości mojej nie potrzeba.

Nie mogę bowiem słodko wspominać sobie, iż w nieodległym czasie, mimo rozkazu Pańskiego, ludzie WKMci zapomnieli byli ostatniego sposobu subsystencji mojej położyć na regestrze; to daje mi troszkę do myślenia, aż do jakiego stopnia zapominany bywam.

Pensja, którą czerpam z hojności WKMci, ma bez wątpienia swoję wartość; tę najpokorniej suplikuję, abyś, Najjaśniejszy Panie, według upodobania swego w kapitalik przemienić raczył, który ja u JOPani krakowskiej *à fond perdu* lokować bardzo bym pragnął. Nie trzeba na to wielkiej sumy, naznacz WKMć *parca quod satis est manu,* dosyć dla mnie ta pewność, że w całym świecie od nikogo (prócz od mojego króla) obowiązanym nie będąc, nie zabraknie mi odzieży, ani mię głód i zimno nie zabije.

Jeżeliby zaś i w tym miały się znajdować trudności, to przynajmniej suplikowałbym o dobroczynny podpis WKMci, że pensja, jaka się dziś zostaje, wypłacana będzie do lat trzech, mnie, lub ode mnie mającemu zlecenie (wojewodziny podlaskiej) *etiam in casu fatorum meorum*, po trzech zaś leciech całkiem ustać powinna.

Nie o dług się upominam, ani w moje ufam zasługi, które są albo nazbyt drobne, albo żadne; ale tylko wzywam zwykłego WKMci miłosierdzia.

Srodze mię to martwi, że mordowany różnemi przykrościami, te prośby przed Majestat WKMci zanieść musiałem. Jako w każdej godzinie, w każdej minucie radbym WKMci czynić moje usługi, tak wstręt mam niezmierny naprzykrzać się cożkolwiek. Przez wzgląd na ludzkość, i przez tę dla cierpiących litość, którą WKMć nad wszystkich europejskich dystyngwowałeś się monarchów, najusilniej przy stopach WKMci suplikuję, abyś, Miłościwy Panie, o losie moim finalnie postanowić raczył. Jakiż on kolwiek będzie, najsprawiedliwsza wdzięczność moja nigdy już ani końca, ani granic mieć nie może.

Przepuść WKMć łaskawie człowiekowi, czyniącemu tę ostatnią ofiarę swojej własnej konserwacji, którą każda czująca istota winna sobie. Mam nadzieję w Bogu, w dobroci WKMci, i w mojej organizacji, że tym podobnego rodzaju pisań już więcej nie będzie bywało.

Stopy Pańskie z najgłębszym całuję respektem.

Trembecki

Archiwum Popielów nr 435, k. 273, 275.

IX

I mnie łatwiej, i JWPanu lepiej z tym będzie, gdy te będziesz odbierał 40 # miesięcznie ode mnie, którem Ci upewnił, niżeli ten kapitalik, który ja nie jestem w możności JWPanu.....

Archiwum Popielów nr 435, k. 274 (Koncept własnoręczny króla, nie dokończony).

X

d. 14 stycznia 1794

Najjaśniejszy Panie!

Przed lat wielą czytając Spinozę (który z pisarzów mnie znajomych najdokładniej analizował namiętności) znalazłem w nim tę demonstrowaną prawdę, że wszystko, co złym i szkodliwym nazywamy, zdziełane jest nigdy inaczej, tylko przez ludzi smutnych. Odtąd z większym daleko staraniem unikałem smutku niż śmierć. Temu Izraelicie winien jestem, że dotąd żyję; jemu i to, że wczorajszy bilet WKMci nie wprawił mię jeszcze w ciężką konsternacją.

Jakże to stać by się mogło, abym ja miał upraszać WKMci o rzeczy, których uczynić nie byłbyś w stanie? ja, który nieodmiennie postanowiłem nigdy się o nic nowego nie naprzykrzać! Moja zapewne jest wina, żem się ciemno wytłumaczył. Dozwól WKMć dobrotliwie, abym jaśniej prośbę moję wyłuszczył.

W supozycji, że oświecona pobożność WKMci zamierzyła sobie mieć nade mną opatrzność aż do mego naturalnego skonu, i spodziewając się wyjednać u wojewodziny podlaskiej, żeby moją była podskarbiną, jako najpokorniej i najgoręcej ośmielam się suplikować przy podnóżku tronu WKMci.

1-mo. Abyś WKMć, bądź na piśmie, bądź ustnie zapewnić mię raczył, iż jakowa dziś jest pensja, taka bez odmiany będzie mi przez zwykłą wspaniałość WKMci zachowana do lat trzech.

2-do. Po których upłynionych, hojność WKMci ulokuje dla mnie w ręku JOPani krakowskiej *à fond perdu* takową sumkę, od której bym mógł mieć # 10 na miesiąc. Tyle jest dosyć, bo z wiekiem ubywa potrzeb i przyrasta uwagi. Zaś na moim kiedyś grobie każę wydrożyć prawdę w wierszu z Horacjusza zepsutym: *Francorum vigui Rege beatior.*

Nazbyt jest oczewista, iż niczego już więcej nie pragnę prócz spokojności wewnętrznej. Kłopot duszy mojej na nic się przydać WKMci nie może, a dla mnie ten nagły przechód z najgłębszego pokoju do gwałtownych poruszeń mógłby być arcyfatalnym.

Będę miał honor stawić mię dziś przed Majestatem WKMci, jeżeli, Miłościwy Panie, upodoba Ci się powtórzyć, że nie jesteś w stanie zadość uczynić tym prośbom moim całkowicie wyłożonym, uznam się przymuszonym do zgadywania, co ta *phrasis* chce znaczyć. Będzie to podobno dekret, nie zasłużony wprawdzie i troszkę surowy, ale już od niego nie apelować umyśliłem.

Stopy Pańskie z najgłębszym całuję respektem.

Trembecki

Archiwum Popielów nr 435, k. 276, 277.

XI

5 Junii 94.

Najjaśniejszy Panie!

Rozumiałem, że temu nic wziąść nie można, kto nic nie ma. *Qui iacet in terra non habet unde cadat.* Nałożone jednak są na mnie podatki. Z tych pierwszy, # 23 (to jest piąta część sumy, ile od mięszkania mego płacę), powinna być ode mnie złożona przed dniem 15 czerwca; pod karą potrójnego zapłacenia. Nie jestem w możności oddania tej kontrybucji, i już nie mam co przedać. W czasie innym potrafiłbym dług na to zaciągnąć, ale teraz nikt podobno nie pożycza. Zostaje ostatni sposób: suplikować WKMci o danie rozkazu p. Ryxowi, aby on mi tę sumę # 23 awançował, a potym tęż przez trzy miesiące *partitim* odtrącał z pensji, jaka mię teraz dochodzi.

Nieskończenie przepraszając, że WKMć interesem tej wagi ośmieliłem się zatrudniać, stopy Pańskie z najgłębszym całuję respektem.

U dołu ręką króla: Dałem mu te 23 #
Archiwum Popielów nr 435, k. 278.

DODATEK

Sobota.
9 Aprilis 1790[1].

Rzecz, o której raczyłeś mi WMPan wczora namienić, w Warszawie z nikim układaną być nie może. Człowiek angielski krótko jest ograniczony, mając rozkaz we wszystkich tutejszych interesach znosić się z Prusakami; z niego tedy prędzej przeszkoda mogłaby wyniknąć niż pomoc; ile że on ma zwyczaj rozpowiedać miewane z WMPanem rozmowy, które szeroko się rozchodzą.

W marszałku też sejmowym nie godzi się kłaść pełnego zaufania; nic on nie ujźrzy daleko, z duszą i kościami partyzant i poddany pruski, wiecznie tak będzie grał, jak go nadmą. Od wszystkich czasów nie był on WMPanu przychylnym. Straciłem o nim większe nadzieje widząc, jak drobnym namiętnościom jego dusza podlega. Mimo częstych spowiedzi, złość, zemsta, zawziętość w jego sercu panują. Publicznie i prywatnie prześladował Ośniałowskiego i braci jego, za to szczególnie, że w interesie Pani krakowskiej posłano go na trybunał. A posyłających ma kochać?

Jeżeli życzliwości i żywej czynności Bukatego zawierzyć można, on by to najprędzej sprawił udawszy się do Pitta. Ten minister nie odrzuci zapewne takowej, sobie przynoszącej chwałę a narodowi pochlebny pożytek, propozycji. Utraciłby część kredytu, kamienowałaby go opozycja, gdyby się ważył przynajmniej opóźniać. Nie postrzegam żadnych racyj, które by go słusznie wstrzymywały. Przystoi podobno Ottona Wielkiego i jego powinowatych uwiadomić o tym zamiarze, aby kiedy od nieprzyjaznych podstę-

[1] Ręką króla.

pem ochrzczony nie był. I trzeba podobno pomału gotować sobie moc do uskutecznienia obietnicy uczynionej Londynowi. Ale choćbyśmy potym dotrzymać jej nie znaleźli się w stanie, cel przez to nie byłby chybiony. Zna Anglia najlepiej, aż do jakiego stopnia dziś fakcja pruska u nas przemaga. Jeżeli sejm przychyli się do angielskich z naszemi złączonych pożytków, spólnie zyskamy na tym, a Prusy bardzo wiele utracą; jeżeli sejm będzie się przeciwił, ci, którzy nim władają, staną się Anglikom podejźrzanemi i nienawistnemi.

Ale kto by chciał wielką narodowi ludzkiemu uczynić przysługę i zatamować niezmierne krwi przelewy, powinienby wszystkiemi siłami starać się nakłonić Rosją do odnowienia traktatu handlowego z Anglikami według dawnych układów. Przeniesienie tego handlu na Francuzów, jeżeli nie jedyną, to przynajmniej największą dzisiejszej wojny jest przyczyną. Rzecz się zdaje pewna, iż przez to oszczędziłaby Rosja tak wielką stratę ludzi i pieniędzy, czego obojga nazbyt nie ma, upewniłaby sobie przywłaszczenia krymskie, i wyszłaby z rosnącego (nie maskując prawdy) niebezpieczeństwa.

Albo złe są, albo zniknęły już powody, które Rosją do przyjaźnienia się z Francją determinować mogły. Potemkin *(ut fertur)* luidorami przekupiony, co się z chciwością jego zgadza, malował imperatorowy (!) Anglią jako upadającą, a dom burboński jako najpotężniejszy, i najwięcej mający wpływu w interesa wschodnie, bez którego równej rozkazowi rady nic ważnego Turcy czynić się nie ośmielą. Wszystko tak nie jest; w proporcji dzisiejszych okoliczności, mimo utraconej Ameryki, Anglia silniejszą się znajduje, niż kiedykolwiek była; Francji kredyt w Stambule jest żaden, która przez swoje wewnętrzne a srogie klęski, długo w Europie będzie bardzo mało znaczącą. Stąd konieczna wynika potrzeba rozprzężenia się z tą zesłabioną potęgą, z którą dłuższe związki szkodzić by tylko mogły, a szkodzić upokarzającym, jeżeli nie gubiącym sposobem. Już by czas porzucić olbrzymskie projekta. Według historyków poetyzujących Alexander W. świat podbił, Rzymianie świat podbili, ale Rosja, mająca kraj większy niż tamte światy były, a chcąc być prawdziwie szczęśliwą, nie powinnaby już o podbojach zamyślać, zaludniałaby raczej i kwitnącemi czyniła te, których nad miarę posiada, rozległości, jeżeli się tylko przy nich na długo utrzymać zdoła.

Rousseau *(dans son Contrat Social)* śmiało przepowiedział, iż w przeciągu lat dwudziestu Anglia utraci Amerykę a Rosja będzie od Tatarów podbitą. Te lata już upłynęły, pierwsze wprawdzie spełniło się proroctwo, lecz wbrew drugiemu Tatarzy krymscy pod rosyjskie podgarnieni panowanie. Niemniej jednak ta potęga do zguby swojej dąży, i nie trzeba wielkim być prorokiem, aby jej przewidywać upadek.

Lepiej WMPan znasz zapewne ode mnie ambicją Potemkina. Szczęściem, że stosownej nie ma do tego głowy, chociaż się dość

dobrze otacza. Chciał być księciem kurlandzkim, okupiono mu się. Chciał być królem krymskim, zgubiłaby się imperatorowa, gdyby tego była dozwoliła. Chciał być królem perskim, ledwie mu wyperswadowano, że będąc innych obyczajów, języka, narodu, religii, nie mógłby się tam osiedzieć. Chciał być księciem Bessarabii, okoliczności nie dopuściły. Chciał być księciem udzielnym w Ukrainie polskiej, ten projekt musiał być zawieszonym. Chciał być królem polskim; póki ja żyję i mnie równi, nie byłby nim, chyba na godzinę. Chciał być księciem Moldawii i Wołoch, jeszcze do tego nie przyszło i nie przyjdzie. Jego chcenia nigdy nie mają końca. Chciał być hetmanem generalnym kozackim, i jest nim; ale nie tu meta, tylko śrzodek do jego dalszych wymierzeń.

Znam ja po części te niefałszywe reszty Hunnów, dziedziczące dotąd ich zręczność, siłę i zuchwalstwo, byłem w ich kraju, rozmawiałem z niemi, trzeźwy i pijany gorzałką. Zważałem ich najniebezpieczniejszemi poddanemi i skrytemi Rosyjczyków nieprzyjaciółmi, od których mają się za lepszych i są niemi, a niecierpliwie znosząc, że są od tamtych liczeni za podlejszych, czekają tylko pogody do wyplucia munsztuka. Z tą dziczą pobratymsko Potemkin żyje, niewielki krok czyni do ich zbliżając się zwyczajów, a tym sobie srogie serca ujmuje.

Skarb i wojsko jego podpadają rozrządzeniom, osoba nawet imperatorowy na jego prawie jest dyskrecji, tak ją swemi krewnemi, swemi stworzeniami obsadził. Palcem namacać można, iż jeżeli ten człowiek imperatorową przeżyje, a we trzy dni potym nie będzie zabitym albo porwanym, gwałtowną sprawi rewolucją i rozkruszenie państwa rosyjskiego. Ten, który chciał być Persem, zrobi się Kozakiem, Turkiem, Tatarem, jeżeli tak jego dumie dogodniej, jeżeli to większe upewni mu bezpieczeństwo.

Utaić nie mogę, iż rad bym, aby Rosja prędko pokój odzyskać mogła, aby moja ojczyzna nie była wciągnioną w niepożyteczne wojny, aby miłe mi osoby nie były na dyskrecji ludzi wątpliwej wiary, aby każdy na tym stopniu przebywał bezpiecznie i trwale, na którym go Bóg posadził.

Czemuż ja tak długo mam przy sobie kałamarz? Jest to gadatliwość ślepego, ktory odważa się sądzić o kolorach. Przepuścisz WMPan te nudzące skutki, przez wzgląd na uczciwą ich przyczynę.

Rękopis Biblioteki XX. Czartoryskich nr 852, s. 571—76.

FRANCISZEK MORAWSKI W OBRONIE „DWORCA MOJEGO DZIADKA"

W Archiwum Rodziny Morawskich w Luboni, pomiędzy innymi pamiątkami rodzinnymi, znajduje się też dłuższy, bo pięcioarkuszowy manuskrypt wybitnego poety-klasyka, generała Franciszka Morawskiego (1783—1861), mianowicie jego list do Stanisława Koźmiana, naówczas współpracownika *Przeglądu Poznańskiego*, pisany w odpowiedzi na recenzję *Dworca mojego Dziadka*, zamieszczoną w 1-szym „poszycie" *Przeglądu* z r. 1851.

Rzecz ta nie była dotąd nigdy ogłoszona w całości ani w oryginalnym brzmieniu. Jedynie urywki, i to z odpisu różniącego się w kilku miejscach od tekstu rękopiśmiennego, zamieścił Lucjan Siemieński w II tomie swych *Portretów literackich* (Poznań 1868, u Żupańskiego, s. 256—257). Uważam, że godzi się opublikować dokładny, krytyczny tekst tego listu, nie tylko ze względu na osobę wybitnego poety, nie tylko ze względu na wyrażone w tym liście charakterystyczne poglądy, dotyczące poetów zarówno dawniejszych jak i nowszych (wśród nich „Mickiewicz" i... Norwid!), — ale także ze względu na dość ciekawą historię, jaką miała wspomniana recenzja Koźmiana.

Historię tę powtórzymy za zwięzłymi notatami samego Koźmiana, przytoczonymi przez Siemieńskiego w *Portretach* (s. 253—256):

„W końcu 1850 roku wyszedł *Dworzec*. Pierwszą część słyszałem już kilka razy wpierw czytaną. Na kilka miesięcy przed podaniem do druku Jędrzej (Koźmian), Ropelewski i ja byliśmy w Luboni. Jenerał nam czytał całość i prosił o uwagi. Jędrzej chwalił, Ropelewski milczał, ja jeden tylko, acz nieśmiało i łagodnie, objawiłem pewne wątpliwości. Jenerał odpowiedział, że już teraz trudno zmienić. Gdy *Dworzec* wyszedł z druku, napisałem recenzją do *Przeglądu*. Czekał na nią pierwszy poszyt r. 1851, więc pisałem bardzo szybko. Nie było czasu ostygnąć, by każde zdanie spokojnej poddać rozwadze. Prócz tego ciągłe zarzuty pism nam nieprzychylnych, że stanowimy koterię, że jedni drugich chwalimy i uwielbiamy, a bezwzględnie

potępiamy wszystkich i wszystko, co za jej ciasnym obrębem stoi — zarzuty najniesprawiedliwsze, gdyż jeśli niezawsze łagodnie względem przeciwników, to zawsze surowo względem przyjaciół postępowaliśmy — tak mię były zająłtrzyły, żem w mej recenzji *Dworca* bezbarwniej ustępy pochwalne, a jaskrawiej naganiające wydał, niżbym to w innych okolicznościach był uczynił. Odczytując jednak dziś tę krytykę widzę, że prócz kilku drobiazgowych zarzutów, kilku zbyt mocnych wyrażeń, nie zawiera ona nic takiego, co by się sprzeciwiało obecnemu memu zdaniu o tym poemacie. Na *Dworcu* zawsze znać będzie, że nie z jednego wyszedł pomysłu, że opisowa część miała być wszystkim, że dopiero po jej ukończeniu przyczepiony później został dramacik, a do tego dramaciku naprzód jedna mała scena, potem druga, mniejsza, a wreszcie najmniejsza. Na krytykę odpowiedział mi Autor listem na trzech wielkich arkuszach drobnego pisma skreślonym. Że żądał niezwłocznego zwrotu tej repliki, posiadam ją tylko w kopii. Cały ten list znajdzie pewnie kiedyś miejsce albo w całkowitym wydaniu pism Jenerała, albo w jakim dziele o tegoczesnej literaturze naszej...“

Poniższe wydanie ma uczynić zadość wyrażonej przez Koźmiana nadziei. List istotnie wrócił do archiwum jenerała Morawskiego i zachował się (na p i ę c i u arkuszach, jak słusznie zaznacza sam autor w liście do Jędrzeja Koźmiana) w swym brzmieniu oryginalnym, które uważałem za swój obowiązek oddać jak najwierniej. Nie zmieniałem więc pisowni i przestankowania ani też nie zacierałem charakterystycznych prowincjonalizmów wielkopolskich (zwłaszcza —*rz*— zamiast ogólnopolskiego —*rż*— w *skarzy*, *drzenie* etc.). Teksty i wyrazy przekreślone (w niektórych miejscach trudne do odcyfrowania) zamknąłem w nawiasy ostre 〈 〉. W nawiasach graniastych [ ] podaję własne uwagi czy przypuszczenia.

Za udostępnienie mi rękopisu listu składam podziękowanie p. Krzysztofowi Morawskiemu z Turwi.

Wisconsin *Józef Birkenmajer*

Odpowiedź na krytykę Dworca w Przeglądzie.

Kochany Panie Stanisławie!

Kłoćmy się, kochaymy się. — Nie dla tego aby krytyką na krytykę odpowiadać, biorę pióro do ręki, bo nic nudnieyszego dla Publicznosci jak polemiki autorów z recenzentami. Mogą te boje miłosci własney bawić jnnych, mnie zawsze porządnie nudziły. Rzadko dostrzegłem aby coś pomogły do wyświecenia prawdy. Tym więcey do podobney walki czułbym odrazy, że miałbym do czynienia z Przeglądem ktory nietylko za naylepsze pismo polskie peryodyczne uważam, ale j w krytyce jego naywiększą godność j sumienność widzę. Ale że j nayswietleyszy j naysumiennieyszy

krytyk może się czasem pomylić, przeto choć poufnie j prywatnie spostrzeżenia moje mu wyjawię. Krytyk z początku obsypuje mię takiemi pochwałami, że z całą szczerością serca mówiąc, pomimo naywiększey miłosci siebie, nie mogę nie nazwać ich zbytecznemi, przesadzonemi. Lecz za to po zdaniu sprawy o treści dziełka tak przez kilka stronic gromi, jakby mu żal było że mię zbyt skwapliwie pochwalił. Bez wytchnienia już odtąd siecze j nakoniec ledwie kilku obrazom j szczegołowym rysom przyznaje jakąś wartość i zasługę. Przepraszam za trochę niskie porownanie, ale krytyk przypomina mi owego poczciwego i zacnego komisarza obwodu, ktory cierpiąc na tem, że przykrego musi dopełnić obowiązku, wchodzi do domu szlachcica z wszystkiemi formami grzecznosci, chwali jego gospodarkę, koniki, dziateczki j obrazki po scianach rozwieszone, aby mu poźniey oswiadczyć że ma rozkaz wzięcia go w dyby j zapakować do Cytadeli. — Ale mnieysza o to. Wolno było krytytykowi taką formę nadać swemu pismu, jaka mu się naylepszą zdawała. — Przeydźmy od razu do jądra jego osnowy. Krytyk gani zupełnie budowę j układ Dworca. Miałby zupełną słuszność j nie byłoby ani słowa do odpowiedzenia, gdyby Autor zamierzył pisać poemat. Ale na nieszczęscie recenzenta, Autor nigdy o tem nie marzył. Miało to być po prostu kilka obrazów, jakby latarnią magiczną przesunionych przed pamięcią ziomków, a jeżeli jakis drobny dramacik dodany był z życia dwóch przyjacioł, to nie dla tego, aby ten dramat rozwinąć w kszałcie [sic!], rozległosci j symetryi należney wielkiemu poematowi, lecz aby przy tey wieyskiey historyjce zyskać sposobność przedstawienia więcey obrazów j szczegołów ktore stara pamięć jeszcze zachować mogła. Ztąd to Autor nie położył na tytule ani *Poema* ani nawet *Powieść* historyczna j miał prawo od recenzenta domagać się aby odgadł j poznał co zamierzał jstotnie. Krytyk nie raczył zważać na tytuł j jego wina w tem się miesci że z skromney galeryjki obrazów chciał koniecznie zrobić poemat j jako takowy sądził. Może j zapewne taki sposob pisania j układu jak ⟨w⟩ Dworca bardzo jest niskim, ale co recenzentowi do tego że autor chciał zostać na poziomie? — Wiem że krytyk mi powie: „Kiedy tak miało być to trzeba było nie wspominać ani Kosciuszki ani Napoleona, bo tu *widnokrąg* się rozszerzył, ktory przebiedz należało". — A więc dla tego że wystawiając jakiś peysaż, kawałek morza w dali ukazałem, już mam dla tego że się *widnokrąg* Oceanu zdala ukazał, koniecznie malować ⟨dla tego⟩ wszystkie po nim pływające flotty, boje morskie, burze i rozbicia? — Mamyż prawo nastawać na malarza że w profilu tylko wystawił Napoleona, gdy miał tak blisko, bo zaraz za nosem całą twarz tak jenialną j podającą mu pole do rozwinienia wyzszego talentu? Nie — Wernetowi nawet wyrzucać by nie można że chciał się drobnieyszym zabawić obrazem, kiedy tylko w tey drobnostce piętno swojey zdolnosci wycisnął.

Mojem zdaniem w wolnej rzeczypospolitey literackiey wolno jest Autorowi taki cel sobie wyznaczyć j takiemi sciesnić się gra-

nicami, jak mu się podoba. Odbierać tę wolność autorom jest j będzie zawsze z strony krytykow niesłusznoscią j przesądem. Krzyczano na klassyków niegdyś że na każdey osnowie też same wyciskają formy, a j krytycy miewają zastarzałe formuły, ktore koniecznie na wszystkich tworach wyciskać by chcieli. Prozno autor broni się i woła, że tak daleko nie zamierza, że na ciasnieyszych chce przestać granicach. Nie! Krytyk koniecznie go zmusić chce do działania nie ⟨do swojey⟩ podług własney lecz ⟨do⟩ jego woli a to dla tego jedynie, że mu *widnokrąg* się rozszerzył, j że z niego mogłoby być większe j przestronnieysze dzieło. Jeźli tego nie nazwiem przesądem, to niewiem co nim będzie, jeźli to nie niewolą, to czemże będzie wolność? Żałować może krytyk że Autor nie rozszerzył się bardziey lecz nie ma prawa czynić mu wyrzutu, że mu nie dogodził. — Dość że myśl dobra. — Rozwinie ją szerzey, kto uczuje do tego popęd j wyższey zapragnie sławy. — Mickiewicz [sic!] w Tadeuszu, zwłaszcza w pierwszym tomie, tak często nieznośnie jest długi, że zdaje się jż nigdy wygadać się niemoże, czyni to nawet bez przyczynienia obrazowosci j wdzięku, słowem więcey niż *dormitat*. W poemacie miałby prawo krytyk błąd ten wytknąć, nikt przecież tego nie uczynił. A dla czego? Dla tego jedynie że autor nie nazwał Tadeusza poematem lecz kroniką szlachecką, przez co zyskał prawo do wybajania się *ad libitum*. — Jeżeli więc nadto rozpraszać się wolno, wolno też j sciesnić się podług upodobania. Może to przytem służyć za przestrogę ⟨krytykom⟩, że na tytuł dzieła koniecznie spoyrzeć trzeba, bo on jest tym szyldem sklepu kupieckiego, ktory uprzedza, czego w tymże sklepie dostanie. Nie zważając na ten ⟨szyl⟩ szyld, możnaby przez pomyłkę żądać butow od Xięgarza, a ⟨[wyraz zamazany]⟩ rubarbarum od galanternika.

Dworzec jest jstotniey opisową poezyą, ktorą małym dramatem chciano nieco ożywić. Takim go Autor zawsze widział, takim mieć chciał, takim zrobił, j za taki chciał go mieć uznany. Nic mniey, nic więcey. W tey więc sferze, błędy jego dość liczne zapewne wykazywać należało, a nie po górnych sledzić je regionach, bo tam nie sięgał, nie chciał sięgać. Czemu nie sięgał? to jnne pytanie. Rzecz to autora nie krytyka. Jemu tylko o tem co mu podają wyrokować wolno, czy dobre lub złe, jenialne lub głupie.

Ale poydźmy daley, choć jeszcze j to mogłbym dodać na dowod że poematu pisać nie chciałem, bo *Dworzec*, rzecz nieżywą, nieruchomą, a nie człowieka położyłem na tytule. Jeżeli więc ta poezyjka musi mieć koniecznie bohatyra swego, to nim jest sam *Dworzec*. Nad nim się naybardziey rozciągnąłem, na nim zaczął, na nim skończył. Błędem więc jest sądzącego o tem pismie, jeżeli Dziadka wziął za bohatyra osnowy. Z tego błędu wypłynęły jnne.

Ale jakikolwiek jest ten dramacik j nie wart rozbioru, ponieważ krytyk chce go koniecznie uczonym rozmierzać cyrklem, pomowmy więc o nim. Krytyk powiada że zamknięcie w Dworku dziadka nie ma dostatecznego powodu. Podług mnie ma go dosta-

teczny. Szlachcic na skromney wiosce, bez zasobu pieniężnego musi się dobrze namyslić j jak to mawiali starzy, *dobrze wprzody przeposcić nim weselnego Bachusa wpusci za progi.* Musi on uzbierać sobie na parę beczek wina, na *antalik antiquitatis*, na cukrową kolacyą, na odswieżenie domku, na zapas spiżarni j tym podobnie. Krytykowi to za mało. On chce koniecznie polityczney przyczyny, a gdy tey niema, to niema żadnej. — Zapewne że mogłem w tem mieyscu, a nawet z łatwoscią wzbudzić w Dziadku obawę o losy kraju, z powodu że tak gorące ocknienie się narodu w trzecim Maja nie w smak zapewne będzie krzywiącym się na nas sąsiadóm. Byłoby to zapewne lepiey. ⟨Szkoda więc wielka, że krytyk dwa razy [wyr. nieczyt.] czytanie rękopismu, nie raczył mi na to zwrócić przyjaznej uwagi. Żałuję bardzo że dopiero do rozbioru krytycznego zachował sobie to spostrzeżenie⟩ nie przyszło mi to na myśl. — Krytyk zarzuca mi że nie rozwinąłem obrazu Ewuni do jey oblubieńca. Jest to nayniesłusznieysza wymówka. Chcąc dawne czasy dziadkowe malować, i nie dwa obrazy miłosci (coby nudnem powtarzaniem tey samey rzeczy było) wystawiać, lecz jeden tylko, bardzo naturalnie wybrałem obraz dawnieyszey miłosci to jest Dziadkowey, równie tkliwey, a więcey odpowiedniey owym starym religijnym czasom, niż bliższey nas miłosci Wujaszkowey podobnieyszey do naszey. Jeszcze więc nowy dowod, że mi bardziey o starożytne obrazowanie chodziło, niż o rozwijanie dramatyczne. Sądzę że krytycy mego krytyka mnie słuszność przyznają. Krytyk zda się najbardziey użalać żem Ewuni nie dał więcej wyrazistosci. Sa na to dwie odpowiedzi. 1° że gdybym był Ewunię w wyrazistszym chciał wystawić obrazie, małoby się rożniła od bliższych nam czasów postaci, miłosć jey nie miałaby już na sobie tego kolorytu starożytnosci, ktory jedynie w Dworcu sobie zamierzyłem. 2° ⟨że przyczyną tego jest jasną⟩ bo żaden dotąd wieszcz ni romansista - nie pochwycił rysów prawdziwie polskich w Polsce, czemużbym ja miał koniecznie rozwiązać tę trudność, ktorey Mickiewicz nawet nie podołał, boć przecie Aldony, Grazyny [sic !], Telimeny j boso za gąskami bieżącey Zosi nie weźmiemy za typ lub ideał Polki. Czekaymy na szczęśliwsze pióro, a nie wymagaymy po niższych poetach tego, czego Naywyżsi dosiądz nie umieli. Słuszność, sprawiedliwość powinnyby być obowiązkiem krytyków. Jak krytyka wykaże błąd ten wyzszym, wtenczas lecz wtenczas dopiero będzie miała prawo winić o niego j niższych. — Wreszcie nie trzeba nam się poddawać rozpaczy. Tylu wieszczów j Jeniuszow żyje j macha piórem. Ktoż wie czy przez wszystkich drukowanemu Norwidowi nie jest przeznaczona ta palma, on zapewne rozwidni co dla drugich jeszcze ciemne. Każdy chwyta, wytłacza, j częstuje Publiczność jego niesłychanemi rymami j prozą, a nikt nie ośmiela się krytykować, tam więc musi być ta szczytność, ktora wszystko j odgadnie j rozjaśni.

Krytyk mówi że „uwięzienie starca j jego zgon, powstanie Kosciuszki, trzeci rozbior Polski, woyny Napoleońskie, wszystko to

otwiera *widnokręgi* ktore autor ledwie zarysował". Naprzód co do uwięzienia starca i jego zgonu, zdaje mi się że dostatecznie są rozwinięte, gdybym dłużej się był nad niemi rozciągał, byłbym przeszedł w dziedzinę nudów niezawodnie, przebaczy więc krytyk, że wolałem być krótszym a nie nudzić. Powstanie Kosciuszki w kilkunastu tresciwych odmalowałem wyrazach, a skutek jego w drugim obrazie powiedziałem. Więcey nie wolno mi było się rozszerzać w poemacie opisowym podług prawideł i sztuki i rozsądku. Nie woyny więc Kosciuszkowe, Napoleońskie, nie wielki j okropny dramat rozbioru trzeciego, rozwijać mi należało, bo to już do Epopei należy o ktorey ani mi śniło. Moją rzeczą było nie — wielką niedolę Oyczyzny malować, lecz wystawić odbicie się tych nieszczęść na życiu dworcowym, szlacheckim. Z tąd opowiadanie tego co się w Dworcu po zgonie Dziadka ⟨daley⟩ działo, daley rozciągałem j wciąż o Dworcu do samego końca mowiłem, w nim umieścił niedolę, w nim nowe zawiązał nadzieje, słowem jak już raz rzekłem, nigdym z tego dworca nie wyszedł, na nim zacząłem, na nim skończyłem. A co do wojen Napoleońskich, dłużey o nich mówić nie mogłem, bo właśnie na zjawieniu się Napoleona okres mego dramatu zamknąć chciałem. Niech kto jnny upuszczoną nić pochwyci j odtąd zaczyna j ciągnie nawet aż do wielkiego Mierosławskiego. Czekam z ciekawoscią j utesknieniem. Kornel w trajedyi swojey Horacyusze nie pokazał widzom, ni Alby ni Rzymu na jawie, i choć w wielkiem dziele, przestał na wykazaniu odbicia się losów krajowych na życiu familijnem, jak Szlegel mówi, *jnter privatos parietes* a mnież w drobnym opisowym Poemacie nie wolno było tego czynić? Prawdziwie że krytyka mego domagania się są więcey niż zadziwiające. — Krytyk zdaje się zupełnie zamykać oczy na to, że gdybym był w tak wzniosły wdawał się dramat, w rozmiary zupełnie epiczne, opisanie tylu szczegołow j drobnostek starego dworca, tak długo się ciągnące, nie byłoby na swojem miejscu, j zdawało by się słusznie ⟨bez⟩ nielitościwie rozwlekłem, — gdy ja właśnie ten tak szczegołowy opis miałem na celu jedynie. Nie było jnnego wyboru — albo jedno, albo drugie. Wolno więc było autorowi wybrać to, co mu z jego zdolnoscią zgodnieyszem się zdawało, nikt nie ma prawa o to go oskarżać, chyba że znudził lub głupstwo nabazgrał.

Krytyk powiada że przeyscie z wesołey strefy w tragiczną jest zbyt nagłem, nienaturalnem. Może jest jż byłoby dobrze jak to Autor w Szekspirze wskazuje, przygotować zdala groźną na pogodnym horyzoncie chmurkę. Lecz tu o to jdzie czy to konieczznem było? Ten miecz wiszący nad ciągłą pohulanką byłby zapewne dodał poezyi, lecz czy bylibyśmy z taką rozkoszą j swobodą zatonęli w wesołosci Dziadków naszych, czyżbyśmy z niemi dzielili tak mile jch serdeczną wesołość ⟨ć⟩? czyżby to (choćbym pierwsze pominął) zgadzało się z ową poczciwoscią j dobrodusznoscią naszych Dziadków przypuszczać zbrodnię, ktorey jch myśl tak czysta j religiyna, podobieństwa nawet pojąć nie mogła? Może to nieco

mniey dyplomatycznie wygląda, mniey dramatycznie, lecz czyż nie tak się działo jstotnie, rzeczywiscie? Może mi krytyk powiedzieć, że pierwszy rozbior Polski już mogł być dla nich wskazowką j ostrzeżeniem dostatecznem. Ale Polska jak każdy narod, powiększała się chwilami, j znowu w ciasnieyszych zamykała granicach podług rozrządzenia losu, lecz na to uczciwa myśl starców nigdy wpadać nie mogła, zwłaszcza prostego Szlachetki, aby cały narod po łotrowsku rozszarpać miano, aby trony chrześciańskie lud chrześciański zamordować pragnęły! Ja rzecz tę tak rozumiałem j wielu ze mną. Mowiono mi nawet tylokrotnie że przeyscie to jest naturalne, historyczne, j wielce trafne, tym lepsze nawet że nie jak tyle jnnych, lecz zupełnie nowe. Ale widać z krytyki że moje w tej mierze czucie, j zdanie jnnych swiatłych głów, niedorzecznoscią było zupełną j że trzeba było zrobić jak w Szekspirze, j dla tego że w Szekspirze j nie jnaczey jak w Szekspirze, choć tam dramat szczytny, rozległy, tu skromna galeryjka obrazów. — Nowi poeci j recenzenci śmiali się z uwielbiaczy dawnych Wirgilego, że jak on swoją Enejdę tak j oni wszyscy swoje poemata zaczynali *arma virumque cano* a oni właśnie tak robili jak Wirgiliusz, dla tego że tak było w Wirgiliuszu i nie inaczey jak w Wirgiliuszu. Krytykowi zdaje się nadzwyczaj pusto około Dziadka, lecz w tak ograniczonym dramacie wprowadziwszy już na jaw kilkanascie osob, nie wypadało więcey jch wywoływać nierozsądnie. J to dla czego? Dla tego tylko aby tam byli, nie dodając nic do obrazowania starożytnosci czasów. Już Pani Stael powiedziała, że lepiej jest aby mowiono że autor powiedział za mało, niż za nadto. Ale krytyk chce abym mu koniecznie j prawdziwie wielątkowym sposobem cały szereg familiyny, dzieci, wnuki ⟨wystawił⟩ wprowadził, a może j jakiego stryjaszka lub pasierbicę, boćby jeszcze żwawiey wyglądało. Więcey on chce nawet, bo żąda, abym, jeżeli pomarli, po wszystkich zapłakał. Wymaganie to zdaje mi się zbytecznem. Jeremiady takie znudziłyby na smierć czytelnika, a naypierwey szanownego recenzenta, coby mię zmartwiło nieskończenie. Byłoby to jak sam krytyk wyznaje, *żądanie prozaiczne.* Krytyk skarzy się, że nie może się dowiedzieć, czy młodzian co po zgonie dziadka przybył do jego dworca jako żołnierz był lub nie wnukiem jego. — Mogł sobie oszczędzić tak dręczącego kłopotu tą jedną uwagą, że wyraźnie j to zaraz w drugim wierszu tego dramaciku powiedziano jest że jgrał j skakał po komnatach Dziadunia. Jeżeli więc wnuk miał Dziadunia, toć naturalnie j dziadek miał wnuka. Wrescie witanie znanych sobie dawnieyszych gospodarzy, łzy w oczach jego przy odwiedzeniu dworca, wszystko to powinno było zaspokoić recenzenta, że jstotnie ma wnuka przed sobą. Kto go spłodził, jak się zwał, jak wyglądał ten co go spłodził, to mogło j powinno było być obcem poetycznemu opisowi.

Dotąd nie mogę się skarżyć na ton recenzyi, jest godny, przyzwojty. Rożniemy się tylko sposobem widzenia j odrębnością

stanowisk z ktorych patrzymy. Wyszedł recenzent z tych granic, mowiąc o spiewie j zgonie Ewuni, bo je porownywa z tem co jest naylichsze — z literaturą Oper, to jest z jch trescią dramatyczną. Znam szanownego recenzenta, nie mogę więc w tym upatrywać chęci szydzenia, lecz dla czytelników krytyki zawsze się takiem zdawać będzie.

Spiew Ewuni tak dalece jest wzięty z natury, żem sam słyszał opowiadania jak zawsze Pol⟨s⟩ki więzniów naszych pieśnią przerobioną j zastosowaną do jch położenia, z pobliskich więzienia okien ostrzegały j zawiadamiały o tem, co jch pocieszyć mogło lub dla nich tajemnicą było. Często pieśń taka miała wpływ na jch jndagacyą, j nie jednego z nieszczęsnych uratowała od Sybiru. Nie widzę więc powodu czemuby miłość Ewuni dla Dziadunia nie miała się na to zdobyć, j wstydzić się miała tego jakby jakiey smiesznosci. Podług mego zdania a zwłaszcza czucia ktore mną władało przy tey kompozycyi scena ta naybardziey z całego dramaciku jest zaymującą. Wystawmy sobie starca zniszczonego więzieniem j z taką rozpaczą duszy nagle przechodzącego do tylu nadziei — słyszącego wyraznie huk zbliżający się dział narodowych — słyszącego już nawet j piosnkę kochającey go Ewuni, ktora na wszystko się naraża, aby mu tym spiewem donieść, że walczą nasi, że jest nadzieja j Bog litosci już łaskę swą zlewa. Możeż być gorętsze czucie, burza serca potężnieyszą, nad tę ktorą z piersi Dziadka wywołałem. Coż rzewnieyszego nad to poswięcenie się Ewuni, potrzebę przyniesienia dziadkowi nadziei j ulgi, zapomnienia siebie, j życie tylko dla nieszczęsnego starca. Chyba że krytyk mi dowiedzie że nie mam naymnieyszego wyobrażenia w poezyi, wtenczas dopiero ⟨mam⟩ więcey jemu, niż własnemu uwierzę czuciu. Nie — zacny Krytyku, Ewunia spiewa, to pono lepiey będzie, że nie odpowiem na to. — Nic łatwiey jak rzucić smieszność na nayrzewnieysze sytuacye. Był czas gdzie dowcipy francuzkie doskonale to czyniły w krytykach żurnalowych, nayszczytnieysze sceny wyszydzano w parodyach lecz aby pod pioro takiey powagi, jaką zawsze widziałem w Przeglądzie, zabłąkał się taki rodzay dowcipu, przynaymniey zdziwić się musiałem nieskończenie, nie zważając nawet na to, że mnie to pierwszego spotkało. Jak to? Pieśń pociechy, pieśń łagodzącą boleść niewinnie cierpiącego dziadka, spiew wdzięcznosci j patryotyzmu j to wszystko z narażeniem życia, — nazwać Operą!!! — Nie, tego podobno nie godziło się czynić. Przekonany jestem jż zacny krytyk żałuje, że moją poczciwą Ewunię tak dalece zniżył.

Krytyk powiada, że go nie jnteresuje Ewunia, bo się z nią dobrze nie zaznajomił. Okazałem ją był w prawdzie na scenie już wprzody, j w srod tańców, j noszoną po sali, j w srod gromiącey kray niedoli, j odwlekającą z tego powodu swoje szczęscie, mogłbym więc utrzymywać żem dostatecznie wyraził się co do jey wdzięków, gorącego serca, szlachetney rezygnacyi j polskich uczuć. Ale choćbym przez naywiększą zaległość dla krytyka przyznał mu

że należało może bardziey na jaw wystawić Ewunię, bardziey ją zawikłać w ruch dramatu, ktorego cząstką była, sądzę przecież że z tego co o niey powiedziałem można ją było dostatecznie poznać jaką była, a że ostatni jey czyn dość był piękny j silny, aby jnteresować mogła. Krytyk mowi że nie wiedziałem co z nią zrobić j dla tego ją zabiłem. Mnie się zaś zdaje jż nie mogłem jey swietnieyszych nadać rysów j do wyzszey podnieść ją chwały, jak przeznaczając jey zgon tak szczytny. Kiedym w Karlsbadzie w gronie kilku swiatłych, czułych j dostoynych Polek czytał tę Poezyjkę, uyrzałem łzy w tym właśnie mieyscu z jch oczu wytryśnięte, ktore krytyk potępia. Pozwoli mi więc, że więcey tym łzom uwierzę niż jego uczoney rozprawie anatomizującey aż do naymnieyszey żyłki moją lichotę.

Nabazgrałem bez odczytania dużo, j może zanadto jest nudzić krytyka j dziełem j odpowiedzią na krytykę. Ale kiedy jeden tyle się rozgadał o Dworcu, niechże j dla drugiego wyrozumiałem będzie. — Jak gdybym nie dość miał recenzyi z Przeglądu, krytyk wskazuje mi zdaleka jakąś zrzędnieyszą jeszcze, jak gdyby czuł potrzebę pocieszenia mnie po swojey. J coż to miałaby wytknąć ta zrzędnieysza krytyka? Oto jakieś naśladowania Mićkiewicza j Chodźki. Przyznam się żem się tego niespodziewał wcale, bo ani ja jednego obrazu nie naśladowałem z Pana Tadeusza, ani żaden z moich obrazów nie jest napomknięty w Mićkiewiczu, chyba żeśmy się może w jakim drobnym, nic nieznaczącym szczegole raz jeden spotkali, j żem ja rownie jak on malował Polonez, czego j Mićkiewicz gdyby był po mnie pisał, nie byłby mógł uniknąć, a jednakże ja dla tak błahego [sic!] powodu, nie przywłaszczał bym sobie chwały Pierwotworu. Moy Polonez może troche krótki lecz w scenie ktorey tyle żwawosci j ruchu trzeba było dodawać, w mieyscu takiego popędu potrzebującem, nie mogłem rozwlekać j rozdrabiać mego obrazu. Mićkiewicza Polonez, choć stokroć bogatszy w szczegoły j z tąd pięknieyszy, nadto jest rozwlekły, a zwłaszcza daleko zostający za charakterystyką j Poloneza j jnnych tańców polskich, skreśloną przez Brodzińskiego.

Co się tyczy ⟨p⟩ Chodźki, poczciwego adoratora naszey staroswieczyzny, lecz ktory nie posiadał żadney trafnosci w układzie, nie umiał dobrać kwiatu szczegołów, nie posiadał żadney sztuki humorystycznego opowiadania, ktory pozbawiony jest wszelkiego czucia Poezyi, — nie do niego zapewne byłbym sięgał po moje wzory, zwłaszcza gdy zupełnie jnne strony j jnne sceny malował. Tyle przynaymniey jnstynktu poetycznego mogł mi był recenzent przyznać że chcąc naśladować, troche bym wyżey sięgał. Dobrze więc, jż ta zrzędnieysza krytyka zamilczała rozsądnie. Niepotrzebnie chciał mię ją krytyk nastraszyć.

Naybolesnieyszą z całey recenzyi była dla mnie zaczepka Birona [sic!], j to z mego powodu. Przykro jest tego nienaypierwszego lecz naypoetycznieyszego Poetę, ktorego Mićkiewicz nazwał Napoleonem Poezyi, widzieć niechętną zniżanego krytyką. Recenzent

odważa się mówić, że *ułamkowość jest cechą utworow Birona*. Ja jedno tylko znam poema, ktore z ułomków spoił, to jest Giour [sic!], choć j tam bystrzeysze oko doyrzy pewney trafnosci w budowie, j ładu w udanym nieładzie. Recenzent przecie Don Żuana nie nazwie ułamkami, bo j o Owidjuszu j o tylu jnnych mogłby to samo powiedzieć. Ma⟨m⟩ on nagłe j niespodziane przeskoki w opowiadaniu lub malowaniu obrazów, lecz te nie rozrywają nigdy całosci, j owszem są cechą smiałosci prawdziwego Jeniuszu. Przyznam się że słowa niesłusznie przeciw Bironowi wymierzone, naywiększym były mi powodem do odezwania się, j przy tey okazyi skreslania j mojey obrony. Bez tego niebyłbym zapewne wziął piora do ręki.

Krytyk bardzo łaskawie kilka mi tylko uchybień co do sposobu wyrażania się wytknął. Mogłbym więc o tem zamilczeć. Lecz że tam uderzył, gdzie mogł sprawiedliwiey, lecz omylił się w zadawaniu ciosu, przeto choć dla porozumienia się w tej mierze, krotką uczynię tu wzmiankę. A naprzod rezygnuję zupełnie recenzentowi wszystkie smaki i przysmaki kiedy nie są mu do smaku. Namienię tylko że kucharze, klucznice a nawet szlachcianki mało co mową od sług się swoich wowczas rożniące, zawsze smakę od smaku odrożniały. Tamta fizyczne języka wrażenie, ten gust oznaczał. Z tym wszystkim mogłem się obeyść bez tak niskiego wyrażenia, ale sam krytyk jakoś mnie upoważnia do niego, zowiąc go prowincjalizmem Wielkopolskim, gdy własnie w Wielkopolskiey scenie o Wielkopolski chodziło mi koloryt, zwłaszcza w dworcu, w ktorym zarazem j czeladnica była. Tak więc recenzent, razem mi to samo j zakazuje j pobudza do niego. — Nie tak się ma z jnnemi wyrazami. *Bobrzęta* nie dość przyzwojtemi zdają się Krytykowi, a przecież dawniey zawsze mowiono *płacze jak Bobr*, *dzieci płaczą jak Bobrzęta*. Słyszałem to wyrażenie się więcey jak milion razy, j to w wszelkiego stanu rozmowach. Nie widzę wrescie wcale, czemuby to porownanie nie miało pewney poezyi w sobie. Łzy zwierząt jako rzadsze zjawisko w naturze, zawsze są, były j będą poetycznemi. Stąd to w tylu poezyach j nowych j starych czytamy o płaczącym głosie Szakalów, o łzach Krokodyla, o łzach Jelenia ginącego na łowach. Czemuż by łzy Bobra nie miały mieć częsci tey zalety? Porownanie wzięte z natury, naturalnem być także musiało dla żyjących bliżey natury. Zawsze ten wyraz oyców naszych miałem za rzewny, trafny, poetyczny, mam go za odpowiedni stylowi przyjętemu w Dworcu, j przepraszam Krytyka, że mimo jego zdania, zawsze przy mojem pozostanę. A to z tey przyczyny, że ja⟨m⟩ mam za sobą całą mowę polską, przyczyny racyonalne, poetyczne, a krytyk żadnych nie przytacza.

Pluje na grob — nie podoba się także recenzentowi, a przecież *plunąć* znaczy tu *pogardzać*, bezczescić. Pogarda ta, czyli bezczeszczenie, jest wydane w obrazie, czego prawdziwa Poezya wymaga. Kiedy Naruszewicz mowi *pluje żołcią* wyraża moc niepo-

spoitą lecz gdy dodaje *j spluią żołć na pokarm liże*, już w brzydkość j szkaradę przechodzi. Mocy j obrazowania trzeba było i dla tego tak się wyraziłem. Miałem pierwotnie, *Depcze po grobie Polski, kto w jey smutku skacze*. Uznałem że wyrażenie ⟨się zbyt słabem⟩ to wątłem, ⟨nie dość mocnem⟩ słabem było j dla tego tak przemieniłem, — j gdybym sto razy pisał Dworzec, sto razy bym to uczynił, bo czuję w duszy, że w tem wyrażeniu jest moc i poezya, a tego własnie było mi potrzeba. W chwili wrescie takiey burzy, rozgorzałey duszy, w jakiey wowczas znaydowała się Ewunia, mowa nasza nie ma czasu przebierać w wyrazach, bierze nayużywańsze, naynaturalnieysze i naymownieysze. Czyniąc jnaczey przeszlibyśmy znowu do dawney wymuskanosci, ⟨ckliwosci poezyi francuskiey⟩. Poymowałbym ten zarzut gdyby jaki recenzent wykształcony na Doratach j Demutierach przestraszył się tą smiałoscią Wyrażenia, lecz krytyk Przeglądu, ktory czytał w Dante o huku puszczonego wjatru z opalonego tyłku Szatana, ktory tyle wyrażeń mocą swoją aż do dzikosci posuniętych znalazł w Szekspirze, a w Fauscie Getego naybrzydsze spotkał Wyrazy, choć j Szekspir j Dante tak szczytnym Poezyi mowili językiem — aby ten mowię krytyk w niskim Dworcu przez jakąś delikatność i drażliwość znieść nie mogł *plunięcia* j zrażał się tym naturaln⟨y⟩em, ciągle używanem j do poezyi wzniesionem wyrażeniem. Nie, tego pojąć nie mogę. Wszakże ow wypieszczony j wykwintny Delile [sic!] na srozszy jeszcze wyraz zdobył się w swojej *Jmaginacyi* bo na publicznem posiedzeniu czytając swoy ustęp — exkrement powiedział, j to mowiąc o psim odchodzie. Ckliwe nawet wowczas Francuziki, uczuły moc wyrażenia j smiałość zgodną z Poezyą, obsypały go oklaskami a ja za mnieysze j mniemane przewinienie odbieram zarzut niesmaku j barbarzyństwa. Recenzent pojąć nie chce, że *myśl* może *marzyć we śnie*. Zda mu się że to nie ma żadnego sensu, j dodaje że *nic nie marzy w człowieku, coś go tylko rozmarzyć może*. Ma to być bardzo dowcipny ucinek lecz gdy nam obóm podobno bardziey o sprawiedliwość chodzi niż o smieszące epigramma, może jż rzecz ta po jey rozjaśnieniu, jnaczey troche wyglądać będzie. Coż myśl czyni? Rozważa, zgłębia, przenika, tworzy rojenia, — a więc jest to praca myśli działającey przez siebie. Jeźli się mówi, człowiek roi, marzy, to się tylko przez to wyraża że poddaje się popędowi obudzoney w nim myśli boć on sam nie stworzy wyższey myśli, jeźli jey zarodu niema w głowie, lub jeźli słyszenie cudzych myśli nie zbudzi jego myśli spiącey. Nie człowiek myśl wzbija do góry, lecz ona go unosi, nie on ją zaymuje, lecz ona jego, nie on ją ⟨czu⟩ ożywia j natchnienie jey wlewa, lecz ona ⟨jemu⟩ w nim j wyższe życie j natchnienie budzi. — Coż dopiero gdy o śnie mowiemy? gdzie myśl bardziey uwolnioną została od wpływu woli człowieka, wtenczas ona sama zupełnie pracuje, buja swobodnie, swiat sobie nowy utwarza, roi a więc j marzy. Nietylko więc to wyrażenie jest właściwem, naturalnem, logicznem ale j wysoko poetycznem, — bo tutay ta myśl

ktora starców polskich zaymowała na jawie, nie tylko w śnie jch teraz tak silnie panuje, lecz w tym śnie j sercóm goręcey bić każe, j jest jch życiem, szczęsciem, nadzieją, wszystkiem, a zawsze sama sobą, nigdy jch dziełem. Ta myśl ktor⟨ych⟩a ⟨starców⟩ tak głęboko ⟨w jch całych⟩ w starców ⟨prze⟩wsiękła, ta jey władza, potęga tajemnicza, nie przystępna żadnym dociekaniom, tak sama, tak wielowładnie nad wolą ludzką panująca, nie maż być jstotną, poetyczną, j ⟨nie⟩ działającą przez siebie? Ja z całego Dworca ten wiersz uważałem zawsze za naypoetycznieyszy. J czucie j rozum przeswiadczały mię o tem, ale że mam jakieś nieszczęscie z mojm krytykiem, on właśnie naytkliwszą sytuacyą j naypoetycznieyszy wiersz moy, mimowolnie zapewne, czytelnikowi na smieszność wystawia, a przecież na taką znowu pokorę zdobyć się nie mogę, abym pomimo naywiększego szacunku dla krytyka, w brew temu rozsądkowi ktorym mię Bóg obdarzył, przyjmował to za winę, w czem wyzszą widzę zaletę.

Krytyk troche nienabożnie, bezbożność moję wyswieca w wspomnieniu dewotek i Xięży. Aby więc w tey mierze zaspokojć troskliwość recenzenta, powiem mu, że prawdziwie pobożne, dobroczynne, religiyne kobiety jak naywyżey cenię j uwielbiam, lecz dewot⟨k⟩ek (podług znaczenia jakie jm ogolna mowa nadaje, a ktorey ja nie stworzyłem), nie mogę z pierwszemi równać. Znam j jedne j drugie j dla tego rozrożniać je muszę. Szkoda że język nasz nie ma jnnego wyrazu do jch charakteryzowania ⟨bo [dwa wyrazy nieczytelne] fanatyczkami⟩, a poki nie ma, poty używanego używać muszę. — Jeżelim przez użycie tego wyrazu zgrzeszył, to przynaymniey na przeproszenie Nieba, nie jch modlitewkóm będę się polecać. Wolę że Pani Janowa raz westchnie za ciężko grzeszącym, bo jey czysta j piękna dusza pewniey mię od kary wymodli, niż moje własne lub wszystkich dewotek antyfony. — Co do Xięży, niech Przegląd przypomnieć sobie raczy co w tymże Numerze na stronicy 121^{ej} o naszych Xiężach mowi, że „materyalizm, ospałość, albo gorączka polityczna grassują w niższem duchowieństwie, kiedy wyższe raczey się za życzeniami Władzy swieckiey, albo *wymaganiami hałaśnej bezbożności*, jak za wzorami Swiętych Pańskich ogląda“. Zdaje mi się iż takie odarcie z szaty wszelkich zasług j godnosci naszych kapłanów więcey coś znaczy jak że Xiądz kustosz zjadł troche babki, a Proboszcz z Dziadkiem po lampeczce wina wypili. Mogł bezpiecznie krytyk oszczędzić mi tego zarzutu, że Xięża u mnie tylko jedzą j piją bo ten sam Proboszcz gromi jak przystało Regentową za potwarzanie Chorążyny, bo przybyłych Zakonników do Syndyka na jego jmieniny odsuwam od chwili waru zabaw i pijatyki, j przez uszanowanie dla Szaty Kapłańskiej, nie wystawiam tego, com nieraz, com często nawet widywał dawniey. Spiewają wrescie kapłani ⟨w domu⟩ Te Deum na przyjscie woysk Napoleońskich a ani słowa nie ma tam o jedzeniu. Mogłbym więc tak jak Radziwił powiedzieć memu krytykowi, Panie Kochanku wystrzeliłeś, lecz spudłowałeś. Ale krytyk już do-

brze teraz na mnie rozsrożony więcey mowi, bo powiada, że *kto się modli u mnie ten zaraz j drzymie.* Tantene [sic!] ⟨cunctis⟩ animis celestibus jrae! Na tak straszny zarzut z drzeniem wprawdzie spowiadającego się, lecz zawsze, odpowiem. Naprzod nie jest prawdą że kto się u mnie modli to zaraz j drzymie, bo w czasie burzy cała sala modli się j klęczy a nie drzymie, bo dziadek przy trumnie Chorążyny modli się a nie drzymie, krzyżem nawet leżąc przed ołtarzem w Częstochowie modli się a nie drzymie. Powtore, czyż nie zdarza się j teraz takie modlenie się z drzymaniem j czyż Poecie nie wolno na taki obraz ukazać przelotnie? Nie jest że j tu przesada pewna? Nazywano to dawniey napascią litewską, ja przestaję na nazwisku dziwney zaczepki.

Cozkolwiek bądź krytyk słusznie czy niesłusznie o mnie powiedział zawsze mu dziękuję że raczył się Dworcem zatrudnić. Nie wart on był tak długiej j uczoney rozprawy. Po zebraniu wszystkiego com w tey odpowiedzi pomiescił, taki sens z całey mojey tresci wypadnie, że krytyk nadto mię pochwalił j nadto poganił. Tam przez zbytnią łaskawość, tu przez zbytnie szperanie z prawdą się ominął mimowolnie. — Zamawiam sobie, aby żadnego użytku drukowanego nie robiono z tej odpowiedzi, mnie o to tylko szło, aby cokolwiek poprawić sobie reputacyą w mniemaniu Turewskiego Parnassu. Niech młodzi Pisarze biorą przykład, że trzeba przywykać do krytyki tak wielce u nas potrzebney, niech znoszą recenzye, nawet gdy są niesłuszne. Kończę na czem zacząłem. Kłoćmy się, kochaymy się.

Autor Dworca

P. S. Żałuję że krytyk nie raczył rzucić grzecznego słowka drukarzowi z Leszna, ktory bez żadney omyłki wydrukował, j porządniey nawet zbroszował, jak to w Poznaniu się dzieje. — Może byłoby także dobrze, gdyby Nakładcę wydania wspomniano, z nadzieją, że po torze Raczyńskiego daley pospieszy. Ale to tylko życzenie było, j nie jest żadnym zarzutem.

Proszę przy podaney okazyi, zwrócić mi łaskawie to pismo, bo niemam czasu ani chęci go kopiować a chciałbym kiedyś apellować do waszego Stryja lub Jędrzeja z pytaniem co myślą o tem. Z pewnoscią więc zamawiam sobie pręcey lub pozniey zwrot tey bazgraniny.

Z AUTOGRAFÓW WINCENTEGO POLA

W prywatnych zbiorach śp. senatora Bolesława Wysłoucha obok zasobnych tek materiałów i korespondencji, związanych z niestrudzoną pracą społeczną i redakcyjną tego działacza w *Przeglądzie Społecznym*, *Przyjacielu Ludu*, *Kurierze Lwowskim*, *Tygodniu*, *Na Ziemi Naszej*, *Nowej Polsce* i *W Obronie Ojczyzny*, znajduje się również grupka autografów Wincentego Pola. Dzięki uprzejmości żony śp. senatora Wysłoucha, Pani Bronisławy Wysłouchowej, która udzieliła mi wiadomości o zachowanych rękopisach Pola i użyczyła ich do przejrzenia, mogłem stwierdzić, że nie wszystkie z nich znane były dotąd w druku.

Z autografów tych dwa szczególnie mają znaczną wartość, gdyż oświetlają one dość jasno stosunek poety do obcego rządu w byłym zaborze austriackim. Jak wiadomo, z tytułu tego stawiano Polowi przykre i krzywdzące zarzuty wysługiwania się władzom zaborczym w roli konfidenta, widziano w nim przez jakiś czas renegata. Zarzuty te powstały z pozorów, i to pozorów — powiedzmy — dość sugestywnych. Patriotycznie gorętsze umysły raziła poprawna lojalność poety w stosunku do reżimu zaborczego, a nieoględne stosunki towarzyskie stawiały go w oczach współczesnych w sytuacji zgoła dwuznacznej. Do ludzi, z którymi Pol się przyjaźnił, należał wszakże Leopold Sacher, ówczesny dyrektor policji we Lwowie, człowiek, z którym związały się najgorsze wspomnienia tej połaci kraju.

Te pozory, a zwłaszcza ta niejasna atmosfera towarzyska, jaka otaczała wówczas Pola, stała się punktem wyjścia nieprzychylnej dla poety akcji ze strony kół opozycji demokratycznej; to środowisko podnieciło również niewątpliwie Kornela Ujejskiego do publicznego wystąpienia przeciwko Polowi[1].

Jak wiadomo, pod wpływem tej akcji zaprosił poeta do swego domu wybitniejszych przedstawicieli patriotycznych ugrupowań we Lwowie i 16 maja 1848 roku zdał publicznie sprawę ze swego życia. W czasie tej spowiedzi wykazał Pol przekonywająco, jak lekkomyślnie obciążono go zarzutem wysługiwania się rządowi austriackiemu; dowiódł, iż z Sacherem, po-

---

[1] *Listy spod Lwowa*, Lipsk 1861, s. 107.

siadaczem bogatych zbiorów przyrodniczych, łączyły go jedynie wspólne zainteresowania naukowe, że sam był w oczach władz austriackich jednostką podejrzaną, czego dowodzą takie np. okoliczności, iż Sacher oczernił go później w gazetach pruskich, a Krieg sprzeciwił się powierzeniu poecie redakcji czasopisma *Biblioteka Zakładu Narodowego im. Ossolińskich*[1].

Że zarzuty konfidenckiej roboty na rzecz Austrii były rzucone pod adresem Pola pochopnie, dowodzą tego między innymi również i dwa zachowane w zbiorach Wysłoucha autografy poety, które w całości podajemy niżej: 1. *Rozmowa* poety z prezydentem Kriegiem i 2. szkic pt. *Położenie Polski pod zaborem Austrii.*

Jeśli idzie o autograf pierwszy, okazuje się, że rękopis Pola, przeznaczony do Albumu Ksawerego Preka — malarza i zbieracza autografów — składa się z dwu części. Pierwsze dwie paginy 4-stronicowego arkusza zajmuje schematyczny życiorys poety, pisany własnoręcznie, a obejmujący najważniejsze fakty z jego życia do roku 1840. Autobiografia ta, ogłoszona po raz pierwszy w *Sprawozdaniu Zakładu Narodowego im. Ossolińskich*[2], przedrukowana następnie w lwowskim wydaniu zbiorowym pism Pola[3], powstała, jak wskazuje data rękopisu, 7 stycznia 1840 roku.

Dwie dalsze strony arkusza zajmuje nie drukowana dotąd *Rozmowa* z Kriegiem, którą zrekonstruował poeta bezpośrednio po fakcie i spisał własnoręcznie. Chronologiczna identyfikacja jej nie nastręcza większych trudności. Przy rękopisie tym zachował się bowiem (wszyty do arkusza) list poety do żony, dotyczący tej rozmowy i czasu jej pisemnej rekonstrukcji. Pierwsze zdanie listu brzmi następująco: „Gdy list ten piszę, stoi nade mną kuzyn Walickiego — więc ledwo że tę rozmowę napisać mogłem, tak się spieszę, że mi wszystko z rąk leci". List ten nosi datę 8 sierpnia 1841, jest to zatem data spisania *Rozmowy.* Sama zaś audiencja u Kriega mogła się odbyć najwyżej na kilka dni przedtem.

Pobudki, które skłoniły poetę do rozmowy z Kriegiem, są mniej więcej znane. Pod wpływem dzieła Schulca, który wśród głównych organizatorów ruchu powstańczego na Wileńszczyźnie w r. 1831 wymienił również nazwisko Pola, gdy wrócił poeta z emigracji na teren byłego zaboru austriackiego, spotkał się z szczególnie troskliwą opieką tutejszych organów policyjnych. Życie w ukryciu w Kalenicy, Zagórzanach czy Mariampolu dało się poecie tym bardziej we znaki, że umysł jego rwał się do badań geograficznych i obserwacji terenowych, do czego była potrzebna swoboda ruchów. Te okoliczności skłoniły Pola przede wszystkim do zadeklarowania lojalności Kriegowi.

---

[1] Por. Maurycy Mann: *Wincenty Pol*, Kraków 1906, t. II, s. 71.
[2] Z lat 1870–1872, Lwów 1873, s. 146—148.
[3] T. VIII, s. 444–446.

Ale nie to uderza w *Rozmowie*, gdyż jeśli idzie o ową lojalność, to dobitniejsze jeszcze dowody prawomyślności politycznej złożył poeta w liście do Antoniego Walewskiego [1] po utracie katedry w Uniwersytecie Jagiellońskim. Dokument ten wykazuje dowodnie — i to przede wszystkim pragniemy tu przypomnieć — że nawet w chwilach dla siebie ciężkich pamiętał poeta o zachowaniu w tajemnicy wszystkiego, co mogło być „zgubne dla pojedynczych ludzi". W oświadczeniu tym — niezależnie od tego, z jakiej strony chcielibyśmy je oceniać — jedno wydaje się niewątpliwe; wyklucza ono mianowicie, aby w osobowości Pola mogły się zrodzić psychologiczne lub moralne podstawy faktów, jakimi pochopnie usiłowano obarczyć jego sumienie.

O tym stanowisku zewnętrznie lojalnym, a w gruncie rzeczy nieprzychylnym w stosunku do Austrii o wiele wymowniej jeszcze świadczy nieznany dotąd szkic pt. *Położenie Polski pod zaborem Austrii*. Kiedy artykuł ten powstał, trudno dziś definitywnie rozstrzygnąć. Młodzieńczy jeszcze i staranny dukt pisma wskazuje, że wiąże się on z wcześniejszym okresem działalności poety. Z dużym nawet prawdopodobieństwem przypuścić można, że rękopis ten przygotował Pol w okresie między 1846 a 1848 rokiem, gdyż jak wskazuje treść, wiąże się on z pracą poety w Ossolineum (w charakterze redaktora *Biblioteki Zakładu Narodowego im. Ossolińskich*), przypadającą na te właśnie lata. Silnie zaakcentowana ze strony patriotyczno-uczuciowej rola fundatora Zakładu Ossolińskich pozwala przypuścić, że artykuł ten mógł być referatem na jakiejś nieoficjalnej uroczystości w tej instytucji i to niewątpliwie w okresie, kiedy Pol był z nią ściślej związany.

Okoliczności genetyczne tego artykułu są o tyle ważne, że — jeśli przypuszczenia nasze okazałyby się słuszne — charakterystyczny byłby fakt, iż rozprawka ta powstała w tym mniej więcej czasie, kiedy to poczęły właśnie narastać dokoła osoby Pola przykre zarzuty. Jeśli zatem budziłby zastrzeżenia hipotetyczny argument czystości politycznej Pola, udokumentowany jego życiem i działalnością, jeśli nawet mógłby ktoś powątpiewać w szczerość jego deklaracji złożonej podczas znanej „spowiedzi publicznej", w artykule tym znajdzie dowody usuwające wątpliwości. Surowa i odważna krytyka destruktywnej polityki zaborczej, nazwanie wiedeńskich metod rządzenia „obrazem przenikającym duszę wstrętem" stawia w najzupełniej wyrazistym świetle stanowisko Pola wobec Austrii.

Obok dwu omówionych autografów zachowało się w zbiorach Wysłoucha także kilka listów Pola. Trzy z nich (do Juliusza Kossaka, księżny Sapieżyny i Henryka Rodakowskiego — ostatni pomijamy, gdyż w osnowie treściowej jest on powtórzeniem dwu poprzednich) wiążą się z faktem wyjazdu syna poety,

[1] List ten przytacza Mann, jw., s. 149—151.

Wincentego, do Paryża na studia prawnicze i są one rodzajem rodzicielskiej instrukcji edukacyjnej. Niewątpliwie najciekawszy z nich jest list do Kossaka. Poświęca w nim poeta miłe wspomnienie swej żonie Kornelii, dając po latach niejako odpowiedź na publiczny zarzut Ujejskiego, który ożenek Pola uznał za akt sprzeniewierzenia się powołaniu poety, za krok zabójczy dla talentu [1]. Z listu tego wynika również, że nosił się Pol z zamiarem wydania *Albumu* wspólnie z Juliuszem Kossakiem, ilustratorem jego dzieł; o dalszych losach tego projektu nic pewniejszego nie wiemy.

Inny list, do nieznanego bliżej adresata, rzuca ciekawe światło na orientację polityczną Pola w ostatnich latach jego życia. Nawiązując do romantycznej idei „sprawiedliwości dziejowej", opartej na koncepcji narodu, a nie państwa, jest w nim poeta zwolennikiem zasady politycznego humanitaryzmu. Rzuca się tu również w oczy trzeźwa i wolna od uczuciowych i historycznych sentymentów krytyka profrancuskiej orientacji politycznej w Polsce.

Ażeby wyczerpać wszystkie materiały zachowane w zbiorach Wysłoucha, dołączamy tu oprócz autografów poety również list Duchińskich i Kossaka do Pola.

List pierwszy, pomimo że jest on obszernym sprawozdaniem z zamierzeń literackich Seweryny Duchińskiej i wzbudzić może zainteresowanie w pierwszym rzędzie w związku z osobą poetki, oświetla jednak z drugiej strony stanowisko poety w ówczesnym świecie literackim. Podobną ilustracją oddziaływań Pola na koła artystyczne w owych czasach jest również list Kossaka; dokument ten wiąże się już jednak ściślej z przejawami działalności samego poety.

Lwów *Władysław Floryan*

Rozmowa z Kriegiem

....Lat 10 — wielka przestrzeń! Czasem okoliczności zbiły mnie z mojej naukowej drogi — ale od upadku rewolucji, czy były postępki moje w oczach rządu naganne?

— Nie — ja nie mam nic przeciw Panu i wierzę w to, żeś rozsądny człowiek — rzekł krótko — ale tu leży historia — dodał wskazując na stół — dzieło pana Szulca, widocznie pod wpływem Rosji pisane, które Pana oskarża jako sprawcę rewolucji w Wilnie.

— Dzieła tego nie znam i trudno by było odpowiadać za wszystko, co w dziełach pisano — rzekłem — czasy te są za bliskie. Historia potrzebuje wieków na wyświecenie prawdy. Podzielałem to powstanie wspólnie z tysiącami ludzi i nie mogę odpowiadać za dzieło pana Szulca, które, jak W. Ex. mówisz, jest pisane pod wpływem rosyjskim.

[1] *Listy spod Lwowa*, jw., s. 68 nn.

— To właśnie — rzekł Prezydent — mówi za tym dziełem. Piszący pod wpływem Rosji człowiek miał źródła autentyczne, a jeżeli to są fałsze, dlaczego mają stać w historii? Pan nie możesz odpowiadać za to, co ktoś napisał, zwłaszcza że amnestia powszechna pokryła te wypadki — ale czemu nie miałbyś Pan odpowiedzieć za siebie, jeżeli nie grałeś ważniejszej roli w tych wypadkach, jak tysiące innych. Ja radzę Panu, a nawet proszę o to, ażebyś publicznie odwołał to, co się ciebie tyczy w tym dziele. (Adam Guzowski stanął mi na oczach!) — Nie mamy pism do tego w naszym kraju — rzekłem obojętnie.

— Upoważniam Pana, żebyś w powszechnej augsburgskiej gazecie umieścił artykuł.

Tu nastąpiła chwila milczenia. Prezydent chodził po pokoju, ja zwróciłem się ku oknu — w końcu rzekłem: Wasza Ex. będziesz umiał to ocenić, jak niebezpieczną rzeczą byłoby dla człowieka w moim położeniu odzywać się publicznie dzisiaj w świecie politycznym i wznawiać wypadki i wspomnienia, które przestrzeń 10 lat nie zagoiła. Mnie nie wypada ani przyznawać, ani odwoływać niczego — to wywołałoby polemikę niemiłą dla rządów, zgubną dla pojedynczych ludzi. Są rzeczy, o których zapomnieć nie można, ale o których mówić nie wypada — zwłaszcza mnie. Zostawmy sprostowanie historycznych szczegółów czasowi; niech mnie W. Ex. uwolnić raczy od tego.

— WPan jesteś synem Radcy Wysokiego Trybunału? wszak tak?

— Tak jest.

— WPan szukałeś służby tutaj w kraju, nim się do Wilna udałeś? —

— Tak jest — i nie znalazłem jej, a dziś przykrą jest dla mnie rzeczą widzieć się prześladowanym w tym jednym kraju, gdzieby zasługi mego ojca za mną przemówić mogły. Ja upewniam W. Ex., że ten nadzór policyjny, wykonywany w ten sposób, staje się nie środkiem ostrożności, ale rzeczywistą karą — wszelki sposób do życia jest mi odjęty, a ja mam żonę i dzieci, i lat trzydzieści kilka — ten nadzór nie odpowiada nawet celowi, bo spokojni i rozsądni ludzie stronią ode mnie, gdy przeciwnie, każdy niespokojny i lekkomyślny człowiek sądzi mnie za należącego do swej partii — (tu wymieniłem wszelkie przykrości, jakich doznałem w czasie tego nadzoru, nie oskarżając jednak nikogo, tylko położenie moje). Prezydent słuchał mnie z udziałem — kiedym w końcu rzekł: Innymi oczyma patrzy człek na świat w młodości, a innymi, kiedy dojrzeje. Mnie nie jest obce położenie, jakie Austria zajmowała w czasach ostatniej rewolucji polskiej, ale i ja daję słowo uczciwego człowieka, iż nigdy nie przedsiębrałem nic przeciw Austrii i że nigdy nic nie przedsięwezmę! — Tu podałem rękę Prezydentowi — znać, że czekał tego oświadczenia — z twarzy jego widziałem, iż ma rzecz za skończoną i że chce urwać rozmowę.

— *Das ist mir Grund!* — rzekł poważnie — *wenn Sie etwas brauchen, so wenden Sie sich an mich* — *für Sie werde ich alles*

machen, was ich kann — i wyprowadził mnie do przedpokoju. Rozmowa cała trwała trzy kwadranse — jam mówił wolno i bardzo spokojnie — w prezydencie poznałem człowieka, którego cenić potrzeba. Żałuję, żem tego kroku kilka laty wprzód nie uczynił. U arcyksięcia nie byłem i nie będę. Paszport dostanę jeszcze dzisiaj może i wyjeżdżam zaraz — wraz z Łobarzewskim.

Położenie Polski pod zaborem Austrii

Najwcześniej ustalił się nowy porządek rzeczy w prowincjach zabranych przez Austrię i najwprzód została tu wprowadzona oświata obca. Cesarz Józef założył sobie obszerny plan zgermanizowania tej prowincji i różne poczynił do tego kroki z właściwą sobie nieoględnością i energią.

Masa urzędników niemieckich sprowadzona do kraju zajęła posady publiczne i miała z czasem zastąpić miejsce patrycjatu w narodzie.

Sto tysięcy kolonistów niemieckich sprowadzono do kraju i osadzono na dworskich łanach dóbr starościńskich, jako ludzi wolnych, bez ciężarów, którym podlegała miejscowa ludność rolnicza.

Do miast i miasteczek sprowadzono masę rzemieślników niemieckich płacąc im ze skarbu koszta podróży i dając potrzebną zapomogę. Całe żydostwo uważano z góry za element niemiecki i szczep pobratymczy, przychylny sobie.

Radykalizm polityczny zaborców nie był w żadnej prowincji polskiej tak od razu i tak daleko posunięty jak pod Austrią — to, co się Rosja dopiero w pięćdziesiąt lat później zrobić poważyła, zrobiono tu od razu, bo język niemiecki stał się już od pierwszej chwili językiem rządu i szkoły.

Że ta prowincja w tych czasach zupełnej politycznej apatii nie zniemczała całkowicie przy wyrugowaniu prawnym języka polskiego ze szkół i urzędów, przypisać to jedynie należy ł a c i n i e, której język niemiecki nie mógł wyrugować od razu, bo w sądach i urzędach była ona potrzebna jako organ wspólnego porozumienia się i niejako pole neutralne — a ze szkół wyższych mianowicie nie była wówczas jeszcze wyrugowaną w całej Europie. Bronił się tedy naród łaciną tak długo, póki się nie ocknął i nie przypomniał, że jest Polakiem.

Ogniskiem dla nowej oświaty stał się Lwów, gdzie urządzono coś na kształt szkół licealnych podług trybu austriackiego nazwanych uniwersytetem. Biblioteki wszystkich klasztorów rozrzuconych po kraju i po większej części już wówczas skasowanych kazał cesarz Józef zwieźć do Lwowa i z nich to powstała Biblioteka Uniwersytetu Lwowskiego, pomnożona duplikatami biblioteki wiedeńskiej, które cesarz Józef krajowi darował.

Drugi nierównie szacowniejszy jeszcze zbiór, tak zwane Archiwum Bernardyńskie we Lwowie, powstało z aktów grodzkich, które cesarz Józef kazał zabrać z miast grodzkich i przywieźć do Lwowa. Obydwa te nowe zakłady zostały jednakowoż bez użytku

dla kraju, bo profesorowie cudzoziemcy nie umieli dać zamiłowania do nauk młodzieży, biblioteka tedy nie mogła być pożyteczna, a archiwum akt grodzkich, lubo jest składem dokumentów najstarszych, nie mogło posłużyć do badań historycznych, bo przystęp do tego archiwum był, prócz urzędników, dla wszystkich wzbroniony, a opłata od wyjęcia wierzytelnych kopii tak wielka, że studia historyczne na tej drodze były niepodobne. Stąd też są w naukowym świecie dokładniej znane i opisane archiwa zabrane z Polski, znajdujące się dziś w Petersburgu, niżeli to archiwum akt grodzkich, znajdujących się w kraju, zawierające dokumenta od początku XIII wieku.

Szczęściem było dla Polski, że w czasie jej rozbioru stał naród niemiecki na niskim stopniu obyczajowego wykształcenia i że nie miał jeszcze tej literatury, jaką ma dzisiaj; pierwsze tedy pokolenie, które po zaborze wzrosło i w świat wyszło, w czasach politycznej apatii uniknęło w ten sposób zniemczenia.

Przeciwnie, wywierały obyczaje polskie tak wielki wpływ na nieokrzesanych Niemców, którzy do Polski napływali, że Niemcy z czasem polszczyć się zaczęli — mianowicie zaś ci, co mieli sposobność obcowania z duchowieństwem i ze szlachtą.

Nie rząd austriacki, nie urzędnik, rzemieślnik i kolonista niemiecki prowadził i upowszechnił na Podgórzu i w jednej części Rusi Czerwonej język niemiecki — ale dopiero Kant i Schelling — Fichte i Schlegel — Goethe i Schiller!

Wszakże nim to jeszcze nastąpiło, zaszły już wypadki polityczne i usiłowania pojedynczych ludzi, którzy pracując na ojczystej niwie, przyłożyli się do ocucenia ducha narodowego tej części Polski, która się po rozbiorze dostała pod Austrię.

Tutaj już wypada zrobić tę uwagę, lubo na innym miejscu powrócimy jeszcze do niej, iż naród jest tu jedynie winien szlachcie, duchowieństwu i literaturze, że nie zniemczał w Galicji.

Niezawisłość, którą szlachta osiadła na wsi w swym domowym życiu zachowała — stosunki możnych rodzin z innymi prowincjami Polski, tytułem posiadania lub pokrewieństwa zachowane — obyczajowe usposobienie duchowieństwa, które w kościele przechowało język i podania — w szkołach dawny sposób postępowania z młodzieżą — i że się tak wyrażę: polskie, studenckie obyczaje, a w końcu choć słaby odgłos legionów polskich walczących gdzieś po świecie za sprawę ojczystą — i teatr polski, który przetrwał najnieszczęśliwsze czasy zupełnego prawie upadku narodowego ducha — to chroniło naród od zniemczenia, to przechowało go od moralnej zagłady, to stało się w końcu dźwignią nowego narodowego życia, zanim się literatura mogła odżywić i wydać jakikolwiek owoc na gruncie.

Żadna prowincja polska nie stała gorzej — bo wynarodowienie poszło tu od dołu — miasta poczęły się niemczyć, język począł się kazić, urlopnicy i dymisjonowani żołnierze roznosili zepsucie moralne i skażenie języka po wsiach — i stali się aposto-

ıami propagandy niemieckiej. — Ludowi począł imponować ten obcy żywioł, a jak strój narodowy i wyższość szlachecka była dawniej jego ideałem i wzorem w życiu, stroju i obyczajach, jak się dawniej starał we dworze i w kościele wyłamać swój język z prowincjonalizmów i nauczyć się polszczyzny — tak teraz jego ideałem stał się Niemiec, wiecznie na wpół pijany rewizor i urlopnik bełkoczący tak zwanym wojackim językiem, który jest podłą mieszaniną niemczyzny, kilku przekleństw węgierskich i kilku popsutych słowiańskich języków.

Tak począł lud teraz przez styczność z obcym wojskiem kazić swój język, swoje obyczaje i swój strój. Niemało przyłożyło się do tego fałszywe położenie szlachty do ludu, gdy pomiędzy nią a ludem stanął pośrodku urzędnik Niemiec niosący niby swobody ludowi.

Z koła zepsucia, z łotrowni szpiegów, z karczem złodziejskich i z miejskiego śmiecia — wyszła klasa ludzi w żadnym innym kraju nieznana — klasa pokątnych pisarzy (winkelszrajberów), która odtąd przez biurokrację niemiecką protegowana, poczęła kierować ludem i jego sprawami. Szlachta utraca tym sposobem zwolna swój wpływ nad ludem, a duchowieństwo zachowuje tylko pozór dawnego znaczenia.

Szczęściem było dla miast i dla ludu wiejskiego, że zniemczenie nie dawało mu korzyści społecznych, bo miasta żyły pod uciskiem fiskalnego rządu, pod uciskiem wydzierczych magistraturalnych administracji, a lud był niejako przywiązany do swojego stanu koniecznością kasty i nie mógł go opuścić. Pomimo tego jednak poszły rzeczy daleko, lud począł widocznie dziczeć, a ognisko całej prowincji, z którego się promienie rozchodziły — a Lwów był w końcu prawie zupełnie miastem niemieckim, kwaterą urzędników, koszarą wojska, Lwów stał się niby kawiarnią zniemczałych próżniaków, a nawet z pozoru ulic, bruku i domów, w istocie tylko przedmieściem Wiednia przerzuconym do Polski.

Nikt nie umiał tak zgorszyć ludu, tak uśpić klas oświeceńszych w Polsce jak Austria — brak wszelkich moralnych pobudek w życiu i w stosunkach przez nią urządzonych — zaprzeczenie wszelkich wyższych dążności — uciśnięcie każdej wyższej i niepodległej indywidualności — zapobieganie wszelkiemu skupieniu i objawieniu jakiejkolwiek zbiorowej opinii, zabiło w końcu wszelkie życie w tym kraju.

Emigracja liczna, która się do Galicji schroniła po upadku rewolucji Kościuszki, i powstanie 1809 roku zostawiły tu tylko przelotne wrażenie.

Dopiero wypadki 1831 r. i całe następstwo polityczne tychże zdołały ocucić to miasto i kraj ten z tej bezmyślności i politycznej apatii — z tego letargu — a siedemnaście lat pracy, poświęceń, cierpień i prześladowań potrzeba było na to, aby tu znowu mógł przeważyć żywioł polski — i odzyskać choć w moralnej sferze odwieczne swe prawa!

Niecałą jednak tu winę można składać na rząd — rząd robił swoje, a narodowi wypadało iść swoją drogą.

Szlachta nie pojmowała położenia swego i już od pierwszych chwil zaboru — wielcy panowie zamknęli swe domy lub ujechali za granicę gonić resztkami rozbitych fortun.

Odwróćmy teraz oczy od tego obrazu przenikającego wstrętem duszę — a przypatrzmy się usiłowaniom dążeń narodowych, na tym samym polu, w kierunkach jednak przeciwnych.

Straconą pikietą na tym pobojowisku upadłej narodowości polskiej — był teatr polski!

On tylko nie ustąpił z placu! — i boleścią przejmuje ta myśl, że w chwili kiedy się nikt prawie nie poczuwał do obowiązków obywatela polskiego w tym kraju, własną tylko dzielnością ostała się scena narodowa, nie ochraniana przez nikogo. Boleścią przejmuje ta myśl, że w chwili, w której cały naród stał się tylko widzem, występują na scenę teatru polskiego mężowie z uczuciem powinności obywatelskiej, nie jako artyści dramatyczni, lecz jako rzeczywiści aktorowie narodowego dramatu, którzy pojęli potrzebę czasu i narodu.

Teatr polski odegrał po rozbiorze kraju, we wszystkich prowincjach polskich, po których się tułał mimo bardzo zmiennych kolei losu, bardzo ważną rolę — lecz w Galicji był on rzeczywiście szkołą narodową, jedynym stróżem czystości języka, jedynym ogniskiem dla literatury, jedynym źródłem uczuć patriotycznych.

Żadna z krajowych instytucji nie spełniła o tyle swojego zadania, nie odpowiedziała do tyla powołaniu swemu, co teatr polski, chociaż żadna instytucja nie miała do walczenia z więcej trudnościami.

Trudno nie widzieć w losach sceny polskiej opatrznego oka przeznaczeń wyższych i zaledwie pojąć można, jak się wśród politycznej nawałnicy życia tam ostać mogła sztuka, gdzie się nie ostała ani powaga wiekami ustalona, ani zasługa, ani prawo, ani siła, gdzie pod uciskiem obcych nie ostała się prawie sama nawet wiara!

Scena polska spełniła wielką swoją misję w narodzie, a w Galicji można ją wprost uważać za istotną agitację polityczną — gdyż artyści dramatyczni występując tu we wszystkich rolach zachowali wobec narodu wysoki charakter obywateli Polaków, natchniętych czystym ogniem patriotyzmu. I przetrwali tak długo na tej scenie, aż się znowu duch odrodził w martwych widzach narodowego dramatu, a ster sprawy ojczystej znowu inne objęły potęgi!

Cześć tym wielkim synom Talii — cześć tej wiernej braci! Na posągu, który im kiedyś wdzięczny naród wzniesie, będzie stał napis:

„Przetrwali!“ [1]

---

[1] Ustęp o teatrze powtarza poeta w tym samym brzmieniu w VIII prelekcji swego *Pamiętnika do literatury polskiej XIX wieku*. Por. *Dzieła*, t. VIII, s. 122.

Od widowisk sceny narodowej przejdźmy teraz do ula wrzawy i żaków szkolnych chcąc się przypatrzyć nowemu pokoleniu już od pierwszych lat jego żywota, chcąc się przekonać, co na niego wpływało korzystnie i z czego się dla literatury nowe odradzało życie.

Każde pokolenie na nowo od szkoły poczyna życie narodowe; wpływają na umysł młodzieńczy nie tyle nauki same, ile raczej nauczyciele i obyczaje szkolne. — Przykład i obyczaj kształci nieświadomie i daje młodzieży pierwsze narodowe cechy, i rozwija w niej zaród charakteru.

Język niemiecki wprowadzony do szkół w całym kraju i nauczyciel cudzoziemiec, obcy dla kraju, nie znający ani miejscowości, ani obyczajów, ani języka dokładnie — nie związany niczym z młodzieżą, nie mógł w niej obudzić zamiłowania do nauk, nie mógł jej wskazać wyższych pobudek moralnych, nie mógł być dla niej ani przykładem, ani przewodnikiem. Stąd to poszło właściwie zgłupienie całych pokoleń, stąd to poszła ta bezmyślność, która się później na cały kraj rozlała.

Umysł nie obudzony w młodości, nie skierowany ku wyższym celom narodu i ludzkości, przespał już całe życie następne, i to jest podług mnie najwyższa krzywda, którą całym pokoleniom Polaków wyrządziła Austria. Przedmioty wykładane w szkołach nie miały na celu nauki — lecz były to raczej ćwiczenia językowe, naprzód niemieckie, a następnie łacińskie.

Szkoła nie uczyła niczego, ale nudziła tylko młodzież.

Głównymi przedmiotami były te dwa języki i tomy katechizmów, czyli tak zwanej religii, której z kolei przez lat dwanaście uczono — pomimo tego nie umiał nikt prawie po ukończeniu nawet filozofii ani po niemiecku, ani po łacinie, a wychodził z niej bez religii — bo obłuda nauczycieli i katechetów tchnęła w jego serce niewiarę i zarazę zwątpienia.

Zazwyczaj musiał się każdy, który cośkolwiek więcej chciał umieć, uczyć języków, rachunków i pisania dopiero po ukończeniu kursów wyższych, prywatnie. Stąd poszło w tej prowincji polskiej przekonanie o nieużyteczności nauki, stąd poszedł nieprzezwyciężony wstręt do umysłowej pracy, b o s z k o ł y n i e u c z y ł y m y ś l e ć !

Tu można by mi zarzucić, że nielepsze były szkoły przed rozbiorem, uczące A l v a r a. — Winien jestem tedy wyjaśnić różnicę, jaka pomiędzy nowym a starym obskurantyzmem — jaka pomiędzy austriackimi szkołami zachodzi a szkołami polskimi przed rozbiorem kraju.

Różnią się one głównie co do zasady: polskie szkoły były praktyczne, te są teoretyczne; polskie miały kierunek narodowy i ogładę obyczajową na celu — zadaniem zaś tych było wynarodowienie i zgłupienie całych pokoleń. Zwrot austriackich szkół jest niby do nauki — zwrot szkół polskich był cały do życia — oto cała i główna różnica!

Ukończywszy szkoły staropolskie można było być wszystkim w społeczeństwie ówczesnym, ukończywszy austriackie szkoły nie można być niczym albo tylko urzędnikiem niemieckim, który się dopiero w biurze na koszcie kraju edukuje.

Takie to szkoły rozszerzyły się po całym kraju, a do wyjątków należały szkoły oo. bazylianów w Buczaczu i później zaprowadzone liceum księży jezuitów w Tarnopolu. W tych tylko jeszcze szkołach nadawano młodzieży narodowy kierunek i z nich wychodzą w tej prowincji ludzie poświęcający się później naukom i literaturze.

Pisząc to w chwili gdzie polityczna fakcja oderwać się stara Ruś od sprawy narodu polskiego i nadać jej antynarodowy kierunek, w chwili gdzie zgromadzenie księży jezuitów potępione opinią publiczną ustąpić musiało z całej Europy prawie, czuję to mocno, iż paradoksem wydać się może, aby właśnie ruscy zakonnicy i członkowie tego zgromadzenia księży jezuitów wpłynąć jakkolwiek mogli byli na nadanie narodowego kierunku młodzieży polskiej i przyłożyć się pośrednio do wzrostu literatury. Zadziwić to może, jak mówię, i wydać się paradoksem, a przecież w istocie tak było.

Po skasowaniu klasztorów przez cesarza Józefa poszła większa część duchowieństwa naszego w rozsypkę. Światły prowincjał oo. bazylianów, powodowany w owym czasie duchem zakonnego miłosierdzia i dobrze pojętym interesem własnego zakonu, uratował z tego rozbicia najświatlejszych księży, dał im przytułek po monasterach i powierzył im prowadzenie i ukształcenie zakonnej młodzieży.

W ten sposób stał się zakon oo. bazylianów zgromadzeniem najświatlejszych mężów i w nim przechowała się aż po nasze czasy oświata polska. W Buczaczu jeszcze uczono dobrze po polsku i przytrzymywano młodzież do gruntownego nauczenia się języka ojczystego, do ćwiczeń w tym języku, i zaznajamiano ją z płodami literatury polskiej.

Każdy zdolniejszy student wychodził z buczackiego gimnazjum z retoryki jako retor piszący szumne mowy polskie, a z poetyki jako poeta, który piękności Fedoru i wdzięki wiosny śpiewał. Młodzież buczacka odznaczała się także i we Lwowie narodową dążnością — i z jej to koła wyszło w prowincji naszej ostatnie kółko dzisiejszych pisarzy.

To samo da się powiedzieć o uczniach szkół tarnopolskich, wśród których się jeszcze przechowały staropolskie studenckie obyczaje, owe rozkoszne majówki, rekreacje, owe święta uroczyście odprawiane, owe dialogi i dysputy szkolne, owe zabawy na koniec, gdzie się gromadnie młodzież zwykle w dwa obozy wiązała. — To wszystko razem przykładało się do ożywienia ducha w kierunku narodowym i ćwiczeń w języku ojczystym, bo każdą taką studencką okazję zagajała jakaś szumna mowa, a każdy pamiętny wypadek uwieczniał jakiś wierszyk okazjonalny.

Księża jezuici byli to podobnie jak i bazylianie wszystko Polacy albo Litwini. Świeże prześladowania, jakich od Rosji doznali, po ostatniej kasacji, usposabiały ich do uczuć patriotycznych, wielu z nich było ożywionych fanatyzmem prawie polskim i najżywszą miłością rzeczy ojczystych. Znali oni naturę polską, dawali książki polskie młodzieży do czytania, mianowicie z czasów literatury zygmuntowskiej, z czasów Stanisława Augusta, a tak rozszerzał się pomiędzy młodzieżą wprost lub pośrednio język polski, duch literatury, duch narodowy, a przynajmniej pierwsze pokolenie, które przed rokiem 1831 ze szkół tarnopolskich wyszło, było istotnie natchnięte duchem patriotyzmu polskiego, za wpływem nauczycieli swoich, którzy szczególniej zdolniejszym uczniom starali się wszczepiać naukę gruntowną i zamiłowanie do rzeczy ojczystych.

Jak w Buczaczu tak i w Tarnopolu była jeszcze szkoła do życia zwrócona i szczególnie przestrzegano surowo dobrych obyczajów, a prowadzono religijnie młodzież. Obok zachowanych staropolskich obyczajów studenckich, dawało to tedy głównie wyższość tym szkołom nad innymi w kraju — bo surowe prowadzenie nadawało energię młodzieży i rozwijało jej charakter, a religijne prowadzenie z młodości stawiło ją przynajmniej w tym położeniu, że się w życiu późniejszym mogła odnieść do sumienia własnego, a spłaceniem długów młodości wyrobić wyższe przekonanie, jakim się ostać zdoła w życiu, w kościele i w narodzie Polak — człowiek i obywatel.

Wpływ, jaki te szkoły wywierały na ożywienie ducha narodowego, był raczej pośredni, lecz cała ta część Polski, zostająca pod zaborem Austrii, nie miała ani zakładu publicznego, ani zbiorowego ciała, ani jakiejkolwiek instytucji naukowej, której by celem było wpływać bezpośrednio na rozwinięcie ducha narodowego i rozrozszerzenie oświaty polskiej.

Znalazł się wszakże mąż wielki w narodzie, który celem stworzenia podobnego zakładu dla tej części Polski urządził po temu całe życie swoje i poświęcił jej całą swoją usilność, pracę całego życia, wszystkie zbiory swoje i cały swój majątek.

W kole poufnym patriotów polskich krąży podanie o tajemniczym zjeździe Józefa Maksymiliana Ossolińskiego z Tadeuszem Czackim u ks. Adama Czartoryskiego, jenerała ziem podolskich, po rozbiorze kraju. Na tej radzie stanęło, że tylko światłem można podźwignąć upadłą narodowość polską, a wskutek tego postanowienia związali się ci trzej mężowie uroczystym przyrzeczeniem, danym sobie i narodowi, że każdy z nich poświęci resztę życia na podźwignienie oświaty polskiej i że każdy z nich stworzy w swojej stronie nowe ognisko dla niej, pod rządem, w którym żyje.

W ciągu kart tych powrócimy jeszcze do tego zjazdu, który w skutkach swoich tak wielkie owoce wydał dla kraju i na osobną kartę w dziejach zasługuje. A teraz przechodząc porozbiorowe stosunki tej części Polski, która się dostała pod Austrię, pójdziemy w tę drogę, którą obrał Ossoliński wskutek powziętego posta-

nowienia, wskutek uroczystego słowa, z którego się wywiązał narodowi wiernie.

Józef Maksymilian Ossoliński urodził się we wsi Wola Milecka w województwie sandomierskim 1748 roku. W konwikcie księży jezuitów w Warszawie pobierał nauki, a dalszym jego wykształceniem umysłowym zajął się Naruszewicz, który mu dał i tę gruntowną znajomość rzeczy ojczystych, i to wyższe zamiłowanie do nauk i piśmiennictwa w ogóle. Ossoliński wyszedł jeszcze przeto z tej polskiej szkoły odrodzonego światła, gustu, nauki i obyczaju, która się utworzyła pod panowaniem Stanisława Augusta na królewskim dworze, której punktem środkowym był król i Naruszewicz, a miejscem zbioru umysłowego były tak zwane „Obiady Czwartkowe“.

Przypuszczony na mocy towarzyskiej swojej pozycji do owego grona uczonych, przykładał się już wówczas Ossoliński pracami swoimi do pisma *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, którym kierowali Naruszewicz i Albertrandi, i z tego to koła wyniósł Ossoliński to wyższe usposobienie do usług ojczyzny w każdym jej położeniu, dokąd go tylko następnie powołała potrzeba kraju i nowe jej stosunki po jego upadku.

Po śmierci cesarza Józefa II utracił polityczny radykalizm zaborców na chwilę ostrość swoją. Cesarz Leopold II zdawał się sprzyjać Polakom, a Ossoliński, który został obrany od prowincji członkiem deputacji do dworu austriackiego po wstąpieniu Leopolda na tron, zawiązał odtąd stosunki z dworem wiedeńskim i zamieszkał w końcu stale w Wiedniu widząc, iż tylko osobistym wpływem swoim zdoła wyjednać jakiekolwiek względy dla rodaków swoich i uczynić stanowczy jakiś krok dla zapewnienia narodowości polskiej na przyszłość.

Ossoliński to jeszcze wyjednał dla prowincji, w publicznych konwiktach Marii Teresy w Akademii Neustadskiej i Akademii Inżynierów, owe miejsca bezpłatne, gdzie się na koszcie rządu mogła kształcić uboga młodzież polska na zdatnych urzędników i dobrze usposobionych do rycerskiego stanu. Jemu także winni jesteśmy katedrę języka i literatury polskiej ustanowioną przy uniwersytecie lwowskim.

Głównym jednakowoż zadaniem całego jego życia było gromadzenie książek i zbieranie biblioteki narodowej, ściągniętej wielkim nakładem i oddanej na własność narodu.

Po kasacji klasztorów sprzedawał rząd najstarożytniejsze biblioteki i archiwa klasztorne przez publiczną licytację, częstokroć za cenę bibuły. W ten sposób udało się Ossolińskiemu uratować wiele najszacowniejszych dzieł dawniejszej literatury naszej, wiele dawnych rękopisów, kart, rycin polskich i najstarszych druków krakowskich.

Bibliotekę tę powiększał Ossoliński przez całe życie swoje i obrał w końcu miasto Lwów jako stołeczne dla publicznego księgozbioru, w którym obszerny budynek na ten koniec zakupił, ustawy

do urządzenia i zachowania tego składu literatury przepisał, utrzymanie go nadal stałym dochodem z włości swoich opatrzył, nadzór zarządu zwierzchniczej władzy Stanów Krajowych poruczył i najwyższe zatwierdzenie całego zakładu od cesarza Franciszka przywilejem z dnia 4 czerwca 1817 roku uzyskał.

Osobisty tylko wpływ i zaufanie, jakie w cesarzu Franciszku wzbudzał Ossoliński, skłoniły go do zatwierdzenia tego narodowego zakładu, bo Ossoliński powziąwszy myśl jedną usłużenia oświacie narodowej na przyszłość, zastosował do niej całe swoje życie, a patriotyczne jego poświęcenie się zdołamy wówczas dopiero ocenić, gdy się zastanowimy, czym to było nie stracić wiary zrobienia czegokolwiek dla dobra polskiej oświaty pod panowaniem cesarza Franciszka! Czym to było dla człowieka wzrosłego wśród polskich stosunków i po życiu umysłowym, jakim żył Ossoliński w Warszawie, zostać dobrowolnie wygnańcem, opuścić ojczyznę prawie na zawsze, a osiąść następnie przy dworze wiedeńskim! Wziąć służbę u obcych, przyjąć urzędy i godności, byle tylko coś wyżebrać dla swoich; i ofiarą całego życia położyć nowy kamień węgielny dla oświaty polskiej. Czym to było dla Polaka przetrwać od rozbioru kraju aż do upadku Napoleona wszystkie burze polityczne przy wiedeńskim dworze i nie dać się żadnej nadziei ułudzić ani odwieść od zamiarów raz już powziętych? To niech nam dopiero daje miarę wysokiego charakteru tego męża, którego imię historia słusznie w rzędzie ojców ojczyzny zapisze.

Zakład Narodowy imienia Ossolińskich został tedy własnością tej prowincji i może być niejako odtąd uważany jako stały punkt oparcia dla dążności narodowych, punkt wyjścia dążności literackiej w tym kraju.

Ossoliński przyłożył się także w końcu wiele do powtórnego zaprowadzenia Stanów Krajowych i sejmów prowincjonalnych, które w trzy lata dopiero po kongresie wiedeńskim na nowo utworzone zostały.

Pod względem politycznym były te sejmy zapewne małego znaczenia, ale pod względem narodowym nie były one bez wartości. Ogół narodowy potrzebuje takich ostentacyjnych wrażeń i widowisk, i to właśnie, co inni w śmieszność obracają, miało istotne znaczenie i nie było bez wpływu, bo raz na rok przynajmniej ujrzeć można było niby cień kontuszowej Polski, zmartwychwstającej na ten świetny obchód sejmowy.

Sejm tedy prowincjonalny w Galicji miał wartość publicznego widowiska, obudzającego uczucia narodowe przez przeciąg lat wielu, a dopiero w ostatnich czasach nabrał politycznego znaczenia, gdy kwestia języka i narodowości polskiej została w nim po raz pierwszy wytoczoną przez Polaków pod panowaniem Austrii.

List do Juliusza Kossaka

Drogi Panie Juliuszu!

Lata upłynęły od czasu naszego niewidzenia się — myślą i sercem śledziłem Twą drogę i przywiązując wiele nadziei do powodzenia Twej gwiazdy cieszyłem się w sercu, że rośniesz i potężniejesz w duchu i że Paryż nie zatarł iskry prawdziwego natchnienia, które Bóg tylko w łasce użycza — jesteś oryginalnym twórcą — to wielka pociecha dla nas i prawdziwe znamię namaszczenia — będziesz miał wiele do dania, a co dajesz i niepowszednie, i dobre jest! Jakżebym pragnął znać Twego Anioła Stróża — wiem, jaka część należy się Twej Pani, bo znam to po sobie, czym jest towarzyszka życia dla artysty — i odkąd straciłem Kornelię, którą znałeś, nie umiem nic dobrego zrobić.

Oddawcą tego listu jest mój syn Wincenty, którego dzieckiem znałeś, a którego tym listem łasce Twej, drogi Panie Juliuszu, i opiece polecam!

Wysyłam go do Paryża na studia prawne, które chcę, żeby odbył porządnie nie tracąc ani na chwilę z oczu celu, dla którego do Paryża jedzie. Proszę Cię, racz się nim zająć i chciej nim pokierować; aby stosownie do zadania, jakie ma, zarządził swym czasem i dochodem. W obcym kraju i wśród obcych sobie stosunków będzie potrzebował życzliwej rady i pokierowania. Liczę na Twą przyjaźń, drogi Panie Juliuszu — i na mnie przyszło, że potrzebuję tego rodzaju pomocy i rady dla syna mego, której nigdy nie odmawiałem tym, co jej po mnie potrzebowali. Racz być miłościw i dla mnie, i dla Wicia mego!

Pozwól mu czasem bywać w swym domu, a gdyby był słabym, racz go wziąć w opiekę! — Do bardzo wielu osób mógłbym mu dać polecenie, ale nie czynię tego z umysłu, bo chcę, żeby przywykał stać o siłach własnych. Jako ojciec jednak pojmiesz to, iż pragnę, żeby w obcej stronie miał jaką duszę życzliwą, bo młodemu nie trudno się obłąkać i utonąć na tym morzu życia, na tym morzu nowożytnego Babilonu! Praktycznej rady będzie Wicio potrzebował szczególniej w początkach, aby się spiesznie i stosownie do powołania swego umieścił, aby rozpoczął studia i nie miał innych znajomości i stosunków nad te, które mu wprost do jego zawodu potrzebne będą i do osiągnięcia zamierzonego celu doprowadzić zdołają. Cieszę się z tego, że pobyt Wicia w Paryżu zbliży nas znowu do siebie — mam wielką ochotę, abyśmy wspólnie wydawali Album, bo coś martwo i w naszym artystycznym świecie, i w naszej literaturze! Nie wiem, jak ci się taka propozycja wyda? ale można by co niezłego zrobić, a wspólnie z Tobą, Panie Juliuszu, to miałbym jeszcze i ducha, i ochotę. Jak do mnie napisać raczysz, oddaj list Wiciowi, którego raz jeszcze w łaskę obojga Państwa Dobrodziejstwa zalecam.

Ściskam Cię od serca, drogi Panie Juliuszu, i oddaję siebie szacownej Twej dla mnie przyjaźni!

Wincenty Pol

W Tyśmienicy na Pokuciu, dnia 18 października 1859.

List do księżny z Zamoyskich Sapieżyny Matki

Jaśnie Oświecona Mościa Księżno!

Oddawcą jest mój syn Wincenty. Wyprawiam go do Paryża na naukę prawa i zalecam w łaskę Waszej Książęcej Mości! Będzie miał utrzymanie skromne, ale dostateczne na ucznia. Pragnę, żeby nie miał innych stosunków i znajomości nad te, które mu wprost do jego położenia i zawodu potrzebne będą i do osiągnięcia zazamierzonego celu doprowadzić zdołają. — Cześć wszakże, którą mam dla Waszej Książęcej Mości, zniewała mnie do prośby, abyś mu się Pani do siebie zbliżyć dozwoliła — dzieckiem miał szczęście widzieć Waszą Książęcą Mość w mym domu nieraz — niechże mu teraz wolno będzie zapewnić Panią o naszej czci niezmiennej!

Słowo życzliwe, co z wysoka padnie, wskaże częstokroć dobrą drogę młodemu na żywot — o takie to miłościwe słowo upraszam dla syna mego z ust Waszej Książęcej Mości!

Pozwól mu Pani czasem być u siebie, a jako Matrona polska racz przypomnieć młodemu obowiązki, jakie ma dla Boga i Ojczyzny — o to upraszam, z tym go polecam i siebie

Waszej Książęcej Mości
powolny sługa
Wincenty Pol

W Tyśmienicy na Pokuciu, dnia 20 października 1859.

List do nieznanego adresata

Najszanowniejszy Przyjacielu!

Przykro mi odnowić boleść serca Waszego, ale nie mogę pominąć milczeniem dotkliwej straty, jakąście ponieśli. W niedługim przeciągu czasu druga to już śmierć, która zacnych zasmuciła ludzi — i zmniejszyła grono Waszej rodziny. Niech Bóg na wnukach pocieszy, kiedy mu się podobało zasmucić na dzieciach, a nam potrzeba dalej iść tą trudną drogą wytrwale, bo zdaje się, że się ważnych doczekamy wypadków i lepszych losów Ojczyzny.

Co też Najszanowniejszy przyjaciel myślisz o tym — co się w świecie dzieje? — proszę, napisz mi choć słów kilka, dlaczego poczciwy Godebski nie żyje? Mało z kim można się już zrozumieć na świecie. Co do mnie, powiem — moje zdanie, iż pośrodku Europy cywilizowanej nie pragnę widzieć ani zwycięzców, ani zwyciężonych — ale chciałbym, aby uznanie znalazły wieczyste prawa postępu ludzkości, prawa człowieka i nie państw, ale narodów — stąd nie zwracają się sympatie moje ani do francuskiego obozu, ani do obozu pruskiego, ale krótko mówiąc, dla szczęścia europejskich narodów życzę: najprzód dla Francuzów powtórnego Waterloo — a dla Prusaków powtórnej Jeny. A jak się dla nas poprawiły rzeczy po klęsce pod Sadową, tak się poprawią sprawy całej Europy po francusko-pruskiej wojnie. Francja musi odebrać karę za opuszczenie

Polski, a Prusy karę za rozbiór Polski. Z tych kilku słów ocenisz Najszanowniejszy przyjacielu zapatrywanie się moje na dzisiejszą wojnę — wobec której sprawy naszego Sejmu i drobnego sekciarstwa bledną. List ten piszę z Jaworza na Górnym Śląsku, gdzie na kilka tygodni wyjechawszy z Krakowa, bawię. Utworzył tu się klub patriotów pruskich, którego głównym agitatorem jest człowiek, który we Lwowie odgrywa rolę patrioty austriackiego, a tutaj na austriackim Śląsku rolę najgorliwszego patrioty pruskiego; jest to ryba z Waszego Uniwersytetu Dr Rektorczyk, którego zapewne ani we Lwowie, ani we Wiedniu chwalić nie będą za to, że tu się popisuje z swoim patriotyzmem pruskim. Od tej publiki wracam do powszedniej biedy. Życie jest tu drogie i prosiłbym Najszanowniejszego Kolegę, abyś w tym miesiącu nie wypłacił Goldbergowi zwykłej raty, ale abyś ją do przyszłego miesiąca odroczył, a mnie całe 80 fl. przysłać raczył. Bo pierwszych dni września chcę powrócić do Krakowa, więc wypada załatwić wydatki na miejscu i uspokoić Goldberga, że tylko na ten jeden miesiąc wypłata jest zawieszona. Pragnąłbym wyjechać ostatniego sierpnia, tj. 31 we środę, bo właśnie w dniu tym kończy się tydzień wypłat, oczekuję tedy tej przysyłki pod moim adresem: Dr Wincenty Pol — par Bielitz in Ernsdorf (Badeort), i upraszam, abyś raczył dla całego Domu Swojego przyjąć wyrazy uszanowania mego i mojej przyjaźni.

d. 19 sierpnia 1870.

List Pana Burzyńskiego odebrałem wraz z przesyłką pieniężną i bardzo mu dziękuję za łaskawą przysługę.

List Seweryny i Franciszka Duchińskich

Paryż, 27 grudnia 1866.

Szanowny panie i czcigodny przyjacielu!

Co pan pomyślał o mnie, żem tak się ociągała z odpowiedzią na list, który był dla mnie powodem najżywszej radości? Muszę się naprzód wytłumaczyć z tego. Nazajutrz potem, jak mąż mój wyprawił do Lwowa list z książkami, doszła nas tu mylna wiadomość, że szanowny pan opuścił Galicję i bawi w Wiedniu; wiadomość ta miała pochodzić od pana Zygmunta Kaczkowskiego. Musiałam zatem czekać, aż się rzeczy wyjaśnią.

Dziękuję stokrotnie szanownemu panu za tak drogie dla mnie Jego słowa. Bóg jeden wie, jak umiem cenić dowody pamięci życzliwych mi osób, a cóż dopiero Pana, którego tak poważam, w którym uważałam zawsze czcigodnego mistrza i przewodnika mego. Bóg zapłać panu za tę pociechę, jaką mi słowa Jego sprawiły.

Pannę Ziętkiewiczównę poznałam z prawdziwą przyjemnością. Mieszkamy niedaleko od siebie i mam nadzieję, że się często widywać będziemy; głos ma prześliczny i nie wątpię, że przy właściwym poprowadzeniu stanie się wkrótce niepospolitą artystką. Do tego miła bardzo i dobra panienka; przy pierwszym poznaniu umie

zaraz pochwycić za serce; to samo powiem i o towarzyszce jej, pannie Wiszniewskiej.

Zapytuje mnie szanowny pan o moje prace. Z nieśmiałością prawdziwą przychodzi mi spowiadać się z nich przed wielkim pracownikiem, który tyle zebrał złotych plonów i chlebem z ojczystego zagona tak hojnie zaopatrza dom polski. — Plony moje ubogie bardzo, ale w sercu i w myśli dojrzewa niejeden kłos i może Bóg pozwoli, że z tych kłosów uwiję wkrótce skromny wianek. — Otóż czując zarówno jak mąż mój potrzebę przypomnienia jedności naszej nad Dnieprem i nad Wisłą, umyśliłam napisać kilka poetycznych powiastek z dawnych podań Polski wschodniej, z czasu jej politycznego wyosobnienia się od zachodniej, wskutek panowania Normandów Rusów z dynastią Ruryka. Przedmiot wzięty z czasu najazdu Tatarów na Ruś, męczeńska śmierć księcia Michała Czerniechowskiego w r. 1246.

W końcu zeszłego roku rozpoczęłam tę pracę, ale ją przerwałam na czas jakiś i obecnie powracam do niej. Przerwałam ją dlatego, że chciałam poznać się nieco z epopejami średnich wieków: zajrzałam więc do starych pomników francuskich i do hiszpańskich romanserów, nie dlatego żeby je naśladować, lecz żeby przejąć się tchnieniem tych wieków, pełnych wiary i ducha rycerskiego. — Czytając *Pieśń o Rolandzie*, przyszło mi na myśl, żeby przyswoić naszej literaturze ten piękny utwór francuskiego geniuszu niegdyś tak poetycznego; przetłumaczyłam więc *Rolanda*, który był drukowany rok temu w *Bibliotece Warszawskiej*. Następnie przetłumaczyłam z hiszpańskiego poemat o Cydzie, także pomieszczony w *Bibliotece*. Do podjęcia tych prac skłoniła mnie naprzód owa myśl, że kiedy dziś nie wolno u nas drukować nic o przeszłości naszej, trzebaż podtrzymywać polskiego ducha jakimbądź sposobem, dając mu zdrowy pokarm, choćby ten z obcej pochodził roli. Taka to wyznaję była pierwsza pobudka do mej pracy, ale poznawszy bliżej owe piękne utwory średniowieczne znalazłam w nich bliskie pokrewieństwo z myślą ożywiającą przeszłość naszą. Karol Wielki, jakże mi przypominał Chrobrego; Roland, Oliwier, Cyd i inni zapaśnicy krzyża przeciwko Maurom, jakże podobni w oczach moich do owych Tarnowskich, Żółkiewskich, Ostrogskich, Sobieskich i innych bohaterów świętej krucjaty, którą pradziadowie nasi prowadzili przez kilka wieków na szerokiej przestrzeni między Wisłą, Dnieprem a Dniestrem, a których krew stoczona tak hojnie, wpisała nas w szlachetny poczet zapaśników krzyża i dała nam prawo bytu na wieczne czasy. Tę myśl o jedności naszej z całą ucywilizowaną Europą starałam się wyrazić w przedmowach do *Cyda* i *Rolanda*. W tych dniach otrzymam z nich odbitki, które będę uważała za pierwszą powinność przesłać w hołdzie szanownemu autorowi *Mohorta*.

W ciągu tych prac literackich Bóg ciężko mnie dotknął: odebrał mi jedynego syna, i to w dwudziestym czwartym roku życia, wtedy kiedy miał stać się dla mnie prawdziwą pociechą i chlubą.

Trzeba było poddać się woli Bożej, lecz to nie łatwo przyszło. Pan jako dobry ojciec najlepiej mnie w tym rozumiesz. Jeżeli jednak cośkolwiek mogło mi przynieść ulgę w tak wielkiej i słusznej boleści, to troskliwa opieka najlepszego męża mego, który był dla mnie prawdziwą opatrznością w tych ciężkich do przeżycia chwilach. On, pełen wiary, ukrzepiał wiarę moją i strzegł ducha mego od upadku.

Pani Ławrynowicz wspominała mi, że Szanowny Pan ma zamiar przybyć do Paryża. Jakaż by to była pociecha dla nas obojga, gdybyśmy go powitać mogli. Pomijając nawet osobiste widoki szczerze byśmy radzili Panu przyspieszyć tu swój przyjazd. Między tutejszymi okulistami znakomite miejsce zajął dziś nasz rodak Gałęzowski, synowiec znanego doktora. Ma on swoją własną klinikę i jak słyszymy, wybornie leczy wszelkie choroby oczu. Nie wątpimy o tym, że operacja, dokonana młodą i pewną ręką, odniosłaby pożądany skutek.

Pojawiła się przecie w księgarni polskiej *Pieśń o domu*, wszyscy ją rozrywają. Jakiż ja w niej znalazłam nieprzebrany skarb poezji! Ileż tu ciepła i życia! Jak silnie rozbudza w sercach to, co w nich zakrzepło i na pozór zamarło! Bóg zapłać, mistrzu, za tę ożywczą rosę, tak nam dziś koniecznie potrzebną! Mówię to w własnym imieniu i w imieniu całego dzisiejszego pokolenia. Jakież to cudne dopełnienie *Pieśni o ziemi naszej*! Te dwa poemata razem przedstawiają się wyobraźni mojej jakby jasna tęcza rozpostarta półłukiem nad biedną ziemią naszą. Pierwszy z nich — to utwór młodzieńczego ducha, który zrywa się orlim polotem i okrąża granicę świętej puścizny ojców naszych; drugi — to jęk serca, które tak wiele przebolało, a jednak zachowało nietknięty skarb wiary, miłości i nadziei, i wzbogacone doświadczeniem, wskazuje dziatwie polskiej, gdzie jej dom, — gdzie jej niwa — dopóty cała i bezpieczna — choćby ją wróg szarpał i sypał na niej miedze — dopóki duch polski czerpać będzie siłę i życie w skarbcu narodowych pamiątek.

Za przysłanie tego utworu, tak prawdziwie pięknego, serdeczne szanownemu panu składamy podziękowanie; dotąd jeszcześmy go nie otrzymali, ale to wkrótce zapewne nastąpi.

Żegnam łaskawego i szanownego pana. Dałby Bóg, żebym Go jak najprędzej mogła widzieć i zapewnić osobiście o głębokim moim uszanowaniu i prawdziwej przyjaźni.

Seweryna Duchińska

Dodaję wyrazów kilka do dość obszernego, jak widzę, pisma Pani mojej do Was. Uprzedziłem, że ma pisać wiele, bo też wiele pracuje, a przyjemnie podzielić się myślami z pracownikiem, jak Wy, Panie. — Do pisma mego poprzedniego mało co mam dodać, bo to, co bym miał do przedstawienia, wymagałoby rozprawy, a nie listu. Ograniczam się więc podziękowaniem Wam za pisemko Wasze, a jeszcze więcej za obietnice pism, na które kazaliście czekać.

Oczywiście, że na każdy list Wasz odpiszę zaraz. Miłe mi będzie i Żonie mojej wasze listowanie. — Nie pamiętam, czym posłał Wam moje pisemka francuskie, zebrane z różnych czasów i wyszłe z druku r. 1864 pod tytułem: *Nécessité des réforms dans l'exposition de l'histoire des peuples Aryâs-Européens et Tourans, particuliérement des Slaves et des Moscovites Grands Russes.* Jest to, powtarzam, zbiór artykułów moich, pisanych w różnych czasach od 1862 roku. Posyłam Wam takowe. Gdy już macie egzemplarz, rozporządźcie niniejszym, jak zauważacie najlepiej. Mówicie o wpływie ziemi na historię zwyczaju ludzkości. Znajdziecie osobny u mnie rozdział w tym przedmiocie. Znajdziecie tam i odpowiedź moją na przyganę, jakową zrobił memu systemowi słynny Proudhon. Ja nie czytałem dotąd waszych poglądów w tym względzie — mówię, nie czytałem dzieła, bo mi znane są widzenia wasze ze sprawozdań, więc częściowo.

Od czasu gdym do Was pisał, zażartą walkę podnieśli przeciw nauce, której bronię, pisarze moskiewscy, szczególnie tu przebywający, w Le Nord. W książeczce mojej, którą posyłam, znajdziecie ustęp z *Siècle'a.* Jest to odpowiedź mego przyjaciela Henri Martina na ostatni artykuł Sznielera. Ale ja sam przygotowiam odpowiedź i temu akademikowi petersburskiemu, i tutejszym poplecznikom jego. Posyłam Wam nadto sławne uwagi Carowej Katarzyny II na dzieło Strittera. Jej uwagi są w tłumaczeniu francuskim w moim pisemku, we wstępie. Ale ja posyłam teraz *fac simile* samej Katarzyny. Macie tu razem i obrazek, jak ja przeprowadzałem me myśli w czasie moich prelekcji publicznych. Prelekcje te miały ogólny tytuł: *Le Monument de Novgorod*, bo szło mi o zbicie kłamstw, jakowe pomnik ów miał na celu uświęcić jako pewniki. Przy każdym więc wezwaniu na prelekcje dorzuciłem, o czym będzie rzecz. Te to me prelekcje zwróciły uwagę i Francuzów, a następnie całego uczonego świata. Moskale wiele mi do tego pomogli i teraz pomagają, a to występując z krytykami, które nie mają żadnej podstawy naukowej. Czy macie tam we Lwowie *Revue des Cours Littéraires*? Jest to publikacja bardzo ważna dla profesorów i dla zwykłych czytelników. Ogłasza bowiem lub w wielkich wyjątkach, lub w całości lekcje najznakomitszych profesorów francuskich, a często i zagranicznych. W edycji z roku 1864 znajdują się moje prelekcje, które dopełniają zasady moje topograficzno-etnograficzne. W publikacjach moich z roku 1864 podniosłem pytanie o wzajemnych stosunkach ludów całej kuli ziemskiej pod względem fizjologiczno-psychicznym i psychiczno-moralnym. Ogólny wynik z tych nowych badań co do stosunku Słowian do Moskali znajdziecie na końcu artykułów moich, których zbiór posyłam. Mam te moje poglądy fizjologiczno-psychiczne i psychiczno-moralne za wyjście od dotychczasowych topograficzno-etnograficznych i rad będę, gdy je przejrzycie.

W następnym pisaniu moim zdam Wam sprawę z prac moich, a teraz przyjmijcie jeszcze raz oświadczenie podziękowań i moich,

i Pani mojej za pamięć o nas. Bądźcie przekonani, że macie w nas obojgu najszczerszych czcicieli Waszych.

Przyłączamy przy niniejszym opłatek odebrany z kraju, z Polski zachodniej. Podzielcie się z nami i z przyjaciółmi nad Dniestrem. Niech Was Pan Bóg pobłogosławi. Pełen najgłębszego dla Was szacunku i najszczerszej przyjaźni

Duchiński.

List Juliusza Kossaka

Warszawa, dnia 24 marca 1867.

Szanowny i Kochany Panie Dobrodzieju!

W tych dniach odebrałem część trzecią *Z puszczy*! — znowu coś pięknego, coś nowego, nie osuszyłem się jeszcze z wód narennych, a już łażę po puszczy, przy brzęku pszczółek z bliskich barci, starodrzewy szumią nad głową, zdaje mi się nawet, że niedźwiedź gdzieś niedaleko w gawrze mruczy etc. etc. Pracuję właśnie nad rysunkami drugiej części; chcąc o ile możności stać godnie przy takich pięknościach, jak to wszystko, co czytam, wziąłem do pomocy dla materiałów szanownego mojego kolegę Schouppégo, jednego z najznakomitszych rysowników naszych co do krajobrazów; niezmordowany podróżnik i rysownik, niemal całą naszą ziemię ma w swoich tekach, w nieocenionych rysunkach; człowiek bardzo zamożny, może więc być i artystą miłośnikiem. A Tatry to jego najulubieńsze, co roku wyjeżdża tam na studia. Jest więc „Jaszczurówka", „Przeprawa bydła po Dunajcu", „Powódź w Nowotarskiej Dolinie", „Legenda o Chrobrym", „Przyjęcie pod Niedzicą" i na koniec „Powrót łodzi i witanie przez kąpielowych gości pod Kaczyńcem". „Salomon", jak tylko nadejdzie, pójdzie jako typ starego przewoźnika.

W rysunkach *Z puszczy* nie mogę inaczej jak tylko za uwagami Kochanego Pana pójść, bo któż lepiej zobaczyć i wyrysować potrafi!

A teraz co do interesów. Pieniądze, jeżeli jeszcze nie wysłane, to co chwila spodziewać się; wysłane będą i Pan je odbierze w tym tygodniu, bo staram się, ażeby nasz wydawca nie odkładał podobnych interesów; *Tygodnik* zaś *Ilustrowany* od nowego roku poślemy Panu, tylko chcielibyśmy zatrzymać się i posłać z dwoma numerami nadchodzącymi, w których będzie pierwsza część „Na lodach". Właśnie składa się numer z pierwszą częścią i mamy kłopot z cenzurą mądrą i miłą. Nastraszyli się Portu królewieckiego, Szlichtada za butna, nie wiem nawet w tej chwili, jak tam się da przeprowadzić. Nie macie państwo wyobrażenia, co za ciemnota! a myślą, że widzą doskonale. Dziękuję serdecznie za każde poczciwe słowo, dziękuję za obietnicę „Salomona" i fotografij, z których chętnie korzystać będą warszawiaki.

Z przywiązaniem serdecznym życzliwy sługa

Juliusz Kossak.

SPRAWA OBYWATELSTWA AUSTRIACKIEGO ADAMA ASNYKA

W korespondencji Asnyka z ojcem, ogłoszonej w *Pamiętniku Literackim* r. 1937 przez A. J. Mikulskiego, czytamy w liście z dnia 2 grudnia 1880: „Najważniejsza sprawa, jaką byłem nieustannie w tym miesiącu zaprzątnięty, była to tak długo przewlekająca się sprawa mego obywatelstwa. Niecierpliwiła mnie ona do najwyższego stopnia, bo ciągle się zdawało, że już ostatecznie załatwioną zostanie i ciągle nowe powstawały przeszkody i zwłoki. Gdy namiestnictwo przestało robić trudności, trzeba je było przełamywać w Wiedniu. Gdy zasadniczy spór został załagodzony, przyczepiono się strony formalnej, że przyjęcie do gminy lwowskiej, otrzymane i opłacone trzydziestu kilku guldenami, jest już przedawnionem. Uzyskałem potwierdzenia przyjęcia przez nową radę, uznano i to za niedostateczne i żądano zupełnie nowego przyjęcia. Dla pośpiechu zdobyłem sobie przyjęcie przez gminę Półwsia Zwierzynieckiego, ale i potem jeszcze sprawa zaległa w biurach, a ja próżno z dnia na dzień oczekiwałem rezultatu. Musiałem więc znowu szturmować do Lwowa i wreszcie dopiero dziś otrzymałem wiadomość, że dekret odpowiedni został podpisany.

Może sobie Drogi Ojczulek wystawić, że po dwunastu latach starań każdy miesiąc zwłoki musiał mnie bardzo niecierpliwić. Potrzeba było koniecznie uregulować raz moją pozycję, żeby nie być na łasce wypadków, ale dużo miałem kłopotu, nim doszedłem ostatecznie do celu“ (*Pam. Lit.* s. 250—251).

W indeksach prezydialnych lwowskiego Archiwum Państwowego, mieszczącego akty dawnego Namiestnictwa, spotykamy rokrocznie, od r. 1868 do 1879, nazwisko Adama Prota Asnyka, jako petenta o przedłużenie pozwolenia na pobyt w Galicji. Niestety wszystkie należące do tej sprawy akta zostały doszczętnie wyszkartowane, tak że dzisiaj nie ma śladu ani podań poety, ani odpowiedzi władz. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego austriackie ministerstwo spraw wewnętrznych odmawiało Asnykowi tak uporczywie przyznania obywatelstwa, kiedy zachowanie jego w Galicji i stosunek do monarchii habsburskiej był przez cały czas pobytu naprzód we Lwowie, a po-

tem w Krakowie — bez zarzutu. Przecież tylu uchodźcom politycznym z r. 1863 obywatelstwo austriackie o wiele rychlej nadano; niektórzy z nich piastowali już w ósmym dziesięcioleciu ubiegłego wieku wysokie stanowiska w urzędniczej hierarchii galicyjskiej.

Zagadkę tę wyjaśnia całkowicie jedyny szczęśliwie zachowany w Archiwum dokument dotyczący osoby Asnyka, a mianowicie relacja konsula austriackiego w Warszawie na zapytanie Prezydium Namiestnictwa lwowskiego w sprawie przeszłości poety: akt prezydialny nr 6141 z r. 1870. Przytaczam go *in extenso* w brzmieniu oryginału:

„Nach den seitens der Kanzlei des Herrn Statthalters von Polen dem diesseitigen General-Consulate ertheilten Auskünften, war Adam Prot zweier Namen Asnyk gewesener Student an der hierortigen medizinisch-chirurgischen Akademie, einer der Haupt-Agitatoren während des letzten hierländigen Aufstandes, und zwahr:

Im Jahre 1858 war Asnyk Vorsitzender einer der ersten aus Akademikern bestehenden konspiratorischen Gesellschaft, die sich eine Zeit lang die „schwarze Bruderschaft" nannte.

Im Jahre 1859 wohnte er den geheimen Berathungen in der Wohnung des bekannten Demagogen Narcis Jankowski, gewesenen Lieutenants des Obwiopolskischen (?) Uhlanen-Regiments bei, welcher Programme, Instruktionen u. d. g. für die allgemeine Verschwörung und für den Beginn des bewaffneten Aufstandes verfasste.

Im Jahre 1860 stand Asnyk an der Spitze der gedachten Gesellschaft und unterhielt mit Jankowski einen Briefwechsel, welcher zu dieser Zeit nach Krakau verreiste und dort aus Studierenden der Universität und anderer Stadtjugend einen konspiratorischen Zirkel bildete.

Zu Ende des Jahres 1860 wurde Asnyk verhaftet, bald darauf jedoch wegen Mangel an rechtsgültigen Beweisen und auf Bürgschaft seines Vaters auf freien Fuß gesetzt, worauf er sich nach dem Auslande flüchtete.

Im Jahre 1863 kam Asnyk nach Warschau zurück und war anfänglich provisorisches dann aber stabiles Mitglied der National-Regierung. Er gehörte zu der Zahl derjenigen Anarchisten, welche das Attentat auf das Leben des Herrn Feldmarschalls Grafen Berg vollführten. Nach dem Mißlingen desselben, flüchtete sich Asnyk nach dem Auslande im Monate September 1863 und wollte mit dem bekannten Verbrecher Ignatz Chmieliński eine National-Regierung in Dresden organisieren, von da ging er nach Paris, wo er noch im Jahre 1865 Mitglied einer revolutionären Gesellschaft und eine für die Regierung gefährliche Persöhnlichkeit war.

Das General-Consulat beehrt sich demnach dem Löblichen k. k. Statthalterei-Präsidium mit Beziehung auf die geehrte

Zuschrift vom 27-ten Mai l. J. N° 18601 die Mittheilung hievon zu machen.

Warschau, den 2-ten September 1870.

Brenner.“

Na odwrocie arkusza zamieszczona jest decyzja po polsku:

„Dyrektor policji we Lwowie.

Załącznik sprawozdania z dnia 29 kwietnia r. b. l. 347/pr. względem nadania Adamowi Protowi Asnykowi obywatelstwa austriackiego zwracam WPanu z oznajmieniem, że nie mogę się przychylić do prośby pomienionego o udzielenie mu obywatelstwa. Jakie było zachowanie się Asnyka pod względem politycznym, chciej Pan powziąć z załączonego odpisu odezwy konsulatu warszawskiego z 2 m. b. Zważywszy na niebezpieczne usposobienie Asnyka wzywam WPana do jak najściślejszego inwigilowania jego czynności i do niezwłocznego sprawozdania w razie uczynienia niekorzystnych spostrzeżeń.

Lwów, dnia 10 września 1870.

(podpis nieczytelny).“

Po takim „świadectwie moralności“ musi Asnyk z roku na rok starać się o odnowienie prawa pobytu. Ono bruździ mu też w 10 lat później przy uzyskaniu potwierdzenia ministra spraw wewnętrznych we Wiedniu. Nie dziw tedy, że dnia 20 grudnia 1880 pisze uradowany do ojca: „Z obywatelstwem mojem nareszcie rzecz zupełnie skończona i jestem już prawdziwym Austryjakiem i Galicjaninem. To moja gwiazdka tegoroczna, w każdym razie znacznie lepsza od tej, którą mi w minionym roku zgotowała difteritis“ (*Pam. Lit.* 1937).

Warszawa *Ludwik Rath*

NA MARGINESIE WYDANIA KORESPONDENCJI ADAMA ASNYKA

Ogłaszając w *Pamiętniku Literackim* za r. 1936 i 1937 listy do Asnyka i listy Asnyka dołączył do nich wydawca p. Antoni J. Mikulski szczegółowe objaśnienia. Nie wszystko jednak, co należało, wyjaśnił, a w niektórych objaśnieniach podał mylne szczegóły. Podane poniżej uzupełnienia niech będą dowodem wielkiego zainteresowania tak ważną publikacją do życia i twórczości Asnyka.

1. Z powodu małżeństwa Asnyka z Zofią Kaczorowską pełno jest wzmianek w listach Asnyka o jej rodzicach, wydawca nie podał jednak żadnych szczegółów o nich, co dla czytelników byłoby rzeczą bardzo pożądaną. Oto kilka wiadomości o dr. Kaczorowskim: Dr Teofil Kaczorowski, urodzony w r. 1830 w Ostraszewie pod Toruniem, odbył studia medyczne w Gryfii, Królewcu i w Berlinie, gdzie uzyskał w r. 1858 tytuł doktora medycyny, złożył ponadto egzamin lekarski sądowy. Po ukończeniu studiów osiadł jako lekarz w Gołubiu, gdzie przebywał do r. 1846, następnie przeniósł się do Poznania, w którym pozostał do końca życia. Dawszy się poznać jako doskonały lekarz, uzyskał naczelne kierownictwo oddziału chorób wewnętrznych w Zakładzie Sióstr Miłosierdzia, następnie został naczelnym lekarzem szpitala miejskiego. W r. 1874 otrzymał tytuł radcy zdrowia. Po dr. Mateckim został prezesem wydziału lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, był też członkiem Izby Lekarskiej poznańskiej. Był czynny w rozmaitych poczynaniach świata lekarskiego w Poznaniu, mi. należał do komitetu redakcyjnego *Nowin lekarskich*, które wychodziły w Poznaniu od r. 1889. Pozostawił szereg poważnych prac z zakresu medycyny, które trudno tutaj wymieniać. Zmarł w Poznaniu w r. 1889, 31 marca [1]. Jako lekarz należał do b. wybitnych lekarzy poznańskich, ceniony zarówno dla głębokiej wiedzy jako też niezwykłej troskliwości, jaką otaczał chorych.

Odznaczał się też niezwykłymi zaletami serca i umysłu; podobnież żona jego Franciszka z Wysockich (zmarła w r. 1888)

[1] Por. Wicherkiewicz Bolesław, *Wspomnienie poświęcone śp. dr. Teofilowi Kaczorowskiemu*, Nowiny Lekarskie I (1889), 221—223. Koehler, *Dr T. Kaczorowski*, Roczniki Przyjaciół Nauk w Poznaniu XVIII (1891), 300—303 [tu szczegółowy wykaz jego prac]. Nekrolog w Kurierze Poznańskim 1889, nr 77, 80. Kośmiński, *Słownik lekarzy polskich*. S. v.

była wzorem kobiety polskiej. Śmierć ukochanej nad wszystko, jedynej córki Zofii, żony Asnyka, złamała oboje na zawsze; nieutuleni w żalu po niej zgorzknieli i tym można wyjaśnić i wytłumaczyć pewną niechęć i żal ich do Asnyka. Po śmierci córki zajęli się wychowaniem pozostałego po niej synka, Włodzimierza; był on teraz dla nich wszystkim. Po śmierci dr. Kaczorowskiego zamieszkał Włodzimierz u ojca w Krakowie.

Włodzimierza Asnyka poznałem bliżej w r. 1894 podczas pobytu w Zakopanem; ujął mnie wówczas wielką skromnością, nadto niezwykłą miłością ojca. Wiersze jego, których mnóstwo umiał na pamięć, deklamował z niezwykłym przejęciem, głębokim odczuciem ich myśli i piękna. Nieco szczegółów o nim, zwłaszcza z ostatnich miesięcy, spędzonych przy łożu ojca, którym opiekował się podczas jego śmiertelnej choroby z niezwykłą troskliwością, podał Mieczysław Offmański w rozprawie: *Przyczynek do życiorysu Adama Asnyka* (Książki dla wszystkich, nr 171, Warszawa 1904). Młody Asnyk odbywał studia na wydziale filozoficznym uniwersytetu w Krakowie. Wątłego zdrowia, w kilka lat po śmierci ojca zakończył życie w r. 1901 w Paryżu.

2. Skoro już jestem przy stosunkach wielkopolskich, podam kilka uzupełnień i sprostowań przy ich wyjaśnieniu przez wydawcę.

Pseudonimu „Wojtuś" używał nie Stanisław Motty (Pam. Lit. 1937, s. 159), lecz Marceli Motty (por. Karwowski Stanisław: *Historia Wielkiego Księstwa Poznańskiego*, Poznań 1919, II 158, uw. 1, III 92, por. nadto artykuł w Kurierze Poznańskim 1929, nr 265, 269, 271, 273, pt. *M. Motty jako „Wojtuś z Zawad"*). Szczegółowy życiorys M. Mottego skreślił Antoni Danysz: *M. Motty*, Poznań 1898. Danysz opowiada szczegółowo, jak wielkie zainteresowanie wywołały w całej Wielkopolsce *Listy Wojtusia*, ogłaszane przez Marcelego Mottego w Dzienniku Poznańskim w latach 1865—1867 (por. w rozprawie s. 53). Wzmianka w liście Asnyka z 12 stycznia 1874 odnosi się, tak jak wydawca pisze, do Stanisława Mottego. Urodził się on w r. 1826, a nie 1832, jak podaje wydawca P. L. 1937, 159 (por. Karwowski, jw. III 112).

3. Władysław Bentkowski urodził się w r. 1817, a nie 1818 (PL 1937, 158). Por. Jażdżewski Ludwik ks.: *Mowa żałobna przy zwłokach śp. Władysława Bentkowskiego*, Poznań 1887, s. 5. *Władysław Bentkowski. Wspomnienie pośmiertne*, Poznań 1887, s. 4. Hahn Wiktor: *List Feliksa Bentkowskiego do Władysława hr. Ostrowskiego*, Pamiętnik Literacki 1916, 312—315. Karwowski, jw. II 463.

4. Kazimierz Jarochowski nie jest autorem *Dziejów piśmiennictwa w Wielkopolsce* (PL 1937, 159); ogłosił on *Literaturę poznańską w pierwszej połowie bieżącego stulecia* (Poznań 1880).

5. W odniesieniu do wzmianki Asnyka o Tellusie w liście z dnia 11 maja 1878 (PL 1937, 186) dodaje p. M. wyjaśnienie: „*Tellus* — przypuszczalnie spółka rolniczo-przemysłowa". Pro-

stuję: nie przypuszczalnie, ale istotnie swego czasu znana spółka poznańska Tellus, założona w r. 1863. Szczegółową historię upadku tego towarzystwa podaje Karwowski, *op. cit.* II 143, 259 nn. Wspomniany przez Asnyka hrabia Plater to Stanisław Plater, główny kierownik Tellusu; skazany wyrokiem sądu poznańskiego za nadużycia na więzienie, został w r. 1877 przez sąd apelacyjny we Frankfurcie nad Odrą uznany niewinnym postawionych mu zarzutów (por. Karwowski, *op. cit.* II 143, 261, 263).

6. Z powodu listu poety czeskiego Franciszka Kvapila, który prosi Asnyka o przysłanie poezji jego do cyklu *Freska starożytna* — zaznacza p. Mikulski (PL 1936, s. 974 n.), że trudno oznaczyć, którą z poezji miał Kvapil na myśli, czy wiersz *Tetys i Achilles*, czy *Fresk pompejański*. Rzecz tę można wyjaśnić na podstawie dwóch tomików przekładów wierszy Asnyka, ogłoszonych przez Kvapila, a nieznanych p. Mikulskiemu. W pierwszym zbiorku: Adam Asnyk. *Poesie*. Autorisovaný překlad Františka Kvapila (V Praze 1886), w dziale zatytułowanym *Freska starožitná* pomieścił Kvapil przekłady następujących 16 wierszy Asnyka: 1) Bóstwo tajemnicze, 2) Z egipskiego rytuału zmarłych, 3) Memnon, 4) Aszera, 5) Odłamowi Psychy Praksytelesa, 6) Herakles, 7) Epaminondas, 8) Tamyris, 9) Chór Oceanid, 10) Pygmalion, 11) Król Juba, 12) Lykofron do fatum, 13) Fresk pompejański, 14) Tantal, 15) Julian Apostata, 16) Asceta; wynika więc z tego zestawienia, że nie chodziło mu o *Fresk pompejański*, przełożony na s. 71—72. W drugim zaś zbiorku przekładów, wydanym pt.: Adam Asnyk. *Poesie* (Nová Řada). Autorizowany překlad Františka Kvapila (V Praze 1892) — są pomieszczone w grupie *Freska starožitná* 3 wiersze Asnyka: Orfeusz i Bachantki, Tetys i Achilles oraz Endymion, natomiast owe wiersze, pomieszczone w pierwszym tomiku przekładów z r. 1886, są opuszczone. Tym samym Kvapil prosił Asnyka o owe 3 wiersze.

7. Podając notatkę o Ludomile Germanie (PL 1937, s. 251) wspomina p. M., jakoby German przetłumaczył na język polski *Fausta* Goethego. Wiadomość ta zupełnie nie odpowiada rzeczywistości. German tłumaczył wprawdzie rozmaite utwory literatury niemieckiej, ale nie przetłumaczył *Fausta* (por. moje uwagi o przekładach polskich *Fausta* w PL 1933, s. 582 n.), pisał tylko o przekładzie *Fausta* na język polski, dokonanym przez Paszkowskiego (por. jego recenzję w Przeglądzie Polskim 1880/81, IV 60—77, 165—184), nadto ogłosił artykuł: *Faust i polskie przekłady tej tragedii* (w Bibliotece Warszawskiej 1884, I 244—266). Por. jeszcze: J a k ó b R o l l a u e r, *Uwagi o przekładach Fausta Goethego*, Przegląd Humanistyczny (Lwów) 1933.

8. Odbitka z powieści Józefa Rogosza, drukowanej w Nowej Reformie w r. 1883 pt. *Motory* (PL 1936, 971 n.), wyszła istotnie w Krakowie w r. 1884 w dwóch tomach (8 m., stron 263 i 290), w 100 egzemplarzach.

Lwów *Wiktor Hahn*

NIE DRUKOWANY WIERSZ JANA KASPROWICZA

„Gdy człowiekowi dojmie ból,
Niech serce się nie trwoży,
Niech się pociesza myślą tą:
„„Dobrze, że nie jest gorzej!““

„Gdy go w przyjaźni zawiódł druh,
Niech powie: „„Szczęsna-ć droga!““
A sam niech w sercu radość ma,
Że już się pozbył — wroga.“

Oto mądrości ludzkiej szczyt,
Co gorzkość w słodycz zmienia,
Tylko nie słucha serce jej,
Bo serce — nie z kamienia.

na pamiątkę

Jan Kasprowicz

Lwów 17/ VII 96

Wiersz przytoczony z autografu znajdującego się w papierach rodzinnych p. Stefanii Stipalówny, której uprzejmość umożliwiła ogłoszenie go drukiem po raz pierwszy.

Lwów *Stefan Kawyn*

ERICH MÜHSAM O STANISŁAWIE PRZYBYSZEWSKIM

Do głosów autorów niemieckich o Stanisławie Przybyszewskim, zebranych przez dra Stanisława Helsztyńskiego *(Przybyszewski w Niemczech,* Neofilolog 1935, nr 2)[1] pragnę dodać jeszcze sąd wypowiedziany o nim przez Ericha Mühsama.

Mühsam, ur. 6 kwietnia 1878 w Berlinie, znamienny przedstawiciel cyganerii berlińskiej, przekonań radykalnych, ogłosił mi. zbiór utworów poetycznych Die Wüste (1904), komedię Die Hochstapler (1906), Der Krater, Gedichte (1909), Die Freivermählten (1914), Brennende Erde (1921), Judas (1921), Revolution (Kampf-, Marsch- und Spottlieder) (1925), Gerechtigkeit für Max Holz (1925), Staatsraison. Ein Denkmal für Sacco und Vanzetti, Drama (1928), Sammlung 1898—1928 (zbiór wierszy, 1928), Von Eisner bis Leviné. Die Entstehung der bayerischen Räterepublik (1929), Unpolitische Erinnerungen (1931). Był także wydawcą pisma pod znamiennym tytułem: Kain, Zeitschrift für Menschlichkeit (1911—1914, i 2 seria, 1918—1919). Znękany życiem — mi. po przewrocie politycznym w Bawarii został skazany na 5 lat twierdzy — położył sam kres swemu istnieniu w r. 1934[2].

Sąd Mühsama znajduje się w bardzo ciekawym wydawnictwie, u nas prawie że nieznanym: *Führer durch die Moderne Literatur. 300 Würdigungen der hervorragendsten Schriftsteller unserer Zeit.* Herausgegeben von Dr. H. H. Ewers, unter Mitwirkung der Schriftsteller: Victor Hadwiger, Erich Mühsam, René Schickele und Dr. Walter Bläsing. Berlin, Globus Verlag. B. r. [1906], (na s. 143).

Wobec rzadkości wspomnianego wydawnictwa podaję poniżej dosłowny przedruk notatki Mühsama o Przybyszewskim. Jak inni autorowie niemieccy tak i Mühsam używa nazwiska Przybyczewsky. Na ogół sąd Mühsama o twórczości Przybyszewskiego jest bezstronny, świadczy też o znajomości jego utworów, przynajmniej najważniejszych, po rok 1906. Tytuł trylogii *Homo sapiens* podaje jednak fałszywie *(Homo sum),* tak

---

[1] Por. nadto moją notatkę: *Stanisław Przybyszewski w powieści Artura Landsbergera,* Neofilolog 1936, s. 174—175.

[2] Por. o nim: R. Förster: *Erich Mühsam, ein Edelanarchist,* 1919.

samo zamiast tytułu *Am Wege* powinno być *Unterwegs*, przyczym mylnie Mühsam uważa ten utwór za odrębną całość, wchodzi on bowiem w skład trylogii *Homo sapiens* stanowiąc drugą jej część.

Działalność Przybyszewskiego w języku polskim pominął Mühsam zupełnie[1].

A oto jego notatka o polskim autorze:

Stanislaus Przybyczewsky, geb. 1868 in Lojewo (Posen), lebt in Warschau. Przybyczewskys künstlerische Richtung wurde bestimmt durch die psychiatrischen Studien, die er als Student der Medizin betrieb. Die Kenntnisse, die ihm diese Studien verschafften, befähigten ihn die Seelen komplizierter Menschen fast physiologisch zu secieren. Besonders war es der Sexualismus, dem er seine destruktiven psychologischen Untersuchungen zuwandte. Das bedeutendste seiner sexual-psychologischen Werke ist die *Totenmesse*, die Seelenzergliederung eines in sexuellen Delirien sich krampfenden Menschen, ein merkwürdiges, aber künstlerisch interessantes Gemisch von wissenschaftlich-exakter Untersuchung und exstatischer Leidenschaft. In den *Vigilien* hat Przybyczewsky dieses Problem weitergeführt. Auch seine Romantrilogie *Homo sum* behandelt das Problem der Sexualität in allen erdenkbaren psychologischen Nuancen. Neuerdings hat er sich auch in einer grösseren Anzahl dramatischer Arbeiten damit beschäftigt, wie *Am Wege*, *Das goldene Vliess* u. s. w. Doch mag wohl der Zwang, hierbei sein Thema in ein festeres Formgefüge meistern zu müssen, die Ursache sein, dass seine dramatischen Arbeiten künstlerisch lange nicht auf der Höhe stehen, wie die Prosaschriften, ja, durchaus verfehlt sind. Weit ausserhalb des Rahmens der sexuell-psychiatrischen Romane liegt der Individualisten-Roman *Die Satanskinder*. In seinem Helden, Gordon, schildert Przybyczewsky einen Gewalts-Anarchisten, eine Kraftnatur, deren einziger Lebenszweck und Lebensgehalt die Zerstörung ist. Das ganze Buch stellt eine Verherrlichung der individualistischen Gewalttat dar und ist, was Diktion wie psychologische Durchführung anlangt, eine der besten Leistungen Przybyczewskys. Przybyczewsky ist gewiss ein Künstler, doch stört bei ihm stets der wissenschaftlich-akademische Unterton, der durch seine Schöpfungen klingt. Er beherrschte die deutsche Sprache in glänzender Weise, was ihn nicht abhielt, nach seiner Übersiedelung nach Russisch-Polen, nur noch polnisch zu schreiben.

---

[1] W tymże wydawnictwie kilkuwierszową notatkę o Mühsamie podał na s. 131 Walter Bläsing.

Lwów *Wiktor Hahn*

IV. RECENZJE

Z zagadnień poetyki, 1: Manfred Kridl: *Wstęp do badań nad dziełem literackim*, Wilno 1936.

Przy omawianiu wymienionej książki M. Kridla trzeba dwie sprawy wyraźnie rozgraniczyć: wartość samej książki jako publikacji naukowej i słuszność lub niesłuszność jej centralnych twierdzeń. Sprawa pierwsza jest mniejszej wagi, nie podobna jej jednak pominąć. Książka ma bowiem różne wady i niedociągnięcia, których cień pada na *meritum* kwestii przez nią poruszanych. Rozgraniczywszy zaś te dwie sprawy może uda się dojść do trafniejszych sądów niż te, które dotychczas zostały wypowiedziane w związku z ukazaniem się *Wstępu do badań*.

Najważniejszą wadę książki stanowi to, że brak jej jednolitej podstawy filozoficznej. Nie może się zaś bez niej obyć książka poświęcona rozważaniom metodologicznym. Wszelkie rozstrzygnięcia metodologiczne zakładają bowiem wyjaśnienie szeregu spraw zarówno z ontologii jak i z teorii poznania. Tymczasem podstawę filozoficzną książki M. Kridla stanowi zlepek różnych, nie uzgodnionych ze sobą poglądów, częściowo zaś twierdzeniom jej w ogóle brak ugruntowania filozoficznego, a w szczególności epistemologicznego. W następstwie tego wiele istotnych zagadnień z metodologii badania dzieła literackiego nie zostało w niej nie tylko rozwiązanych, ale nawet sformułowanych. Przedstawienie propagowanej przez autora „metody integralnej" nie wychodzi w wielu punktach poza ogólniki. Bez istotnego uzupełnienia i modyfikacji tekstu książki trudno sobie wyrobić zdanie, na czym ta metoda ma polegać i jaka może być jej sprawność w badaniach nad literaturą. Znaczna ogólnikowość jest zresztą wadą całej książki. Wskutek tego argumenty zwalczające stanowiska przeciwne stają się — mimo swej wielokrotnej słuszności — często nieprzekonywające. Nie wychodzi wreszcie na pożytek książce, że względy informacyjno-dydaktyczne krzyżują się w niej z czysto teoretycznymi. Cierpi na tym teoria, bo jest niedociągnięta i nie dość głęboko uzasadniona, informacja zaś, bo musi się stać w tych warunkach niekompletna.

Przechodząc do spraw merytorycznych zacznę od przytoczenia twierdzeń, które wydają się słuszne. Ograniczam się przy tym do spraw najważniejszych. Są one następujące[1]:

1. Przedmiotem badania nauki o literaturze ma być przede wszystkim dzieło literackie, jako dzieło sztuki pewnego specjalnego rodzaju.

2. Należy odróżnić zagadnienia opisowe od genetycznych i historycznych. Badania opisowe stanowią nie tylko główne zadania nauki o literaturze, lecz także podstawę dla wszelkich innych dociekań w tej dziedzinie.

3. Badania literackie nie są badaniami psychologicznymi.

4. W badaniu określonego dzieła literackiego należy mieć zawsze jego organiczną całość na względzie i starać się wykryć jej istotne rysy, wszelkie zaś części, elementy i strony dzieła winny być rozpatrywane z uwagi na funkcję, jaką pełnią w tej całości.

5. W związku z tym nie należy tzw. idei dzieła (w sensie pewnych całości myślowych w dziele występujących) przy badaniu wyrywać z całości dzieła i przekształcać na pewną abstrakcyjną, teoretyczną i jako prawda naukowa podawaną całość dla siebie. Nie można jej również rozważać co do jej prawdziwości i fałszywości[2]. W obrębie nauki o literaturze trzeba ją badać dokładnie w tej postaci, w jakiej występuje w dziele, a po wtóre starać się wyświetlić funkcję artystyczną, jaką w dziele spełnia[3].

---

[1] Nie zawsze trzymam się tu dosłownych sformułowań Kridla, chodzi mi bowiem o same sprawy, nie o słowa, które u Kridla nie zawsze są odpowiednio dobrane.

[2] Naturalnie inaczej się sprawa przedstawia w chwili, gdy przekroczymy granice nauki o literaturze. Tu badanie tzw. „idei“ dzieła także w sposób merytoryczny i z uwagi na tzw. prawdziwość wydaje się dopuszczalne, w każdym razie nie można tego nikomu zabronić. W tym punkcie różnię się od Kridla. Ale zgodnie z nim sądzę, że opuszcza się w tym wypadku teren konkretnego dzieła literackiego i rozważa się jedynie coś, co można skonstruować na podstawie lub przy pomocy danego dzieła literackiego. Stopień pokrewieństwa między dziełem literackim a koncepcją ideologiczną, przy jego pomocy skonstruowaną, zależy zresztą bardzo od typu dzieła: od tego, czy ono jest w ścisłym tego słowa znaczeniu dziełem sztuki literackiej, czy też stanowi jeden z wypadków granicznych, zbliżających się do „literatury“ politycznej, naukowej itd. — Pojęcie „idei“ dzieła jest bardzo wieloznaczne. Osobiście używam tego terminu w odmiennym znaczeniu niż to, w którym się go używa w kołach literackich. Podkreślam to dlatego, że w moim znaczeniu badanie, w ramach nauki o literaturze, „idei“ dzieła stanowi jedno z naczelnych jej zadań, choć nie chodzi przy tym o prawdziwość lub fałszywość (w logicznym znaczeniu tych terminów) jakichkolwiek poglądów.

[3] Twierdzenia sub 4) i 5) stanowią naczelną zasadę czy postulat tzw. „metody integralnej“ Kridla, za którą Kridl stosunkowo najostrzej i najczęściej był atakowany. Widziano w nim bowiem przejaw tzw. „formalizmu“. Tymczasem źródło jego tkwi czy to w diltheyowskich twierdzeniach o strukturze faktów humanistycznych, czy we wcześniejszych koncepcjach Bergsona na temat tzw. wielorodnej ciągłości czystego trwania, czy wreszcie w pochodnych od Bergsona i fenomenologii twierdzeniach tzw. psychologii całości. Z formalizmem ma on niewiele wspólnego, chyba tylko tyle, o ile sam formalizm ma swoje *priora* w wymienionych kierunkach. Że jednak

6. Wartość dzieła literackiego należy w nauce i literaturze rozważać przede wszystkim z punktu widzenia artystycznego (Kridl, ściśle biorąc, sądzi, że jedynie, ale w tym przekracza już granicę słuszności).

Przytoczone właśnie twierdzenia stanowią zrąb programu metodologicznego nauki o literaturze (zresztą nie wystarczający). Od przyjęcia ich lub odrzucenia zależy, czy i w jakiej mierze uda się w przyszłości tę gałąź wiedzy uprawiać w sposób naukowy. Jakkolwiek większość z nich nie Kridl wypowiedział po raz pierwszy, to jednak jego niewątpliwą zasługę stanowi, że jako badacz literatury odczuł potrzebę przeprowadzenia rozważań nad metodą uprawianej przez siebie nauki i że starał się przez wysunięcie z dużym naciskiem przytoczonych twierdzeń, choć nie zawsze w poprawnym sformułowaniu, przyczynić się do wzniesienia badań literackich na wyższy poziom. Kridl idzie jednak w swych naczelnych tezach często za daleko. Wygłasza też niejedno twierdzenie, na które trudno się zgodzić. Niektóre z nich tu omówię.

1. Rozróżniając — w ślad za innymi badaczami — między dziełami sztuki literackiej a dziełami naukowymi, posuwa się Kridl za daleko głosząc, iż nie mają one w ogóle n i c wspólnego ze sobą. Tymczasem da się pokazać, że tych wspólności istnieje dość wiele, i to istotnych. Źródłem tego błędu jest pewien fałszywy pogląd formalno-ontologiczny. Kridl mianowicie utożsamia zespół cech i s t o t n y c h (w całości stanowiących istotę przedmiotu) z cechami c h a r a k t e r y s t y c z n y m i, a więc z cechami, które pewien przedmiot odróżniają od wszystkich pozostałych, lub też miesza je z tzw. tradycyjnie *differentia specifica*. Wskutek tego zdaniem jego dwa przedmioty o odmiennej istocie nie posiadają „nic wspólnego“ ze sobą. Uniemożliwia to w konsekwencji Kridlowi utworzenie nadrzędnego pojęcia dzieła literackiego (w mej niemieckiej terminologii: „das literarische Werk“), którego szczegółowe wypadki stanowiłoby z jednej strony dzieło sztuki literackiej (das literarische Kunstwerk), z drugiej zaś mi. dzieło naukowe. W dalszym następstwie nie może dla Kridla istnieć taka j e d n o l i t a nauka, która zajmowałaby się wszelkimi dziełami literackimi w szerokim tego słowa znaczeniu.

2. Słusznie głosi Kridl, że badanie literackie nie jest badaniem psychologicznym. Myli się jednak głosząc, że badania psychologiczne w ogóle na nic nie mogą się przydać nauce o literaturze, a co więcej, że w ogóle nie mogą doprowadzić do żadnych naukowo

---

nawet i w tym sensie nie jest on związany z rdzeniem „formalizmu“, to widać np. z faktu, że Z. Łempicki będąc sam wyraźnym przeciwnikiem formalizmu pisze w swej rozprawie *Forma i norma:* „I nie może sam temat jako taki czy też jego ujęcie wpłynąć na ocenę dzieła — dodatnią czy ujemną — z pobudek ideowych i nie może sam kształt dzieła i sposób przedstawienia — przy uznaniu dla tematu — wpłynąć na dodatnią lub ujemną ocenę z pobudek estetycznych, skoro uznaje się nierozerwalną jedność dzieła sztuki“ (por. *Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu,* s. 26).

wartościowych wyników. Kridl czuje wyraźnie jakąś awersję do psychologii, być może z powodów, o których wspomina w ostatnim zdaniu swej książki[1].

3. Przy przedstawianiu swej „metody integralnej“ Kridl występuje bardzo ostro przeciw tzw. „dualizmowi“ formy i treści w dziele literackim, czyli przeciw poglądowi, który odróżnia te dwa „elementy“ (jak mówi autor) dzieła literackiego. Nie ulega wątpliwości, że rozróżnienie to nie zostało dotychczas przeprowadzone w sposób, który mógłby zadowalać choćby bardzo skromne wymagania. Sprawa ta wymaga dość rozległych i trudnych rozważań[2]. Nie można jej jednak ani krytycznie, ani pozytywnie tak załatwiać, jak to czyni Kridl. Zamiast wziąć pod rozwagę określone i faktycznie przez kogoś wypowiedziane twierdzenia, Kridl — że tak powiem — sam konstruuje pewien pogląd, który zwalcza. Sformułowanie tego poglądu, które podaje, jest przy tym takie, że jest bardzo łatwo wykazać jego fałszywość, ale przez wykazanie jego fałszywości jeszcze się niczego nie uzyskuje w sprawie słuszności lub niesłuszności rozróżnienia formy i treści dzieła literackiego. Godzimy się z autorem, gdy mówi: „nie masz żadnej treści i formy w znaczeniu popularnym, tj. (?) jako czegoś osobnego, oddzielnie istniejącego“. Godzimy się jednak w tym znaczeniu, że fałszywa jest teza o „oddzielnym“ czy też „osobnym“ istnieniu formy i treści. Stąd jednak wcale nie wynika, jakoby niedopuszczalne było w ogóle rozróżnienie „formy“ i „treści“ jako czegoś, co jest nawzajem bytowo niesamodzielne i wzajem się warunkuje. Owa „osobność“ i „niezależność“ formy i treści nie tylko nie stanowi czegoś dla nich lub dla ich pojęć niezbędnego, lecz przeciwnie jest w szeregu rozmaitych rozumień tych terminów czymś zasadniczo obcym zarówno „formie“ jak „treści“ — na co zresztą nieraz zwracano uwagę. Owa „osobność“ to raczej pewna fikcja autora (czy może tzw. formalistów rosyjskich?), przez której zwalczenie spodziewa się autor usunąć w ogóle zagadnienie formy i treści i zdobyć argumenty dla swej „metody integralnej“. Ażeby jednak zbadać, jaki jest wzajemny stosunek „formy“ i „treści“, trzeba przede wszystkim uświadomić sobie, w jakich r ó ż n y c h znaczeniach może być mowa o formie i treści w dziele literackim. U Kridla nie ma żadnej próby w tym kierunku, a co więcej, widać, że autor sam ulega wieloznaczności tych terminów. Zaczyna on mianowicie swe wywody na ten temat od takiego rozumienia „treści“, w którym ma się na oku „albo temat, albo wątek, albo fabułę utworu, w niektórych zaś utworach tzw. ideologię“ (s. 153) i przeciwstawia jej „elementy

---

[1] Sprawę przydatności badań psychologicznych dla nauki o literaturze omówiłem bliżej w artykule w „Pionie“ (r. V, nr 34), pt. *O psychologii i psychologizmie w nauce o literaturze.*

[2] Por. mój artykuł *Sprawa formy i treści w dziele literackim* (Życie Literackie 1937, nr 5); także w czasopiśmie Helicon 1938, t. I. nr 1, pt. *Das Form-Inhalt-Problem im literarischen Kunstwerk.*

kompozycji“ jako elementy formy[1], potem zaś przechodzi do traktowania tego samego przeciwstawienia pod aspektem pary (nie wyjaśnionych zresztą) pojęć „co“ i „jak“, by za chwilę mówić o formie jako o tym, „co podpada pod zmysły“, w szczególności o „dźwiękach“, potem zaś o rytmie itp.[2] Ta zmienność i wieloznaczność pojęć „formy“ i „treści“ sprawia, że prawie nie podobna zająć stanowiska wobec poszczególnych twierdzeń autora, bo dokładnie nie wiadomo, o czym one to lub owo głoszą. Z tym zastrzeżeniem trzeba jednak zrobić następujące uwagi:

a) „Gdy się przemyśli zasadę jedności dzieła“, powiada Kridl, to trzeba odrzucić „dualizm formy i treści“. „Jeżeli jedność, to rzecz naturalna, że nie może być dualizmu, bo jedno drugie wyklucza“. Otóż owa „zasada jedności dzieła“ nie może chyba głosić, jakoby w całości dzieła nie można było wyróżniać żadnych części ani momentów lub cech, bo 1. zasada taka uniemożliwiłaby wszelkie poznawanie dzieła literackiego, prócz całościowej jego percepcji, 2. autor sam wciąż mówi o „elementach“, „częściach“, „składnikach“ dzieła. Zasada ta przeto może głosić jedynie, że nie ma w dziele części izolowanych, niezależnych od części pozostałych, i że w następstwie tego trzeba te części lub momenty analizować w związku z całością dzieła[3]. Zdawałoby się, że właśnie ta zasada

---

[1] Notabene, elementami tymi mają być np. w wypadku *Powrotu taty* „matka stroskana i wierząca, dzieci dobre i posłuszne, takie, a nie inne następstwo zdarzeń, związek między nimi i motywacja, zarówno psychologiczna jak i łańcucha wypadków itp.“ (podkreślenia autora). Nigdy by mi, wyznam, nie przyszło na myśl, że można np. „matkę zatroskaną“ uważać za „element kompozycji“ (a więc wedle autora: „formy“), i to na równi np. z „następstwem zdarzeń“ itd.

[2] Na str. 155 czytamy zresztą, że „trzeba skończyć z... mieszaniem „treści“ dzieła z tym, co nazywa się tematem, ideą, fabułą itp., treść bowiem zawiera w sobie wszystkie te elementy razem, a ponadto nie istnieje poza swoim ukształtowaniem, czyli znowu poza wszystkimi pierwiastkami tzw. formy“. Stąd widać nie tylko, że autor zarzuca pojęcie treści, od którego rozpoczął rozważania, ale nadto, że sam przyjmuje istnienie „treści“ dzieła (nie określając jej zresztą wyraźnie) i protestuje jedynie przeciw jej „osobnemu“ istnieniu „poza“ formą. Nie zgadza się to z innymi oświadczeniami autora.

[3] Zasada to zresztą — jak już zaznaczyłem — stara i niejednokrotnie przed Kridlem wypowiadana jako ogólna zasada metodologiczna w naukach humanistycznych. W odniesieniu do ogólnej budowy dzieła literackiego została ona zastosowana w mej książce *Das literarische Kunstwerk*, gdzie pokazano nie tylko organiczny związek „części“, tzn. przede wszystkim warstw dzieła literackiego, ale nadto, jak ta organiczność wypływa z istoty budowy i funkcji poszczególnych warstw. Wypowiada się tę zasadę zwykle (a czyni to także Kridl) jako stwierdzenie pewnego faktu. Przy bliższym rozpatrzeniu sprawy prawdą to jest jedynie w odniesieniu do ogólnej budowy dzieła literackiego, w zastosowaniu zaś do szczegółowej budowy pewnego określonego dzieła ma ona raczej charakter pewnego postulatu: podaje mianowicie warunek, który spełniać winny dobre (wartościowe) dzieła literackie. Ale nie wszystkie faktycznie istniejące dzieła są dobre i warunek ten spełniają. Z drugiej strony rozważana zasada może być jeszcze na dwa różne sposoby rozumiana: jako czysto ontologiczne twierdzenie, głoszące coś o anatomicznych własnościach dzieł literackich, i jako twierdzenie fe-

a) pozwala wyróżniać w całości dzieła mi. jego „formę“ i „treść“ w różnych możliwych znaczeniach, *b*) rozważać jedną i drugą w jej funkcji dla całości. Tymczasem wedle Kridla „jedno drugie wyklucza“. Dlaczego? Bo autor nie wiadomo dlaczego obstaje już nie tylko przy „osobnym“ istnieniu „formy“ i „treści“, ale nawet przy tym, że każda z nich ma mieć swą „funkcję samodzielną“, „nie wiążącą się z drugą“, „obojętną dla reszty dzieła“[1]. Tylko pod tym warunkiem można widać, zdaniem Kridla, odróżnić formę od treści. Tymczasem jest to zupełnie nie uzasadniony przesąd. Gdy go odrzucimy, to wówczas dopiero otwiera się rozległe pole skomplikowanych i doniosłych zagadnień, które nasuwają „forma“ i „treść“ dzieła literackiego (lub dzieła sztuki w ogóle) w różnych możliwych znaczeniach. Uwzględnienie ich pozwoliłoby sprecyzować naprawdę „integralną“ metodę badania dzieła i wyznaczyłoby jej granice.

b) Po wygłoszeniu przez autora twierdzenia, że należy zarzucić rozróżnienie między treścią i formą dzieła literackiego (I), spodziewa się czytelnik, że autor będzie to twierdzenie uzasadniać. Tymczasem Kridl uzasadnia nie to, lecz dwa inne twierdzenia, a mianowicie, 1. że nie można przy pomocy żadnego streszczenia „dać wyobrażenia o tym, jak dana „treść“ w rzeczywistości dzieła wygląda“, i 2. że z drugiej strony „i czysta forma nie da się z utworu literackiego wyabstrahować“ (s. 155). Przypuściwszy nawet jednak, że nie dochodzi u autora do przesunięcia zagadnienia, lecz że twierdzenia 1. i 2. mają stanowić uzasadnienie dla twierdzenia I, to i wtedy powstają następujące wątpliwości: Przede wszystkim: gdyby nawet 1. i 2. były prawdziwe, to jeszcze z tego nie wynikałoby wcale, iż nie zachodzi różnica między formą i treścią dzieła literackiego (w jakimś określonym znaczeniu!), a jedynie, że istnieją jakieś trudności przy przedstawianiu lub wyobrażaniu sobie każdej z nich. Po wtóre: czy droga, na której autor chce dać „wyobrażenie“, jak „treść“ pewnego dzieła „wygląda“, jest szczęśliwie dobrana? Czy w badaniach literackich istotnie o to chodzi, żeby „dać wyobrażenie“, jak ona wygląda? Jeżeli zważymy, że autor sam wysuwa zagadnienia opisowe jako główne zagadnienia nauki o literaturze, to można by przypuścić, że i w odniesieniu

---

nomenologiczne, które bierze pod uwagę wpływ poszczególnych percypowanych części czy momentów dzieła na ostateczny wynik percepcji całości dzieła. Ponieważ przy wszelkiej percepcji prócz czysto przedmiotowych własności dzieła odgrywają rolę także subiektywne warunki, w jakich percepcja się odbywa, więc obie interpretacje „zasady“ są w znacznej mierze od siebie niezależne. By jednak stopień tej niezależności bliżej określić, trzeba by przeprowadzić dość skomplikowane rozważania, na które tu nie ma miejsca. Pominięcie tych wszystkich spraw u Kridla sprawia, iż nie podobna merytorycznie dyskutować szeregu jego twierdzeń odnoszących się do tzw. metody integralnej.

[1] Por. też s. 155: „Stosunek różnych elementów utworów do znaczenia jest różny, ale zawsze pozytywny, nigdy obojętny“. „...nie potrafilibyśmy udowodnić, że posiada on swoje samodzielne istnienie i nie wpływa na „treść“ i znaczenie“.

do „treści“ istnieją tego rodzaju opisowe zadania. Do tego celu jednak „streszczenie“ wcale się nie nadaje i nie można — że się tak wyrażę — mieć mu tego za złe, że jest zawsze zniekształceniem „treści“ dzieła. Fakty przytoczone przez autora w niczym nie przesądzają możliwości poznania treści i ujęcia jej własności w szereg twierdzeń opisowych. Istnieje zresztą wiele różnych sposobów poznawania dzieła literackiego i wiele różnego rodzaju „treści“ dzieła. Dopiero wyanalizowanie jednych i drugich pozwoliłoby nam rozstrzygnąć, w jakich granicach i w jakim stopniu „treść“ dzieła jest „poznawalna“. Tego jednak nie czyni Kridl. Jest zresztą rzeczą znamienną i zastanawiającą, że Kridl, który chce rozwiązać pytanie, w jaki sposób, przy pomocy jakiej metody należy badać dzieło literackie, ani razu nie stawia sobie pytania, w jakich aktach i procesach poznawczych poznaje się lub w ogóle można poznawać coś takiego jak dzieło literackie. Pominięcie tej zasadniczej sprawy uniemożliwia z góry Kridlowi zbudować sprawną metodę badania dzieła literackiego. Uniemożliwia też w szczególności dać odpowiedź na pytanie, czy treść dzieła można poznać i w jakiej mierze. Bo być może, że np. gdy chodziłoby o bezpośrednią jej percepcję, to można by ją poznać tylko przez i w trakcie czytania dzieła, a gdy chodziłoby o pojęciowe ujęcie jej własności, to dałoby się to zrobić jedynie po przeczytaniu w specjalnych aktach poznawczych. W zasięgu rozważań, które obejmują wywody Kridla, nic jednak na ten temat nie można powiedzieć. To samo odnosi się *mutatis mutandis* do możliwości i granic poznania „formy“ dzieła. W każdym razie jednak „wyabstrahować“ „formę“ z dzieła, to wcale nie znaczy „udowodnić“, że ona „nie wpływa na treść i znaczenie“ utworu.

Nie podobna tu omawiać wszystkich wątpliwości, jakie nasuwają się przy uważnej lekturze książki Kridla. Jest ich sporo. Ilekolwiek by ich jednak było, nie należy — jak to wielu z oponentów Kridla zrobiło — przechodzić obok nich z miną wyższości lub z biadaniem, że rzekomo tak wiele (?!) czasu poświęca się u nas na zagadnienia metodologiczne, ku szkodzie badań szczegółowych. Należy przeciwnie, spokojnie i skrupulatnie przemyśleć nasuwające się wątpliwości, a zarazem wykorzystać i wszystkie dobre strony książki Kridla, żeby metodę badań nad literaturą podnieść na wyższy stopień. W walce o jej wydoskonalenie książka Kridla, mimo swych wszystkich braków i niedociągnięć, na pewne nie jest bez znaczenia.

Lwów *Roman Ingarden*

Zygmunt Łempicki: *Forma i norma.* Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu. Wilno 1937. S. 17—32.

Artykuł dotyczy dwu głównych zagadnień: 1) co stanowi istotne zadania historyka literatury, 2) co ma go prowadzić przy ich rozwiązywaniu? Tytuł artykułu natomiast wskazuje na pewną

sprawę związaną głównie z drugim z wymienionych zagadnień; widocznie sprawa ta stanowiła oś zainteresowań autora.

Zdaniem autora, do zadań historii literatury[1] należy nie tylko prosta inwentaryzacja i opis faktów literackich, lecz nadto:

a) wykrycie znaczenia historycznego omawianych dzieł,

b) w obrębie zaś tego, co takie znaczenie posiada, przeprowadzenie oceny wartości dzieła, i to nie tylko jego wartości dla danej epoki, ale i wartości „ponad- i pozaczasowej",

c) przedstawienie procesu dialektycznego między formami wewnętrznymi dzieł a normami obowiązującymi w danej epoce (dzieje stosunku formy do normy), wreszcie

d) stworzenie pewnego rodzaju typologii form wewnętrznych jako energii kształtujących, oraz stylów jako przejawów tych energii.

Już przy zestawieniu poszczególnych zadań historii literatury występują pojęcia „formy" i „normy". Odgrywają one jednak istotną rolę przede wszystkim przy rozwiązywaniu drugiego z podanych u wstępu zagadnień. Zachodzi mianowicie pytanie, co ma stanowić podstawę (kryterium) oceny zarówno znaczenia historycznego dzieła jak i jego wartości. To kryterium oceny nazywa autor „normą oceny". Chodzi zaś przy tym nie — jakby się tego można spodziewać — o pewne zdanie, które głosi, że coś należy lub nie należy czynić, lecz o to, co stanowi lub od czego zależy wartość dzieła, a co zarazem tworzy pewien idealny wzorzec wartościowy. Jakiego rodzaju wartość autor ma przy tym na oku, o tym nie zawsze mówi się w artykule wyraźnie, ale prawdopodobnie chodzi przede wszystkim o wartość estetyczną. Owej normy dostarcza, zdaniem autora, wywodzące się od Shaftesbury'ego pojęcie „formy wewnętrznej" jako siły czy energii kształtującej dzieło, a wyrażającej się w takim zespoleniu treści (zawartości) i zewnętrznego kształtu (formy zewnętrznej), iż całość dzieła stanowi jedność organiczną. Wartość dzieła zależy bowiem od tego, czy dochodzi w nim do owego szczególnie ścisłego, koniecznego i wewnętrznego zespolenia wymienionych momentów dzieła.

Taka jest w przybliżeniu główna treść wywodów autora. Lecz oto i niektóre nasuwające się wątpliwości:

1. Czytelnik stawia sobie przede wszystkim pytanie, czy „norma oceny", proponowana przez autora, ma być jego zdaniem obiektywna i bezwzględna, czy też nie, a po wtóre, czy ona jest pod tym względem taka lub inna. Otóż autor nie wypowiada się o tym *expressis verbis.* Można tylko starać się pośrednio wywnioskować, jakie są jego w tej sprawie poglądy. Nie dochodzi się jednak przy tym do jednoznacznego i pewnego wyniku. Z jednej strony bowiem dwukrotne stwierdzenie autora, że historyk literatury ma za

[1] Autor dodaje przy tym kilkakrotnie zwrot o „syntetycznym ujęciu i przedstawieniu", o „syntezie historycznoliterackiej" itp. Chodzi więc zdaje się o taką historię literatury, która tego rodzaju syntezę uwzględnia.

zadanie wykryć „poza- i ponadczasową“ wartość dzieła literackiego, każe się spodziewać, że autor nie tylko uznaje możliwość istnienia normy obiektywnej i niezależnej od zmienności historycznej, ale także, że jej poszukuje. Prawdopodobnie też uważa proponowaną przez siebie normę za odznaczającą się tymi cechami. Z drugiej strony jednak znajdujemy w artykule wyrażone twierdzenie, że w procesie historycznym zachodzi zmienność i wielość norm: „w dziedzinie zjawisk moralnych zarówno normy jak i wartości[1] ulegają pewnym przemianom“. Przeciwko przyjętym normom, czytamy dalej, „burzy się nieraz w różnych dziedzinach indywidualna energia twórcza... To jest naturalny przejaw[2] w dziedzinie historii ducha ludzkiego“. W związku z tym każe autor tworzyć historykowi literatury „dzieje stosunku normy do formy“.

Nie jest rzeczą jasną, czy te dwa różne punkty widzenia godzą się ze sobą i czy je za zgodne uważa autor. Gdy zaś czytelnik próbuje je pogodzić ze sobą, to natrafia przy tym na trudności. Nasuwają się bowiem następujące możliwości:

Istotnie — powie ktoś — zmieniają się w przebiegu dziejów normy oceny[3], a w następstwie tego i same oceny wartości dzieł literackich. Jedno i to samo dzieło uchodzi w jednej epoce za wartościowe, w innej za pozbawione wartości. Ale ta zmienność norm oceny i samych ocen jest tylko przypadkowym faktem historycznym i świadczy jedynie o tym, że uznawane normy i przeprowadzane oceny są w przeważającej większości fałszywe. Byleby więc tylko udało się znaleźć trafną normę oceny, to odrzuciłoby się błędne opinie i oceny i dotarło do „poza- i ponadczasowej“ wartości dzieł. W tych warunkach jest też rzeczą sensowną poszukiwać bezwzględnej i obiektywnej normy oceny.

Nie jest jednak pewne, czy autor tak właśnie sprawę stawia. Nie mówiłby chyba wówczas, że w dziedzinie zjawisk moralnych zmieniają się nie tylko „normy“ (trzeba by dodać: jako tylko uznawane przez nas opinie), lecz także i same wartości. I nie uznawałby też może walki indywidualności twórczej z zastanymi przez nią normami za „naturalny objaw“. To zaś autor właśnie czyni. Jeżeliby jednak same wartości dzieł literackich (i sztuki w ogóle) zmieniały się w ciągu dziejów, to chyba nie byłoby co szukać „poza- i ponadczasowych wartości“. Może to bowiem istota procesu historycznego i wszelkich uwikłanych weń zjawisk i wytworów kulturalnych (a mi. dzieł literackich) wyklucza te poza- i ponadczasowe wartości[4]?

---

[1] Przeze mnie podkreślone.

[2] Przeze mnie podkreślone.

[3] Ale „norma oceny“ musiałaby mieć teraz inne znaczenie, mianowicie pewnej uznawanej w danej epoce opinii o tym, co stanowi wartość dzieła literackiego w ogóle i dzieł poszczególnych.

[4] Nie chciałbym, by kto przypuszczał, że sam się za tą ewentualnością oświadczam. Nieraz jednak występowano z tego rodzaju poglądem — zwła-

Czy trzeba jednak iść tak daleko? Może wystarczy odróżnić dwa zasadniczo odmienne typy wartości dzieł literackich (i sztuki w ogóle): jedne — takie, jak np. zjawiska mody — ulegające nieuchronnie zmianie w procesie historycznym, a drugie „wieczne", które ostają się niezmiennie w procesie deformacji historycznej?

Przeciw jednak tej ostatniej ewentualności zdają się świadczyć różne okoliczności: autor przyjmuje istnienie wielu typowo różnych „form wewnętrznych", które wedle niego stają się normami [1]. Między tymi formami i normami rozgrywa się walka. Zdaje się więc, że wedle autora różność tych „form" (lub „norm") nie jest tego rodzaju, żeby one — że się tak wyrażę — królowały obok siebie, resp. żeby normy współ-obowiązywały dotycząc po prostu wartości odmiennego rodzaju, nie zagrażających nawzajem swemu istnieniu. Przeciwnie — i normy, i formy wskutek swej różności nawzajem się znoszą. W następstwie tego to samo dzieło, które w epoce A (za panowania normy a) było wysoko wartościowe, w epoce B (za panowania normy b) traci tę wartość. A formy wewnętrzne to wszak wedle autora nie owe energie twórcze, które prowadzą tylko do przemijających zjawisk mody, lecz te, które wiodą do nowych stylów i do arcydzieł w poszczególnych stylach. — Więc może nie ma celu szukać poza- i ponadczasowych wartości, jeżeli wszystkie istotne wartości tylko w pewnej epoce istnieją i wraz z nią giną?

A może przecież jest inaczej? Może różne formy wewnętrzne (lub jak się wyraża Worringer, różne „Kunstwollen"), mimo całą swą zaborczość i dyktatorskie zapędy, wcale w istocie swej się nie wykluczają i nie muszą prowadzić do norm ze sobą niezgodnych? I może „wieczne" są arcydzieła bez względu na styl w nich ucieleśniony? I może wreszcie norma proponowana przez autora stanowi taką „poza- i ponadczasową" wartość dzieła sztuki? I jedynie ciasnota psychiczna odbiorców dzieła sztuki, brak u nich wystarczająco wielopostaciowej wrażliwości artystycznej na różne style prowadzi do pozornej zaborczości „form wewnętrznych" i do nie uzasadnionego rozszerzenia poszczególnych norm na wypadki w istocie leżące poza zasięgiem ich uprawnionej stosowalności?

2. Jeżeli trudno lub nie podobna zdecydować się, który z przeciwstawionych poglądów wyznaje autor i który z nich jest prawdziwy, to źródło tego tkwi przede wszystkim w fakcie, że autor posługuje się przy ustalaniu proponowanej przez siebie normy oceny długim szeregiem podstawowych, a należycie nie wyjaśnionych

---

szcza z kół zbliżonych do Diltheya — i trzeba się z nim liczyć jako z jedną z teoretycznych możliwości. Należy przy tym pamiętać, że nie kto inny, jak prof. Łempicki, pierwszy u nas zaznajamiał polski ogół kulturalny z filozofią Diltheya.

[1] Chyba w jakimś innym (trzecim już z rzędu) znaczeniu? Ale trudno się zdecydować, bo pojęcie „formy wewnętrznej" jest obciążone znaczną dozą niejasności. Nie znam niestety pracy O. Walzel'a pt. *Grenzen von Poesie und Unpoesie*, o której mówi autor, że „gruntownie prześwietliła" to pojęcie. Ale znane mi rozprawy nie zdołały mię przekonać o jego jasności

pojęć poszczególnych stron dzieła literackiego i stosunków między nimi [1]. Dotyczy to w szczególności zarówno pojęć „formy“ i „treści“ jak i pojęcia „normy“. Już sama mnogość terminów, którymi autor operuje bez przeprowadzenia rzeczowych i sens ich wyjaśniających analiz, utrudnia bardzo orientację. Gdyby nawet udało się zmniejszyć ich ilość przez utożsamienie treści niektórych z nich, to pozostałoby ich jeszcze aż nadto dosyć, żeby zgłosić pod adresem autora postulat bliższego wyanalizowania ich treści. Wykonanie tego zadania dopiero pozwoliłoby nam dokładnie zrozumieć, o czym mowa w proponowanej przez autora normie oceny [2], i rozproszyć wątpliwości, które nasuwa omawiany artykuł. Co ważniejsza jednak, posunęłoby ono wydatnie naprzód stan wiedzy o istocie dzieła sztuki. Samo posługiwanie się przez autora niektórymi z przytoczonych pojęć świadczy wprawdzie, że zrozumienie budowy dzieła sztuki jest u autora daleko posunięte, nie pomaga nam to jednak wiele do jednoznacznego zrozumienia twierdzeń autora ani do przezwyciężenia oporów i sprzeciwów, które rodzą się w czytelniku przy dokładniejszym zastanawianiu się nad słusznością i znaczeniem tez artykułu.

3. Treść niektórych podstawowych pojęć, którymi się autor posługuje, nie jest jednolicie ukształtowana. Tak np. „forma wewnętrzna“ ma być z jednej strony „formującą siłą jednostki“ twórczej, ewentualnie nawet całych grup społecznych. Wydaje się więc, że jest ona czymś psychicznym, w każdym razie czymś, co pozostaje poza dziełem-wytworem, a stanowi jedynie jego źródło. Tymczasem taż sama forma wewnętrzna ma być z drugiej strony czymś z samego dzieła, albowiem ma być „wyrazem pewnego organicznego zespolenia treści i kształtu dzieła“. Że zaś słowo „wyraz“ jest wieloznaczne i może znaczyć tutaj conajmniej tyle, co a) coś,

---

[1] Są one następujące: 1) treść dzieła literackiego, 2) jego zawartość, 3) temat, 4) istota treści, 5) forma wewnętrzna, 6) formująca siła jednostki (a także całej grupy społecznej), 7) kształt, 8) charakter kształtu, 9) możliwości kształtowania tkwiące w temacie lub jego rodzaju, 10) zasada kształtowania, 11) sposób przedstawienia, 12) forma = związek konieczny i wewnętrzny między treścią i kształtem; ta sama forma jest zarazem 13) wyrazem formującej siły jednostki (sub 5) i możliwości kształtowania tkwiących w temacie (sub 9), 14) zespolenie treści i kształtu, 15) styl jako wyraz zespolenia treści i kształtu (sub 14), 16) forma zespolenia treści i kształtu, a więc forma tego, co sub 14, 17) typ zespolenia treści i kształtu, 18) charakter formy zespolenia treści i kształtu, 19) jedność organiczna dzieła literackiego. — Co do niektórych tych terminów można przypuszczać, że oznaczają one to samo, tak np.: I. 1), 2) i 3), II. 5) i 6), III. 12), 14) i 19), wreszcie IV. 16) i 17), być może także 15) i 18). Ale bez bliższych wyjaśnień ze strony autora nie podobna tego rozstrzygnąć.

[2] W artykule *Sprawa formy i treści w dziele literackim* (Życie Literackie 1937, nr 5) pokazałem, jak bardzo wieloznaczne są terminy „forma“ i „treść“. Zastosowanie wyników tam podanych do normy proponowanej przez autora pokazałoby, jak wiele r ó ż n y c h norm proponuje nam autor pod swym sformułowaniem. Dopiero odróżnienie i odpowiednie sformułowanie tych norm pozwoliłoby zacząć dyskusję, czy i o ile przynajmniej niektóre z nich dadzą się utrzymać.

co wyraża owo organiczne zespolenie, lub b) coś, co przez to organiczne zespolenie zostało wyrażone (ujawnione), więc w wypadku pierwszym forma wewnętrzna byłaby tym szczególnym momentem dzieła, w którym ujawnia się „organiczne zespolenie" treści i kształtu dzieła, w drugim zaś byłaby czymś pochodnym w stosunku do dzieła samego, co przez pewien jego szczegół zostaje dopiero ujawnione. Być może, że w obu tych wypadkach może zachodzić jakieś jakościowe pokrewieństwo lub jakiś inny związek z „formą wewnętrzną" jako „siłą formującą jednostki", ale że to nie to samo, co owa siła, to chyba nie ulega wątpliwości. Wprawdzie bardzo wielu historyków i teoretyków literatury (lub sztuki w ogóle) zapewnia nas, że pewne siły lub właściwości duchowe autora, jego przeżycia i stany psychiczne, zostają jakoś w dziele „utrwalone", w nim zamknięte i ucieleśnione, ale zwroty te to w gruncie rzeczy nic innego jak pewne przenośne i niejasne wyrażenia, które dosłownie wzięte stają się absurdami. Trzeba je przeto zastąpić pojęciami, które opierałyby się na analizie istotnego stosunku, jaki zachodzi między tym wszystkim, co istnieje lub zachodzi w autorze dzieła, a tym, co w samym dziele się znajduje lub też przez nie zostaje ujawnione czy wyrażone. Innymi słowy: należy się może zgodzić, że istnieje pewnego rodzaju przyporządkowanie między przeciwstawionymi przed chwilą rozumieniami tzw. „formy wewnętrznej", ale nie można ich utożsamiać. Trzeba przy tym wykryć i bliżej określić rodzaj tego przyporządkowania. To, co się zazwyczaj pisze o „formie wewnętrznej", jest w ogóle nie dość jasne. Najczęściej są to bliżej nieokreślone ogólniki. Być może, że pojęcie to stałoby się bardziej sprecyzowane, gdyby ktoś na pewnym określonym dziele literackim dokładnie pokazał, co stanowi jego „formę wewnętrzną".

4. W związku z proponowaną przez autora normą oceny wartości dzieła literackiego i z zagadnieniem tej wartości i jej ewentualnej niezmienności należy zwrócić uwagę jeszcze na dwie sprawy:

Pierwsza z nich, to konieczność uświadomienia sobie jasno, czego wartości się szuka i jakiej wartości. Trzeba mianowicie rozróżnić między samym dziełem literackim jako intersubiektywnym tworem schematycznym a literackimi przedmiotami estetycznymi, czyli konkretyzacjami dzieła literackiego, uzyskanymi w postawie estetycznej przez czytelnika. Z drugiej strony zaś trzeba przeciwstawić wartość artystyczną dzieła sztuki i wartość estetyczną przedmiotu estetycznego (tudzież różne odmiany jednej i drugiej). Rozróżnienia te zostały już przeprowadzone w literaturze, prof. Łempicki jednakże zupełnie ich nie uwzględnia w swych rozważaniach. Jasną jest jednak rzeczą, że całkiem innego rodzaju „normę" lub „normy" oceny trzeba będzie wprowadzić, gdy chodzi o wartości artystyczne dzieła literackiego, a całkiem inne, gdy dotyczyć one mają estetycznych wartości estetycznych konkretyzacji, możliwych do zrealizowania przy pewnym określonym dziele i w określonych warunkach historycznych jego percepcji.

Także zagadnienie bezwzględności lub względności „normy“ oceny należy osobno sformułować w odniesieniu do „norm oceny“ wartości artystycznej dzieła literackiego, a osobno w odniesieniu do norm oceny wartości estetycznej estetycznych konkretyzacji literackich. Jest też bardzo prawdopodobne — choć nie podobna tego w tej chwili decydować — że rozwiązanie tych zagadnień będzie całkiem odmienne w odróżnionych wypadkach.

Druga uwaga odnosi się do „normy oceny“, zaproponowanej przez prof. Łempickiego. Gdy mianowicie w normie tej mowa o „zespoleniu“ (ujednieniu itp.) tak zwanej „treści“ i „kształtu“ dzieła literackiego, to mimo całej wieloznaczności tych dwu ostatnich terminów można przypuszczać, że chodzi tu o coś więcej lub o coś innego niż o proste „zespolenie“. Nikt chyba nie wątpi, że przynajmniej przy niektórych znaczeniach słów „treść“ i „kształt“ to, co słowa te oznaczają, nie może w konkretnym dziele sztuki w ogóle inaczej istnieć jak w „zespoleniu“, albowiem jest czymś nawzajem niesamodzielnym[1]. I to niesamodzielnym nie tylko w tym znaczeniu, że nie można jednego od drugiego odseparować (oddzielić jak dwa kawałki chleba), ale także w tym, że współistniejąc w jednej całości, nawzajem się jakościowo modyfikują. Jeżeli np. w jakimś innym dziele literackim — jak się to nieraz słyszy — mielibyśmy „tę samą treść“, ale w innym „kształcie“ niż w pewnym dziele rozważanym, to treść ta nigdy, ściśle biorąc, nie jest dokładnie taka sama, lecz tylko mniej lub więcej odmienna. I to właśnie dlatego, że w innym kształcie występuje. Tego rodzaju „zespolenie“ treści i formy (kształtu), płynące z niesamodzielności ich obu, występuje w każdym dziele sztuki (w szczególności w każdym dziele literackim) bez względu na jego wartość po prostu dlatego, że jest to konieczność formalno-ontologiczna. Jeżeli przeto „zespolenie“ treści i kształtu ma odgrywać jakąkolwiek rolę dla wartości (artystycznej lub estetycznej) dzieła literackiego (lub jego konkretyzacji), to przy tym „zespoleniu“ musi chodzić o coś całkiem innego niż o proste współistnienie momentów niesamodzielnych. Prawdopodobnie też autor to coś innego ma na oku, choć tego dokładnie pojęciowo nie określa. Można się tego tylko domyślić z takich zwrotów, używanych przez autora, jak np. że w każdej treści lub jej rodzaju tkwią pewne określone możliwości jej kształtowania lub że dzieła nieudane, pozbawione wartości, stanowią „nieorganiczny zlepek treści i kształtu“. Także to nieraz używane, a i u autora występujące pojęcie „związku“, „jedności organicznej“ — nigdy zresztą bliżej nie sprecyzowane — zdaje się wskazywać w tym samym kierunku. Wszędzie chodzi o coś bardzo

---

[1] Ta wzajemna niesamodzielność „formy“ i „treści“ zachodzi w każdym razie w pierwszym, drugim, trzecim i dziewiątym znaczeniu tych terminów z odróżnionych przeze mnie ich znaczeń w rozprawie *Das Form-Inhalt-Problem im literarischen Kunstwerk* (niemieckiej redakcji wspomnianego już artykułu w Życiu Literackim, trochę rozszerzonej, por. Helicon 1938 (I), nr 1—2).

ważnego i istotnego dla dzieła sztuki (resp. dla przedmiotu estetycznego), co powinno być dokładnie wyanalizowane. Oczywiście sprawy tej tu nie mogę rozwiązać. Zaznaczę tylko, że gdy się nad tego rodzaju zwrotami zastanawiam, staje się dla mnie dość prawdopodobne, że chodzi w nich o szczególne wypadki jakościowej przynależności pewnych tak dobranych momentów „treści" i „kształtu", że gdy one występują w jednym dziele, to ta ich jakościowa przynależność stanowi podłoże do powstania tego, co w książce mej pt. *O poznawaniu dzieła literackiego* nazwałem „zestrojem jakościowym" [1], a w szczególności do pojawienia się pewnej nowej, całość dzieła jednolicie piętnującej jakości nadrzędnej, postaciowej. W tym znaczeniu tylko przy niektórych dziełach (resp. przedmiotach estetycznych) można mówić o „zespoleniu" tzw. treści i kształtu. Dokładniej mówiąc: tylko w niektórych dziełach literackich mogą być zawarte wystarczające warunki na to, by w budujących się na ich podłożu, przy odpowiednio rozgrywającej się percepcji estetycznej, przedmiotach estetycznych dochodziło do tego rodzaju „zespolenia" treści i kształtu. Wyanalizować dokładnie, czym jest owa jakościowa przynależność pewnych momentów dzieła lub przedmiotu estetycznego do siebie i jakie w tej dziedzinie istnieją aprioryczne możliwości, tzn. jakie typy „kształtów" mogą jakościowo przynależeć do jakich typów „treści", jakie są zasadniczo możliwe stopnie i odmiany owej jakościowej przynależności itd. — oto jedno z naczelnych zadań filozoficznej teorii sztuki, resp. estetyki.

Nie można mieć pretensji do autora, że tej analizy nie przeprowadził w krótkim swym artykule. Pole to bowiem do bardzo rozległych i trudnych rozważań. Ale z drugiej strony dopiero choćby przygotowawcze opracowanie tego zadania może nam otworzyć rzeczywiste perspektywy na rozwiązanie zagadnienia wartości artystycznej dzieła sztuki czy estetycznej odpowiednich przedmiotów estetycznych. Ono też mogłoby nam otworzyć dostęp do ustalenia „norm" oceny wartości artystycznej dzieł literackich. Dopóki to się nie stanie, w teorii iść będziemy po omacku, a w praktyce badawczej nauki o literaturze decydować będzie przy ocenie poszczególnych dzieł jedynie genialne wyczucie uczonego lub krytyka, a nie metodycznie uświadomione i przez ustalone normy regulowane postępowanie.

Nie chciałbym, żeby wywody moje wziął czytelnik za wyraz tego, jakobym ujemnie oceniał wysiłek autora w omawianej rozprawie. Wręcz odmienne jest moje zdanie. Jakkolwiek bowiem nosi ona pewne wady kompozycyjne i metodyczne, które utrudniają zrozumienie istotnych intencji autora, to jednak jest ona jedną z tych rozpraw, które są pisane, że się tak wyrażę, „w dro-

[1] Inaczej do pewnego stopnia ma się rzecz z „częściami" dzieła sztuki literackiej, np. z poszczególnymi rozdziałami powieści lub aktami dramatu. Alę i one mogą być „zespolone" w trochę odmiennym jednak znaczeniu.

cze" do nowych odkryć, na przełomie poszukiwawczych dociekań: nie daje gotowych pod każdym względem wyników, ale otwiera perspektywy na badania dalsze, na możliwości zarysowujących się jeszcze niewyraźnie rozwiązań i nowych zagadnień. Napisana jako twór okolicznościowy, gdy warunki zewnętrzne (termin dostarczenia i rozmiary rozprawy) nie pozwoliły czekać i dalej jej rozbudowywać, może się stać początkiem istotnie twórczych i przełomowych badań. Tylko nie wolno na niej poprzestać — ani czytelnikowi, ani autorowi.

Lwów *Roman Ingarden*

Roman Ingarden: *O poznawaniu dzieła literackiego.* Lwów 1937. Wydawnictwo Zakł. Nar. im. Ossolińskich. Stron 274.

Wysiłki zmierzające do znalezienia w kulturze XX w. jakiejś nowej równowagi także i w nauce, znalazły wyraz i w historii literatury czy też w nauce o literaturze. Objawem tego są liczne rozprawy z zakresu metodologii badań literackich i prace oświetlające różne podstawowe zagadnienia tych badań. Nadzwyczajna obfitość pomysłów metodologicznych, którą nie bez racji określono mianem inflacji, i widoczna dziś skłonność do snucia refleksji na temat istoty badań nad literaturą świadczyłaby nie tyle o jakimś bujnym rozkwicie tej nauki, ale raczej o schyłku jej poczynań i chaosie dążeń.

Dobrze się stało, iż w tej sytuacji zabrał głos filozof, który się ani zawodowo, ani w ogóle naukowo specjalnie literaturą nie zajmuje. Literatura, dzieło literackie jest dla niego przedmiotem poznania jak każde inne zjawisko. A że właśnie obrał sobie dzieło literackie za temat swoich rozważań, to zapewne także i wynik jego zamiłowania do literatury. Przede wszystkim jednak miarodajnym tu chyba musiał być wzgląd na sam charakter dzieła literackiego jako przedmiotu poznania, charakter, który kryje w sobie niezmiernie wiele problemów, ważnych z punktu widzenia ogólnej teorii przedmiotu.

Nie można się zajmować poznawaniem przedmiotu, jeśli nie zbada się wpierw jego istoty. Założeniem teorii poznania jest ontologia, a więc nauka o bycie i istnieniu. Tkwi w tym oczywiście pewnego rodzaju *petitio principii*, z czego sobie autor omawianej książki najdokładniej zdaje sprawę, jak o tym świadczy jedna z jego najważniejszych rozpraw filozoficznych (*Jahrb. f. Phil.*, t. IV, 1921). Dzisiejsza teoria poznania bardziej niż kiedykolwiek akcentuje ten związek z ontologią, a dotyczy to także i dzieła literackiego jako przedmiotu poznania. Ontologię dzieła literackiego dał R. Ingarden w swojej książce niemieckiej *Das literarische Kunstwerk* (Halle 1931), która odbiła się głośnym echem w literaturze naukowej całego świata i zdobyła autorowi zasłużony rozgłos.

Książka omawiana jest poniekąd uzupełnieniem dzieła napisanego w języku niemieckim, gdyż zajmuje się nie strukturą dzieła literackiego, ale jego poznaniem. Autor daje we wstępie konieczne

elementy ontologiczne, by móc na tym oprzeć swoje dociekania z zakresu teorii poznania dzieła literackiego. Było niewątpliwie błędem, a raczej jednostronnością całej teorii poznania wieku XIX, która orientowała się głównie według Kanta, iż nastawiona była ona prawie wyłącznie na poznanie tzw. przedmiotów materialnych. Potężny powiew nowych prądów filozoficznych, jaki wyszedł z psychologii i filozofii Franciszka Brentano, zapłodnił myśl filozoficzną śp. K. Twardowskiego, podziałał na ośrodek monachijski, żyjący równocześnie pod urokiem atmosfery sztuki, znalazł przede wszystkim swój wyraz w tzw. fenomenologii, stworzonej przez Edmunda Husserla. Dała ona podstawy pod zajęcie się przedmiotami tzw. idealnymi.

Jakiego rodzaju przedmiotem jest dzieło literackie?

To jest pytanie, na które usiłuje odpowiedzieć R. Ingarden w swojej pierwszej książce. Te rozpatrywania jego są właściwie rozdziałem ogólnej teorii przedmiotów, a ściśle mówiąc teorii przedmiotów tzw. idealnych, która stanowi dziś w związku np. z wysiłkami N. Hartmana jeden z najbardziej uprawianych działów ontologii i teorii poznania. Nie da się zaprzeczyć, że na tle tego rodzaju zainteresowań dzieło literackie jest przedmiotem poznania ze wszech miar godnym rozpatrywania i że analiza dzieła literackiego z tego właśnie punktu widzenia rzuca potężny snop światła na teorię przedmiotów w ogóle. Jest rzeczą oczywistą, że teoria poznania pozostaje tu w najściślejszym związku z ontologią. Zależnie od tego, za co uważa się dzieło literackie i jaki wyraża się pogląd na jego strukturę czy istotę, musi się ujmować sprawę jego poznawania. Omawiając niemieckie dzieło R. Ingardena dałem odmienny od niego pogląd na ontologię dzieła literackiego (*Wiadomości Literackie* 1932, nr 426, 427). Zależnie oczywiście od tego, z jakich filozoficznych założeń się wychodzi, kształtuje się pogląd na istotę przedmiotu, a w związku z tym i na teorię jego poznania.

Warto może najpierw słów kilka poświęcić właśnie w związku, o którym mowa, wyrazowi „poznanie" czy też „poznawanie". Co to ma znaczyć „poznawanie" dzieła literackiego?

Na ogół na określenie sposobu naszego obcowania z dziełem literackim nie posługujemy się wyrazem „poznawanie." Mówimy: odczuwanie, rozumienie dzieła literackiego, ale nie poznawanie. Nie znaczy to oczywiście, ażeby wyraz poznawanie nie był w tym związku uzasadniony. Można przecież powiedzieć, że ktoś w czasie pobytu w Niemczech poznał gruntownie literaturę niemiecką albo twórczość Goethego, co znaczy, że się z nią szczegółowo zaznajomił. Z poznawaniem pozostaje oczywiście w związku, a raczej na nim się opiera rozpoznawanie, czyli agnoskowanie. To są zagadnienia ogólne, związane ściśle z teorią poznania. Pozwolę sobie zwrócić uwagę na to, co pisałem jeszcze w roku 1912 na łamach *Przeglądu Filozoficznego* (t. XV, s. 439) na temat rozpoznawania dzieła artystycznego. Poznawanie jest bowiem właśnie warunkiem rozpoznawania i w tym związku najlepiej można wyjaśnić istotę

poznawania, przynajmniej pewnej fazy poznawania. Jednak poznawanie to nie tylko zdobycie tych elementów, dzięki którym ja dzieło literackie mogę następnie rozpoznać, gdy np. znajduję jakieś cytaty z tego dzieła, ale to jeszcze coś więcej. To podstawa, dzięki której mogę także o tym dziele i wydać pewien sąd.

Zagadnienie poznawania dzieła literackiego nie wyczerpuje oczywiście wszystkich form obcowania z dziełem literackim. Temu zagadnieniu obcowania z dziełem literackim poświęcił ostatnio w oparciu o filozofię tzw. egzystencjalną J. Pfeiffer specjalną rozprawę pt. *Umgang mit Dichtung* (Lipsk 1936), która jednak pozostawia niezmiernie wiele do życzenia. Niewątpliwie R. Ingarden mógłby idąc tą samą drogą, którą szedł w swoich dotychczasowych poczynaniach filozoficznych w odniesieniu do dzieła literackiego, rozbudować obszerniej to, o czym w swoich dotychczasowych pracach na ten temat tylko wspomina, i opracować systematycznie całą sferę obcowania z dziełem literackim. W ten temat weszłoby oczywiście w szczególności i opisanie procesu rozumienia, któremu zresztą ostatnio filozofowie ze szkoły Diltheya poświęcili sporo cennych rozważań. Zagadnienie rozumienia stanowi istotny problem tzw. hermeneutyki.

Pozostańmy jednak przy tym temacie, jaki zakreśla sobie R. Ingarden w swoim dziele.

Powierzchownie rzecz ujmując trzeba zaznaczyć, że są w tym dziele elementy i kwestie, które jako fragmenty, a raczej części teorii poznania interesują w pierwszym rzędzie filozofa. Są też licznie rozsiane uwagi i jest przede wszystkim dodatek, który budzić będzie największe zainteresowanie historyka literatury. Na łamach czasopisma poświęconego historii literatury wypadałoby o tych elementach filozoficznych wspomnieć raczej krótko, choć są one dla całości dzieła istotne, a zastanowić się nieco bliżej nad tym, co ma, względnie może mieć dla historyka literatury pewną wartość orientującą. Jednak ta część filozoficzna jest przede wszystkim pasjonująca.

W części filozoficznej bodaj największe znaczenie ma § 4 wstępu pod tytułem *Podstawowe twierdzenia o budowie dzieła literackiego*. Zawiera on niejako przejrzysty skrót poglądów rozwiniętych i uzasadnionych w dziele napisanym w języku niemieckim. Więc przede wszystkim formułuje R. Ingarden swoją główną tezę, iż: „Dzieło literackie jest tworem wielowarstwowym". Wymienia więc te główne warstwy, przy czym pod literą D figuruje warstwa przedmiotów przedstawionych, a mianowicie przedstawionych przez czysto intencjonalne stany rzeczy.

Pojęcie intencji, intendowania itp. posiada w dzisiejszej filozofii bardzo ważne znaczenie. Poświęca mu wiele uwagi i usiłuje je wyjaśnić L. Blaustein w swojej pracy pt. *Husserlowska nauka o akcie, treści i przedmiocie przedstawienia* (Lwów 1928). Cały ten splot zagadnień związanych z pojęciem intencji i intendowania jest jednak dla niewtajemniczonych dosyć skomplikowany i wy-

magałby w kontekście takich określeń, jak wyżej wymienione, nieco bliższego omówienia czy też wyjaśnienia.

Bodaj najważniejszą tezą tego paragrafu jest teza VII: „samo dzieło literackie, w przeciwstawieniu do jego konkretyzacji jest tworem schematycznym, to znaczy, że niektóre jego warstwy, zwłaszcza warstwa przedmiotów przedstawionych i warstwa wyglądów, zawierają w sobie miejsca nie do określenia".

Dzieło więc literackie, jak wynika z tezy VI, należy przeciwstawić jego poszczególnym konkretyzacjom, które powstają przy poszczególnych odczytaniach tego samego dzieła. Na to odróżnienie pomiędzy dziełem artystycznym w jego fazie przedestetycznej a tzw. przedmiotem estetycznym zwróciłem już uwagę w nawiązaniu do pokrewnych wysiłków estetyki niemieckiej w *Przeglądzie filozoficznym* (jw.) i na nim oparłem też moje rozważania *W sprawie uzasadnienia poetyki czystej* w *Księdze pamiątkowej ku czci K. Twardowskiego* (Przegląd Filozoficzny, r. XXIII). Wysunąłem tam kwestię, „jakie są obiektywne, a więc w przedmiocie tkwiące warunki możności realizowania indywidualnego przedmiotu estetycznego". Analizą tego przedmiotu w kręgu literackim zajmuje się właśnie R. Ingarden w swoim dziele i stwierdza w tezie VII istnienie tzw. „miejsca nie do określenia", które w konkretyzacji może być „wypełnione" w sposób rozmaity. Zagadnienie tego „wypełnienia" stanowi główną treść przeżycia literackiego, stanowi też oczywiście główny zakres interpretacji dzieła i wszelkich wysiłków zmierzających do jego zrozumienia, do pokazania, czym to dzieło w istocie jest.

Stwierdzenie „schematycznego" charakteru dzieła literackiego jako przedmiotu poznania poczytać wypadnie za wielką zasługę dociekań i rozważań R. Ingardena.

Dzieło literackie jest — jak stwierdza teza IX — „czysto intencjonalnym" przedmiotem, „nie jest ono niczym psychicznym, w szczególności jest ono różne od wszelkich przeżyć psychicznych, czy to autora, czy też czytelników, jest bowiem w stosunku do nich transcedentne, to znaczy tworzy w stosunku do tych przeżyć całość w sobie zamkniętą". W stosunku do autora jest ono, względnie staje się niewątpliwie także czymś autonomicznym. Jest tworem jego czynności. Tak jest niewątpliwie. Jednak z faktu również niewątpliwego stosunku pomiędzy czynnością a tworem czy też wytworem wynika oczywisty obowiązek czy też wysuwa się postulat, ażeby nie zapominać jednak przy tworze, więc dziele, jak to czynią radykalni antypsychologiści wszelkiego pokroju — z jakiegokolwiek by się punktu widzenia to dzieło rozpatrywało czy też oglądało — o autorze.

To zagadnienie stanowi bodaj jeden z najbardziej zasadniczych punktów w dzisiejszej dyskusji na temat przedmiotu literackiego, a w związku z tym i zadań nauki czy też wiedzy o literaturze. Trudno by je było na tym miejscu obszerniej rozważać.

Dla zrozumienia poglądów autora na istotę dzieła literackiego

ważne są wywody na s. 197, w których podkreśla właśnie bytową heteronomię dzieła literackiego i wyjaśnia poniekąd, co rozumieć należy przez to, iż jest przedmiotem czysto intencjonalnym. Znaczy to, iż „fundament swego istnienia ma przede wszystkim w wytwórczych aktach świadomych, jakości zaś określające go nie są mu w ścisłym tego słowa znaczeniu immanentne, lecz przez odpowiednie akty świadomie przypisane, przydane lub jeżeli kto woli, nadane".

Jak więc pogodzić ten charakter czysto intencjonalny z heterenomią bytową?

Trzeba by tu uciec się do swojego rodzaju „okazjonalizmu" i powiedzieć, iż przedmiot literacki jest schematem stwarzającym „okazję" do zaistnienia konkretyzacji, przy czym powstanie tego schematu, a więc tej „okazji" nie posiada jakoby znaczenia dla zrozumienia istoty czy struktury konkretyzacji. Tkwi w tym niewątpliwie pewna jednostronność, będąca wynikiem zajętego stanowiska, iż podkreśla się, że „całe dzieło literackie we wszystkich warstwach i częściach musi czytelnik zrekonstruować swym własnym wysiłkiem", a zapomina się o tym, który własnym wysiłkiem je skonstruował. To pozostaje oczywiście w ścisłym związku z założeniem filozoficznym książki. To założenie z punktu widzenia praktyki historycznoliterackiej nasuwa poważne wątpliwości, choć filozoficznie rzecz biorąc, jest wynikiem pewnego kierunku filozoficznego.

Istota dzieła literackiego jako przedmiotu, który nie jest ani psychiczny, ani fizyczny, nie jest łatwo uchwytna. Nie ulega chyba wątpliwości, że jest ono wytworem poety czy autora. To jednak — jakoby — nie ma żadnego znaczenia dla jego istoty. O tym się zapomina i niejako programowo należy zapomnieć! Więc pozostaje stosunek pomiędzy tym dziełem a odbiorcą. A to dzieło, ontologicznie rzecz biorąc, jest nie wiadomo czym, jakimś schematycznym upiorem w sferze transcedentnej, który ożywa na skutek konkretyzacji czy też raczej na skutek konkretyzowania. Na czym polega proces konkretyzowania? To jest kwestia! Bo konkretyzowanie a konkretyzacja to nie jest to samo i tu przecież zachodzi różnica między czynnością a wytworem.

Skonkretyzowane dzieło literackie nie jest czymś psychicznym. Więc czym jest? — zapytać musi nie — „filozoficznie nie wyszkolony" (*Pion* 1937, nr 34, s. 2), lecz każdy trzeźwo, choć może naiwnie myślący człowiek. Odpowiedź, jaka się da zrekonstruować na to pytanie z wywodów teorii poznania R. Ingardena, wymaga, by ją zrozumieć, nie tylko przygotowania filozoficznego, ale zdolności i możności przejęcia się typem jego myślenia i rozumowania, niedostępnego każdemu i prowokującego nieraz do zajęcia stanowiska arcynaiwnego czy też arcytrywialnego. Sprawa komplikuje się właśnie przez zagadnienie konkretyzacji. Bo właściwie jak to wszystko wygląda? Istnieje twórca. Mniejsza o to. On coś tworzy. Mniejsza i o to. Powstaje twór. Ten twór jest schematem, tworem schematycznym. Takich tworów istnieją zapewne miliardy. Ten twór może być skonkretyzowany dzięki funkcjom

psychicznym odbiorcy. Ale te funkcje psychiczne nie stanowią jego istoty, ale warunek konkretyzacji. Więc istnieje 1. twórca, 2. twór, 3. twór skonkretyzowany i 4. odbiorca. Teorię poznania dzieła literackiego obchodzi tylko element 2 i 3. Wyjaśnienia wymaga przede wszystkim różnica pomiędzy 2 i 3, i istota 3. Wysiłek pracy R. Ingardena idzie właśnie w tym kierunku, żeby wyjaśnić istotę konkretyzacji. Podkreśla więc z całym naciskiem, że nie jest ona czymś psychicznym. Nie mam jednak wrażenia, ażeby istota konkretyzowania i konkretyzacji została w omówionej pracy wyjaśniona bez reszty, żeby w tej dziedzinie nie było jeszcze wielu zagadnień do opracowania. I w tym tkwi właśnie cały sens, a można powiedzieć i urok stosowanej przez R. Ingardena metody, że zachęca ona albo do coraz głębszej i coraz bardziej wnikliwej pracy w raz obranym kierunku, albo też budzi reakcje zgoła rewolucyjne umysłu tzw. naiwnego czy też człowieka „filozoficznie nie wyszkolonego", który macha na to wszystko ręką i powiada, że nie jest mu to wcale potrzebne do jego obcowania z dziełem literackim, czy to naukowego, czy też czysto przyjemnościowego!

Jedno z bardzo zasadniczych zagadnień porusza autor na s. 210 n., stawiając pytanie: „Czy jest wykluczone, żeby o tym samym dziele literackim pod jakimś określonym względem otrzymać dwa lub więcej sądów prawdziwych, ale zarazem niezgodnych lub sprzecznych między sobą". Pomijając tzw. „miejsca nie do określenia" i możliwości ich wypełnienia stwierdza autor, iż „nic nas nie zmusza do tego, by przypuszczać, że w odniesieniu do tych wszystkich stron dzieła, które są w nim jednoznacznie ustalone, moglibyśmy otrzymywać sądy równie prawdziwe, lecz niezgodne między sobą. Przeciwnie: wszędzie tam, gdzie otrzymujemy sądy, które wydają się niezgodne z sobą, to albo nie wszystkie one są prawdziwe, albo też dotyczą nie samego dzieła, lecz różnych jego konkretyzacji, nie są więc niezgodne między sobą". Możliwe, iż jakiś bardzo chytry logik odnalazłby w tym twierdzeniu pierwiastki sofizmatu. Zastrzegam się, iż w moim rozumieniu sofizmat nie jest bynajmniej czymś ujemnym, lecz tylko formą rozumowania, do którego pewne typy myślenia z konieczności jednak muszą prowadzić, skoro wysuwają przeciw ujęciom trzeźwym i realnym zarzut naiwności lub też bezpretensjonalności w myśleniu.

Pominąwszy jednak tego rodzaju zastrzeżenie, które dotyczy ponadwnikliwych typów myślenia, obcych raczej sposobowi rozważania R. Ingardena, wypadnie się zapytać, jak wykreślić granicę pomiędzy „samym dziełem" a jego konkretyzacjami, gdy przecież jedna z tych konkretyzacji uchodzić może chyba za samo dzieło. Tu dochodzimy właśnie do zasadniczego problematu tego, co by stanowić winno i mogło przedmiot teorii poznania czy też poznawania dzieła literackiego. I tu z konieczności chyba wypadłoby się zastanowić nad korelacją dwóch typów przeżyć „intencjonalnych": intencjonalnego aktu twórczego artysty czy poety i intencjonalnego przedmiotu realizowanego przez odbiorcę w realizacji

czy też konkretyzacji dzieła literackiego. Zdaję sobie najzupełniej sprawę, iż wyraz „intencjonalny“ nie jest tu użyty przeze mnie w obu wypadkach w tym samym znaczeniu. Zdaje mi się jednak, że „intencja“ moich wywodów jest jasna. Chodzi o kryterium prawdziwości. Dotyczy to ostatecznie także i tzw. miejsc nie do określenia, których wypełnianie musi mieć jednak ostatecznie także pewne granice, i to nie tylko sensu, ale w ogóle pewnej racjonalnej możliwości przy całym nawet irracjonalnym charakterze tworu artystycznego.

Idąc szlakami tradycjonalnej teorii poznania wypadłoby powiedzieć, że zasadniczym problematem teorii poznawania dzieła literackiego byłaby kwestia stosunku „samego dzieła“ do „różnych jego konkretyzacji“ i sprawa kryterium oceny tego stosunku. Dla historii literatury — czy też krytyki lub tzw. rozpatrywania dzieła literackiego — jest to w obecnej fazie jej rozwoju kwestia niezmiernie zasadnicza, gdy pod pretekstem takich czy innych interpretacji każdy usiłuje dać swoje i rzekomo nowe „ujęcie“ dzieła literackiego. Dla filozofa może to być ostatecznie obojętne, ale przeciętny zjadacz chleba literackiego i myślący kategoriami, w jego rozumieniu naukowymi, historyk literatury, pragnie ostatecznie wiedzieć, jaka konkretyzacja ma sens, a jaka nie. I nie można przy całym zasadniczym podkreślaniu heteronomii dzieła literackiego zapomnieć tu chyba i o intencji autora. I nie można twierdzić, że jego dzieło reprezentuje ideologię postępową, gdy on najwyraźniej zaznaczył i podkreślił, że wypowiada myśli konserwatywne. Pryncypialne tedy eliminowanie intencji autora, czy to w dziedzinie ideowej, czy też jakiegoś innego — jak trafnie wyraża się R. Ingarden — „ośrodka krystalizacyjnego“ dzieła — nie da się w praktyce z sensem przeprowadzić, jakkolwiekby ktoś budował teorię przedmiotu poznania zwanego dziełem literackim.

Niewątpliwie twórczość geniusza artystycznego polega — jak wywodzi autor na s. 231 — na tym, iż stwarza on nam okazję do nieoczekiwanych, nie dających się przewidzieć olśnień. To prawda, i zapewne domagając się podawania pewnej ogólnej prawidłowości między jakością postaciową zestroju w ogóle a podbudowującymi ją jakościami „elementarnymi“, przeczylibyśmy temu, co niewątpliwie stanowi najistotniejszy i najgłębszy rys wszelkiego wysoko wartościowego przedmiotu estetycznego (s. 131). Tak jest. Jednak trudno nie rozważyć bliżej tej prawidłowości. Dzieło literackie jest wieloznaczne, ale nie należałoby teoretycznie uzasadniać jego dwuznaczności czy też podawać zasadniczo w wątpliwość sensu docierania do znaczenia czy też kształtu istotnego, przez autora „intendowanego“.

W związku z tym pozostają dalsze uwagi autora, dotyczące dzieła literackiego jako przedmiotu poznania. Stwierdza on, iż dzieło literackie w swej budowie schematycznej jest przedmiotem intersubiektywnym, zaś jego konkretyzacja ma charakter raczej monosubiektywny. Trzeba by może powiedzieć, iż dzieło literackie staje

się tworem intersubiektywnym, gdy w swej koncepcji artystycznej jest tworem monosubiektywnym, a mianowicie tworem twórczej jednostki, jest, używając terminologii innej filozofii, obiektywizacją. Zaniedbanie w teorii poznawania dzieła literackiego korelacji pomiędzy monosubiektywną postawą twórcy a obiektywizacją z jednej strony, zaś monosubiektywną postawą odbiorcy a dziełem „obiektywnym“ z drugiej strony, stwarza tylko możliwość atakowania „naukowości“ wszelkiej wiedzy o literaturze, a w każdym razie ułatwia atakującym pozycję.

W „Dodatku“ zastanawia się R. Ingarden nad przedmiotem i zadaniem tak zwanej przez niego „wiedzy o literaturze“.

Trzeba stwierdzić, iż autor rozważa i rozumie różne możliwości traktowania literatury, ale sądzi, iż tzw. charakterologia dzieła literackiego jest szczególnie właściwym sposobem jego rozpatrywania. Odróżnia więc: 1. Ogólną filozoficzną teorię dzieła literackiego. 2. Naukę o literaturze: a) opisową, b) historyczną. 3. Tak zwaną krytykę literacką. Zaznacza jednak, iż „podstawowy dział badań nauki o literaturze stanowi charakterologia poszczególnych dzieł literackich“.

Trudno by się było wdawać w dyskusję na temat hierarchii ważności poszczególnych zadań w zakresie nauki o literaturze. Doświadczenie jednak pracy naukowej uczy, iż cenne skądinąd charakterologiczne rozpatrywanie dzieła literackiego winno chyba nastąpić dopiero na podstawie gruntownej znajomości danych historycznych, w tym szerokim zakresie, jak je szkicuje R. Ingarden na s. 260 omawianego dzieła, oraz po zaznajomieniu się też z nauką o typach dzieła literackiego. W każdym razie tak jest ostrożniej i pewniej. Charakterologia dzieła literackiego jest jego opisem, którego nie podobna przeprowadzić bez całego systemu czy też schematu kategorii.

Nasuwałoby się pytanie, czy i w jakim stopniu rozwinięta przez R. Ingardena teoria warstw służyć może jako podstawa takiego schematu opisu. Charakterologia dzieła literackiego wymaga bowiem jako podstawy czegoś w rodzaju teorii opisu dzieła literackiego, w którym kierunku pracował np. — oczywiście w duchu czasu — R. Heinzel. Tu otwierają się właśnie bardzo liczne zadania dla tzw. nauki o literaturze, zadania więc np. tego typu jak to, które usiłowałem rozwiązać w mojej rozprawie pt. *Osnowa, wątek i motyw*. W tym kierunku idą też wysiłki E. Kucharskiego, zarówno odnośnie do dzieła literackiego w ogóle jak i do utworu lirycznego i noweli.

To wszystko jednak to nie jest żadna „teoria literatury“ ani też żadna „metodologia“. To jest po prostu nauka o dziele literackim, o jego budowie, strukturze czy technice, czyli innymi słowy poetyka, która stanowić musi niewątpliwie podwalinę tego rodzaju charakterologii dając niejako w zarysie czy to systematycznym, czy to historycznym lub genetycznym — jak ostatnio świetne studia A. Jollesa — zarys „schematycznych tworów“

zwanych dziełami literackimi. Jest zupełnie zbędne, ażeby poetyka zajmowała się tym, czym jest dzieło literackie w ogóle, względnie czym powinno być i jakie powinno być. To do niej nie należy. W rzędzie jednak nauk pomocniczych historii literatury, obok takich nauk jak stylistyka i metryka, stanowi niewątpliwie gałąź wiedzy tzw. podstawową.

Istotą dzieła literackiego jako takiego zajmuje się tzw. teoria literatury czy też filozofia literatury, którą uprawia i właściwie buduje R. Ingarden. Nie da się zaprzeczyć, że wyniki tych rozważań na temat istoty dzieła literackiego mogą mieć dla badań nad literaturą znaczenie niepoślednie. Jednak gdyby ktoś chciał wiązać z zapoznaniem się z tak traktowaną teorią literatury jakieś nadzieje praktyczne w sensie pomocy przy takiej czy innej pracy, doznałby niewątpliwie złudzenia. Książki takie jak omawiana wzbogacają umysł, a będąc same wynikiem głębokiego zastanowienia się pobudzają do refleksji. Nie przynoszą jednak tego rodzaju doraźnych korzyści jak trywialne traktaty o dziele literackim w stylu E. Ermatingera lub podobnego pokroju podręczniki.

Warszawa *Zygmunt Łempicki*

Prace ofiarowane Kazimierzowi Wóycickiemu — Wilno 1937. Jest to imponująca rozmiarami (492 stron) księga zbiorowa, wyszła jako 6 pozycja wileńskiej serii *Z zagadnień poetyki*, obejmująca 21 rozpraw (prócz Przedmowy i Bibliografii prac K. Wóycickiego) — a znamienna przez to, że hołd, którego jest wyrazem, złożony jest nie tylko przez uczniów i przyjaciół, jak bywa zwykle w założeniu „ksiąg pamiątkowych“, lecz przez tych wszystkich, którzy łączą się swoją postawą naukową z postawą jubilata, którzy stwierdzają w sobie faktyczną od niego zależność lub zbieżność czy pokrewieństwo poglądów naukowych i dążeń badawczych z jego poglądami i dążeniami. Czyli *Prace* są stwierdzeniem, że istnieje specjalna szkoła K. Wóycickiego, szkoła o poważnych ambicjach, a szerokim zasięgu w przestrzeni i czasie. Oceniając to wyjątkowe na polskim gruncie zjawisko trzeba wyrazić radość, że stwierdzenie to w jego żywotnym wyrazie *Prac* nie przyszło za późno, aby uradować Wielkiego Uczonego. Patrząc znów na to zjawisko od strony młodych redaktorów *Prac*, od strony młodej szkoły, trzeba stwierdzić sympatyczną karność społeczną w grupie młodych badaczów literatury, którzy pod sztandarem pewnych przekonań i nastawień wobec wiedzy o literaturze idą ławą, a przeszczepiając na grunt polski orientacje nauki rosyjskiej i czeskiej nie chcą jej rzucić na „polski rynek“ jako modnego importu, lecz szukają dla niej koneksji w wysiłkach polskiej myśli naukowej, budując jej genealogię na gruncie polskim i szukając oparcia dla niej o tych uczonych ze starszego pokolenia, którzy mają zrozumienie bodaj dla pewnych jej nastawień. Ze starszego pokolenia najsilniej związany jest z młodą szkołą M. Kridl, patronujący jej swym nastawieniem filozoficznym i metodologicznym, promotor *Prac*, autor

Przedmowy. Młoda szkoła garnie się do Z. Łempickiego, który jej w pewnym sensie przygotował grunt ustaliwszy znaczenie ergocentryzmu, do W. Borowego, subtelnego znawcy formy artystycznej, obcego zresztą duchowi formalizmu, do R. Ingardena, mimo odmiennej jego postawy filozoficznej (nie jest w *Pracach* reprezentowany).

Nie tu miejsce omawiać linie młodego kierunku, bo przedstawiali je wielokrotnie w ogniu polemik sami młodzi. Warto tylko spojrzeć na jego rolę i sferę zainteresowań, na podstawie już nie programu, lecz zbiorowych konkretnych osiągnięć, jakimi są *Prace*.

Księga zawiera 4 działy. Pierwszy ma nastawienie na zagadnienia metodologii, tyczy się podstaw wiedzy o literaturze. Z. Łempicki *(Forma i norma)* opierając się o żywą zawsze w teorii od Shaftesburego sprawę tzw. „formy wewnętrznej" — znajduje istotę formy dzieła literackiego w jego jakoby jądrze energetycznym i ustala ścisły związek pomiędzy musem kształtu w dziele literackim a normą w rozmaitych jej przejawach. M. Kridl mówi *o Elemencie fikcyjnym w liryce* rozbudowując myśli ze swej podstawowej książki. H. Elzenberg nieśmiało proponuje odmienne teoretyczne rozwiązanie *Zabarwienia uczuciowego jako zjawiska estetycznego* od przyjętego dość powszechnie rozwiązania M. Schelera. W tym dziale z młodych zabiera głos tylko St. Żółkiewski (*Charakter orzeczeń metodologicznych w naukach humanistycznych*), niewątpliwie najzdolniejszy badacz młodego pokolenia, wyraźnie oscylujący od wiedzy o literaturze do teorii nauki. W doskonale logicznie przeprowadzonych wywodach stara się znaleźć filozoficznie ugruntowaną podstawę dla metodologii jako odrębnej dyscypliny naukowej („Metodologia byłaby wiedzą o logicznej strukturze nauk"). Rozprawa ta jest uderzeniem w płytkie i popularne przeświadczenie, że metodologia to — technika badania, rzecz indywidualna i drugorzędna.

Dział II, najbardziej reprezentatywny dla młodej szkoły, obejmuje studia z zakresu metryki. W tej dziedzinie ma ona najpoważniejsze osiągnięcia (prace o wierszu w ślad za pracami K. Wóycickiego — F. Siedleckiego, także K. W. Zawodzińskiego). Część ta obejmuje 11 pozycji i jest najmocniej rozbudowana „wszerz". Mamy tu reprezentantów Szkoły Praskiej i bliskich założeniami badaczy rosyjskich (R. Jakobson, *Z zagadnień prozodii starogreckiej*, N. Ks. Trubeckoj, *W sprawie wiersza byliny rosyjskiej*, J. Hrabak, *Polski ośmiozgłoskowiec średniowieczny* — rozprawa iście emocjonująca). Trzeba wymienić osobno studium J. Kuryłowicza *Próba teorii metryki starogermańskiej* i świetne, śmiałe, subtelne, otwierające drogę ambicjom badawczym studium W. Borowego *Rytmika prozy Żeromskiego*. M. Grzędzielska pisze (trochę felietonowo) o *Wierszu trzynastozgłoskowym trójdzielnym*, Felczakówna o *Strofie mickiewiczowskiej*, S. Knisplówna (może zbyt ryzykownie) o *Instrumentacji głoskowej w Pomniku* Tuwima, L. Podhorski-Okołów o *Zagadnieniu rymowanek*. Dwaj najbardziej zasłużeni badacze wiersza, K. W. Zawodziński i F. Siedlecki, nie dają tym razem

rzeczy rewelacyjnych; pierwszy szkic o zacięciu polemicznym, drugi referat *Trzy dziedziny badań nad językiem.*

Dział III obejmuje zagadnienia z zakresu stylistyki. Kreczmar stosuje w rozprawie *O przenośni u Arystotelesa* aparat współczesnej logistyki; St. Skwarczyńska pisze o *Estetyce makaronizmu*; K. Budzyk referuje w sposób pożyteczny perypetie współczesnej nauki o stylu (oczywiście — od jednej strony, tej namaszczonej afirmacją młodej szkoły); od siebie w kształcie przykładu próbuje rozpatrzyć niektóre struktury językowych konstrukcji, tworzące swoiste kategorie w dziele literackim (opowiadanie, monolog, dialog, opis); zagadnienie to, przynależne tradycyjnie do poetyki (zresztą po macoszemu traktowane przez nią), ujawnia na tej drodze metodycznych zabiegów nowy aspekt. Najciekawsze jest tu jednak studium D. Hopensztanda, *Mowa pozornie zależna w kontekście Czarnych Skrzydeł.* Jest to bodaj jedyne studium młodych nowej szkoły, które otwiera perspektywy na osiągnięcia badacza bardzo dalekie, bardzo trudno uchwytne poznaniu naukowemu — drogą nowej metody. Autor nie tracąc ani na chwilę terenu dzieła ogarnia dziedzinę osobowości twórczej, dziedzinę embrionalnego rozwoju dzieła — nie rezygnując na rzecz „ideału“ opisu z koniecznej postawy wartościowania. Ileż by nowego dało się na drodze badań zainicjowanej przez D. H. powiedzieć np. o *Beniowskim* czy *Królu Duchu.*

Dział IV, *sub auspiciis* nowych prądów rozpatrujący dzieła literackie, obejmuje dwie rozprawki: M. Rzeuskiej *Problemy akcji w Chłopach Reymonta* i R. Kapłanówny *W sprawie tendencji w powieści realistycznej.* Obie tchną jeszcze atmosferą seminarium.

Jeśli *Prace* uznamy za reprezentatywne dla linii i osiągnięć młodej szkoły, wypadnie podkreślić dwa kierunki jej płodności: teorię metodologii i badanie nad wierszem. Rozumiejąc postawę bezwzględnego ergocentryzmu młodej szkoły stwierdzamy, że zbyt wiele momentów leżących nie na peryferiach dzieła literackiego (nie np. na szlakach genetyzmu etc.), ale istotnych j a k o s k ł a d n i k i d z i e ł a l i t e r a c k i e g o, jest odrzuconych poza nawias jej zainteresowań badawczych. Godną pochwały ostrożnością byłoby pozostawienie na boku dziedzin badania, do których nie ma się klucza; ale zacieśnieniem jest, jak w bajce o kwaśnych winogronach, twierdzić, że owych dziedzin w rzeczywistości dzieła literackiego nie ma lub są nieważne. To, co daje młoda szkoła w badaniach pozytywnych, jest cenne; nie usiłuje jednak dotrzeć do istoty zjawisk literackich, do ich głębi. Ufajmy, że do zajęcia się tym, co neguje lub przemilcza — dorośnie; trzeba w to wierzyć, tym bardziej, że kilka rozpraw w *Pracach* daje do tej wiary pozytywną podstawę.

Łódź *Stefania Skwarczyńska*

Jan Łempicki: *Historiozofia Hipolita Taine'a.* Prace z historii literatury polskiej nr 5. Kraków 1938. Stron 179. Skład główny w Kasie im. Mianowskiego.

Punkt wyjścia pracy oraz jej zamierzenia wyjaśnia autor we wstępie pisząc: „...niemałe było moje zdumienie, gdy czytając Taine'a znalazłem zamiast pozytywisty i twórcy socjologicznych metod badania sztuki, spóźnionego przedstawiciela pierwszej połowy XIX wieku, filozofa natury i identyczności, spokrewnionego znacznie bliżej ze Spinozą i Schellingiem (o Heglu już nie wspominając) niż z Comtem. Praca niniejsza usiłuje to zasadnicze spostrzeżenie, wraz z wszystkimi jego konsekwencjami, podać *explicite* i poprzeć dowodami. Oprócz tez o Tainie i jego historiozofii praca niniejsza zawiera pewne poglądy na metodę badań w humanistyce. Poglądy te są zgodne z zapatrywaniami Heideggera..."

Realizacja pierwszego z tych dwóch zamierzeń wypełnia znaczną część książki, drugiemu poświęca autor ostatnie trzydzieści stron. Dlatego analiza historiografii Taine'a jest szczegółowa i dokładna, analiza współczesnych zagadnień metodologicznych raczej fragmentaryczna. Wielką zaletą studium w obu tych dość różnych zakresach jest niewątpliwa zdolność autora do syntetycznego widzenia rzeczy, do wydobywania zasadniczych linii przewodnich z nagromadzonego materiału. Nie tylko we współczesnej metodologii łatwo się zgubić, również i w lekturze Taine'a można zginąć. Autor w obu przypadkach konstruuje pewien obraz pozwalający selekcjonować i hierarchizować materiał.

W stosunku do samego Taine'a konstrukcja ta wydaje się całkowicie usprawiedliwiona. Chwyta dobrze jego intencje, ujawnia zalety, określa granice. W sumie wydobywa francuskiego historyka z więzów tych szablonowych określeń, jakimi go najczęściej darzono. Ale w ten sposób my czytamy Taine'a. Współcześnie czytali go cokolwiek inaczej, stąd zapewne potoczne pojmowanie tainizmu, które miało swą rolę dziejową — także i u nas — niewątpliwą. Taine działał wówczas raczej pojęciami, których używał. niż sposobem, w jaki to czynił. Dlatego łatwo stawały się one hasłami. Dziś, gdy już w ten sposób nie działają na nas, nadeszła pora dokładniejszego rozumienia, co właściwie Taine z nimi robił i jak ich używał.

Większe wątpliwości miałbym co do zagadnień metodologicznych poruszonych w tej książce. Wprawdzie charakterystyka przewrotu w pojmowaniu człowieka, jaką daje autor, jest w niektórych partiach doskonała (zwłaszcza charakterystyka dynamizmu), ale jest ona jednostronna. Krytyka dawnego pojęcia „cechy" charakteru stanowi dziś istotnie wspólne przekonanie filozofów i uczonych różnych orientacji, ale tradycyjna *faculté maîtresse*, jakkolwiek odrzucona w dawniejszym ujęciu, wciąż w różnoraki sposób odżywa. Ambicje typologiczne są przecież najbardziej charakterystyczne dla badań współczesnych. Zarówno typy Kretschmera (skrzyżowanie z rasą) jak i typy Junga, a nawet Sprangera wpływają w znacz-

nej mierze ograniczająco na aktualistyczne uroszczenia ekspresjonistów.

Jeśli zaś — jak to autor stwierdza — „wszelkie metody naturalistyczne, a z nimi i Taine, odzyskują częściowo swe uprawnienia" (s. 159), to jest to spostrzeżenie słuszne, chociaż przyczynę tego zjawiska upatrywałbym nie w tym, iż współczesna psychologia usunęła pojęcie osobowości (to uważam za niesłuszne uogólnienie), ale raczej w tym, że człowieka pojmujemy dziś w związku z środowiskiem (ono właściwie jest decydującym składnikiem nawet psychoanalizy, którą niesłusznie traktujemy indywidualistycznie), oraz dlatego, iż w rosnącej nieufności do intelektualizmu próbujemy pojmować człowieka egzystencjalnie, tj. według tego, jak żyje, a nie według tego, co myśli i o czym pamięta. Z tego punktu widzenia egzystencjalizm, zwłaszcza heideggerowski, mógłby być traktowany jako pewne odrodzenie niektórych składników dawniejszego naturalizmu. Ma jednak w sobie równie silne elementy metafizyczno-religijne. I dlatego raczej należałoby go pojmować jako próbę syntezy dawnych wrogów: naturalizmu i idealizmu, jak to interpretuje Pfeiffer. Związek człowieka z środowiskiem pojmują też pewne koła egzystencjalistów w kategoriach odpowiedzialności moralnej (np. Grisebach). Środowisko przestaje wówczas być przyczyną, staje się instancją. Jest to dalekie i od Taine'a i od ekspresjonistów.

Uwagi te nie naruszają jednak w niczym wartości książki, w której ujawnia się duże poczucie wagi słowa, dokładność myśli, bystrość analizy i umiejętność syntezy.

Lwów *Bogdan Suchodolski*

Psałterz floriański, łacińsko-polsko-niemiecki. Rękopis Biblioteki Narodowej w Warszawie. Wydali Ryszard Ganszyniec, Witold Taszycki, Stefan Kubica. Studia o oprawie i piśmie *Psałterza* napisał Aleksander Birkenmajer, o miniaturach Władysław Podlacha. Z 31 podobiznami. Staraniem i pod redakcją Ludwika Bernackiego. Lwów 1939, Ossolineum, z zasiłkiem Sejmu Śląskiego. Stron VII i 402, folio. — Mieczysław Gębarowicz, *Psałterz floriański,* kilka uwag z powodu nowego wydania zabytku (odbitka z *Dawnej Sztuki* II). Lwów 1939. Stron 49.

Nie samym *iure postliminii,* lecz za olbrzymim okupem (por. co zań w XVI w. zapłacono!) wrócił *Psałterz* po 370 latach spod Linzu do ziemi, co go wydała. Wiekowe wygnanie odpłacili mu rodacy iście królewskim przyjęciem, wspaniałym, pomnikowym jego wydaniem dwutomowym; pierwszy tom, niby opis zewnętrzny zabytku i treść jego, niżej omawiamy; drugi jest w przygotowaniu.

Trójjęzykowy psałterz przypomina mimo woli trójjęzykową ewangelię, łacińską, czeską, niemiecką, którą trzydzieści lat wcześniej wywiozła Anna, córka Karola Luksemburczyka, do Londynu, do męża, o czym Wiklef i Hus nas powiadomili. Nie wiem, czy to nabożny cesarz córce myśl podał, czy córka sama ją podjęła, ale

jak było z Jadwigą? Czyżby ona miała czekać, aż obcy upominkiem podobnym ją uraczą? czy nie raczej to cudo kobiety czternastowiecznej, w licznych nocach bezsennych (o których sama nas pouczyła), jak na inne niezwykłe tak i na tę myśl wpadła i wykonanie zarządziła? Zestawienie trzech języków rozstrzygnęło o formacie: tekst jeden zmieściłby się od biedy w niewielkim tomie; ich trzy wymagały foliału i były przeznaczone na pulpit u klęcznika. Jak królowa mało dbała o królewskie szaty, tak i księgi podręcznej nie uświetniła jakimkolwiek przepychem: jej psałterz nie wyróżnia się od przeciętnych iluminowanych rękopisów czternastowiecznych; ani się nie umył do współczesnego mu psałterza podiebrackiego! Tym bardziej zaciekawiają inne pytania, kto i gdzie *Psałterza* dokonał? z czego korzystał? bo dziwna rzecz, jak dawni ludzie nad podobnym tekstem wydziwiali, poprawiali go i odmieniali.

Mniema się powszechnie, i nie bez przyczyny, że *Psałterz* opierał się w tekście polskim poniekąd na wzorze czeskim. Ależ wiemy na pewne, że istniał tekst polski już sto kilkanaście lat wcześniej dla Sącza i Kingi, i nic ponętniejszego niż upatrywać w *Psałterzu floriańskim* ciąg dalszy, odpis sądeckiego (nie wiemy, z której ręki). Lecz sądecki nie mógł zawierać śladów czeskich, jak i *Bogurodzica* ich nie zawiera, dla tej prostej przyczyny, że Czechów w drugiej połowie XIII w. nie stać jeszcze było na wywóz psałterzy czy pieśni. Mają oni wprawdzie psałterz glosowany z końca XIII w., którego międzyrządkowa glosa wcale nie pokrywa jego tekstu łacińskiego; odpisana na pewne z pełnego tekstu czeskiego, nieco (?) starszego, który służył za wzór i innym odpisom (najfatalniejsze jego błędy powtarzają się w tzw. odpisie wittenberskim). Nie wiek XIII, lecz dopiero XIV stanowił o przewadze i powadze czeszczyzny w Polsce — czyżby psałterz sądecki zaginął zupełnie i dopiero w XIV w. pomyślano o tekście polskim, i wtedy dopiero korzystano z (liczniejszych już) wzorów czeskich? Ależ baj baju! — domysły nie zastąpią dowodów. Przechodzimy do faktów.

Pierwsze dwie rozprawy A. Birkenmajera o oprawie kodeksu i o jego grafice, nie z winy autora, który najmozolniejsze i najbardziej techniczne stosował metody, nie wniosły n i c n o w e g o; zostało przy dawnych pewnikach, tj. oprawy nowej po r. 1564 dokonał H. Yegem, którego inne oprawy z naszą się zgadzają, zachowane w krajach alpejskich (habsburskich); *Psałterz* pisało trzech, czasowo i grafiką wcale różnych skryptorów i dawne rozgraniczenie ich udziałów pozostało niezmienione; najstaranniejsza ocena każdej litery wywiodła to niezbicie. Nowym nazwiemy wciągnięcie ułamka niegdyś wrocławskiego, dziś praskiego, i wywód, że pisał go pierwszy pisarz floriański. Zaprotestowałbym tylko przeciw szumnej nazwie *Psalterium trilingue z XIV wieku;* nie psałterz to, lecz próby pióra, które istnienia jakiegoś osobnego tekstu wcale nie dowodzą: drobne odmianki, najważniejsza: „śmierci“ zamiast „nagłego spadnienia“ (co i *Psałterz puławski* powtarza za *flo-*

riańskim), należą do tego wydziwiania nad tekstem, charakterystycznego dla przekładów psałterzy; Czesi sobie aż cztery odmienne recenzje jego wywiedli; „śmierć“ = *pestilentia* nie dowodzi jakiejś odmiennej recenzji, jakiegoś *trilingue* w XIV w., którego chyba nigdy nie było.

Następuje rozprawa prof. Podlachy o miniaturach i malaturach *Psałterza*; i ona właściwie żadnej nowizny nie wniosła, bo wyraźnie zaznaczył autor, że jego dawniejsze wywody (ogłoszone przy rozprawie dyr. Bernackiego, *Geneza i historia Psałterza floriańskiego*, 1927 r.), zmierzające do „przedstawienia zabytku na tle powszechnego rozwoju iluminatorstwa środkowej Europy w XIV i XV wieku... pozostają w mocy nadal“. Autor rozróżnia dwa style, starszy z reminiscencjami romańskimi, co w gotyku XIV w. dziwny anachronizm, i nowszy, mniej bogaty i staranny. Poziom artystyczny obu stylów bynajmniej nie wysoki, różni się od współczesnego niemieckiego bogactwem droleryj i motywów roślinnych; wskazuje, że powstał gdzieś na prowincji, stworzony przez mnicha, który do iluminacyj czerpał chyba z starszych rękopisów własnej biblioteki klasztornej. Pierwsza część rozprawy poświęcona technice, druga daje najdokładniejszy inwentarz-opis wszystkich malatur wedle następstwa stronic kodeksu. W dodatku do rozprawy prof. Podlachy nasza znawczyni heraldyki średniowiecznej, p. Helena Polaczkówna, omówiła herby i monogramy, mianowicie ów osławiony monogram, plecionkę dwóch *M*, po których należało się spodziewać wykrycia genezy *Psałterza*. Autorka sama nie rozwiązała jeszcze zagadki, ale wskazała ścieżkę, którą inni po niej do celu dotarli.

Sejm śląski przyczynił się zasiłkiem materialnym do pokrycia kosztów publikacji, chyba w mylnym, jak dziś wiemy, mniemaniu o związku *Psałterza* z Śląskiem, np. z kanonikami regularnymi w Kładzku, którzy chyba ostatni byli, co by o polski (!) przekład się starali czy o nim myśleli. Roku 1931 wrócił *Psałterz* z ziemi obcej do Polski, ale to nie koniec jego repatriacji, bo r. 1939 wrócił ze Śląska i Kładzka do Małopolski i Krakowa, gdzie — wedle słów Marcina z Urzędowa (zmarłego r. 1579) — „prawy wypolerowany język polski“. *Psałterz* zadysponowała sama Jadwiga; łaciński, bo tekst ten obowiązywał na Zachodzie; polski, bo była królową polską; niemiecki, bo jej mieszczanie jeszcze po niemiecku gwarzyli. I to jest jedyny jej wkład w literaturę polską, o czym Długosz tyle nabredził przenosząc swoim trybem to, co było istotnie w r. 1475, na lata Jadwigi. Tak ubywa pozycja literacka śląska, przybywa małopolska jako n o w y d o w ó d j e d y n e j o j c z y z n y p o l s k i e g o j ę z y k a l i t e r a c k i e g o. Oto brzmienie najnowszego rozwiązania zagadki; sparzony niegdyś na „rozwiązaniu zagadki *Bogurodzicy*“, dmucham na zimno i nie wnoszę „rozwiązania zagadki“ do tytułu; uzasadnili ję inni, którzy teraz do głosu przychodzą.

Rozstrzyga owa tajemnicza plecionka-monogram *MM*, powtarzająca się trzykrotnie w *Psałterzu*, raz na naczelnym miejscu przy inicjale B pierwszego słowa pierwszego wersetu *Psałterza* (*MM*,

ale nie jako splot, lecz obok siebie oba *M*, służy raz jako dopełnienie luki wiersza, jak *rr* innym razem, więc nie uważam tego za czwarty przykład plecionki); istnieje dalej na płytce przylutowanej do rączki roztruchana Jadwigi dla kapituły krakowskiej (dziś w Dreźnie); po raz trzeci zjawia się ten monogram na „fragmencie malowidła ściennego w sali Kazimierzowskiej na Wawelu“, gdzie go w r. 1938 odkryto. To najwcześniejsze przykłady tej plecionki; później, przy końcu XV w., na jego przełomie, zjawia się raz w Czechach, a dwukrotnie w Szwajcarii; po szczegóły odsyłam do dra Gębarowicza, nie myślę też za nim powtarzać nieskończonych prób objaśnienia tego monogramu, jednej mylniejszej od drugiej. Wystarczy przytoczyć słowa p. H. Polaczkówny, s. 107: „Począwszy od końca w. XIV po cały XV ustala się w heraldyce moda sigli, plecionek, *lacs d'amour*, które obejmują dewizy, okrzyki bojowe, inicjały... Te monogramatyczne sploty, zrazu skromne i nieskomplikowane, przeradzają się z biegiem czasu w istne rebusy, których sensu nie umiemy dzisiaj rozpłątać.“ Oto i rozwiązanie zagadki: plecionkę należy uważać za dewizę osobistą Jadwigi; mylnie pojęła ją sama p. Polaczkówna jako skrócenie okrzyku bojowego Andegawenów (cóż by on miał za sens przy *Beatus* psalmowym?); trafniej pojęła go dr Zofia Budkowa, która mówiąc o owym „fragmencie malowidła ściennego wawelskiego“ dodała: „dopóki się nie znajdzie owej plecionki na jakimś przedmiocie nie Jadwigi, wolno przypuszczać, że to znak indywidualny naszej królowej, jej dewiza dewocyjna.“ Jaka to była dewiza dewocyjna, to już rzecz mniejszej wagi, np. od *Miserere Mei* psalmowego czy czego innego; dr Gębarowicz odgadł *M*(arię) i *M*(artę), jako uosobienia *vitae contemplativae* i *operantis*, które właśnie Jadwidze w jej krótkiej niestety wędrówce życiowej stale przyświecały; nie darmoż poświęcił jej dominikanin Henryk z Bitterfeldu traktat *De contemplatione et vita activa* zwracając się do niej osobiście w obszernym liście dedykacyjnym. Po dalsze szczegóły odsyłam do wymownej obrony tej tezy, do cennego ze wszech miar artykułu autora, który i ów roztruchan (w posiadaniu Wettynów chyba od XVI w., bo zapisany w inwentarzu sreber z lat 1541—1669) najdokładniej omówił i nową po Piekosińskim i Ganszyńcu próbę odcyfrowania i objaśnienia napisu na otoku roztruchanowym podał, nie całkiem przekonującą, jak to przy napisach otokowych (por. napis na grobowcu Chrobrego) bywa. Rozumiemy więc, skąd się przy pierwszej literze całego *Psałterza* ascetyczna dewiza życiowa pojawiła. Powtarzam, że obojętne raczej, co dewiza sama znaczyć miała; o charakterze dewocyjnym Jadwigi samej wątpić zbyteczne. Oto rozwiązanie zagadki: *Psałterz floriański* wrócił rzeczowo do Warszawy, ideowo do Krakowa, do Małopolski, z której wyszedł, choćby z jakiej innej miejscowości mniej modnej.

Następują trzy teksty, łaciński, polski, niemiecki, przeplatane jak w rękopisie: łaciński Ganszyńca, polski Taszyckiego, niemiecki Kubicy, litera w literę, pod tekstem odchylenia konieczne (zaznacze-

nie opuszczeń itp.), od s. 115—328; wydawcy ręczą za doskonałość przedruku; na s. 324—328 zaznaczył Taszycki odmiany jego tekstu od Nehringowego. Kończy tom (s. 329—402) tekst części polskiej *Psałterza floriańskiego* w pisowni nowoczesnej Taszyckiego, *onus superabundantiae;* „pragnąc ułatwić miłośnikom dawnego polskiego języka i piśmiennictwa obcowanie z polskim tekstem *Psałterza*“ przepisał go Taszycki; — rzecz zupełnie zbyteczna wobec faktu, że pisarze floriańscy nie rozróżniali nosówek (*ą, ę*) ani brzmień pochylonych (*a*a, *e*e, *o*o); nosówki rozdzielił wydawca wedle tekstu puławskiego, lecz pochyleń niczym nie oznaczył (co uczynił jedyny Grünberger w przedruku przekładu statutów). Ten fakt sam dowodzi zbędności tej modernizacji, nie istniejącej dla nikogo, który w jakimkolwiek celu polszczyzną Psałterzową się zajmie i zawsze tylko tekst oryginalny uwzględnić winien: odpadają więc same przez się wszelakie inne trudności co do pisowni czy łączenia przyimków itd. Niepotrzebne to moim zdaniem powiększenie rozmiarów wydawnictwa, *cui bono?*

Pozostaje uznanie zasługi nieznużonego wskrzesiciela najważniejszych tekstów staropolskich, dyrektora Ludwika Bernackiego: do *Marchołta, Raju Dusznego, Biblii Królowej Zofii* przybył *Psałterz Jadwigi*, który wyprosił i wykołatał ów redaktor naczelny. Liczymy wprawdzie jeszcze na tom drugi, lecz już i bez niego tekst Psałterzowy dla badania naukowego raz na zawsze uprzystępniony; co za wygoda dla badacza mieć trzy teksty obok siebie i przekonywać się, jak najtrudniejszy z możliwych tekstów tłumacze pojmowali — przez to samo opłacają się koszty wydawnictwa i rośnie nasza wdzięczność i uznanie zasług wydawców i redaktora.

Berlin *Aleksander Brückner*

Stefan Vrtel-Wierczyński: *Staropolska legenda o św. Aleksym na tle porównawczym literatur słowiańskich*, Poznań 1937. Poznańskie Tow. Przyjaciół Nauk, Prace Komisji filologicznej IX. Stron X i 324, tablic 14.

Legenda św. Aleksego powstała na wschodzie — i ascezie wschodniej tak odpowiada, że przyjęła się najlepiej na Rusi: jeszcze car Michał Romanow długo oczekiwanego syna Aleksym przezwał; europejska asceza średniowieczna lubowała się w tej nieprawdopodobnej ascezie; prozą i wierszami, po łacinie i we wszystkich językach narodowych nią się pieściła. Autor omawia, jak na tytule wyraził, najobszerniej wersje słowiańskie, czeskie, ruskie ii., epiczne i dramatyczne, prozą i wierszem, ludowe i poetów czeskich i ruskich, osobno polskie, od owej legendy z r. 1456 aż do *Wianka* Iłłakowiczówny 1927 r. i do kontrafaktury jezuickiej tej legendy (o Korsaku); to opuszczamy i zajmiemy się wyłącznie tekstem staropolskim, który autor wydał w pisowni oryginału i w przepisie nowożytnym.

Sam tekst haniebny; nie mogę jednak błędów jego wyłącznie kopiście przypisywać; on wprawdzie powtarzał np. dwójwiersze,

ale czy on odpowiada za mylne następstwo wierszy, czy to nie autor legendy sam ruszał konceptem jak martwe cielę ogonem, powiedzieć nie umiem. Ta legenda jest niewątpliwie pierwszą obszerniejszą i na dziesiątki lat jedyną wierszowaną, i to jej największa zasługa (pomijam krótkie wiersze o świętych Pańskich z 2 połowy wieku). Cała jej poezja zasadza się na formie wierszowej, sucha zresztą jak współczesna poezja legendowa (nawet we Francji). Autor, nim się takiej nowizny ważył, przeczytał kilka żywotów św. Aleksego i z nich ulepił swój tekst, pełen niekonsekwencji i sprzeczności, i próżno szukać bezpośredniego źródła, co by tymi samymi się popisywało. Np. inne teksty wymieniają nazwisko papieża i cesarza dopiero przy końcu, gdy obaj zwłoki Aleksego nawiedzają; nasz tekst wymienia ich imiona (i to dwóch cesarzy) na samym początku, kiedy ojciec Aleksego swata, co sensu nie ma; scenę spotkania ojca i syna przed grodem haniebnie pokpił, chociaż tu może tylko kopista o żurawiu (studni) i o moście prawi, co się jedno z drugim nie wiąże (most ów zwodzony przed grodem, z którego ojciec żalem ruszony omal nie spadł, bez poręczy?). Cała scena końcowa, jak to dzwony rzymskie zawsze dzwonią, jak szukają świętego itd., to taki galimatias, że z niego nie wybrniesz. Wedle innych tekstów miał Aleksy lat 20, gdy go swatano, u naszego „dwadzieścia k temu cztyrzy lata“; o wierszach 219 i 220 zdaje się nikt nigdy nie słyszał, czy nie zmyślił ich nasz autor?:

Tu są krasne cztyrzy świece stały,
Co są więc w sobie święty ogień miały.

(to chyba nowy cud, żeby ludziom szukającym Aleksego pokazać dowodnie, że tak święty leży? dzwony autorowi nie starczyły ani młode — zamiast małe! — dziecię). Lat 16 bawił Aleksy za morzem, drugich 16 lat leżał pod schodami; to autor wyraził tak (w. 183—186):

A leżał tu sześćnaćcie lat,
Wsztko[1] cirpiał prze Bog rad.
Siodmegonaćcie lata za morzem był,
Co sobie nic czynił (!!)

Ale to chyba nie sam kopista naplótł. Że on glosy, przypisane na boku, do tekstu wciągał, chętnie wybaczamy, np. *każdy nań pomyje, złą wodę lał* (w. 182). Zresztą błąd na błędzie siedzi, równie niechlujnego odpisu chyba nie znajdziesz.

Ale cóż powiemy o tej pstrociźnie (w. 50, 54—59):

A więc mu cesarz dziewkę dał...
To ten był cesarz pirwy,
Archadoius niźli;
Ktorej krolewnie Famiana dziano,
Co ją Aleksemu dano;
A żenie dziano Aglias,
Ta była ubóstwu w czas.

[1] Kopista w końcowej partii stale pisze: swoje wsztki męki i wsztki sztuki (zamiast skutki)... wsztek lud... wsztcy itd. Wątpię, czy ta elizja istotna.

Wiersze 58 i 59 powtarzają w. 25 i 26, Aglias była matką Aleksego, tu więc wszystko do góry nogami! Z żony Aleksego zrobił autor „krolewnę“, co nieprawda; w. 54 i 55 nie mają znowu najmniejszego sensu, „cesarz pirwy“ nawiódł mnie na myśl, czy tu nie mowa o obu cesarzach, Honoriuszu i Arkadiuszu, których imiona kopista źle odczytał (np. Honoriusz był „cesarz pirwy“, Arkadiusz — ?). Zresztą wiemy, że nie cesarz, lecz ojciec mu „dziewkę“ dał.

I tak na każdym kroku musimy z kopistą czy z autorem walczyć, np. w. 27 nn.:

> Był wysokiego rodu,
> Nie miał po sobie żadnego płodu;
> Więc-ci jęli Boga prosić...

wszystko fałsz: Byli (Eufamian i żona) wysokiego rodu, nie mieli żadnego płodu (po sobie zbędne!), więc ci jęli itd.; w. 34 powtarza się w 36-tym:

> A gdy się mu syn narodził,
> Ten się w lepsze przygodził:
> Więc mu zdziano Aleksy,
> Ten był oćca barzo lepszy.

W w. 45: *wszeko słusza starszemu*, jest *wszeko* błąd zamiast *jeko* (wedle w. 46: *Oćcze, wszekom ja twoje dziecię*). Budzi się nieraz wątpliwość, jak poprawiać, np. (w. 108): *wstał z obraza Matki Bożej obraz*, Nehring poprawiał: *wstał z ołtarza święty obraz*; ja poprawiam: *wstał Matki Bożej obraz*, również dla miary wierszowej. Tu powstaje zasadnicze pytanie. Wiersze są 8-zgłoskowe. zdarzają się 6, najczęściej 7, wyjątkowo 9 i więcej zgłoskowe, ale wystarcza nieraz wstawka starszej formy, np. wieliki zamiast wielki, aby słuszny 8-zgłoskowiec wyszedł. Bywają jednak wyjątki, na końcu ustępu zjawiają się dwa i trzy 7-zgłoskowce; widoczny tu zamiar autora, żeby nimi pauzę zaznaczyć; nawet 6-zgłoskowce zajmują wybitne miejsce; łatwo poprawić w. 83 *dojąd ty żyw ja też*, na 7-zgłoskowe:... *i ja też*, ależ na tym miejscu jest sporo innych 6-zgłoskowców, w. 78: *namilejszy mężu moj*, w. 61: *tej nocy z nią gadał* itd. Josef Hrabák w rozprawie: *Staropolský verš ve srovnání se staročeským* (Praga 1937, s. 17) zaprotestował przeciw moim rekonstrukcjom, że są „szczęśliwe“, jeśli o rymy chodzi, ale „mało prawdopodobne“, że mnie więcej zależało na „sylabizmie niż na czystej syntaktycznej definicji wiersza“, że „sylabizm mógł być tylko tendencją“. Przyznam, żem może zbytni nacisk kładł na równą ilość zgłosek, ale ta „definicja“ (ograniczenie) nie bardzo mi do przekonania trafia, może tu raczej niepoprawność tekstu zawiniła, co na wielu miejscach widoczne. Autor i kopista byli Mazurami, jak język dowodzi, np.: reno, wszeko, jeko, jełmużna itd. Mazowsze, mniej poufałe z łaciną niż Małopolska z uniwersytetem, zabierało się rychlej do polszczyzny niż inne dzielnice, tu i „Polikarp“ powstał, o kulcie Aleksego w Płocku prawi wydawca umyślnie, w Płocku i pierwszy

Cyzjojan polski spisano; więc nie dziwią mazowizny „Aleksego". Nasuwa się i inna uwaga. Nie było w XV wieku języka pisemnego (zbyt mało wtedy pisano po polsku), więc jak ortografii nie ustalano, tak nie nawykł język pisemny jakoś do dawnych słów i tak łatwo wymienił je na nowe, na pożyczki, zapomniał o ź r z e b i u dla l o s u, o s t r z e s z e dla d a c h u, o z d u n i e dla g a r n c a r z a, o k r ę p n y m, g o l e m y m itd.; właśnie w drugiej połowie wieku odmienił język garnitur słownikowy doszczętnie. W „Aleksym" tylko jedno starsze i ludowe słowo: p r z y g o d a, tj. fortuna w znaczeniu n i e p o g o d y: fortuną (chwartuną) i Rusin wichry morskie nazywał. Wiersza nie umiał autor czym innym niż przez *więc* (czasem *a*) zaczynać, dowód jawnej nieudolności; mimo to należy mu się uznanie, że się tak trudnej rzeczy podjął pierwszy; nie mamy się bowiem co łudzić, że były skarby, któreśmy z czasem utracili; straty były raczej minimalne; rzadkość odpisów, na które zbytniego popytu nie było, sprawiła, że czasem z obszernego zabytku jedna karta ocalała, ale żeby literatura średniowieczna nierównie obfitsza była niż to, co z niej posiadamy, o tym bardzo wątpić wolno; nie było u nas przecież husytów ani jezuitów, co by rękopisy i druki zbytnio niszczyli.

Berlin *A. Brückner*

S t a n i s ł a w W i n d a k i e w i c z: *Poezja ziemiańska,* Kraków 1938, stron 260.

Każdą książkę prof. St. Windakiewicza czyta się zawsze z zainteresowaniem; bo choćby autor traktował o sprawach znanych i przez innych badaczy już opracowanych, to zawsze umie oryginalnie, niecodziennie je oświetlić, przynieść do nich nowe przyczynki, a często jednym słowem otworzyć nowy widok na dany problem. Tak było z jego pracami o Reju, Kochanowskim, Skardze, tak jest i z *Poezją ziemiańską.*

Książka jest właściwie skrótem wykładów uniwersyteckich prof. Windakiewicza o poezji polskiej do końca saskich czasów; ogłasza ją autor — jak pisze — „ze względu na kilku dawnych uczniów i nielicznych wielbicieli staropolskiej poezji", bo trudno się w Polsce dzisiejszych czasów spodziewać zainteresowania staropolską literaturą u szerszych warstw inteligencji. Smutna, ale rzetelna prawda!

Pracę swoją skomponował prof. Windakiewicz wedle następujących zasad: cała poezja staropolska, od XVI w. aż do oświecenia stanisławowskiego, jest dla autora właściwie poezją ziemiańską, tj. poezją wytwarzaną przez autorów ziemian-szlachtę, przeznaczoną dla ziemian i wyrażającą czy opiewającą życie i światopogląd ziemiański. Zresztą to samo dotyczy — wedle prof. Windakiewicza — całej w ogóle staropolskiej literatury. „Ziemiańskość" — to jest sens, dusza i fundamentalny kolor tej literatury. Wszystko, co było przed zaistnieniem i rozwinięciem się tej literatury (czy poezji) ziemiańskiej, to tylko jakieś pierwiosnki czy przygotowania

do niej. A znowu to, co w ciągu dwu i pół wieków panowania tej literatury nie przystawało do niej ściśle (czy to że autorzy nie należeli do średnich ziemian-szlachty, czy też ideały i dążenia ich były inne) — to wszystko podciąga prof. Windakiewicz pod ogólną nazwę „współpracowników poezji (literatury) ziemiańskiej"; należą tu więc dzieła magnatów, dworaków, duchownych i krótka, wąska stosunkowo strużka „literatury mieszczańskiej".

Z takiego założenia autora, bardzo rygorystycznego, a dla kompozycji książki dogodnego, wypływa układ całej pracy. Mówi się więc tutaj najpierw bardzo krótko o „latynizacji" Polski (R. I), tj. po prostu o literaturze łacińskiej (ale i polskiej!) naszego średniowiecza; potem o „wcześniejszych usiłowaniach uprawy poezji" (R. II), tj. o poezji polskiej (ale także i łacińskiej!) wieku XV i początków XVI aż w głąb czasów Zygmunta Starego. Teraz dopiero — zdaniem autora — następuje „uświadomienie warstwy ziemiańskiej" (R. III), którego heroldami i wyrazicielami w literaturze są: Orzechowski i Rej. Ale i twórczość tych pisarzów (razem z M. Bielskim) — to dla prof. Windakiewicza ledwie „przedwstępne dzieje ziemiańskiej literatury" (s. 49). Tworzy ją naprawdę Jan Kochanowski (R. IV) w 2 okresie swego żywota, dając „główne zarysy poezji ziemiańskiej, zasadzającej się na wiejskości, zadowoleniu z mierności, ogromnej towarzyskości, szczerej religijności, gorącym patriotyzmie i uwielbieniu uczuć rodzinnych"; to byłyby zatem, wedle prof. Windakiewicza, kryteria „ziemiańskości" poezji, naturalnie obok pochodzenia i „stanu" jej autorów. Z kolei idą 2 duże rozdziały (V i VI), pt. „Poezja ziemiańska wcześniejsza" i „Poezja ziemiańska późniejsza", obejmujące 1. i 2. połowę XVII wieku. Gdyż — zdaniem autora — dopiero końcowe dziesiątki XVI wieku i cały wiek XVII — stanowią bujną epokę rozkwitu tzw. „poezji ziemiańskiej", której przybywają teraz pewne nowe cechy, np. umiłowania rycerskie, wojenne. W dalszych dwóch rozdziałach (VII i VIII) zgromadzono resztę najwybitniejszych pisarzów w. XVI i XVII, niby w dużych koszarach z napisem „Współpracownicy poezji ziemiańskiej", z dwiema przegrodami: „Duchowieństwo i możnowładztwo" oraz „Mieszczaństwo i lud" (?). Wreszcie ostatni rozdział (IX) „Nowy okres" omawia „czasy saskie", w których wprawdzie „poezja ziemiańska" uprawiana jest dalej, lecz rozsadzają ją już wsączające się w nią nowe elementy, związane przede wszystkim z wpływem literatury francuskiej i oświecenia francuskiego.

Tak przedstawia się układ książki, przeciwko któremu można by wysunąć różne zastrzeżenia: np. co tu mają do roboty, jeśli już nie kronikarze i Długosz, i dawne psałterze we wstępie, to np. prozaik Frycz-Modrzewski? Dlaczego Górnicki, mieszczański synek i dworak, znalazł się z swoim *Dworzaninem* na przyczepce do poezji ziemiańskiej? Dlaczego omawia się obszernie dzieła prozaiczne Orzechowskiego, Reja i innych, skoro idzie tylko o poezję ziemiańską? Dlaczego literaci mieszczańscy, z Klonowi-

czem na czele, tak ostro wyodrębnieni przez autora i przeciwstawieni ziemiaństwu, otrzymali przecież etykietę „współpracowników“ poezji ziemiańskiej itp.?

Rzecz cała wyjaśnia się tym, że układ książki prof. Windakiewicza jest widocznie kompromisem (trochę sztucznym) między dwiema tendencjami autora: 1) ogłoszenia po prostu obrazu literatury (a potem tylko poezji) polskiej do końca czasów saskich oraz 2) przeprowadzenia ulubionej tezy o ziemiańskim *par excellence* charakterze tej literatury staropolskiej. Stąd pewne wahania (zaznaczające się nawet może w mylnej numeracji rozdziałów), stąd owe przybudówki wstępne czy potem pewne ustępy nieswojo się czujące wśród atmosfery ziemiańskiego towarzystwa.

Mniejsza jednak o pewne nierówności, narzucające się mimo woli czytelnikowi. Książka Windakiewicza jest pracą doskonałą. Jest owocem bezpośredniego, dogłębnego znawstwa omawianych pisarzów i utworów, a nie jakimś powierzchownym przelotem ponad kilkowiekowym obszarem piśmiennictwa, co się często w podręcznikach i kompendiach (a tym bardziej w wykładach) praktykuje. Czytelnik wyczuwa to od razu. Prof. Windakiewicz zna naturalnie bardzo dobrze cały stan badań nad danym autorem czy problemem, lecz nie referuje cudzych poglądów, a często umyślnie ich nie uwzględnia; przepuszcza zawsze to, co inni zdobyli, przez filtr własnych rozważań, przez pryzmat swojej indywidualności badawczo-pisarskiej. Stąd pochodzi to tchnienie świeżości bijące często z jego analiz i charakterystyk, a zarazem ten smak badawczego uporu, obstawania przy swoim subiektywnym sądzie, który często podnieca czytelnika do sprzeciwu i polemiki. Stylizowana do pewnego stopnia bezpretensjonalność i prostota wykładu łączy się doskonale z samowiedzą uczonego i szeroko oczytanego erudyty, który nie lubi wychodzić poza krąg swoich osobistych osiągnięć: „Chcecie, to wierzcie!“ Otóż to ma jakiś swoisty urok.

Ziemiańskość naszej poezji na przestrzeni 2 i pół stuleci! Autor ma rację. Nikt się o tę zasadniczą ziemiańskość sprzeczać nie może. Prof. Windakiewicz przeprowadził przekonywająco swoją tezę, z ciekawym wydźwiękiem przemiany u brzegów okresu saskiego. Ale czy zaborczość tej ziemiańskiej literatury nie jest u autora zbyt wielka? Czyż nie ma własnego oblicza staropolska poezja dworska (dworsko-humanistyczna i dworsko-barokowa), właśnie z Kallimachem, Krzyckim, Dantyszkiem, Janickim, częściowo Kochanowskim (co sam autor przyznaje), a potem z Morsztynami, poetami radziwiłłowskimi, Żabczycem, Grochowskim itd.? Przecież była to poezja (literatura) elity, górnych sfer dworskich, dość odciętych duchowo od życia ziemiańskiego (tu przypadłby i Górnicki ze swoją włoską przeróbką). Sam autor widzi nieraz taki stan rzeczy, a jednak literatury dworskiej nie wyodrębnia. Podobnie ma się rzecz z literaturą mieszczańską, która wprawdzie jest przez autora wyodrębniona (w świetnym rozdziale, s. 185—225), ale przecież zarejestrowana do „współpracowników poezji ziemiańskiej“.

Do tego działu należy też Szymonowicz, którego prof. Windakiewicz zaliczył do literatury ziemiańskiej i do „poetów-ziemian“ (s. 99), chociaż osobiście wymieniłbym go chętnie za Żabczyca i Gawińskiego, zaliczonych znowu do literatury mieszczańskiej. Kryteria bywają tu nieraz chwiejne, grymaśne i trzeba by chyba odważać na łuty, czego było więcej w dorobku danego pisarza: ziemiańskości, dworskości czy mieszczaństwa... Takich sporów „o przynależność“, o dość akademickim znaczeniu, można by wytoczyć więcej.

Ważniejsze są dla mnie piękne, trafne, pełne w rysunku i barwach portrety pisarzów, jakie dał Windakiewicz. Nie mówię już o Reju i Kochanowskim, o których autor już dawniej pisał (choć przy Kochanowskim mnóstwo spostrzeżeń i uwag nowych!), lecz o takich charakterystykach, w swej zwartości i trafności zastanawiających, jak Kaspra Miaskowskiego, Samuela Twardowskiego, Zbigniewa Morsztyna (rycerza-poety), Stanisława Lubomirskiego, Kochowskiego czy Wacława Potockiego. Są tu nie tylko żywe, subtelne portrety twórców i ludzi epoki, lecz zarazem doskonałe informacje o dziełach, ich zawartości i rodzaju. Autor ma swoje „sympatie“, którym poświęca wyczerpujące omówienia; inne osobistości pisarskie przewijają się tylko w drobnych sylwetkach Zawsze jednak podkreślono to, co było w danym pisarzu czy dziele oryginalnego, nowego, po raz pierwszy występującego na horyzoncie polskim: Rej wprowadza pierwszy epigram do literatury; jego *Żywot człowieka poczciwego* to pierwsze na wskroś oryginalne dzieło literatury polskiej; Kochanowski pierwszy zaszczepia mitologiczną postać starożytną w wyobraźnię ziemian (*Satyr*); on pierwszy wystąpił u nas z patetyczną odą pindaryczną; on pierwszy ma swój program literacki; jest pierwszym polskim erotystą; dał w *Psałterzu* pierwszy podręcznik metryki polskiej itd. To znowu, że *Banialuka* Jarosza Morsztyna to „pierwsza powiastka literatury zagranicznej, która w Polsce stała się typowa dla cudownych baśni i weszła w przysłowie“; Samuel Twardowski pierwszy wygłasza program sarmatyzmu; Grabowieckiego *Rymy duchowne* to pierwszy ślad wpływu poezji hiszpańskiej (w języku narodowym) na literaturę polską; *Kanikuła* Morsztyna Jędrzeja — to pierwszy w Polsce zbiorek pieśni obracający się około jednego tematu, itd. itd.

Ciekawe są również, a nieraz wprost frapujące uwagi prof. Windakiewicza o analogiach między pisarzami i utworami staropolskimi a nowszymi; to znowu spostrzeżenia o jakimś oddziaływaniu ich na czasy późniejsze. A więc nazwie autor np. Janka z Czarnkowa Paskiem XIV wieku; Krzycki przypomina mu Krasickiego; *Komedię Justyna i Konstancji* Marcina Bielskiego zestawi niespodzianie z *Przygodami Benedykta Winnickiego* Pola lub *Dęborogiem* Syrokomli ze względu na tendencje wychowawcze; a znowu łatwość tworzenia u Szymonowicza porówna z improwizacjami Deotymy; lub religijne, miękkie poemaciki Miaskowskiego

przywiodą mu na pamięć J. B. Zaleskiego itp. Pozwalam sobie wyrazić przekonanie, że nikt u nas nie dał dotąd tak trafnej jak Windakiewicz charakterystyki Klonowicza, pisarza oryginalnego i ciekawego, chociaż niewielkiego poety. Samodzielnie i interesująco wypadł ustęp o tzw. literaturze mieszczańskiej, publikowanej przez Badeckiego, zwłaszcza o pieśniach (o których autor w ogóle w całej książce dużo cennych uwag rozrzuca, w związku z muzyką, metryką itd.). Nie przekonywa mnie natomiast pogrzebanie Szymona Zimorowicza i zrobienie z dwóch Zimorowiczów-poetów — jednego. Argumenty nie są wystarczające, mimo niezmiernie ciekawej książki Adamczewskiego. Ale Bartłomiej Zimorowicz — mimo tego — wyszedł w przedstawieniu autora plastycznie z swoją różnostronnością pisarską i mieszczańską umysłowością.

W ostatnim rozdziale z predylekcją i prawdą psychologiczną nakreślony został portret Drużbackiej; a to, co autor mówi o teatrze XVIII wieku (Radziwiłłowa, Rzewuski, Konarski, Bohomolec), podobnie jak i poprzednie uwagi na ten temat (np. St. H. Lubomirski), ukazuje pierwszorzędnego znawcę.

Podnieść również należy umiejętność i skrupulatność autora w wydobywaniu, nieraz w paru pociągnięciach, materiału obyczajowego z literatury, często tak ważnego dla historii kultury staropolskiej.

Osobno pragnąłbym wspomnieć o niezwykle miłym rozdziale o naszej poezji średniowiecznej. U nas, kiedy się mówi o literaturze średniowiecznej, to albo tylko ze stanowiska językowego (zasypując świat poprawkami i koniekturami), albo co najwyżej ze stanowiska historyczno-kulturalnego. A przecież badacz literatury ma tu także coś do powiedzenia ze stanowiska literackiego (porównawczo-literackiego) czy estetycznego. Otóż Windakiewicz umie tak właśnie o poezji średniowiecznej mówić, np. gdy wspomina o piosenkach maryjnych, o świętokrzyskiej szkółce pieśniarskiej, o kantyczkach franciszkańskich klarysek itd. Pieśni te i piosenki ożywają przy pomocy jednego kleksa jego pióra w swej osobliwej nieraz piękności.

Książka obejmuje za wielki obszar czasu i spraw, aby można tutaj o wszystkim wspomnieć, a i posprzeczać się o niejedno, coś czasem sprostować. Sprzeczałbym się np. o karczmarskie spod Brzeżan pochodzenie Fanioli Kallimacha, o rzekomą życzliwość Kochanowskiego dla Zygmunta Augusta (i na odwrót), o rzekome „rozbawienie“ niektórych pieśni Kochanowskiego (s. 63), to znowu o interpretację innych („Gdzieśkolwiek jest“, „Kiedy się ranne zapalają zorze“ itd.). Wiemy też dziś, że przed *Sobótką* Kochanowskiego była już inna pieśń sielska z lat 1548—1555 (zob. Kot: *Urok wsi i życia ziemiańskiego*, s. 35); a nie zgodziłbym się także na twierdzenie, że „pobyt na wsi nie odbił się zbyt wydatnie w jego poezji“ (s. 71). Szymonowicza zostawiłbym spokojnie (mimo *Kołaczy*) wśród mieszczan, a jego Putiatyńce pod Rohatynem (s. 103). Nie zaliczyłbym Twardowskich i Kochowskich do „zaściankowego“

typu poetów (s. 109), a może silniej za to związałbym epicki pęd XVII w. z dramatami rozgrywającymi się na ziemiach południowo-wschodnich. Portret Kochowskiego jest doskonały, ale jak pogodzić twierdzenie (s. 122), że „nie wysilał się na układ artystyczny, posługiwał się zwrotami pospolitymi, ogólnie używanymi, pisał, co mu ślina na język przyniesie" — z sądem innym (s. 130), że „był to umysł samodzielny, pod niejednym względem oryginalny, i poezją z upodobaniem, omal nie jak Kochanowski, się zajmował", oraz z oceną *Psalmodii*. Jest taka sprzeczność i w sądach o W. Potockim (s. 138, a s. 145 o *Wojnie Chocimskiej*). Sarbiewski znowu naprawdę niewiele ma wspólnego z literaturą ziemiańską! Jak prof. Windakiewicz doszukuje się jednego autora w zbiorku *Kiermaszu wieśniackiego*, tak może należałoby również szukać jednego autora dla wielu utworów *Komedii Rybałtowskiej* (Jan Jurkowski?) A czy autentyczność tzw. Żabczyca, mimo pracy Piszczkowskiego, jest załatwiona?

To kilka uwag drobnych. Ale czyż mogą one w czymkolwiek umniejszyć piękność i dobro książki, która jest nie tylko wybornym podręcznikiem uniwersyteckim, lecz i pouczającą lekturą dla fachowców-polonistów, dającą dużo podniet i płodnych wskazówek. Ułożyła się w niej w wartościową i miłą całość wypróbowana wiedza badacza i profesora, owoc wieloletniego, mądrego obcowania z dawną literaturą ojczystą i jej najznamienniejszymi przedstawicielami.

Lwów *Stanisław Łempicki*

Stanisław Kot: *Urok wsi i życia ziemiańskiego w poezji staropolskiej*. Osobne odbicie z Księgi pamiątkowej na 75-lecie „Gazety Rolniczej". Warszawa 1937. Stron 149.

Dzięki szczęśliwie zdarzonej okoliczności 75-lecia *Gazety Rolniczej* i przygotowywania przez nią *Księgi Pamiątkowej* sięgnął prof. Kot, niestrudzony poszukiwacz dokumentów życia staropolskiego, do swoich tek i wydobył z nich cenny materiał historyczno-kulturalny. Publikacja niniejsza zawiera bowiem 25 utworów (w całości lub większych wyjątkach), ilustrujących problem uroku wsi i życia ziemiańskiego, działającego na dusze szlacheckie w minionych wiekach.

Są to utwory wyłącznie niemal poetyckie, pisane przez poetów XVI i XVII w., a mianowicie: Jana Kochanowskiego, Andrzeja Zbylitowskiego, 3 Morsztynów (Jana Andrzeja, Hieronima i Zbigniewa), Stanisława Słupskiego, Kaspra Twardowskiego, Wespazjana Kochowskiego, Józefa Domaniewskiego, Wacława Potockiego, Jana Gawińskiego, Daniela Naborowskiego, Erazma Otwinowskiego, Stanisława Mińskiego, Mikołaja Lubienieckiego i Jana Libickiego. Jedyna proza — to ideał *Ziemianina*, skreślony przez Jakóba Ponętowskiego w czasach Zygmunta Augusta. Cały materiał ułożony został według pewnych momentów, jako to: Pochwała (ogólna) zajęć ziemiańskich, szlachecka kondycja (tj. opis gospodarstwa do-

mowego), wyższość stanu ziemiańskiego nad innymi (magnackim, dworskim, miejskim etc.), ideał ziemianki-kobiety, biesiada ziemiańska, tęsknota ziemianina do wsi. Osobno zgromadził wydawca rzeczy już mniej oryginalne (ale o zasadniczym znaczeniu dla problemu), tj. „Przekłady z Horacego *Beatus ille* z kolorytem rodzimym i dodatkami swojskimi". Wydanie materiałów poprzedzone jest obszerną, niezwykle interesującą rozprawą wstępną prof. Kota, która naświetla całe zagadnienie i wysnuwa odpowiednie wnioski.

Pracy autora należy z uznaniem przyklasnąć. Jako historyk kultury stanął on na słusznym stanowisku, że w naszej literaturze pięknej dawnych wieków kryje się częstokroć pierwszorzędnej wartości materiał źródłowy, wprost dokumentarny, do historii staropolskiej kultury materialnej i duchowej, do dziejów obyczajowości i życia naszych przodków, a tym samym także do historii ich poglądu na świat i ideału życiowego. Jak w pieśniach i fraszkach Kochanowskiego, utworach Krzyckiego czy Rojzjusza maluje się wiernie życie dworskie za ostatnich Jagiellonów, tak samo w wydanej przez autora serii utworów ziemiańskich odzwierciedla się dokładnie i plastycznie bytowanie ziemiańsko-szlacheckie, wiejskie, z całą swoją bogatą różnolitością obyczajową, podniesione z biegiem czasu przez szlachtę do godności ideału, urobione w specjalną teorię-doktrynę czy filozofię życiową, z własną moralnością, ekonomiką, niemal że polityką. Horacy — najpopularniejszy w Polsce obok Cicerona autor klasyczny — z swoją słynną epodą *Beatus ille, qui procul negotiis* dał tu poetom szlacheckiej Polski pierwsze pchnięcie, zarówno w kształtowaniu treści jak co do formy artystycznej. Co Rej w *Żywocie* i gdzie indziej po swojemu wyrażał, co urobiło się wcześniej i niezawiśle od humanizmu, to zaczęło się od połowy XVI w. (zob. anonimową *Pieśń*, s. 35—37) wedle schematu rzymskiego poety układać i pod horacjańskim patronatem łatwiej przenikać w umysły. Stąd tyle polskich przeróbek epody Horacego. Ale już niebawem schemat horacjański nie wystarcza. Poeci Polski szlacheckiej, przeważnie z najtęższej warstwy średniej szlachty (rzadko z magnatów, jak J. A. Morsztyn) zaczynają wnosić coraz obficiej w te horacjańskie zaczyny bogatą treść własną, owoce własnych przeżyć, doświadczeń i przemyśleń; rozsadzają i rozszerzają się klasyczne ramy. Wiele zależało tu naturalnie od talentu; bo jakaż różnica w skali wartości dzieli taką *Sobótkę* Kochanowskiego, *Budynek* Kochowskiego, *Wiejski żywot* Andrzeja Morsztyna czy choćby utwory A. Zbylitowskiego lub *Bylicę świętojańską* K. Twardowskiego od słabiutkich artystycznie wierszy gospodarskich i sielskich Słupskiego (*Zabawy orackie*), czy różnych Jeżowskich, Domaniewskich, a nawet podkanclerzego Mińskiego. Wydawca kierował się jednak w doborze utworów nie samymi kryteriami estetycznymi; wybierał obok rzeczy literacko wartościowych także słabsze, ale za to wartościowe pod względem obyczajowym, lub znowu mało znane i trudno dostępne.

Zbiór prof. Kota — to nie łatwa antologia z oklepanych polskich georgik i sielanek, lecz owoc poszukiwań i przygodnych odkryć w rękopisach, w unikatach rzadkich druków, w rzadkich przedrukach zapomnianych utworów. Często porównywano różne rękopisy, aby wydobyć tekst najautentyczniejszy. Niektóre utwory pojawiają się tutaj w ogóle po raz pierwszy, jak Ponętowskiego *Ziemianin*, Lubienieckiego *Kondycja szlachecka*, Domaniewskiego *Byt ziemiański i miejski*, anonimowa *Gospodyni dobra* itd.

Rozprawa wstępna waży ten materiał z różnych stron; od walorów literackich przechodzi do momentów obyczajowych, to znowu otwiera przed czytelnikiem szersze aspekty społeczne, nawet ekonomiczne. Pada stąd ciekawe światło na urabianie się i konsolidowanie opinii i ideału życiowego mas średniej szlachty, na jej przeciwstawianie się magnaterii, na stosunek wsi do miasta; rustykalizm przeciwstawia się coraz urbanizmowi; stara, jeszcze średniowieczna krytyka *vitae aulicae*, zepsucia dworów itp. ubiera się w nowe humanistyczne pióra. Przekonywająco wykazał autor ciągłość tradycji literackiej w tym „wiejskim" odłamie poezji; trafnie przedstawił wpływ traktaciku Ponętowskiego na poetyckich piewców „kondycji szlacheckiej", jednowioskowej, siedzącej na 100 chłopach, samowystarczalnej w swym ograniczeniu się, średnim dobrobycie, egoizmie warstwowym i politycznym kwietyzmie. Ustęp o przekładach i przeróbkach Horacego — to osobna, zajmująco opracowana rozprawka. Dla zagadnienia wpływu poezji Kochanowskiego na następców praca prof. Kota nie jest również obojętna; poza tym i w innych szczegółach historycznoliterackich prostuje się tu niejedną omyłkę, daje niejeden tekst lepszy niż dotąd.

Książeczka przeznaczona była dla szerszych sfer czytelniczych, którym pokazać chciała polskie tradycyjne rozmiłowanie w ziemi, gospodarstwie wiejskim i wszystkich jego gałęziach, a także w czarach wiejskiego żywota. Zapoznaje tego czytelnika zarazem z szeregiem utworów literackich, pięknych lub tylko ciekawych. Daje do tych utworów instruktywne wprowadzenie, zwięzłe komentarze i objaśnienia słowno-rzeczowe. Ale i dla polonisty czy historyka kultury dziełko posiada wartość niemałą: kwestia „ziemiańskości" piśmiennictwa staropolskiego, tak często w ostatnich czasach dyskutowana, nabiera w świetle rzetelnie zebranego materiału nowych rumieńców, a uwagi autora porządkują i wyjaśniają niejedno.

Lwów *Stanisław Łempicki*

Steckel Ch. Wolf: *Jan Kochanowski und das Judentum. Ein Beitrag zur polnischen Literaturgeschichte.* Inaugural-Dissertation zur Erlangung der Doktorwürde an der Philosophischen Fakultät der Schlesichen Friedrich-Wilhelms-Universität zu Breslau. Breslau 1937, Druck von Paul Plischke. Stron 129.

Rozprawa wymieniona w tytule powstała w r. 1931 w Seminarium Filologii Słowiańskiej w Uniwersytecie Wrocławskim pod kierunkiem prof. Pawła Dielsa. Zarówno z tego powodu jako też

ze względu na jej wartość zasługuje na wzmiankę w *Pamiętniku Literackim*, przy czym nadmieniam jeszcze, że wskutek wydrukowania jej za granicą trudno ją wydostać.

O stosunku Kochanowskiego do biblii pisano już nieraz u nas, uwzględniając tę kwestię na ogół niezbyt dokładnie. Steckel opierając się na badaniach poprzedników zajmuje wobec nich stanowisko krytyczne, przy czym rzecz samą traktuje bardzo szczegółowo. Wpływu biblii dopatruje się w mniejszym lub większym stopniu przede wszystkim w polskich utworach Kochanowskiego, a mianowicie: w *Pieśni o potopie*, *Satyrze*, wierszu: *Czego chcesz od nas, Panie*, *Zuzannie*, *Proporcu*, *Dziewosłębie*, *Psałterzu Dawidów*, *Trenach*, *Fraszkach*, *Pieśniach i Fragmentach*. Znacznie mniej śladów biblii wykazują łacińskie utwory poety (*Phaenomena* i kilka elegii). Na podstawie szczegółowej analizy dorzuca autor raz po raz ciekawe wyjaśnienia rozmaitych miejsc we wspomnianych utworach, bada też czynniki, jakie wpłynęły na ich genezę. Mi. przypuszcza, że niemieckie przedstawienia teatralne losów Zuzanny mogły wpłynąć na powstanie *Zuzanny* (s. 40 n.); wykazuje nadto, że w poemacie widoczny wpływ Biblii Leopolity (s. 42 n.). Do ciekawszych ustępów rozprawy należy podkreślenie zależności Kochanowskiego od *Kaznodziei* (s. 56, 59, 60, 61, 63, 64, 68, 73, 123). *Psałterz Dawidów* określa jako pierwszą w literaturze polskiej harmonijną syntezę treści i formy (s. 51).

Autor wykazuje przekonywająco, że znajomość Biblii była w życiu duchowym Kochanowskiego jednym z najważniejszych czynników twórczych. Etyczne poglądy na świat zawarte w *Pentateuchu*, *Księgach proroków*, *Psałterzu*, *Kaznodziei*, *Księdze Hioba* przyswoił sobie w ten sposób, że w nich szukał rozwiązania dręczących go zagadnień i problemów. W Biblii szukał przede wszystkim treści, literatura starożytna dostarczała mu głównie pierwiastków formalnych.

W drugiej części rozprawy mówi autor o stosunku Kochanowskiego do twórczości żydowskiego autora Leone Ebreo (Leo Hebraeus albo Juda Abravanel, także Abrabanel), urodzonego około r. 1460 w Lizbonie, zmarłego około r. 1535 w Wenecji. Kochanowski wspomina o tym autorze we *Wzorze pań mężnych*, mówiąc o nim jako o „nauczonym żydzie Leonie“, przy czym mylnie podaje, jakoby miejsce cytowane przez niego znajdowało się w drugim dialogu Leona (ma być trzecim); ma tu na myśli Kochanowski główne dzieło tego żydowskiego filozofa: *Dialoghi d'Amore*. Steckel pierwszy w naszej literaturze zastanawia się nad stosunkiem Kochanowskiego do Leona Hebrejczyka wykazując zależność twórcy *Trenów* od jego poglądów na Boga, świat i człowieka w elegiach łacińskich (III 14, IV 3), jako też na koncepcję miłości w *Dziewosłębie* i elegiach łacińskich (I 8, II 3, III 16). Autor na razie kwestji całej o stosunku Kochanowskiego do Leona Hebrejczyka nie wyczerpał zapowiadając dokładniejsze jej jeszcze opracowanie. Hipoteza o wpływie Leona Hebrejczyka na Kochanowskiego jest

należycie uzasadniona. Ze względu na ten właśnie wpływ nadał autor rozprawie swej tytuł: *Jan Kochanowski und das Judentum* (por. s. 21 n).

Znikomy jest wpływ Nowego Testamentu na twórczość Kochanowskiego (por. s. 94, uw. 2, s. 117, uw. 227). Charakterystyczne też, że w sprawie żydowskiej Kochanowski nie wypowiedział się (por. s. 129, uw. 47).

Autor wyzyskał w pracy swej z wielką sumiennością dostępną mu literaturę o Kochanowskim, rzecz zaś całą opracował metodycznie, nie szczędząc ciekawych uwag zarówno w tekście samym rozprawy jako też w licznych uwagach (s. 88—129). Witając tę pierwszą pracę autora z radością, jako cenny przyczynek do literatury o Kochanowskim, wyrażam życzenie, by autor nie zaprzestał studiów nad Kochanowskim i w najbliższym czasie ogłosił zapowiedziane w rozprawie uzupełnienia i dalsze przyczynki.

Lwów *Wiktor Hahn*

Janów Jan: *Sebastiana Piskorskiego „Żywot Barlaama i Jozafata"* wydał i wstępem poprzedził... (Zabytki piśmiennictwa polskiego VI), Lwów 1935, Towarzystwo Naukowe, stron CCVIII i 322.

Miśkowiak Jan: *Ze studiów nad „Sowizdrzałem" w Polsce.* (Poznańskie T-wo Przyj. Nauk VIII 4), Poznań 1938, stron 132, 2 tabl.

Z zadowoleniem podnieść trzeba fakt, że prace nad dziejami naszego romansu, a więc z natury rzeczy komparatystyczne, idą u nas naprzód mimo niesprzyjającej atmosfery, która wyraża się zazwyczaj w cierpkim zdziwieniu, że zaniedbuje się dla nich zagadnienia „ważniejsze". Zadowolenie to wzrasta, gdy się zważy, że autorzy tych prac posługują się narzędziami badań coraz bardziej precyzyjnymi, dzięki czemu nie tylko uzupełniają swymi studiami bogaty dorobek nauki zachodnio-europejskiej, ale go niejednokrotnie znacznie powiększają. Świadczą o tym wymownie studia prof. Janowa o *Barlaamie i Jozafacie* oraz dra Miśkowiaka o *Sowizdrzale.*

Pierwsze z nich, poświęcone najosobliwszemu z „romansów duchownych", bo biografii Buddy, schrystianizowanej do tego stopnia, że stała się ona ważną pozycją w dziejach hagiografii europejskiej, uwzględnia zdobycze najnowszych prac nad *Barlaamem i Jozafatem*, takich jak książka znanego orientalisty angielskiego E. Budge Wallis'a (*Baralam and Yewasef*, 1923) i jak gruntowne dociekania z *Analecta Bollandiana* P. Peetersa (*La première traduction latine de Barlaam et Ioasaph*, 1931), by i do nich. i do wyników rozpraw dawniejszych dorzucić rezultaty studiów samego autora nad wersjami romansu słowiańskimi (wśród nich nieznanymi polskimi) oraz rumuńskimi. Jedna z tych nieznanych polskich, wydobyta z foliału Jana Piskorskiego *Żywoty ojców albo dzieje i duchowne powieści* (1688), stała się dla Janowa pretekstem do ogłoszenia omawianego studium, stanowiącego ogromny wstęp do owej reedycji, bardzo starannej, ale może niekoniecznej, osobiście bowiem

wolałbym widzieć przedruk rymowanego *Królewicza indyjskiego* Kuligowskiego aniżeli wersję prozaiczną tak pozbawioną walorów literackich, że z powodzeniem poprzestać by można na jej dokładnej charakterystyce, co najwyżej zilustrowanej niedużymi próbkami.

Wracając do owego rzekomego wstępu, dwie jego pozycje zwracają przede wszystkim uwagę. Janów tedy streszcza wywody Peetersa, stawiające na głowie to, co się dotychczas o *Barlaamie* mówiło; w ich świetle wersja grecka romansu, przypisywana św. Janowi z Damaszku, niezwykle ważna jako podstawowe źródło jego znajomości w Europie, wyszła nie w VIII w. z syryjskiego klasztoru św. Sabby, lecz w dwa wieki później z góry Athos jako próba obrony przeciw fiskalnej polityce cesarstwa bizantyjskiego. Ta grecka apologia życia ascetycznego powstanie swe zawdzięcza zapewne wersji gruzińskiej, gruzińska arabskiej, arabska zaś powstała na gruncie jakiejś redakcji pehlewijskiej. Tak w przybliżeniu wyglądają bardzo prawdopodobne dzieje budującej księgi buddyjskiej przed momentem jej wkroczenia w świat kultury europejskiej.

Sam zaś Janów omawia po raz pierwszy włączone do dziejów powieści jej warianty polskie, a zna ich, od Skargi począwszy, przeszło tuzin, z nimi zaś łączy znaną wersję białoruską, drukowaną w Kuteinie 1637, przez uczonych rosyjskich poczytywaną za produkt oddziaływania literatury bizantyńskiej. W świetle bardzo przekonywających wywodów Janowa wersja ta zrodziła się na gruncie sporów i polemik religijnych, sięgających unii brzeskiej. Równie ciekawe i przekonywające są uwagi autora o przekładzie rumuńskim Nasturela (1648), mylnie wiązanym z wersją kuteińską.

Praca imponująca i swoim zasięgiem, i precyzją w stawianiu i rozwiązywaniu zagadnień, ma jednak pewne, nieuniknione w tego rodzaju studium niedomagania. Jedno z nich, odziedziczone po nauce rosyjskiej, to nadmierna płynność wywodów, powtarzanie pewnych partii, choć może dzięki temu autor unika niejasności organicznie związanej z każdą próbą zwięzłego przedstawienia zagadnień z zakresu komparatystyki. Inne, to sprawa sławnych apologów, które krążyły przez całe wieki w oderwaniu nieraz od samego romansu. Autor sam zdając sobie sprawę, że stąpa tu po gruncie mało dotąd zbadanym, nie zawsze szczęśliwie rozwiązuje napotkane trudności. I to nie tyle w zakresie wyczerpania materiału — co wymagałoby bardzo specjalnych studiów, jest bowiem przecież kwestią czystego przypadku odnalezienie w *Sfinksie* (1908, 3,347) *Sonetu* Stefana Popowskiego („Więzień, uchodząc strażom, osunął się z perci"), sonetu, który stanowi najnowsze opracowanie słynnej paraboli o człowieku ściganym przez jednorożca, — ile w zakresie zagadnień i genetycznych, i terminologicznych. Tak więc bajkę o psie na weselu wiąże on z Ezopem, choć zdaniem Wesselskiego mówić tu należy raczej o jej wschodnim pochodzeniu. Podobnie niezupełnie przekonywająco brzmią wywody autora na temat wyrazu „przypowieść", wyraz ten bowiem od czasów najdawniejszych znaczył u nas tyle co „bajka". był więc odpowiedni-

kiem „fabula“ i Piskorski nie bez racji dał mu synonim w postaci „paplanina“. Skoro zaś już o kłopotach słownikarskich mowa, dodam, że „wyłęmować“, uznane za osobny wyraz, to zwykła omyłka druku zamiast „wyłąmywać“, gdzie nosówka pojawiała się w pisowni tradycyjnie od w. XVI.

Praca druga, o *Sowizdrzale*, w dziedzinę komparatystyki wkracza tam, gdzie autor ustala związki między najstarszymi wersjami tej „powieści“ u nas a jej źródłami niemieckimi i okazyjnie referuje poglądy najnowsze na powstanie *Eulenspiegla*. Pisząc o *Sowizdrzale* przed kilku laty, poglądami tymi się zbytnio nie przejmowałem, bo nie było czym, i w dalszym ciągu zajmuję dawniejsze stanowisko. Być może, że istniał jakiś wesołek Eulenspiegel, i być może, że jego figle stały się ziarnem, z którego biografia błazeńska wyrosła, w większości jednak wypadków kawały Sowizdrzała należą do repertuaru facecji powtarzanych przed w. XV, genezy więc biografii poszukiwać należy w tradycji literackiej, a nie w historii. Nawiasem dodam, że pewne koncepty Sowizdrzała należą niewątpliwie do nie zbadanej dotąd przez nikogo kategorii „sytuacji życiowych“, a więc wydarzeń, przy których nie podobna rozstrzygnąć, czy nie rodzą się one spontanicznie. Dla przykładu wskażę humorystyczną wiadomość dziennikarską (wydrukowaną w krakowskim IKC 1934, nr 167) o *Testamencie złośliwego włóczęgi*, wisielca, w którego kieszeni znaleziono kilka koron (rzecz miała wydarzyć się na Morawach, nazwisko denata podane) i testament, przeznaczający pieniądze ojcom miasta pod warunkiem, że spełnią ostatnie, a niezupełnie parlamentarne życzenie drapichrusta. W *Sowizdrzale* czytamy tę samą historyjkę (56) jako przygodę błazna w Lubece, jej zaś prototyp odnaleźć można w zbiorach łacińskich od *Eulenspiegla* starszych, takich choćby jak *Gesta Romanorum*.

Znaczenie pracy dra Miśkowiaka leży zresztą w innej dziedzinie; daje on mianowicie rezultaty wnikliwych badań nad kolejnymi wydaniami starej książeczki od początków w. XVI po dni dzisiejsze, przy czym wśród edycji dawnych, powiększonych nowymi znaleziskami, zaprowadza porządek i ustala ich kolejność, edycje zaś z w. XIX i XX systematyzuje i klasyfikuje. Rzecz to tym donioślejsza, że edycje nowe należą do zakresu literatury straganowej, dzięki czemu większość ich jest bibliograficznie nieuchwytna. Dość powiedzieć, że autorowi nie udało się odnaleźć ani jednej pozycji drukowanej w Wadowicach przez Foltyna, a trudno przypuścić, by wśród wydawnictw tej firmy *Sowizdrzała* akurat nie było.

Autor wreszcie wspomina mimochodem o znaczeniu biografii Sowizdrzałowej w naszej tradycji ustnej. Osobliwością tej tradycji, godnej bliższego zbadania, jest przenoszenie na Sowizdrzała kawałów najrozmaitszego pochodzenia, a nie zawsze dających się zidentyfikować. Tak więc opowiadać musiano u nas kiedyś o psocie wyprawionej przez Sowizdrzała matce, Siemieński bowiem pisze o prawdziwie zakazanej drodze, po której tylko Sowizdrzał mógłby matkę swoją wozić (*Wieczornice* 1854, 2, 54). W Lubelskiem znowuż

opowiadano facecję, znaną zresztą i na Rusi, o tym, jak Sowizdrzała z choroby wyleczyła kobiecina, której on niegdyś powierzył magiczną formułkę „pomoże nie pomoże, a ty zapłać mi, nieboże“. Spodziewać się wolno, że przygotowywana przez dra Miśkowiaka edycja krytyczna *Sowizdrzała* przyniesie niejeden nowy wariant ludowy i w ten sposób przyśpieszy realizację studium nad *Sowizdrzałem* w Polsce, do czego autor rozprawą omawianą stworzył gruntowny fundament.

Warszawa *Julian Krzyżanowski*

Centre d'études polonaises de Paris. Claude Backvis: *Un grand poète polonais du XVIII-e siècle, Stanislas Trembecki. L'étrange carrière de sa vie et sa grandeur.* Paris 1937, Bibliothèque Polonaise. Stron 283, 1 tabl.

W książce Louis Réau: *L'Europe française au siècle des lumières* (A. Michel, 1938) jedna kartka usiłuje zdefiniować udział Francji w kulturze literackiej Polski oświeconej. Kartka jest chuda i doskonale powierzchowna, nie ma też na niej — Stanisława Trembeckiego. Zagadnienie porównawcze, ujęte poza materiałem, oddał autor czytelnikom i następcom. Można zgadywać, że poeta *Zofiówki* wejdzie bodaj do drugiego wydania tej *L'Europe française* dzięki monografii p. Claude Backvis'a. Ale studium *Stanislas Trembecki* otworzy najpierw polski historyk literatury: pisarz wielkiego pokolenia, badany przez obcego komparatystę, czy utrzyma „drążkowe krzesło“, na którym siedzi w Polsce dłużej niż stulecie? Możliwość konfrontacji metod i wyników czyni książkę p. Backvis'a zjawiskiem cennym i pożądanym.

Wystarczy spojrzenia na biografię Trembeckiego w *Literaturze* Korbuta, by dostrzec wszystkie znaki zapytania, na które brakło dotąd odpowiedzi. Nie pomnożywszy materiału poprzedników p. Backvis dyskutuje nad datami i faktami, wiąże ich chronologię i pragmatykę. Trafna a surowa krytyka legendy barwiącej pierwszy pobyt Trembeckiego w Paryżu (ok. 1759—63) rozproszyła dawną tradycję, bałamutną co się zowie. Nie udało się przecież autorowi odnaleźć do tych lat żadnej wskazówki biograficznej w źródłach francuskich. Równie jak ten wynik negatywny zaciekawia ocena drugiej podróży paryskiej Trembeckiego, o znaczeniu kluczowym dla formacji poety. Ku schyłkowi r. 1768 wchodzi w to życie pełne talentu Stanisław August: wydarzenie wielkiej wagi dla literata dworskiego i jego monografisty. P. Backvis zbliża króla i „Pitagorasa“ stosunkiem przyjaźni, nie układnego szambelaństwa, oraz dowodzi konsekwentnie obecności myśli i polityki królewskiej w inspiracji i pisarstwie Trembeckiego. Co więcej, bywalec czwartkowy, bliski „świadek i obrońca dzieła“ monarchy, dopiero w tym aspekcie historycznym zyskuje w ujęciu p. Backvis'a wymiar należyty. Konstrukcja podobna wymagała tła dla osadzenia ludzi: autor z dużą starannością dobywa rysów epoki, dysponuje swobodnie materiałem obyczajowym. Niespokojna linia polityczna czasu, obraz

dwu pokoleń stanisławowskich w służbie programu oświecenia — te właśnie elementy wieku objaśniają aktywność literacką Trembeckiego. (Z uwag nawiasowych najciekawsza może charakterystyka porównawcza prądów oświecenia w Polsce i w Rosji, s. 60—61, charakterystyka Warszawy, s. 64—65). Kreślone z upodobaniem plany dalsze książki, pełne figur epizodycznych, przetkane — jak to u pisarza francuskiego — dobrą anegdotą, wtajemniczą obcego czytelnika w polski wiek XVIII. Trzeba przecież powiedzieć, że realia epoki, zbyt szeroko opowiedziane, choć i dla komentarza życia i twórczości, mącą jednak to studium — o poecie.

Wzorowy artykuł o Trembeckim w niedawnym tomie „T“ Estreichera uporządkował puściznę, ledwie częściowo oddaną drukowi, w pewnej zaś liczbie znajdującą się między rękopisami wszystkich bodaj bibliotek polskich. Zagadnienie tekstu Trembeckiego komplikuje nadto złożony problem autorstwa, zrozumiały u pisarza, który rad mistyfikował współczesnych. P. Backvis parokrotnie przedyskutowuje w książce autentyczność wierszy szambelańskich (polemika z prof. Kolbuszewskim o *Rozmowę Bartka i Maćka* przekonywa, s. 71; ciekawe, choć bez konkluzji, uwagi autora z powodu *Nagrobka kmiotka*, s. 108). Ale ustalenie w szczegółach kanonu dzieł Trembeckiego czeka jeszcze na cierpliwego badacza, który powoła i rozważy świadectwo rękopisów. P. Backvis nie określiwszy w druku swego stosunku do zasobów rękopiśmiennych poddał subtelnej analizie teksty Trembeckiego, by tak rzec, klasyczne.

Twórczość ta, pokazana z kolei na tle kierunków, zależności i postaci literackich epoki, ułożyła się autorowi w pewne zespoły, zwarte historycznie lub ideowo: *La nouvelle cour* (III), *Sur les traces de Voltaire* (IV), *L'absolutisme éclairé* (V), *Le slavophilisme polonais* (VI), *Dans les salons et les jardins* (VIII)... W ten sposób pisarstwo powiązane z życiem i współczesnością Trembeckiego, choćby wbrew zasadzie kompozycyjnej książki, ujawniło niektóre swe nowe aspekty. Rozważone obszernie wystąpienia polityczne poety gruntują tezę autora o współpracownictwie szambelana w dziele królewskim. Cenną partię książki stanowi analiza fragmentów historiografii i historiozofii Trembeckiego, ich podstaw myślowych i konsekwencyj (wpływy na Naruszewicza, udział pośmiertny w kształtowaniu teorii Lelewela). Wysoka kwalifikacja możliwości naukowych Trembeckiego (s. 171) nie jest przeto gołosłowna. Dochowana skąpo proza nie przysłoniła poety. Ocena ćwiczeń przekładowych została słusznie pojęta jako dyskusja kunsztu formalnego. Klucz analizy zawiera, jak się zdaje, pogląd nawiasowy, uderzający trafnością: „C'est dans les pièces composées par caprice que l'individualité artistique de Trembecki apparaîtra avec le plus de sincérité“ (s. 197). Z założenia ogólnego książki wyniknął tryumf, uzasadniony przenikliwie, mistrza bajki, listu poetyckiego, drobnego poematu opisowego. Konsekwencją tegoż stanowiska okazało się wyniesienie *Powązek* nad *Zofiówkę*. Szeroka skala porównawcza, bezstronność trudna do zakwestionowania, która równa

Trembeckiego i La Fontaine'a (s. 198), pogotowie sceptycyzmu i entuzjazmu, niemal zawsze w oparciu o materiał — wszystko to wyrażają uwagi marginesowe, komentujące typ wyobraźni i sztukę szambelańską. Służy jej paralela antyczna (s. 116: ocena antyku Trembeckiego), najczęściej francuska, literacka i malarska. Szczegóły analizy układają się według linii syntetycznej, która z pisarstwa Trembeckiego dobywa charakter optymizmu w. XVIII, kształtujący poezję wbrew rzeczywistości (zob. uwagi z powodu *Zofiówki*). Temu kierunkowi studium towarzyszy równolegle, choć na innym terenie, rehabilitacja patriotyzmu poety: p. Backvis osadza rusofilstwo Trembeckiego bądź w racji stanu epoki (jak politykę królewską), bądź też historycznie, w środowisku i w „klimacie" czasu. Niezależnie od słuszności podobnej metody (zwłaszcza w jej drugim wariancie) musi sam autor omawiać postawę polityczną Trembeckiego słowami: „Il est étrange", „Ce qui est un peu fort" itd. W rezultacie studium p. Backvis'a jest ważnym etapem na drodze ku monografii literackiej o Stanisławie Trembeckim.

Ze szczegółów, które wymagają doraźnego sprostowania, romans *Polak w Paryżu* nie jest na pewno dziełem Stanisława Augusta (s. 209). Autor pozyskał orientację w stanie badań polskich nad Trembeckim, jego polemiki okazyjne wydają się słuszne i sprawiedliwe. Ależ nie podobna, jak czyni to p. Backvis (s. 275, także poprzednio), uznać artykułu Woronieckiego z r. 1913 za przełomowy w krytyce o poecie oraz lekką ręką potraktować Gomulickiego jako „un journaliste" (s. 176), z powodu niefortunnego oczywiście pomysłu o „polskim Tołstoju". Znajomość polszczyzny autora, sięgająca analizy gwary i znaczeń indywidualnych, zawodzi bodaj tylko raz (por. zarzut uczyniony poecie: s. 155, przyp. 3). Ze zdziwieniem przeto spostrzega czytelnik niestaranność tekstów polskich, zwłaszcza w książce, której patronowała poważna instytucja naukowa. Nad wszystkimi potknięciami się zecerów unosi parokrotnie twarz umęczoną żona tragiczna Szczęsnego Potockiego, Mlle Komorowskówna.

Paryż *Tadeusz Mikulski*

Juliusz Kleiner: *W kręgu Mickiewicza i Goethego*, Warszawa 1938. Tow. wyd. „Rój". Stron 290.

Każda książka Kleinera jest zdarzeniem dużej wagi w polonistyce. Niektóre nazwano wprost klasycznymi, gdyż ich wyniki nie mogą podlegać żadnej dyskusji. Szerokość horyzontów, głębię myśli, subtelność analizy, zwięzłość stylu osiągają również w najnowszej książce w godnym pozazdroszczenia stopniu. Niekiedy zdaje się, że mamy do czynienia z dziełem sztuki, gdyż styl, niejednokrotnie raczej aforystyczny, pociągający w swej prostocie, wyrazisty i lekki, pozwala doznawać też pewnego przeżycia o charakterze estetycznym. Indywidualność badacza, który przeżył wnikliwie zagadnienia, o których rozprawia, rysuje się wydatnie.

Interesuje się ten badacz nie tylko sprawami związanymi z Goethem lub Mickiewiczem. Rozstrzyga też w sprawach obchodzących historyków, systematyków i teoretyków literatury, jak przed laty, gdy mówił o romantyzmie, o fikcji intelektualnej, o treści i formie, o analizie dzieła, o charakterze i przedmiocie badań literackich i bronił indywidualizowania w badaniu. Teraz kontynuuje niejako swe badania, z których jedne mają charakter jakby syntetyczny, drugie analityczny. Godne uwagi są więc przede wszystkim jego spostrzeżenia na temat niepopularności poezji, a popularności powieści polskiej w świecie. Głęboko uzasadnia Kleiner przyczyny wielkości Mickiewicza. Widzi je w jego stosunku do romantyzmu, w rozwiązaniu antynomii antyspołecznego indywidualizmu i społecznego solidaryzmu, w przeniesieniu romantycznego tytanizmu na grunt realizmu, w wielkości etyki. W Goethem znajduje on znów wyniesienie nieheroicznej współczesności na piedestał epicki, spojenie duszy człowieka z duszą krajobrazu, walkę racjonalizmu ze zmysłem tajemnicy, dążenie do wyrozumienia wszystkiego i rzecznictwo ewangelii natury i prawa jednostki, pragnienie doskonałego człowieczeństwa.

Niezwykle cenne jest to, co mówi Kleiner, mimo tylu uwag Volkelta, Schelera i innych, o roli tajemniczych sił w tragedii antyku i czasów nowych, o treściowym i literackim dorobku Krasickiego, w którym było wielkopańskie poczucie dostojeństwa słowa, o antyromantycznej postawie Fredry, o przeżywaniu związku z życiem nadindywidualnym Kasprowicza. Zgodnie ze stanowiskiem teoretyków zachodu broni Kleiner odrębności poznania humanistycznego, samoistności, organiczności, immanentnej logiki dzieła literackiego, w którym to, co jest indywidualne, stanowi temat do rozwiązania dla badacza. Umiejętnie wnika w istotę dzieła, które można badać jako źródło dla poznania epoki, choć nie będzie to badanie literackie. Przekonywająco zwalcza formalizm z powodu tezy, że zespół środków ekspresji wyczerpuje zawartość poetycką, choć sprzeciwia się i poglądowi, który widzi w dziele dokument metafizyczny. Jest to nad wyraz słuszne, gdy myślimy, co formalizm uczynił z pisarzy takich jak Prus, u których zawartość stała na pierwszym planie, albo metafizycyzm z poetów takich jak Kasprowicz, który tworzył poemat o Waligórze w duchu ludowym, a nie zamyślał wcale o żadnych symbolach o charakterze metafizycznym.

Trzeba czuć wdzięczność dla Kleinera za wyróżnienie historii literatury od systematyki i teorii, za podkreślenie potrzeby myśli o całości literatury jako czegoś organicznego, za wskazanie, że podstawowym ugrupowaniem jest literatura narodowa, choć istnieje i literatura powszechna, ujmowana jednak inaczej, niż czyniono to dawniej. Nieodparte są też jego uwagi na temat elementów oceny dzieła albo roli czasu w rodzajach literackich, albo wreszcie przewagi techniki w nowej sztuce filmowej i możliwości nowej estetyki. Tyle się już czytało o tych sprawach u Ermatingera, Mahr-

holza i innych. A jednak spostrzeżenia Kleinera rzucają znów nowe światło na te zagadnienia. Nie ma w nich żadnego aprioryzmu czy doktryneryzmu. Nie ma i negatywizmu, który objawia się szczególnie u młodszych, a polega na likwidowaniu wszystkiego, co nie od nich pochodzi, względnie na widzeniu u starszych tego, czego oni nie mieli wcale na myśli. Czy przy takich założeniach może być mowa o współpracy i lojalnej atmosferze w państwie polonistyki? Mistrzowskiej ręki Kleinera trzeba było, by postawić jasno i zwięźle pewne zagadnienia. Za tym, co on mówi, kryje się ogrom przemyśleń, udostępniony tu każdemu, małomówny i jakby nieśmiały. Jakżeż to wszystko odbija od tupetu generacji powojennej! A jednak wszystko zrywa tu z szablonem, z tradycją, z tezami ustalonymi. Kompilacyjnego geniuszu nie posiada Kleiner wcale. Natomiast ma niezmierne bogactwo myśli, zawarte w pełnym dyskrecji i umiaru stylu.

Poznań *Tadeusz Grabowski*

Konrad Górski: *Literatura a prądy umysłowe.* Studia i artykuły literackie. Warszawa 1938. Tow. Wyd. „Rój". Stron 315.

Dzieje literatury w pojęciu prawdziwie naukowym są w równej mierze historią form literackich, motywów, środków wyrazowych, jak historią poglądów na świat, postaw życiowych, czy to jasno skrystalizowanych w kształty artystyczne, czy mgławicowo tkwiących w strukturze tworu literackiego.

Ten właśnie drugi, ideologiczny teren literatury pociąga najbardziej prof. Konrada Górskiego i niekiedy u podstaw jego pracy badawczej tkwi osobista walka o pogląd na istotę i zadania życia, walka o religijne, chrześcijańskie zbliżenie się do jego tajemnicy i o aktywny stosunek względem wartości duchowych. Świadczy o tym i pierwsza jego książka (*Pogląd na świat młodego Mickiewicza*), i monografia o arianinie Grzegorzu Pawle z Brzezin, i najbardziej może studium o głębokim, częstokroć tragicznym wielkim pisarzu katolickim Mauriacu. Niemniej wyraźnie mówi o tym zbiór studiów i artykułów z lat 1921—1936, zjednoczonych w wydanym niedawno tomie pod tytułem odpowiadającym wstępnej rozprawie teoretycznej: *Literatura a prądy umysłowe.*

Na ich czoło wysuwają się powagą przemyślenia i znaczeniem tez rozwiniętych trzy rozprawy: *Racjonalizm i mistyka w Improwizacji Konrada* (1922), *Zagadnienia etyczne w polskiej literaturze ariańskiej XVI wieku* (wykład habilitacyjny, wygłoszony w r. 1929) i *Żeromski a katolicyzm* (1934).

Potężny wybuch romantycznego natchnienia i buntu, jakim jest wielka Improwizacja, nic w sobie nie ma z romantycznej bezkształtności, nic z nieokreśloności i mglistości romantycznej. Imponuje logiką kompozycji, zdumiewa jasnością i konsekwencją rozumowania. Tę właśnie konsekwencję logiczną myśli wydobywa K. Górski i w sposób równie przekonywający jak niespodziany wykazuje, że linie intelektualne Konradowego przeżycia, wysnuwają-

cego się z doznań mistycznych, noszą wyraźne piętno — racjonalizmu. Racjonalistyczny jest protest przeciw bezzasadnemu cierpieniu, racjonalistyczne jest przekonanie o możliwości uszczęśliwienia zupełnego ludzi. Potępienie Konrada — to potępienie uroszczeń rozumu pragnącego wniknąć w zagadki Boga i świata, potępienie wysiłku rozumowego pragnącego dociec sposobu ratowania narodu. Jak pierwszy manifest płomienny romantyzmu, *Oda do młodości*, tak również Improwizacja silnie tkwi korzeniami — w wieku oświecenia.

To wskazanie trwałości racjonalizmu w ewolucji duchowej Mickiewicza jest słuszne i bardzo ważne. Ale dodać należy, że pojęcie Improwizacji jako ostatecznego przezwyciężenia racjonalizmu zbyt ją upraszcza. Inne jeszcze krzyżują się w niej postawy, inne jeszcze ideologie zostają przekreślone [1].

W toku wnikliwej analizy wywodów i doznań Konrada dwa nasuwają się zastrzeżenia. Badacz interpretując słowa o iskrze i chwilce, twierdzi, że „iskra to treść świadomości duszy znajdującej się w stanie twórczej ekstazy“. Zacieśnienie takie pojęcia nie odpowiada słowom Konrada, który zgodnie z tradycjami mistycznymi istotę duszy w ogóle określa jako iskrę. Omdlenie Konrada ma być skutkiem ingerencji Bożej: „Bóg w ostatniej chwili powstrzymał pęd Konrada i strącił grzesznika w otchłań“. Tekst poematu nie uzasadnia takiej tezy — chyba o ingerencji duchów dobrych można by myśleć; ale upadek bohatera dostatecznie się tłumaczy logiką jego własnego zgubnego rozmachu: „Gwiazdo spadająca! Jaki szał W otchłań cię strąca!“

Ideologii Mickiewiczowskiej poświęcona jest też rozprawa o *Panu Tadeuszu*. Przez pewien czas genezę epopei tłumaczono jednostronnie dążeniem poety, by uciec od rzeczywistości emigracyjnej. Temu poglądowi — opartemu zresztą na własnych słowach twórcy w „Epilogu“ — przeciwstawił się już w r. 1905 Zygmunt Wasilewski wskazując, że właśnie chęć skierowania emigracji do źródeł ducha narodowego wpłynęła na powstanie poematu. Torem tym dalej poszedł samodzielnie Konrad Górski uwydatniając zgodność *Pana Tadeusza* z ideami *Ksiąg narodu i pielgrzymstwa* i artykułów politycznych. Z przedmowy autora do tomu całego wynika, że modyfikuje dziś tezy tej rozprawy. Istotnie, zbyt kategoryczne jest twierdzenie, iż *Tadeusz*, *Księgi* i artykuły to po prostu różne sposoby wyrażenia tych samych ideałów. Zapewne — ideały nie zmieniły się; ale w miejsce apoteozy rodaków epopeja kreśli ich wizerunek z miłującym krytycyzmem.

Na inne tory wstępuje rozprawa *Mickiewicz jako historyk i krytyk literatury czeskiej*. Omawia ona naukowy charakter prelekcji paryskich, który w r. 1934 miał tak wyraziście uwydatnić Joseph Bédier w przemówieniu podczas paryskiej uroczystości mickiewiczowskiej. Wymienia źródła, z których Mickiewicz czerpał

---

[1] Kwestie te omówię w tomie II monografii o Mickiewiczu.

wiedzę o literaturze czeskiej (częściowo już wskazane przez czeskich badaczy), i obiektywnie ocenia jego sądy „może niedostateczne z naukowego ściśle punktu widzenia, ale zupełnie zrozumiałe — z ideowego“.

Z monografią o Grzegorzu Pawle z Brzezin łączy się organicznie studium poświęcone *Zagadnieniom etycznym w polskiej literaturze ariańskiej.* Celem jego ustalenie, że uznawanie arian polskich za pionierów skrajnej etyki ewangelicznej dotyczy tylko zborów małopolskich (rakowskiego i lubelskiego) w krótkim stosunkowo okresie czasu. Cały zaś problemat etyki ariańskiej rzuca autor na szerokie tło renesansu przyjmując pogląd tych historyków, którzy w idei odrodzenia moralnego chcą widzieć jego istotę.

Przemawiające w tym studium zrozumienie samoistności spraw religijnych i etycznych dyktuje uwagi polemiczne artykułu *W poszukiwaniu syntezy reformacji w Polsce.* Próbie wyjaśnienia wzrostu i upadku reformacji w Polsce metodą materializmu dziejowego (w ciekawej rozprawie M. Wajsbluma) przeciwstawia Górski i argumenty rzeczowe, i sąd ogólny, że „ktoś ignorujący istotę zjawisk i zagadnień religijnych nie może być historykiem ruchu religijnego“. Konrad Górski istotę zjawisk religijnych rozumie i czuje głęboko. To pozwala mu i religijny charakter *Księgi ubogich* ująć wyraziście — i ukazać prawdziwe oblicze religijnych niepokojów i tęsknot Żeromskiego, któremu nie starczyła religia humanitaryzmu.

Wyrazistość w ukazywaniu problematów istotnych jest cechą znamienną studiów Górskiego. Nadaje ona wartość i charakterystyce Malczewskiego, „największego poety tęsknoty“, i uwydatnieniu oryginalności, jaką w „Nie-Boskiej komedii“ imponuje ukazanie przekleństwa moralnego poezji, i przypomnieniu prawnika Węgrzeckiego, co Stanisławowi Kostce Potockiemu sekundował w walce z obskurentyzmem, i pięknym wywodom na temat *Idei Polski w twórczości Żeromskiego* — i dopełniającym tom szkicom o powieściach Conrada-Korzeniowskiego.

Obiektywność badacza bystrego łączy się w tych studiach z wyraźnym, chociaż nie narzucającym się nigdy tonem osobistym. Słychać go dobitnie w ostatnim zdaniu szkicu o tragicznym bohaterze Conrada, o Lordzie Jimie — w zdaniu o ludziach w świadomym trudzie pragnących zdobyć „moralnie zobowiązującą prawdę“.

Lwów *Juliusz Kleiner*

Stefan Kawyn: *Ideologia stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza 1890—1898.* Badania literackie, tom X. Lwów 1937. Stron 6 nlb. i 244.

Nie ulega wątpliwości, że twórczość literacka wielkich pisarzy wywiera wpływ na kształtowanie życia, myśli i ideałów pokoleń. Ów ścisły związek, korelacja słowa poety z życiem zbiorowości występuje nawet w takich okresach literatury, w których odrzeka się ona wpływu na społeczeństwo wyznając hasło „sztuka dla sztuki“.

Cóż dopiero, gdy zawartość dzieł pisarza tętni krwią narodu, gdy autor wielkiego talentu świadomie służy temu wszystkiemu, czym naród jego żyje i oddycha. Nie będzie błędem, jeśli stwierdzimy, że mieli swoje pokolenia Sienkiewicz, Wyspiański, Żeromski, że wymienimy dla przykładu tych trzech, którzy formowali dusze polskie w ostatnich latach niewoli — do chwili wyzwolenia państwa.

Jeżeli jednak i ci twórcy, i szereg innych mieli tylko swoje pokolenia, bo każdy następny okres przejawiał się schyłkiem kultu poszczególnych pisarzy i poddaniem się — koniecznym ze względu na tok życia — komuś innemu „aktualniejszemu", nie da się zaprzeczyć, że jeden jedyny poeta Polski niewolnej doczekał się zaszczytu nieustającej aktualności i najwszechstronniejszego wpływu na wszelkie czasy polskie i na wszystkie polskie partie polityczne. Był nim — Adam Mickiewicz.

Badania kultu tego wieszcza podjął się Stefan Kawyn w książce: *Ideologia stronnictw politycznych w Polsce wobec Mickiewicza 1890—1898.*

Autor wziął za cel swych rozważań ośmiolecie polskiego życia politycznego, od chwili sprowadzenia zwłok Mickiewicza na Wawel (1890), do setnej rocznicy urodzin poety (1898).

Wychodząc od momentu rozprószenia polskiej myśli politycznej po roku 1863 stwierdza Kawyn, że prawdziwe wartości ideowe wniosła w to życie młodzież opanowana romantycznym entuzjazmem *Ody do młodości*. Ona podjęła myśl sprowadzenia zwłok Mickiewicza z Francji, ona więc dała początek nowemu życiu młodego pokolenia pod znakiem ideałów wielkiego romantyka.

Książka Kawyna prowadzi czytelnika drogami, na których przejawiał się kult Mickiewicza od momentu wyprowadzenia jego zwłok z Paryża. Ukazuje akord wstępny tego kultu u socjalistów, gdy przemówienie Bolesława Limanowskiego nad trumną poety w Paryżu interpretowało dzieła Mickiewiczowskie zgodnie z ideałami socjalizmu.

W przedstawieniu pogrzebu krakowskiego, zaznaczywszy odmienność stosunku do poety ugodowców i młodzieży, wydobywa Kawyn najbardziej wartościowy — manifestacyjny, nie polityczny — udział chłopów, będący „jednym z pierwszych poruszeń masy ludowej do życia narodowego" (s. 54).

W rozdziale o znaczeniu politycznym pogrzebu Mickiewicza stwierdza autor fakt najdonioślejszy, że pogrzeb poety rozbudził jego powszechny kult, dał okazję wypowiedzi wszystkich poglądów politycznych i filozoficznych, skupił wszystkie siły narodu. Tak oto mówi Kawyn o znaczeniu uroczystości: „Zaczęto już wtedy rozumieć jasno jego wielkość i jego wpływ na organizowanie się świadomości i woli narodowej w Polsce. Już bowiem wtedy dojrzewało w umysłach niektórych zagadnienie Mickiewicza jako zagadnienie niepodległości państwa polskiego" (s. 65).

Pod wpływem poety rusza się świadomość narodowa Śląska, odradzać chce naród w duchu Mickiewicza Szczepanowski, aktu-

alizują twórczość wieszcza socjaliści polscy wydając nawet jego artykuły polityczne. Każdy ówczesny wysiłek narodu obiera sobie Mickiewicza za patrona.

Nową erę kultu poety, już wyrosłą na tle politycznym, rozpoczyna Kawyn rokiem 1898, w którym Warszawa postawiła Mickiewiczowi pomnik. Dzieje tego pomnika to jednocześnie dzieje polityki, zwłaszcza rozgrywek między trójlojalistami, Narodową Demokracją a Polską Partią Socjalistyczną, która w owym czasie, pod kierunkiem Piłsudskiego, odznaczyła się chlubną odwagą przekonań i bezkompromisowością względem zaborców.

Podobnie jak pogrzeb Mickiewicza skupił i uświadomił siły narodu, tak setna rocznica jego urodzin miała znaczenie polityczne. W każdej dzielnicy Polski słychać jej żywy oddźwięk, każda partia interpretuje poezję Mickiewiczowską po swojemu. W Królestwie Polskim staje się Mickiewicz sztandarem walki bojowców, w Galicji — inicjatorem organizacji społeczno-oświatowej, w zaborze pruskim — tarczą przed germanizacją i pobudką do pracy. Chłopi ujmują Mickiewicza jako poetę ludowego, socjalni demokraci jako socjalistę, emigracja polska jako poetę walki zbrojnej. Żądza walki zbrojnej jest najwyższym osiągnięciem kultu wieszcza.

Książkę swą kończy Kawyn doskonałym, jasnym rozdziałem syntetycznym, w którym stwierdza, że Mickiewicz był zjawiskiem wyjątkowym w zakresie wpływu na rozpowszechnienie się myśli niepodległej. Zrośnięty najistotniej z życiem narodu kształtował każdy etap jego rozwoju organizując świadomość narodową i państwową. Historia kultu poety w latach 1890—1898 to dzieje polskich przeobrażeń politycznych. Rok 1898 oznacza klęskę ugodowców, zwycięstwo wpływów PPS, bankructwo polityki „realistów". Kult Mickiewicza ma aspekty: geograficzny (zjednoczenie całej Polski poprzez granice zaborów), psychologiczny (kształtowanie się typów działaczy społeczno-politycznych) oraz ideologiczny (szukanie w twórczości poety wyrazu dla wszystkich ugrupowań ideowych). Źródłem tej siły Mickiewicza — twierdzi Kawyn — był fakt, że Mickiewicz był poetą wielkim. Jego słowo było korelatem czynu.

Książka Kawyna jest dziełem socjologiczno-literackim. Stanowi ona bardzo poważny dorobek w badaniu oblicza ideowego narodu polskiego od czasu pozornej klęski romantyzmu po roku 1863 — do chwili, w której obudziło się jasne, skrystalizowane, świadome pragnienie niepodległości państwa.

Główną zaletą dzieła jest operowanie materiałem faktycznym, dokumentarnym, ścisłym.

Co jednakże uderza najsympatyczniej, to fakt, że badacz kultu Mickiewicza ani razu nie „dopuścił się" interpretacji politycznej dzieł poety. Kierując się sympatią i szacunkiem dla postawy ideowej P. P. S. i S. D. obiektywnie oceniał metody tych partii, gdy naginały poezję Mickiewicza do swoich założeń partyjnych. Oto jak się wyraża Kawyn o broszurce S. D. przedstawiającej poetę jako socjalistę: „Metody, którymi starano się w broszurze tej do-

piąć celu, nie odbiegają od tych sposobów przedstawiania Mickiewicza, jakimi posługiwała się PPS w pracy Resa czy Wysłouchowa w swej monografii duchowej“ (s. 204).

Kawyn nie zapomina nigdy, że pisze książkę o reakcji narodu na dzieła poety, a pamięta stale, że twórczość Mickiewicza jest wartością całkowicie odrębną. Przekonaniu o tej odrębności daje wyraz niejednokrotnie, począwszy od przypomnienia, że Mickiewicz nie chciał miana nauczyciela (s. 90), a skończywszy na twierdzeniu, że poeta nieraz patronował obcym sobie ideologiom (s. 182).

Książka Kawyna daje rezultaty poważne; jest wynikiem dużej, uczciwej i godnej szacunku pracy.

Lwów *Janina Garbaczowska*

Trzpis Henryk: *Książka na czasie.* Studium o *Wacława Dziejach* Stefana Garczyńskiego. Kraków 1937. Stron XXIV + 316.

Ocena twórczości Garczyńskiego ulegała w ciągu lat zasadniczym zmianom; po entuzjastycznym sądzie, jaki o poezjach przyjaciela, a zwłaszcza o jego *Wacława Dziejach* wypowiedział Mickiewicz w wykładach o literaturze słowiańskiej, twórczość Garczyńskiego poszła niemal w zupełną niepamięć. W dziejach polskiego piśmiennictwa zamieszczano jedynie krótkie wzmianki o poecie; ustaliło się przekonanie, że twórczość autora *Dziejów Wacława* nie wniosła do poezji żadnych wartościowych pierwiastków, które zasługiwałyby na baczniejszą uwagę. Pewną próbę rehabilitacji poety podjął śp. Tadeusz Pini w studium *Stefan Garczyński, szkic biograficzno-literacki* (Przewodnik Naukowy i Literacki 1898); po tej drodze poszedł również Trzpis w omawianej pracy. Dlaczego ten tytuł *Książka na czasie*? Trzpis idąc za zdaniem Mickiewicza uważa, że głębia poematu Garczyńskiego, ubrana może w niezbyt szczęśliwą szatę zewnętrzną, nie została współcześnie należycie oceniona. Tymczasem chwila obecna, kiedy dominuje polityka narodowego egoizmu i zapędów ekspansywnych, prowadzi do wniosku, że w poemacie Garczyńskiego tkwi charakter proroczy, że *Dzieje Wacława* są jakby przeczuciem tego, co miały dać czasy późniejsze. Trzpis bierze do pomocy w argumentowaniu ogromny materiał naukowy, historyczny, filozoficzny, polityczny, by swoją tezę udowodnić; dłuższy rozdział wstępny, dający rzut oka na obecną sytuację polityczną, jest zbędny nie tylko dlatego, że z szeregiem poglądów autora nie można się zgodzić, ale i z tego powodu, że niejedna myśl poruszona w wstępie znalazła szersze omówienie w toku pracy. Dla Trzpisa Garczyński jest jasnowidzącym mistykiem rodu ludzkiego, odkrywającym nowe prawa nie tylko myślą, lecz i intuicją. „Garczyński zrozumiał i odmalował w swoim poemacie z niezwykłą plastyką tę prawdę, że dusza ludzka to bardzo bogaty i złożony mikrokosmos, że nie regularne funkcjonowanie rozumu, lecz swobodna, naturalna gra wszystkich zdolności duszy wytwarza ów daleko naprzód i wstecz sięgający wzrok, któryześrodkował w sobie

najgłębszą wiedzę i który nieustraszenie patrzy w głąb zagadki" (s. 291). Wedle autora zyskała poezja nasza w Garczyńskim potężnego intelektualistę, poetę-filozofa, który stanął przed swoją epoką, ogarniając szerokie horyzonty życia ludzkiego, który myślą krytyczną przeniknął świat otaczający, a bystrym wzrokiem jasnowidzącego proroka przejrzał świat przyszły, jest więc Garczyński, zdaniem Trzpisa — wieszczem nie tylko narodu, ale i ludzkości. Trzpis poddaje poemat Garczyńskiego bardzo dokładnej analizie głównej treściowej, — zdaje sobie bowiem sprawę, że „postać Wacława pochodzi z „fabryki filozoficznych dociekań, a nie z wizjonerskiej wyobraźni", wskutek czego forma zewnętrzna poematu gra w nim rolę drugorzędną. W utworze Garczyńskiego widzi autor nastawienie bojowe wobec filozofii Hegla i jego niedocenienia znaczenia uczucia w życiu ludzkim; autor *Dziejów Wacława* nie wierzy, aby na drodze filozoficznej spekulacji i eksperymentu można rozwiązać najwyższe zagadnienia życiowe, a przez to stwierdzić wszechwładzę rozumu. Trzpis sądzi, że Garczyński stawia w miejsce intelektualnej metody heglowskiej nową metodę poznania intuicyjną i widzi w niej zbieżność z zasadami głoszonymi przez Bergsona: pogląd Garczyńskiego, że tylko z syntezy rozumu i uczucia zrodzić się może świadomy czyn, ma wiele cech wspólnych z intuicjonizmem bergsonowskim. Wszak i wedle Bergsona, kwestionującego wartość myślenia analityczno-pojęciowego, istotę rzeczy można poznać jedynie przez zagłębienie się w sobie. Trzpis podkreślając analogie z nowoczesną filozofią pragmatyczną twierdzi, że *Wacława Dzieje* wprawiają w podziw nowym na świat poglądem i młodością filozofii. Obok rozważań na temat filozoficzny rozstrząsa Trzpis także zagadnienia historiozoficzne w związku z dziełem Garczyńskiego, zwalcza systematy totalne, będące wynikiem przewagi rozumowego na świat patrzenia.

Książka autora, który dał się dawniej poznać jako sumienny badacz twórczości Słowackiego i Krasińskiego, napisana żywo, obfitująca w szereg ciekawych spostrzeżeń, dowodząca głębokiej erudycji, jest nową na podłożu filozoficznym opartą próbą rehabilitacji poematu Garczyńskiego; czy autor zdołał czytelnika przekonać, — czy na podstawie książki Trzpisa młody przyjaciel Mickiewicza wejdzie w grono wieszczów, jak tego pragnął autor *Książki na czasie?* Mam wrażenie, że Trzpis celu swego nie osiągnął; argumentacja autora nosi zbyt silne piętno dostosowania jej do tezy z góry powziętej. Analogie, które wykrywa między pomysłami Garczyńskiego a współczesnymi teoriami, nie zawsze przekonują i nie upoważniają do wysnucia tak daleko idącego wniosku, jak to autor czyni. Niewątpliwie rzucił Trzpis na *Dzieje Wacława* dużo nowego, ciekawego światła, wykazał walory utworu, dotąd przemilczane czy nie dostrzeżone, nie zdołał jednak w pełni uzasadnić tezy postawionej na początku dzieła. Mimo ten negatywny wynik jest książka Trzpisa zjawiskiem interesującym, nie pozbawionym wartości.

Lwów *Kazimierz Kolbuszewski*

S t a n i s ł a w P i g o ń: *Zręby nowej Polski w publicystyce wielkiej emigracji* (Marchołt, t. IV, 1937, nr 1).

Bogate w zawartość czasopismo pod redakcją prof. Kołaczkowskiego pomieściło niedawno artykuł znakomitego krakowskiego mickiewiczologa, na który może nie zwrócono dość uwagi w prasie codziennej. A warto to uczynić, skoro ideologia wielkiej emigracji nie jest nam zbyt znana. Nie posiadamy przecież ani jej historii, która jest postulatem współczesnej nauki, ani nie orientujemy się w dziejach jej prasy, skoro wszystko, co dotąd wyszło, jest albo ułamkowe, albo zdawkowe. Lepiej przedstawia się już historia krytyki literackiej na emigracji, względnie obraz emigracyjnego mesjanizmu, który zyskałby niezmiernie na wyrazistości, gdyby nie śmierć niezapomnianego badacza polskiego mesjanizmu. Praca Pigonia rzuca pęk światła na sprawę emigracyjnej ideologii, co czyni spokojnie, sumiennie, obiektywnie. Sprawia to, że nie wyczuwamy żadnych wątpliwości na temat poruszonych tu zagadnień, za którymi nie kryje się żadna specjalna postawa polityczna lub społeczna.

Pigoń zaznacza we wstępie, że emigracja nie rezygnując z idei niepodległości musiała wytworzyć sobie pewną ideologię, która pozostawałaby w związku z nową sytuacją. Przerobiła tedy gruntownie problematykę politycznej, społecznej i duchowej struktury przyszłej Polski. A zatem, co do granic, nie rezygnowała bynajmniej z dawnych. Stanęła na starym stanowisku inkorporacji, a nie federacji lub autonomii regionalnych, o które tak walczono z pewnej strony po wojnie światowej. Co się tyczy ustroju społecznego, żądała usamowolnienia ludu, podniesienia go do szlachty, uwłaszczenia i reformy rolnej. Choć nie brakło ostrych różnic, demokracja emigracyjna poszła środkiem między obiema skrajnościami, by bryła narodu za sprawą uobywatelonego ludu zmieniła swą dotychczasową konsystencję.

Wierzyła też, że lud i szlachta to związane wspólnotą krwi plemiennej rodzeństwo. A w ludzie upatrywała plemienne cnoty narodowe, które pozwolą, by organiczny tok dziejów nie został załamany. Droga była emigracji i idea posłannictwa. Szeroko je ujęto utwierdzając jej nowy front na wschodzie i zachodzie. Pojęto zatem, że Polska musi odeprzeć germanizm, zasłonić Zachód przed dziczą, zachować rodzimy instynkt i obyczaje chrześcijańskie i lechickie. Wyhodowane na emigracji ideały przyświecały też kilku generacjom. Niektóre z nich są jeszcze żywe, skoro za inkorporacją oświadczyły się żywioły narodowe. I sprawa reformy rolnej poszła drogą środka. A posłannictwo dziejowe pozostało nietknięte jak arka przymierza między dawnymi a młodszymi laty... Interesująca i krzepiąca jest rozprawa Pigonia. Można by ją nazwać i rewelacyjną. Porządkuje ona to, co wydawało się chaosem, i rzuca pomost między wielkim pokoleniem przeszłości a czasami dzisiejszymi. Cechują interesującą całość: jasność, prostota, lapidarność stylu badacza, który nie przestał na własnych wywodach, ale poparł je ciekawymi cytatami.

Poznań *Tadeusz Grabowski*

Wszystkie pisma Cypriana Norwida po dziś w całości lub fragmentach odszukane. Warszawa 1937. Wydanie i nakład Z. Przesmyckiego. Tom VIII: *Listów* część pierwsza, stron XIV i 545. Tom IX: *Listów* część druga, stron 8 nlb. i 487.

Z rozpoczętego — oby pod szczęśliwą gwiazdą — wydania *Wszystkich pism C. Norwida* niewątpliwie dwa tomy *Listów* najszersze wzbudziły zainteresowanie. Bo też w dużym stopniu były one nowością, przyniosły materiał w połowie niemal całkowicie dotąd nieznany; jako całość zaś pozwalają wejrzeć w duszę twórcy, ogarnąć bieg jego myśli i dążeń, co zawsze, dopóki literatura należeć będzie do humanistyki, budzić będzie wśród jej odbiorców najżywszy interes. Ku tym dwom tomom więc zwraca się przede wszystkim uwaga krytyczna chcąc rozeznać i ocenić zarówno trud wydawcy jak i jakość jego plonu.

Że plon bogaty — widać na pierwszy rzut oka. Na tysiącu przeszło stronic, oszczędnie zadrukowanych drobnym borgisem, pomieszczono listów 846 z lat 1841—83, a więc 42. W tym tylko lata 1843 i 44 są puste, na inne przypada przeciętnie po 20 listów, najwięcej (46) na r. 1866. O bogactwie myślowym i uczuciowym poety, odbitym w tej korespondencji, nie ma tu potrzeby mówić.

Jeżeli zaś chodzi o sposób przygotowania wydania, o jego wyposażenie krytyczne, o zasady, których wydawca przy tym przestrzegał, trzeba powiedzieć, że tu zostawieni jesteśmy sami sobie, że wydawca jakby nie chciał nikogo w te sprawy bliżej wtajemniczać. Parostronicowy wstęp jego mieści lapidarną (w tonacji miriamowskiej) charakterystykę zasobu listów, obok tego sporo zgryźliwości personalistycznych, a z problematyki wydawniczej właściwie tylko wskazówkę, jak znaczne zespoły listów poety, skądinąd poświadczone, są dziś jeszcze (a także: już) niepochwytne. O tym jednakowoż, jak wydawca pojął i wykonał zadanie swe od strony filologicznej, jak się ustosunkował do postulatów opisu, przekazania i uprzystępnienia tekstów itp. — o tym wszystkim w owym wstępie głucho. Zasady te trzeba więc sobie dopiero odtworzyć rozpatrując sam sposób wykonania.

Z natury rzeczy interesuje nas przede wszystkim sprawa kompletności zbioru. Naturalnie kompletności względnej. Że w wydaniach tego rodzaju o kompletności w sensie absolutnym mowy być nie może, to jasne — i szkoda, że wydawca traci na ten temat słowa. Otóż i w sensie względnym tomy wydane nie pozwalają jeszcze całkowicie zorientować się w zasobie zgromadzonego materiału. A to dlatego, że wydawca pomieścił w nich nie wszystkie jeszcze dostępne sobie listy. Wprowadził on tu mianowicie rozróżnienie: z grupy listów wyodrębnił tzw. „rozprawki epistolarne", tzn. listy dłuższe, czy to rozmiarem, czy wagą treści zbliżone raczej do traktatów filozoficznych czy społecznych. Pewną część takich właśnie „rozprawek" ogłosił był osobno w r. 1933, inne są rozproszone po czasopismach. Podział ten jest pomysłem wydawcy, a zasadność jego wydaje się dość względna. Jakież by tu miało być obiektywne

kryterium rozróżnienia? Wydawca nigdzie go nie podał, a praktyka jego raz po raz budzić musi wątpliwości. W dziale listów pomieścił on np. traktacik o romansie, posłany K. Górskiej (nr 301), ale analogicznego traktatu o modlitwie (*Kur. Warsz.* 1932, nr 86) już nie dał. Pomieścił rozprawkę *Walka polska* (nr 575), różne osobne odezwy polityczne, nawet proklamację z *Le Temps* 1871 r., a np. notatkę *W kwestii popiersia Goszczyńskiego* (*Pam. Warsz.* 1929, z. 4), będącą niewątpliwym listem do Z. Węgierskiej (z 15 II 1869), wyłączył. W tych i innych wypadkach nie dojdziemy przyczyny rozróżnienia: nie zgadniemy, dlaczego to dano, a owego nie. Chcąc się więc ostatecznie zorientować, co z listów Norwida zdołał Miriam zgromadzić, zaczekać musimy (oby niedługo!) na ukazanie się tomów z pismami prozaicznymi.

Że zresztą, tak czy owak, pierwsze wydanie książkowe *Listów* Norwida nie zamknie sprawy zbierania korespondencji, o tym wie dobrze sam wydawca. Wolno mniemać, że wydanie to będzie w tym kierunku nawet pewnego rodzaju podnietą. Jakoż wiadomo, że pierwszy zaraz rok przyniósł już kilkanaście nowych listów[1]. Zdobycz to wszelako wyłącznie z łaski przypadku. Do celowości poszukiwań mogłaby się przyczynić informacja, jakie mianowicie zbiory publiczne czy prywatne zostały dotąd przeszukane i skąd pochodzą zebrane już autografy listów. Niestety wydawca poskąpił nam tu wskazówek. Zerwał z zasadą, której przestrzegał był w nieukończonym wydaniu *Pism zebranych* (1911 n.); obecnie proweniencji zużytkowanych autografów (cóż mówić o pierwodrukach!) nie podaje zupełnie. Jak skutecznie taka praktyka utrudnia recenzentowi sprawdzenie poprawności wydania, nie ma potrzeby podkreślać.

Ależ bo w ogóle strona filologiczna wydania została tu mocno upośledzona, aparat krytyczny sprowadzony do minimum. Dostaliśmy gołe teksty, bez rodowodów i bez komentarza. W drobnej tylko mierze, jeżeli chodzi o wspomniane w listach osobistości, oddaje tu przysługę pomieszczony w IX t. Spis osób, rozwiązujący także inicjały, skróty i napomknienia nazwisk. Przy szczegółowym atoli komentarzu i ten Spis wydatnie trzeba by rozszerzyć (dodać np.: Nowakowski W. ks. 704, Orłowski J. M. 42, 94 ii.). Braku takiego komentarza rzeczowego trudno odżałować. Nikt drugi w Polsce nie dorówna tu Mirianowi „w biegłości, guście i talencie", nikt nie zżył się tak dokładnie i szczegółowo ze światem myśli i stosunków osobistych poety. Byłoby niepowetowaną szkodą, gdyby wydawca nie zużytkował tej wiedzy, nie wygotował do całości wydania tomu dodatkowego z aparatem krytycznym i komentarzem.

Dotkliwy też jest brak opisu autografów. Zapewne, wydawca zastępuje go niekiedy... kliszą, np. przy ważniejszych listach ilustrowanych; w ten sposób rysuneczki autora znalazły się na przy-

[1] Zestawiono je we wstępie do *Reszty listów* (C. Norwida) *do ks. Wł. Czartoryskiego*, Warszawa 1938 (odb. z *Myśli Narodowej*, nr 47).

należnych miejscach. Jednakowoż nie wszystkie. Przy lekturze np. listu nr 14 do M. Trębickiej nie jest obojętne, że zaczyna się on zdobnym inicjałem M; jest to inicjał imienia Maria, umieszczona nad nim gwiazda jest gwiazdą nadziei, a nadpis: „niemiecko-sentymentalna ilustracja“ zwyczajnym u poety retuszem ironii. Albo np. dla jakiegoś przyszłego kalendarium twórczości poety nie byłaby obojętną wskazówka, że na odwrotnej stronie listu 172 mieszczą się fragmenty *Quidam*. W wydaniu to wszystko odpadło, komentator nic nam o tych szczegółach nie powiedział, autografu nie opisał. Opis taki przydatny byłby zresztą w niejednym jeszcze miejscu.

Ileż dotkliwiej odbiło się na wydaniu inne pominięcie. Wydawca z zasady nie podaje przy listach widniejących na nich adresów. Jużcić zyskała na tym estetyka druku, ale ujmę poniosła ścisłość przekazu. Przecież dla wyrozumienia listu, jego tonu, szczegółowości, stopnia enigmatyczności itp. nie jest sprawą obojętną, czy go poeta pisał — jak bywało — „z ulicy na drugą ulicę“, czy też np. z Paryża do Rzymu, czy do przyduszonej rosyjską żandarmską opieką Warszawy. Ponadto przy samej oprawie krytycznej, np. przy ustalaniu dat, wskazówka adresu może być pierwszorzędnej wagi. Przykład tego widzimy przy liście nr 31, gdzie taka właśnie wskazówka w sposób najoczywistszy uzasadnia poprawkę chronologiczną, jaką Miriam przeprowadził w wydaniu Kossowskiego (list jest nie z 1846, ale z 1848 r., z czasu gdy poeta korespondował z Warszawą przez pocztę leszczyńską). — Czy list nr 16 skierowany był do Marii Kalergis, jak się niegdyś domyślałem, to oczywiście może być przedmiotem dyskusji. Ale że nie był pisany do M. Trębickiej (przy czym twardo stoi Miriam), to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wzgląd na adresy znowu by rozstrzygnął sprawę najoczywiściej. List pisany do możnej pani przejeżdżającej przez Berlin do Paryża. Trębicka tymczasem była podówczas (o czym Norwid wiedział) w Warszawie, po czym w Stryhowie za Kobryniem i nigdzie nie wyjeżdżała; pomijając już to, że w podróżach swych osobnego kuriera nie miewała jak adresatka listu.

Inny wypadek, jeszcze wyraźniejszy, przy listach nr 183 i 184 z r. 1857. Wydawca podał, że adresatem ich „pułkownik Henryk Kamieński w Paryżu“. Będzie miał z tym kłopot czytelnik, który wie (a wiedzieć nie trudno), że H. Kamieński (autor *Prawd żywotnych*) pułkownikiem nie był, a od r. 1852 mieszkał stale w Szwajcarii; gotów jeszcze kto posądzić Norwida o bałamuctwo. Norwid jednakowoż adresował: „Monsieur le Colonel Kamiński, d'Amsterdam 54, Paris“, tzn. imienia nie podał. Bałamuctwo nie na jego idzie rachunek. Listy są oczywiście do pułkownika Mikołaja Kamieńskiego[1].

---

[1] Tak też wydawca podał w Spisie treści na czele t. VIII, ale że erratów nie ma, czytelnik nie zgadnie od razu, gdzie jest omyłka.

Wypadków mylnego podania adresata jest tu więcej. Dlaczego list 652 zatytułowany jest: „Do [Br. Zaleskiego]“, nawet bez pytajnika, zamiast (jak należało): „Do Ludomira Gadona“ — nie wiadomo. Dlaczego list 292, zwracający się „do szlachcica polskiego herbu Prawdzic“, miałby być do Kraszewskiego, herbu Jastrzębiec — to też zagadka. Natomiast do Kraszewskiego raczej skierowany był bilet 577, a nie do Lenartowicza; do niego pisze Norwid „Teofilu“ lub „bracie“, tutaj zwraca się przez dystans do „Rodaka“. List 712 jest najpewniej do S. Gałęzowskiego, 723 (źle datowany) do Br. Zaleskiego. A prawie wszędzie tam wydawca, podając adresatów z domysłu, nie ujmuje ich w nawias, co daje mylne wrażenie, jakoby podał ich sam Norwid.

Szczególnie trudnym zadaniem było ustalenie chronologii listów. Norwid zazwyczaj sygnował je tylko datą roczną, czasem jeszcze podawał miesiąc, datę dzienną dość z rzadka. Miriam w druku uzupełniał daty tylko wtenczas, gdy je mógł odczytać na stemplu pocztowym. Niemniej listy zostały ustawione w pewnym porządku chronologicznym. Tylko ktoś, kto zetknął się sam z tymi trudnościami, a zbada tutaj stan rzeczy skrupulatnie, pojmie, ile trudu wydawcy mieści się w tym ustaleniu chronologii względnej i jak ona na ogół pewna i uzasadniona. Tu i ówdzie zaledwie chciałoby się zaproponować drobne korektury. Np.: List 316 pisany był wnet po 20 III 1863[1], List 327 jest bezpośrednią reakcją na artykuł w gazecie z d. 13 marca 1863, pochodzi zatem z połowy tego miesiąca, a nie z czerwca czy lipca. List 387 ma stempel pocztowy 24 VI, a nie VII. List 477 jest bezpośrednią reakcją na list K. Ruprechta ze „środy“ tuż po 10 XI 1867, tzn. z d. 13 XI; jest więc z tegoż dnia lub z następnego. List 548 ma w autografie bliższą wskazówkę chronologiczną „poniedziałek“, w wydaniu opuszczoną, podobnie 624 (mylnie umieszczony pod styczniem) ma takąż wskazówkę „luty“ — że prawdziwą, dowodem jego organiczny związek z nr 630, który jest z tegoż dnia, a ma też datę „Février“. List 651, umieszczony wśród lipcowych, jest najprawdopodobniej z 2 VI, jak dowodzi jego związek z 641. List 713, pisany jeszcze za życia „czcigodnego hr. Zamoyskiego“, jest z października 1866, a nie ze stycznia 1876. List 723, mający w autografie opuszczoną przez wydawcę wskazówkę „sobota“, pochodzi nie z 1876, ale z 10 XI 1877 i wiąże się bezpośrednio z nr 749. Że list 790 pisany był nie 1880 ale w jesieni 1882, to wskazał już A. Czartkowski.

Pozostała wreszcie na koniec sprawa poprawności wydania, jego szaty językowej. Znowu odczuwamy tu przykro brak wyraźnego zdeklarowania zasad wydawcy. Widać z tekstu, że pisownia została tu ujednostajniona. Przecież nie według praktyki poety, który nie trzymał się zresztą jakiegoś jednolitego systemu, ale według... uchwał Akademii z r. 1891; konserwatyzm wydawcy

---

[1] Zob. *Reszta listów*... s. 10.

nieco osobliwy, żebyż choć był konsekwentny! Ale nie jest. Usunięto więc *é* ale zachowano b', w'; zatrzymano typ *Marya*, *Anglia*, także pisownię *skąd* itp., ale już rozróżnienie rodzajów w narzędniku *-ym*, *-em* przyjęto z tzw. pisowni Łosia (przecież i tu niekonsekwentnie: „nowym zaciągnięciem“ VIII 10, „we właściwym znaczeniu“ VIII 17 ii.). Gorzej jest, że wydawca i teraz ujednostajnia także język zacierając regionalne odrębności poety w wymowie (któś, jakóż, źrodło, niżli), nawet w odmienni (VIII 10: zostawiając, zam. zostawując). Szczególnym natomiast pietyzmem otoczył on charakterystyczną dla Norwida — by tak rzec — harmonizację przycisków w tekście, zaznaczanych przezeń bogato zróżniczkowanym systemem podkreśleń, zakreśleń i wymiarów pisma. Wszystko to zostało w druku wcale wiernie oddane.

Kontrola poprawności tekstu w ścisłym sensie utrudniona jest zarówno ze względu na rozproszenie autografów jak i wskutek zaznaczonego wyżej zakonspirowania ich przez wydawcę. Toteż sposobem przykładu tylko wypadnie tu zanotować rezultat konfrontacji tekstów w kilkunastu łatwiej w tej chwili dostępnych listach. Zobaczymy, że mimo wielkiego pietyzmu wydawcy, biegłości i skrupulatności w odczytaniu i korekcie, drobne omyłki wkradły się przecież i do tego wypielęgnowanego wydania.

Poprawić należy: t. VIII, s. 6, w. 10: przeraził mię, zam.: się; w. 13: zostawić, zam.: pozostawić. — s. 7, w. 19: być mogę, zam.: mogę być. — s. 9, w. 13: moje, zam.: może. — s. 10, w. 11: zostawując, zam.: zostawiając. — s. 14, w. 15: swe, zam.: swoje; w. 25: tamże, zam.: tam; w. 30: żebym, zam.: ażebym. — s. 15, w. 8: która się tłucze (jak niedawno), zam.: (jak niedawno), która się tłucze; w. 9: złe znowu, zam.: znów złe; dopóki, zam.: póki. — s. 19, w. 3: pisałaś, zam.: pisała; w. 7: tycze pasportu, zam.: tyczy paszportu; w. 10: Pani mi to, zam.: Pani to; w. 30: się tu wyrażę, zam.: się wyrażę. — s. 23, w. 25: wyobrażać, zam.: wyobrazić. — s. 26, w. 6: temi, zam.: tem. — s. 27, w. 26: ich, zam.: je. — s. 137, w. 25: „Marie“ nie jest podpisem pod listem, ale adresem. — s. 156, w. 25: znałby, zam.: znalazłby. — s. 157, w. 10: lampę, zam.: lampkę; w. 29: umierającą, zam.: umierającego. — s. 211, w. 10: w oko, nie rachuję, zam.: w oko patrzyłem, nie... — s. 222, w. 20: delikatności, zam.: niedelikatności. — s. 269, w. 9: zda się, zam.: zdaje się; w. 15: można nic, zam.: można mi. — t. IX, s. 299, w. 7: zam.: *** ma być xxx, tzn.: księża. W paru miejscach trudnych można by też pokusić się o pełniejsze odczytanie tekstu, niż to się udało wydawcy. Tak np. t. VIII, s. 162, w. 20: jest to casus fatalny; w. 22: prawdy, to kamienie świadczyć będą; w. 24: czarno to wszystko widział... zdaje mi się u progu; t. IX, s. 167, w. 17: co o perłach rzucanych przed chlewem opiewa.

Czytelnik łatwo stwierdzi, że retusze tu proponowane odnoszą się do szczegółów trzeciorzędnych, dotyczą skaz drobnych, nieuniknionych w dziele rąk ludzkich. Jakiekolwiek poprawki wypadłoby jeszcze w dziele tym poczynić, nie zmieni to faktu, że otrzyma-

liśmy w nim monument niepowszedniego pietyzmu; nie zmąci nam też radości i wdzięczności, z jaką miłośnik literatury przyjąć musi rozpoczęte wydawnictwo *Wszystkich pism C. Norwida.*

Kraków *Stanisław Pigoń*

Eliza Orzeszkowa: *Listy.* Pod kierunkiem prof. Józefa Ujejskiego opracował Ludwik Brunon Świderski. Tom I: *Dwugłosy*, Warszawa 1937, stron IX i 507+7 ilustr. Tom II: *Do literatów i ludzi nauki*, Warszawa 1938. Cz. I: stron 345+7 ilustr. Cz. II: stron 428+6 ilustr. Nakładem Towarzystwa im. Elizy Orzeszkowej oraz Instytutu Wydawniczego „Biblioteka Polska". Z zasiłkiem Funduszu Kultury Narodowej.

Towarzystwo im. Elizy Orzeszkowej podjęło się przedsięwzięcia bardzo wdzięcznego przystąpiwszy do publikowania korespondencji autorki *Nad Niemnem.* Może rzadko czyje listy są tak ciekawe jak Orzeszkowej. Odcięta od świata, osamotniona, skazana na przymusowy pobyt w Grodnie, w głuchej prowincji, równocześnie sama aktywna, przedsiębiorcza, żywo zainteresowana życiem literackim — umiała przez listy nawiązać łączność z nauką, literaturą i żywy brać udział w całym ruchu umysłowym w ostatnich dziesiątkach ubiegłego stulecia. Co więcej, Orzeszkowa była czołową pisarką postępowego obozu, obok Świętochowskiego, Jeża, Chmielowskiego, Spasowicza, obok innych pisarzy, zgrupowanych w *Ateneum*, *Prawdzie*, *Przeglądzie Tygodniowym* i *Nowinach.* Zarówno realizowanie programu tego stronnictwa jak też podjęcie dla niego akcji wydawniczej na terenie Wilna spowodowały ożywioną wymianę listów, dały początek zasobniejszej korespondencji z Kraszewskim, Jeżem, Karłowiczem, Bałuckim, Chmielowskim, Gawrońskim, która się potem jeszcze bardziej rozrosła, sięgnęła szerszych kół pisarzy dotrwawszy niekiedy do ostatnich lat życia pisarki.

Listowanie z Kraszewskim urywało się ciągle i nie dało sposobności do takiej swobodnej wymiany myśli jak korespondencja z Jeżem, jednym z najdzielniejszych orędowników postępowego kierunku; Orzeszkowa szeroko mu opowiada o swym wileńskim przedsięwzięciu i stosunkach literackich pod zaborem rosyjskim kreśląc wspaniałe charakterystyki co głośniejszych pisarzy i ich obozowisk. Ciekawym adresatem Orzeszkowej jest dalej Jan Karłowicz, który w świetle tych listów urasta do wybitniejszych, niż się dotąd przyjmowało, postaci z końca ubiegłego stulecia. Nikt tak często jak Karłowicz nie rozprawiał z nią listownie na tematy naukowe, nikt nie poruszał tylu ciekawych zagadnień, nikt nie przychodził jej z taką pomocą w wykształceniu, nie służył biblioteką i książkami. Nie dziw tedy, że w listach do niego pisze Orzeszkowa o sprawach kulturalnych, religijnych, filozoficznych i społecznych, o Spencerze, Renanie, Quinecie, Comte, Momsenie, Friedländerze, Supińskim i wielu, wielu innych autorach. Tu się dopiero pokazuje, jak poważnie pracowała nad sobą i jak zazwyczaj głębokie studia poprzedzały jej literackie prace. W swoim

rodzaju specyficzny charakter, ale to już całkiem wyróżniający się od innych zbiorków, ma korespondencja z Tadeuszem Garbowskim. Jest to mieszkający z dala od Grodna, w Szwajcarii, w Krakowie czy chwilowo w Paryżu, współautor, współtwórca *Ad astra*, z którym trzeba się było porozumiewać i omawiać różne szczegóły wspólnego dzieła. Już dla poznania osobliwości takiego tworzenia są te listy bodaj najciekawsze; a jest ich wiele, ponad 70, zresztą i gdzie indziej pełno wzmianek o tym dziele, tak że wcale dokładnie można śledzić proces jego powstawania. Równie cenne są listy do Drogoszewskiego z lat 1903—1907, z wielu znamiennymi wynurzeniami na temat własnej pracy pisarskiej i warunków twórczości, z szczegółami o stosunkach między pisarzami, oceną Sienkiewicza, Syrokomli, z uwagami o swojej naturze, literackich zamiłowaniach i sposobie tworzenia. O tym wszystkim mogła mu pisać, bo go znała jako autora ciekawego studium pt. *Eliza Orzeszkowa*, a wiedząc, jak go interesują tego rodzaju wiadomości, użyczała mu ich hojnie, tak że zawsze warto będzie się zwrócić po nie dla sprawiedliwszego sądu o pisarce.

W korespondencji z Bałuckim godzi się zwrócić uwagę na sądy o pisarzach i krytykach; w listach do Reymonta i od niego — na sprawy ludowe i ciekawe głosy o Żeromskim, o *Dziejach grzechu*. Z tego, co pisała do Gawrońskiego, najcenniejsze są relacje o postępowym obozie literatów; listowanie z Sawicką odsłania zabiegi o przyznanie Orzeszkowej nagrody Nobla; korespondencja z Iwanem Franką przynosi dowody nowych zainteresowań pisarki, mianowicie kulturą i piśmiennictwem małoruskim; listy Maryli Wolskiej urastają w istne poematy, przynoszą pewne wiadomości o literackim Lwowie z zarania naszego stulecia, o świecie myśli i życiu tej poetki. Bardzo wiele ciekawego materiału znajdujemy w korespondencji Orzeszkowej z Konopnicką, zresztą niemało szczegółów o autorce *Roty* rozsianych jest także po innych listach; widzimy tedy, jak naraz wyrasta Konopnicka na znakomitą pisarkę, jak się niepokoi Orzeszkowa o jej poglądy religijne, jak się zmienia jej sytuacja, gdy została redaktorką *Świata*, co obie przyjaciółki mówiły o modernistycznej literaturze, jak pomagały sobie i pocieszały się w chwili smutku i strapienia. Mniej ciekawe są już listy do St. Krzemińskiego, H. Skirmuntta, Kościałkowskiej, Przewóskiej, J. Kotarbińskiego, Łuszczewskiej, H. Nusbauma, J. Vrchlickýego, bo są to niewielkie zbiory, nieraz fragmentarycznie dochowane, ale i te niekiedy, jak np. do M. Dubieckiego, Ign. Baranowskiego, K. Zdziechowskiego, rzucają dużo nowego światła na *Gloria victis*, na naszą i obcą literaturę modernistyczną, na dramaty Wyspiańskiego, które musiała Orzeszkowa czytać po kilkakroć nie mogąc ich jeszcze w końcu zrozumieć.

Jak widać, ogłoszone *Listy* Orzeszkowej są bardzo zasobnym materiałem, bez którego nie może się obejść, ktokolwiek by chciał poznać życie umysłowe, a zwłaszcza życie literackie w czasach po styczniowym powstaniu aż do zarania naszego stulecia. Oglą-

damy tu tworzenie się różnych obozów i koteryj, śledzimy ich wzrost i upadek, jesteśmy świadkami, jak się przeżywają pewne poglądy, jak się tworzą nowe dążności niezrozumiałe dla schodzącego z widowni dawnego pokolenia, jak się ciągle zmienia wartość i znaczenie pisarzy. Powiedziano tu jasno, dlaczego Kraszewski zdobył sobie tak wielką chwałę, dlaczego Jeżowi trudniej było dobić się większego uznania, skąd się wzięła popularność Sienkiewicza i jakie sądy wydawano o literackiej działalności Orzeszkowej. Do cenniejszych należą wszystkie uwagi o przekładach niektórych dzieł jej i Jeża na obce języki, co miało niemałe znaczenie dla zagranicy.

Nieoceniony tu wreszcie materiał do poznania samej autorki *Nad Niemnem*. To jedna z najszlachetniejszych postaci, żywot jej jest budujący i przykładowy. Trzeba przez listy wejść w bezpośrednią niejako z nią znajomość, by widzieć, jak w szary dzień wyglądało to życie, ile było w nim bohaterstwa i zaparcia się. Żadna biografia, żadne opracowanie nie zdoła zastąpić tej przyjemności śledzenia u źródła samego, w oryginalnych listach, całego skarbca jej myśli i szlachetnych uczuć. Jedne i te same momenty w życiu naświetla autorka wielostronnie po kilkakroć, w różnych odstępach czasu, w ścisłym związku z środowiskiem, atmosferą, epoką, często i z pełnym wypowiedzeniem się mówi o swych zamiłowaniach, nie ukrywa trudnych warunków twórczości, opowiada nieraz o genezie własnych utworów, odsłania mimo woli głębokie studia, jakie powstanie tych dzieł poprzedziły. W ten sposób *Listy* umożliwiają obecnie głębsze wniknięcie w literacką działalność Orzeszkowej i w nasze życie literackie w latach 1870—1910.

Wydanie korespondencji Orzeszkowej było przedsięwzięciem i wdzięcznym, i trudnym. Komitet wydawniczy rozporządzał zbiorami dawniejszymi, które były wcale zasobne, przekroczyły bowiem grubo dziesięć tysięcy listów. Jednak, jak widać, w trakcie prac redaktorskich napływały nowe zbiorki, tak że trzeba było wstrzymywać druk, byleby tylko wydawnictwo nie poniosło na tym szkody.

Całemu dziełu patronował jeszcze śp. prof. Józef Ujejski udzielając komitetowi wydawniczemu swych cennych rad i uwag. Postanowiono nie ogłaszać pełnej korespondencji, ale dokonać zasobnego wyboru listów co najwartościowszych, te jednak podawać in extenso, niekiedy nawet, jeśli to możliwe, z odpowiedzią adresata. Tak powstały dwugłosy tworzące tom pierwszy, do czego się dołączyła korespondencja M. Wolskiej z tomu drugiego. Czy podział na „dwugłosy", listy „do literatów i ludzi nauki", „do redaktorów i wydawców", „do krewnych i przyjaciół" był szczęśliwy, okaże się dopiero po ogłoszeniu całości, nie wiadomo bowiem, czy wśród redaktorów i przyjaciół nie znajdą się właśnie literaci i uczeni.

Gros pracy wziął na barki swoje Ludwik Brunon Świderski i trzeba powiedzieć, że z zadań wywiązał się jak najlepiej.

A trud to był niemały: trzeba było przecież dokonać szczęśliwego wyboru listów, zestawić listy pominięte, podać krótko ich treść, skontrolować z nimi listy adresata, przytoczyć z nich charakterystyczne miejsca, wreszcie opatrzyć komentarzem rzeczy wydane. Wszystko to wykonane jest niemal wzorowo. W tomie drugim komentarz i indeksy pełniejsze, korekta staranniejsza w pierwszym.

Lwów *Bronisław Nadolski*

Machalski Franciszek: *Orientalizm Antoniego Langego (Z zarysem bibliografii).* Prace Podolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Tarnopolu, nr 2. Tarnopol 1937. Nakładem Podolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wydano z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Z drukarni Franciszka Flisa. Stron VIII i 166.

Autor słusznie zaznacza, że twórczości Antoniego Langego należycie u nas nie doceniono, stąd pragnąc choć częściowo zaradzić temu brakowi poświęcił pracę swą zbadaniu orientalizmu autora, jednej z najważniejszych cech jego poezji.

Poprzedził rzecz właściwą krótkim rysem o polskich tłumaczach wschodnich literatur podkreślając zwłaszcza znaczenie orientalizmu w okresie „Młodej Polski".

Przechodząc do przedstawienia Langego jako orientalisty podaje M. na wstępie rozprawy krótką jego charakterystykę jako poety uwydatniając i odpowiednimi przykładami z utworów ilustrując główne cechy jego liryki (motywy samotności, śmierci, nieskończoności, wędrówki, zainteresowań społecznych), podkreśla przy tym niezwykłą rozległość zainteresowań Langego w okresie 43 lat (1886—1929).

Po tych wstępnych uwagach przechodzi autor do rzeczy właściwej ujmując przedmiot w następujących rozdziałach: U źródeł orientalizmu, Błyski Wschodu, Na motywach orientalnych, Wśród poetów Wschodu, Lange jako tłumacz. Genezy orientalizmu Langego doszukuje się autor w studiach jego paryskich, kiedy to z niemałym zapałem zaczął zajmować się literaturami wschodnimi częściowo także nabywając znajomości języków wschodnich. Ważną podnietą w tym kierunku był przykład poetów francuskich Baudelaire'a, Leconta de Lisle'a. Pierwszymi krokami Langego na polu orientalizmu są przekłady kilku wierszy francuskich, osnutych na motywach orientalnych. Ciekawym też objawem u Langego są reminiscencje wschodnie w jego utworach zarówno wierszowanych jako też prozaicznych, a w dalszym ciągu szereg rzeczy mających treść orientalną. O tych utworach mówi autor szczegółowo w rozdziale 3 i 4 rozprawy, pomieszczając szereg interesujących spostrzeżeń.

Najważniejszą jednak stroną orientalizmu Langego są jego przekłady z literatur wschodnich, tj. 1) indyjskiej, 2) perskiej, 3) arabskiej, 4) babilońsko-asyryjskiej, 5) egipskiej, 6) japońskiej. Wspomina wkońcu M. dodatkowo o przekładach z literatury węgierskiej. Brakło jednak Langemu jako tłumaczowi z języków wschodnich najważniejszej rzeczy, to jest gruntownej znajomości

samych tych języków. Najlepiej stosunkowo znał jeszcze sanskryt, poza tym miał średnią znajomość języków staro- i nowoperskiego oraz arabskiego. Ostatecznie przełożył Lange z oryginałów znikomą ilość utworów, jako to Nala i Damajanti, Sawitri, Powieść o rybie, 10 bajek indyjskich, Gitagowindę i fragment z Zendawesty (Jasna IX), innych przekładów dokonał z tłumaczeń. M. utrzymuje, że nie zmniejsza to wartości jego zasługi. Częściowo można by się tylko na to zgodzić mając na względzie jedynie sam fakt przyswojenia utworów wschodnich. Autor utrzymuje wprawdzie, że Lange wybierał najlepsze przekłady, które wiernie i pięknie odtwarzał w języku polskim, powody jednak przytoczone nie dadzą się utrzymać, o ile istotnie kwestię całą ujmiemy ze stanowiska naukowego, czego bliżej nie widzę potrzeby uzasadniać, sprawa bowiem stosowania należytej miary przy określeniu wartości przekładów jest dostatecznie wyświetlona. Ostatecznie autor sam dokładnej analizie poddaje tylko 3 przekłady Langego, tj. Nala i Damajanti, Sawitri i Jasny, przypisując trwałą wartość dwom pierwszym przekładom.

Poza tymi ogólnymi uwagami podaję jeszcze kilka specjalnych spostrzeżeń:

Skoro autor wspomina o wpływie poetów francuskich na Langego, można było równorzędnie uwzględnić także wpływ poezji niemieckiej. Takimi refleksami literatury niemieckiej będą mi. wiersz Langego *Latający Holender*, opowiadanie *Lenora* (z przekształceniem motywów *Królowej ballad* Bürgera). Epizod o arabskim tańcu pszczoły (a nie „osy", jak M. mylnie podaje na s. 52) w opowiadaniu Langego *Azais* zawdzięcza swe powstanie prześlicznej noweli *Fatema*, wyszłej spod pióra jednego w wybitniejszych niemieckich twórców ostatniej doby, Ernesta Hardta (w zbiorze: *Priester des Todes*, Berlin 1898). Tylko przeróbka Langego wypadła bardzo słabo.

Na s. 44 uwaga druga o anonimowym przekładzie Deussena *Zarys filozofii indyjskiej* wypadła niejasno wobec nieścisłego przedstawienia sprawy w tekście; istotnie przekład ten wyszedł bez podania nazwiska tłumacza, którym był Andrzej Gawroński.

Niedokładna wzmianka o *Srebrnej łani* Langego (s. 64) może u czytelników nie obznajomionyeh należycie z całą sprawą wywołać wrażenie, jakoby fabuła tego opowiadania była wymysłem opowiadającego. Tymczasem Sertoriusz, bohater opowiadania, uwieczniony przez Plutarcha, był postacią rzeczywistą, a szczegóły o owej srebrnej łani są przytoczone przez wspomnianego greckiego historyka. Tym samym o opowiadaniu tym, jako osnutym na tle literatury greckiej, wspomnieć należało w ustępie poświęconym utworom Langego zawdzięczającym swe powstanie tematom greckim (por. w rozprawie s. 69 nn.). Tu jeszcze pragnę nadmienić, że na tle losów Sertoriusza osnuli tragedie Piotr Corneille (1662), Karol Henryk Ludwik Giesebrecht (1807), Jerzy S. Lommel (1828).

Porównanie kilku postaci kobiecych w literaturze polskiej (Zosi z *Pana Tadeusza*, Maryni Połanieckiej, Ligii. Basi z *Pana*

Wołodyjowskiego) z Sawitri, Damajanti i Sitą, tak uduchowionymi, wydaje mi się nieodpowiednie, a uwagi, że wymienione bohaterki polskie mogłyby się od owych postaci indyjskich wiele jeszcze nauczyć, nie rozumiem (s. 92).

Przy Gilgameszu (s. 113) należało wspomnieć o dwóch przekładach polskich: Józefa Wittlina (Warszawa 1922) i ks. Józefa Bromskiego (Warszawa 1936).

O pierwszym opracowaniu Ramajany przez Langego z r. 1896 pomieściłem swego czasu obszerniejsze sprawozdanie w *Muzeum* (Lwów) 1897, s. 455—457, które uszło uwagi autora.

Do zestawienia literatury o Langem (s. 160 n.) mógłbym podać jeszcze szereg uzupełnień; mi. uszedł uwadze autora charakterystyczny artykuł Romana Glassnera: *Literaci-Żydzi we współczesnym piśmiennictwie polskim*, Rocznik Żydowski, Lwów 1904.

Na s. 68_1 i 160 wspomina autor o pracy Jana Łosia *Wiersze polskie w ich dziejowym rozwoju* zaznaczając, że wyszła ona bez daty. W istocie wyszła rzecz ta w r. 1920, co można stwierdzić na podstawie odnośnych spisów bibliograficznych. Podobne braki dat przy kilku książkach podanych przez autora bez roku wydania dadzą się z łatwością uzupełnić.

Mimo zastrzeżeń powyższych rozprawa M., powstała wśród trudnych warunków w mieście prowincjonalnym, jest pożądanym przyczynkiem do badań nad twórczością Langego.

Na końcu rozprawy pomieścił autor próbę bibliografii utworów A. Langego zestawiając w niej osobno wydane poematy jego i zbiory poezyj, dramaty, drobne utwory po czasopismach, utwory powieściowe i nowelistyczne, studia literackie, artykuły literackie i naukowe, antologie, przekłady, opracowania, artykuły, recenzje. Zestawienie nie jest dokładne, przy niejednej bowiem pozycji brak podania miejsca, roku wydania, są w nich też omyłki (np. s. 157 zamiast Lambro ma być: Lamb, zamiast Marcon ma być: Marcou itp., przy czym jako rok wydania książki tego autora podano 1899 zamiast 1894), ale w szczegóły nie wchodzę nie chcąc niepotrzebnie przedłużać sprawozdania. Ważniejszy zarzut jest ten, że bibliografia, obejmująca 163 pozycji, nie jest zupełna. Z dorywczych moich notatek, nie mogących rościć sobie pretensji do wyczerpania, podaję uzupełnienia w liczbie 101 (a więc przeszło 60%). Są w tych pozycjach rzeczy mniej i więcej ważne, wszystkie charakterystyczne dla poznania, jak szeroki był zakres zainteresowań Langego; niektóre tłumaczenia, nieznane autorowi, są pożądanymi przyczynkami do oceny jego pracy jako tłumacza.

Dodatek

Uzupełnienia do bibliografii utworów Antoniego Langego.

Zachód słońca (Wiersz). Prosna. Jednodniówka kaliska na korzyść miejscowego Towarzystwa Dobroczynności. Kalisz 1895, s. 36—37.

Jokai M. Oceania świata zaginionego (Przekład). Łódź 1886.

O poezji współczesnej z powodu książki Chmielowskiego: Współcześni poeci polscy. Głos 1896, nr 6.

Rym. Kurier Warszawski 1896, nr 94.

Sonety. Tygodnik mód i powieści 1896, nr 20.

Sztuka i logika. Głos 1896, nry 46, 47.

Adam Asnyk. Głos 1896, nr 51.

Z cyklu: Exotica. Kurier Warszawski 1896, nr 341.

Hervilly Ernest: Dzieje chłopczyka przedhistorycznego (Przekład). Warszawa 1896.

Michaux N.: O wyobraźni. Studium psychologiczne. Przeł. A. Lange. Warszawa 1896.

Nie na dzień jeden. Tygodnik mód i powieści 1897, nr 1.

Latający Holender. Głos 1897, nr 1 i 2.

Józef Waśniewski. Głos 1897, nr 9.

Liść. Tygodnik mód i powieści 1897, nr 14.

Ziemia i morze. Tamże, nr 17.

Hymn z Pawła Verlaina. Tamże, nr 17.

W imienniku. Kurier Niedzielny 1897, nr 15.

Z poezji ludów dzikich. Tamże 1897, nr 18 nn.

Poeci o geniuszu. Głos 1897, nr 18 nn.

Juliusz Zeyer. Tygodnik mód i powieści 1897, nr 26.

A imię jego 44. Głos 1897, nr 38.

Mallarmé. Herodiada. Życie 1897, nr 5.

Teodor Tomasz Jeż. Głos 1897, nr 46.

Seweryna Duchińska. Głos 1897, nr 49.

Filozofia Mickiewicza. Tydzień (Lwów) 1899, 185—187.

Mickiewicza Poezje liryczne ze wstępem. Warszawa 1898.

Z Richepin'a Ocean Nox i życzenie. Życie 1898, nr 2.

Haszysz. Życie 1898, nr 19.

Attyla. Tragedia. Głos 1897, nr 41 nn.

Kalendarz dla Polaków i Polek na r. 1899, II. Warszawa.

Dźwięki poetów. Warszawa 1900.

Machar Jan: Magdalena. Poemat. Przełożył z czeskiego A. M-ski. Przedmowa A. Langego. Warszawa 1900.

Ruskin John. Malarstwo i poezja. Przełożył z ang. A. Lange. Warszawa 1900.

Afrodyte. Tygodnik Polski 1901, 36.

Bajki mleczarka. Gazeta Polska 1901, 238.

Nie na dzień jeden. Praca 1901, 41.

Historia o lalce. Gazeta Narodowa 1901, 252. — Gazeta Polska (Warszawa) 1901, 245.

Morze. Wędrowiec 1901, nr 45.

Mickiewicz a Słowacki. Tydzień 1901, 65, 73, 81, 89.

Sonety. Przegląd 1901, nr 168.

Bajka. Tydzień 1901, 291.

Wenecja. Kurier Warszawski 1901, nr 183.

U wrot. Tamże 1901, nr 227.

Małecki jako biograf i krytyk Słowackiego. Wędrowiec 1901, 906.

Garde Axel: Henryk Ibsen. Wykład zasadniczej idei zawartej w dramatach Ibsena. Spolszczył i przedmową opatrzył A. Lange. Lwów 1901.

Bezsenna noc (M. Konopnickiej). Wędrowiec 1902, nr 19.

Z rozmyślań. Słowo Polskie 1902, 201 dod. Kurier Warszawski 1902, 108, 115, 127, 129. Wędrowiec 1902, nr 48.

Wenedzi. Nasze Kłosy 1902, 40—45.

Wiersz. Wędrowiec 1902, 1.

O zachodzie. Słowo 1902, 128.

Z cyklu: O śmierci. Tygodnik Ilustrowany 1902, 14.

Nowa poezja francuska. Tydzień (dod. Kuriera Lwowskiego) 1902, 34, 35.

Powieść o Karolu XII. Tamże 1902, 32.

Dziennik a publiczność. Kurier Warszawski 1904, nr 25.

O krytyce i bezkrytyczności. Wędrowiec 1904, 402.

O współczesnej poezji czeskiej. Bluszcz 1904, 340 n.

Nowa literatura francuska. Tamże 1904, 162, 175 n.

Współczesna literatura niemiecka. Gazeta Handlowa (Warszawa) 1904, nr 223.

Z obcej niwy (Czechow, Garszyn, Korolenko, Gorkij). Tydzień 1904, 245—6, 254, 262—3, 270—2, 279—80, 287, 302—3.

Współczesna literatura włoska. Bluszcz 1904, 357 n.

Arabska poezja miłosna. Wędrowiec 1904, I 65 n.

Mickiewicz a Słowacki. Kurier Poranny 1905, 312.

Elżbieta Drużbaćka jako pierwsza powieściopisarka polska. Świat Kobiecy 1905, nr 12.

Mikołaj Rej. W czterechsetną rocznicę urodzin. Gazeta Handlowa 1905, nr 40.

O współczesnej poezji czeskiej. Nowa Reforma 1905, nr 201.

Literatura japońska w XIX wieku. Bluszcz 1905, 289 n., 299 n.

Schiller. W 100 rocznicę śmierci. Gazeta Handlowa 1905, nr 110.

Literatura współczesna Norwegii. Bluszcz 1908, 429 n.

Amor i Faun (Znaczenie tych postaci w kulturze umysłowej narodów). Ateneum 1905, III 89—93.

Karol Estreicher. Goniec Poranny i Wieczorny 1905 (Tyg. lit. bibl. 181).

W 300 rocznicę urodzin szlachetnego hidalga La Manczy. Tamże 1905, nr 196.

Młoda Irlandia. Tamże 1905, nr 148.

Autor a wydawca. Ludzkość (Warszawa) 1906, 130, 132.

O paru młodszych nowelistach (W. Grubiński, M. Srokowski, J. Korczak, J. Maciejowski). Świat 1906, nr 18.

Stanisław Wierzbicki. Notatka jubileuszowa. Świat 1906, nr 35.

Na roli (Wiersz). Kurier Lwowski 1907. Ilustrowany dodatek świąteczny, s. 29.

Walka z romantyzmem. Świat 1908, nr 3.

Słowacki a Mickiewicz. Prawda (Warszawa) 1909, 86.

Siła fatalna Słowackiego. Gazeta Nowa Warszawska 1909, 405, 2.

Pieśń zmowiaków. Wydał A. Lange. Krytyka 1909, luty.

Krasiński Zygmunt: Poezje liryczne. Ze wstępem Antoniego Langego i z objaśnieniami. Książki dla wszystkich, nry 514—516, s. 63, 40, 59.

Słowacki Juliusz. Genezis z ducha. Z przedmową A. Langego. Książki dla wszystkich, nr 535, s. 59. Warszawa 1911. Nakł. i druk. M. Arcta.

Okultyzm, spirytyzm i teozofia. Rocznik Gebethnera i Wolffa, II. Warszawa 1912, s. 265—269.

Apollonius Rhodius. Wyprawa Argonautów. (Fragment z pieśni III). Z greckiego przełożył A. Lange. Sfinks 1913, II 383—392.

Hoffman E. T. A. Powieści fantastyczne. Słowo wstępne i układ A. Langego. („Muzy"), Warszawa 1913. 2 tomy.

Bachantki. Fragment z tragedii Eurypidesa przełożył A. Lange. Myśl Polska 1916, z. 6.

Wiktor Gomulicki. Gazeta Polska 1919, nr 82.

Artykuł w Jednodniówce Akademickiej. Warszawa 1919.

Babunia. Przeł. na j. węgierski Karol Banayai (Por. Gazeta Polska 1919, nr 80).

A la France. Do Francji. Goniec Częstochowski 1919, 149.

Akcyza polskości. Prośba do Wilsona. Szczutek (Lwów) 1919, nry 1, 2.

Dies illa. Tygodnik Ilustrowany 1919, s. 437.

Ignacy Matuszewski. Gazeta Polska 1919, nr 264.

Korzeniowski Józef. Wybór dzieł w streszczeniach i wyciągach. Ułożył i biografią autora poprzedził A. L. Warszawa 1924, s. XIV i 460.

Keller Gotfryd. Legenda o tańcu i wybór poezyj. Przełożył A. Tom. Słowo wstępne A. Lange. Warszawa 1924.

Puszkin Aleksander. Czarny orzeł. Dama pikowa. Murzyn Piotra Wielkiego. Tłumaczył A. Lange. Warszawa 1926.

Walter Scott. Ryszard Lwie Serce. Powieść w 4 tomach. Tłumaczył A. Lange. Warszawa 1926.

Akademia Literatury. Echo Tygodniowe 1928, 4.

Nieznany wiersz Deotymy (z r. 1897). Dziennik Polski 1928, 280.

W sprawie tłumaczenia utworów literackich na języki obce. Tygodnik Ilustrowany 1929, nr 4.

„Bywają czasem słowa...", Pamiętnik Warszawski 1929, 3.

Lwów

Wiktor Hahn

Rocznik Kasprowiczowski II, Poznań 1938. Nakładem Zarządu Miejskiego w Poznaniu. Stron 8 nlb. i 251, 5 rycin.

Tom II *Rocznika* jest od I mniej urozmaicony i powiedzmy od razu — mniej „odkrywczy“. Gdy tamten przynosił materiały (poezje i listy) i rozprawy, ten w części głównej wypełniony jest jedną tylko pozycją, a rozpraw nie ma zupełnie. Pozycja jest okazała: niemal 10 arkuszy druku wypełnia tekst wykładów uniwersyteckich Kasprowicza z r. ak. 1912/13 pt. *Prometeizm w poezji*. Przy niej też przede wszystkim zatrzymać się musi uwaga krytyczna recenzenta.

Odpowiedzieć sobie trzeba najpierw bez ogródek na pytanie zasadnicze: Czy należy ogłaszać drukiem pełne teksty wykładów uniwersyteckich Kasprowicza? Jak widzimy ze szczegółowego wykazu autografów, podanego w tymże *Roczniku* (II 206 n.), zachowało się ich poza *Prometeizmem* wcale sporo: Literatura porównawcza (22 wykł.), Historia dramatu angielskiego do Szekspira włącznie (83 w.), Poezja angielska od J. Keatsa (9 w.), Poezja współczesna (18 w.), Motyw Cencich w poezji (11 w.), Motyw Salome (13 w.) i pomniejsze. Musiałoby to wypełnić w druku parę tomów. Czy więc drukować? Na tak postawione pytanie atoli należy odpowiedzieć raczej negatywnie. Racji dostarczy pierwszy cykl ogłoszony w omawianym *Roczniku*.

Jak było do przewidzenia, wykłady Kasprowicza mają charakter w znacznym stopniu kompilacyjny. W szczególności wykłady o prometeizmie w przeważnej mierze opierają się na rozprawie O. Walzla *Das Prometheus-Symbol* (1910) i na wykładzie J. Fränkla *Wandlungen des Prometheus* (1910). Poza nimi, rzecz jasna, uwzględnił Kasprowicz znaczną jeszcze literaturę przedmiotu, głównie niemiecką. Własnością poety w wykładach są obszerne analizy poszczególnych utworów, w szczególności Ajschylosa, Calderona, Goethego. Zastanawiając się nad wydaniem tego rodzaju materiału można by się jeszcze wahać, gdyby wykłady dawały skończone całości, stanowiły pewnego rodzaju jakby monograficzne kompendia. Ale tak nie jest. W danym wypadku profesor urwał wywody na pobieżnym już potraktowaniu dramatu Shelleya, tematu do końca nie wyczerpał. Nie wiadomo, czy jest inaczej w innych cyklach. W takim razie i stąd uzasadniona wydaje się wątpliwość, czy należy śpieszyć z ich drukiem nie mając na swe poparcie woli autora?

Wydawca powołuje się wprawdzie na tę wolę. „Ogłoszenie tych wykładów“ — pisze — „usankcjonował poniekąd sam Kasprowicz drukując je w skrócie na łamach *Kuriera Lwowskiego* w grudniu 1915 i w styczniu r. n.“. Ale sankcja ta rzeczywiście bardzo jest „poniekąd“. Wolno mniemać, że właśnie drukując s k r ó t zmieścił w nim autor to, co sam w wykładach tych uważał za bardziej cenne i bardziej własne, za interesujące dla forum szerszego niż uniwersytecka sala wykładowa, a więc mówiąc po prostu, że „usankcjonował“... niedrukowanie redakcji obszerniejszej, powsta-

nej dla celów doraźnych. Wolno zatem twierdzić słusznie, że tę właśnie wolę autora należało uszanować przede wszystkim. W tym wypadku i w analogicznych dalszych. Wiadomo, że z wykładów swych i odczytów sam Kasprowicz ogłosił drukiem sporo. Poza ramami wydania zbiorowego dzieł kryją się dotąd jeszcze po czasopismach takie pozycje, jak *Motyw przyrody w poezji angielskiej*, *Szekspir*, charakterystyki Mickiewicza (*Słowo Polskie* 1904, nr 510), Słowackiego (tamże 1909) i inne, — i te naturalnie należy zgromadzić we wspólnym tomie i w tej formie, jaką im ostatecznie nadał do druku sam autor. Wykłady zaś uniwersyteckie jego należy oczywiście opracować, wypadnie może zrobić z nich wybór, ale wydawania ich w całości trzeba odradzać młodemu, a tak już zasłużonemu Towarzystwu poznańskiemu.

Wykłady o prometeizmie zostały przygotowane do druku przez prof. J. Bergera. Przygotowane z pietyzmem i skrupulatnością filologiczną daleko idącą. Chciałoby się nawet powiedzieć: za daleko. Gdzie wydawca miał choćby cień wątpliwości przy odczytaniu rękopisu, ujmował słowo mniej wyraźne w klamry; sporo miejsc zostawił wykropkowanych. Drukując tekst przytaczanego przez Kasprowicza Ajschylosowego *Prometeusza skowanego* z własnego przekładu, ale z drobnymi odchyleniami od drukowanego, odmiany te wyróżnia wydawca kursywą. Za przykładem bodajże prof. Krokiewicza, wydawcy *Prawdy życia* J. Rozwadowskiego, pozaznaczał skrupulatnie w druku stronice rękopisu Kasprowicza, choć dalibóg można by to sobie darować. Kiedy profesor zanotował sobie przy słowie angielskim jego wymowę, i to także dostało się zbożnie do druku. Wydawca — jak widzimy — zbliża się do kategorii tych, których J. G. Pawlikowski określił kiedyś mianem „niewolników autografu". Nie wyszło to na dobre samemu nawet tekstowi. Kasprowicz np. nierzadko w rękopisie swym nie przepisywał ustępów dzieł, które chciał w wykładzie przytoczyć, znaczył sobie tylko stronice tekstu drukowanego. Z katedry oczywiście ustępy te czytał z książki, analizuje je bowiem w dalszym ciągu wykładu. Nie ulega wątpliwości, że w wydaniu należało owe przytoczenia, dla toku całości, no i choćby dla dobra czytelnika, włączyć do tekstu. Wydawca nie pozwolił sobie wyjść tutaj poza ciasno pojęte węzły autografu i ustępów tych nie dał. Pietyzm wobec litery przeniósł nad pietyzm wobec słowa.

Natomiast wyposażenie komentatorskie jego uznać trzeba za doskonałe: szczegółowe a oszczędne, w samą miarę. Wydawca zidentyfikował dzieła i sprawdził ustępy cytowane, poprostował usterki czy wyboczenia pamięci profesora, wskazał związki toku wykładowego z literaturą przedmiotu itp. Uchylił się wprawdzie na razie od szerszego omówienia samych wykładów, stosunku profesora do tematu itp., ale niewątpliwie (dowodzi tego i rozprawa jego w t. I *Rocznika*) do zadania tego dobrze jest przygotowany, co pozwala spodziewać się (i życzyć sobie), że do niego wróci.

Na resztę tomu składa się obszernie, wyczerpująco opraco-

wany przez S. Waszaka opis działu Kasprowiczowskiego w Muzeum Miejskim poznańskim z szczegółowym katalogiem biblioteki pamiątek i autografów Kasprowicza, korespondencji odbieranej, literatury krytycznej kasprowiczowskiej zgromadzonej przez samego poetę. Poza tym mieści się tam bibliografia bieżąca tej literatury oraz kronika. Towarzystwu Literackiemu im. Kasprowicza, a zwłaszcza jego niezmordowanemu *spiritus movens* p. Z. Zaleskiemu, należy się szczera wdzięczność za cenne wydawnictwo.

Kraków *Stanisław Pigoń*

Julian Krzyżanowski: *Władysław St. Reymont.* Twórca i dzieło. Lwów 1937. Stron VIII + 212.

Niewielka rozmiarami książka prof. J. Krzyżanowskiego o Reymoncie daje szeroki, jasny i popularny wykład analityczno-syntetyczny o twórczości autora *Chłopów.*

Monograf zaczynając swe dzieło od charakterystyki Reymonta jako człowieka ustala — na podstawie zwierzeń pisarza samouka o sobie samym i ich konfrontacji z jego utworami — jego typ psychiczny i twórczy; Reymont jest świetnym obserwatorem życia i urodzonym epikiem; wchodząc na teren rzeczy nieuchwytnych („myślanych“) czuje się źle, jeżeli je zaś do powieści wprowadza, to dlatego jedynie, że ulega wpływom pisarzy innych i postulatom epoki, w której tworzył.

Analiza dzieł Reymonta wykaże słuszność charakterystyki początkowej.

Rozdział *Krosnowa i świat* poświęcony omówieniu powieści, których głównym zagadnieniem jest — przeżyty przez samego Reymonta — bunt przeciw konwenansowi (*Komediantka, Fermenty, Marzyciel, Wampir*), ukazuje Reymonta jako dobrego obserwatora środowiska, na gruncie psychologicznym posługującego się jednak frazeologią.

Zdolności obserwatorskie przynoszą w powieści późniejszej, w *Ziemi obiecanej*, zdecydowane zwycięstwo elementu zbiorowego nad indywidualnym, z autora zaś czynią zwiastuna romansu o „bohaterze zbiorowym“.

Tkwiąca w *Ziemi obiecanej* niechęć do miasta i uznanie dla „pracy bożej“ na roli rodzą *Chłopów*, najpotężniejsze dzieło Reymonta, odpowiadające i momentowi dziejowemu, w którym chłop stał się siłą polityczną, i talentowi pisarza, który na gruncie opisu „prac i dni“ był artystą z bożej łaski.

Nacisk wywierany przez modę i ducha czasu, w którym wskrzeszając tradycje romantyczne sięgano do przeszłości, daje czytelnikom Reymonta niespodziankę: *Rok 1794*, utwór słaby, pełen reminiscencyj, o wartościowych jedynie — zgodnie z naturą talentu pisarza — scenach zbiorowych. „Z tego stanowiska“ — pisze prof. Krzyżanowski — „jest *Rok 1794* zupełnie konsekwentnym ogniwem w łańcuchu, do którego należą *Ziemia obiecana* i *Chłopi*“ (s. 148).

Omawiając nowele Reymonta stwierdza Krzyżanowski drogę pisarza od metody realistyczno-naturalistycznej do symbolu i alegorii.

Rozdział o artyzmie twórcy *Chłopów* klasyfikuje style pisarza: prosty (rejestracyjny), pełny (sienkiewiczowski), przeładowany (styl prozy poetyckiej), oraz język i jego obrazowość.

Książkę zamykają ciekawe rozważania o Reymoncie wczoraj i dziś. Ze stanowiska wczorajszego ustala prof. Krzyżanowski Reymontowi zaszczytne miejsce w dorobku powieściowym końca XIX w. i początku w. XX. U pisarza podziwia rozległość pomysłów, obiektywizm obserwacji, talent epicki z bożej łaski, zmysł utrwalania zanikającego obyczaju.

Z punktu widzenia dzisiejszego przedstawia Reymont wartość jako pisarz, który poruszał zagadnienia zawsze aktualne czy to pod względem problematyki (*Ziemia obiecana*, *Chłopi*), czy artyzmu; wszak powieści Reymontowskie wyprzedzają dzisiejsze romanse o „pracach i dniach".

Cechą zasadniczą rozważań prof. Krzyżanowskiego jest doskonałe rozplanowanie materiału, wynikające z gruntownego przemyślenia typu psychicznego i typu twórczego omawianego pisarza. Dzięki temu analiza dorobku Reymontowskiego zmieściła się w pięciu rozdziałach (od II do VI), których końcowe wnioski syntetyczne są jednocześnie znakomitym nawiązaniem do rozważań następnych. Każdy bowiem etap twórczości Reymonta stanowi ogniwo zrozumiałe, jeśli nie zawsze oczekiwane, w łańcuchu dzieł wszystkich.

Walorem książki jest usłużne operowanie materiałem i cytaty w dużej ilości, ułatwiające czytelnikowi szybką orientację.

Wartość olbrzymią ma nakreślone szeroko tło porównawcze, ustawiczne dygresje w stronę pisarzy Reymontowi współczesnych, dawniejszych i tych, co po nim przyjść mieli. Cała niemal epika Europy od Homera po czasy dzisiejsze, mieni się w cytowaniu dzieł i zestawieniach, które są ciekawe, czasem frapujące, zawsze zaś pobudzające do myślenia.

Książka prof. Krzyżanowskiego — obok ścisłości badania — odznacza się jasnością dzieła popularnego, i to jest jej rys najsympatyczniejszy. Dla szerokich rzesz inteligencji zajmującej się Reymontem będzie ona lekturą bardzo pożyteczną i ciekawą, dla badaczy Reymonta — zasadniczym punktem wyjścia.

Lwów *Janina Garbaczowska*

Konstanty Troczyński: *Artysta i dzieło.* Studium o *Próchnie* Wacława Berenta. Poznań 1938.

Praca Troczyńskiego jest próbą napisania monografii o *Próchnie* Berenta. Autor zrywa świadomie i celowo z typem tradycyjnych prac tego rodzaju, o charakterze genetycznym i historycznym. Nie interesuje się tedy ani „historią motywów fabularnych i treściowych" badanej powieści, ani też „całym kompleksem spraw, obejmowanych wspólnie tematem dzieło i epoka". — Nie negując zresztą

wartości takich studiów stoi zdecydowanie na stanowisku ergocentrycznym i pragnie jedynie zorientować się w badanej powieści jako w dziale sztuki. Siłą rzeczy zacieśnia tedy krąg swego badania i rezygnuje dobrowolnie „z dalekich perspektyw". Z tego względu praca Troczyńskiego zasługuje na baczniejszą uwagę. Podnosi się bowiem nieraz zarzut, że współczesna wiedza o literaturze zrywając z tradycyjną metodą badań nie zdobyła się dotąd na poważniejsze prace i nie dała w praktyce donioślejszych wyników poprzestając jedynie na mniej lub więcej interesującym teoretyzowaniu. Przyznaje to zresztą i sam autor stwierdzając, „że pomimo coraz żywszego zainteresowania treścią i metodologią badań pojawiają się prace historycznoliterackie raczej typu tradycyjnego" (przykładem mogą być najnowsze prace Rożnowskiej o *Żywych kamieniach* lub Piechala o Norwidzie). Przyczynę tego zjawiska widzi autor w nie dającym się metodologicznie utrzymać łączeniu strukturalizmu z idiografizmem w pracach dzisiejszych, odcinających się programowo od filologizmu starej szkoły. Strukturalizm posługuje się — podobnie jak dawna szkoła filologiczna — metodą rozkładu dzieła literackiego na elementy, czyni to jednak nie celem uchwycenia procesów genetycznych utworów, ale dla wyodrębnienia układów typowych, mając na oku ujęcie zasady autonomicznego związku elementów badanego dzieła. Idiografizm natomiast neguje zasadniczo możność rozłożenia dzieła sztuki na elementy widząc w nim tylko jedyny i niepowtarzalny związek o swoistej strukturze. Toteż Troczyński rezygnuje z łączenia metodologicznego idiografizmu ze strukturalizmem i staje sam wyłącznie na stanowisku tego ostatniego, ale pragnie pojąć go nieco inaczej.

Badania swe rozpoczyna od ujęcia formy wewnętrznej danego dzieła (w konkretnym wypadku *Próchna*), aby z kolei przejść do sprawy gatunku literackiego i sensu artystycznego dzieła jako całości i jedności konstrukcyjnej. Poznaniu formy wewnętrznej przypisuje doniosłe znaczenie badawcze przy wszelkiej pracy monograficzno-literackiej, podkreślając jej charakter „całkujący", w przeciwieństwie do różniczkującej analizy formalnej. Aby dojść jednak do określenia formy wewnętrznej *Próchna*, zajmuje się najpierw analizą pojęć różniczkujących. Czyni to w rozdziale pierwszym, poświęconym strukturze fabularnej *Próchna* i poddaje analizie trzy podstawowe elementy fabuły literackiej: środowisko, postacie i akcję, przy czym dochodzi do wniosku, że w *Próchnie* na pierwszy plan, jako dominanta. wysunięty jest element postaci, natomiast akcja i środowisko służą jedynie za pomocniczy środek techniczny... Fakt ten zbliża *Próchno* do konstrukcji dramatu, przy czym jednak brak mu — w przeciwieństwie do typowego dramatu — jednego bohatera. Ma ich ono aż czterech (Borowski, Jelsky, Müller, Hertenstein) i każdy z nich jest też konkretyzacją pewnego (jednego) zagadnienia, a mianowicie kwestii „twórczej nieporadności artysty". — Nieporadność, raczej niemoc twórcza artysty, jest w *Próchnie* zagadnieniem będącym podstawą

struktury fabularnej powieści. Każdy z czterech bohaterów przedstawia inny typ nieporadnego, tj. nietwórczego artysty i każdy po kolei kończy swą nieproduktywną mękę życiową aktem samobójstwa. Tym samym staje się *Próchno* jakby powieściowym studium zagadnienia: artysta i dzieło.

Troczyński stawia teraz pytanie, jaki jest stosunek autora, tj. Berenta, do tej sprawy. Aby odpowiedzieć na to zagadnienie, odrzuca metodę „naiwnego realizmu", polegającą na dosłownym rozumieniu cytat wyjętych z kontekstowych sytuacji, a stosuje metodę badania implikacji pojęciowych formy literackiej dzieła badając kwestię dystansu artysty (autora) w stosunku do dzieła.

Analiza tego zagadnienia doprowadza go do rezultatu, że dystans Berenta do swego utworu jest niejednolity, — odmienny w stosunku do trzech pierwszych bohaterów powieści: Borowskiego, Jelskyego i Müllera, a inny w odniesieniu do Hertensteina. Z trzema pierwszymi Berent nie solidaryzuje się, raczej objawia wobec nich swą wyższość. Dopiero w stosunku do Hertensteina komplikuje się zagadnienie dystansu. Toteż część powieści poświęcona tej postaci odbiega swym charakterem od poprzednich.

Z kwestią dystansu łączy się sprawa dyrektywy artystycznej równowagi, którą Troczyński uważa za zasadniczy element formalny utworu. Dyrektywa artystyczna stanowi bowiem sąd, zawierający określenie ogólnego stosunku artysty do schematów instrumentalnych jego twórczości. Dyrektywa artystycznej równowagi może być: osiągnięta, poszukiwana lub stracona. *Próchno* jest, zdaniem Troczyńskiego, przykładem dyrektywy równowagi poszukiwanej. Berent poszukuje jej między epiką i satyrą, między dramatem a liryką... „Jest to poszukiwanie między formą wewnętrzną satyry a formą zewnętrzną epiki" — zauważa autor trafnie... Ustaliwszy te fakty, wynikłe z analizy *Próchna*, powraca Troczyński do zagadnienia formy wewnętrznej tej powieści i stwierdza w niej „schemat pewnego określonego współistnienia dramatu i liryki". W zakresie kompozycji fabularnej mamy do czynienia ze schematem konstrukcyjnym dramatu, a w zakresie technicznego przedstawienia zastosował Berent formę lirycznego monologu (spowiedź Borowskiego w pierwszej części powieści, opowieść Hertensteina w części ostatniej). Podobnie dramatyczną konstrukcję mają powieści Dostojewskiego i Conrada. Zakładają one — jak i *Próchno* — wyjątkowość pewnych sytuacji indywidualnych i nie wierzą w możliwość ominięcia tych sytuacji, są więc „katastroficzne i pesymistyczne". — W losach Borowskiego, Jelskyego i Müllera mamy dramat psychologiczny trzech osobowości artystycznych, natomiast dramat Hertensteina nie jest tylko dramatem indywidualnym, ale jest to i „zasadniczy dramat twórczości artystycznej", dramat „artysty w ogóle". I w tej części powieść Berenta zmienia się w tragedię, a jej dialektyka staje się „ogólną dialektyką artyzmu".

Końcowy rozdział swej pracy poświęca autor „sensowi artystycznemu" badanej powieści i wskazuje trafnie na pewne zasad-

nicze cechy dekadentyzmu u bohaterów *Próchna*. Jest to przede wszystkim ich *déracinement* — odcięcie od korzeni — tj. osamotnienie społeczne, rasowe, narodowe, rodzinne, a nawet klasowe i zawodowe. Z tego *déracinement* płynie ich pesymizm i nihilizm życiowy. Oderwani od całości, izolowani od jakiejkolwiek grupy społecznej, pozbawieni wewnętrznej siły moralnej, idą po kolei ku niechybnej zagładzie. Z tą sprawą wiąże się ściśle osobisty stosunek Berenta do swego dzieła. O stosunku tym nie mówi jednak Troczyński na podstawie tych czy owych wiadomości o przeżyciach autora, tylko na podstawie analizy wewnętrznej dzieła usiłuje dać „historię indywidualną nie autora jako człowieka, ale jako artysty", historię jaźni „rzutowanej w tworzywo". — Próba ta jest niewątpliwie jednym z najciekawszych punktów tej pracy, Troczyński porzuca tu bowiem „absolutny ergologizm" i stara się uchwycić maskę indywidualności artysty, nadającą sens ogólny strukturze formalnej jego dzieła... Niemniej ciekawym momentem jest zużytkowanie pojęcia formy wewnętrznej przy analizie dzieła literackiego. Pojęciem tym interesowano się bowiem u nas dotąd bardzo mało[1]. Kwestia ta jest zawiła i w różnych czasach różnie ją ujmowano. — Plotyn, właściwy twórca pojęcia formy wewnętrznej, widział w niej prawdopodobnie pierwotną wizję artysty, z której następnie powstaje dzieło; Shaftesbury, odnowiciel omawianego pojęcia w czasach nowszych, nazywa formą wewnętrzną — ukrytą w dziele duchową zasadę twórczą, od której zależy jego zewnętrzna postać. Myśli Shaftesburego podjęli następnie Goethe oraz jego towarzysz pobytu w Rzymie, Karol Filip Moritz (ten ostatni w rozprawie *Über die bildende Nachahmung des Schönen*, 1788), tworząc teorię estetyczną traktującą dzieło sztuki jako organizm stworzony na tych samych prawach, na jakich tworzy przyroda. Teorię tę przyjął też Fr. Schiller oraz przyjęli romantycy niemieccy (Schleiermacher, Schelling)... Późniejsi zarzucili z czasem tę teorię, ale zaniedbali przy tym i samo pojęcie formy wewnętrznej, które dopiero około r. 1910, w miarę tworzenia się nowej wiedzy o literaturze, zaczęło znów intrygować badaczy i pojawiać się coraz częściej na kartach rozpraw estetycznych. Troczyński rozumie przez formę wewnętrzną zasadę strukturalną całości układu elementów w dziele literackim i podkreśla słusznie jej charakter całkujący. Gdy jednak estetycy XVIII wieku uważali, że formę tę „trzeba wyczuć", więc chcieli dojść do niej na drodze intuicyjnej, Troczyński dochodzi do jej uchwycenia przez analizę formalną dzieła literackiego, mającą charakter różnicujący, oraz przez ustalenie dystansu autora w stosunku do tworzywa powieści i zagadnienia dyrektywy artystycznej. W ten sposób trudna i zawiła kwestia ujęcia formy wewnętrznej danego dzieła postawiona została na gruncie realnym, czego niestety nie można powiedzieć o wielu innych próbach rozwiązania tego problemu. Ważną w tym związku kwestię dystansu podjął już ongiś

[1] Por. Z. Żygulski: *Zagadnienia formy wewnętrznej*, Marchołt 1937.

Stanisław Brzozowski w swej rozprawie *Współczesna powieść polska* (s. 24 n.). Brzozowski podkreślił różnicę dystansu psychicznego między widzem a dramatem oraz między czytelnikiem a powieścią. Zdaniem jego, czytelnik powieści wyczuwa nieustannie dystans psychiczny między sobą a przedmiotem, o którym jest mowa, natomiast w dramacie sprawa, o którą idzie, musi się stać sprawą widza. Brzozowski nawiązywał tu świadomie do pewnych koncepcji Goethego, który różnice między eposem a dramatem sprowadzał do różnicy, jaka zachodzi między rapsodem a aktorem. Toteż opanowanie danego „tematu" w formie powieściowej lub dramatycznej nie jest bynajmniej rzeczą dowolną. Zależy ono od stosunku, jaki autor zajmuje wobec zagadnień, o które idzie. (Troczyński rozróżnia tu szereg możliwości: ponad, obok i pod... Jeżeli artysta znajduje się ponad rzeczywistością artystyczną, wówczas powstaje kierunek dystansu satyrycznego, jeżeli obok — kierunek dystansu epickiego, jeżeli pod — kierunek dystansu „mitologicznego". Ponadto może zachodzić jeszcze brak jednolitego dystansu — wówczas powstaje groteska, — wreszcie zasadnicza niemożność wytworzenia dystansu — liryzm). Te ostatnie zmierzają do rozwiązania od wielu dziesiątków lat dyskutowanej kwestii czystości i mieszania gatunków literackich, przy czym Troczyński nie wypowiada się bynajmniej, wzorem estetyki klasycznej, za bezwzględnym przestrzeganiem ich integralności.

Najciekawszym jednak momentem ze stanowiska dzisiejszej wiedzy o literaturze jest, jak to już poprzednio wspomniano, sprawa zagadnienia: artysta i dzieło. Troczyński chciałby wprawdzie badane dzieło ustawić w sztucznym, idealnym *vacuum*, zdaje sobie jednak sprawę z niebezpieczeństwa takiego stanowiska. Próbuje tedy odtworzyć, „poza granicami czystej ergologii", jaźń artysty (w danym wypadku Berenta), która jest jednak tylko jaźnią „rzutową, myślową, nadbudowaną nad osobowością społeczną i organizacją psychofizyczną..." Stwarza to nowe pole do dalszych analiz i odcina stanowisko Troczyńskiego od grupy bezwzględnych „ergologów". Oczywiście nie idzie tu o napisanie historii autora jako człowieka, ale jako artysty. Inna rzecz, że może ciekawsza byłaby taka konfrontacja jednej i drugiej „historii", choć eksperyment ten dla wielu pachniałby nawrotem do metod biografizmu i genetyzmu.

Lwów *Zdzisław Żygulski*

†

ŚP. JÓZEF MICKIEWICZ

W sierpniu 1938 roku zmarł Józef Mickiewicz, najmłodszy syn Adama. Urodzony d. 20 XII 1850 r., był ulubieńcèm ojca, który wielkie doń przywiązywał nadzieje. W przeddzień śmierci w Konstantynopolu mówił o nim, że „stworzony poetą", że gdyby mógł „tak jak my na wsi wychowywać się z naturą, wśród wiejskich wrażeń, pewien jestem, że byłby poetą prawdziwym narodowym". Losy wszelako wzbroniły tego chłopcu. Po śmierci matki wzięty w opiekę przez Zofię Falkenhagen Zaleską wychowywał się w Paryżu, poczem czas jakiś w Warszawie u Leszczyńskich. W młodości wpływ znaczny wywarł nań Armand Lévy. Zmarły był człowiekiem cichym, uchylał się od życia publicznego, wystąpień i reprezentacji. Wielkiej dobroci serca, znalazł właściwy teren pracy jako urzędnik *de l'Assistance publique* w Paryżu, opiekując się wszelakiego rodzaju biedotą.

Zainteresowania umysłowe jego szły w kierunku historii, zwłaszcza średniowieczem, prądami życia duchowego, religijnego interesował się wytrwale i zdobył w tym zakresie dużą erudycję. Przez czas jakiś w ostatnich latach życia pracował też w Bibliotece Polskiej i Muzeum Mickiewiczowskim przy katalogowaniu zbiorów. Jak życie tak i śmierć jego przeszła cicho, niemal niepostrzeżenie. Pochowany na przedmiejskim cmentarzu paryskim w Juvisy.

St. P.

Ś. P.

JAN GWALBERT PAWLIKOWSKI

W chwili zamykania druku rocznika 1938 r. zmarł w dniu 5 marca 1939 znakomity badacz mistyki polskiej i twórczości Juliusza Słowackiego Jan Gwalbert Pawlikowski. Obszerniejszy artykuł żałobny znajdzie się w następnym roczniku *Pamiętnika Literackiego*. Zawiadamiając obecnie swoich Członków i Czytelników o stracie nieodżałowanego Uczonego, składają hołd Jego pamięci

Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza

i

Redakcja *Pamiętnika Literackiego*

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM FRANCISZKA KADLECA

31 39